



KIEDY WŁADZĘ
PRZEJMUJE SZALEŃSTWO

ROZGRYWKA

LENA NAJDECKA

LENA NAJDECKA

ROZGRYWKA



EDI PRESSE
KSIĄZKI

*Ten wytwór piekiel nie miał w sobie nic ludzkiego,
żyły w nim tylko nienawiść i strach.*

R. L. Stevenson, *Doktor Jekyll i pan Hyde*

Copyright for Polish Edition © 2017 Edipresse Polska SA
Copyright for text © 2017 Lena Najdecka
Edipresse Polska SA, ul. Wiejska 19, 00-480 Warszawa
Dyrektor ds. książek: Iga Rembiszewska
Redaktor inicjujący: Natalia Gowin
Produkcja: Klaudia Lis
Marketing i promocja: Renata Bogiel-Mikołajczyk, Beata Gontarska
Digital i projekty specjalne: Katarzyna Domańska
Dystrybucja i sprzedaż: Izabela Łazicka (tel. 22 584 23 51)
Beata Trochonowicz (tel. 22 584 25 73)
Andrzej Kosiński (tel. 22 584 24 43)
Opieka redakcyjna: Agnieszka Jeż
Redakcja: Barbara Syczewska-Olszewska
Korekta: Elżbieta Rago
Konceptcja graficzna: Marzena Madej
Projekt okładki i stron tytułowych: Agnieszka Izbicka
Zdjęcie na okładce: Vladimir Badaev/Bigstock.com
Skład: Perpetuum
Biuro Obsługi Klienta
www.hitsalonik.pl
mail: bok@edipresse.pl
tel.: 22 584 22 22
(pon.–pt. w godz. 8.00–17.00)
www.facebook.com/edipresseksiazki
www.instagram.com/edipresseksiazki
ISBN: 978-83-8117-028-4

Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kodowanie w urządzeniach przetwarzania danych, odtwarzanie w jakiegokolwiek formie oraz wykorzystywanie w wystąpieniach publicznych w całości lub w części tylko za wyłącznym zezwoleniem właściciela praw autorskich.

Iskra w beczce- prochu

Zaafelowany Mirosław Kwaśniak biegł w dół schodami gmachu Telewizji Polskiej przy Woronicza. Dopiero co zszedł z wizji, pośpiesznie opuścił gwarne studio i próbował w samotności uładzić kłębiące się w nim emocje.

Załatwił oponentów, znokautował. Powiedział wszystko, co zaplanował – nie za mało, nie za dużo. Nad mimiką panował perfekcyjnie, a przynajmniej takie miał wrażenie. Nawet przy niewygodnych pytaniach zachował niewzruszony spokój, umiejętnie kluczył, lawirował, gładko zmieniał kierunek rozmowy.

Dyskusję miała moderować Jaceniuk, antypeenowska kosa, ale znów mu się poszczęściło. Rozchorowała się. Musiała ją zastąpić ta mamałyga. Naprawdę miał nad sobą potężnych bogów. „Jest z nami wzięty radca prawny, Mirosław Kwaśniak” – przedstawiła go telewidzom, a następnie zwróciła się bezpośrednio do niego: „Czy to prawda, że przeciwnicy sądowi nazywają pana bogiem wojny?”.

Najwyraźniej zassała wzmiankę prasową z zeszłego miesiąca. Podchwyciono sformułowanie, które ukuli razem z Beatą. Aż przystanął, gdy to sobie uzmysłowił. W studiu był niemal jak w transie, dopiero teraz przypominał sobie istotne szczegóły rozmowy. Schodziło z niego napięcie, presja, pod którą znajdował się w trakcie programu. To korzystne, że wymieniła to określenie, teraz przyłgnie do niego na stałe. Miał ochotę roześmiać się w głos.

Trzeci raz w ciągu miesiąca zaliczył szkło jako ekspert, i to na żywo. Rozpierała go radość, pobudzając dodatkowy dopływ adrenaliny, dodatkową falę unoszącej go energii. Nikt by nie odgadł, jaka burza szalała teraz w jego sercu, tak do-skonale maskował podniecenie; maskował je skrzętnie, choć jedynym świadkiem tej sceny był znudzony ochroniarz, obojętnie wyglądający ze szklanej budki obok wyjścia, niczym żółw ze skorupy.

Cóż to? Nie uklonił się? Nie rozpoznał go, czy po prostu nikt go jeszcze moresu nie nauczył? Teraz o pracę niełatwo... Kwaśniak zwolnił kroku, nim wszedł w prowadzące na zewnątrz obrotowe drzwi, i uparcie zezował do wnętrza kanciapy ochroniarza, omiatając wzrokiem jej wnętrze. Grał telewizor, leciał program pierwszy – tamten musiał go przed chwilą oglądać na ekranie. Jednak zawiść ludzka nie ma granic.

Tymczasem on, Kwaśniak, pomału stawał się rozpoznawalny, niewątpliwie był osobą medialną. „Najseksowniejszy polityk, do tego wzięty prawnik” – głosił nagłówek „Super Expressu”. Beata to załatwiła. Potem poszło po całym necie jak lawina, od jednego portalu do drugiego. W rankingu młodych wilków polskiej polityki „Fakt” uplasował go na drugim miejscu. I jeszcze slogan w opisie – „Ares, bóg wojny”. Spreparowali to tak, że niby bliski znajomy zdradził brukowcom, iż przeciwnicy w sądzie nazywają go Aresem, bo tak się go boją. Dobra taktyka na

wypracowanie pozycji na rynku prawniczym. Teraz, kiedy wreszcie jest na swoim, weźmie rynek migiem. Przystojny polityk, wzięty prawnik. To się będzie nieść, a jak już ta etykieta do niego przyłgnie, stanie się rzeczywistością, ponieważ dziś nie ma innej rzeczywistości niż medialna. Kwaśniak to wiedział, naczytał się o tym, ściągał na ten temat różne publikacje.

Często łapał się na tym, że gdziekolwiek wchodził, czepiał się wzrokiem ludzkich oczu, chcąc sprawdzić, czy go poznają. I głowę dałby sobie uciąć, że większość ludzi już go kojarzyła. Wszędzie przyciągał spojrzenia. W końcu był człowiekiem z telewizji, z portali internetowych! Wschodzącą gwiazdą palestry, a nadto ekspertem PN-u^[1] do spraw prawniczych! Swój wizerunek cyzelował ze starannością i pieczołowitością, o którą wcześniej sam by się nie podejrzewał. Dbał o najdrobniejsze szczegóły – wycięte skórki paznokci, wydepilowane włosy z nosa, nie mówiąc już o najświeższych krojach garniturów. Do dziś nie zapomniał przezwiska, które ponoć nadał mu Wencel, a które dotarło do niego niby przypadkiem – Wiejski Elegant.

– Dobranoc – z naciskiem rzucił w stronę ochroniarza i wyszedł w ciemną listopadową noc na opustoszały parking, gdzie zimny wiatr niemal odarł go z cienkiego płaszcza i ulizał mu włosy na gładko.

Oślaniał głowę teczką i pomału parł w stronę samotnie stojącego auta. W radiu nadawano ostrzeżenie o silnym wietrze. I rzeczywiście, nawet potężne topole gięły się jak widmowe stwory w upiornym tańcu. Brrr... Względnie już opanowany, ostudzony rzeczywistością, pogmerał w kieszeni płaszcza i wyjął kluczyki. Samochód szcęknął, rozjarzył się jak dyskoteka. Kwaśniak wsiadł i głęboko odetchnął, opierając się o zagłówek. Cholera, która to godzina? Zdaży jeszcze podjechać po wino, umówili się dopiero na dziewiątą. Tydzień temu Beatrix ruszyła w Polskę z kampanią, miała jechać do kilku pipidówek, ale urwie się dzień wcześniej, ponieważ zastąpi ją Bożymski, a ten pary z ust nie puści, bo o niczym nie wie. I się nie dowie, choćby robili to pod jego nosem. Choćby obściskiwali się pod stołem, z Bożymskim siedzącym naprzeciwko, jak ostatnio w Tłuszczu. Śmiali się z tego jak opętani. Nocowali w tamtejszym hotelu, bo mieli się spotkać z pielęgniarkami wcześniej rano, ale wieczorem tak się skuli, że Beata wracała do pokoju na czworakach. Szczęście, że Bożymski ulotnił się znacznie wcześniej i już tego nie oglądał. Rano, podczas śniadania, zerkał wprawdzie zza okularów nieco podejrzliwie, ale tylko dlatego, że Kwaśniak i Beata znów chichotali jak wariaci. Chyba jedynie kelnerka coś zauważyła, więc na odjezdnym wcisnął jej stówkę do kieszeni. Na wszelki śluczaj.

Z Woronicza skręcił w lewo i pomału sunął aleją Niepodległości w stronę centrum. Miał niewielki apartament w Józefosławiu, ale kiedy spotykali się z Beatrix, zawsze wynajmowali pokój w Westinie. To był najbardziej anonimowy z warszawskich hoteli o pełnych zakamarków, zacisznych korytarzach. W razie

nieoczekiwanego spotkania można się było schować za pierwszy lepszy róg, a zresztą nocowali tam tylko jacyś cudzoziemscy biznesmeni, a na dole nie było żadnych atrakcyjnych barów, w których mogliby się natknąć na kogoś znajomego. Peenowscy partyjniacy korzystali z hotelu poselskiego albo jechali prosto do domów, kombinując, jak się dało z przysługującymi im dietami. On i Beata też kombinowali z dietami, nigdy nie płacili z własnej kieszeni, ale byli w swoich machinacjach znacznie bardziej przebiegli. Nie w ciemną bitą Kwaśniak wgrzył się w regulamin i dobrze wiedział, co Beatrix przysługuje, a jeśli nie przysługiwało, umiał to obejść. Naprawdę miał głowę na karku. Nic dziwnego, że ona coraz bardziej się od niego uzależniała.

Jeszcze pół roku temu przechodził autentyczne załamanie nerwowe po tym wszystkim, co się stało. Najgorsze było, że dusił to w sobie, bo po wpadce z kaleką w ogóle w Pabianicach nie bywał, wolał nie kusić licha. Nie oznaczało to wcale, że w Warszawie czuł się swobodnie – początkowy okres był ciężki. Najgorszy był kwiecień, nie lepszy maj. Miewał wtedy ze sobą kłopoty. Stany lękowe nasilały się do tego stopnia, że nie był w stanie chodzić do pracy, bał się wyjść z domu. Tylko dzięki Beacie odbił się od dna.

Naturalnie, nie wspomniał jej ani słowem o powodach swojej nerwicy. Utrzymywał, że wypaliła go praca w korporacji, francuskiej sieciówce Guy & Chardon. Po licznych naradach, koncyliacyjnie, za porozumieniem stron opuścił przyjazne skądinąd progi Guya, rozwiązał umowę pod koniec czerwca i wreszcie był na swoim. Kariera – własna praktyka prawnicza – nabierała rozpędu dzięki intensywnemu pijarowi i ekspertyzom dla PN-u, załatwianym przez Beatrix. Kokosów jeszcze nie zarabiał, ale mógł się utrzymać, a przy poselskiej diecie Beatki nie miał prawie żadnych kosztów własnych.

W życiu nie podejrzewał, że związek z kobietą o piętnaście lat starszą może mieć rację bytu, jednak im większego doświadczenia nabierał, im bardziej dochodził do rozumu, tym wyżej oceniał walory takiej relacji. Interesującym było, że inni mężczyźni w jego wieku (Kwaśniak miał trzydzieści dwa lata) kompletnie nie rozumieli, czym się je życie. On wierzył, że posiadał doświadczenie i spryt mężczyzny sześćdziesięcioletniego, będąc u szczytu sił psychofizycznych. W przeciwieństwie do rówieśników cenił macierzyńską opiekuńczość dojrzałej kobiety, jej koneksje, mądrość. Nie chciała od niego małżeństwa i dzieci, wystarczyło, żeby z nią był.

Doszedł do wniosku, że było to najszcześniejsze rozwiązanie z możliwych. Najpierw się dorobić, a potem się zobaczy. Do takiej wiedzy mężczyźni dochodzili dopiero w średnim wieku, kiedy życie dało im w kość, a egoizm święcił triumfy nad idealizmem młodości. On był jednym z nielicznych, wybranych, którzy postanowili jednak uczyć się od starszyny, a nie gardzić jej radami.

Niby każdy to wiedział, ale nikt tak nie postępował, nikt oprócz niego.

Litował się nad naiwnością rówieśników harujących jak woły, ale niezdolnych do tego, by się wybić, bo objuczonych bagażem zobowiązań.

On dojdzie do tego samego, ale na skróty. Od eksperta prawnego do polityka wcale nie jest tak daleko, są różne struktury, które stają otworem, ale najpierw trzeba się odkuć finansowo, w coś się wkręcić, tylko pomału, spokojnie, bez paniki. Beata nie pozwoli, aby minęła go lukratywna okazja, są w idealnej symbiozie, a brak środków byłby czynnikiem zakłócającym ich harmonię.

Mąż Beatrix, stary ramol, zdaje się, jakiś aktorzyzna ze spalonego teatru jest kompletnie od niej uzależniony i nawet nie miauknie, jak Beata znika na kilka nocy pod rząd. Ma na głowie opiekę nad dziećmi, więc nie waży się zburzyć tego układu. A i Beacie nie zależy na zmianach, za bardzo ceni sobie rodzinę, by miała zakusy na coś więcej niż regularny romans. Wilk więc syty i owca cała.

Zaparkował pod sklepem z winami. Ekspedientka rozpoznała go; był tam stałym bywalcem, w pełni świadomie wkalkulował to w ogólny plan. Prawnik i polityk, a do tego koneser win.

Zaopatrzone, pojechał z powrotem ulicą Jana Pawła w stronę hotelu. Zazwyczaj zostawiał samochód w podziemnym parkingu, w budynku sąsiadującym z Westinem. Płacił taniej i miał mniejszą szansę napatoczenia się na kogokolwiek. Choć i to było dmuchaniem na zimne, gdyż nigdy nie wchodzili razem do hotelu, a do niedawna brali osobne pokoje. Dopiero ostatnio, gdy ich związek okrzepł, zwracali na to mniejszą uwagę.

Skręcił w Ciepłą i ostrożnie zjechał w dół do skąpo oświetlonego parkingu. Na pierwszym poziomie stało kilka samochodów. Nie wiedzieć czemu, chwilę się zawahał. Zdawało mu się, że usłyszał za sobą odgłos, jakby ktoś najechał na ogranicznik ruchu. Ściszył muzykę, przyhamował, auto ledwo się toczyło. Musiało mu się jednak tylko zdawać, uznał w duchu, bo oprócz cichej pracy silnika niczego nie słyszał. W garażu nie było żywej duszy.

Skąd więc to uczucie, że ktoś mu się przygląda? Wyłączył radio, zatrzymał wóz i czujnie wodził oczami od jednego wstecznego lusterka do drugiego. Był w połowie drogi do zjazdu na niższy poziom. We wstecznym widział kilka aut, w tym wielkiego czarnego SUV-a. Czy to w nim dostrzegł jakiś ruch? Skupił wzrok na lusterku i zastygł, by w razie gdyby faktycznie ktoś go obserwował, nie odgadł, że Kwaśniak się zorientował.

Siedział bez ruchu dłuższą chwilę, wsłuchując się w przyspieszone bicie własnego serca. Wyglądało na to, że auta były puste. Pewnie kątem oka zobaczył mijany słup, stąd wrażenie ruchu. Inna sprawa, że był przemęczony, podenerwowany występem w telewizji, no i wciąż spodziewał się... Czego, do jasnej cholery? Przecież dotrzymał umowy, a to, co się stało, nijak nie mogło wpłynąć na majątek, sytuację finansową czy bezpieczeństwo pana Wędzichy. Zresztą, nie będzie roztrząsał tej sprawy w ciemnym garażu. Gdyby mieli jakieś

wątpliwości, zgłosiliby się do niego pół roku temu. Już oni by go znaleźli, nie darowali. Dobraliby się do niego, jak dobrali się do tamtych...

Gwałtownie wcisnął pedał gazu i zjechał na poziom minus dwa. Było tam jaśniej, parkowało mniej aut. Faktycznie, prawie nikogo. Jeden rzęch i pełen ogląd sytuacji. Stanął jak najbliżej wyjścia, by mieć tylko dwa susy do drzwi prowadzących na klatkę schodową. Wysiadł i znów ogarnęło go dziwne, mrozące krew w żyłach uczucie paniki. Poczucie, że nie jest tu sam.

Spokojnie, tylko spokojnie, to kolejne złudzenie, efekt spiętrzenia stresów, przecież lekarz mu tłumaczył... Dwa szybkie baczne spojrzenia – najpierw na lewo, potem na prawo. Wokół smętnie, ponuro, widmowo; trupie światła przecinające ciemność. Nikogo poza nim samym. Chyba że ktoś schował się za betonowymi słupami...

Szaleństwo. Uśmiechnął się pod nosem i energicznie, zdecydowanie otworzył bagażnik, ćwierknięcie zamka auto-ma-tycznego odbiło się echem w pustej przestrzeni. Zagłębił się w poszukiwaniu toreb z winem i aktówki. Musi naprawić żarówkę, przepaliła się i nic w tym cholernym bagażniku nie wi... Zimny dreszcz przebiegł mu po całym ciele. Czy mu się zdawało? Czy to był szelest kurtki ocierającej się o betonowy słup?

Odwracał się z wysiłkiem, pomału. Pragnął odetchnąć z ulgą, pomyśleć, że znów to tylko wytwór rozpalonej wyobraźni, że to jego płaszcz zaszeleścił, gdy nagle usłyszał tupot. Jak fryga okręcił się na pięcie w porę, by dostrzec dwóch wielkich biegnących ku niemu mężczyzn, będących już o krok.

Okrzyk strachu uwiązał mu w gardle, zamiast tego wydobył z siebie tylko cichy jęk. Nie zdołał nawet podnieść rąk. Momentalnie zarzucili mu coś włochatego na głowę, a następnie poczuł potężny cios w żołądek. Szarpanina, przekleństwa, wrażenie braku powietrza. Zaduszają go! Coś płynęło mu w dół spodni, uczeplił się ramienia jednego z mężczyzn, słyszał swoje błagania, ale zdawało mu się, że ktoś inny je wypowiada. Ten dochodzący nie wiadomo skąd głos urwał się z nienacka, wraz z potężnym ciosem w tył głowy, zadany czymś cholernie ciężkim a zaskakująco miękkim.

Kwaśniak ocknął się w poruszającej się ciemności. Nie miał pojęcia, ile czasu upłynęło. Szarpało nim na lewo i prawo, silnik warczał, koła co i raz napotykały koleiny, dziury, przy każdym przeciążeniu w lewo głowa uderzała w coś metalowego, kanciastego. Był w bagażniku. Chciał się rozejrzeć, ale przed oczami widział tylko czerń. Usta miał zakneblowane, na szyi pętlę, głowę obwiązaną workiem.

Ludzie Wędzichy wieźli go do lasu, żeby zabić? Brakowało mu powietrza, usiłował wypluć gałgan, wzmogło się wrażenie duszenia. Szarpał się nerwowo, łapiąc tlen nosem niczym pies idący za górnym wiatrem, potem zawirowało mu w głowie, pochłonęła go ciemność. Odplynął.

Gdy znów się ocknął, był na zewnątrz. Wlekli go za nogi. Szybko, brutalnie. Głowa, wciąż owinięta w wór zapętlony przy szyi, co i raz podskakiwała mu na nierównościach terenu, płaszcz, a także marynarka, zadarły się do góry i gołymi plecami sunął po ziemi. Zdawało mu się, że oprawców było kilku, słyszał szelest ich buciorów brodzących w opadłych liściach. Przystanęli, nerwowo konferując – uzgadniali coś przytłumionymi głosami. Padła jakaś komenda, wtedy znów ruszyli naprzód. Wlekli go jakiś czas, nie umiał powiedzieć, jak długo.

Ponownie zwolnili, stanęli. Zapadła cisza. Na coś czekali. Kwaśniak słyszał łomot krwi pulsującej mu w skroniach. Wtedy gdzieś z oddali dało się słyszeć przeciągłe wycie – trąbił nadjeżdżający pociąg. Znów rzucili się naprzód, wlokąc go, jak mu się zdawało, w tamtym kierunku. Owładnięty najgorszym przecuciem, zaczął się szarpać, udało mu się oswobodzić jedną nogę, ale dostał takiego kopniaka w bok, że stracił dech. Pociąg przelatywał gdzieś niedaleko z ogłuszającym hukiem, musieli być bardzo blisko torowiska. Potem głucho dudnienie zaczęło się oddalać, by w końcu rozplynać się w dali.

– Myślałeś, że jesteś cwańszy od pana Bogdana, co?! – wykrzyknął ktoś tuż nad głową Kwaśniaka. – Chciałeś go wydymać?!

– Nie chciałem, nie chciałem, nie chciałem – bełkotał Kwaśniak w gałgan przez worek.

Znów schwycili wierzgającą już słabiej wolną nogę i ponownie powlekli go po ziemi. Mimo błagalnych lamentów o możliwość wyjaśnienia sprawy, których i tak nie dało się zrozumieć przez zakneblowane usta, nie zareagowali, nie dali szans. Poczul na gołych plecach zimną ostrą tarkę. Żużel z torowiska. Głowa łupnęła o coś twardego, jakby metalowy próg. Pokonali szynę. Za chwilę następną i kolejną.

Wrzeszczał, wił się, ale oni nieubłaganie wlekli go głębiej na torowisko, trzymając mu nogi jakby w imadłach. Raptem znów wyczuł lekkie charakterystyczne drgania. Usłyszał brzęk, świst naprężonych metalowych linek. Nie było wątpliwości, zbliżał się kolejny pociąg, ziemia rezonowała rytmicznie, wibracje czuć było w drewnianych podkładach. Adrenalina wzmogła się tak, że nawet nie czuł bólu. Zaczął się miotać jak oszalały, nie bacząc na możliwość bycia ukaranym kopniakiem. Oprawcy chyba biegli, bo głowa Kwaśniaka jeszcze parę razy uderzyła o szynę, tyle że z dużo większą siłą. Nagle puścili go gwałtownie, ich rejteradzie towarzyszył szybko słabnący chrzęst żwiru pod buciskami.

Osamotniony, wiercił się jak opętany. Chcąc zerwać więzy, wykonał kilka nieskładnych ruchów. Okręcił się, położył na brzuchu, usiłował wstać, dłuższą chwilę nie dawał rady. Oparł się brodą o podłoże i uniósł na kolanach do pozycji pionowej. Wtedy poprzez jutowy worek dostrzegł trzy charakterystyczne światła, jedno na górze i dwa na dole, wychodzące z zakrętu, obierające kurs prosto na niego.

Na oślep rzucił się w prawo, kolanami uderzył w szynę, pokonał ją, gramoląc się niezdarnie. Potem pomyślał, że może popełniał błąd. A jeśli wcześniej nie był na torze, po którym jechał pociąg? A nuż chcieli go postraszyć, a tymczasem wskoczył na sąsiedni tor, z którego nie było ucieczki, bo dopiero teraz pociąg pędził na wprost?! Przecież nawet jeśli nie chcieli go zakatrupić, to nie zaryzykują skakania, by go uratować.

Miał parę sekund do namysłu. Sytuacja ukazała mu się z jasnością, o której wcześniej tylko czytał – jasnością wobec zbliżającego się końca. Był na szerokiej magistrali; nie sposób było stwierdzić, którym torem nadjeżdżał pociąg. Przez jutę przeświecały trzy błyskawicznie rosnące oka, sunące prosto na niego. Nie był w stanie podjąć decyzji, tkwił jak struchlały zając w światłach nadciągającego z gigantyczną prędkością potwora. Oszałamiający ryk zagrzmiął mu w uszach, to maszyniści go dostrzegli i trąbili, trąbili jak szaleni. Światła rosły mu w oczach. Teraz już wiedział, że odruch bohaterstwa to gówno prawda. Nie był w stanie podjąć jakiegokolwiek działania, żadnego kaskaderskiego rzutu ciałem w bok, żadnego uniku w ostatniej chwili. Czuł się słaby jak wrażliwa roślina, jak niezborny pajak gramolący się w szklanym słoiku. Zacisnął tylko powieki i zwarł każdy nerw w oczekiwaniu na nieuchronne...

Huk, łoskot i gorący podmuch rzucił go na prawo. Wściekle dudnienie przelatywało tuż obok jego głowy. Nie wiedział już, gdzie się znajduje, na jakim jest świecie. Ponownie stracił przytomność.

Skulony i skostniały z zimna ocknął się na niewygodnym krześle. A więc żył.

Nie miał pojęcia, ile czasu minęło.

Był w ciemnym pomieszczeniu, przy stole, na którym stała pusta brudna popielniczka oraz na wpół opróżniona butelka taniej wódki. Dopiero potem zobaczył zarysy sylwetek dwóch mężczyzn. Siedzieli po przeciwnej stronie stołu pod światło, więc ich twarze były słabo widoczne.

Oszołomiony, mrugając w ostrym świetle lampy skierowanej prosto w twarz, rozglądał się wokoło. Dostrzegał coraz więcej szczegółów, pomału wracała skołatana świadomość. Chyba byli w piwnicy, w kotłowni. W ciemnościach rysowała się płatanina rur, zawory, bojler.

Tamci przyglądali mu się bez słowa. Gdy oczy nieco oswoiły się z jaskrawym światłem, zdołał zauważyć, że jeden z mężczyzn był starszy, może koło sześćdziesiątki, drugi młodszy, miał nie więcej niż dwadzieścia lat. Starszy – suchy, kostyczny, żyłasty – zdawał się spięty, w pełnej gotowości do działania. Młodszy – bardziej odprężony, rozparty na krześle – na wpół leżał z szeroko rozłożonymi nożyskami. Widząc, że Kwaśniak wraca do siebie, połał mu wódki.

– Pij. Trzęsiesz się jak galareta.

W pierwszej chwili Kwaśniak chciał się wymówić. Po przebytych szoku ręce

miał wciąż wiotkie, bał się, że nie zdoła porządnie uchwycić szklanki. Własny język zdawał mu się sztywny, jakby spęczniały. Nie chcąc drażnić tamtych bełkotliwym tłumaczeniem, usiłował skumulować całą siłę woli, by wziąć się w garść. Zebrał się w sobie, w skupieniu ujął szklankę, ostrożnie przytknął ją do ust. Połowa poleła mu się po brodzie, ale reszta trafiła do przełyku. Poczł rozlewające się gorąco. Po chwili dygot się zmniejszył, napięcie w szczękach zmalowało. Jeszcze parę razy łyknął solidnie.

– Domyślasz się pewnie, kim jesteśmy? – odezwał się świszczącym głosem starszy. – Podobno obiecujący z ciebie materiał na polityka, rozumiem więc, że nie trzeba ci tłumaczyć, od kogo masz pozdrowienia?

Rzeczywiście Kwaśniak nie miał wątpliwości, kto ich nasłał. Od miesięcy się tego obawiał. Teraz domyślił się, kim jest starszy. Bez wątpienia miał przed sobą niejakiego Rycembela. W Pabianicach krążyły o nim legendy. Mówiono, że jest prawą ręką Bogdana Wędzichy, specjalistą od mokrej roboty. Gdy podczas porachunków mafijnych odstrzelono Rycembelowi nos, ponoć Wędzicha zrefundował mu rekonstrukcję twarzy w najlepszej klinice w Szwajcarii. Podobno Rycembel miał ogromne obrażenia twarzoczaszki i aby go złożyć, wsadzili mu do gęby rozmaite protezy. A że chorował na astmę i dyszał jak miech kowalski, wszystkie te metalowe rurki grały i rzeżyły niczym stado upiorów w wiekowym kominie.

– Gadaj – mówił jakby na wdechu. – Wiesz, od kogo przychodzimy, czy odświeżyć ci pamięć?

– Domyślam się – Kwaśniak złożył ręce jak do modlitwy – ale chciałbym doprecyzować, że musiała zajść pomyłka, hm... przekłamanie. Ja nigdy, przenigdy...

Rycembel ostro szurnał krzesłem, jakby zamierzał poderwać się na równe nogi, lecz ostatecznie zdołał nad sobą za-pa-nować. Wyszarpnął z kieszeni marynarki paczkę papierosów,

zapalił i pełnym tłumionej złości ruchem odchylił się na oparcie. W zapadłym milczeniu jeszcze wyraźniej słyhać było jego dychawiczne sapanie.

Kwaśniak zrozumiał, że popełnił bład. Nadmierna elokwencja nie robiła na Rycembelu wrażenia – raczej go drażniła. Mimo to, nie mając wyjścia, zaczął tłumaczyć błagalnym, pojednawczym tonem.

– Chciałem przez to powiedzieć, że dopełniłem wszelkich warunków, sprzedałem firmę pana Bogdana i przecież razem ustaliliśmy, że likwidacja kaleki ściągnęłaby podejrzenia. To nie moja wina, że go potem porwali, nie mam pojęcia, jak w ogóle do niego dotarli, ale proszę zapewnić pana Bogdana, że jeśli nawet księgowy coś na pana Bogdana ma, to nigdy nie będzie mógł tego upublicznić, bo ja mam na Wencla...

Tym razem Rycembel nie wytrzymał. Poderwał się tak gwałtownie, że

odsunięte przez niego krzesło z łomotem upadło na betonową wylewkę. Kwaśniak poczuł, jak na moment ustało mu serce, a potem znów podjęło pracę nierówno, boleśnie. Tymczasem tamten szybko obszedł stół, pochylił się nad nim, złapał go za koszulę i uniósł z fotela. Oszepecona twarz wreszcie znalazła się w kręgu światła, kilka centymetrów od głowy Kwaśniaka.

Rycembel nie miał brwi, skóra zdawała się pozszywana z różnych fragmentów, nos wyglądał jak kość obciągnięta cienkim pergaminem. Przypominał mumię.

– Zapewnienia, że masz haka na tego czy na innego, to obraza mojej inteligencji – oznajmił, świszcząc i rzeżąc, owiewając twarz Kwaśniaka zapachem zepsutego mięsa. – Znam cię nie od dziś! Gdyby nie gołębie serce pana Bogdana i gdyby to zależało tylko ode mnie, byłbyś dziś mokrą plamą, którą zeszkrobywaliby z metalowych szyn! Myślisz, że pan Wędzicha to jakiś psi chuj, co będzie zawierał życie, bezpieczeństwo rodziny i majątek słowem takiego jak ty? Pan Wędzicha wyprowadził z kraju cały majątek i stracił na tym kupę pieniędzy! A to dlatego, że nie potrafiłeś załatwić do końca powierzanej ci prostej sprawy!

– Przecież kontrolowałem sytuację. – Mimo piwnicznego chłodu Kwaśniak poczuł na czole krople potu. – Ludzie, którzy trzymają kalekę, niczego nie wyjawia, bo mam na nich...

Krótki cios wymierzony otwartą dłonią spadł na niego tak niespodziewanie, tak błyskawicznie, że Kwaśniak nie wiedział, co się stało. Opadł na krzesło, w ustach czuł słodkawe ciepło, wytarł twarz rękawem. Widok jaskrawej krwi przeraził go, zemdlił. Popatrzył na Rycembela ze zdumieniem.

Tamten nadal się nad nim pochylał, grając płucami niczym zardzewiała orkiestra dęta.

– Ja naprawdę... – zaczął łamiącym się wysokim, prawie kobiecym głosem Kwaśniak, ale Rycembel znów się zamierzył, tym razem pięścią, jakby chciał go uderzyć mocniej. Kwaśniak skulił się, z gardła wyrwał mu się żalony szloch.

– Dziewczynka! Mała dziewczynka beczy! – Młody roześmiał się i wygodniej umościł na krześle, dolewając sobie gorzałki, jakby podniecony widowiskiem.

W oczekiwaniu na cios Kwaśniak naprężył wszystkie mięśnie, lecz do uderzenia nie doszło. Zamiast tego ujrzał bezwłosą kościstą dłoń, podsuwającą mu pod nos paczkę papierosów. Wziął jednego, Rycembel mu przypalił. Zaciągnął się, lecz pozostał czujny, niespokojnie obserwował stojącego nad nim Rycembela niczym kura bacząca, by uniknąć ścięcia łba.

– Wyprzedając swoje firmy w pośpiechu, pan Wędzicha stracił mnóstwo pieniędzy – kontynuował Rycembel, swoją bliskością utrzymując Kwaśniaka w stanie skrajnego napięcia nerwów. – Tę stratę ty zrekompensujesz. – Na chwilę przerwał, mocno odkaszlnął, potem wyjął z kieszeni marynarki inhalator, zaciągnął

się łapczywie. – Jesteś zakotwiczony w PN-ie – ciągnął. – Przyjaźnisz się tam z jedną panią. Wiem, że ona jest w dobrej komitywie z samym ministrem spraw wewnętrznych, mam rację?

Kwaśniak pomału skinął głową, ale jednocześnie przeszedł go zimny dreszcz.

– Ostatnio sektor budowlany pracuje pełną parą, nowe odcinki autostrad rosą jak grzyby po deszczu. Niedługo będą rozstrzygane kolejne wielomilionowe kontrakty rządowe. Jak wiesz, pan Wędzicha ma głowę na karku. Niedawno założył nową spółkę *offshore* 'owa^[2], Solarius się teraz nazywa. I żeby pan Bogdan wyszedł na swoje, spółka musi wygrać przetarg na budowę A osiem, nie inny, bo inne są już obstawione. Ty tego dopilnujesz.

W co oni chcieli go wrobić, na Boga?

– Przeceniacie chyba moje możliwości. Nie jestem cudotwórcą. – Kwaśniak był bliski płaczu.

– Pomożemy ci na rozbiegu, damy instrumenty do działania. – Rycembel, patrząc beznamiętnie na Kwaśniaka, przypominał żywego trupa. – Obecnym ministrem infrastruktury, któremu podlega Generalna Dyrekcja Dróg Krajowych i Autostrad, jest Szczepan Sobiepanek. Tak się składa, że znamy ubeka, który prowadził tegoż Sobiepanka od siedemdziesiątego dziewiątego do osiemdziesiątego szóstego. Ten ubek ma na ministra całą kartotekę, trzy grube pliki akt. Szacowny Sobiepanek, polityk PN-u, zadeklarowany patriota, katolik i przykładowy ojciec licznej gromadki był normalnym TW. W dodatku kawał wrednego skurwiela z niego był. Pisał donosy nawet na rodzzonego brata.

– Co mi to pomoże?

To pytanie najwyraźniej ubawiło Rycembela – głośno się roześmiał. Technienie z jego trzewi znów zalało cuchnącą falą nozdrza Kwaśniaka.

– Ano, taki z ciebie orzeł, bóg wojny, czy jak cię tam zwa, a dwa do dwóch nie umiesz dodać? Sobiepanek jest czło-wiekiem Steca, to Stec wciągnął go do rządu. Kim jest Stec, chyba wiesz?

Kwaśniak wiedział. Stec był zagorzałym wrogiem prezesa. Wewnątrz opozycją PN-u.

– Stec ma wielkie ambicje. Tylko czeka, by przejąć w partii władzę. Kaźmierczak go nie cierpi, to też raczej wiesz.

Kwaśniak z namysłem skinął głową.

– Kaźmierczak najchętniej tętnice by Stecowi poprzegryzał. Jak dostarczysz mu taki materiał na Sobiepanka, będzie cię po dupie całował, bo to woda na jego młyn. Rozumiesz?

Kwaśniak zaczął pojmować.

– Zażadasz w zamian, by to ciebie zrobił ministrem. Oczywiście, najpierw to z nim ustalisz, a dopiero potem wręczysz mu te akta. Chyba nie muszę ci tego

tłumaczyć? To papiery na wagę złota.

Kwaśniak znów kiwnął głową.

Do tej pory Kaźmierczak wzbudzał w nim zabobonny lęk, a ten tutaj Rycembel z taką swadą rozprawiał o paktowaniu z nim, jakby nie brał pod uwagę, że znany z nieposzlakowanej opinii, ponoć nieprzekupny Kaźmierczak może się po prostu nie zgodzić na handel stołkami.

A jednak Rycembel musiał wiedzieć, co mówi...

Nagle Kwaśniak zrozumiał, że ich plan ma szansę powodzenia, zapewne siedzieli w tym wszystkim głębiej, wiedzieli więcej niż on. Pomyślał o meandrach ścieżek wiodących do wielkiej polityki. Pewnie od czasów zamierchłych, kiedy to władzę zdobywało się gwałtem, do dziś nic się nie zmieniło. Wywierający naciski lokalni biznesmeni rekrutowali się zapewne ze struktur mafijnych. Czyżby to możliwe, żeby w zamian za te akta został ministrem?

W jakie nowe sidła się dostał, tak nieopatrnie, tak nieostrzeżenie? W jakiej cholernej matni siedzi? I to tylko dlatego, że niegdyś przyobiegał szemranemu człowiekowi pośredniczyć w sprzedaży spółki. Zawarł pakt z diabłem czy jak? Czy z tego nie ma wyjścia? Miał być teraz pionkiem w Bóg wie jakich machlojach, z których nic sam dobrego nie zaczerpnie jako cholerna marionetka? Perspektywa tego, w co chcieli go wpakować, spowodowała, że zaczęło mu brakować powietrza.

– A jak już siądziesz na stołek, sam wybierasz ludzi do współpracy, sam za to odpowiadasz. My nie chcemy nic więcej wiedzieć. Już trochę w tym tkwisz, orientujesz się, jak to działa. Obsadzisz na stanowisku szefa Gdaki kogoś zaufanego i przyobiecasz mu konkretną kwotę: milion zielonych. Ale w tym będą już koszty, które on poniesie, ludzie, którym będzie musiał posmarować. Ile z tego wynegocjujesz dla siebie, to twoja rzecz. Za pomyślne załatwienie tej sprawy jeszcze lepiej się obłowisz, dostaniesz półtora. Z naszej strony to by było na tyle. Dokumenty ubeckie na Sobiepanka przywieziemy wam do Pabianic. Któregoś wieczoru wpadniemy do twojego staruszka z wizytą, niech więc będzie czujny i niech nie rygluje bramy na noc. Nie chcemy sterczeć na drodze i zwracać na siebie uwagi. Zrozumiałeś?

Kwaśniak machinalnie skinął głową.

– Dokumenty natychmiast schowa do piwnicy, w sejf. Jak mu je świsną, osobiście mu łeb odrąbię. Potem ma przekazać je tobie, ale dyskretnie. Pieniądze dla tego człowieka i dla ciebie zostaną ci przesłane na nowe konto, którego numer masz tutaj i do którego jesteś upoważniony. Ty i twój człowiek możecie liczyć na przelew dopiero wtedy, gdy na stronie internetowej pojawi się pozytywna decyzja dla Solariusza.

Kwaśniak milczał, był w stanie tylko potakująco kiwać głową. Serce trzepotało mu szybko i nierówno, w ustach czuł przykry posmak żelaza.

– I powiem ci coś jeszcze. Pan Wędzicha rozpląnął się jak duch w kosmosie.

Nie znajdują go, zmienił tożsamość i buja na hamaku na ciepłej plaży. Za to ty jesteś jak na widelcu. Niech ci do głowy nie przyjdzie kolejna głupota – mówiąc to, Rycembel zgasił papierosa obcasem, wstał, minął Kwaśniaka i wyszedł z kotłowni. Jego kroki zaczęły się oddalać, miękko chrzęszcząc i mlaszcząc, jakby wspinał się po stopniach zawilgoconej betonowej klatki schodowej.

Najwyraźniej to było wszystko, co miał mu do powie-dzenia.

Kwaśniakowi zaschło w gardle, chciał tamtego wołać, wyjaśniać, jeszcze raz w to wniknąć, by uświadomić Rycembelowi, że to, na co go skazali, było niewykonalne, niemożliwe do przeprowadzenia, ale odgłosy kroków umilkły, gdzieś wyżej zamknęły się drzwi.

Kwaśniak chciał wykręcić głowę, by zobaczyć, którądy tamten odszedł, ale ból żeber uniemożliwiał mu skręt ciała. Zaczął sobie wyrzucać, że był za mało przekonujący, iż powinien był powiedzieć mu to czy tamto, jednak myśli były nieskładne, przypominały sieczkę chlupoczącą w czarnym korycie.

Godzinę później tę samą drogę po schodach do góry, którą wcześniej pokonywał Rycembel, odbył Kwaśniak w znajomym jutowym worze na głowie. Już był spokojny. Potem, wciąż w worze na głowie, wieźli go gdzieś gdzieś samochodem. W czasie jazdy nie odezwali się do niego ani słowem. Po mniej więcej półgodzinie auto zatrzymało się, ktoś wyciągnął go na zewnątrz i pchnął na ziemię. Upadł i leżał bez ruchu. Słyszał, jak zapuścili silnik i odjechali.

Poruszył się ostrożnie, powoli usiadł, pomacał ręką głowę, chwycił za jutę. Gdy zerwał wór, ujrzał, że znajduje się na skraju jakiegoś pola, przy wiejskiej drodze. Świtało, mżyło, było piekielnie zimno. Wstał i ruszył przed siebie wzdłuż tej drogi, szedł bezmyślnie, nie czując już nawet, jak ręce grabieją mu z zimna. Nie wiedział, ile czasu minęło, zanim doznał do szosy. Skręcił i szedł wzdłuż niej poboczem. Mijały go samochody, ale nikt się nie zatrzymał. Dopiero gdy niechcący zatoczył się na jezdnię, ktoś zahamował z piskiem opon i auto stanęło na poboczu. Wskoczył z niego mężczyzna i leciał do Kwaśniaka, jakby chciał go skłąć, ale na widok jego twarzy zatrzymał się przerażony, po czym zawołał coś do wyglądającej przez opuszczone okno kobiety, i tamta wyciągnęła komórkę, gdzieś zadzwoniła.

Redaktorowa Gembarska

Zegar wskazywał za kwadrans ósmą, kiedy Mateusz Wencel otworzył drzwi, by wpuścić do środka kolegów z pracy. Chcieli rzucić okiem na świeżo wyremontowane tymczasowe lokum, skromne sto czterdzieści metrów, wychodzące większością weneckich okien na plac Narutowicza. Owo imponujących rozmiarów mieszkanie cechowało surowe w formie, jednak ewidentnie kosztowne wykończenie oraz zupełny brak pragmatyzmu. W tak dużym metrażu mieścił się jedynie salon z wielkim wiktoriańskim kominkiem oraz pojedyncza sypialnia, natomiast garderoba wyposażona w aż dwa rozległe okna, balkon i antresolę, przypominała raczej atelier zniewieściałego stylisty lub projektanta mody.

Oświetlona kryształowym żyrandolem, wykończona egzotycznym czarnym dębem garderoba umiejscowiona była centralnie niczym serce domu między głównym hallem a sypialnią, więc od wejścia przez rozsuwaną szklaną ścianę można było podziwiać imponującą kolekcję garniturów Mateusza. Wrażenie, jakie zbiory te wywoływały na gościach, nieprędko się zacierало, a widok rozmieszczonych kolorystycznie marynarek, koszul, krawatów, spinek, pasków, zegarków i butów na długo zapadał w pamięć.

Była w tym niesmaczna ostentacja, antymieszczkański manifest, którego przyczyn znajomi nie mogli rozszyfrować. Epatowanie metroseksualizmem w dobie kryzysu było niepotrzebną nonszalancją, może nawet arogancją. Mati miał w sobie coś ze współczesnego dandysa, bywał w tym nawet zabawny, ale teraz... W zaistniałej sytuacji osobistej... zakrawało to na jakąś chorobę.

Po oględzinach mieszkania trzech mężczyzn, z których jeden był szefem, a dwaj jego podwładnymi, czego jednak nie dało się wywnioskować po pobieżnej obserwacji zachowania tej pozornie sztubacko żartującej trójki, mieli jechać razem do znajomego na tradycyjną warszawską domówkę.

Mateusz, nie licząc wyjazdów służbowych, do tej pory nie bratał się w czasie wolnym od pracy ze swoimi pracownikami. On i Karolina mieli zupełnie inne grono stałych znajomych, z którymi spotykali się w soboty i niedziele. W sytuacji, w której się obecnie znalazł, wszelkie dotychczasowe relacje towarzyskie uległy kompletnej wolcie. Znajomi podzielili się na sojuszników i wrogów. Niestety, tych pierwszych było mniej, zwłaszcza jeśli chodziło o pary małżeńskie. Te, na podobieństwo stada krów grupującego się i pokazującego rogi na widok zakradającego się wilka, z zasady odrzucały jednostki samotne, traktując je jak niebezpieczne czy trędowate. Rzeczywistość wokół Mateusza zmieniła się jak piętrowa scena w Teatrze Wielkim. Wciśnięto guzik, wesoła, pełna sympatycznych ludzi i przytulnych rekwizytów scena odjechała w dół, a gdy światło znów się zapaliło, tło było czarną (choć niepozbawioną swoistej elegancji!) pustką, a na

środku stał on, rozglądając się dokoła z autentycznym zdumieniem.

Wprawdzie dwóch najstarszych i najlepszych przyjaciół Matiego, jeden jeszcze z Reytana i drugi z Wydziału Marketingu na Uniwersytecie Warszawskim, stanęło za nim murem. Mati nie był człowiekiem, który miałby tylko fałszywych, fasadowych znajomych, co to, to nie. Obaj mieli jednak pracę, rodziny, dzieci, byli więc z natury rzeczy pochłonięci nadmiarem obowiązków, jaki zazwyczaj cechuje zdrowych na ciele i umyśle mężczyzn w sile wieku. Nie mogli w nieskończoność wysiadywać z Matim w klubach przy alkoholu i z wyrozumiałością wysłuchiwać kolejnych posunięć względem Karoliny, zwłaszcza że zwierzenia stale przerywało zagadywanie do dziewcząt, które zarówno Michałowi, jak i Marcinowi zdawały się prawie nieletnie.

Torturą dla Matiego były z kolei zaproszenia wystosowywane przez żonatyh przyjaciół. Przychodzili tam sami

nudziarze i jego abstrakcyjne dowcipy nie znajdowały poklasku. Wytracony z roli bawidamka żonatego, stał się bawidamkiem samotnym, więc niebezpiecznym, niepożądanym w salonach, gdzie jego groteskowe poczucie humoru nabierało szaleńczego charakteru, zwłaszcza gdy wypijał o parę szklaneczek za dużo.

Nic więc dziwnego, że tego lata w naturalny sposób zwrócił się do kumpli z pracy. Po pierwsze, znali się jak łyse konie, albowiem nic nie łączyło tak jak wspólna orka w korporacji, a po drugie, obaj znaleźli się w podobnej sytuacji.

Benek był singlem, ale w tym akurat nie było nic specjalnego, jako że był o dziesięć lat młodszy – miał zaledwie dwadzieścia siedem lat. Misiek z kolei, któremu jakiś czas temu, jeszcze zanim u Matich się zaważyło, w domu zaczęło się psuć, poznał pewną czarującą Monikę, dzięki której, jak żarliwie twierdził, znów zaczął się uśmiechać. Czy może było to w odwrotnej kolejności? W każdym razie Misiek też był na rozstaju dróg, na bakier z ogólnie obowiązującą moralnością, co czyniło go pożądanym kompanem dla Mateusza.

Obaj koledzy towarzyszyli mu w wypadach na miasto, ale ciężko im było dotrzymać mu kroku. Mati zachowywał się jak alkoholik, któremu wypruto esperal. Z każdego od-wiedzanego klubu wychodził w towarzystwie i trzeba było przyznać, że nie był wybredny. Niemal każda przyzwoicie prezentująca się warszawianka, przyjezdna czy osiadła w stolicy od pokoleń, mogła znaleźć się chwilowo w centrum jego kapryśnego zainteresowania. Zdawałoby się, że Mati hołdował w ten sposób różnorodności – każdy wieczór był osobnym aktem dziękczynienia. Jak oszalały wampir uganiał się po mieście do późnych godzin nocnych i nigdy nie wracał do domu z pustymi rękami.

Stan ten nie wróżył dobrze i koledzy zaczęli się o niego martwić. Sytuacja zaczęła się dodatkowo komplikować, gdy związek Misia i Moniki pomału przybierał bardziej konkretne kształty. Wszystko zmierzało ku definitywnemu wyjaśnieniu, ponieważ Monika coraz gwałtowniej domagała się legalizacji

swojego niechlubnego statusu, więc Misiek na serio zaczął rozpatrywać definitywne odejście od żony. Nocne rajdy z szefem, które do tej pory były dogodnym alibi dla jego podwójnego życia, pomалу przestawały być potrzebne, bo sytuacja wymagała radykalnego cięcia.

Jako dobry kolega, Misiek chciał Matiego widzieć w stabilniejszym stanie emocjonalnym. W październikowy wieczór on i Benek rozsiedli się na przepastnych kanapach w apartamencie Mateusza i dyskretnie rozglądali wokoło.

– Czego się napijecie? – zawołał od kuchni Mati, który zdawał się być w szampańskim nastroju, co zważywszy na okoliczności, wydało się kolegom co najmniej podejrzane.

– Daj whisky.

– Z colą?

– Bez.

Mati wprawnie podzwaniał szczypcami do lodu i po chwili ustawił na stoliku do kawy trzy szklaneczki z whisky. Sam również rozsiadł się wygodnie na kanapie. Wszyscy milczeli. Za oknami deszcz lał na kościół Świętego Jakuba, światła odbijały się w mokrym asfalcie. Plac Narutowicza, widziany z ciepłego zasobnego wnętrza jak na dłoni przez pięć weneckich okien, jawił się bajkowo w tej nostalgicznej jesiennej scenerii.

– Niezły widok.

– Uhm.

– A niech go szlag, Benjamin – usiłował podkpiwać Miś. – Żałujemy go, a on... Cholera, Mateusz, umiesz się ustawić do wiatru. Ty nigdy nie zginiesz.

Wstał z kanapy i z przesadnie demonstrowaną zadumą obchodził salon, po którym śmiało można by jeździć na rowerze. Przy kominku zatrzymał się na moment, z półki podniósł ceramiczną figurkę, którą odwrócił do góry nogami, zagwizdał przeciągle i zawołał, komicznie modulując głos:

– Villeroy i Boch, fiu, fiu, fiu.

Mati wciąż milczał, więc Miś kontynuował oględziny, podnosząc z udawanym wysiłkiem co cięższe ceramiczne elementy dekoracyjne, jakby szukał nalepionych u spodu cen. W końcu lekko odchylił dziwaczny obraz, jakby szukał nazwiska autora, i w końcu z kamienną miną rzucił przez ramię:

– Żmurko?

Mati wybuchnął śmiechem. Przystojna młoda twarz Beniamina wyrażała ironiczne zdystansowanie.

– Oj, młody jesteś – zaatakował go Miś, który zdążył wrócić na miejsce i poklepał go protekcyjnie po plecach.

– To nie miał być komplement, dobrze zgaduję?

– Zatrudniłeś ignoranta, który nie zna klasyki polskiej kinematografii, w dziale poniekąd związanym z kulturą? – Rozparty na poduchach kanapy, Miś

z wyrzutem w oczach skierował to pytanie do Mateusza.

– Z kulturą? Nie schlebiaj sobie.

– Przez te cytaty pływacie jak na kotwicy, panowie. – Benek zagrzechotał niesionym do ust drinkiem. – Wszystko odnosicie do Peerelu i jego twórczości. Nie rozumiecie współczesnego świata.

– To wy nie rozumiecie świata – zaproponował Miś. – Nie macie punktu odniesienia. Nieświadomi zagrożeń, nie widzicie na dwa kroki przed nosem. Obserwując wasze pokolenie, cieszę się, że już nie jestem młody.

– Nie dokuczaj mu, bo nam go spłoszysz – podjął lekkim tonem Mati. – Doskonale wabi dziewczęta, a potem gdy one odkrywają, że nie ma nic do powiedzenia, zwracają się do nas, starych satyrów.

– Dość, proszę – odezwał się Benek tonem molestowanej panny.

Zapadło milczenie. Każdy z nich myślał o dwóch pozostałych i sądząc z wyrazu twarzy, niezbyt przyjacielsko.

– No, panowie, czas na nas! – wykrzyknął nagle Miś, wychylając drinka i zrywając się na równe nogi – Moja pani nie lubi czekać.

– Czyli mamy po nią jechać?

– Nie, ona i jej przyjaciółka jadą prosto na miejsce, ale żadna z nich nie zna gospodarzy, więc elegancko będzie być tam przed nimi!

Młody ochoczo się podniósł, jakby miał dość atmosfery kumpelskiej zażyłości, ale Mati się ociągał. Widząc to wahanie, Miś dodał:

– Mówiłem ci, że nie będzie to typowa impreza sztywniaków, skostniałych parok małżeńskich.

– Dokładnie – wtrącił Beniamin, przeciągając dłonią przez włosy i szukając oczami lustro.

Zobaczył je koło wejścia i już tam zmierzał, poprawiał kołnierzyk, mając przy tym minę tak surową, jakby chciał sprawiać wrażenie, że zajęty jest dużo ważniejszymi sprawami, a o aparycję troszczy się tylko przez wzgląd na innych. Mati, bystry obserwator takich smaczków, którymi raczył się tylko w samotności i nie zwykł dzielić z nikim, co dawało mu poczucie pewnej wyższości nad innymi, omal się nie roześmiał.

– Będzie dużo samotnych wolnych kobitek, tyle że mądrych! U Gembarskich zbiera się elita intelektualna – kontynuował Miś, dyskretnie wodząc wzrokiem po ścianie z surowej cegły, obwieszanej czarno-białymi zdjęciami.

– Tym gorzej!

Zrównali się ze sobą przy drzwiach i stali, obserwując się wzajemnie. Wyglądało to tak, jakby szacowali ceny garderoby oraz potencjalne możliwości zarobkowania, choć na twarzach mieli porozumiewawcze uśmiešky.

– Mati, jesteś przeczulony po swoich traumatycznych doświadczeniach, ale spotkanie się z nieletnimi nie jest rozwiązaniem – orzekł Miś.

Wraz z Benkiem prowadził pod rękę Matiego, zupełnie jakby ten był niepoczytalny, gotowy w każdej chwili rzucić się do ucieczki.

– Musisz otworzyć się na świat – ciągnął Miś. – Będą tam kulturalni ludzie: artyści, pisarze, dziennikarze. Zabawisz się. Gembarscy są kapitalni, znamy się jak łyse konie, przyjaźnię się z nimi od czasów liceum. Genialne małżeństwo świetnie dobranych nietuzinkowych indywidualistów. On – poważany redaktor, ona – temperamentna redaktorka w kanale muzycznym. Prowadzą otwarty dom, skupiają wokół siebie nieszablonowe towarzystwo. Poza tym moja Monika przyprowadza dla ciebie przyjaciółkę, dziewczynę z klasą.

– O, nie. Żadnych trzydziestek dybiących na faceta, tego mam dość.

– Stary, mówisz tak, bo przechodzisz piekło, a ja cię zapewniam, że słońce znów zaświeci dla Mateusza Wencla.

– Dokładnie – wmieszał się Benek. – Pamiętaj o moim kuzynie, tym, co się rozwiódł. Najpierw było na noże, a teraz jeżdżą sobie z dziećmi, a nawet nowymi partnerami razem na wakacje jako barwna nowoczesna rodzina patchworkowa.

– Właśnie – Miś krótko uciął tę nazbyt już idylliczną wersję Benka.

We trzech ruszyli na spotkanie tego, co wieczór miał im przynieść.

Okazało się, że mieszkanie „świetnie dobranych nietuzinkowych indywidualistów” znajdowało się na osiedlu Za Żelazną Bramą.

Na miłość boską. Ten Gembarski miał być poważanym redaktorem. Tymczasem, zanim Mati zdążył zaprotestować, już wchodzili do ponurego hallu wielkiego bocznydła. Przy gablocie z ogłoszeniami osiedlowymi, pamiętajacej świetność Peerelu, stał pijak gmerający sobie koło rozporka, dalej, za wejściem do windy, w pobliżu zamkniętego okienka kiosku z prasą, okratowanego jak Alcatraz, chwiał się drugi pijak.

– Dobry wieczór szanownemu panu – rzucił mu na wszelki wypadek Miś, widząc, jak mierzy ich zaczepnym mętym wzrokiem.

Próba oswojenia pijaka przyniosła skutek odwrotny od spodziewanego, bo najpierw bełkotał złowrogo pod nosem, a potem obrzucił ich stekiem wyzwisk.

– Milutka okolica, idealna sceneria dla cyganerii artystycznej – zauważył Mati, gdy wjeżdżali rozklekotaną windą, wykończoną powygryzaną miejscami okładziną drewno-podobną. Uważał, żeby nie dotknąć płaszczem do ścianki windy, gdy w milczeniu czytał wyryte napisy. „Boś osrany” – głosił największy, na wysokości jego oczu.

Pocziwy i lojalny Miś ostatnio był mu jedynym wsparciem, ale za grosz nie rozumiał pewnych niuansów. Mati cenił bohemę artystyczną, lecz w odpowiedniej oprawie. Kiedy usłyszał, że Gembarscy to współczesna cyganeria, oczami wyobraźni ujrzał zgoła inny obrazek. Mogli uważać go za małostkowego, ale cóż, własnej natury nie da się zmienić.

Wysiedli z windy i stanęli naprzeciwko drzwi obitych sklejką.

– Chyba niezła impreza. Nie słyszą dzwonka – zachwalał półgębkiem Miś.

Mati potaknął z komiczną werwą, jedynie Benek stał sztywno, jakby kij połknął, nie mając pojęcia, czego może się spodziewać. Od kiedy przyszedł na świat w podwarszawskich Łomiankach jako jedyne dziecko prężnego producenta bram na piloty, nie mógł sobie przypomnieć, by przebywał w takim wnętrzu. Nie chodziło o to, że się tego wystrzeżał, po prostu nie miał ku temu okazji. Raz na lotnisku kupił Kuczoka, potem razem z kumplem z liceum jeździli na Jelonki po używany snowboard. Tam, w domu z czerwonej cegły, zetknął się z podobnymi klimatami, ale nie był kolekcjonerem wrażeń na tyle, by dłużej się nad tym zastanawiać.

W końcu drzwi otworzył nieogolony wysoki mężczyzna, noszący okulary w pomarańczowej oprawie. Miał około czterdziestki, ale skrętnie ukrywał swój wiek pod młodzieżowym przebraniem.

Bluza z kapturem i tęczową pacyfą, czapka z enigmatycznym napisem COMME des FUCKDOWN, legginsy rowerowe, między palcami jednej dłoni dymiący papieros, w drugiej – piwo Żywiec.

Po krótkiej prezentacji okazało się, że Mati ma przed sobą owego osławionego redaktora – z wykształcenia teatrologa, mecenasa podziemnych artystów i pisarzy, przyjaciela Misia z Władysława IV, człowieka niebanalnego i zacieklego wroga wyrobników z korporacji. Kwestia ta wypłynęła niemal natychmiast, gdy redaktor dojrzał na Matim strój wieczorowy. Już sama marynarka byłaby powodem do drwin, a garnitur wręcz go rozpałił.

Wymuskany lalusz z ufryzowanym włosiem i w pełnej gali był idealnym tematem do kpin, Gembarski aż poczerwieniał z podekscytowania. Łakomy to kąsek, obiecujący materiał na komiczną postać do nowej powieści. Z własnego wyboru rzadko miał okazję obcować z podobnymi typami – płytkimi, powierzchownymi kabotynami. Wiedział, że palant jest szefem jego kumpla Miśka, i nie wyglądał na zbyt bystrego, co czyniło go gwoździem programu na dzisiejszy wieczór. Wreszcie będzie się z kogo ponabijać. Jak rekin węszący krew zaczął osaczać przykuwającego wzrok gościa, z trudem tylko powstrzymując się od chwycenia za no-tatnik.

Mati zdjął płaszcz, przełożył go przez ramię i w milczeniu słuchał powitalnych pogawędek starych przyjaciół, sam trzymając się nieco na uboczu.

– Rzućcie kapoty na tę stertę! – zachęcił familiarnie Gembarski, otwierając drzwi do sypialni i przy okazji sypiąc popiołem z papierosa po podłodze.

Miś bohatercko poszedł za jego radą, kładąc ostrożnie swoje najlepsze wierzchnie odzienie na stos kurtek, plecaków i czapek, osuwający się z podwójnego łóżka, będącego zapewne małżeńskim łóżem Gembarskich. Benek chwilę się wahał, by w końcu umieścić swojego hugo bossa centralnie na

wierzchołku pałt. Mati bystrym wzrokiem powiódł po korytarzu, poszukując szafy. Znalazł, szybko ulokował tam płaszcz. Zwrócił uwagę na bazgroły widoczne na ścianach wąskiego przedpokoju.

– Macie dzieci – stwierdził, wskazując głową na rysunki i machinalnie odwzajemniając nienaturalnie mocny powitalny uścisk dłoni Gembarskiego.

– No, a jak inaczej?

Mati postanowił zignorować ewidentnie wojowniczą nutę w głosie tego, zdawałoby się, pacyfistycznie i niekonwencjonalnie nastawionego do życia oryginała, choć miał ochotę wziąć nogi za pas. Nie lubił starć na tle światopoglądowym, uważał je za bezbrzeżnie nudne, jałowe, patetyczne, wydumane. Stronił od nich, dopóki pozwalała na to przyzwoitość. Zgodnie ze swoim *modus operandi* skomplementował malowidła najkrócej, jak potrafił, ale napastliwy luzak atakował dalej.

– Pozwalamy młodej malować na ścianach, bo nie chcemy wtłoczyć jej w stereotypowe myślenie. Pieprzyć konwenanse.

Mati znów skinął głową w sposób najbardziej neutralny i nic nieznaczący w takim stopniu, na jaki mógł się zdobyć.

– Konwenanse bywają zgubne – rzucił na odczepnego, bo oczy redaktora wpijały się w niego natarczywie, najwyraźniej oczekiwał jakiejś reakcji.

– Ludzie często się pytają, czemu pozwalamy jej niszczyć ściany – nie dawał za wygraną Gembarski. – A ja na to: świat nie musi wyglądać tak, jak przekazali nam nasi starzy. Trochę tolerancji!

– To dla ciebie. – Nie dał się sprowokować Mati, wciskając Gembarskiemu do ręki butelkę Moët et Chandon.

Gembarski zachnął się, uśmiechnął ironicznie, obracając butelkę w palcach, zamyślił na sekundę i już chciał coś powiedzieć, być może powrócić do tematu, ale Mati temu zapobiegł, pytając:

– Gdzie kuchnia? Napiłbym się drinka

Gembarski, ewidentnie zniecierpliwiony, jakby palił się do podjęcia dyskusji na nowo, pospiesznie skierował go do małej i potwornie zagraconej kuchni.

– Jak mówiłem, pieprzyć konwenanse, uciekać od tego jak najdalej, nie sądzisz? Na co masz ochotę? Wódeczki?

– Wolałbym whisky z lodem.

– Eee, poczekaj, mam coś lepszego. Doskonały likier domowej roboty, może skosztujesz?

W tej pozornie niewinnej propozycji czaił się ledwo uchwytny haczyk. A więc gospodarz nie dawał za wygraną w tej podskórnej wymianie sprzecznych najwyraźniej światopoglądów.

– Nie gustuję w nalewkach. Lej whisky.

Jak pociesznie musiał wyglądać w czarnym garniturze i grubym złotawym

krawacie w scenerii ciemnej kuchni, zawalonej brudnymi garami, popielniczkami pełnymi petów, butlami domowego wina i oddzielonej od pokoju odsuwaną szybą, przywodzącą na myśl okienko bufetowe.

W kuchni przycichło, kilku innych, dziwnie podobnych do redaktora morusów przyglądało się scenie, tłumiąc złośliwe uśmiechy.

– Tak konwencjonalnie? – Gembarski napawał się swoją przewagą, uśmiechając prowokacyjnie, zaczepnie. – Daj się skusić na moją pigwówkę, sam wypalałem.

Struna została napięta do granic możliwości.

Mati również się uśmiechał. Znał ten typ człowieka – szyderczy wobec posiadania i własności, w jakiś sposób peerelowski, zawistny i podły. Tacy ludzie przyczajali się na rozmaitych ciepłych posadkach, najchętniej na kilku naraz, robiąc wokół tak zwanej szeroko pojętej kultury.

Kurwa, zdemaskuję im zaraz tę ich jebaną kulturę, choćby miało mnie to kosztować, przysięgał sobie w głębi duszy, jednocześnie besztając się za tak idiotyczną małostkowość. Ileż to razy obiecywał sobie nie dawać się wciągać w podobne gierki i niepotrzebnie tracić przy tym część swojego pilnie pielęgowanego dystansu. Ale jak tu nie ulec, kiedy podobne miernoty oceniają go, dyskredytują, ośmieszają!

– Nie znoszę dwóch rzeczy: nalewek domowej produkcji i biwaku – zadeklarował głośno, a potem rozbijając się do obserwujących scenkę gości. Dopiero się rozkręcał.

– To można by cię nazwać, wybaczyć, że odkurzę stare określenie, klasycznym bananem?

– Ha, ha, kocham, jak Gemba wywali kawę na ławę – odezwał się ze śmiechem brodaty otyły mężczyzna z długimi włosami, w rozwleczonych bojówkach, rolujący na blacie pokrytego okruchami chleba stołu jakiegoś podejrzanego papieroska. Mówiąc to, nawet nie podniósł oczu, dając do zrozumienia, że jest odprężony, ale rejestruje wszystkie bodźce dochodzące z otoczenia.

– Jeśli już mamy trywializować, to bardziej adekwatnym byłoby nazwanie mnie japiszonem. Banan zawdzięczał swoje apanaże rodzicielom, o ile dobrze pamiętam czasy liceum.

– Podczas gdy ty wykułeś swój korporacyjny los we krwi, pocie i łzach bez czyjegokolwiek wsparcia?

– A tak. Jem, piję i baluję za swoje – odparł Mateusz. – Od kiedy wszedłem, kwestia korporacyjnego wyrobnictwa wypływa drugi raz w ciągu piętnastu minut – zauważył. – Najwyraźniej męczy was to bardziej niż mnie, ofiarę tego opresyjnego systemu.

– Cóż... – Gembarski lekko się zadumał, najwyraźniej cios był celny. Polał

Mateuszowi whisky, sobie i długowłosemu czystej. – Nie ukrywam, że jest coś upodlającego w systemie współczesnego niewolnictwa, w tych mieszkankach na kredyt, leasingowanych brykach, tych, kurwa, związkach bez miłości, gdzie sfrustrowane parki skaczą sobie do oczu, bo nie stać ich na spłatę następnej raty, ale przed znajomymi udają krezusów. Masz rację, mam z tym problem, mierzi mnie ich los, brzydzą mnie, oj, wstydzę się za nich.

Stuknęli się z długowłosym wielkimi kieliszkami i wypili ich zawartość do dna.

– Gembę rusza ten temat, bo właśnie pisze następną powieść obyczajową – rozległ się kobiecy głos.

Mati szybko obrócił się na pięcie. Wsparta o lodówkę, stała piegowata wysoka, utleniona na platynowo blondynka. Miała na sobie skórzaną kurtkę, uczesana była w kucyki. Rockmanka. Zdecydowanie nie jego typ.

– Ach, tak? Gemba pisze powieść? – Mati uśmiechnął się do niej. Odwzajemniła uśmiech.

Zauważył, że ma śliczne usta i bardzo białe zęby. Jej ręka jakby mimowolnie powędrowała do dekoltu, by poprawić wysuwające się spod skórzanej kurtki ramiączko stanika.

Nadęty kutas pisał powieść. Może nawet o takich jak on, Mati. Pyszne! Cholerny frustrat zamierzał go wyszydzać? Teraz on pokaże mu, gdzie jego miejsce. W duchu ostrzył swój niezawodny oręż, którym władał w sposób niedościgniony. A jednak zabawi się na tej imprezie, choć wcześniej spisał ją na straty.

Odwrócił się tak, by rockowa blondyna też brała udział w konwersacji. Sądząc po wściekłym wzroku Gembarskiego, ewidentnie niezadowolonego, że wypłynęła wiadomość o pisaniu powieści, Mati zrozumiał, że ma przed sobą panią Gembarską. Przyglądał jej się dyskretnie, tak by zdawała sobie z tego sprawę, ale nie dawał się na tym przyłapać. Gdy spoglądała na niego, natychmiast umykał wzrokiem. Ach, to doprawdy bardzo zabawne znów być w tych butach. Nic nie dawało mu podobnej adrenaliny jak poczucie, że kobieta łapie się w jego sidła. Zanęcał, zarzucał wędkę, a resztę robiły same.

Teraz miał dodatkową frajdę, bo tuż obok stał rozjuszony mąż, a dyskusja toczyła się na temat najwyraźniej dla niego trudny. Balansowanie nad przepaścią było tym, co Mati lubił najbardziej.

– To ma być obrazoburcze przedstawienie Polaka antybohatera, przełamujące wszelkie stereotypy – podjęła blondynka śmieiej, najwyraźniej intensywność spojrzenia Matiego dodała jej animumuszu.

Wymienili kolejne uśmiechy, teraz i w jej oczach pojawił się porozumiewaczy błysk.

– Daj spokój, Gocha, jego nie interesuje proza, całe dni spędza w korporacji

– ofuknął ją Gembarski. Stał się czujny i niespokojny, jakby znalazł się na grząskim terenie.

– Mylisz się, i ja lubię poczytać. – Mati rozkwitał, widząc, jak narasta wściekłość Gembarskiego, obwiniającego żonę o ujawnienie sekretu. – A o czym będzie powieść?

Gocha wzięła do ust papierosa, którego Mati natychmiast jej przypalił. Zauważył na jej nosie liczne piegi, które także pokrywały dekolt. Zaciągnęła się, a potem, unikając wzroku męża, wyrzuciła jednym tchem:

– O facecie, który ma w dupie polskość. Gemba chce stworzyć prawdziwego antybohatera, który zdemaskuje wszystkie polskie mity: martyrologię, kult klęski, zaściankowość.

– Gonia, nie zanudzaj naszego gościa szczegółami powieści, zanim ona powstanie. – Gemba był wyraźnie zirytowany, postąpił dwa kroki naprzód, rozdzielając Mateusza i żonę. – Nie chcę, żeby wszyscy znali temat, nim się jeszcze do niego zabrałem!

– A więc redaktora Gembarskiego drażni zarówno ideowość, jak i bezideowość – podjął po chwili milczenia Mati, obracając w dłoni pustą szklankę.

– Skąd takie wnioski? – Białka Gembarskiego rozbłyły gniewnie.

– Irytuje cię filisterstwo, ale i wartości patriotyczne. Jednym słowem, wszystko.

– Jak to rozumiesz?

Dwaj mężczyźni wpatrywali się w siebie niczym nastrozone koguty, gotowe zadziobać się na śmierć.

– Zamierzasz obalić mit Polaka patrioty, ale też irytują cię filistrzy, którzy współcześnie nie są tymi z okresu Młodej Polski. Masz tego świadomość?

– Co ty pieprzysz, za przeproszeniem?! – zezłościł się Gemba.

– Chcesz być następnym Gombrowiczem, ale idea rozłazi ci się w szwach, co? A wiesz dlaczego?

Gembarski nie odpowiedział. W przedłużającym się milczeniu Mati pomału sącył drinka, napawając się skupioną na nim uwagą wszystkich obecnych.

– Bo dziś wszyscy pieprzą wszystko w czambuł. Co ty chcesz obalać? Co rozpierdalać? Biedną klasę średnią, która próbując uformować się od podstaw, miota się jak oszalała, szukając drogowskazów w Google'ach? I co ona komu winna? Chcesz odwieść ich od patriotyzmu, rozprawić się z polskością, podczas gdy oni mają patriotyzm i polskość tak głęboko w dupie, że gdyby teraz ktoś najechał na nieszczęsną ojczyznę, mielibyśmy do czynienia z masowymi dezercjami, a zwłaszcza tych najpotrzebniejszych, tych w wieku poborowym. Spierdoliliby wszyscy do Anglii, nie, Benek? Cóż tu można jeszcze obalić? Już wszystko zostało obalone w ciągu ostatnich paru lat, właśnie wtedy, kiedy szykowałeś się do swojego arcydzieła, czytając dawnych mistrzów. Stary,

spóźniłeś się o pięć lat albo może równo o wiek.

Nikt się nie odezwał, więc Mati zajął w głąb pustej szklaneczki, a następnie bystro rozejrzał się wokoło.

– A teraz wybaczenie, muszę sobie dolać. Gemba, tylko przypadkiem się nie zamartwiaj, przecież jeszcze nie zacząłeś pisać. Zaraz znajdę ci lepszy temat na powieść, mam do tego talent, niech ci Miś opowie, ile spektakli socjologicznych z puentą reżyserowałem *ad hoc*. Gosiu?

Mati nalał Gembarskiej szampana, który podczas przemowy skrzętnie odkorkowywał i otwierał z cichutkim jedynie pyknięciem.

Odciągnął ją teraz do pokoju, gdzie było znacznie ciemniej niż w kuchni i zaczął stroić błazeńskie miny. Długo nie chciała się uśmiechnąć, lojalna wobec obrażonego męża, który łypał w ich kierunku przez przeszklone bufetowe okienko.

W końcu pod wpływem komicznej ekspresji Mateusza, a może i chęci odreagowania dawniejszych napięć zaczęli się śmiać, i to coraz głośniej, tracąc kontrolę i nawzajem się uciszając, co wywoływało dalsze, niepoohamowane salwy. Trwało to tak długo, że grupki dyskutujących zaczęły im się baczniej przypatrywać.

Widząc, że nie ma wiele czasu, bo redaktor coraz bardziej pąsował na twarzy i ewidentnie uwłaczał swym zachowaniem próbującym go rozchmurzyć kompanom, Mati złapał ją za łokieć i odciągnął, stawiając sobie za cel namówić ją na spotkanie sam na sam. Propozycja najwyraźniej zaskoczyła Gembarską. Najpierw nie była pewna, czy Mateusz mówi serio, potem, gdy wreszcie ją przekonał, że nie żartował, spoważniała i usiłowała tę powagę odpowiednio zamaskować.

W końcu zapętlili się tak, że żadne nie miało pojęcia o intencjach drugiego, a wszelkie słowa, zamiast coś wyjaśniać, coraz bardziej gmatwały to, co chcieli sobie przekazać. Prowadzili niekończącą się wymianę zdań na temat wymiaru i charakteru ewentualnego spotkania, obwarowując się konwencją cynizmu niczym murem obronnym.

– Czemu kobiety są dużo bardziej racjonalne od mężczyzn? – Mati ujął szlufkę w dzinsach, które Gembarska miała na sobie, i delikatnie przyciągnął ją do siebie niczym wytrawny lowelas, jednocześnie zadając sobie w duchu pytanie, czy przypadkiem naprawdę nim nie jest. A jeśli nawet jest, to czy ona byłaby w stanie to dostrzec pod maską, którą niezmiennie nosił?

W odpowiedzi uśmiechnęła się do niego; rzeczywiście miała śliczne usta. Stanęli pod samym oknem wychodzącym na wieżowce przy ulicy Jana Pawła, oddzieleni od łypiącego ponuro Gembarskiego grupkami rozprawiających gości.

– Chyba nie sądzisz, że nabierzesz mnie na takie głodne kawałki?

Znienacka to ironiczne przekomarzenie się wydało się Matiemu niegodne ich wieku. Postanowił zmienić ton rozmowy, ujął ją szczerością.

– Wcale nie żartowałem, mówiąc, że mnie onieśmielasz. Chciałbym pokazać ci się w lepszym świetle niż przed chwilą, kiedy robiłem z siebie kompletnego dumnia, bredząc o literaturze. Zresztą gdybyś mnie bliżej poznała, przekonałabyś się, że mówienie o czymś, o czym nie mam pojęcia, jest moją specjalnością. Niestety, tu warunki nie są sprzyjające i zastanawiam się, czy nie rozsądniej byłoby dłużej nie drażnić twojego biednego męża, wymienić numery telefonów i spotkać się we dwójkę.

– Proponujesz mi randkę?

– Po co od razu używać definiujących i ograniczających nas określeń – odparł Mati, zerkając w stronę kuchni. – Lepiej unikać takich zawężeń, bo mogłoby wyglądać na to, że ja próbuję uwodzić żonę kolegi.

– Podczas gdy tak naprawdę...

– Podczas gdy tak naprawdę chcę rozwinąć parę tematów, które ledwie tknęliśmy, a z nas dwojga ty wydajesz mi się bardziej...

– ...bezpośrednia – podsunęła Gocha.

– Więcej. Krygując się, zdradzasz, jak wielką wagę przywiązujesz do naszego spotkania. Jesteś znudzoną mężatką i dziś wieczór niespodziewanie natrafiłaś na interesującego mężczyznę. Stąd twój dylemat. Czy gdybym był jednym z przyjaciół twojego męża i dystrybuował bilety na warszawski festiwal filmowy albo gryzmolił w magazynie kulturalnym lub... Czym jeszcze zajmują się ludzie z waszego grona? Nieważne. Czy wahałabyś się umówić ze mną do jednego z pre-ferowanych przez was lokali? Do Regeneracji, Kulturalnej? Podobam ci się fizycznie i zaciekałem cię intelektualnie, stąd twoje opory. Boisz się, że sprawy mogą zajść za daleko.

– Przystojny nieznajomy porywający kobietę z szarej codzienności? Uszczypnij mnie, bo chyba śnię.

Popatrzyła na niego tak, że nie mógł się nie roześmiać. Potem jednak, jakby przyciągnięty magnesem, sam nie wiedząc kiedy, pochylił się lekko w jej stronę. Nagle brutalny okrzyk oderwał ich od siebie.

– Aa, tu jesteście!

Zasłona, za którą się skryli, została gwałtownie szarpnięta na bok, ich oczom ukazał się zadowolony Miś. Za nim stały lekko nadąsane dwie kobiety oraz facet w ciemnym garni-turze. Duża blondynka z trwałą ondulacją była zapewne dziewczyną Misia, a krępa, ufarbowana na kruczoczarno, krótko obcięta, z krzyżem żelaznym na obciskającym szyję rzemyku i patrząca niespokojnym wzrokiem na przyłapaną parę, musiała być tą przeznaczoną dla niego, Mateiego. Czemu intelekt tak rzadko chodził w parze z długimi nogami? Na to pytanie Mateusz nie zdążył sobie odpowiedzieć, bo Miś rozpoczął hałaśliwą prezentację.

– Poznaj wreszcie moją Monikę. Moniś, mój szef i zarazem przyjaciel, Mateusz. Nie mamy przed sobą tajemnic.

Mati, który z udawanym ożywieniem ścisnął dłonie nowo poznanych, zdążył tylko rzucić Gembarskiej poważne, niejedno mówiące spojrzenie, odbierając jej spokój na resztę wieczoru. Teraz ich jedność rozmyła się w ogólnym gwarze, tamci czworo trajkotali jak najęci, a więc podejrzana dwójka nie mogła dłużej się pławić w hipnotyzującej intymności. Znużony Mati zupełnie się wyłączył i ani się obejrzał, a został podstępnie wciągnięty w bezdenną otchłań jałowej konwersacji z samotnym mężczyzną w garniturze, który przedstawił się jako Michał Bonder.

Osaczony w ciemnym kącie, odcięty od Gembarskiej długą tykową sylwetką Bondera, zastanawiał się, jak wydostać się z pułapki, gdy nagle uświadomił sobie, że natręt właśnie opowiada o redaktorze. Słyszając nazwisko Gembarski, dał wyraz zainteresowaniu, wydając z siebie jakąś monosylabę, na co ożywiony Bonder gorliwie podjął temat.

Z lubością wspominał dawne czasy, tym razem odnajdując w Matim uważnego słuchacza. Okazało się, że on, Miś i Gembarski byli razem we Władku. Z opowieści wynikało, że przekłety Gembarski był nie lada „gierojem” wśród kumpli. Świetnie się uczący, wyróżniający się zwłaszcza z polskiego, był zarazem niepokorny, niejednokrotnie zawieszany w prawach ucznia. Wszyscy zawsze byli przekonani, że zajedzie daleko. We trzech wyczyniali różności, ale to Gemba był inspiratorem wszelkich działań, nigdy nie pękał, był z niego niezły numer, raz nawet pchnął ze schodów pedzia, który uczył u nich muzyki, historia była głośna w całej Warszawie. Czy Mateusz słyszał? Poza tym Gemba wyhaczył najlepszą laskę z całego Władysława Czwartego. Na pewno Mateusz musiał zauważyć urodę Goni? Młodsza od nich o cztery lata, a robiła w liceum furorę. Jako jedyna farbowała włosy na jakiś szalony kolor, popalała w kiblu marychę, ale przy tym jechała na samych piątkach, więc nauczyciele dawali jej spokój i przymykali oko na sposób, w jaki się nosiła. Wszyscy się o nią zabijali, lecz wybrała oczywiście Gembarskiego, który był najinteligentniejszy z nich wszystkich i w dodatku zabójczo przystojny. W czasach szkolnych wciąż się kłócili, a potem schodzili, on był o nią cholernie zazdrosny, ona o niego zresztą też. Teraz także wciąż się kłóca, choć nadal są razem. Bonder miał pewne wątpliwości, czy Gosia jest zadowolona, uważał, że mogła wybrać lepiej. Po tej uwadze na dłuższą chwilę zawiesił głos, patrząc tęsknie za okno, na rozjarzone wieżowce, niezbyt liczne, ale prezentujące się z tej perspektywy niemal jak fragment Nowego Jorku.

– Mogła wybrać ciebie – odezwał się znienacka Mati, dbając o to, by Bonder pomyślał, że mówi bez cienia ironii.

– Na pewno nie jest jej lekko z Gemką. Wieczne kłótnie o forszę, złe warunki mieszkaniowe, no i jego porywczosć, nonkonformizm – wyliczał Bonder.

– Całkiem sporo wad ma ten twój serdeczny kumpel.

– Co bawi u kumpla, niekoniecznie musi się podobać u męża.

– Święta prawda, święta prawda. – Skinął głową Mati.

Wreszcie pojawił się Miś i zawołał ich do kuchni, gdzie ponoć przyrządził świetne drinki.

Mati liczył, że po drodze napotka Gochę, ale się rozczarował. Ona i przeklęty Gembarski zniknęli w zatłoczonym i poprzewracanym do góry nogami mieszkaniu, jakby zapadli się pod ziemię. Impreza przeniosła się do kuchni, Mati stał w towarzystwie Misia, Bondera, Benka i dwóch pań, co chwila rozglądając się niecierpliwie i nie mogąc się skupić na rozmowie, co wprowadziło nastrój niespokojnej tymczasowości. Bonder wolno mówił o szkolnictwie. Słyszając to, przyłączył się do nich słoniowaty, który, jak się okazało, jest rozwodnikiem samotnie wychowującym syna. Po chwili wślizgnęła się między nich jego młodociana narzeczona, by dorzucić swoje trzy grosze.

Mati dyskretnie zerknął na zegarek, przez myśl przemknęło mu, by ulotnić się i wpaść po drodze do Platinium, gdy z nienacką do kuchni wpadł Gemba, natychmiast zasysając ogólną uwagę. Usłyszał, że rozmawiano o dzieciach, więc czym prędzej podjął interesujący go temat.

– Żyła – zwrócił się do słoniowatego – w piątek w klubiku Gochy będą fajne warsztaty psychologiczne dla samotnych rodziców, może ty i Tymek moglibyście wpaść?

Redaktorowa Gembarska prowadziła klubik dla dzieci. No proszę. Z czegoś jednak trzeba było żyć, by redaktor Gembarski mógł należycie wyszydzać polskość.

– A o której się zaczynają? – Żyła i małolata obejmowali się ciasno w pasie, jakby w obawie, że ktoś ich rozłączy.

– Gocha, to w piątek mamy „Trudne tematy wyrażone plastyką”?

Gembarska mignęła Matiemu w przejściu, ale nie zdecydowała się wejść do kuchni. Zagadką pozostawało, czy nie miała na to ochoty, czy po prostu nie dołączyła pytania. Gemba jednak wyskoczył za nią na korytarz. W tym czasie wszyscy w kuchni przycichli, unikając nawzajem swoich spojrzeń. Pod papierowym żyrandolem rzucającym blade światło na tony niepozmywanych naczyń zapadło krępujące milczenie, dzięki czemu mimo panującego w przedpokoju zgiełku zza ściany doskonale słyszalne były oznaki małżeńskiej różnicy zdań. Po chwili do kuchni wrócił Gemba, ciągnąc za sobą Gochę, a następnie mocno ją obłapiając, jakby wbrew jej woli.

Zamierzał przechwalać się posiadaniem jej na własność?

– To co z tą plastyką, kochanie?

– W sobotę jest rumba z nosidełkiem. Kochanie.

Gembarska miała ewidentnie w sobie żyłkę kpiarza, co jej męża zdawało się w tej chwili wyjątkowo irytować. Mati prychnął śmiechem, Gemba nawet nie spojrzał w jego kierunku.

– Salsa! – poprawił ją lekko poirytowany. – Salsa z nosidełkiem!

Przypalił sterczącego z ust papierosa i potoczył dookoła zwycięskim spojrzeniem.

– Co to takiego? – kpiąco spytał Bonder.

– Zajebicie wyluzowuje młode mamy, no i daje megaradochę dzieciakom!

– Może dodajcie taniec na rurze? – dorzucił do kotła Mati. – Z nosidełkiem?

Gembarski nie odniósł się do tej uwagi, tylko lekko potrząsnął obejmowaną ramieniem żoną.

– A potem nie ma warsztatów? Powiedz nam, serio.

Mati z satysfakcją obserwował, jak Gembraska się od tego wykręcała na tyle, na ile pozwalała jej przyzwoitość.

– Potem, skarbie, Doro ma salkę na pół godziny.

– Kurwa, a z jakiej racji! Trudno nawet złotówkę od niej wydębić!

Oczy Matiego i redaktorowej spotkały się na dłuższą chwilę i nie mogły od siebie oderwać.

– Dla nas robi pogadankę – ciągnęła Gocha, z powrotem zwracając wzrok na męża.

– O czym znowu?

– O tym, o czym chciałeś, o psychodynamice laktacji.

– Redaktorowa wydawała się zagubiona. – Chodzi o namawianie do jak najdłuższego karmienia piersią, ale bez wywierania presji. O uświadamianie korzyści i przełamywanie pewnych barier związanych ze skrępowaniem spowodowanym koniecznością karmienia w miejscach publicznych – wyjaśniała, spoglądając przepraszająco w stronę Matiego, lecz widząc jego minę, znów popatrzyła na męża.

Wyczuwając wiszącą w powietrzu kpinę, rozjuszony dziwnym zachowaniem żony, Gembarski postanowił zaatakować bezczelnego aroganta na całego.

– Słyszałem, Mateusz, że i ty masz dziecko – rzucił głośno.

Skurwiel. Musiał znać historię od Misia. Mati spojrzał na kumpla morderczym wzrokiem, lecz Misiek podniósł ręce w kapitulacyjnym geście, jakby mówił „nie moja wina”.

– Mam, ale to chłopak. Nigdy nie będzie karmił piersią, więc...

Parę osób się zaśmiało. Mati rozłożył ręce, patrząc na gospodarzy z uśmiechem.

– Nie ukrywam, że słyszałem o waszej sytuacji i współczuję – zaczął znów Gembarski, bliżej przyciągając żonę. – W naszym klubie jest masa ludzi, którym się nie ułożyło, i często są to ludzie wypaleni zawodowo, zapierdalający w korporacjach. Tym bardziej zapraszamy z małym. Prowadzimy odstresowujące zajęcia dla dorosłych i pogadanki dla dzieciaków.

– Gonia, poprowadziłabyś dla mnie zajęcia odstresowujące? – Mati nie odrywał wzroku od Gembarskiej.

Wszyscy zamilkli, patrząc na nią wyczekująco .

Zbierała się do odpowiedzi, a Mati natężył się, by ją usłyszeć, nawet postąpił o krok naprzód. Jednak Gembarski nie dał żonie szansy, wtrącając szybko:

– Gonia ma za miękkie serce, by wywalić kawę na ławę wyrobnikom korporacyjnym. Nie ma sumienia otworzyć im oczu na to, jak ich popapwany los wpływa na najmłodszych. Natomiast ja chętnie się za ciebie wezmę!

Wszyscy zarechotali, więc Matiemu nie pozostało nic więcej, jak zaczekać na lepszą sposobność. Niestety, nie nada-rzyła się okazja do rozmowy sam na sam z Gembarską, co doprowadzało go do dziecinnej złości, w związku z czym otworzył kolejną butelkę whisky, którą wypił do spółki z Bonderem.

Następnego dnia leczył ból głowy w kąpieli lawendowej, gdy zadzwonił telefon. Był to Miś, który chciał jak najprędzej przekazać Matiemu, że Gemba dzwonił do niego i tłumaczył swoje wczorajsze zachowanie. Ponoć przyznał, że pomylił się w ocenie Matiego. Uznał, że w sumie porządny z niego gość i do tego niezły jajcarz, przez co wniósł do imprezy świeży powiew. Rzekomo niczego nie cenił wyżej niż oryginalność, więc chętnie kontynuowałby znajomość. Co więcej, kazał Matiemu przekazać, że głupio się zachował, okazując zazdrość o żonę.

Ponoć jak tylko się przebudził i doszedł do siebie, zrozumiał, że Mateusz po prostu się wygłupiał. Uświadomił sobie, że tylko pozornie zgrywał kogucika, a emablowanie cudzych żon to rodzaj nieszkodliwej manii. Najbardziej jednak żałował, że czynił uwagi w związku z rozwodem Mateusza, poprosił więc Misia o przekazanie szczerych przeprosin.

Mati gwałtownie poruszył się w wannie, palcami u nogi przytłumił bicze wodne, by lepiej słyszeć.

Zapewnił Misia, że ostatnie, co miał na myśli, to podrywanie żonatej i dzieciatej, dwa razy starszej niż ta, z którą wczoraj był na randce. Kazał powtórzyć Gembie, że przeprosiny przyjął, a chęć podtrzymania znajomości jest obustronna, po czym rozłączył się i gwałtownie usiadł.

Przeprosiny ujęły go, ale i dały do myślenia. Spryciarz z tego Gemby. Łebskie zagranie, bez dwóch zdań. Odłożył komórkę na parapet okienny i dał nura pod wodę. Po chwili się wynurzył, a potem długo wylegiwał w pachnącej kąpieli, zmieniał ciepłość wody, rozkoszował się miękkością oliwki na skórze, słowem dochodził do siebie w warunkach najprzyjemniejszych z możliwych.

Telefon poprawił mu nastrój. Pustka dnia zaczęła się wypełniać czymś realnym, rozciągające się przed nim godziny przestały przerażać.

W samym ręczniku położył się w świeżej pościeli. Chwilę turlał się po rozkosznie miękkim łóżu, potem otoczył się ulubionymi książkami i czytał ponad dwie godziny, pojadając zamówione sushi. Gdy na zewnątrz dobrze się ściemniło, ubrany elegancko wyruszył taksówką do Sheratona, by zjeść porządny obiad. Zamówił sałatkę nicejską, doradę pieczoną w soli, a na deser szarlotkę i czarną

kawę, przeczytał gazetę, po czym wyruszył kolejną taksówką do Och-Teatru gdzie był umówiony z niejaką Majką, studentką Uniwersytetu Medycznego.

Deszcz przestał padać, niebo było granatowe, rozgwieżdżone, wiał silny zachodni wiatr, przynosząc na nadwiślańskie wybrzeże ciepły zapach odległych mórz, dalekich krain i perspektywy jakichś korzystnych zmian.

Kryzys wieku średniego

Doktor Ignacy Wolski, specjalista chorób wewnętrznych, umieścił zdjęcie rentgenowskie na podświetlanym panelu i w skupieniu wodził po nim pośliskim paznokciem palacza. Zrobił dwa kroki do tyłu, założył okulary i znów groźnie wpatrzył się w pełne złowieszczych cieni czarno-białe zdjęcie, a następnie zdjął je i męczeńsko przetarł oczy, choć nie minęło jeszcze południe. W końcu wyszarpnął prześwietlenie z klipsa, opadł na krzesło za biurkiem i zaczął beznamiętnym i monotonnym tonem:

- Dwa guzki, jeden pod drugim, pani Sylwio.
- Dwa... jeden pod drugim... – Za parawanem zaczęły klekotać klawisze.
- Taak – potwierdził ponuro.

Ton głosu zdradzał rezygnację, świadczył o tym, że doktor wydawał podobny wyrok już tyle razy, że doprawdy trudno było żądać od niego empatii.

- Zmiana odizolowana – ciągnął.
- Odizolowana? – upewniał się głos.
- Od-izolo-wana – dyktował cierpliwie, odchylony na oparcie fotela. – Ścisłe odgraniczona.

- Od-gra-ni-czo-na.
- Odgraniczona z lekkim naciekiem – doprecyzował doktor zniechęcony.

Dodatkowa emocja, która dała się słyszeć w jego głosie, musiała chwilowo go wyczerpać. Oderwał wzrok od zdjęcia i całym ciałem zwrócił się w kierunku okna wychodzącego na porośnięty starodrzewem, zalany ciepłym jesiennym słońcem skwer, jakby chciał doładować akumulatory. Twarz ewidentnie mu się wypogodziła, palce zabębniły o blat biurka, usta cicho zanuciły „pam – pam – pam – pam”.

– Otorbienia? – padło po dłuższej chwili tonem lekko przepraszającym, jakby asystentka przez parawan wyczuwała, że chlebodawcy należy się chwila wytchnienia.

- Brak! – lekko zirytował się doktor.
- Rozumiem... brak... – łasił się głos.

Znów zaklekotały klawisze.

- Nie podoba mi się ta szara plamka w pobliżu mostka – dąsał się doktor.
- Co pisać?

– Zmiana... – Wolski lekko zmrużył oczy – ... zmiana nieokreślonego pochodzenia.

- O nieokreślonym charakterze? – podsunął głos usłużnie.
- Do weryfikacji patologa! – odparł bez cienia wahania doktor.

Dialog brzmiał tak, jakby mieli z góry rozpisane role i recytowali je przy pianinie na dwa głosy.

– Gdzie kierujemy? – zaszcebiotał głos, dając do zrozumienia, że finiszują.
– Mogę wtrącić słówko? – wycedził Paweł Wencel wciśnięty w niewygodne krzesło. Wciąż miał na sobie płaszcz, aktówkę trzymał między nogami. Czuł, że nie znieśie tej dwójki ani chwili dłużej.

Siwowłosy doktor popatrzył na niego ze zgorzaniem; widać nieczęsto spotykał się z podobną bezczelnością. Asystentka aż wysunęła zza parawanu gładko zaczesany łepok z miji, jej oczka zalśniły ciekawością.

– Wyjaśnienia później – napomniano surowo Wencla.

Skarcony, poruszył niespokojnie nogami. Na Boga, przyszedł tu tylko z bólem zamostkowym, szukając pomocy. Prag-nął, aby ktoś rozwiął jego obawy i utwierdził w przekonaniu, że to nie serce, a zszargane nerwy. Jakim prawem ten wyniosły konował śmiał niepokoić go podobnymi... W życiu nie podejrzewał, żeby coś takiego...

– Zgłosi się pan do izby przyjęć i powoła na mnie.

Wolski nagle stanął nad Pawłem, kładąc mu rękę na ramieniu w sposób nader poufały, jakby można było protekcjonalnie klepać go po policzku, jakby co najmniej był już jedną nogą na tamym świecie. Gwałtownie wstał, był od lekarza o parę centymetrów wyższy.

– Moi pacjenci przyjmowani są tam od ręki – ciągnął doktor. – Położą pana na parę dni, zrobią niezbędne badania, które, mam nadzieję, wykluczą nasze obawy. – Wolski wyciąg-nął do niego rękę i spojrzał z surową wyrozumiałością. – Niech pan się tak nie przejmuj. W dzisiejszych czasach... Nawet jeśli... medycyna dysponuje różnymi środkami, wszystko się leczy.

Pocieszający uśmiech, krzepiące kiwnięcie głową i Wolski otworzył drzwi, wypuszczając Pawła na korytarz. Z krzesła poderwał się kolejny struchlały nieszczęśnik, ściskając plik dokumentów, którego doktor powitał władcym skinieniem głowy.

Lekarze. Panowie życia i śmierci. I na nich przyjdzie kryśka, od tego nikomu nie uda się wywinąć. Wolski miał paskudne plamy wątrobowe. Nie wyglądał zdrowo, o ile Paweł się na tym znał.

– Czteryście pięćdziesiąt złotych.

Otrzeźwiła go mija znad biurka, ta sama, która sporządzała opis. Czteryście pięćdziesiąt! Niech go szlag!

Z przychodni wyszedł na miękkich nogach, ściskając wilgotną dłoń skierowanie do szpitala na Banacha. Bezczelne słońce nadal świeciło jakby nigdy nic, a przemykająca obok parka gówniarzy popalała pety i rechotała w najlepsze. Obojętny na jego nieszczęście świat kręcił się dalej.

Przez chwilę oglądał skierowanie. Cóż. Odwoła dzisiejsze spotkanie i wybierze się do szpitala, ale jeszcze nie teraz. Musi chwilę ochłonać i przemyśleć sytuację. Powoli szedł w kierunku auta, bezwiednie rejestrując napotykan

szczegóły. Dojrzał własny samochód stojący tuż pod wielkim billboardem. Ach tak, zbliżało się Jazz Jamboree, przyjeżdżali jazzowi giganci. W innych okolicznościach z pewnością zainteresowałby się słynnym festiwalem, ale już nie dla niego takie przyjemności.

Zabawne. Jeszcze godzinę temu zdawało mu się, że miał masę problemów, a teraz... Zdusił chęć zapalenia papierosa. Niebawem, że faktycznie mógł być chory.

Dwa dni temu rzeczywiście źle się poczuł, ale w tym akurat nie było nic dziwnego. Zgraja młodych tumanów, która u niego terminowała, każdego wpędziłaby do grobu. Tamtego dnia wyszły na jaw kolejne hocki-klocki. Nowa sekretarka, która przyszła po Agnieszce, zapomniała o terminowym piśmie, i w rezultacie doszło do karczemnej awantury telefonicznej. Paweł obiecał przez dwa miesiące świadczyć usługi za darmo, byle tylko nie stracić klienta. Po odłożeniu słuchawki gotowało się w nim, w lewym uchu słyszał jednostajne buczenie. Chciał wypaść na korytarz i nakazać jej spakować manatki, ale koniec końców nie miał sumienia.

Tradycyjnie łyknął melisy, wyszedł z kancelarii na papierosa i nieco ochłonał, ale ból, który wszedł mu w pierś, nie odpuszczał. To wtedy postanowił następnego dnia pójść do internisty i kazać sobie wykonać wszystkie badania okresowe. Internista zlecił badania krwi i rentgen klatki piersiowej. Już wczoraj Paweł wiedział, że w płucach coś jest nie tak. Na *cito* umawiał się z Wolskim, po znajomości wyznaczono mu wizytę na następny dzień. Był przekonany, że usłyszy, iż to nic takiego, tylko ma mniej pić i palić, tymczasem dostał skierowanie do szpitala. Nie przypuszczał, że wizyta tak się skończy.

Poczuł przemożną chęć zapalenia papierosa, ta potrzeba przeraziła go. O nie, nie zamierzał tak od razu jechać na Banacha, dać się przebrać w żenujący kitel, zostać ubezwłasnowolnionym, pozbawionym możliwości stanowienia o sobie. Musi posiedzieć w samotności, przemyśleć wszystko, poukładać sobie w głowie!

Było piękne październikowe popołudnie, co dostrzegał niemal z trudem, jakby oglądał je w telewizji, jakby nie było rzeczywiste. Nieopodal znajdowały się Łazienki, w dalszej części Mokotowa park Dreszera. Mógłby teoretycznie przejść się piechotą, ale czuł, że musi podjechać gdzieś dalej, aby zaznać samotności i spokoju. Park Wilanowski niezmiennie działał na niego kojąco. Piękny o tej porze roku, dodatkowo gwarantował, że w dzień powszedni Paweł nie napatoczy się tam na żadną znajomą gnidę. Nie zdzierzyłby teraz rozmów z kimś obcym. Choć do Wilanowa miał kawalek, bez namysłu wsiadł do auta.

Nad wodą znalazł samotną ławkę. Ptak świergotał w pożółkłym listowiu potężnego dębu, liście topoli i olchy pokrywały powierzchnię wody niczym egzotyczny dywan. Jakieś żyjątko pluskało się przy brzegu, w pobliżu zanurzonych w wodzie ciemnych korzeni, powietrze pachniało słodko. Niebrzydki ten świat...

Chwilę się namyślał, w końcu zdecydował się zdjąć marynarkę. Słońce operowało leniwie, przymknął oczy, odchylił głowę i zaczął rozważać swoją sytuację, starając się nie panikować, nie antycypować, nie przewidywać. Bądź co bądź, doktor nie postawił diagnozy. Stwierdził jedynie, że „chce coś wykluczyć”, tak właśnie się wyraził. Może brał czterysta pięćdziesiąt po to, by potem jakoś tę niebagatelną sumkę uzasadnić. Każdy, kogo posyłał do szpitala, czuł niewysłowioną ulgę, gdy okazywało się, że nic mu nie jest, i nie pozywał starego spryciarza o najedzenie się strachu. Szedł do kościoła, dawał na mszę, był biedniejszy o czterysta pięćdziesiąt, ale bogatszy o świadomość, że jest zdrowy.

A doktor kosił swoje za piętnastominutową wizytę. Przyjmował od ósmej do czternastej dwa razy w tygodniu i miał tylu chętnych, że trudno było szpilkę wcisnąć. Pawła ponoć przyjęto wyjątkowo, bo ktoś się wypisał. Normalny wolny termin do Wolskiego byłby dopiero za miesiąc. Od ósmej do czternastej zarabiał osiem czterysta, na tydzień szesnaście, na miesiąc – sześćdziesiąt cztery. I to w jednym tylko ośrodku, a obrabiał kilka.

Jednak handlowa natura Pawła, który mierzył ludzi głównie ich zdolnością zarobkowania i radzenia sobie w dżungli życia, zbuntowała się przeciwko takiemu oskarżaniu. Przecież on sam nie inkasował mniej. Każdy miał prawo brać tyle, na ile pozwalał rynek, ile inni byli w stanie zapłacić. Myśleć inaczej oznaczało być komunistą, anarchistą, lewakiem, a więc wywrotowcem. Przed oczami wyrósł mu znajomy demon przeszłości i czym prędzej odegnał go zaciśnięciem powiek i nagłym zwróceniem twarzy w stronę ciepłych promieni słonecznych.

Nie zamierzał teraz jeszcze tym się trapić, postanowił spróbować oszacować własną sytuację, uwypuklając pozytywy. Na myśl o finansach poczuł lekkie odprężenie. Kancelaria znów ruszyła pełną parą, lokalu, który wynajął, nie powstydziliby się amerykańska sieciówka. W związku z kryzysem klienci cięli koszty, wymykali się spod opieki dużych molochów prawniczych i jak rybki płynęli wprost w sieci kancelarii Pawła.

„Dużo lepszy standard i niższe ceny” – to było jego motto. Ciężko pracował na swoją renomę i nawet tym trzem skurwysynom nie udało się jej zniszczyć. Poruszył się gwałtownie, założył nogę na nogę, odegnał ponowną chęć zapalenia papierosa. Ale jak tu było nie palić, życie co i rusz zmuszało go do konfrontacji, od dwóch lat nie zaznał chwili spokoju. Rozwód przeprowadzony w czerwcu mocno dał mu się we znaki. Tylko dzięki intensywności tempa życia, nawałowi pracy, zmianie lokalu, organizacji kancelarii na nowo, dynamicie wydarzeń związanej z prowadzeniem biznesu, nie miał czasu pograć się w rozmyślaniach.

Zresztą odbyło się bez komplikacji, za porozumieniem stron. Sprawę przeprowadzono błyskawicznie, elegancko, bez wyciągania brudów w sądzie. Hanna nie chciała od niego niczego, ale i tak zatrudnił adwokata, przedniego, rzecz jasna. Ten przeprowadził sprawy gładko, choć zainkasował słono, ale Paweł

okazywał większą wyrozumiałość przedstawicielom własnego fachu. Z kolei środki, które napłynęły od tego ścierwa, Kwaśniaka, pozwoliły mu należycie wyposażyć Agę. Ta uparła się oczywiście odejść z jego kancelarii.

Przypomniawszy to sobie, jednak sięgnął po papierosa, zapalił, nie bacząc na konsekwencje. Dym snuł się leniwie w ciepłym powietrzu, gołębie gruchały, lekki wiaterek zaszeleścił w potężnych topolach, porastających brzegi jeziora. Liście jak stado ptaków sfrunęły i osiadły na wodnym dywanie, tworząc nowe arabeski.

Taką decyzję podjęła, rozumiał to. Podobno zdała na aplikację radcowską z wyróżnieniem, zatrudnili ją w dużej sieciówce. Durnie, zapewne nie mieli pojęcia, jaki brylant wpadł im w ręce. Nie winił jej za tę decyzję, sam był typem krańcowym: wóz albo przewóz. Zresztą im dłużej żył, tym bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że to najwłaściwszy sposób postępowania. Filozofowanie, relatywizm, wahania – to dobre dla artystów i pedałów, prosta droga ku zatraceniu. Nieraz obserwował tragiczne skutki dostrzegania tych szarości, niuansów, rozterek.

Dziwny świat absolutnej zgody na wszelkie zboczenia i plugastwa to nie był jego świat. Europa definitywnie zmierzała ku upadkowi, przeniechanie wszystkich wartości to było za dużo nawet jak na niego. Naturalnie, był tolerancyjny, otwarty. Nie zamierzałby leczyć pedałów – niech sobie niebożęta żyją, byle z dala od niego. Niech sobie nawet paradują i zakładają małżeństwa, ale żeby wychowywać dzieci... Uważał, że ma otwarty umysł, ale żeby coś podobnego... W głowie mu się to nie mieściło, a że zawsze miał się za człowieka postępowego, dziwiło go teraz, jak daleko to wszystko zabrnęło.

Nie zwykł myśleć, by to on mógł się mylić. Wierzył swojemu osądowi i nie ufał ludziom, którzy zmieniali zdanie. Jeśli nie można wierzyć sobie, to komu można? Czy miał krzyczeć, że dewiacja jest normalna tylko dlatego, że robiła tak większość? Większość już nieraz grubo się pomyliła i nic dobrego z tego nigdy nie wynikło. Wystarczyło przypomnieć sobie dzieje Europy.

Tak więc Agi nie było w jego życiu, miał więcej świętego spokoju, ale i momenty, kiedy ogarniał go głęboki lęk, którego przyczyny dobrze znał, lecz bał się nawet o nich myśleć.

Tamtego popołudnia znów odegnał owe odczucia, spychając je na krańce świadomości, skąd i tak przy byle okazji wyskakiwały nieproszone niczym kukułka z zegara. Problemy natury egzystencjalnej – och, jak nie cierpiał tej nazwy przywodzącej mu na myśl domorosłych filozofów, których w życiu spotkał aż nadto. Jednym z nich był ten nadęty pozer bez grosza przy duszy, który uwiódł mu żonę. Te problemy były tylko niewielkim, tak mu się przynajmniej zdawało, ułamkiem zmartwień, które go dręczyły, nie dawały spać w nocy.

Na oparciu ławki przysiadł wróbel i zaczął przechylać łepkę jakoś pytająco, przyglądając się Pawłowi. Łapczywe stworzenie, zapewne domagało się okruszków. Ostrożnie, by go nie spłoszyć, sięgnął do teczki, by wyjąć z niej

niedokończoną kanapkę. Równie dobrze i on, Paweł, może się tutaj posilić. Oderwał kawałek bułki, cisnął wróblowi, a następnie sam wgrzyzł się w drugie śniadanie, które kupił rano na stacji benzynowej.

Nic dziwnego, że wyniki krwi też wypadły fatalnie, skoro odżywiał się karygodnie i nie miał nikogo, kto by się o to zatroszczył. Znów urwał bułkę i rzucił w stronę wróbelka, ten ledwo uskokczył przed potężną chlebową kulą, ale w mig do niej powrócił, skacząc na obu cienkich jak igły nóżkach. Zleciało się więcej ptasiego towarzystwa. Ze stawu nadpływały kaczki, a na gałęzi przysiadł wielki gawron. Oby tylko w podziękowaniu nie narobił mu na głowę. To idealnie odzwierciedlałoby wdzięczność, jaką świat zazwyczaj darzył dobroczyńców.

A więc Aga zniknęła jak kamfora. Sytuacja domowa jego brata Mateusza odebrała ich ojcu resztki spokoju. By się zregenerować, stary Wencel wybrał się nawet do specjalistycznego sanatorium, w którym leczono różnorakie nerwice, jednak wrócił zde gustowany, przed terminem, mimo że opłacił cały turnus.

Z początku nie chciał zdradzić przyczyny skrócenia pobytu, zasłaniał się podłym wyżywieniem i złymi warunkami lokalowymi. Dopiero po kilku głębszych wyjawiał Pawłowi, że zagięło na niego parol jakieś babsko. Ponoć dybało na niego wszędzie. Chodził tylko na wątpliwej jakości zabiegi lecznicze i pędem wracał do pokoju, bo jak stwierdził, nie czuł się bezpieczny nawet w parku zdrojowym.

Tak, ojciec był nie ten sam, jakby to ciągle zamartwianie się wypaczyło jego żywotną naturę. Chcąc uciec od trosk, których przysparzali mu synowie, oddawał się nowej pasji – ogrodnictwu. Teren w Niedźwiedzim Rogu uprawiał z zajadłością i pieczołowitością, z jaką przed laty gromadził pieniądze. Tego lata ogród posesji przypominał Łazienki Królewskie. Codziennie pracowało tam kilku chłopca, a że ojciec zamknął wszystkie swoje biznesy, szukał ujścia dla twórczej energii. Rugał pracujących za najdrobniejsze zaniedbania, denerwował się szkodnikami, podcinał, strzygł i pielęgnował drzewa i krzewy, projektował nowe altanki i uroczyska w sposób maniakałny, nasuwający przypuszczenie, że było to jakieś przeniesienie.

Być może sytuacja go przerosła?

Myśl ta była niepokojąca. Oznaczało to, że teraz on, Paweł, musiał zajmować się wszystkim, o wszystko się troszczyć. Nic dziwnego, że nerwy puszczały mu z byle powodu. W dodatku nie było nikogo, z kim mógłby na ten temat porozmawiać otwarcie. Nie, żeby lubił się specjalnie uzewnętrzniać. Siedząc na ławce w promieniach zachodzącego słońca, odczuwał osobliwy brak, niejasne poczucie, że czegoś ważnego był w życiu niesłusznie pozbawiony.

Wstał z ławki i głęboko zamyślony skierował się do wyjścia. Minął ukwieconą pergolę, cieć uprzejmie kiwnął mu głową. Szedł przez nasłoneczniony ogród renesansowy, widział swój wydłużony cień, kroczący statecznie, powoli. Nagle ten stateczny, miarowy chód zdał mu się zupełnie bezsensowny, patetyczny, groteskowy. Dokąd zmierzał ten bezdzietny mężczyzna, zbliżający się

niepostrzeżenie do wieku zwanego średnim?

Gdyby miał swoją rodzinę, kto wie? Może łatwiej zniósłby podobny cios, który być może szykowała mu ślepa na zalety ludzkie opatrność. Naturalnie, Aga nie... Trudno oczekiwać, żeby młoda kobieta wyczekiwała miesiącami na starszego od niej, trudnego, zdziwaczałego, obarczonego przeszłością faceta. Choć o ile się orientował, jego poczucie humoru i zapatrywania na świat ona akurat akceptowała. Przynajmniej kiedyś.

Cóż, od tego czasu minęło dobre pół roku, jej sytuacja uległa zmianie. Ze źle ubranej studentki z prowincji przedzierzgnęła się w elegancką aplikantkę, notariusz widział ją ostatnio na korporacyjnej imprezie bynajmniej nie samą, z jakimś odsztafirowanym wesółkiem. Paweł obojętnym tonem dopytywał, jak ten mężczyzna wyglądał, chcąc się dowiedzieć, czy to aby nie ów niegdyś zapatrzony w Agę rozpustny dziedzic Sienicki. Niestety, notariusz nie miał pojęcia, jako że nigdy Sienickiego nie poznał, widział tylko, że facet był młody i przystojny i że wyglądali na parę.

Czy można się było spodziewać innego finału, po tym jak...

Zaskoczony zorientował się, że nie wiedzieć kiedy wyszedł z parku, teraz mijał Kuźnię. Ten sławetny za komuny lokal swą świetność najwyraźniej miał już dawno za sobą. Z mrocznego wnętrza dobywało się kiepskie rzepolenie, słychać było wybuchy śmiechu i donośne głosy podchmielonych gości.

Na zewnątrz wyległo poślednie towarzystwo ubrane wiejsko-elegancko. Kobiety o grubych karkach, z włosami jak lśniące hełmy, w cienkich pastelowych garsonkach z tanich nylonowych materiałów, swarliwie przywoływały do porządku mężczyznę w wyciągniętej ze spodni białej koszuli, który najwyraźniej zamierzał ulżyć sobie za winklem.

– Pani jest jeszcze bardzo fajna kobita, pani Jadziu! Pani musi znaleźć sobie chłopca – natarczywie upierał się jakiś *bon vivant* w muszce w grochy i błyszczącej kamizelce, zataczając się niebezpiecznie w stronę czujnie idącego Pawła.

Ich spojrzenia się skrzyżowały; pijak uniósł kieliszek, dając do zrozumienia, że to do niego pije. Wielokrotnie powtarzana fraza ścigała Pawła aż do rogu ulicy, gdzie stała zaparkowana jego wielka czarna limuzyna. Już był w stanie wsiąść do samochodu i skierować się ku nieuchronnemu przeznaczeniu, i to nie za czterdzieści lat, jak wcześniej planował.

Już dziś.

Szpital na Banacha, opasły szary potwór, rozciągał się przed nim szeregiem połączonych ze sobą bloków. Paweł wszedł, niespokojnie łyskając oczami, w przejściu prawie zderzył się z innym mężczyzną. Bąknęli przeprosiny, ale żaden nie dosłyszał słów drugiego, obaj w duchu rugali się za nadmierną wyrywność w szafowaniu uprzejmościami.

Minęła godzina, zanim dopchał się do okienka rejestracji. Dalsze dwie

godziny przesiedział na niewygodnym krzeselku, zagadywany przez staruszkę z nosem jak purchawka w kolorze dojrzałej śliwy. Zresztą dookoła siedziało kilku takich podejrzanych gagatków, zapewne kloszardów, których ktoś poobijał, albo i kto wie... Może tak objawiały się rozmaite paskudne choroby, tyle że zdrowi, którzy do tej pory się tym nie interesowali, nie mieli pojęcia, ile tego ścierwa jest na świecie. Że to i owo może wyrosnąć na głowie, wrzodzieć, ropieć, czymś broczyć i Bóg jeden wie, co jeszcze wysączyć.

Spocony, poirytowany, dostał się w końcu na drugą stronę, by stawić czoło kolejnym przyjemnościom. Najpierw badała go zagniewana pielęgniarka, wreszcie dostał się do lekarza dyżurującego w izbie przyjęć. Młody arogant w białych drewniakach nie zaszczycił go ani jednym spojrzeniem, nazwisko Wolskiego, którym Paweł usiłował się posłużyć, licząc na łaskawsze potraktowanie, nie zrobiło na nim wrażenia, gorzej, chyba wręcz go lekko rozjuszyło.

Światek lekarski musiał być mocno pogmatwany w swoich hierarchiach i zależnościach, tak to zresztą zawsze było, gdy sprawy nie opierały się na zdrowych kapitalistycznych zasadach. Jediną zasadą, która tu obowiązywała, zdawało się dopilnowanie, by nikt nie poczuł się za dobrze, przynajmniej psychicznie.

Miało się wrażenie, że wraz z wkroczeniem tam zatrzaskiwały się wrota, zza których nie było odwrotu. Pieniądze i koneksje, dobry gust i piękno, nic tu nie znaczyły, obciążały, wręcz piętnowały, był to przecież w pewnym sensie przedsiónek królestwa niebieskiego.

Nienawykły do takiego traktowania, lecz niewątpliwie rozsądny, Paweł dusił w sobie niejedno, pomny na to, że był tu uzależniony od ich widzimisię. Każde okazanie niezadowolenia mogło się skończyć odmową przyjęcia na oddział bądź umieszczeniem w pozostawiającej wiele do życzenia lokalizacji. Jednak brak powołania się na kogoś mógł łatwo doprowadzić do tego samego położenia, niepewny więc, jaki ton przybrać, mocno się napocił, zanim po trzech godzinach użerania się wreszcie w szpitalnej piżamie wylądował w cuchnącym małym pokoju, w którym stały stłoczone cztery łóżka.

Dostał do dyspozycji metalową szafkę i kraciasty koc, ale i za to był losowi wdzięczny. Usiadł na łóżku, niepewnie, ostrożnie zlustrował współtowarzyszy niedoli – same dziadki. Ten spod drzwi, wychudzony jak szczapa, leżał na wznak nieruchomo, szeroko otwarte oczy utkwiał nieruchomo w suficie, wyglądał, jakby już patrzył na księżą oborę. Gdyby nie lekko falująca chuda klatka piersiowa w rozchełstanej piżamie, można by spokojnie pomyśleć, że...

Drugi – tęgi, ulokowany centralnie naprzeciwko, gapił się na niego pożółkłymi białkami. Nie było jednak oczywiste, czy robi to celowo, czy w ogóle w swojej chorobowej demencji spostrzega nowego pacjenta. Okazało się, że jednak dostrzegał, bo po chwili zagadnął Pawła o kolację, martwił się, że świeżo przybyły

pójdzie spać głodny. Widząc nieapetyczne resztki na porzuconym na parapecie okiennym talerzu, Paweł uspokoił go, mówiąc, że nie ma apetytu.

– Był już obchód? – zagaił starszego pana, który zajmował sąsiednie łóżko i uśmiechał się wyjątkowo uprzejmie.

Tamten pokiwał głową jakby z uznaniem, ale nie odpowiedział ani słowa.

– Wyjął aparat – orzekł tęgi z naprzeciwka, zwlekając się z pomiętego łóżka, z trudem spuszczać obrzmiałe stopy w brązowych skarpetach. – Kiedy wyjmie aparat, jest głuchy jak pień! Ja panu objaśnię. Obchód jeszcze będzie, ale niech pan jutro się dowiaduje, bo dziś jest na dyżurze tak paskudna franca, że bez kija nie podchodzi. Lepiej się pan nie odzywaj, bo jeszcze pana zruca.

Paweł podziękował za radę. Ułożył w szafce dyżurną szczotkę do zębów, telefon komórkowy i już miał wyjmować z teczki laptopa, ale się zawahał. Dyskretnie obrzucił wzrokiem sąsiadów i dokonawszy szybkiej analizy sytuacji, wyciągnął laptopa i ostrożnie umieścił pod szufladą, a potem na wszelki wypadek nakrył gazetą.

Tęgi, ośmielony wstępną rozmową, stał się nieznośnie gadatliwy. Ze szczegółami relacjonował detale gnębiących ich chorób, wypytywał o niedomagania Pawła, który odpowiadał monosylabami, a w końcu nie wiedząc kiedy usnął.

Sen jednak nie przyniósł wypoczynku, obrazy były niepokojące, a głęboki sens, który zdawały się skrywać – jeszcze gorszy. Z tych majaków wyrwała go stojąca nad nim stara kobieta w czerni. W pierwszej chwili uznał, że sen trwa, więc czym prędzej odwrócił się do okna, mrugając oczami. Babcia Wencłowa, ekspert od interpretacji snów, doradzała, by po koszmarze natychmiast popatrzeć w okno, co miało spowodować momentalne zapomnienie o tym, co się przyśniło. Z perspektywy łóżka widział teraz zmierzchające niebo i kawałek pracującego żurawia. Znow odplynał w niebyt i ponownie śnił o czymś obrzydliwym, a gdy się ocknął, było już zupełnie ciemno; paliły się tylko dwa światła, przy łóżku tęgiego i przy głuchym dziadku. A jednak w pokoju zaszła jakaś zmiana. Przy tęgim siedziała ta sama kobieta w czerni. A więc to nie był sen.

Dał się słyszeć jej cichy szept. Opowiadała o swoich ponadnaturalnych mocach, zamierzała tęgiego leczyć za niewielką opłatą. Paweł milczał w niemym oburzeniu. Widać było, że tęgi próbował się z tego wywinąć, lecz bał się zakwestionować te nieznane moce. Paweł złapał gazetę i usiłował czytać, ale szepty się wzmogły. Najwyraźniej kobieta chciała nastraszyć grubaska, bo spytała go, czy ma kogoś bliskiego, kto się za nim ujmie. Utrzymał, że tak, ona poddawała to w wątpliwość, twierdząc, że czyta w jego myślach.

Paweł wlepił wzrok w gazetę, usiłując ignorować absurdalną rozmowę, ale gdy dosłyszał, że kobieta opowiada coś o mnożących się w grubasku guzach, nie wytrzymał. Opuścił gazetę z głośnym szelestem i jął wpatrywać się w naciągaczkę

z gniewem.

Tymczasem grubas nie wytrzymał konfrontacji. Właśnie zamawiał pierwszy seans leczniczy, grzebiąc niemrawo w ogryzionym portfelu. Niewiele myśląc, Paweł podniósł się i w dwóch susach znalazł się za kobietą w czerni.

– Natychmiast stąd wyjść! – syknął znieczeka za jej plecami. – Pani jest oszustką! Proszę stąd zmiatać, pókim dobry, bo wezwę policję, a panią pozwę o próbę wyłudzenia!

Nie wiedział, czemu akurat to przyszło mu do głowy, przecież było bezsensowne, jednak w sennej ciszy oświetlonego małymi jarzeniówkami pokoju wywarło to piorunujące wrażenie. Kobieta poderwała się z siedzenia, potrąciła metalowy taboret, ratowała się od upadku, łapiąc za ramę łóżka.

– Ja ci dam! Będziesz miał kłopoty! Pójdiesz siedzieć, masz to zapisane w gwiazdach! – rzuciła w stronę Pawła niczym dusza nieczysta na widok święconej wody.

On, niepomyślny na te przerażające zaklęcia, nie myśląc wiele, chwycił szamoczące się babsko za chabety i jak szkolnego łobuza prowadził w stronę drzwi. W tym momencie do pokoju wpadły pielęgniarki, w lot zorientowały się w sytuacji i błyskawicznie przejęły od Pawła złorzeczącą kobietę. Siłą wyciągana, w progu krzyczała jeszcze do zaleknionego grubasa, by poświadczył, że jest jego krewną, próbując przy tym zastraszać go upiornym, pałającym spojrzeniem czarnych oczysk.

Gdy drzwi się wreszcie za nią zamknęły, Paweł i dwaj mężczyźni, oniemiałi, spoglądali po sobie. Jeszcze od windy słychać było jej oddalający się lament, groźby rzucane na wszystkich dookoła. Gdy wrzaski ucichły, Paweł wrócił do łóżka. Dwaj przytomni mężczyźni gapili się na niego wyczekująco, więc uśmiechnął się cierpko i mruknął:

– Stek bzdur. Chyba nie wierzą panowie w takie banialuki?

Ostentacyjnie rozłożył gazetę i zaczął czytać. Przez chwilę w pokoju panowało znamienne milczenie, po czym mężczyźni zaczęli nerwowo rozprawiać o zaistniałej sytuacji. Obaj wyrażali podziw dla zimnej krwi Pawła. Na przemian chwalili go pod niebiosa, to znów prezentowali obawy co do ewentualnej możliwości istnienia osób obdarzonych ponadnaturalnymi umiejętnościami. Wymianę myśli utrudniałby im może fakt, że jeden z obecnych w pokoju był niemal kompletnie głuchy, gdyby rzeczywiście usiłowali się nawzajem usłyszeć.

Paweł – niekwestionowany bohater wieczoru – czytał pozornie obojętny, ale i jego incydent wytrącił z równowagi. Nastąpiła noc, światła pogasły, dochodziły go senne poświstywania dwóch pokornych wobec losu współtowarzyszy kaźni; trzeci zdawał się spać bezgłośnie, o ile jeszcze żył.

Straszny dzień, straszna noc, straszne miejsce. Ta kobieta, senne rojenia, monotonne brzęczenie jakichś przedpotopowych urządzeń. Próbował zasnąć

niemal na siłę, nie udało mu się, więc znów słuchał w natężeniu, czy z trzeciego łóżka dobiegną dźwięki.

I po cóż się tym przejmować, i tak to wszystko nic niewarte. Krótkie i smutne to życie, a potem wieczna ciemność. Porażające, jeśliby się nad tym dłużej zastanowić. A wiara w życie pozagrobowe?

Pociecha dla głupców, bat na naiwnych, narzędzie manipulacji najstarszej instytucji finansowej, ściągalność opłat lepsza niż u Tryców, u których tradycja komornicza sięga trzech pokoleń. Czemu więc te wątpliwości? Bo jak zwykle w chwilach realnego zagrożenia miewał wątpliwości. Pomieszane ze strachem, chwiała jego osądem. Smutna prawda była taka, że leżąc pozornie bezmyślnie, robił szybki rachunek sumienia i kalkulował, jakie miał teoretyczne szanse przekroczenia Piotrowych progów. Gdyby brać pod uwagę ogół społeczeństwa, subiektywnie sam sobie wydawał się praworządnym obywatelem. Natomiast jeśli chodziło o życie w zgodzie z doktryną?

„Prędzej wielbłąd przejdzie przez ucho igielne, nim bogacz wejdzie do królestwa niebieskiego”.

Szczęśliwie ucisk na pęcherz uwolnił go od tych rozmyślań, podniósł się z wolna i w słabym świetle jarzeniówki pomału lawirował między stojakami kroplówek, torując sobie drogę do drzwi. Na dziadka starał się nie patrzeć, a jednak wzrok uciekł mu w tamtym kierunku.

Dobry Boże! Toż to skóra i kości, niewiele wyobraźni trzeba, aby dojrzeć w nim szkielet. Jaki sens ma cała ta szarpanina, wszystkie te starania, by sobie dogodzić? I tak na koniec człowiek ląduje sam, w ponurym miejscu takim jak to: cuchnącym lizolem i szczynami, starością i grzybem.

Jedyny sposób, w jaki można się przed tym uchronić, to pieniądze. Trzeba zbierać ich jak ---najwięcej, a potem na starość się opłacać, prawnie zagwarantować sobie jakoś opieki. Może w domu starości gdzieś w Szwajcarii? Tylko któż chciałby umierać pośród obcego szwargotu, bez czujnego nadzoru własnych dzieci? Tylko one mogły zagwarantować kuratelę, dojrzeć, czy ktoś obcy nie krzywdzi.

Nagle rozszalała przez koszmarnie wonie wyobraźnia podsunęła mu wizję siebie samego w szwajcarskim kurorcie po wylewie, powalonego paraliżem. Kto by się za nim ujął? Który z braci by się do niego pofatygował?

Piotruś? Ten matoł niewidzący na metr przed własnym nosem dawno już stoczy się w niebyt. Zostanie w Niedźwiedzim Rogu, skapcanieje, zmarnuje dom, rozkradną mu to wszystko, rozwłóczą. Za dwadzieścia lat upodobni się do miejscowych pijaków, będzie siedział pod płotem z butelką piwa albo całkiem pozbawiony uzębienia zacznie handlować przy drodze grzybami i jagodami.

Mati? Na myśl o średnim bracie na zaciętej twarzy Pawła pojawił się wyraz ponurej zadumy. Nie zamierzał zmieniać się we własnego ojca i zamartwiać tym

durniem. Jak to możliwe, że trzeba się było obawiać o złotego chłopca, w którego zainwestowano tyle czasu i – jak by nie patrzeć – pieniędzy? Oprócz nauki na Uniwersytecie Warszawskim, studiował marketing na Oksfordzie i robił studia podyplomowe na kosztownym jak sto diabłów UCL. Złoty chłopiec odnosił wszelkie możliwe sukcesy: towarzyskie, zawodowe, a potem finansowe. Kochały go wszystkie kolejne kobiety, począwszy od babki Wencłowej, poprzez matkę i całą resztę, która zjawiała się później.

Jego – Pawła – nikt nigdy nie kochał. Owszem, podobał się kobietom na pierwszy rzut oka (zresztą Bóg raczy wiedzieć dlaczego, sam siebie uważał za raczej przeciętnego), zanim lepiej go poznały. Potem odstręczały je jego domatorskie upodobania, stabilność emocjonalna, jego, hm, przyzwoitość, skrupulatność, niechęć do hulanki. W przeciwieństwie do brata, nie miał w sobie ani kropli ryzykanctwa czy autodestrukcji.

O tak, dobrze to teraz ujął – Mati był w jakimś stopniu autodestruktywny. Czy właśnie to podobało się kobietom, które ponoć tak pragnęły stabilizacji? Które uważały się za bardziej pragmatyczne od mężczyzn? Jeśli Mateusz rzeczywiście miał w sobie takie inklinacje, to...

Obecnie Paweł miał to w nosie. Niech każdy odpowiada za siebie. Jeśli dane mu będzie się wylizać, odetnie się od nich wszystkich i pójdzie zupełnie inną drogą, z dala od tej piekielnej rodziniki, trosk, od obciążeń. Zrobi, o co poproszą, ale nigdy więcej nie będzie się tym zamartwiał, o ile tylko będzie mu dane opuścić te mury bez szwanku.

Zresztą Mati zawsze miał łeb do interesów, a powszechnie wiadomo, że kto umie zadbać o forszę, nie zginie. Tak zawsze jest, czyż nie?

Przyspieszył kroku, potrząsając głową, jakby opędzał się od chmary owadów. Korytarz był kompletnie opustoszały, drzwi do poszczególnych szpitalnych pokoi lekko uchylone, tylko z dyżurki pielęgniarek wylewał się prostokąt światła. Minął dyżurkę i lekko zasapany dotarł do toalet umiejscowionych na końcu korytarza.

Cholera, jak daleko do tych ubikacji! A gdyby miał czterdzieści lat więcej? Jakże by się tam dowlóknął w środku nocy, zmożony chorobą? Pewno zrobiłby w gacie i do rana czekał w mokrym wyrze na pomoc. Tylko pieniądz i... własne potomstwo mogą w jaki taki sposób zapewnić człowiekowi godziwą starość. Choć może niepotrzebnie tak się o nią troszczy, bo zapewne już jutro okaże się, że nie będzie mu dane jej dożyć.

I na samą myśl o byciu pozbawionym czegoś, co według niego święcie mu się należało, poczuł silny gniew, który pod wpływem motywów nie całkiem racjonalnych szybko przemienił się w lękliwą obawę przed prowokowaniem opatrności. A licho tam wie, czy aby na pewno sam Pan Bóg go w tej chwili nie słucha, nie testuje. Gdzie jak gdzie, ale tu na pewno jest więcej Pana Boga niż

w innych miejscach. Tu wszyscy dookoła przyzywają go, modlą się, błagają, a wszystko to nadaremno, nadaremno!

Z hukiem otworzył drzwi łazienki i natychmiast spojrzał prosto w swoje odbicie w lustrze wiszącym nad pordzewiałą umywalką. Potężny, zwalisty mężczyzna z rzędnącymi włosami, w rozchełstanej piżamie, ze znakiem zapytania w oczach. Tak. Wiek nie omija nikogo. Nie oszczędza nikogo. Jedna tylko dusza nieczysta, zapewne mająca konszachty z kosonogim, nie starzała się, nie wiedła, jakby podpisała cyrograf.

Widział ją niedawno, choć udawał, że nie zauważył, zwrócił głowę w drugą stronę. Szła po sopockim moło w płóciennej szarej sukience do kolan, w białych sandałkach, w szarym kapeluszu z dużym rondem i ciemnych okularach, eskortowana przez faceta, który nie wyglądał bynajmniej na przeciętnego Kowalskiego. Znów spadła na cztery łapy?

To miały być jego jedyne, dość krótkie lipcowe wakacje, ponieważ bał się w okresie boomu opuszczać na dłużej kancelarię, aby mu te jego głąby wszystkiego nie roztrwożyły. Jednak po tym przypadkowym spotkaniu (byli wtedy świeżo po rozwodzie, choć na sali sądowej nie widzieli się ani razu) skrócił pobyt do dwóch dni. Nie zamierzał ryzykować i wpaść na nią po raz drugi. Zresztą i tak nie bawił się dobrze. Samotne włóczenie się po tym rozpasanym, tętniącym życiem kurorcie nie sprawiało mu nawet krztyny przyjemności.

Tysiące rozbawionej, rozhukanej młodzieży na wirującym od wściekłych barw Monciaku. Krzyżące gęby, łyse łby, pomarańczowe pazury, a wszystko toto nosa zadzierało, jakby było Bóg wie czym! Aż się wzdrygnął na myśl, że on miałby tu kogoś poznawać, uwodzić. Te gówniary zaprawione alkoholem stanowiły raczej zagrożenie, mogłyby człowieka pobić, poturbować. Doprawdy o czym myślał durny notariusz, namawiając go na ten wyjazd? Wyobrażał sobie, że Paweł miałby tu kogoś poznawać?!

W przypiływie emocji po trzech lampkach wina wypitych samotnie na zacisznym tarasie hotelu Bristol, z dala od tej wścieklej trąbiącej menażerii, po dwóch godzinach wpatrywania się w szarozielone morze nawet zapragnął dzwonić do Agi. W końcu jednak nie uległ impulsowi i całe szczęście. Niedługo potem notariusz powiedział mu, że ją z kimś widział. Dostał za swoje, został z niczym.

Ulżywszy sobie, starannie umył dłonie i dręczony przez najczarniejsze wizje, powoli włókł się w stronę pokoju, starając się omijać uchylone drzwi, nie zaglądać do środka, nie wpatrywać się w tkwiące w przybrudzonych kołdrach udreżone twarze.

Leżał już z powrotem w łóżku, w pasiastej piżamie, dookoła posapywali towarzysze jego niedoli. Piekielne miejsce. Parszywe, brudne. Linoleum liźnięte przez płyn, a w rogach czarno od zasiedziałego brudu.

Aga była taka czysta, sumienna, taka zwinna. Może i nie była tą, którą sobie

wymarzył, ale coraz bardziej dochodził do wniosku, że nie tak buduje się ognisko domowe. Inni, zapewne sprytniejsi od niego, już dawno pozakładali rodziny, mieli dzieci. Może wychodzili z założeń bardziej, hm, pragmatycznych. Przecież nie każdy z jego znajomych brał ślub z prawdziwej ... hm.

To romantyczne zapatrywanie na świat sprowadziło go na prawdziwe manowce!

On, romantyk? Zdumiony, aż podniósł się na łokciu, jakby prowadził z kimś zagorzałą dysputę. On – zapobiegliwy, skrupulatny i ostrożny – miałby być tym romantycznym, a namiętny, pociągający, pełen życia Mati – tym wyrachowanym, zimnym, niekochającym nikogo prócz siebie? Przeklęta ironia losu.

Nie. To zbyt proste uproszczenie. Ludzkie dusze i charaktery nie dadzą się ująć w żadne ramy, wymykają się wszelkim opisom. Motywy działań ludzi są tak złożone i skomplikowane, że sam Freud nie doszedłby do ich korzeni. A on działa w tej chwili pod wpływem rozumu, nie serca. To przecież potrzeba, rozsądek, koniunkturalizm nakazują pospiesznie wzywać Agę.

Uspokojony co do swojej natury, znów opadł na poduchę i chwilę leżał z przymkniętymi powiekami.

Nie, Mati nie jest ze szczętem pozbawiony uczuć, Paweł niesprawiedliwie go chyba osądził. Przecież troszczył się o syna. To dla dobra dziecka zrzekł się prawie całego majątku, wbrew jego, Pawła, zaleceniom. Przyzwoitość przyzwoitością, ale trzeba było mieć coś jeszcze w zanadrzu. Na razie prawa do opieki nie zostały ustanowione; niby matka dziecka godziła się, by Mati widywał chłopczyka dwa razy w tygodniu i nie robiła z tego tytułu problemów, ale dopóki sąd nie wydał postanowienia, nie trzeba się wyzybywać wszystkich atutów. Tymczasem ten matole, zapewne gnany poczuciem winy, podpisał wszystkie stosowne dokumenty rozwodowe według jej dyktanda – zostawiał jej prawie cały majątek, sobie zatrzymując jedynie konto, przy czym nikt dokładnie nie wiedział, jaki jest jego stan. Jednak ile by nie miał na koncie, nie należało tak pochopnie...

Toż to łóżko chyba ma połamane szczeble, nie sposób znaleźć wygodną pozycję!

Owszem, Mati postępował wobec Karoliny haniebnie, a sposób, w jaki się dowiedziała...

Paweł gwałtownie przekręcił się na drugi bok. Nie usnie w ten sposób. Wcisnął guzik dzwonka, aby przywołać tę larwę, pielęgniarkę. Niech dadzą mu coś na uspokojenie. Ależ w tych szpitalach grzeją, całą piżama jest mokra od potu.

Po piętnastu minutach otyła kobieta w kitlu łaskawie powróciła z dużą niebieską ampułką, lecz nie chciała udzielić bliższych informacji dotyczących działania leku. „Nasenny” – rzuciła z nienawiścią, obrażona, że musiała fatygować cztery litery w tak błahej sprawie jak czyjeś nieopanowanie.

On – nieopanowany! Połknął tabletkę z wściekłością, mało się nie dławiąc.

Jeszcze chwila tych męczarni i odpłynie, o ile lek jest odpowiednio mocny. Całe to oszczędzanie na szpitalach – wcale by się nie dziwił, gdyby podali najłabsze gówno z minimalną ilością substancji aktywnej, czy jak to się nazywało.

Baran, ten Mati. Baran.

Po co w ogóle dopuścił do takiego rozwoju sytuacji? Czemu pozwolił sprawom wymknąć się spod kontroli? Żona, kochanka i taki finał. Z drugiej strony, czy można go było winić za taki nieszczęśliwy splot wydarzeń? I czy on, Paweł, musi troszczyć się o wszystkich? Czy ktoś martwi się teraz o niego? No właśnie... Byłby ktoś taki, a gdyby on sam nie....

Wpatrywał się przed siebie, jakby siłąc się, by zrozumieć.

Chyba zaczęła działać ta cholerna tabletki, bo ni z tego, ni z owego uznał, że wysłanie Adze o trzeciej w nocy informacji o pobycie w szpitalu na Banacha to nie najgorszy pomysł. Wpadł mu do głowy znienacka, ale chyba już wcześniej musiał być tuż pod powierzchnią świadomości, bo pod wpływem leku otumaniającego wypłynął niemal natychmiast jak oliwa spod wody.

Ona kiedyś go kochała.

Po krótkim namyśle chwycił za telefon, wpisując krótką informację, po czym zamarł w oczekiwaniu.

Czas mijał, a odpowiedź nie nadchodziła. Mężczyźni pochrapywali, jeden kręcił się pod kołdrą, jakby dręczony koszmarem. Jarzeniówki oświetlające pokój delikatnie mruczały, ich światło odbijało się w wielkiej przybrudzonej szybie, a razem z nim odbijał się obskurny pokój, a może raczej karczer oraz on – starzejący się pan w piżamie szpitalnej, którego włosy już nie były gęste, a zakola wyraźnie się powiększyły. Za oknem było czarno, to była czerń polskiej nocy, nieprzenikniona, mglista, smutna, gdy niebo jest całe zasnutę całunem chmur.

W końcu, wyczerpany majakami, nerwami, czekaniem, Paweł zasnął.

Wyrwano go ze snu po trzech godzinach. Zapalono wszystkie lampy, choć była dopiero siódma rano. Czynności następowały taśmowo, jedna po drugiej. Pobór krwi, tomografia, rezonans, a na koniec ankieta przeprowadzona przez parę studentów, zbierających dane do badań dotyczących wpływu papierosów na ludzkie zdrowie. Zanim minęło południe, z bojowego chojraka niewiele zostało, zrównał się ze swoimi współlokatorami i ani się obejrzał, jak z utęsknieniem wyglądał chwili cuchnącego obiadu – mięsa polanego gęstym białym sosem.

Zjadł z apetytem, podziękował gderliwym salowym i nawet przestał się dopraszać o tabletki uspokajające. Albo zobojętniał, albo dawka, którą zaaplikowano mu w nocy, tępnęła nim tak, że przestał się denerwować.

Otępiały, karnie czekał na następne nieprzyjemne czynności, na dalsze wyniki. Już nie przyszło mu do głowy, żeby zadzwonić do kogoś z rodziny czy się przenieść do prywatnej kliniki. Jeśli go rugali, to pewnie mieli ku temu powody, bo w innym szpitalnym pokoju leżał pacjent daleko bardziej cierpiący niż Paweł, a na

stole operacyjnym właśnie ktoś zszedł. Jeśli żarcie było nieznośne, to z powodu kłopotów z NFZ-em, a nie z ich winy. Przecież ratowali ludziom życie!

Jednym słowem, czy z powodu niebieskiej tabletki, czy za sprawą obserwacji poczynionych od rana, spokorniał, skapcaniał, dał się złamać i nawet odczuwał pewną ulgę. Nawet informację, że wyniki tomografii dostanie dopiero w poniedziałek, przełknął gładko, pokornie kiwając głową.

Jedyne, co go nurtowało, to że wysłał Agnieszce SMS-a. Jak mógł być tak nieostrożny, jak mógł się tak obnażyć! Naraził się na śmieszność. Trzeba było po lekach schować telefon. Po raz kolejny zmierzał w stronę toalet, znał już trasę na pamięć, kojarzył nawet parę twarzy. Traktował to jako swoisty spacer, rozrywkę. Jak się okazało, do wszystkiego człowiek może się przyzwyczaić. Prawdopodobnie gdyby jechał pociągiem na Kołymę, też odnalazłby tam...

A cóż to? Zamrugał oczami zdumiony. Od wind szybko szła znajoma dziewczęca postać, machając do niego rękami. Zamarł, nerwowo przeczesał niemyte włosy, szybko obciągnął piżamę, upewnił się, że guziki były pozapinane, wciągnął wystający brzuch, nieświadomie stanął prościej.

Tymczasem ona biegła już do niego, tak świeża i ładna, że jakiś sunący korytarzem starzec omal nie przewrócił się o własny balkonik. Paweł chciał wyciągnąć do niej ramiona, ale czuł się niezręcznie, niezgrabnie. Stał więc ze zwieszonymi rękami, a po chwili wpakował je do kieszeni paskudnego szlafroka. Na ten gest Aga zwolniła, zatrzymała się w odległości pół metra.

– Przybiegłam, jak tylko przeczytałam wiadomość.

Ależ wygląda! I mówią, że nie szata zdobi człowieka.

– Niepotrzebnie narobiłem rabanu – odparł, umykając wzrokiem, ale ona nagle wzięła go pod ramię.

– Mów, prędko, co się dzieje! Czy to coś poważnego?

Ton jej głosu był intymny, pełen współczucia, ale i taktowny. Och, jakież był ślepy, niegdyś odrzucając taki kasek. Ładna, młoda i zdrowa, do tego serdeczna, uprzejma. Gdzie on miał oczy?

– Pewnie oderwałem cię od obowiązków, niepotrzebnie zawracam ci głowę – zaczął przebiegle.

– Przejdźmy się korytarzem i wszystko mi opowiesz – postanowiła.

Miotany sprzecznymi uczuciami, zapanował nad sobą na tyle, żeby nie zdradzić się bardziej, niż to robił do tej pory. Wyprostowany, opowiedział jej całą historię beznamiętnie, usiłując bagatelizować sytuację, pokpiwać z podejrzeń lekarzy. Słuchała uważnie, z nieodgadnioną miną. Może nie chciała go niepokoić swoimi podejrzeniami na temat stanu jego zdrowia? Któż to mógł wiedzieć. Popatrywał na nią badawczo, dyskretnie, starając się wyczytać coś z jej twarzy, ale nie odnalazł w niej dawnej spontaniczności.

Nie zdążył jeszcze odpowiedzieć na jej drugie pytanie, gdy z windy, którą

właśnie mijali, wyskoczył elegancki młody człowiek w chudym jak śledź krawacie, niemal na nich wpadając, jakby nie spodziewał się kogokolwiek zastać. A jednak! Doskonale mu znany z tamtej pamiętnej imprezy Sienicki, który przez te parę miesięcy najwyraźniej nie tracił czasu!

Na widok Pawła i Agnieszki idących pod rękę, ewidentnie odjęło mu mowę.

Paweł, niepewny, jak ma się zachować, odsunął się od Agi, po czym zazezował w jej stronę i dostrzegł na jej twarzy wyraz zaskoczenia.

– Miałeś czekać w samochodzie!

Jak to było powiedziane? Z oburzeniem, zaskoczeniem, przeprasząco? Czy Sienicki, który miał czekać w aucie, wiedział, kogo Aga odwiedzi?

– Dzień dobry – rzucił w kierunku Pawła, a następnie odezwał się do Agi nieco wyzywająco: – Udało mi się znaleźć miejsce parkingowe i oto jestem!

Sienicki najwyraźniej ani myślał się ruszyć z miejsca. Wyglądało to tak, jakby gotował się do pojedynku na pistolety, i tylko żaloszny wygląd przeciwnika zdawał się wzbudzać w nim pewne skrupuły, stał więc z głupią miną, nie mając pojęcia, co myśleć o tym, na co patrzył.

Paweł miał tego serdecznie dość. Chciał wycofać ramię, ale Agnieszka je przytrzymała.

– Poczekaj, proszę, w samochodzie! – rzuciła z naciskiem w stronę Sienickiego.

Przez chwilę patrzyli na siebie w napięciu. W końcu młody przystojniak, kojarzący się Pawłowi ze szczególnym typem ludzkim, który w latach dziewięćdziesiątych jeździłby co sobota do wypożyczalni wideo, a w niedziele grywałby w tenisa, zaciągnął poły skórzanego płaszcza i ciskając z oczu gromy, przywołał windę.

Chwilę jeszcze trwali w tym komicznym trio, podczas gdy Sienicki wściekle wgapił się w zmieniające się cyfry, zwiastujące rychłe przybycie windy. Aga skupiła wzrok na linoleum, a Paweł wpatrzył się w słomiany pajak, na którym tkwiła zakurzona paproć.

W końcu rozsunęły się drzwi windy, ukazując dwie pielęgniarki, jedną ładną, drugą brzydką, transportujące puste łóżko. Sienicki wszedł do windy z pewnym wahaniem, jakby obawiał się zarazić cholerą, po czym rzucił Agnieszce jeszcze jedno poważne spojrzenie i szczęśliwie zniknął za metalowymi drzwiami.

Paweł i Agnieszka stali w krępującym milczeniu. Zazdrość Sienickiego oznaczałaby zasadność roszczenia sobie wobec Agi pewnych praw. Prawdopodobnie każdy facet tak by to odebrał, ale nie Paweł Wencel. Stał więc nachmurzony, nie wiedząc, co ona myśli, co zamierza.

– Idę do twojego lekarza prowadzącego zasięgnąć języka – zakomunikowała, przerywając milczenie.

– Nie fatyguj się, wyniki będą po weekendzie.

Jakże gorzko, jak odpychająco zabrzmiał jego głos.

– Wiesz, jak się nazywa?

Proszę! Teraz i ona przybrała wrogi ton.

– Kopek.

– Jaki jest numer twojego pokoju?

– Trzysta dwadzieścia dwa.

Okręciła się na pięcie i poszła, przypadkowo zapewne kierując się we właściwą stronę. Śledził przez chwilę jej zgrabną figurę maszerującą dziarsko, gotową wydrzeć wyniki z dziewiątego kręgu piekieł. Przez moment bezwiednie się uśmiechał, po czym w jednej chwili uśmiech zgasł mu pod wpływem podejrzeń co do wagi tego, co przed chwilą oglądał.

Cholera jasna, czy człowiek po takich przejściach jak on zasługuje, żeby znów czuć się jak na szpilkach? Nie dość, że tkwi w cholernej niepewności, to jeszcze ta nieznośna gówniara zapewne wydobędzie wyniki, i to nie w poniedziałek, nie po weekendzie, ale teraz, zaraz. I on dowie się najgorszego. Zejdzie z niego powietrze i niczego prócz zdrowia nie będzie już pragnął. Jednak póki nadzieja jeszcze się tli, chciałby wiedzieć, czy ona na poważnie wdała się w znajomość z tamtym mydłkiem.

Gołym okiem było widać, że tamten jest zaangażowany. Cholera jasna, że też żerujący na sukcesach rodziciele, wysiadujący po kawiarniach i zbijający baki nierób, odkrył walory takiej Agi. Lepiej wzięłyby się za którąkolwiek z tych lalek, koleżanek z ichniej „paczki”! Z drugiej strony, jeśli doceniał Agę, świadczyło to o nim nie najgorzej. Może nawet nie był typem, którego Paweł naszkicował sobie w myślach.

– Co pan taki czerwony, panie Pawle? – zagaił wesoło tęgi, gdy wrócił do pokoju. We dwóch uruchomili telewizor na żetony i oglądali serial. – Siada pan z nami!

Paweł podziękował, ale zamiast się położyć, niespokojnie kręcił się koło łóżka. Przez głowę przelatywały mu myśli absurdalne – szacował swój majątek i choć był on niemały, pewnie nie mógł się równać z tym, co tamten darmożjad dostanie za nic od swojego ojca złodzieja. Stary Sienicki robił w Orlenie i zapewne niemało tam nakradł. Paweł miał ostatnio pewne widoki i możliwości, w dodatku zarobił pieniądze, ciężko i uczciwie pracując. Ale kto dziś patrzy na takie rzeczy, kto to docenia!

– Co pan mówi? – Starsi panowie gapili się na niego ze zdziwieniem.

– Nie, nic.

Cholera, musi się wziąć w garść. Wszystkie plany, projekty i tak wiszą na włosku, uzależnione od wyniku przebrzydłej tomografii. Kto wie, jakie ścierwo w nim siedzi.

Zdenerwowany, to czerwieniał, to bladł. Nie chcąc, by współlokatorzy

zwracali na niego uwagę, stał do nich tyłem, wlepiając wzrok w okno, wodząc oczami po smętnych szarych dachach. Nagle zazgrzytała klamka i otworzyły się drzwi. Obrócił się na pięcie i w skrajnym napięciu próbował wyczytać coś z twarzy stojącej w progu Agnieszki.

– Masz je?

– Mam. – Oczy błyszczały jej radością.

– Mów! – wychrypiał z przejęciem.

Jak do żony, jak do własnej żony.

– Głupstwo! – Szła ku niemu, mijając łóżka, wymachując kartką. – Zwapnienia pozapalne. Nic groźnego.

Objął ją mocno, wtuliła się w jego pasiastą piżamę, tkwili w milczeniu przy brudnym parapecie. W pokoju było słyhać tylko bzdetną reklamę. Jeden z mężczyzn uprzejmię pogłósnił, ale Paweł nie dostrzegał tego, patrzył nad głową Agi na ten sam krajobraz.

Zaczęła dzwonić schowana w torebce komórka Agi. Paweł natychmiast się odsunął, aby mogła odebrać. Widać telefonowała ta menda, bo Aga wyszła na korytarz.

– Żona? – na w pół spytał, na w pół stwierdził tęgi.

Dałby Bóg.

Zanim zdążył odpowiedzieć, do pokoju wszedł Kopek, zgrywając ważniaka, i zaczął klarować Pawłowi, że w zasadzie może się wypisać na własne życzenie, a po resztę dokumentów przyjechać w poniedziałek. Dupek. Gdyby nie Aga, trzymaliby go tu w niepewności jeszcze dwa dni. Paweł spakował się, wyjął ubranie i poszedł do łazienki, żeby się przebrać. Gdy wyszedł na korytarz, starał się mieć w miarę obojętną minę, lecz był to próżny trud, Agi nie było widać. Czyżby ten rozwydrzony goguś ściągnął ją na dół?

Niepewny, co to wszystko mogło znaczyć, w łazience nerwowo zdzierał z siebie pasiaste paskudztwo, szybko wkładał koszulę. Pomięta, bo pomięta, ale przedniej jakości. Prędko umył zęby, odświeżył się i czując o niebo pewniej, bez przykrości przyjrzał się sobie w lustrze, po czym nie tracąc czasu, wyszedł na korytarz i ruszył w kierunku pokoju, rozglądając się dyskretnie i z niezadowoleniem konstatując, że Agi nadal tam nie było.

Jak huragan wpadł do pokoju.

– Pańska żona pana szukała – z pośpiechem doniósł mu tęgi.

– Co jej pan powiedział? – Jakieś dziwne napięcie musiało się malować na twarzy Pawła, bo obaj mężczyźni uśmiechnęli się wyrozumiale.

– Że poszedł pan się przebrać – padła oczywista odpowiedź.

Hmm. Wszystko i tak się niebawem rozstrzygnie, nie było co robić z siebie pajaca. Jeżeli poszła do Sienickiego, by go uspokoić i wyjaśnić, że odwiedziła Pawła przez wzgląd na starą przyjaźń, zapewne on sam też wkrótce się o tym

dowie. Nie miało sensu robić przedstawienia. Jeżeli zaś zeszła, aby mu kazać odjechać...

Nerwowo pakował laptopa, potem przypomniał sobie o uprzejmości obu mężczyzn. Z wolna okręcił się na pięcie i obrzucił ich lekko nieprzytomnym spojrzeniem. Wychudzony nadal leżał nieruchomo, ale dwaj pozostali patrzyli na Pawła z oddaniem. Ich sytuacja nie mogła się równać z jego położeniem; on wychodził, oni zostawali. Mimo to zachowywali się ze spokojną godnością, a nawet z życzliwością.

Za chwilę rozstrzygnie się ważny etap w życiu Pawła, ważą się jego losy. Nie wątpił, że ona podejmowała teraz decyzję, widział to w jej oczach, gdy stali pod oknem. Ta brzemienna napięciem sytuacja rozwiąże się w ciągu najbliższych piętnastu, może dwudziestu minut. Przeczował, że nawet jeśli Aga woli tego obiboka, powie mu o tym otwarcie. Teraz, mimo tłukącego pulsu i pocących się rąk, musi zachować spokój.

– Panowie, jestem radcą prawnym. Jakbyście potrzebowali porady, z chęcią pomogę. Bezinteresownie oczywiście. – Położył im wizytówki na stolikach.

– Niech pan nie będzie taki hojny. Ma pan rodzinę na głowie. – Tęgi zaśmiał się, obracając wizytówkę w dłoniach.

I oby to była szczęśliwa wróżba. Pożegnał się skwapliwie, jakby od poziomu czołobitności zależały jego dalsze losy. Szedł korytarzem, kłaniając się naokoło, kiwając głową nawet aroganckiemu Kopkowi.

Czekał na windę, niecierpliwie podrygując nogą. Znajdował się teraz w skrajnym napięciu nerwów, bał się, że Aga już odjechała, bo może chciała się rozmówić z tym gnojem na osobności. A nawet jeśli czekała na niego na dole, to wcale nie oznaczało niczego dobrego. A nuż sprawy z Sienickim zaszły za daleko i nie mogła się wycofać? Minęło wiele miesięcy. Porozumienie, które wziął za dawne uczucie, mogło wynikać z tego, że dobrze się znali, a przyływ czułości z faktu, że obojgu ulżyło na widok wyników.

No, gdzie ta winda?

W końcu rozsunęły się drzwi. Wsiadł, niespokojnie poprawiając włosy. Wreszcie parter. Wyskoczył i popędził długim korytarzem, uskakując z drogi transportowanym łóżkom, mijając chorych w pastelowych szlafrokach, rozglądając się gorączkowo. Przepatrzył kłębiący się przy szatni tłum, ale nie dostrzegł Agi. Zdawało mu się, że minęły wieki, zanim wydano mu płaszcz. Odziany przyzwoicie, niemal wypadł przez obrotowe drzwi na zewnątrz. Stały dziesiątki aut. Czy siedziała z Sienickim w jednym z nich? Czy stamtąd mogła go dostrzec?

Przybrał obojętną minę i na wszelki wypadek postanowił zapalić papierosa, niepomyślny na przyrzeczenia, które złożył opatrności w razie pomyślnego rozstrzygnięcia w kwestii zdrowia. Postawił teczkę między nogami, oparł się o przybrudzony tynk i z miną wielce niezależną palił, czujnie rozglądając się na

boki. Tłum się przelewał, gromady ludzi wchodziły i wychodziły ze szpitala, był przecież dzień odwiedzin – sobota.

W końcu zobaczył ją w oddali, idącą wolno od strony parkingów płatnych, pogrążoną w przemyśleniach, których treści nie mógł znać, a jednak liczył... chciał... Czyżby odprawiła tego palanta i szła teraz w jego kierunku niepewna, czego się spodziewać? Natychmiast wyrzucił przeklętego papierosa i ruszył w jej stronę. Stanęli naprzeciwko siebie. Spojrzała poważnie, trwożnie, ale tym razem on rozumiał wagę tego niemego pytania. Wciąż jeszcze do niego należała. To jemu oddawała decyzję co do swojego dalszego losu – jej dalszy los był teraz w jego rękach! O szczodrobliwy losie! O nieprzebrane uroki świata! Jaki durny był jeszcze wczoraj, kwestionując sens istnienia! Nie czekając ani sekundy dłużej, chwycił ją w ramiona i trzymał mocno, nic nie mówiąc, za wszelką cenę usiłując opanować idiotyczne wzruszenie, które ścisnęło go za gardło.

Zatruta studnia

Już blisko rok trwał romans czterdziestoparoletniej posłanki PN-u, Beaty Rząsy-Pracz, z piętnaście lat młodszym od niej Mirosławem Kwaśniakiem. Skutkiem tego troskliwie pielęgnowanego i głęboko skrywanego związku była zasadnicza przemiana zewnętrzna, a i nie miała wewnętrzna, pani poseł.

Kobieta z wolna osuwająca się w mroczną czeluść wieku średniego, schudła nagle dobrych dziesięć kilogramów. Rozjaśniła i zapuściła włosy, które spływały teraz sztucznie zagęszczonymi kaskadami na wcale niegrube plecy. Zainwestowała trochę grosza publicznego w medycynę estetyczną i choć żyła w stałej obawie, aby żaden audyt nie przyjrzał się bliżej jej rozliczeniom poselskim, nie mogła powiedzieć, by tego spontanicznego porwyu żałowała.

Efekty były zdumiewające. Botulina i skalpel rzeczywiście czyniły cuda. Czasem w ciemnych wnętrzach wyglądała nieomal jak równolatka Mirka. Koledzy partyjni prawili jej komplementy, a nieświadom interwencji chirurgicznych Mirek składał jej odmieniony wygląd na karb udanego związku i własnego dobroczynnego wpływu.

Jedynym, który zdawał się nie zauważać niczego, był o dwa pokolenia starszy od Beaty mąż – Mikołaj Pracz. Niegdyś gwiazda warszawskich salonów i bynajmniej nie drugoligowy aktor teatru, a dziś sześćdziesięcioośmiolatek odsunięty na boczny tor przez drapieżnych młodych kolegów po fachu, zdawał się nie dostrzegać metamorfozy żony.

Dawniej przystojny i brylujący wśród kobiet, teraz spędzał całe dni, jak mawiał, „pitrasząc w spokoju”, przepasany fartuchem albo zatopiony w lekturze, chłonąc na pół oślepyłymi oczami kolejne tomy, i zapadniętymi, jakby wessanymi do środka policzkami ciągnąc papierosa za papierosem.

Mimo że kiedyś on był kimś, a ona tylko dziewczyniną bez matury, z dwiema sukienkami w kraciastej torbie, z którą pewnego czerwcowego dnia przyjechała pekaesem do stolicy, chociaż to on wprowadził ją na warszawskie salony artystycznego światka, z którym ona nigdy się nie zasymilowała, dziś to ona przynosiła do domu pieniądze.

Dawniej, gdy on był rozchwytywany, kiedy bawił piękne aktorki antykomunistycznymi dowcipami, ona cierpiała męki zazdrości, zajęta niańczeniem dzieci. Gdy zdarzało jej się wyjść z nim wieczorem, czuła się jak piąte koło u wozu. Nie trawiła czarno-białej twórczości Bergmana, o której znajomi Mikołaja rozprawiali z pretensjonalną pasją. Mylił jej się Forman z Antonionim, a Count Basie z Dukiem Ellingtonem. Nie bawiły jej wydumane dowcipy Woody’ego Allena, a kino Buñuela budziło u niej jawną wrogość. Wszak nikt o zdrowych zmysłach nie mógł oglądać tego z własnej woli, a każdy, kto twierdził, że tak, musiał być najperfidniejszym, pseudointelektualnym pozerem.

Partyjki brydża były jej odwiecznym koszmarem, a wieczorki literackie torturą, która zabierała jej życiu połowę uroku. Bo cóż z tego, że miało się rozpoznawalnego aktora jako męża, jeśli spędzanie czasu u jego boku wiązało się z ciągłymi upokorzeniami podczas niekończących się popijaw w ich domu przy Różanej? I cóż z tego, że Praczowie za komuny kupowali w peweksie i jeździli na wakacje do Grecji, skoro zawsze ciągnęły się za nimi koszarne cienie: jazzmani, muzycy, dźwiękowcy, wśród których niezmiennie czuła się obco, a przysłuchując się ich dysputom, siedziała jak na tureckim kazaniu? I cóż z tego, że za komuny mieli w lodówce coca-colę i dewizową wódkę, skoro w każdej chwili do ich gniazdka mógł wtargnąć jakiś aktorzyzna obszczymur i sięgnąć do lodówki po te pieściwie przechowywane wiktuały jak po swoje, wiedząc, że ten safandula Mikołaj nigdy nikomu złego słowa nie powie? A potem ci nieproszeni goście rzeli jak nienormalni w ogródku, rozbierając się do golasa, tańcząc z szablami i Bóg wie co tam jeszcze wyczyniając, ku oburzeniu wyglądających z okien sąsiadów.

Choć wtedy była młoda i żyli na wysokiej stopie, owe czasy wspominała jako horror. Dopiero ze zmianą stroju owa kipiela energii twórczej w kompanii Mikołaja zaczęła przygasać. Rozpoczął się rozłam w szeregach, jedni czepiali się komercji, a drudzy ich za to piętnowali, oskarżali się, tępili nawzajem, jednym słowem słabli, pękali od środka, ginęli. I dobrze!

Nadchodziło nowe i choć oni wszyscy potępiali je w czambuł, Beacie to nowe podpasowało. Nigdy by się do tego nie przyznała (wszak po latach obcowania z tak zwaną elitą nauczyła się trochę ich języka i wiedziała, co należy powiedzieć, a co zmilczeć) ulżyło jej, że nie mogli już uchlewać się w jej ogródku i recytować na golasa Skamandrytów. Byli zbyt zajęci ogonkowaniem w castingach, spłacaniem kredytów lub organizowaniem barterowych wymian dóbr.

W tym nowym Mikołaj zupełnie się pogubił, jego gwiazda przygasała, a że i tych przeklętych koleżków diabli wzięli na różnorakie sposoby, nie miał żadnego punktu zaczepienia. Grywał jeszcze okazjonalnie halabardników na deskach zapy-ziatego teatru, ale najwięcej czasu spędzał przed telewizorem, tryskając jadem na kolegów, którym w nowej rzeczywistości powiodło się lepiej. Te uwagi na temat młodszych kolegów po fachu, grających w kasowych produkcjach nie najwyższych może lotów, byłyby nawet czasami zabawne, gdyby nie rzeczywistość w postaci dwóch dorastających synów, którzy nic nie wiedzieli na temat życia cyganerii artystycznej.

Nieobojętnym był również fakt, że Mikołaj miał dwie córki z poprzedniego małżeństwa, a nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności poprzednia żona też była niezależną moralnie aktorką, która nigdy nie zhańbiłaby się udziałem w komercyjnym przedsięwzięciu. Alimenty szybko pochłonęły całe dewizowe oszczędności Praczów. Skończyło się tym, że Beata na gwałt musiała szukać pracy,

bo inaczej, jak to wtedy ujmowała podczas wielogodzinnych nocnych awantur, „wszyscy pozdychaliby z głodu”.

Po gorączkowych poszukiwaniach Beacie znaleziono zajęcie. Zaczepiła się przy biurze poselskim, zaczynała jako sekretarka, parzyła herbatę. Szybko jednak okazało się, że ma talent przywódczy, i jej kariera nabrała tempa. Ani się obejrzeli, jak znalazła się na listach wyborczych, a gdy jej formacja doszła do władzy, była już jedną z pierwszych twarzy PN-u. Potem nauczyła się oszczędzać na różnych przedsięwzięciach. Zaczęła zarabiać.

W życiu państwa Praczów nastąpiła radykalna zmiana. Beata przejęła inicjatywę, a mąż, tonąc w lekturach, przyjmował wszystko z nowo wypracowanym filozoficznym cynizmem, jakby zajęty sprawami ducha, na wieki wzgardził materią. Wzgardził nią do tego stopnia, że nie dostrzegł momentu, kiedy żona przestała zrzędzić i wzgardliwie wruszać ramionami w jego kierunku. Gdzieś umknęła mu chwila, gdy zaczęła się ubierać staranniej i częściej się uśmiechać. Nie wzbudziły jego czujności nawet wybuchy pensjonarskich chichotów dochodzące z łazienki podczas prowadzonej przyciszonym głosem rozmowy telefonicznej.

Do niedawna Beata o przyszłości swojej sytuacji nie myślała prawie wcale. Z mężem od lat żyli osobno. Nie czuła nawet specjalnych wyrzutów sumienia. Jeśli nie zwracał uwagi na to, że ona zniknęła na kilka nocy z rzędu, znaczyło to pewnie, iż było mu to zupełnie obojętne. Zresztą był teraz na jej garnuszku i prawdę powiedziawszy, miał niewielkie możliwości ruchu.

Do lamusa odeszły zastępy jego niezliczonych koleżków i koleżanek, których Beata zawsze podejrzewała o podjudzanie go przeciwko niej i wytykanie jej braków w wykształceniu. Te stare już dziś ramole, zapijaczone aktorzyny bez grosza przy duszy, ci wyłysiali jazzmani, którzy przygrywali do kotleta dla takich jak jej Mirek, te aktorki, niegdyś piękne, a obecnie podobne do uschniętych mumii, nie stanowiły dla Beaty zagrożenia. Nie było prawie nikogo, kto mógłby uświadomić Mikołaja, w jak groźnej sytuacji się znajdował, a on sam był za stary, zbyt słaby psychicznie i przegrany, by postawić się żonie i bronić własnych praw.

Niestety, przy życiu ostała się jeszcze wiekowa mamusia Mikołaja. Mimo dziesiątego krzyżyka na karku wciąż była przerażająco przenikliwą obserwatorką i to właśnie jej jedynej Beata lekko się obawiała.

Ta przerażająca starucha, podobna do zaszuszonej egipskiej mumii, z dziwną zaciekłością opierała się nieubłaganemu upływowi czasu. Ćwiczyła zarówno umysł, jak i ciało i trzeba przyznać, że zachowały się w nie najgorszej kondycji. Wprawdzie była zatrwająco chuda, ale nadmiary zwisającej skóry kamuflowała bardzo zmyślnie. Zwiędłe obwisłe wole spinała obrózką z kameą i tylko w chwili zapomnienia, bardziej ożywionej gestykulacji, wymykało się ono spod ciasno spiętego naszyjnika, by dyndać swobodnie niczym podgardle indora. Pokryte pajęczyną żył chude dłonie, ubrane w nobliwe pierścienie z bursztynami, często

pełzały po dłoni rozmówcy, jakby dostojna matrona traciła zmysły i próbowała rekompensować szwankujący wzrok, słuch i węch zmysłem dotyku, chcąc przeniknąć lepiej i głębiej prawdziwe stanowisko adwersarza.

Beata jak długo mogła, unikała konfrontacji z tą kobietą, której czujnemu oku nic nie mogło umknąć. Była jednak okoliczność, która rokrocznie gromadziła wszystkich Praczków – sierpniowy weekend w dacy teściowej w Wildze.

Każda taka wizyta była dla Beaty kaźnią. Zresztą starucha wcale nie była chętna ich gościć, gdyż wprost organicznie nie cierpiała drugiej synowej. Nie mogła darować Mikołajowi rozwodu z poprzednią żoną, a w dziwacznej solidarności jajników posunęła się tak daleko, iż zapisała cały majątek córkom Mikołaja z pierwszego małżeństwa.

To one, nie Anatolek i Bazyli, bawiły całe lato u znumifikowanej babki. To one korzystały z apanaży wszechwładnej staruchy, która za pomocą jakichś piekielnych, chyba nieczystych mocy, nadal gościła u siebie niedobitki z artystycznego świata.

Ta przedwojenna artystka kabaretowa, wdowa po znanym kompozytorze epoki Peerelu, mimo upływu czasu utrzymała się przy władzy, w swojej dacy w Wildze skupiając aktorów, dziennikarzy i nierzadko producentów filmowych. Nie dziwota, że dwie wnusie – jej oczka w głowie – mimo młodego wieku zdążyły wystąpić w kilku kasowych filmach.

W czasie rozwodu otwarcie opowiedziała się po stronie pierwszej żony syna, odmawiając Beacie gościny pod swym dachem, musiała więc z Mikołajem zamieszkać kątem u przyjaciół. Szczęśliwie Mikołaj miał jeszcze wtedy własne znajomości i prędko się odkuł. Zaczynali od zera, ale już w połowie lat osiemdziesiątych kupili poloneza.

Z biegiem lat stosunki między synową a teściową nieco się poprawiły, ale wredna starucha nawet nie kiwnęła palcem, by im pomóc, zwłaszcza gdy dla Mikołaja nadeszły chude lata zawodowe, kiedy naprawdę tego potrzebował. Pryncypialna do bólu zębów, pozwoliłaby nowemu stadłu zdechnąć z głodu, gdyby to od niej zależało.

Na szczęście poradzili sobie bez niej. Beata zdołała utrzymać rodzinę na powierzchni. Zarabiała teraz dużo, miała

wykłady, zlecenia, diety. Chłopcy jeździli na zagraniczne wakacje i niczego im nie brakowało, jednak z ust kostycznej staruchy Beata nadal słyszała same uszczypliwości. Wykwintną polszczyznę torpedowała płomienne wystąpienia telewizyjne Beaty. Najczęstszą uwagą, którą kierowała do synowej, było z jadowitą słodyczą wypowiedziane koronne zdanie: „Nie matura, lecz chęć szczerą...”, budzące tłumione śmiechy w pretensjonalnym drewnianym salonie Wilgi.

Beata została zmuszona po raz kolejny do wzięcia udziału w rodzinnym zjeździe i trzeba przyznać, że wykazała się nie lada intuicją, wzbraniając się przed

tym spotkaniem. Ten okropny weekend sierpniowy zmienił wszystko. Do dziś Beata zastanawiała się, na ile to, co stało się później, było rzeczywistością, a na ile samospełniającą się przepowiednią źle życzącej jej wiedźmy.

Okazało się bowiem, że teściowa zaprosiła ją do Wilgi chyba właśnie po to, by w zawołany sposób dać Beacie do zrozumienia, iż wie o jej romansie. Ba! Wyglądało na to, że wiedza ta jest w rodzinie Praczków powszechna! Było to o tyle zdumiewające, że do tamtego momentu Beata zupełnie nie zdawała sobie sprawy, że Mikołaj widział nieco dalej niż koniec własnego nosa!

Sam fakt, że być może wiedziano o romansie, był już dostatecznie przykry, choć może jeszcze nie tak brzemienny w skutkach. Jak wiadomo, Beata była niezależna finansowo, działała w innej branży niż stara wiedźma, więc tamta niewiele mogła jej zaszkodzić. Jednak teściowa była nie w ciemną bita i udało się jej zasiać w duszy Beaty zatrute ziarno, które puszczało coraz bujniejsze pędy, a dziś nawet zaczęło wydawać robaczywe owoce.

Tamtego gorącego popołudnia na werandzie drewnianej daczki teściowa po wykwinnym obiadku serwowała wyśmienitą rosyjską herbatę, parzoną w sławetnym imbryku, który służył ponoć jeszcze samemu Rasputinowi.

Mikołaj był wtedy nieco oddalony (dziś Beata nie miała wątpliwości, że zaaranżowano to umyślnie!), huśtał się na hamaku rozwieszonym między dwiema sosnami i czytał szwedzki kryminał. Powietrze było ciężkie od nadciągającej burzy. W leszczynie wrzeszczały sroki, cztery kobiety zgromadzone na werandzie wymieniały jedynie zdawkowe uprzejmości. Beata, kryjąc niepokój, wachlowała się serwetką.

Upiorna czarownica w towarzystwie swoich popleczniczek, zapewne wtajemniczonych w spisek wnuczek, zaczęła bardzo niewinnie wypytywać Beatę o pewną znajomą Mikołaja, panią Krystynę Nasiborską.

Krystyna była niegdyś jedną z wystrzałowych lasek, które przychodziły na basen mieszczący się na stadionie Gwardii. Pół Warszawy śliniło się na jej widok, romansowała z wieloma znanymi reżyserami, w końcu dorwała znamienitego scenografa Antoniego Sterna, tego, który potem zrobił wielką karierę na Zachodzie, ale stoczył się w alkoholizm.

Po rozwodzie wróciła do kraju i tu łapała kolejnych frajerów, ale że uroda została nadgryziona zębem czasu, przerzucała się na coraz późniejsze kąski. Znana była z tego, że zawsze wybierała młodych, a w końcowej fazie życia dużo młodszych od siebie. W końcu usidliła młodego aktorzynek z prowincji, a on obgadał ją w sposób niewybredny, robiąc tym złą robotę i sobie, i jej.

Trzy czarownice posłużyły się tą starą historią wyciągniętą z nicości niczym królik z kapelusza jako wytrychem do otwarcia ogólnej dyskusji na temat starych kobiet, dybiących na młodych mężczyzn.

Czy Beatka słyszała, że podobno w Warszawie ostatnio panuje moda na

pokazywanie się z młodszymi? Ależ pani Beatka obraca się w poważnych kręgach politycznych, tam rządzi prawo i moralność, tam nie ma miejsca na żadne zboczenia. Ale z drugiej strony, jeśli obie strony czerpią z tego radość, w czym problem? Ano problem w tym, że taka historia zawsze oparta jest na wykorzystywaniu zaślepionej naiwnej kobiety. Młody mężczyzna manipuluje taką zadurzoną w nim rozlazłą krową, której zdaje się, że zdołała wzbudzić bezinteresowne uczucie, podczas gdy on zawsze czerpie z niej korzyść, a kiedy tylko może – porzuca bez cienia litości. Czy Beatka się z tym zgodzi?

W pierwszej chwili Beata nie brała tych słów do siebie, ale wracając do domu samochodem z milczącym jak zwykle Mikołajem, kipiała z tajonej wściekłości. Pod koniec trasy była już niemal pewna, że trzy jędze nie mówiłyby tego bez kozery. Któraś z tych przeklętych wnuczek, córeczek Mikołaja z pierwszego małżeństwa, musiała ją widzieć na mieście z Mirosławem!

Należało zachowywać bezwzględną ostrożność! Spięta, spocona, włączyła klimatyzację w aucie, na co Mikołaj, kręcąc wydatnym nosem, otulił się ciasniej kamizelką reumatyczną. Proszę, jaki ten jej mąż tajemniczy! Widział wszystko i nawet nie zrobił najmniejszej uwagi. A może jędze działały bez porozumienia z nim, na własną rękę? Chciały zniweczyć jej szczęście. Długo wyczekiwane, ciężko zapracowane szczęście. Chciały wmówić jej, że Mirosław...

Przenigdy by w to nie uwierzyła. Automatycznie uchyliła okno, które Mikołaj natychmiast zasunął, rzucając jej oskarżycielskie spojrzenie.

Mirek, który wzbraniał się przed polityką, on, który odciągał ją od polityki, on, który najbardziej lubił spędzać czas tylko z nią, miałby ją wykorzystywać?

Śmieszne.

Jednak ludzie uwielbiali kierować się stereotypami. Jeśli młodszy mężczyzna brał się za starszą, to na pewno z wyrachowania. Wtedy, wracając z Wilgi, nie miała cienia wątpliwości co do uczucia Mirosława. Poprzysięgała sobie nigdy nie dać wiary podobnym podszeptom.

Wieczorem zamknęła się w łazience i długo wpatrywała w lustro. Nagle gwałtownie przybliżyła twarz do tafli, trwożnie badając skórę między oczami. Tam, gdzie ostatnio wstrzyknięto botulinę, gdzie do niedawna skóra była jędrna i napięta, złościła się na nowo lwia zmarszczka.

Z początkiem września pochłonął ją wir obowiązków, nie było czasu się trapić jadem puszczonej w jej żyły przez zniechęconą teściową. Postanowiła żyć jak przedtem, a nie spodziewać się wszystkiego najgorszego. Kiedy tylko mogli, widywali się jak dawniej. Starła się żyć chwilą, nie myśleć o pobudkach Mirka.

Nieszczęście i tak przyszło samo, bez zaproszenia, obojętne na to, czy go wyglądała, czy nie. Z dnia na dzień telefony od Kwaśniaka umilkły. Najpierw starała się niczego złego w tym nie dostrzegać, zdeterminowana, by nie ulec

machinacjom źle jej życzącej teściowej. Nie była już nastolatką, którą wytrąciłby z równowagi parodniowy brak kontaktu.

Cierpliwie czekała.

Po dwóch tygodniach spędzonych na biciu się z myślami wreszcie uległa instynktowi i zatelefonowała. Ku jej zdumieniu, ani nie odebrał, ani też nie oddzwonił. Na próżno szukała go w sejmie, nie było go nawet na posiedzeniu komisji, w której pracował jako ekspert prawny. Słała mu SMS-sy, zostawiała wiadomości u sekretarki. Nadaremnie.

Nie odpisywał ani na SMS-y, ani na maile. Sekretarka kancelaryjna wciąż mówiła, że go nie było albo właśnie wyszedł lub akurat miał spotkanie. Uprzejmie zapytywała, czy coś przekazać. Beata uparcie odmawiała, prosiła jedynie o te-lefon.

Jednak po kilku bezowocnych próbach ustała. Nie będzie się przecież upokarzać przed siksą. Zresztą rozpalona zazdrość podsuwała jej naprawdę niemądre pomysły.

Po czterech tygodniach ciszy w końcu oddzwonił, ale jakże zmieniony! Odległy, oziębły. Tłumaczył się brakiem czasu, ale nie podawał szczegółów, mówił niemal oficjalnie jak daleki znajomy. Ta chłodna zdawkowa rozmowa nie mogła jej zadowolić, a wręcz zostawiła ją z większym niż przedtem uczuciem niedosytu.

Czuła, że jest w tym godna pożałowania. Karciała się za swój stan. Wstyd jej było za samą siebie. Bo i rzeczywiście, żeby dojrzała kobieta na stare lata straciła głowę dla gówniarza? Starła się uciec w pracę, w dzieci, ale niewiele jej to pomagało.

W pewien piątkowy wieczór po kilku drinkach wypitych w kuchni znów do niego zadzwoniła. Nagadała głupot. Potem żałowała, że tak się obnażyła. Niewiele go to jednak wzruszyło. Mijały kolejne dni, a on milczał. Czuła się coraz gorzej.

Im więcej czasu upływało od tej ostatniej niefortunnej rozmowy, tym bardziej była skłonna znów mu wybaczać, zżerana przez tęsknotę i żądze.

Jak na zakochaną kobietę przystało, wymyślała sobie różne scenariusze wyjaśniające, dlaczego nie mógł się odezwać i dopiero w połowie października usłyszała wieści, które ostatecznie przebudziły ją z letargu i kazały jej spojrzeć trzeźwo na całokształt sytuacji.

Podczas nieoficjalnego zebrania PN-u, na którym Kwaśniaka nie było, podano informację niepozostawiającą dalszych złudzeń. Otóż miano zdymisjonować ministra Sobiepanka, jak poinformował Kaźmierczak, z przyczyn personalnych. Na jego miejsce wchodził nie kto inny jak Mirosław Kwaśniak, jak opisał go Kaźmierczak, zaangażowany w sprawę młody aktywista peenowski.

Przez szeregi PN-u przeszła fala cichego zdumienia. Wszyscy zachodzili w głowę, skąd kandydatura tak młodego, jeszcze nieopierzonego młodego prawnika. Próbowali podpytywać Beatę. Widząc ich dwoje ciągle razem, sądzili

zapewne, że jego serdeczna przyjaciółka może wiedzieć więcej.

Nic bardziej mylnego. Nikt nie zdumiał się bardziej od Beaty! Mirosław nic jej nie mówił, nawet słówkiem nie wspominał!

Na miękkich nogach opuściła budynek przy Wiejskiej i nawet nie zwróciła uwagi na ulewny deszcz. W rozpiętym płaszczu skierowała się do znajomej kawiarenki, gdzie czasem ukradkiem się widywali. Zamówiła podwójną wódkę z colą.

Ochłonawszy nieco, rozpoczęła drobiazgową analizę. Czyżby po jej plecach wspinał się na szczeble kariery, a teraz, najwyraźniej dopiąwszy swego, zamierzał ją porzucić? To oburzające, niesłychane! Może jeszcze dla młodszej, którą chował w tym mieszkanku w Józefosławiu, gdzie Beaty nigdy nie chciał zabrać. Twierdził, że to dla ich wspólnego bezpieczeństwa. Rzekomo tak się troszczył o jej karierę i małżeństwo. Wtedy zdawało jej się to rozczulające, teraz łuski opadały jej z oczu. Czy to dlatego ciągał ją po hotelach, które ona opłacała kartą poselską?

Wszystko zatrwająco odpowiadało teorii tej przeklętej staruchy!

Jedyne, co Beata mogła w tej chwili zrobić, to skontrolować go niespodziewanie w tej jego twierdzy. Zapłaciła rachunek, energicznie wyszła z kawiarni. Chwiejąc się na obcasach, omijając głębokie kałuże, w strugach deszczu skierowała się do postoju taksówek na placu Trzech Krzyży.

– Do Józefosławia! – Zdyszana, przemoczona lokowała się w srebrnej skodzie oktawii. – Na ulicę Kormoranów!

Taksówkarz niedyskretnie zagapił się na nią we wstecznym lusterku.

Musiała wyglądać groteskowo – zmokła kura z wypiekami, z pałającymi gniewem oczyma. Odgarnęła z twarzy posklejane kosmyki, upudrowała się, umalowała usta, strzepnęła deszcz z klap płaszcza, nałożyła ciemne okulary i oparła głowę o szybę. Nie da taksjarsowi pożywki dla wyobraźni, nie będzie robić z siebie widowiska.

Zwróciła głowę w stronę mijanych sklepów, bezskutecznie usiłując się wyciszyć, opanować. Zaskoczy go, sprawdzi. Jeśli rzeczywiście będzie tam inna kobieta (umysł uparcie podsuwał jej wizję pięknej młodej kobiety, planującej z Mirosławem wspólną przyszłość, nawet podszeptującej mu, by ją, Beatę, cynicznie wykorzystać), przynajmniej zyska pewność.

Nie robi awantury, nie będzie mu grozić, szkodzić, choć z łatwością mogłaby to zrobić, wystarczyłoby szepnąć słówko Kaźmierczakowi, jej oddanemu druhowi!

Nerwowo zagryzała uszmiłkowane wargi, tłumiony żal ścisnął jej gardło, w oczach zebrały się łzy. Wściekła, suszyła je, wachlując dłońmi.

A co, jeśli on będzie miał jej za złe ten nalot? Co, jeśli przez to z nią skończy?

Przecież miała prawo wiedzieć, co się z nim działo. Jeśli byli ze sobą tak

blisko, planowali razem jego karierę prawniczą, ona załatwiała lewe ekspertyzy, na których on zarabiał przyzwoite pieniądze, to jak teraz wytłumaczyć brak kontaktu, telefonu, już nie mówiąc o braku informacji o tak znaczącym wydarzeniu, jak bycie nominowanym na ministra w wieku zaledwie trzydziestu jeden lat! Musiał wiedzieć o podobnych planach wierchuszki partyjnej, a nie zdradził się jej ani słówkiem! Toż to policzek! Jak inaczej można by to rozumieć? Wprost nie mogła się doczekać, by stanąć z nim twarzą w twarz i zadać cisnące się na usta pytania.

Samochód skręcił w Derkaczy, po obu stronach ulicy mijali osiedla domów kanadyjskich, zalane deszczem, skąpane w szarzącym mroku, robiące przygnębiające wrażenie opustoszałych. Wreszcie zajechali przed bramę kolejnego zamkniętego osiedla, tym razem niskich apartamentowców krytych cegłą klinkierową.

Wyskoczyła bez tchu i pędem ruszyła do domofonu. Po drodze niemal wpadła na zakapturzoną młodą kobietę z osłoniętym parasolką wózkem, przeprosiła. Dzięki temu dostała się za bramę osiedla bez konieczności dzwonięcia domofonem, bez uprzedzenia Mirka. I dobrze! Teraz nikt nie wymknie się z mieszkania niepostrzeżenie. Schody pokonała pędem, stanęła pod drzwiami zasapana, ociekając wodą. Z desperacką furią nacisnęła dzwonek i trzymała go tak długo, aż usłyszała chrobot odsuwanej zasuwki.

Kwaśniak stanął w progu zdumiony i wystraszony. Był blady, nieogolony, w rozchełstanej koszuli i przybrudzonych spodniach dresowych, w ręku trzymał papierosa. Wyglądał, jakby zastała go w środku dyskusji. Była przekonana, że ktoś jest w środku razem z nim, zdawało jej się przecież, że słyszała, jak do kogoś mówił, nim otworzył jej drzwi.

Nabuzowana złością wyminęła go, wpadła do środka, absolutnie pewna, że przyłapała go *in flagranti* z nową narzeczoną. Autorytarnym krokiem pani domu wkroczyła do kuchni, gdzie oprócz bijącego w oczy bałaganu, nie było nikogo. Niezrażona szła do sypialni, głucho łomocząc ciężkimi obcasami o puste panele; ostentacyjnie zajrzała za kotary, zerknęła na mały balkonik wychodzący na wewnętrzny dziedziniec.

Kwaśniak stał za nią w przejściu, przyglądając się jej poczynaniom. Minęła go i poszła jeszcze do salonu, ale już mniej zamasyście. Salon okazał się pusty. Nie było tam dużego mebla czy zasłon, za którymi ktokolwiek mógłby się ukrywać. Wąskie sofy, półki na książki przylegające do ścian. Miała na tyle samokontroli, że powstrzymała się przed sprawdzeniem łazienki. Zresztą Kwaśniak, który opierał się o framugę drzwi, już nie wyglądał na spłoszonego. Był raczej zniesmaczony, zniecierpliwiony.

Przestraszył się najścia, ale nikogo tu nie krył.

Zasapana usiadła na kanapie i utkwiała w nim niepewny wzrok winowajczynie. Mimo że to on sprowokował tę sytuację, jakoś głupio się jej zrobiło z powodu

otwartego aktu zazdrości, tej nagłej kontroli.

– Przepraszam, Mirek – odezwała się do wciąż opartego o framugę kochanka. – Byłam przekonana, że przestałeś dzwonić, bo spotykasz się z kimś innym.

Kiwnął głową jak człowiek, który przeżył już tyle, że bezpodstawne oskarżenie nie zrobiło na nim specjalnego wrażenia. Cofnął się do korytarza, usłyszała, jak zamknął wciąż uchylone drzwi wejściowe i zaryglował je zasuwką.

– Zrobisz mi kawy?! – zawołała za nim nieco niepewnym głosem.

Straciła cały impet, a wraz z nim pewność siebie. Gotowa była na starcie z nową kochanką, a tymczasem nikogo nie zastała. Speszona, dopiero teraz rozejrzała się po zabałaganionym wnętrzu. Na Boga, co się z nim działo? Wszędzie walały się jakieś papiery, ale to nawet zrozumiałe – zapewne czytał ile wlezie o swoich nowych obowiązkach. Ale żeby tak zapaść mieszkanie? To nie był zwykły rozgardiasz, to był wielotygodniowy brud. Wszędzie stały naczynia z najróżniejszych kompletów, jakby Kwaśniak w ogóle przestał zmywać, tylko wciąż sięgał po nowe. Na talerzach widniały zaschnięte resztki. W kilku miejscach walały się brudne popielniczki, w pokoju panował nieznośny zaduch.

Najwyraźniej tak się przejął tą nominacją, że zapomniał o bożym świecie. Prawdopodobnie nie ruszał się z domu, tylko siedział czytając ustawy, rozporządzenia, studiując kompetencje licznych organów ministerstwa, przygotowując się do nowej roli.

Może właśnie dlatego nie miał kiedy do niej dzwonić?

Nie, nie będzie go wybielać. Może i czasochłonne było zaznajomienie się z organizacją potężnego ministerstwa, ale jak mógł nawet jej nie powiadomić! Tego mu nie daruje.

Kręcąc się na kanapie, Beata czekała niecierpliwie, podczas gdy Mirek szykował dla nich kawę. W końcu przyszedł z tacą, postawił ją przed nią niezgrabnie i usiadł w fotelu naprzeciwko niej.

Wpatrywała się w niego badawczo, jakby spodziewała się w jego twarzy znaleźć odpowiedzi na pytania, które kłębiły się jej w głowie.

Jednak z jego twarzy niewiele można było wyczytać. Unikał jej spojrzenia. Dosłodził jej kawę, dołał mleka, potem złapał leżące na stole papiery, porządkował, dopinał klamry. Chciała zajrzeć mu w oczy, licząc na to, że sam zechce się wytłumaczyć, ale tymczasem on poderwał się i szukał czegoś w pokoju. Myszkował na regale, w szufladach kredensu, na stoliku zawalonym papierzyskami, lekami, szkłem, rozrzucając stojące tam przedmioty, potęgując wrażenie bałaganu.

– Czego szukasz? – spytała w końcu zniecierpliwiona jego niespokojną ruchliwością.

– Papierosów!

– Tu leżą twoje papierosy!

Zapalił, usiadł, lecz po chwili wstał, gwałtownym ruchem poprawił spodnie, przyniósł z parapetu popielniczkę.

Nie mogąc dłużej ścierpieć tego odwlekania, krzyknęła:

– Wiesz, czemu jestem zła, prawda?

– Nie! – Zdawał się zaskoczony, odległy, niezależny. Postawił popielniczkę, skrupulatnie przesunął ją na środek stołu, zapalił papierosa i natychmiast strzepnął, choć nie spalił się na nim jeszcze ani milimetr popiołu. Potem odłożył go, usadowił się przodem do Beaty, jakby chciał przymusić się do wysłuchania jej, ale co i raz coś rozpraszało jego uwagę. Co chwila poprawiał sterczący nad czołem niesforny kosmyk, tarł rękę o rękę, pocierał wierzchem dłoni całkiem suchy nos.

– Nie rozumiem, dlaczego nie powiedziałeś mi o nomi-nacji? – wywalila kawę na ławę. – Czy nie byliśmy ze sobą dostatecznie blisko, byś uznał za stosowne poinformować mnie o tym?

– Dopiero sam się dowiedziałem! – Odwzajemnił jej spojrzenie, ale oczy łykały mu niespokojnie. Wziął papierosa, pociągnął i schował się za chmurą dymu.

– Kiedy się dowiedziałeś? – nacierała na niego rozpędzona jak taran.

– W zeszły poniedziałek.

Beata widziała, jak Mirek zacisnął pięści tak mocno, aż zbieleły mu kostki.

– Czemu więc ja usłyszałam o tym dopiero dziś na ze-braniu?

– Bo miałem tu piekło! – wykrzyknął gwałtownie.

Beata zamarła.

– Musiałem prowadzić trudne rozmowy, a do tego dostałem silnej migreny, od kilku dni dosłownie rozrywa mi łeb. Zdaje mi się, jakby miało mi coś w mózgu eksplodować. A ty mnie pytasz, czemu nie zadzwoniłem!

Beata uważnie przyjrzała się Mirkowi. Wcześniej nigdy w jej obecności się nie unosił. Może rzeczywiście nominację poprzedzały jakieś negocjacje? Nie pomyślała o tym wcześniej. Może nie wiedział, jak sprawy się potoczą i nie chciał chwalić dnia przed zachodem słońca? A co do samopoczucia, to faktycznie był blady, nieświeży, miał na żółto obwiedzione oczy.

– To czemu jeszcze palisz? – obruszyła się, po czym widząc na jego twarzy udrękę, dodała nieco łagodniej: – Zgaś papierosa, weź kąpiel. Nieświeżo tu pachnie! Dam ci tabletki od bólu głowy, wywietrzę tu, zaraz lepiej się poczujesz.

Obudziła się w niej praktyczna strona jej natury, podeszła do okna i otworzyła je szarpnięciem. Pomału zatęchły zaduch ulatniał się na korzyść wilgotnego rześkiego powietrza. Z zewnątrz dochodził szmer deszczu, było słychać, jak kapał z rynien, z dachów.

Chciała poszukać mu tabletek w swojej torebce, lecz nagle jej wzrok padł na szklany stół. Leżały tam dziesiątki opakowań z lekarstwami. Wiele było

przeciwbólowych, najróżniejszych rodzajów! Zdziwiona spojrzała na Mirka, który obserwował ją w milczeniu.

– Biorę tego od cholery i nie mija – mruknął, patrząc na nią spode łba.

– Stres! – zawyrokowała.

Pomału się uspokajała przynajmniej co do jednego. Kwaśniak nie wyglądał na człowieka, który miałby kochankę.

– Naturalnie, że stres. – Łapczywie zaciągnął się papierosem, widać było, że temat jego nominacji bardzo go interesował, wzbudzał emocje. Ożywiony ciągnął:

– Ta posada spadła na mnie jak grom z jasnego nieba, wcale się o nią nie prosiłem. Teraz próbuję się w tym ogarnąć. To wielkie wyróżnienie. Wielkie wyróżnienie. – Ostatnie zdanie powtarzał nieco maniakalnie, szarpiąc się za tłustawe włosy, ulizując je do tyłu, raz jedną, raz drugą ręką.

– Rozumiem, że ta sprawa zawróciła ci nieco w głowie, ale czemu mnie unikasz? Twojego wiernego sojusznika? – Beata nie mogła się powstrzymać, by nie wyrazić zżerającej ją goryczy. – Przecież minął miesiąc, a ty się nie odezwałeś.

– Ważyły się różne sprawy, byłem pod ogromną presją, a potem doszły te nieludzkie migreny. Czy tak trudno to zrozumieć?

Ich spojrzenia skrzyżowały się na chwilę, po czym Kwaśniak wstał i wciąż paląc, zamyślony krążył po pokoju. W jego oczach Beata dostrzegła niechęć do jakiegokolwiek rozmowy na ich temat, tak był bez reszty pochłonięty sobą. Chciał, by zostawiła go w spokoju. Jeśli w ogóle się odzywał, to po to, by lepiej coś rozważyć, pomyśleć na głos.

Dla Beaty stawało się jasne jak słońce, że ona zupełnie go nie obchodzi. Ich relacja, związek, to, co ją tak frapowało, było dla niego nieistotne. Głowę miał nabitą swoją nominacją, swoim zdrowiem, swoimi odczuciami. Byłaby doprawdy śmieszna, gdyby dalej dopraszała się uczucia, pieśczoł!

Nagle z całą jaskrawością ukazała jej się prawda. Ich związek w ogóle nie zajmował mu myśli, niewiele pewnie by go obeszło, gdyby się zakończył. To ona naiwna, choć już siwa, straciła dla niego głowę. Wstyd!

– Jak zamierzasz sprawę ugryźć? – spytała trzeźwo, jakby to właśnie ten aspekt rzeczywistości obchodził ją najbardziej. – Trzeba się będzie zorientować w tych wszystkich instytucjach, żeby nie wyjść na dyletanta. Wiesz chociaż, kto ci podlega?

Spojrzał na nią zdumiony.

– Patrząc na bałagan, który tu panuje, wywnioskowałam, że czytasz ustawy, biuletyny, że uczysz się, co i jak tam działa – wyjaśniła obronnym tonem.

– Ja miałbym teraz się tym zajmować?! – podniósł głos, popalając nerwowo i wlepiając w nią poirytowane spojrzenie. – Rozumujesz jak dziecko! Chociaż byłbym Salomonem, mędrcelem Wschodu, choćbym się okazał najlepszym ministrem wszech czasów, i tak będą kopać pode mną, drażyć, wiercić dziury! Tu

nie chodzi o to, jak się pokieruje resortem! Muszę wpierw ustawić tam ludzi! Relacje! To jest priorytet! Inaczej zaczną knuć! Już gadają, że nie mam kompetencji!

– I tak się tym przejmujesz?

Wciąż wydawał się Beacie pociągający, a jednak to przejęcie się własną osobą, to poczucie ważności, a zarazem ten niemaskowany lęk, że go wygryzą, sprawiły, iż nagle wydał jej się godny politowania.

– Jak nie pozamykam im twarzy, zadziobią mnie w pięć minut, zanim zdążę zrobić tam cokolwiek! Choćbym genialne rozwiązania zastosował, podłożą mi świnię, a potem powiedzą, że dostałem tekę na lewo, przez układy! Już im się nie podoba minister bez doświadczenia w resorcie! Już kwestionują moje kompetencje!

– Byłam na zebraniu, nikt niczego nie kwestionował!

Kwaśniak popatrzył na nią wrogo.

– Daj sobie trochę wytchnienia. – Beata z niepokojem obserwowała zielonkawy koloryt jego cery, złachane ubranie. – Od tego kombinowania całkiem się zapuściłeś. Lepiej spójrz na to pozytywnie. Jak chcesz, razem nad tym posiedzimy. Jestem pewna, że boisz się, iż nie podolasz, i stąd te nerwy, te paranoje.

Sięgnęła przez stół i pogładziła go po włosach, ale odskoczył jak oparzony.

– Paranoje? Niczego nie rozumiesz. Nie mam chwili do stracenia na pierdoły!

– Zaznajomienie z resortem to nie pierdoły.

– Cholera jasna, nie rozumiesz!

W tej swojej zapalczywości był prawie zabawny, toczę jak patetyczny nastolatek, który miał wystąpić w *talent show* i najbardziej obawiał się ośmieszyć niewłaściwym ubiorem. Przypominał jej teraz jednego z własnych synów, chłopca – nie mężczyznę

– Z dnia na dzień zdobyłem władzę, więc też tuzin nowych wrogów! Trzeba wiedzieć, jak to ugryźć, inaczej mnie zjedzą!

Mimo dotkliwego bólu serca Beata miała ochotę zaśmiać się w głos. Obnażając swoje uczucia, niepotrzebnie bała się ośmieszenia. Ten młodzieniec nie widział dalej niż czubek własnego nosa. Był skupiony na wszystkim, tylko nie na niej. Mimo całego przywiązania odczuła niestosowność takiego postępowania. Był tak rozentuzjasmowany, że kompletnie nie dostrzegał błysków dezaprobaty w jej łagodnych oczach.

– To jak chcesz ich sobie podporządkować? – spytała spokojnie, sięgając po papierosa.

Miała świadomość, że wchodząc w rolę współnika, wkracza na śliski grunt, ale był to jedyny sposób, który pozwalał jej nadal przy nim trwać. Brzydziła się sobą, ale na tym etapie nie umiałaby z niego zrezygnować. Prawdopodobnie już

nigdy więcej nie trafi się jej taka gratka. Ostatni taki bal w jej mierzchnącym życiu.

– Jest parę lektur o tej tematyce – wtajemniczył ją z delfickim uśmiechem Mirek.

Pominięła to milczeniem, choć umysł jej na chwilę się przy tym zatrzymał. Jakie mogły być lektury na temat podporządkowania sobie ludzi?

– Rzeczywiście wymaga to pogłótkowania – ciągnął z ożywieniem. – Każdy departament ma dyrektora, tych departamentów jest kilkanaście. W każdym zasiedziały frajerek, zapewne chcący zachować bezpieczne *status quo*. A ja mu wtedy powiem, owszem zachowasz, ale jak będziesz lojalny, bracie! Ale – zaśmiał się głośno, ekstatycznie, najwyraźniej do własnych myśli – jeśli skubaniec będzie pewny, że mu wierzę, to się pomyli. Będę miał lepsze relacje z zastępcą dyrektora, a jeszcze lepsze z personelem! Jedni muszą na drugich kablować, to jedyny sposób!

– Wiesz, to niezwykle interesujące. – Sytuacja zaczynała być niesmaczna, ale cóż, musiała wejść w taką rolę, niczym starszy mężczyzna wysłuchujący paplania młodszej kochanki. – Może opowiesz mi to w kuchni. Posprzątam trochę, a przy okazji przygotuję nam kolację. Usiądziemy z winem, wtedy razem pokombinujemy, jak to najlepiej ugryźć!

– Nie fatyguj się.

Beata zastygła w pół kroku między salonem a kuchnią.

– Czemu nie? Nie jesteś głodny?

– Nie to, że nie jestem, ale zaraz wyjeżdżam!

Beata popatrzyła niedowierzająco.

– Jadę do Pabianic, do rodziców.

To zaczynało być komiczne. Miała ochotę krzyknąć na niego, uświadomić mu, że wyczekiwała na to spotkanie od tygodni, a tymczasem on chciał ją teraz opuścić, by jechać do rodziców?

– A nie możesz pojechać jutro rano? – Gdy to mówiła, paliły ją policzki.

– O nie! – uśmiechnął się do niej. – Chcę im o wszystkim zakomunikować, a wolałbym nie robić tego telefonicznie. Wiesz dobrze, dlaczego.

Stała nieruchomo, niepewna, jak w tej sytuacji powinna postąpić, lecz zanim zdążyła coś odpowiedzieć, wyręczył ją Kwaśniak.

– Niebawem się spotkamy – pocieszył ją nieuważnie, oglądając się w stronę wieszaka, jakby szukał oczami jej płaszcz. – Postaram się jak najszybciej zadzwonić, ale bądź wyrozumiała! Mam teraz sporo pracy koncepcyjnej, merytorycznej. Sama rozumiesz...

Szybko szła ulicą Kormoranów w gęstniejącej mgle, która zdawała się wdzierać jej do ust i dławić w gardle. W końcu wyjęła z torebki komórkę, nerwowo wybrała numer znajomej korporacji.

Potem, już w taksówce, mijając centrum handlowe, z coraz to większą irytacją ocierała wierzchem dłoni napływające do oczu łzy. Opanowała się dopiero,

dostrzegłszy, że jakaś rodzina ze stojącej obok toyoty pokazuje ją sobie palcami. Miała tylko nadzieję, że nikt nie cyknął jej telefonem fotki, która nazajutrz mogła znaleźć się w „Super Expressie”.

Pierwsze widzenie

Kwaśniak czuł się paskudnie po wyjściu Beaty. Nie kłamał, mówiąc, że miał ostatnio sporo na głowie. Był tak pochłonięty realizacją narzuconego mu zadania, że zapominał pić, jeść, spać, a co dopiero tłumaczyć się starszej kobiecie, której zebrało się na amory.

Najpierw przez kilka tygodni cierpiał katusze, bojąc się stanąć przed Kaźmierczakiem z propozycją nowego układu, niepewny, czy ludzie Wędzichy nie przecenili wartości tych wyszmelcowanych pożółkłych papierów. Podczas białych nocy zroszony zimnym potem po raz tysięczny zastanawiał się, co by było, gdyby Kaźmierczakowi wcale nie zależało na pogrążeniu Sobiepanka. Czy jego, Kwaśniaka, czekałby kryminal? Mimo wątpliwości wiedział, że nie uniknie spotkania z Kaźmierczakiem. Jedno, czego mógł być pewnym, to że jeśli Wędzicha nie otrzyma tego, o co prosi, z pewnością spełni pogróżki. Jak Kwaśniak zdążył się ostatnio przekonać, Wędzicha nie rzucał słów na wiatr.

W końcu nafaszerowany lekami uspokajającymi, zubożony z wyczerpania i strachu, zgłosił się do Kaźmierczaka z prośbą o prywatną rozmowę. Tamten, choć jawnie zniecierpliwiony, niechętnie przystał. Spotkali się w Wilanowie, w zaciszu ogrodu pałacowego i tam Kwaśniak wyjawiał swoje rewelacje.

W zamian za miażdżący Sobiepanka materiał dowodowy drżącym głosem zażądał stołka ministerialnego, szefostwa Generalnej Dyrekcji Dróg Krajowych i Autostrad oraz kilku stołków na kluczowych stanowiskach Generalnej Agencji Węglowej oraz Polskich Kolei Państwowych. Wprawdzie te ostatnie do niczego mu nie były potrzebne, ale doszedł do wniosku, iż prośba tylko o dwa stanowiska mogłaby się okazać podejrzana, zwłaszcza w kontekście przekrętu, który niebawem miał się w tym sektorze wydarzyć. Dla zamydlenia Kaźmierczakowi oczu grał rolę ambitnego polityka, który miał za sobą ludzi i musiał zaspokoić ich ambicje stanowiskami.

Wbrew najczarniejszym obawom, Kaźmierczak przystał na wymianę. Teoretycznie Kwaśniak mógłby chwilowo odetchnąć, lecz u progu stał już następny problem, chyba nawet poważniejszy.

Kogo umieścić na stołku dyrektora Gdaki?

Sprawa ustawienia przetargu była cholernie skomplikowana i ryzykowna. Kwaśniak spędził kilka kolejnych nocy, analizując sytuację i antycypując ewentualny bieg wydarzeń przy zawitych procedurach działania komisji przetargowej. Gdy rozgryzł kolejność postępowania, upewnił się co do jednego. Za cholerę nie można było przewidzieć biegu wydarzeń. O rozstrzygnięciu przetargu decydowało kilku niezawisłych członków. Wyniki badań niezależny ekspert. Wszyscy ci ludzie mogli być korumpowani na różnych etapach przez konkurencyjne firmy. Tylko siedząc na miejscu, można było trzymać rękę na

pulsie. Tylko dyrektor z ustawionymi należycie ludźmi mógł to przeforsować. Nie było nawet mowy, by dało się zdalnie tym sterować.

Sylwetka dyrektora była kluczowa.

Motywacja finansowa to jedno, ale w tak śliskiej materii należało mieć człowieka kompletnie Kwaśniakowi podległego i oddanego. W przyjaźń nie wierzył *ex definitione* i w tej sytuacji nie mógł liczyć na nikogo aż tak bliskiego. Szybko więc zaczął robić przegląd tych, na których miał tak zwanego haka.

Wtedy przyszedł mu do głowy pewien nieszczęśnik z przeszłości, kumpel z pabianickiego liceum, Leon Łęzak, syn Dariusza Łęzaka, prezesa Spółdzielni Mleczarskiej Kozierogi. Kilka lat temu spółdzielnia upadła po wejściu na polski rynek giganta mleczarskiego z Danii. Od tamtej pory Leon Łęzak, uprzednio formalnie zatrudniony u ojca na stanowisku dyrektora handlowego, pozostawał bez zajęcia.

Za młodu Łęzak ostro balował w lokalnych dyskotekach, szastając ojcowską gotówką. Bardziej wstrzeźliwy Kwaśniak często mu towarzyszył, jednak swoim zwyczajem kierował się maksymą dziadka Wołodii, który powtarzał mu nieraz: „Im ciszej jedziesz, tym dalej zajedziesz”. Stronił więc od awantur, mając oczy i uszy szeroko otwarte.

Lista grzechów Łęzaka była długa, sporo miał na sumieniu, jednak z każdej opresji wyciągali go spółdzielniacy prawnicy. Mlecznemu Baronowi, jak go w Pabianicach nazywano, wszystko uchodziło na sucho. Była jednak pewna bardzo poważna sprawa, którą Łęzak taił przed światem. Sprawa, o której, jak mu się zdawało, nikt nie wiedział.

Jakże się mylił!

Otóż jeszcze w czasach liceum, wracając z dyskoteki, w sztok pijany Leon przejechał w lesie prostytutkę. Naturalnie, uciekł z miejsca wypadku, nie obejrzawszy się nawet za siebie; szczęśliwie jechał sam, w samochodzie nie było świadków. Nazajutrz policja szukała sprawcy w całym powiecie pabianickim, lecz feralny kierowca jakby zapadł się pod ziemię. Jedyнным, który coś podejrzewał, był kolega Kwaśniaka z podstawówki (dalej w edukacji państwowej nie dotarł), wierny druh rodziny Kwaśniaków, zwany po dziś dzień Młodym Skoczylasem, który wprost organicznie Łęzaka nie znosił.

Do powzięcia podejrzeń skłoniły go słowa brata, najmłodszego Skoczylasa, zwanego Chudym. Pracował w lokalnym szrocie i to on zauważył, że dzień po tragicznym wypadku, późnym wieczorem, Łęzak, chowając twarz pod głęboko nasuniętą na czoło bejsbolówką, przywiózł na wysypisko czarny plastikowy worek. Gdy tylko odjechał, Chudy zajrzał do worka. W gęstniejącej ciemności na pierwszy rzut oka to, co było w środku, wyglądało jak pogięta chłodnica. Zrobiło się późno, a na opustoszałych hałdach było trochę straszno, więc Chudy porzucił worek, nie badając szczegółowo jego zawartości, bojąc się dłużej nad tym zastanawiać. Jednak

w nocy w lokalnej mordowni, będąc po dwóch browarach, opowiedział starszemu bratu o podejrzanym znalezisku.

Sprawa rozjechanej prostytutki była wtedy na ustach wszystkich i siłą rzeczy bracia nabrali podejrzeń. Młody Skoczylas, który zdecydowanie nie przepadał za zepsutym, rozbestwionym Łęczakiem, jeszcze tego samego wieczoru opowiedział o swoich przypuszczeniach Mirkowi Kwaśniakowi, wówczas osiemnastoletniemu. Mirek, niewiele myśląc, czym prędzej pociągnął Młodego Skoczylasa do swojego auta, zgarnęli Chudego i popędzili szosą na wschód, w stronę szrotu. Po niespełna dwudziestu minutach odnaleźli czarny worek, Mirek wrzucił go do bagażnika i pod osłoną nocy wrócili do Pabianic.

Chłopaki, pobudzeni chwilą, chcieli worek oglądać natychmiast, pod najbliższą latarnią, ale przezorny Kwaśniak orzekł, że zrobią to u nich na posesji, w garażu albo w innym bezpiecznym miejscu.

Nieletniego Chudego, mimo protestów, odstawili do domu, a sami we dwóch pojechali do Kwaśniaków. Wzięli latarki i w zamkniętym garażu ostrożnie położyli ciężki worek na stary stół, na którym ojciec Mirka majsterkował. Kwaśniak chciał tylko pobieżnie obejrzeć chłodnicę i ewentualnie na własny koszt dać do badań laboratoryjnych. Myślał, że nawet jeśli to chłodnica z tamtego wypadku, to została przynajmniej z grubsza oczyszczona, nie spodziewał się znaleźć śladów gołym okiem.

Założyli rękawiczki i ostrożnie rozwarli czarny plastik. Rozszedł się dziwny swąd. W środku znajdowała się solidnie pokieroszowana chłodnica, tak pogięta, jakby wbiła się w betonowy słup. Gdy poświecili latarką we wgłębienie, wokół którego metal zawinął się jak ciasto, aż odrzuciło ich z przerażenia. W chłodnicy tkwiła głęboko wbita ludzka szczęka.

Na wspomnienie tej chwili Kwaśniak na moment zaprzestał pakowania manatków. Pomału, z namysłem, odłożył segregator i przysiadł na kanapie, zapalając papierosa. Palił spokojnie, zaciągając się głęboko. Zerknął na zegarek. Okazało się, że przez niespodziewaną wizytę Beaty stracił godzinę. Zamierzał jechać do domu rodziców wraz z całym naręczem dokumentów. W sekretnym pomieszczeniu, w piwniczce pod podłogą ojcowej szklarni, znajdowała się specjalna skrytka. Trzymał tam wszystko, co cenne, a że zbierał od dawna, zgromadził sporą bibliotekę oryginalnych znalezisk.

Były tam taśmy Matiego Wencla i wielu innych, których nagrywał przez minione lata, zdjęcia różnych ludzi, oryginały akt ubeckich, które miał wręczyć Kaźmierczakowi dopiero w chwili oficjalnej nominacji na ministra, była tam też owa szczęka. Zachował ją w ceramicznym pudełeczku, z góry wiedząc, że kiedyś się przyda. No i proszę, nie pomylił się.

Pomału skończył palić, wstał i powoli poszedł do kuchni z popielniczką w dłoni. Napił się wody z filtra i wyciągnął z szuflady folię aluminiową. Oderwał

niewielki skrawek, uformował zagłębienie, po czym ostrożnie wsypał popiół z papierosa. Zawinał aluminium i wrzucił do śmietnika. Nie będzie śmierdziało petami, jak wróci. Sprawdził, czy okna są zamknięte, skontrolował gaz, wyjął wtyczki z gniazdek, spakował laptopa, zasunął zamek walizki, w której piętrzyły się stopy akt, po czym zgasił światła i ostrożnie wyszedł z mieszkania. Wsiadł do samochodu i obrał kierunek na obwodnicę w stronę Łodzi.

Chciał jak najszybciej znaleźć się w domu rodzinnym i skontrolować zawartość tajnego pomieszczenia. Pragnął się upewnić, że drogocenna szczeka jest na miejscu. Naturalnie, miał nadzieję, że nigdy nie będzie musiał jej użyć.

Łęczak przyjął propozycję posady z otwartymi ramionami, nie wierząc własnym uszom. Odjęło mu mowę, wręcz nie posiadał się ze szczęścia. Jak zwykle bezmyślny i krótkowzroczny, nie wpadł na to, że został wrobiony. Na tym etapie nie wiedział jeszcze, co przyjdzie mu przeprowadzić. Milion złotych, które miał otrzymać jako honorarium, nie było wygórowaną kwotą, zważywszy, że za te pieniądze najprawdopodobniej będzie musiał przekupić sporo ludzi. Za dużo mu nie zostanie. Gdyby Łęczak protestował, to on będzie miał na niego bat, a jak się dowie, co Kwaśniak trzyma w zanadrzu, na rzesach stanie, by sprawę Solariusza przewalczyć. Nie zawaha się, nawet gdyby musiał po drodze wyeliminować kilku zawodników. Sprawa prostytutki nie była przedawniona, Łęczakowi groziło do piętnastu lat, Kwaśniak to sprawdził.

Z rozpierającą go energią lekko wdusił pedał gazu, przyspieszając do bezpiecznych stu na godzinę. Rzeczywistość, dotychczas tak parszywa i beznadziejna, że Bóg mu świadkiem, miewał chęć odkręcić gaz albo łyknąć słoik prochów, nagle zaczęła jawić się jako przyjemniejsza, jakby na to niewykonalne zadanie padł promyk nadziei. Co, jeśli faktycznie uda mu się całą operację przeprowadzić w białych rękawiczkach i wyjdzie z tego bagna obronną ręką?

Przy szosie pojawił się drogowskaz informujący, że do Pabianic zostało zaledwie dwadzieścia kilometrów.

Kwaśniak wyciągnął komórkę i wybrał numer domowy. Zdyszana matkę lakonicznie poinformował o rychłym przybyciu. Po drugiej stronie linii usłyszał radosne pochlipywanie, więc czym prędzej się rozłączył.

Godzinę później siedział z rodzicami przy uprzątniętym po obiedzie stole. Podczas jedzenia prawie się do siebie nie odzywali, teraz też mówili niewiele, jednak dało się wyczuć, że rozmowa wisiała w powietrzu, bo rodzice wyraźnie czekali na wyjaśnienia. Kwaśniak, jakby przytłoczony tymi roszczeniami, siedział naburmuszony, z łokciem na stole, uporczywie grzebiąc małym palcem w uchu. W końcu matka dźwignęła się i przyniosła z kuchni kupne ciasto w plastikowym pudełku i herbatę w dzbanku. Pochylony ojciec grzebał w barku, szukając czegoś specjalnego na tę okazję.

Z triumfem postawił na stole butelkę przepalanki. Matka skrzywiła się, znów

podreptała po coś do kuchni. Po chwili wróciła z kryształowym talerzem pełnym domowej roboty faworków oraz półmiskiem, na którym ustawiła wedlowskie ptasie mleczko. Specjały te podsunęła synowi.

– Jedz, wychudłeś!

Ojciec najpierw nalał sobie, po czym zmierzał w stronę syna z butlą pełną ciemnoczerwonego płynu

– Nie mogę pić, głowa. – Kwaśniak osłonił dłonią swój kieliszek.

– No więc, powiesz nam wreszcie, co się dzieje? – Wyraźnie poirytowany ojciec nie ruszał swojego kieliszka, ale raz po raz łakomie zerkał w jego kierunku.

– Od czasu jak twoja matka zobaczyła oprychów, co tu dla ciebie tę pakę zostawili, codziennie do kościoła chodzi, po nocach nie śpi, tak się o ciebie martwi.

Matka spojrzała błagalnie na nachmurzonego syna.

– Może się mama przestać martwić, jestem na prostej – rzekł Kwaśniak na odczepnego, popijając herbatę.

– Jużś nam tak raz mówił w marcu! Że chody masz takie! A tu tymczasem strach boski z domu wyjść. Ty wiesz, co tu się porobiło? – Ojciec przyciszył głos i szybko łyknął wódki. – Jakie tu nagonki były? O paru chłopakach słuch zaginał, kilku specjalnie z kraju wyjechało! Ludzie szeptem w domach rozmawiają! Sąsiad boi się sąsiada! Już nie wiadomo, kto z nimi, a kto przeciwko, lepiej gębę trzymać na kłódkę. A wieczorem to tak nieprzyjemnie, że psy spuszcza na noc, bo bez tego nie idzie spać.

– Przestań go jeszcze dręczyć, przecie widzisz, że cały blady! – rzuciła ostro matka. – Połowa z niego została!

– Powiem wam coś w największej tajemnicy. – Kwaśniak wyglądał, jakby zmagął się ze sobą. – Gęby na kłódkę, bo od tego życie może zależeć. Nie wolno tego rozgłaszać, choć niedługo będą o tym gadać w telewizji. Mam tekę ministra. To już pewne!

Ojciec znieruchomiał, wlepiając wzrok w syna. Ze stojącymi kępami siwych włosów za uszami przypominał wystraszonego puchacza. Matka skamieniała, nie odrywając spojrzenia od Mirka.

– Dogadałem się z panem Bogdanem. W zamian za pewną przysługę zrobi mnie ministrem. – W głosie Kwaśniaka pobrzmiwała nuta triumfu. – Mam już zgodę od sekretarza partii, wszystko klepnięte. Za tydzień oficjalnie ogłoszą! Naprawdę nie musicie się nikogo bać. Miałem kłopoty z panem Bogdanem, owszem, aleśmy się dogadali.

– Co ty pierdolisz! Myślałby, dogadali! Ludzie mówią, że on już do kraju nie wróci, domy i firmy posprzedawał. Nawet ten dom, co zaczął budować dla córki, ten prawie pałac na Karszewie, jest teraz na sprzedaż! – rozsierdził się ojciec. – Czystki robili u dłużników, a jak kto nie miał, to do lasu wieźli! Wszyscy, którzy coś o nim wiedzieli, sami spierdalali albo ich... – Ojciec złapał się za gardło

i wysunął język, obrazując uduszenie.

– Z paroma ludziskami się nie dogadał, ale ze mną się ugadał. – Kwaśniak błysnęła oczami. – Te dwa zakapiory, co tu paczkę przywiozły, to ludzie od niego!

– A co oni w tej paczce przywieźli? Żebyś w jakie nowe gównno nie wpadł!

– Muszę załatwić pewien drobiazg, i tyle. Ja i pan Bogdan jesteśmy kwita.

Ojciec siedział zafrasowany. Nagle wstał i powiedział do matki:

– Staśka, idź no do komórki, przynieś nam tego smalcu, coś narobiła, parę małosolnych i ćwiartkę czystej. Pali mnie zgaga od tego słodu!

Stanisława Kwaśniak na nogach jak betonowe słupy poczłapała pomału do sieni, a stamtąd na zewnątrz. Murzyn zbliżył się z przyjaznym powarkiwaniem, a ona pogłaskała czarny kosmaty psi łeb. W ponurym świetle latarni ulicznej ruszyła przez pełne cieni podwórko w stronę rysującej się na tle rozgwieżdżonego nieba obory. W środku nie trzymała już zwierząt. Odemknęła solidne wrota i po omacku szukała na ścianie włącznika światła. W rogu stały skrzynki z wódką. Wyciągnęła jedną z nich, gdy naraz usłyszała odległe krzyki. Znieruchomiła, nasłuchując.

Murzyn zawarczał głucho, a potem żałośnie zaskomlał. Odgłosy awantury dobiegały z wewnątrz domu.

Znów się pokłócili! Pewno stary coś Mirkowi nagadał, korzystając z jej nieobecności. A bodajby go diabli wzięli! Pięć minut chłopak w domu nie może wysiedzieć, żeby się ten stary cap o coś nie czepiał. Czym prędzej zgasiła światło, zawarła wrota i pospieszyła do domu. Gdy była na schodach, drzwi od sieni otwały się z hukiem i wypadł syn, bardzo lekko ubrany.

– Gdzie idziesz?! – krzyknęła wzburzona, widząc, że zamierza minąć ją bez słowa.

Nie odpowiedział, tylko pobiegł do auta. W pierwszej chwili myślała, że zamierza odjechać. Zamiast wołać za nim, ruszyła po schodach w dół, w ślad za synem. Ujrawszy, że otworzył bagażnik i wyszarpnął walizy, odetchnęła z ulgą. Złapał ewidentnie ciężkie toboły, tekę i ruszył w głąb podwórka.

– Idziesz do piwniczki pod szklarnie? – wyrwało jej się – Tam nienapalone! Zmarzniesz na kość!

– Ciss! – syknął, trwożnie zerkając na boki.

– Toć nikogo nie ma. – Wzruszyła ramionami, lecz widząc wystraszoną minę syna, zapewniła żarliwie: – Murzyn! Murzyn dałby znać.

To najwyraźniej uspokoiło Mirka. Chwycił walizki i zgarbiony znikł za domem. Po chwili usłyszała, jak chrzęścił kluczami, a potem jak zgrzytnęły nienaoliwione drzwi do szklarni. Rozeźlona wróciła do domu i skierowała się do ciepłego salonu. Zgarbiony mąż z frasunkiem masujący sobie łysą głowę siedział przy stole. Na jej widok szarpnął pogardliwie głową, jakby rzucał wyzwanie. Podeszła do niego i z hukiem postawiła przed nim flaszkę, po czym wyszła

z pokoju, trzaskając drzwiami.

Tymczasem objuczony dwiema walizami Mirek dotarł wreszcie do kantorka znajdującego się na końcu szklarni. Było to miejsce, w którym mieściło się tak zwane biuro. Latem tu inkasowano pieniądze za sprzedawane ze szklarni sadzonki. Chryzantemy, których były tu setki, sprzedawała matka bezpośrednio przed domem. Nie lubiła, jak ludzie się tu kręcili, a jesienią nigdy nie zatrudniali dodatkowej siły roboczej i nie byłoby komu pilnować.

Teraz było tu pusto, zimno i ciemno. Mirek nie zapalił światła. W podłodze pod dywanem ukryty był włącz do niedużej piwniczki, znajdującej się dokładnie pod biurkiem. Odstawił walizy, szybko złapał za róg przykurzonego dywanu i odrzucił energicznie. Ukazała się kłapa z płaskim metalowym uchwytem i przyczepiony doń metalowy łańcuch. Mocno pociągnął, uchylając kłapę, a następnie sięgnął dłonią w zimną czarną czeluść i pomacał chropowaty mur. Palce odnalazły włącznik.

Piwniczkę zalało światło.

Pół godziny później zakończył umieszczanie akt na specjalnie przygotowanych półkach. Uprzednio skontrolował cały stan posiadania. Wszystko było na miejscu, ułożone tak, jak zostawił. Wreszcie mógł spokojnie zasiąść za biurkiem – piwniczka urządzeniem przypominała skromny gabinet. Tu właśnie, w otoczeniu swoich skarbów, Kwaśniak obmyślał kolejne strategie, tu się zaszywał, kiedy miał problem.

Ceglane ściany ozdobił obrazkami i zdjęciami, nawet przepchnął fotel przez szeroki włącz. To był jego azyl, czuł się tu doskonale. Miał nawet kaloryfer. Wstał i go pomacał. Włączył piętnaście minut temu, a już grzał na fest. Jeszcze pół godziny, a małe pomieszczenie ociepli się do znośniej temperatury. Na razie było piekielnie zimno, para szła z ust w nikłym świetelku małej lampki.

Pomału wracał do siebie po tym, jak cholerny starszy wyprowadził go kompletnie z równowagi. Jeszcze moment, a lek, który połknął, zacznie działać. Byle tylko starszy nie przyciągnął tu za nim. W razie czego Murzyn siedział w biurze, jakby kto szedł, na pewno da znać.

Usiadł przy biurku. Cienka kurteczka irytująco szeleściła przy każdym ruchu; nawet ten odgłos przyprawiał zmęczone uszy o niemal fizyczny ból. Kwaśniak choć przez moment chciał posłuchać tej dzwoniącej ciszy, której brak mu było w Warszawie.

Ciekawe. Wokół musiało być cholernie zimno, a on wcale tego nie odczuwał, jedynie dłonie miał niemal skostniałe z zimna. No, najwyższy czas zabierać się do roboty. Opracuje strategię, ustali najdrobniejsze szczegóły, po czym uda się na zasłużony odpoczynek. W rodzinnych stronach oddychało się zupełnie inaczej, więc i spać będzie się inaczej. Zerknął na blat biurka, na którym leżała podróżna lektura – *Księżę Machiavellego*.

Fenomenalna pozycja na te czasy. W trakcie czytania włosy jeżyły mu się na głowie, wyglądało, jakby ktoś pisał wprost dla niego, cholera jasna. Aż ciarki po plecach przechodziły!

Chwilowo uporał się z układaniem tych pieprzonych szpargałów, mógł więc podelektować się pabianicką ciszą, wiejskim zapachem, spokojem. Tutaj wszystko wydawało się mniej realne i bardziej poukładane. Nie da się wciągnąć w tę spiralę pesymizmu. Jest czujny, był czujny i będzie czujny, chociaż... Chciałby móc choć na chwilę pozwolić umysłowi wytchnąć, nie baczyć na żadne...

A cóż to znów za lichy?

W okienku pod sufitem kątem oka dojrzał jakiś błysk. Pewno mu się zdawało. Naprzeciwko budynku szklarni znajdowała się druga szklarnia i tam z pewnością nikogo... Co znów? Odgłosy kroków na zewnątrz? Czy zaczyna mieć zwidy? Po tym cholernym incydencie każdy szelest płoszył go, jak nie przymierzając, zająca.

Postanowił zgasić światło i wyrzucić przez okienko piwniczki, ale początkowo przeważała obawa przed znalezieniem się w kompletnej ciemności. W końcu jednak podjął wyzwanie, które sam przed sobą postawił. Zalała go ciemność. Oddychał szybciej; było tak cicho, że w uszach huczał mu rytmiczny łomot krwi.

Jednak nie pozwolił, by ogarnął go strach. Nie tu, gdzie był wśród swoich. Przecież wszystko ukartował, ustalił, rozpiął. Już nie musi się nikogo bać, nie wystraszy się czarnowidztwa ojca. Gdyby rzeczywiście się bał, nie siedziałby tutaj przy zgaszonym świetle.

Pomału wstał od biurka i podszedł do znajdującego się na wysokości jego głowy okna. W środku było czarno, ale na zewnątrz na tle nieba rysował się budynek drugiej szklarni. Po chwili zobaczył jakieś błyskające od strony domu światełko. Ktoś szedł z latarką. Szukał go. Kwaśniakiem wstrząsnął lodowaty dreszcz.

Nie, usiłował uspokoić sam siebie, to na pewno nie byli ludzie Wędzichy. Nie mieli powodów, by go nachodzić i napastować. Krok po kroku postępował według ich pomysłów. Nie, to nie mogli być ludzie Wędzichy, poza tym pies by ich wyczuł. A jednak ktoś chodził po obejściu z latarką i go szukał.

Światło znikło z pola widzenia. Ten ktoś mógł wejść za róg budynku, uznał w duchu Kwaśniak. Okazało się, że słusznie rozumował, bo po chwili dały się słyszeć wolne kroki, jakby lepkie na mokrym asfalcie. Ktoś szedł w stronę kantorka betonowym chodnikiem między kwitnącymi chryzantemami. Kwaśniak usłyszał, jak intruz otworzył drzwi biura i wszedł do środka. Zaskrzypiała drewniana podłoga. Kroki z wolna przemieszczały się po niej to tu, to tam. Czy ojciec poruszałby się w ten sposób, wiedząc, że Mirek jest w piwniczce? Nie, zawołałby go po imieniu. Matka doskonale wiedziała, gdzie Mirek idzie

z walizami, wiedziała także, iż tu trzymał swoje skarby.

W kantorku był ktoś obcy – to odkrycie poraziło i osłabiło Kwaśniaka.

Stał nieruchomo w pobliżu okienka piwnicznego, opierając się plecami o zimną, wilgotną ścianę. Wyraźnie usłyszał, jak zagrzechotał łańcuch. Jeszcze chwila, a poderwie się kłapa, którą zamknął za sobą, schodząc do piwniczki. Rozległ się metaliczny stukot, brzęk łańcucha, a potem szarpnięcie i do piwniczki wlało się światło z kantorka, uwidaczniając najpierw cień, a potem na betonowych schodach nogi w czarnych butach. Do piwniczki schodził mężczyzna.

Serce Kwaśniaka łomotało jak szalone. Chciał krzyknąć, lecz strach odebrał mu głos. Mężczyzna był już na dole, ale patrzący pod światło Kwaśniak nie widział jego twarzy. Stał jak zamurowany, jakby sama śmierć przyszła po niego.

Nieznamy przekręcił włącznik. Światło lunęło z góry i oczom Mirosława ukazała się pocziwa gęba Skoczylasa. Poczował wiotkość w kolanach, łyzy niemal stanęły mu w oczach, z ust popłynęły słowa pełne wdzięczności i ulgi:

- Stary przyjacielu, jesteś! Nie dopadli cię!
- Ciebie też, jak widać, nie dopadli.
- Dopadli, dopadli.
- Co ty powiesz? A, to niedobrze.

Ubrany w czarną puchówkę, sztruksy i wojskowe buty, Skoczylas wyglądał jak komandos.

– Siadaj! – Kwaśniak miał prawie chęć uściskać starego druha, ale nie pozwoliłaby mu na to wrodzona powściągliwość wobec ludzi stojących niżej na drabinie społecznej.

Blady jak ściana Skoczylas niepewnie drapał się po głowie, w końcu przysiadł na brzegu fotela, a Kwaśniak rozparł się za biurkiem.

– Opowiadaj! Skąd wiedziałeś, że tu jestem? – zaczął Kwaśniak, pochylając się w stronę siedzącego naprzeciw Skoczylasa. – Nic dziwnego, że Murzyn nie jazgotał. Wyczuł swojaka.

Jak dobrze było wreszcie spotkać kogoś, kogo znało się od dziecka i z kim można było od serca porozmawiać. Może i Skoczylas był prostym chłopakiem, ale znali się jak łyse konie.

– Jak z nieba mi tutaj spadłeś – kontynuował szczerze uradowany Kwaśniak.
– Wyobraź sobie, że myślałem dziś o tobie. Co za niesamowity zbieg okoliczności!

Skoczylas siedział i uśmiechał się niepewnie, jakby nie wiedząc, jak się zachować wobec zleceniodawcy, który zawsze był surowy, a tu nagle okazywał mu tyle serca.

– Mów, jakim cudem się tu znalazłeś! Dziś ojciec mi powiedział, że musiałeś przed nimi spieprzać i pojechałeś do Anglii.

– Gówno prawda. Wcale nie wyjechałem. Owszem, ukryłem się, nie chciałem rycerzy pana Wędzichy kłuć w oczy swoją osobą. Mam tu jeszcze paru

lojalnych kumpli, dali mi schronienie. Jeden z nich widział dziś na mieście twoje auto. Jak się dowiedziałem, że Mirosław zjechał, to pędem przyleciałem. Ciekaw byłem, jak sobie radzisz i czy aby ciebie nie nękają! Wiedziałem, że znajdę cię w tej piwniczce.

Jakaż to ulga widzieć obrzmiałe oblicze Skoczylasa. Musiał chłop zdrowo tu pić. A co innego miał robić, skoro musiał się kryć? Nie znał dnia ani godziny, nie miał pojęcia, w jaki sposób Wędzicha zechce się na nim zemścić. To Skoczylas odpowiadał przed Wędzichą za zniknięcie księgowego, to on go pilnował. Znalazł się w o tyle gorszej sytuacji, że do niczego nie mógł się Wędzisz przydać! To wszystko czyniło Skoczylasa wielce pożądanym kompanem. Gdyby Kwaśniak nie był takim cynikiem, to może by i uwierzył, że Skoczylas mimo różnic intelektualnych mógłby się nazywać jego jedynym... hm... przyjacielem!

A ponieważ jechali na jednym wózku, Kwaśniak z ulgą opowiedział mu całą historię od momentu porwania, objaśnił szczegóły układu, który zawarł z Wędzichą, a nawet wyjawiał, jak zamierzał zmusić Łężaka do współpracy, w razie gdyby sama kwota łapówki nie zachęciła go do wywiązania się z zadania. Opowiadana nieco chaotycznie historia wylewała się z niego kaskadami nieskładnych zdań, lecz Skoczylas zdawał się wszystko pojmować w lot. Kompan naprawdę spadł mu jak z nieba! Wszak Kwaśniak już dawno pogodził się, że kogo jak kogo, ale jego sprzątną pierwszego.

Skoczylas słuchał bardzo cierpliwie i w ogromnym skupieniu. Na koniec skwitował:

– A jednak miałeś rację przed laty. Opłaciła się wyprawa po szczękę!

Jakże trafnie to ujął, zupełnie jak nie on. Kwaśniak poczuł do siebie żal, bo zawsze rugał Skoczylasa jak przysłowiową burą sukę. Teraz, gdy obaj byli prześladowani przez Wędzichę, pożałował, że miał kompana za popychadło i traktował per noga. Jak widać, to prawda, że przyjaciół poznaje się w biedzie. Gdyby Skoczylas ukończył choć podstawówkę, to jego mógłby wywindować na szefa Gdaki. Chcąc przekazać mu swoje uznanie, powiedział:

– Zamiast Łężaka dałbym cię na dyrektora, ale doskonale zdajesz sobie sprawę, jakie to ryzykowne i niebezpieczne przedsięwzięcie. Ale spokojnie, będę mógł cię upchnąć gdzie indziej.

Skoczylas przeczącym gestem wyraził, że nie rościł sobie podobnych pretensji.

– Nawet nie chciałbym się tak wychylać – dodał rozsądnie. – Ty to co innego. Ty jesteś mu potrzebny, mnie zlikwidowałby bez wahania!

Zapadła chwila milczenia, po czym Kwaśniak oznajmił:

– Mam tu jeszcze trochę tak zwanej koncepcyjnej pracy.

Skoczylas uśmiechnął się porozumiewawczo swoim bezzębnym uśmiechem i odparł:

– Chcesz się zasadniczo – tu wciągnął głośno smarki – rozeznąć, co na kogo masz, tak?

Kwaśniak zaśmiał się, wstał i zaczął krążyć po piwniczce. Wyjął z kieszeni paczkę marlboro i zapalił papierosa. Szybko się zreflektował i poczęstował papierosem Skoczylasa.

Palili chwilę w milczeniu, po czym Kwaśniak uniósł palec i porozumiewawczo kiwnął głową, dając Skoczylasowi do zrozumienia, aby poczekał chwilę. Ten skwapliwie przytaknął i rozparł się wygodnie w fotelu. Kwaśniak obszedł biurko, z dolnej szuflady wyjął dużą butelkę burbona i postawił ją na stole.

– Prezent od mojej dziewczyny – oznajmił, nie wyjmując papierosa z ust, po czym zawadiacko się uśmiechnął. – A tu szklanki. Polej nam.

Skoczylas wstał z wolna, jakby wciąż jeszcze lekko onieśmielony, że zazwyczaj opryskliwy szef się z nim fraternizuje. Pomału odkręcił flaszkę, nalał po pełnej szklance i jedną z nich uniósł.

– Zdrowie twojej dziewczyny.

Stuknęli się szklankami. Skoczylas od razu łączywie wypił pół zawartości swojej szklanki, bardziej wstrzemięźliwy Kwaśniak zaledwie upił łyk.

– A ładna ta twoja dziewczyna?

– Znasz ją z telewizji.

Skoczylas uniósł brwi w geście zdziwienia, na co Kwaśniak z dumą opisał piastowane przez Beatę stanowisko. Skoczylas z uznaniem pokiwał głową.

– Piękna może nie jest, ale oddana mi w stu procentach. Ufam jej jak sobie samemu. Uczciwa do bólu i cholernie lojalna – przekonywał milczącego kolegę.

– Zaufanie to podstawa. – Skoczylas znów uniósł szklankę i sporo upił. – Uroda przemija, a jedyne, co pozostaje, to uczciwość i lojalność – dodał.

Ponownie stuknęli się szklankami.

– Powiedz, jak chcesz to wszystko utrzymać? – Skoczylas nagle zmienił temat. – Przecież jak ogłoszą cię ministrem, to wszyscy twoi wrogowie rzucą się na ciebie jak głodne hieny. Zaczną kopać pod tobą doły.

Kwaśniak nerwowo zaciągnął się papierosem.

– Wiesz przecież, stary przyjacielu, że na moich wrogów mam całe kartoteki. Jeśli chodzi ci o Wencłów, to sytuacja jest patowa. Oni mają coś na mnie, a ja na nich. Jeśli choć pisną słówko, to młodszy Wencel pójdzie za kraty.

Skoczylas nie wydawał się przekonany. Podniósł się, uzupełnił szklanki, znów popili. Gość zapalił kolejnego papierosa, blask zapałki oświetlił jego bladą twarz.

– Ja bym nie ryzykował pozostawiania tego barachła na wolności. Mają kopie wszystkich transakcji, mogą cię pociągnąć na sam dół. Nawet nie będziesz wiedział, kiedy komuś przekażą te dokumenty albo wyślą do prokuratury. I na

chują zdadzą się te materiały na młodszego. A co zrobisz, jeśli młodszy wyjedzie z kraju, a do dupy dobierze ci się starszy?

Kwaśniak popatrzył z uznaniem na Skoczylasa. Popił burbona i powiedział:

– Wiesz, dlaczego kiedyś cię nie lubiłem? Bo mój stary cię cenił. Wkurzało mnie to. Mówił mi, jakiś ty prawy, lojalny. Zmuszał mnie, żebym się z tobą przyjaźnił. A mnie wkurwiało, że tak cię wynosił pod niebiosa. Żeś ty taki święty. A ja tu teraz widzę, że ty lepiej ode mnie kombinujesz!

Zaśmiali się unisono, po czym Skoczylas wstał i pocierając łysą głacę, wyłożył swoje zdanie:

– Trzeba wykorzystać sytuację, którą mamy, prawda? Jesteś ministrem... yy, czego tam?

– Infrastruktury.

– Infrastruktura to też policja, prokuratura?

– Nie. Nad tamtymi jest minister sprawiedliwości.

Skoczylas znów podrapał się po błyszczącej głowie.

– To dogadaj się z ministrem sprawiedliwości. Kim on jest?

– Janek Palimąka. Dość młody, ale z frakcji Steca. Jak zacznę z nim paktować, to Kaźmierczak wnet może coś zwąchać i obrócić się przeciwko mnie!

– To rób tak, żeby nie przyfilował. Załatw mu coś, a w zamian proś o przysługę. Niech narobią trochę smrodu wśród prokuratorów, adwokatów, radców. Niech ich przetrzepią, a potem capną na czymś któregoś prokuratora i potzymają parę miesięcy na wydobywczym. Wtedy, jak już się chłop spietra, postawić mu trzeba warunek. Przypierdolicie się o coś do Wencla, o cokolwiek. Nie wiem. Niech mu coś podłożą. Niech mu, kurwa, narkotyki do auta wrzucają. Jak się ma po swojej stronie resort sprawiedliwości, to niejedno można zdziałać.

Kwaśniak milczał, paląc w skupieniu, po czym przyznał:

– Może i coś w tym jest.

Skoczylas zaczął krążyć po piwniczce. W pewnym momencie powiedział:

– To proste. Osadź się na urządzie, a po cichu staraj zbliżyć do ministra sprawiedliwości. Jeśli jest z wrogiej wam frakcji, tym bardziej będzie zaciekawiony.

– Skoczylas, ty masz perfidniejszy łeb ode mnie! A mój starszy miał cię zawsze za takiego świętego. Kurwa, czasem aż mnie to bolało – wywnętrzał się Kwaśniak.

– Dajże spokój! Twój stary świata poza tobą nie widzi! – przekonywał kompana Skoczylas.

Znów stuknęli się szkłem.

– Tylko jedno jest ważne! – Kwaśniak stanął na środku pomieszczenia. Światło padało na niego od góry, nadając mu przerażająco statyczny wygląd. – Pozostać z Kaźmierczakiem w dobrych stosunkach. Ten przeklęty stary knur nie

może nic zwierzyć, bo gotów napuścić na mnie nopolców^[3].

– Działaj z głową, a będzie dobrze!

– Serio tak myślisz? Czuję, że tym razem trochę się zakałapućkałem.

Skoczył uspokajająco podniósł prawicę, jakby chciał powstrzymać pesymizm Kwaśniaka.

– Wszystko masz pod kontrolą. Łęczak za szczękę załatwi ci przetarg, choćby miał konkurencję gołymi łapami podusić. Jeszcze się przytnie z jego transzy.

Znów stuknęli się szklankami.

– A chłopcy Palimąki zrobią mi porządek z Wenclem – dokończył Kwaśniak. – Już ja się im wszystkim dobiorę do dupy. Tak jak mówisz, zrobimy nagonkę na prawników. Niech się boją, niech trzęsą dupskami, niech spierdalają z kraju! – Po chwili dodał: – Tylko Beatkę muszę utrzymać w słodkiej nieświadomości, bo ona jest z Kaźmierczakiem blisko i gdyby co zwąchali, mogliby mocno mi zaszkodzić.

Skoczył uzupełnił alkoholem puste szklanki i stukając się z Kwaśniakiem, powiedział:

– Ale ona je ci z ręki, prawda?

Wybuchnęli gromkim śmiechem, który w pustej piwnicy odbił się głośnym echem. Gdy przebrzmiał, zdawał się dysonansem, jakby pijany niechący oparł się o pianino, które wydobyło z siebie nieskładny dźwięk.

Wszystkich Świętych

Wenclowie gromadzili się na pętli tramwajowej na Odolanach, by dotrzeć do rodzinnego grobu razem. Chwalili sobie to miejsce położone w pobliżu głównego wejścia na teren cmentarza, a jednocześnie nieco mniej zatłoczone.

Gdy byli w komplecie, zbitą grupką przedzierali się przez luźniejszy z tej strony tłum do głównej bramy cmentarnej. Stamtąd, używając kolczastych wieńców jako tarcz, już w gęstej, czarnej, ruchliwej niczym rój karaluchów ciżbie, brnęli dalej, wprost do rodzinnego grobowca. Usytuowany w dogodnej szerokiej alei, był widoczny z odległości kilku przecznic. Świecący niczym lustro czarny granit nie miał sobie równych, czy to pod względem wielkości, czy ilości sztukaterii. Zamówiony przez babcię Wenclową w czasach prosperity, zwieńczony groźnym czarnym aniołem, nie pozostawiał wątpliwości co do statusu materialnego rodziny, do której przynależał.

Rokrocznie członkowie rodziny Wencłów w komplecie dreptali w nienagannie wypastowanych butach po żółtej rozmięklej glinie, w poważnej, uroczystej gotowości, do której sposobila ich niewesoła okoliczność.

Już sama okolica poruszała w ich sercach czułą nutę. Z Woli się wywodzili, to były pierwsze tereny ich zmagania życiowych. Według Wencłów, tylko na Woli zdarzali się ludzie osiedli tam z dziada pradziada, a więc tacy, których warto było spotkać choćby po to, by doświadczyć tego niezrównanego poczucia, że nikomu z tych ludzi nie powiodło się tak dobrze jak im – Wencłom.

Tak więc babka Wencłowa i jej wiekowa siostra Olesia, seniorki rodu, ostatnie żyjące spośród liczego przedwojennego rodzeństwa, ubrane w ciepłe karakuły, szły ostrożnie, macając laskami nierówną nawierzchnię i rozglądając się bacznie dookoła, co i rusz dostrzegając znajome, tknięte zębem czasu twarze.

Dotknięta starczą demencją Olesia co chwila dopytywała babki Wencłowej, kto zacz, na co tamta ciesząca się nadal bardzo sprawnym umysłem, poirytowana niedowładem umysłowym siostry, wymieniała nazwiska mijanych, przypominających zgraję zombie ludzi, tonem zniecierpliwionym, nawet wrogim. Ani myślała socjalizować się z tą żywą trupiarnią, żyć przeszłością. Jedynym sensem jej istnienia były wnuki, a cała ta parada na pokaz służyła tylko jednemu – pokazać wnuki światu.

Przystawała więc, by się przywitać, lecz robiła to niecierpliwie, niechętnie. Mrucząc zdawkowe formuły powitalne i nie siłąc się, by wysłuchać odpowiedzi, wiedzona dawnym nawykiem, zwracała się za siebie, wyblakłymi oczyma szukając swojego faworyta Mateuszka, chcąc go należycie zaanonsować, wyeksponować, zaprezentować. Jednak każdemu takiemu spotkaniu towarzyszyła niesłabnąca przykrość, gdy na nowo przypominała sobie, że przecież jej ulubieńca dziś z nimi nie ma.

Pierwszy raz od trzydziestu siedmiu lat Mateusz – duma jej starczych oczu – nie stawił się na cmentarzu, swoją nieobecnością odbierając babce całą przyjemność, którą to święto dla niej niosło. Daleka jednak była od tego, by winić go za ten stan rzeczy. Natomiast gdyby kiedykolwiek miała okazję dopaść wyłokę, która rozbiła jego małżeństwo, babcia Wen-clowa nie przebiegałaby w słowach.

Bo choć nikt w rodzinie nie wiedział, co tak naprawdę wydarzyło się u Mateuszów, chodziły słuchy, że zdesperowana kochanka zniecka zadzwoniła i opowiedziała żonie całą historię. Zagadką pozostawało, czy był to ostatni akt zemsty, czy też może liczyła na pozyskanie Mateuszka na własność. Bez względu na to, jakie były jej intencje, finał tego barbarzyńskiego aktu okazał się godny pożałowania. Karolina spakowała Matiemu walizki, rozwód był w toku, rodzina w zgliszczach, a ta druga – podobno zwykła biurowa puszczałska – i tak została na lodzie, bo Mati nie chciał jej po tym znać.

Rzeczywiście nawarzył chłopak piwa, ale czy konsekwencje tego musiały być aż tak dotkliwe? Babka nigdy nie przepadała za żoną Mateusza, choć Elżbieta, jej synowa, osoba nieszczególnie przenikliwa, uważała tamtą za uosobienie słodyczy. Deklaracje, że Karolina pragnęła mieszkać w wielopokoleniowym domu, z teściową za ścianą, zawsze zdawały się babci Wen-clowej na pokaz i budziły nieprzyjemne podejrzenia.

Pod maską lukrowanej uprzejmości Karoliny kryła się zimna i nieprzejednana bigoteria, odziedziczona po starej Pęksowej. Cóż, jaka matka, taka córka, babka już dawno to powiedziała, lecz nikt nie traktował jej słów poważnie. Teraz będą mieli okazję się przekonać, jaka z Karoliny twarda, zawzięta góralska sztuka – kościół na ustach, ale serce z kamienia, próżno tam szukać chrześcijańskiego miłosierdzia.

I gdzie tu myślenie o dobru dziecka?

Mateuszek nie przyjechał na cmentarz, bo dziś miał sądownie uzgodnione czterogodzinne widzenie z synem. Aż strach boski byłoby je przesunąć, bo Karolina wykorzystalaby to przeciwko niemu, długo by chłopca nie zobaczył. Musiał pilnować tych terminów, o tak. Potępijąco kiwała głową, wolno sunąc po nierównych płytach chodnikowych i ostrożnie stawiając każdy krok. Przykrość związana z oddzieleniem od tego brzdąca, od jedyne go jak na razie potomka w najmłodszej linii Wen-clów, przysparzała im wszystkim niesłabnącej udręki.

Babcia Wen-clowa z irytacją wepchnęła do ucha wysuwający się aparacik. Choć wszyscy oni wmawiali jej, że sprawy miały się rzekomo ułożyć, ona wiedziała swoje. Niepomny na jej ostrzeżenia Mateusz, wiedziony chyba poczuciem winy, zostawił Karolinie całe mieszkanie, wyprowadzając się do wynajętego. Mogli mówić, co chcieli, ale jej się zdawało, że nie należało tak prędko oddawać Karolinie wszystkich atutów.

Opieka nad dzieckiem nie była jeszcze ustalona. Dotychczas Karolina specjalnie nie utrudniała Matuszkowi dostępu do Bruna, ale któż może wiedzieć, jakimi drogami chadza umysł zranionej kobiety? Czy teraz, gdy dostała mieszkanie, nie zmieni frontu? Nie pokaże prawdziwego oblicza? Babcia Wencłowa dobrze wiedziała, do czego zdolne są kobiety.

Mogli sobie mówić, że świat się zmienił, że rozwody to chleb powszedni, a sprawy załatwia się w sposób pozbawiony emocji, cywilizowany, ona jednak już trochę lat przeżyła, niejedno widziała i nikt jej nie wmówi, że natura ludzka uległa jakiejś ewolucji. Postęp postępowaniem, a natura pozostawała taka sama od czasów kamienia łupanego. Kobieta zdradzona zawsze chciała wydrapać mężczyźnie oczy. Może Karolina udawała cywilizowaną, aby uzyskać pożądany cel – mieszkanie na własność – a teraz dopiero pokaże pazurki? Na myśl o tym, że jej średni wnuczek miałby czegoś podobnego doświadczyć, krew uderzyła jej do głowy, a pot zrosił ukryte pod wysokim futrzanym toczeniem czoło.

Zimnym karcącym wzrokiem obrzuciła najbliższych stłoczonych wokół rodzinnego grobu. Gdy jej zabraknie, nikt nie pomyśli na dwa kroki naprzód. Jej syn Ryszard to wprawdzie zaradny chłop, ale starzał się, robił się z niego kwękający hipochondryk. Z niesmakiem przyglądała się, jak Ryszard ociężałe pochylił się za pomnikiem, wyciągnął jakieś pobite znicze, a potem ze złością otrzepywał się, popatrując z wyrzutem na żonę, jakby miał do niej pretensję, że kaszmirowy płaszcz powalał żółtym błotem.

Teraz ostry wzrok babki objął synową. Przystojna z niej kobieta, ale za grosz rozumu. Rozpuściła tego lebiegę Piotrusia, tak że chłopak nie nadawał się do niczego. Proszę, nawet teraz wyrwała mu znicz, by wyręczyć go w zapalaniu. Powinna lepiej się zastanowić, zanim coś zrobiła. Dwa rozwody w rodzinie w ciągu roku to żaden powód do dumy. Trzeba wyciągnąć wnioski.

Po chwili zawstydzila się takiego myślenia – nie można było o wszystko oskarżać Elżbiety. A poza tym, jeśliby tak uczciwie spojrzeć na Pawła, jej najstarszego wnuka, to nie wiadomo, czy nie lepiej się stało, jak się stało. Chłopak wyraźnie odżył, rozluźnił się nieco, widać dobrze się z tą Agnieszką dopasowali. Może i Agnieszka nie była tak wytworna jak tamta – babka chciała użyć jakiejś dosadnej inwektywy, ale żaden epitet nie był w stanie opisać ani Hanny, ani skali jej występku – ale kto wie, czy chłopakowi to na zdrowie nie wyjdzie?

Może i jej Mateuszek spadnie na cztery łapy? Sparzył się, to fakt, ale może to doświadczenie okaże się dobrą nauką? Przecież inteligencji mu nie brakowało, a charyzmę i prezencję miał taką, że obu braci deklasował w przedbiegach.

Babka stała nieruchomo przed czarnym granitem niczym zahipnotyzowana, szklistymi oczami obejmując nagrobek i płonące wokoło dziesiątki, setki, tysiące kolorowych lampek, wesoło i bezdusznie pełgających języczków, po czym nagle zelektryzowała ją myśl, spychająca w niebyt całą resztę.

Czy wychodząc z domu, schowała do lodówki sernik na zimno?

Transgresyjne trio

Gdzieś w głębi mieszkania zaskrzypiały drzwi. Wyrwany z mroków alkoholowego snu, Mateusz nieprzytomnie zamrugał oczami. Promień słońca oświetlał mu twarz poprzez niedbale zaciągnięte zasłony. Przez chwilę nie mógł zorientować się w sytuacji. Gdzie jest? Jaki to dzień, miesiąc? Jaka pora roku? Oparł się na łokciu i w skupieniu masował czoło.

Nareszcie. Przypomniawszy sobie. Królewskich rozmiarów sypialnia, pas okienny przysłonięty brązowo-złotym adamaszkiem, żaluzje rzucające powabny paskowany cień na podłogę z egzotycznego drewna. Był w swoim, wciąż jeszcze pachnącym nowością mieszkaniu. Za oknem zwodnicze słońce, błękitne niebo, choć to początek grudnia. Słoneczny dzień zimowy – nie lada to gratka.

Nic dziwnego, że wszystko mu się pochrzało. Łyknął wody ze szklanki postawionej na nocnym stoliku i wtedy przypomniała mu się reszta, cała wczorajsza historia.

Dwie siksy chichoczące jak wariatki w jego dwusilnikowym jacuzzi i słowa, które tłumaczyły liczbę walających się wokół butelek. „Nieźle się trzymasz jak na trzydzieści osiem lat” – powiedziane bez cienia złośliwości, premedytacji, wręcz z podziwem! Zupełnie przypadkowo świętował urodziny właśnie w ich towarzystwie, choć z początku im tego nie wyjawiał. Dopiero później, gdy opróżnili trzy butelki Moët Chandon, zebrało mu się na szczerość.

Niespokojnie podrapał się po rozczochranej głowie, przypominając sobie resztę nieprzynoszących mu zaszczytu szczegółów, kiedy to usiłował udowodnić im, na ile młodocianych figli jeszcze go stać. Nie pamiętał za wiele, ale trudno się dziwić, miał powody do zdenerwowania. Zgodnie z postanowieniami sądu, tydzień przed urodzinami pojechał do dawnego mieszkania, by zabrać syna na weekend, lecz ku swojemu zaskoczeniu, pocałował klamkę. Mieszkanie było zamknięte na cztery spusty, była żona nie odbierała telefonu. Do dziś się do niej nie dodzwonił. Nigdy wcześniej się to nie zdarzyło, wywiązywała się z umów honorowo, co faktycznie uspiło czujność Mateusza. W dobrej wierze oddał jej mieszkanie i liczył, że sprawa załatwi się polubownie, iż nie będzie mu robiła problemów z dostępem do syna. Niechętnie słuchał wywodów tego cholernego mędrka Pawła, który iście Wencłowskimi metodami usiłował zmusić go do brutalnych metod sądowych, na które Mati nie miał ani ochoty, ani chęci.

Czy teraz tego żałował? O nie!

Bić się z kobietą na noże? To nie było w jego stylu. Za to idealnie pasowało do sposobu postępowania Wencłów. Wciąż miał w uszach rady babki Wencłowej, która polecała mu porwać dzieciaka i barykadować się w domu, podczas gdy Paweł dokonywałby makiawelicznych machinacji wśród prokuratorów, sędziów i kuratorów. Taka batalia, ciągnięcie się po sądach, emocjonowanie się tym, było

w ich guście, mogliby nieskończoną liczbę razy wałkować te zmagania podczas niedzielnych obiadów.

A wśród tego wszystkiego jego starszy brat, do niedawna wiodący popieprzony żywot, nagle stał się poukładany, niemal święty. Przy Agnieszce nawet przestał palić. Tworzyli irytująco zgodny tandem. Ta świeżo upieczona para, zrodzona zapewne z braku laku i wspólnego nieszczęścia, wprost kochała udzielać mu rad.

Skarżyć była żonę o kradzież twardego dysku, złamanie umów? O, niedoczekanie ich. Perfidni zimni prawnicy.

Mati niespokojnie poruszył stopą; mimo egipskiej bawełny spociał się pod tymi piernatami jak wieprz. Był mokry, niemal się trząśł. Przesadził wczoraj z dżinem, a przecież nie oszczędzał się równo od tygodnia. Nagle poderwał głowę z poduszki i wpatrzył się w swoje odbicie w złoconym lustrze. A jeżeli krakanie babki się ziściło? Jeżeli naprawdę wyprowadziła się do matki, do tego zafajdanego Nowego Targu? Groza tego, co to mogło dla niego oznaczać, uderzyła go nagle jak cios między oczy.

Na stoliku leżały papierosy, odruchowo zapalił jednego, a potem odrzucił skłębione prześcieradła. Półnagi w obcisłych ekscentrycznych slipach, wypadł z sypialni, nerwowo przeczesując gęste półdługie włosy. W kuchni napatoczył się na niewiedzącą gdzie oczy podziąć panią Dankę. A prawda, była sobota, pani Danka sprzątała, prasowała koszule. Szybko opadł na krzesło za stołem, przykrywając krocze walającą się tam koszulą.

– Pani Danko, dostanę kawy?

Miało to wypaść zalotnie, przymilnie, ale najwyraźniej jego urok osobisty nie zadziałał. Próbował ją udobruchać, rozbawić, aby odegnać od niej przeświadczenie, że jest zwyrodniałym, zboczonym degeneratem (o czym dobitnie świadczyła jej mina), ale wyczerpał energię, a na jej twarzy nie wywołał nawet cienia uśmiechu.

– Mleka? – Odwróciła się, łypiąc na niego podejrzliwie.

Zapewne sprzątała już łazienkę i znalazła tam niejedno.

– Nie, dziękuję.

A ponieważ kręciła się bez przekonania po kuchni, przesuując przedmioty i pobieżnie przecierając je czasem ścierką (nawet nieobyty w sprawach gospodarskich Mati dostrzegł, że pani Danka, kolokwialnie mówiąc, lubiła się opierdalać), musiał upić łyk smolistej kawy.

– Papieros przed śniadaniem? – zapytała gderliwym tonem, wprawiając Mateusza w zdumienie. – Taki pan młody, a zdrowie pan sobie chce psuć?

„Nieźle się trzymasz jak na trzydzieści osiem lat!”. Mój Boże! Chwilę palił w milczeniu, zapatrzony w jeden punkt. A więc trzydzieści osiem lat to już poważny wiek. Świat ani na jotę nie posunął się naprzód w surowym osądzaniu

podstarzałych lowelasów udających młodzieniaszków.

– Uważa pani, że jestem młody? – Mati dał się wciągnąć w rozmowę, zbyt łąsy na komplementy nawet grubej służącej.

– Ano pewnie, że młody, jeszcze może rodzinę założyć!

Dzięki Bogu, nie odmawiała mu jeszcze męskości.

– I gdzie tu sens tak życie marnować? Kobity pan tu wciąż nowe sprasza, chyba po kilka naraz, bo ile ja się tu garderoby naznajduję! – gderała, zamiatając podłogę.

Mati zgasił papierosa, obiecując, że kawę dokończy w łazience, po czym wylał całą zawartość do klozetu i puścił wodę do wanny. Z wyrazem pewnej determinacji stanął przed lustrem ze szczotką do zębów i pastą. Dokonując maniacko szczegółowej toalety, chciał pozbierać się wewnątrz.

Na Karolinę nie miał już wpływu, mógł więc śmiało odpuścić sobie zamartwianie się całą sytuacją. Jeżeli zajdzie taka konieczność, raz na tydzień będzie podróżował do syna. Chciał przyjąć to ze stoickim spokojem, powtarzając sobie nie wiedzieć czemu, niczym Tomasz z *Niežnośniej lekkości bytu* Milana Kundery: *Es muss sein. Es muss sein.*

I choć wciąż był po męsku opanowany, lekko zaciął się przy goleniu. Potem walczył z niemogącym się zagoić skaleczeniem, co wprawilo go w nieproporcjonalną do sytuacji złość. Nie ma się co łudzić. Podróżowanie w tę i z powrotem raz na tydzień do Nowego Targu da mu w kość. W grę wchodziły nie tylko pieniądze, ale i czas, który będzie musiał na to poświęcić. Szczęśliwie o te pierwsze nie musiał się martwić. Pieniądzy miał pod dostatkiem, bo od czasu, gdy owinął sobie podłą Wiktorię wokół małego palca, jego kariera ruszyła ostro do przodu. Awansował.

Zresztą, dziś jego wielki dzień!

Gigantyczna wanna napelniła się wodą. Wszedł do niej nieco chwiejnie, po czym zanurzył się wraz z głową i pozostał tak, aż brakło mu tchu. Następnie wynurzył się, parskając.

Nie czas marudzić, to nie w jego stylu. Jeśli będą potrzebne dodatkowe fundusze, on na pewno je zarobi. Jeśli trzeba będzie wygospodarować weekendy – czas jest z gumy, on go rozciągnie, zorganizuje się lepiej, sprawniej, może zatrudni drugą asystentkę. Został szefem marketingu na środkowoeuropejski *cluster*^[4], z pewnością więc dostanie zgodę na dodatkowy etat.

Dziś Mati miał święcić triumf i nie zamierzał pozwolić tej czarownicy niczego popsuć! Z okazji awansu do znanej warszawskiej lanserni zaprosił śmietankę szczęśliwców zajmujących się marketingiem. To miał być wielki wieczór dla nich wszystkich, bo było dużo kawałków tortu do podziału. Wszyscy wiedzieli, że to on dzierżył w dłoni nóż, a budżet już nie ograniczał się do Polski, ale zahaczał o kilka państw.

Tak więc ci, którzy jeszcze niedawno wieszczili mu porażkę, mocno się zawiedli. Rozwód nie załamał Matiego i nie załamał. Smród, którego Antonina narobiła w firmie, wcale mu nie zaszkodził; to ona nie wytrzymała presji, odeszła. Potem, gdy wreszcie zrozumiała, że z nimi koniec, iż nic nie wskóra, przeszła załamanie nerwowe, podobno tygodniami nie wstawała z łóżka.

Nie zamierzał o niej więcej myśleć, miał swoje problemy osobiste, z których musi znaleźć wyjście. Zresztą niezmiennie trzymał się zasady: do przodu własną ścieżką, z której nikt i nic nie może go zepchnąć. Nigdy nie da się zrównać do szeregu. Dziwnie à propos przypomniał sobie, że przybycie na jego imprezę, na moment triumfu, potwierdzili też dawno niewidziani Gembarscy.

Z werwą zaczął mydlić głowę.

Interesujące, że w końcu polubił oboje. Ten Gembarski był wcale bystry. Po dwóch spotkaniach zaczął lepiej gościa rozumieć. Biedny Gemba wciąż musiał się o żonę martwić, pilnować jej, choć i jemu nieobce były głupie wybryki. Oprócz chyba nieuleczalnej skłonności do flirtowania, z kim popadło, redaktorowa zawsze była gotowa na każde szaleństwo. Było w tym coś chorobliwego i Matiemu zdawało się, że tylko on jeden umiałby postawić jej diagnozę. Rozpoznawał symptomy, cierpiał dokładnie na to samo.

Podczas spotkań, na które Gembarscy go zabrali, czuł się, jakby wstąpił do grona innej kategorii ludzi. Byli tam dziennikarze, pisarze i ludzie ze świata filmowego. O tych ostatnich miał do tej pory jak najgorsze mniemanie, teraz jednak musiał tę opinię zmienić. Ludzie ci naprawdę zdawali się mieć w dupie pieniądze, a przy tym potrafili je zarabiać, bo żyli całkiem przyzwoicie. Nie pobłażali sobie. Jak się bawili, to na całego, po czym rano wstawali gotowi do pracy. W dodatku osiągnęli sukcesy zawodowe w dziedzinach, o których Mati myślał, że są zarezerwowane dla baranów robiących karierę przez łóżko i lizodupstwo.

Najbardziej zaskoczyli go filmowcy. Miał ich za napszonych snobów, którzy dopadli do filmowego koryta, będąc synami, siostrzeńcami lub pociotkami aktorów, reżyserów czy produ-centów. Sądził tak, mając ogólnie złe mniemanie o jakości najmłodszej polskiej filmografii. Okazało się, że był w błędzie.

Gembarscy zabrali go do Zakopanego na weekend, który okazał się jednym wielkim szaleństwem. Spotkał kilku typków ze świata filmu, z których wpierw szydził. Później jednak uznał, że jego własne talenty prześmiewcze i animacyjne, które uznawał za bezkonkurencyjne, były niczym w porównaniu z charyzmą tamtych.

To było nobilitujące przebywać z nimi, wygłupiać się z nimi, a Mati, który kochał brykać i umiał się dostroić do każdego klimatu, rzucał się głową w dół w to doborowe towarzystwo. Ale najlepsze trio stanowili właśnie we trójkę, on, Gembarski i Gembarska. Wprawdzie podczas pierwszego spotkania w ich

mieszkańiu zamierzał bezczelnie uwieść redaktorową, ale teraz miał mieszane uczucie: Gembarski wzbudzał w nim sympatię i niemałe uznanie.

Przyjemny stan oczekiwania na ujście nowych przyjaciół odsunął na dalszy plan wszelkie turbulencje związane z sytuacją rodzinną. Wieczór zapowiadał się szalony, pikanterii dodawał fakt, że miała tam być Justysia, która od pewnego czasu była wytrwałą powiernicą Mateusza i najwyraźniej miała ochotę stać się kimś daleko ważniejszym. Póki co wspierała go w odpowiednich momentach, zawsze gotowa przyjechać do niego z butelką wina i torbą sushi, by z podbródkiem wspartym na wdzięcznie wygiętej dłoni godzinami wysłuchiwać ze szczegółami rozmaitych planów Matiego względem byłej żony, utrzymania więzi z synem czy też ludzi z firmy.

Była poważna, uczciwa, usłużna, można było na niej polegać, ubierała się klasycznie, elegancko, ze stosownym do zajmowanej w firmie pozycji umiarem. Słowem nie miała ani jednej cechy, która by go pociągała, co wcale nie przeszkadzało mu sypiać z nią po każdej sesji terapeutycznej. Był przekonany, że godziła się na ten niezobowiązujący układ w narzuconej przez niego formie, dopóki nie zauważył objawów zazdrości, związanych z jego nocnymi eskapadami w poszukiwaniu mocniejszych wrażeń.

Jednak po bolesnych słowach nieczułej smarkuli, które tak brutalnie sprowadziły go na ziemię, miał chwilowo dość *clubbingu* i rozkrzyczanych osiemnastek, z radością więc wypatrywał dzisiejszego wieczoru, skracając sobie czas rozważaniem, jak też śliczna pani Gembarska zareaguje, widząc go eleganckiego wśród wszystkich tych szczych branży marketingowej, które będą lizać mu stopy, licząc na zlecenia.

Do tej pory to Gembarscy zapraszali go do swojego towarzystwa, czas, by im się zrewanżował, żeby zobaczyli go w jego światku – otoczeniu szykownego biznesu. Dobrze wiedział, że korzystnie wypadł we wszystkich biznesowych *small talks*, i chciał, by takim zobaczyła go redaktorowa.

Wiedział też, że dopiero na własnej imprezie będzie należycie otoczony wianuszkami kobiet. W snobistyczno-artystycznych kręgach Gembarskich nie mógł liczyć na podobne atencje. Jak zauważył, wbrew obiegowym opiniom, światek artystyczny był dużo bardziej zakłamanym i zawoalowanym, a kobiety łatwo nie ulegały instyktom. Czuł się tam zawsze nieco niedowartościowany, niczym kowboj bez kapelusza. Chciał pokazać się Gembarskiej w pełnym rynsztunku, odpowiedniej oprawie, otoczony należnym mu podziwem kobiet, aby wywołać jej zazdrość.

Przeczuwał, że ten wieczór będzie przełomowy, że ona spojrzy na niego świeżym okiem, a on zyska pewność, że zwróci jej uwagę, bez względu na to, jakie żywił wobec niej zamiary, czego sam jeszcze sobie nie sprecyzował. Mimo całej otwartości, nonszalancji, mówienia prosto z mostu i niekonwencjonalności

Gembarska była na tyle ostrożna i tajemnicza, że Mati nie miał pojęcia, co o nim myśli.

Punkt ósma stał jak spod igły, witając gości.

– Przeczekałeś burze i wichury, brachu. – Nagle z tłumu wyłonił się Jarek Toczyński, dyrektor kreatywny Lioness. Jego tubalny głos zdawał się roznosić echem po sali niczym grzmoty w Tatrach.

Zdawałoby się, że nic nie może zmącić jego pewności siebie, ale Mati wiedział, że to pozory mające na celu zaćmić schyłek jego kariery. Widać to było nawet w spojrzeniu poźółkłych oczu, z których wyzierał niepokój. Ten przebrzydły łysawy typ nieraz nadepnął Matiemu na odcisk, wciskając mu swoją pseudoartystyczną szmirę i niweczając wysiłki całego jego *teamu*, ale często korzystali z usług tej agencji, bo miała najlepsze układy z panami z telewizji, więc ATL szedł po promocyjnych cenach.

– Witaj! – Mati uściśnął spoconą dłoń i uprzejmie ukłonił się prezentowanej mu wylęknionej partnerce tamtego.

– Ksenia, świetny *copywriter*, mimo że język macierzysty to nie polski – pochwalił się Toczyński. Obłeśnie uśmiechnięty, objął dziewczynę w pasie, mętym jak stojąca woda łypnięciem dał Matiemu do zrozumienia, że relacja, która go z nią łączy, nie jest *stricte* zawodową.

Nieobyta dziewczyna w parze z wyelegantowanym, nalany kwasem hialuronowym satyrem ze zbyt mocno opaloną cerą. Mati zadumał się nad tym Babilonem, w którym bezlitosne prawa rynku brały górę nad cnotą, i przez chwilę zastanawiał się, czy i on kiedykolwiek nadużył pozycji zawodowej, by przespać się z kobietą. I choć kontakty z kobietami szły w setki, dałby sobie głowę uciąć, że nigdy nie posługiwał się niczym innym jak tylko urokiem osobistym. Zapewne dlatego zachował tę świeżość wyglądu, przejrzyste spojrzenie. Dziwne, jak kurestwo zawsze widoczne jest w oczach.

Ścisnął teraz dłoń przedstawianej mu dziewczyny, która wpatrzyła się w Matiego z lekko rozdziawioną buzią, jak dziecko w cukierki na wystawie. Absurd sytuacji, zwierzęca biochemia relacji męsko-damskich znów uderzyła go ze zdwojoną siłą. Przedstawił gości stojącej obok niego Justysi. Młoda Rosjanka była przezabawna, wszystkie emocje malowały się na jej twarzy, jakby grała w niemym kinie. Widząc obok Matiego kobietę, natychmiast uznała, że to jego prawowita partnerka, i posmutniała tak ewidentnie, że ledwo powstrzymał się od pogłaskania jej po pyzaty policzku. W duchu obiecał sobie, że potem ją odnajdzie i może nawet zdąży pocieszyć. Tym samym zemści się na tym wyzyskiwaczu przyjezdnych dziewcząt. Gównu mu zleci. Nigdy więcej interesów z pieprzonym napuszonym Lioness. Już poznał ludzi z telewizyjnego biura reklamy i sam załatwi lepsze upusty.

– Jarku, Kseniu, rozgośćcie się! – Mati dotknął ręką pleców Kseni, jakby

okazując jej specjalne względy. – Może szampana? Częstujcie się! A tam przygotowano skromny poczęstunek. – Wskazał ręką szwedzki stół, który ugiął się pod ciężarem przedniej jakości specjałów. Utrzymywał świetne kontakty z agencją organizującą *eventy*, której na imię było Monika, i zawsze miała dla niego najniższe ceny. Koktajl z krewetek był w cenie koreczków z kielbasą, a wszystko to dzięki wdzięczności Mateusza, za sprawą której Monice nie brakowało tłustej klienteli.

Ręka rękę myła, układ gonił układ, a Mati pływał w tym jak ryba w wodzie. Doskonale kojarzył twarze i nazwiska, wiedział, kto z kim pracował, i natychmiast w każdym kontakcie dostrzegał okazję, nic więc dziwnego, że każdy chciał z nim współpracować, a Mati umiał to świetnie wykorzystać. Nie dziwota, że bystre oko Duchamps'a szybko to dostrzegło.

Bez względu na to, co na boku Mati wykrawał dla siebie, nie można go było wypuścić z rąk, gdyż był zbyt łębskim biznesmenem. Gdy likwidowano działy marketingu w środkowej Europie, żeby ściąć koszty i utworzyć jedną placówkę, Matiego wybrano na jej szefa.

Duchamps chciał, by Mati był zadowolony, wyznaczył mu więc wysoką pensję, aby zminimalizować jego dorabianie na boku. Dał mu też możliwość doboru personelu. Wszyscy myśleli, że Mati poszuka członków nowego *teamu* wśród ustosunkowanych ludzi Unitelu, on jednak wywindował za sobą większość ze swojego poprzedniego zespołu. Może i była w tym szaleństwie metoda, zyskiwał bowiem wokół siebie bardzo lojalnych, oddanych mu ludzi. A było za co być wdzięcznym. Miś, Justysia, Benek, Kapusta – wszyscy mieli zarabiać trzy razy tyle, co do tej pory.

Tego wieczoru w warszawskim klubie formowały się nowe siły, grupowały nowe sojusze, a wszystko to pod czujnym okiem wszędobylskiego i wszechwiedzącego Matiego.

Dalej witał nowo przybyłych, wymieniał uwagi uprzejme lub cięte w zależności od potrzeb. Tuż przy nim jak opoka tkwiła jego powierniczka i sojuszniczka, pięknie wyglądająca Justysia. W małej czarnej, z gładko zaczesanymi do tyłu ciemnobrązowymi włosami, z obrózką prawdziwych pereł na szyi i w niewysokich szpilkach wyglądała jak wcielenie klasy i dobrego tonu. Znająca trzy języki, trzydziestodwuletnia, świetnie dogadująca się z ludźmi, musiała zdawać się postronnym wprost idealną partnerką dla Mateusza. Zawsze wiedziała, co powiedzieć, umiała należycie stonować zbyt frywolne wypowiedzi szefa, ale w przeciwieństwie do poprzedniczek nie stwarzała wrażenia, że traktuje Matiego pobłażliwie z racji łączących ich relacji.

Niejedynym znającym więcej szczegółów uczestnikiem fety pomyślał, że Mateusz byłby ślepy, gdyby nie związał się z tą śliczną dziewczyną na poważnie. Jeśli wciąż szukał czegoś lepszego niż ta stojąca obok niego jak najwierniejszy sojusznik, to

doprawdy nie wiedział, czego chce, i sam prosił się o jakąś biedę.

Chociaż Justysia wyglądała uroczo, przechadzając się z Matim wśród gości i mówiąc zawsze, co trzeba, choć zda-wała się mu bliska i jednocześnie duchowo niezależna, Mati pozostawał nieczuły na jej zewnętrzną i wewnętrzną doskonałość. Niczym narkoman na głodzie wciąż nerwowo się rozglądał.

Nie umknęło to uwagi jego towarzyszki.

– Jeśli obawiasz się przybycia Rudego, to mam złą wiadomość.

– Jednak będzie?

Po ledwo uchwytnym błysku niezrozumienia w oczach Matiego poznała, że nie Rudego Mati wypatruje.

Impreza trwała w najlepsze, powitania mieli za sobą, stali więc ramię w ramię tyłem do białego laminowanego baru, z twarzami skierowanymi w stronę sali.

– Potwierdził w ostatniej chwili. – Dotknęła chłodnym kieliszkiem do szyi.

– Cóż. Wygląda mi na to, że przyjechał po coś więcej niż projekt usprawniający.

– Nie mów tylko, że miałby zastąpić Duchamps.

– Właśnie to chciałem ci powiedzieć. Irlandzki cep, wyglądający jak łom z przedmieść Belfastu, będzie niebawem moim i twoim przełożonym.

– Czemu nigdy nie wybierają Polaka? To takie upokarzające.

– Polacy to zbyt cwane rekiny. Zachód się nas boi. Popatrz tam, na Południaka. Jest o krok od celu, kręci grube lody.

Justyna zwróciła wzrok tam, gdzie patrzył Mati, i na jej ustach ukazał się mimowolny uśmiech. Ubrany w dziwną, krótką zamszową kurteczkę, jasne spodnie i mokasyny z frędzlami, Południak stał na palcach i starając się przekrzyczeć muzykę, wrzeszczał coś w ucho potężnemu, o dobre dwadzieścia centymetrów wyższemu szefowi. Tamten, nieskazitelnie elegancki, wprawdzie słuchał go z kwaśnym uśmiechem, lecz było widać, że jest u kresu wytrzymałości. Ustawiony w pozycji obronnej, z rękami ciasno splecionymi na piersi, a głową jedynie odrobinę pochyloną ku wyjątkowo niskiemu rozmówcy, wzrokiem rozpaczliwie szukał okazji do ucieczki.

– Południak sporo wypił, dzięki czemu jest śmielszy niż kiedykolwiek, ale ma nieznośnie płaską potylicę i odrobinę zupy w wąsach i czuję, że te dwa drobiazgi zniweczą jego wysiłki. Ludzie Zachodu są ogromnie powierzchowni, Justysiu.

– Bądź poważny, człowieku. Nie zależy ci na przywróceniu nam należytej pozycji? Tacy durnie zostają *CEO*^[5], a Polacy nigdy.

– *Go figure*^[6].

– W tobie cała nadzieja.

– Justysiu, podpuszczasz mnie.

Zerknął na nią, lecz nie odwzajemniła spojrzenia. Patrzyła przed siebie w kipiący tłum i uśmiechnęła się z ledwo zauważalnym triumfem – jak człowiek, który zmierza do celu i właśnie osiągnął kolejną bazę, ale woli nie wyzywać opatrności, okazując przedwczesną radość.

Wreszcie Mateusz skupił na niej zainteresowanie. Doskonale wiedziała, że nie należy mu się narzucać, i tylko przez uporczywe ignorowanie można go było zdobywać. Problemem było przykuć jego uwagę. Wreszcie ją miała i ani myślała odpuścić.

– Serio – odparła poważnie, sprawiając wrażenie, jakby nic innego niż dobro ogółu nie leżało jej na sercu. – Byłbyś odpowiednim człowiekiem na właściwym miejscu. Masz w sobie polską honorność i zarazem kupieckie cwaniactwo Arabów i Żydów oraz zimne wyrachowanie Anglosasów. Jeśli ty się tam nie dopniesz, to nikomu z naszych się nie uda. Musisz przetrzeć nam szlaki.

– Być polskim wytrychem w Unitelowych *headquarters*? – Mati niby zaśmiał się z dystansem, jednak widać było, że słowa Justysia sprawiły mu przyjemność.

Zawsze udawało się go złapać na ten sam haczyk. Justysia zerknęła na ten wyrośnięty okaz zadufanego w sobie łobuziaka. Jego egocentryzm byłby czasem wręcz groteskowy, gdyby on sam był choć o połowę mniej przystojny.

– Przecież nie ma Polaka powyżej stopnia *director*!

– Tak, bo żaden Polak tak się nie zeszmaci – rzekł w zamyśleniu Mati.

– Myślisz, że trzeba się zeszmacić?

Popatrzyli na siebie lekko zdziwieni, jakby każde usłyszało niepokojącą nowinę, po czym on wybuchnął sztucznym śmiechem, którego zadaniem było sprowadzić całą rozmowę do niższej kategorii wagowej, bo – jak oboje wiedzieli doskonale – nie znosił patosu.

Justysia milczała, zastanawiając się, czy powinna drażnić temat. Mati coraz częściej ostro krytykował pracę w korporacji, ale żeby uważać ją za zeszmacenie się? Owszem, od zawsze pozwalał sobie na niewybredne, prześmiewcze uwagi w najmniej właściwych momentach, jakby stał przed jakąś wymagowaną publicznością, bo przecież ci, którzy w rzeczywistości mieli okazję je słyszeć, byli najmniej do tego odpowiedni. Ale żeby w chwili takiego triumfu psuć wszystko, co osiągnął, z jakiegoś niezrozumiałego powodu, zblazowanej nudy?

– Mati, nie chcę wyskakiwać przed szereg i dmuchać na zimne, ale twoje znużenie korporacją zaczyna być komentowane.

– To brzmi jak groźba, Justysiu. Tak szybko dobierasz się do skóry szefowi, który właśnie cię awansował?

– Twój cynizm, abnegacja – to zaczyna być widoczne. Przecież słyszę, co gadają. Czasem lepiej zachować pewne myśli dla siebie, nie sądzisz? Sam kładłeś mi to do głowy.

– Jestem ci zobowiązany za te ostrzeżenia – odparł i popatrzył na nią dobroduszym spojrzeniem wuja, po czym wrócił do lustrowania kłębiącego się eleganckiego tłumu.

– Wiem, że ta sytuacja z Karoliną... – ciągnęła niepewnie – ale...

– Jaka znów sytuacja z Karoliną?! – przerwał jej gniewnie.

Justysia ledwo stłumiła słowa, które cisnęły się jej na usta, i dodała tylko:

– Wiem, że daje ci w kość, ale nie możesz...

– Czego ja nie mogę?

– Nie możesz przychodzić do firmy na bani!

Chwilę milczał.

– Nie bój się, panuję nad sytuacją.

– Chociaż nie pij whisky rano, bo to cholernie czuć.

– Gównu mi mogą zrobić, owinąłem sobie ich wszystkich wokół małego palca – rzekł prawie serio, po czym widząc kogoś znajomego, przeprosił ją o tyle mniej wylewnie niż zwykle, że nie odważyła się iść za nim.

Zdenerwowała go, a nie miała takiego zamiaru. Czym prędzej odstawiła kieliszek wciąż niemal pełen wina i wzięła do ręki szklankę soku pomarańczowego. Chciała jak najlepiej, nie mogła pozostać obojętna, gdy zaczynał sam sobie szkodzić. Dwa dni temu w kantynie słyszała, jak jeden durny inżynierek mówił, że od Mateusza zajeżdża alkoholem. Musiała mu to powiedzieć, choć długo z tym zwlekała.

Zdenerwowana, popijała sok małutkimi łykami, wzrokiem śledząc Matiego w tłumie. Witał się z jakimiś nowo przybyłymi, raczej na pewno nie z kręgów biznesowych. Justysia ich dotąd nie widziała. Kompletnie tu nie pasowali, wyglądali, jakby pomylili imprezy. A jednak to Mati ich zaprosił, bo się zaśmiewali, cała trójka. Stała niepewna, co robić. A jeśli naprawdę się na nią pogniewał?

Nawet nie szukał jej wzrokiem, by ją przedstawić! Nigdy przedtem nie widziała go zdenerwowanego, zawsze doskonale maskował złe humory, a kiedy sam nie mógł sobie ze sobą poradzić, wręcz schodził ludziom z oczu. Zła sama na siebie, nie miała pojęcia, czy dołączyć do Matiego, czy też zostawić go w spokoju. W końcu podeszła do grupki gawędzących inżynierów, nie tracąc go jednak z pola widzenia.

Mati wykrzykiwał coś, poklepując po plecach brodatego faceta w skórzanym płaszczu. Tamten, nieco mniej wylewny, rozglądał się wokoło z sardonicznym uśmiezkiem przylepionym do wąskich warg. Justysia natychmiast poczuła, że go nie polubi. Towarzysząca mu kobieta też była specyficzna. Owszem, choć nie najmłodsza, to wcale niebrzydka – to Justysia musiała przyznać – o klasycznych rysach. Kiedy opowiadała coś, patrząc na Mateusza, obaj mężczyźni wpatrywali się w nią, jak gdyby mimowolnie się uśmiechając.

Może i poczułaby Justysia ukłucie zazdrości, gdyby nie fakt, że kobieta była z innej bajki, kompletnie nie w guście Mateusza. Ubrana tak wyzywająco i zarazem dziwnie, że przechodzący ludzie zwracali w jej stronę głowy. Och, nie, czego jak czego, ale rockowych ekscentryczek, w ogóle osobliwości, jej leniwy Mateuszek na pewno nie lubi. Sam wołał błyszczyć, a wszelka inność wręcz go krępowała. Szanował konwencję, przynajmniej zachowywał pozory.

Skórzana sukienka, z której wylewał się piegowaty biust, to nie było w jego guście. Justysia odruchowo poprawiła włosy (ani jeden kosmyk nie wysunął się z pieczołowicie zaczesanego do tyłu boba), z pewną dozą zadowolenia obejrzała czubki pantofli w kolorze morskiej wody, kontrastujących z klasyczną małą czarną i ożywiających bezpieczną klasykę pereł.

Chwilę później Mati sobie o niej przypomniał. Pociągnął gości w jej kierunku, zostali sobie przedstawieni. Wymienili parę zdań, z których wynikało, że brodaty jest jakimś utytułowanym pisarzem, a jego żona dziennikarką muzyczną. Mati szybko wypatrzył dla nich stół. Justysia spodziewała się, że po usadzeniu Gembarskich – okazali się małżeństwem – ona i Mati znów oddalą się, by krążyć wśród gości.

Wkrótce jednak zrozumiała, że Mati na razie nie zamierza tamtych pozostawić, a wręcz rozsiada się obok nich na dobre. Wkrótce przybył Miś, który, jak się okazało, znał Gembarskich jeszcze lepiej, potem dobiło jeszcze paru innych kumpli z marketingu i cała nadzieja na słodkie tête-à-tête pierzchła.

Przykuci do tego towarzystwa, nie mieli już okazji do skończenia poprzedniej rozmowy. Szczęście, że Mati usiadł obok niej. Zdawało się, że zapomniał o wcześniejszej wymianie zdań, bo uśmiechał się do Justysi bardzo miło i pierwszy raz, od kiedy zaczęli się spotykać, objął ją przy kolegach z pracy.

Zrobiło to na niej niesłychane wrażenie, bo od kiedy wyszedł na jaw jego romans z tamtą prawniczką, Mati jak ognia unikał dziewczyn z ich firmy. Zdziwiona i zamyślona, dzieliła uwagę między dwie toczące się przy stoliku rozmowy. Dorzucała coś to w jedną, to w drugą stronę, choć spokojnie mogłaby to sobie darować, bo nikt nie zwracał na nią uwagi.

Mateusz wdał się w niesłychanie ożywiony dialog z Gembarskim i zdawał się zapominać o bożym świecie, a siedząca po drugiej stronie stołu Gembarska wodziła za nos oblegających ją panów.

Justysi z trudem udawało się wstrzeć w dyskusję, która głównie tyczyła stanu psychicznego Gembarskiej na „tego rodzaju imprezie”. Już po paru minutach wiedziała, że tamtej nie cierpi. Gembarska nie liczyła się z czymś takim jak solidarność jajników, nie można było spodziewać się po niej wsparcia, gdy spór dzielił mężczyzn i kobiety, ewidentnie nie była to kobieta, z którą można by się wybrać do toalety, aby poprawić szminkę.

Flirtowała z Misiem, z Benkiem i z Kapustą, gestykulowała gwałtownie

i zamaszycie, nie bacząc na zachowanie jakichkolwiek form, opowiadała wulgarnie dowcipy w sposób niepozbawiony klasy, a wszystko to zdawało się Justysi obliczone nie na uwagę tych, którzy tych wywodów słuchali, a na tych, którzy nie słuchali ich w ogóle. Przynajmniej tak to wyglądało.

Widziała, jak co jakiś czas Gembarska nie mogła się oprzeć i zerkała na siedzącego obok Justysi i ciasno ją obejmującego Mateusza. A on nie spojrzął na tamtą ani razu, pochłonięty tym, co wygadywał Gembarski, i ostentacyjnie gładził ją, Justysię. Nie była naiwna, więc to wszystko zdawało się jej dziwaczną farsą, celową i pozorowaną blagą. Nie mogła tylko zrozumieć, kto i po co gra tutaj jakąś tajemniczą rolę.

Atencja Matiego cieszyła Justysię, ale czemu była tak nagła, egzaltowana? Gładził to jej udo, to kolano i byłoby to cudowne doświadczenie, gdyby jego dotyk nie przypominał suwania ręką po poręczy – tyle w tym było uczucia. Chyba jednak nie byłby na tyle perfidny, by wykorzystywał ją do jakichś manipulacji. Chyba musiał mieć świadomość, że ona żywi dla niego uczucie? Jeśli w tym momencie postępował szczerze, to może chciał, by ich relacja wyszła z cienia i stała się oficjalna? Cierpliwie czekała na to od kilku lat.

Poruszona i podekscytowana, mimo wszystko usiłowała na chłodno rozważyć, czy ma realne podstawy żywić jakiegokolwiek podejrzenia wobec czarującego i traktującego ją z atencją Matiego, gdy nagle jej zamyślenie przerwał gwałtowny wybuch agresji niewylewającego za kołnierz Gembarskiego.

– A ja, kurwa, uważam, że jesteśmy głupszi! – wrzasnął, uderzając ręką w stół i ściągając tym na siebie spojrzenia całego stolika.

Słowa te skierowane były do Mateusza, który nieporuszony tym aktem agresji, wpatrywał się w zarośniętego małpoluda z nieadekwatną do sytuacji sympatią.

– Głupszi od innych narodów? – upewnił się ostrożnie, wciąż ciasno obejmując Justysię, a jakby tego było mało, dodatkowo gładząc ją po włosach.

– To, że ci debile wybrali ten rząd i tę partię, dobitnie świadczy, że sami sprowadzili na siebie nieszczęścia!

Wszyscy milczeli, patrząc, jak redaktor znów popija wódkę i toczy wokoło zmęczonym spojrzeniem, by w końcu zatrzymać je na, zdawałoby się, lekko rozbawionym Mateuszu.

– Wiem z autopsji, czemu mieliśmy tu sto dwadzieścia lat zaborów. Bośmy sami to na siebie ściągnęli! I obecnie zamiast czerpać z historii, popełniamy te same błędy! Kurwa, żal mi tego, bo wbrew temu, co mówię o Polakach, kocham ten popierdolony kraj.

– A może dojrzewamy powoli, bo idziemy z innego pułapu niż nasi przyjaciele Szwajcarzy?

– Dajemy się ruchać w dupę! – zawyrokował Gembarski.

- A co innego możemy zrobić?
- Niż bogacić się? – Gembarski z jawnym szyderstwem lustrował luksusowe otoczenie i eleganckich ludzi.
- Jest to współczesna forma patriotyzmu.
- Gówno prawda. Do czyjej kabzy idą miliony, które zarabia twoja firma na naszych? Ilu Polaków z tego dobra skorzysta? Czemu nie umiemy rządzić się sami?
- W takim razie jakie jest rozwiązanie?
- Nie dać im się! Otwierać nasze biznesy, popierać naszych ludzi!
- Cóż, jak powiedział Talleyrand, z Polakami można organizować tylko bałagan. – Mati w dalszym ciągu prowokował coraz bardziej rozjuszonego Gembarskiego.

Justysia dyskretnie zerknęła w stronę Gembarskiej, która przysłuchiwała się dyskusji w milczeniu, z nieodgadniętą miną. Redaktor znów łyknął wódki i popatrzył na zebranych z nieukrywaną ironią.

- Ee, wszyscy jesteście targowiczanie – wybełkotał z rezygnacją.

Koledzy z działu marketingu we wrogim milczeniu spoglądali na zarośniętego faceta w czarnym podkoszulku, który jawnie negocjował ich styl życia. Nie do końca wiedzieli, o co chodziło, ale poczuli się dotknięci. Wszyscy jak jeden mąż spojrzeli na Matiego, szukając u niego obrony. Ten, czując na sobie ich wzrok, chwilę się namyślał.

– Chyba masz rację, martwiąc się o Polskę – zawyrokował wreszcie ku zaskoczeniu Justysi i dobrze znających go kolegów z pracy. – Powinno się uważnie słuchać każdego głosu, bo zło lubi zmieniać postać. To, co w jednej chwili zdaje się światłem i celem, w drugiej gubi i prowadzi na manowce.

Ta uwaga, przyciężkawa jak na dziesiątą wieczór pośród łomotu alternatywnego rocka, zdumiała zebranych przy stoliku. Zapadło milczenie, które zniecka przerwała żona redaktora.

– A ja myślę, Gemba, że wygodnie ci komentować z tylnego siedzenia, bo nic cię to nie kosztuje! – rąbnęła.

Gembarski zadygotał, jakby ktoś dał mu w twarz, widać było, że ten cios w plecy zdumiał go i zaskoczył. Zresztą, podobnie jak pozostałych. Najszybciej doszedł do siebie Mati. Choć wyglądał na bardzo zmartwionego zajściem i w milczeniu obsługiwał Gembarskiego niczym sanitariuszka ранnego na polu bitwy, lejąc mu wódki i zapalając papierosa, Justysia odniosła wrażenie, że to zajście dodało mu animuszu.

Raczej nieświadomy tego redaktor w milczeniu poddawał się zabiegom, wdzięczny i oburzony zarazem. Awantura wisiała w powietrzu. Mati dwoił się i troił, aby zażegnać konflikt, nic jednak nie było w stanie przyćmić faktu, że Gembarski został ugodzony przez własną żonę.

Mati starał się podnieść Gembarskiego na duchu, całym sercem okazać mu, że jest po jego stronie, a przy tym nie zapominał o Justysi, podszczypując ją i zawijając sobie wokół palca pasma jej włosów. Mimo to Justysia czuła, że epicentrum tego dziwnego napięcia, niczym niewidzialne oko cyklonu znajduje się gdzie indziej, niż wszyscy myślą.

Wieczór trwał dalej, butelka poszła w oszałamiającym tempie. Justysia zagłaskiwana przez Matiego niemal na śmierć usiłowała się od niego uwolnić, zdawało jej się bowiem, że jest on w jakimś osobliwym nastroju. Nie odstępował jej na krok, ale też nie ruszał się od stolika, gdzie rozłożyli się zwaśnieni Gembarscy.

Zdawałoby się, że mimo niemiłej atmosfery, której nie dawało się przegnać, Mati przeżywa jakiś moment ekstazy. Rozśmieszał i Gembarskiego, i Gembarską, głaskał Justysię. Przypominał tlen, bez którego płomień dyskusji natychmiast by zgasł, lecz on czuwał i zgasnąć mu nie pozwalał. Rozpalał żar, wzniecał salwy śmiechu, aż po morderczej pracy wszyscy znów zdawali się zjednoczeni, a nawet Gembarski wyglądał na pocieszonego.

Zagadką pozostawała Gembarska – nagle minął jej nastrój do flirtu i siedziała zaniepokojona i czujna, jakby na coś czekała. Rozochoceni uprzednim nastrojem redaktorowej, Misio i Benek na powrót jej nadskakiwali, chcieli znów poczuć się w centrum jej zainteresowania, lecz dobry humor Gembarskiej uleciał bezpowrotnie i cały stolik czuł tego ciężar.

W tę mieszaninę ludzkich emocji, gdzie prowadzenie ewidentnie zdobywał Mati, nagle wdarła się obcojęzyczna fraza. To Duchamps stanął nad nimi, przyjaźnie zagadując:

– *Why do Poles drink so much, Mati?*^[7]

Nastrój wesołej swobody prysł, jakby ktoś polał ich nagle lodowatą wodą. Zatrudnieni w dawnym Unitelu umilkli jak zmrożeni. Mati, Justysia, Benek, Miś, Kapusta wpatrywali się w naczelnego, jakby zobaczyli upiora. Z kolei Gembarscy tkwili niewzruszeni. Więcej nawet. Na twarz redaktora powrócił leniwy uśmiech. Obserwował rozwój sytuacji z zainteresowaniem godnym lepszej sprawy, niecierpliwa dłoń odszukała papierosa.

Duchamps mimowolnie chyba nawet przybrał ojcowski, władczy ton.

– No, no, no. – Pogroził Gembarskiemu palcem, niczym wielki esesman nawykły do narzucania innym własnej woli. – *You can not smoke in here!*^[8] – Tu wskazał na bar, nad którym widniał znak zakazu palenia.

– *We Poles are not so obedient to the rules!*^[9] – postawił się Gembarski bez cienia lęku wobec postaci budzącej autorytet choćby pokaźnym wzrostem.

– *That's why you have such a mess here!*^[10] – zarechotał inny głos.

Z tyłu nadciągnął Rudy, irlandzki łom. Osaczali siedzącą grupkę, ich rozstawienie zmusiło większość zebranych do podniesienia się z krzesel. Jedynymi,

którzy pozostali na swoich miejscach, byli Gembarscy. Redaktor wyglądał, jakby odzyskiwał rezon. Moszcząc się wygodniej na krześle i delektując zapalonym papierosem, replikował bezczelnie:

– *We have such a mess here, because you sold us in Jalta!*^[11]

– *How so?*^[12] – Rudy podparł się pod boki, roześmiany, zaciekawiony i ewidentnie nieznający elementarnej historii Euro-py. Jalta najwyraźniej nic mu nie mówiła. Może nawet sądził, że przehandlowano tam jakieś unitelowskie usługi czy zależności. Pewnie zdawał sobie sprawę, że redaktor mówi coś niepochlebnego, ale nie miał świadomości skali obelgi.

Justysia odsunęła się odruchowo, jakby dystansując od słów Gembarskiego. Prerażona, chcąc pomóc, lecz nie mając pojęcia jak, rejestrowała w oczach Matiego niespokojne błyski.

Zaintrygowany Duchamps postąpił o krok naprzód, prosząc o wyjaśnienia. Gembarski palił się do tego, lecz Mati go ubiegł. Zaczął pobieżnie streszczać postanowienia jałtańskie, w miarę możliwości starając się obrócić wszystko w żart, odejmując słowom Gemby ciężar gatunkowy. Justysia przyszła mu w sukurs, ściągając uwagę Rudego na siebie, tłumacząc żartobliwie, że Polacy wciąż żyją przeszłością, i wypowiadając się przy tym tonem tak poprawnym politycznie i uprzedzająco grzecznym, że chmurne oblicza szefów z wolna zaczęły się wypogadzać. Przejęta, na chwilę zapomniała o prowokatorach zajścia i teraz zerknęła na ich miny.

Gembarski palił papierosa z triumfującym uśmiechem, Mati, który też dopiero teraz oprzytomniał, przygasł, mówił z mniejszą werwą, jego lekcja historii dla Duchampsu pomału cichła. Z kolei Gembarska wyglądała na rozczarowaną, co zdawało się sprawiać jej mężowi niemalą frajdę. Uważnie słuchał tłumaczeń Matiego, dorzucając złośliwe aluzje, wytykając mu rzekomy brak odwagi cywilnej.

Cholera, czego jak czego, ale cywilnej odwagi Matiemu nigdy nie brakowało. Zagniewana i czerwona, Justysia z niepokojem obserwowała, jak cyniczny Gembarski wykorzystuje sytuację, by zepchnąć Matiego do narożnika. Podlec. Odczuwała całą niesprawiedliwość upokorzenia, które spotkało Matiego przy tych pieprzonych przyjaciołach, była też wściekła na niego, że tak bardzo się nimi przejmował.

Atmosfera zrobiła się bardzo niezręczna, zdawało się też, że podły Duchamps dostrzega niesnaski w grupie Polaków i korci go, żeby bardziej ich sprowokować, bo z jakichś niewytłumaczalnych, jak później doszła do wniosku, względów przywołał do ich chaotycznej gromadki paradującą w pobliżu Wiktorię.

Podbiegła do nich jak tresowany piesek. Stała między Matim a Duchampsem, położyła im ręce na ramionach, jakby obaj byli jej najlepszymi kumplami z podstawówki, i zawołała familiarnie:

– *Guys, what's up?*^[13]

Szczerzyła do nich bielejące w świetle ultrafioletów licowane czymś zębiska.

Nawet Justysia wyczuła niesmak sytuacji. Wiktoria powinna się odezwać do nieznajomych gości, choćby skinąć im głową. Zwraçała się jednak tylko do szefów, Gembarskich traktując jak powietrze.

Wtedy *Irish*, jakby chcąc pokazać Gembarskiemu, gdzie ma jego górnolotne pretensje i uczone wywody, zbliżył się do Wiktorii, wyciągnął ze swojego drinka kostkę lodu i wrzucił jej za dekolt. Tymczasem ona, jak by nie patrzeć, członek zarządu, zarżała radośnie niczym rozbrykana kobyła. W od-powiedzi na ten entuzjizm Rudy wrzucił jej za dekolt dwie kolejne kostki, co Wiktoria przyjmowała z niesłabnącym entuzjazmem.

Gembariski podniósł dłonie do twarzy, jakby chciał zasłonić oczy, równie zniesmaczona redaktorowa bawiła się parasolką przyczepioną do drinka. Tymczasem Duchamps zanosił się śmiechem rozochoczonego skandynawskiego drwala. Kapusta, Benek i Miś uśmiechali się z widocznym wysiłkiem. Zażenowana Justysia przeniosła wzrok na Matiego; widok jego twarzy przypominał jej się potem wielokrotnie. Szukała wyjaśnienia, dlaczego sprawy potoczyły się w tym niespodziewanym kierunku. Widok ten, wspominany nieraz, zawsze jej tłumaczył, uspokajając ją niejako, że to wszystko musiało się stać, że nie było innego wyjścia, a ona nie mogła nijak pomóc, niczemu zaradzić ani w żaden sposób zmienić biegu wypadków.

Późno w nocy, gdy leżeli w łóżku obok siebie ze splecionymi dłońmi, Justysia nadaremnie próbowała uspokoić sumienie Matiego.

– Gdyby ten twój kolega Gembariski stał przed swoim wydawcą czy jakimś cholernym redaktorem naczelnym, też musiałby lawirować, też nie byłby takim gierojem.

– Problem w tym, że on nie ma nad sobą szefa, do którego musi dostrajać ton wypowiedzi i przed którym musi grać.

– Każdy ma nad sobą jakiegoś szefa, a już na pewno napuszeni artyści. Muszą dostroić się choćby do szmirowatych gustów polskiej publiczności, co zresztą idealnie odpowiada ich talentom!

– Surowo go osądzasz, a przecież nie czytaliśmy niczego, co napisał. Możliwe, że jest bardzo zdolny.

– Wiem na pewno, czym nie jest! Na pewno nie jest twoim lojalnym kumplem, zastanawiam się więc, czemu tak cholernie przejmujesz się jego opinią.

– Mówiąc to, zastygła, bojąc się, że Mati potrafi czytać w jej myślach. Wypowiadając to zdanie, odsłoniła prawdziwe podejrzenia.

– Po prostu jest inteligentnym gościem, który ustawia świat pod siebie i nie musi nikomu lizać tyłka. – Mati podniósł się na łokciu i zapalił kolejnego papierosa, nie puszczając jej dłoni.

– Ale jego żona i tak woli ciebie – wyszeptała po chwili Justysia, patrząc

szeroko otwartymi oczami w sufit i zamierając w oczekiwaniu.

Słowa, które padły z jej ust, wypowiedziane niejako wbrew sobie, wydawały się odpowiedzią na jego najgłębiej skrywane oczekiwania. Odniosła przy tym dziwne wrażenie, jakby to Mati wyreżyserował za nich tę rozmowę i to jego niezłomna wola zmusiła ją do zmiany kursu rozmowy na Gembarską.

Mati znieruchomiał. Zapadło milczenie, a ona, czekając na jego odpowiedź, cierpiała prawie cielesną mękę.

– Pierwsze słyszę! – wykrzyknął, mistrzowsko pozorując ubawienie. – To fascynujące, że kobieta traktuje każdą inną jak rywalkę... – znacząco zawiesił głos, co było jak nakaz dalszych wyjaśnień, kontynuowania rozmowy o Gembarskiej.

– Odniosłam wrażenie, że wciąż starała się zwrócić na siebie twoją uwagę.

– Wcale tego nie zauważyłem, bo i nie patrzyłem w jej kierunku.

– Dziwne, bo to piękna, inteligentna kobieta. Nietuzin-kowa.

– Starsza od ciebie z dziesięć lat – bezlitośnie drażył Mati.

– Góra pięć. – Była zmuszona brnąć w banał.

Rozluźnili uścisk. Mati położył się obok, jedną rękę podkładając za głowę, wciąż paląc papierosa.

– Nieopanowana flirciara – orzekł, uśmiechając się chyba bezwiednie. – Miś opowiadał, że jest zawsze gotowa realizować każdy najdzikszy pomysł. Biedny Gemba, ma przez nią mnóstwo siwych włosów.

– Flirciara, ale z klasą – upierała się Justysia.

Szczęśliwie temat się wyczerpał i dłuższy czas leżeli, wsłuchując się w słodkie tony saksofonu. Justysia niemal zasypiała, gdy z beztroską godną rozpuszczonego jedynaka, Mati wyrwał ją ze snu, mówiąc:

– Zdaje mi się, że kobiety są cholernie racjonalne i nigdy nie zdecydują się na coś, co nie będzie na ich korzyść, prawda?

Gdy późno w nocy smacznie spał, Justysia kręciła się po mieszkaniu, bo na próżno usiłowała zasnąć. Raz wybudzona, miała kłopoty z zaśnięciem. Tłukła się więc po dziwacznym apartamencie i zachodziła w głowę, o czym on, do diabła, mówił?

Czyżby na tyle ją lekceważył, że – z braku bardziej adekwatnego rozmówcy – to od niej chciał usłyszeć, czy Gembarska gotowa była zaryzykować całkiem udane małżeństwo, by pójść z takim jak on przystojniakiem w tango? Czy o to śmiał ją pytać?

Usiadła na kanapie w wielkim salonie, gdzie w kątach stał się wrogi grudniowy mrok, a przez okna przebijało słabe światło wielkiego miasta. Przymykała oczy i usiłowała wreszcie usnąć, lecz wtedy niczym upiory powracały migawki z dzisiejszego wieczoru, a zwłaszcza z ostatnich chwil. Widziała upojone alkoholem towarzystwo rozjeżdżające się do domów, widziała siebie – elegancką, piękną – wychodzącą z klubu w asyście jak z żurnala wyciętego Mateusza. Jako

najpiękniejsza para raczej paradowali, niż szli, lecz Justysia czuła, że prawdziwą parą nigdy nie byli i nigdy nie będą. Wszystko, co Mati robił, było obliczone na efekt.

W pobliżu taksówki stali skłóceni Gembarscy. Gdy Mati pospieszył do nich na tyle, na ile pozwalała mu jego nonszalancka elegancja, okazało się, że Gembariski wydał wszystkie pieniądze na extra drinki i nie ma w kieszeni ani złotówki na przejazd. Mati dyskretnie wyratował ich z opresji, załatwiwszy sprawę z panią Gembarską w kilku krótkich zdaniach. Był do tego zmuszony, gdyż redaktor zupełnie nie nadawał się do rozmowy. Pomógł im, jak mógł, łącznie z upchaniem Gembarskiego do taksówki.

Stał tak długo, aż pojazd ruszył, a Justysia czuła się już całkiem *de trop*^[14]. Gembarska odwróciła głowę, posłała Matiemu uśmiech i skinęła ręką na pożegnanie, a on odpowiedział skinieniem. Tak, ostatecznie zajście ewidentnie uratowało resztki humoru Mateusza. Gdyby nie ten w ostatejniej niemal rundzie odniesiony nad Gembarskim triumf, jakże namacalny dowód na to, że dla pieniędzy warto w korporacji zginać kark, Bóg jeden wie, jak by się potem zachowywał. Rzucone przez tylną szybę porozumiewawcze spojrzenie Gembarskiej zapewniło Justysi wstęp do jego mieszkania. Chciał przedłużyć wieczór i co najważniejsze – mieć z kim pogadać. O tamtej!

Odkrycie to dokonane o piątej nad ranem w jego pustym salonie przyprawiło ją o mdłości, ale nie znalazła w sobie dość siły, by na gwałt ostentacyjnie opuścić mieszkanie. Siedziała więc na zimnej skórzanej kanapie, snując czarne wizje na temat swojej przyszłości, czekając na sen, który by ją od nich wybawił.

Posiłek w poselskiej stołówce

Tuż przed przerwą świąteczną sejm pustoszał. Po korytarzach kręcili się nieliczni posłowie, odbyła się już większość ważnych posiedzeń grudniowych, a między świętami a sylwestrem nikt nie zamierzał się przepracowywać.

Beata Rząsa-Pracz, ubrana w obcisły garnitur w kolorze ultramaryny, parła naprzód, łomocząc obcasami. Krępą, przysadzistą sylwetkę cechowało większe niż zazwyczaj zdecydowanie. Kierowała się w stronę sali klubowej. Spodziewała się zastać tam Kwaśniaka. Zamierzała go odzyskać i nie robić przy tym wielkich ceregieli. Za długo trzymał ją w zawieszeniu, zbyt długo trwała rozłąka, zbyt mocno pochłonęła go nowa rola! Postanowiła działać, zamiast nadal biernie czekać.

Uznała, że zagra *va banque*. Wykupiła w biurze podróży tygodniowe wakacje w luksusowym hotelu na Gran Canarii i chciała dać mu ten pakiet jako świąteczny prezent pod choinkę. Nie wydawało się jej to narzucaniem, przecież nie będą się widzieli aż do Trzech Króli! Miło więc będzie pokrzepić się myślą, że miesiąc później, dokładnie siódmego lutego po południu, będą siedzieć razem w samolocie, który zabierze ich do słonecznego raju. Tam z dziecinną łatwością uda jej się przywrócić między nimi dawne stosunki, utraconą bliskość.

Dotarła w okolice sali klubowej i oparła się o kolumnę, zamierzając poczekać na Mirka. Uprzednio wywiedziała się od sekretarki, że miał spotkanie do 16.30, lecz nie było nawet kwadransa po szesnastej, gdy drzwi otworzyły się gwałtownie, a Mirek wypadł jak burza. Kierował się w stronę schodów, a tuż za nim drobił młody, mocno opasły, jakby nieświeży jegomość z teczką – nowy dyrektor Gdaki, Leon Łęzak. Człowiek, który rzekomo miał uporządkować bajzel z autostradami, co powinno przysporzyć peenowcom nadwątlonego zaufania społecznego.

Łęzak mówił coś niespokojnie do Kwaśniaka, lecz ten z rozbieganymi oczami parł naprzód, jakby chciał się pozbyć natręta. W końcu zwrócił się twarzą do Łązaka i przecząco machnął ręką. Tamten dał za wygraną, odwrócił się i poszedł w przeciwnym kierunku, a Mirek zrównał się ze stojącą za kolumną Beatką. Wtedy ją dostrzegł.

Uśmiechnął się urzędowo i ukłonił. Beata rozpromieniła się, na co on czujnym wzrokiem zlustrował korytarz. Widząc, że w pobliżu nie ma żywej duszy, podszedł bliżej, trzymając ręce w kieszeniach.

– Dlaczego moja królowna się tu czai? – spytał i mrugnął ostrożnie.

Beata zamierzała zaprosić go do Modulora, by tam przy kieliszku wina pokazać mu vouchery, lecz widząc, jak Mirek co i raz zerka na lewo i prawo, postanowiła szybko wyłożyć karty na stół. A nuż Mirek wykręci się od wyjścia do kawiarni? A może ktoś się tu zaraz pojawi i przypadnie możliwość intymnej

rozmowy w cztery oczy? Ostatnio często się tak zdarzało.

Zdesperowana wsadziła dłoń do torebki i wyszarpnęła złożone na pół dowody zakupu. Kwaśniak rozprostował papiery, ze zmarszczonymi brwiami przebiegł po nich wzrokiem.

– Ale to jest w lutym, nie mogę jechać w lutym. – Błysk zniecierpliwienia przebiegł mu po twarzy.

– Przecież właśnie od siódmego miałeś mieć luźniej. – Bea-cie płonęły policzki.

– Tak, ale...

Znów podniósł dokumenty do oczu i wpatrywał się w nie niespokojnym wzrokiem, po czym opuścił je i spojrział na nią z niechętną rezygnacją.

– Beata... – zaczął.

W tym momencie dyskretnie położyła mu dłoń na klatce piersiowej i szepnęła rozgorączkowana:

– Mirek, muszę z tobą pogadać, nie zniosę tego dłużej. Chodźmy nawet do stołówki, jeżeli nigdzie nie chcesz się ruszyć. O tej porze nikogo tam nie ma, a zresztą, jesteśmy kolegami partyjnymi, nie wzbudzi to niczyich podejrzeń.

– Halo! Młodzież! – rozległ się za nimi tubalny głos.

Oderwali się od siebie przerażeni.

Tym rozczulającym mianem witał ich z daleka wyrosły jak spod ziemi Kaźmierczak. Beata nie od dziś wiedziała, że Mirek go nie lubi. Kiedyś panicznie się go bał i starał się mu przypochlebić. Teraz, gdy zyskał odrobinę niezależności, widać było, że ciąży mu podległość Kaźmierczakowi.

Pozostawało zagadką, co Kaźmierczak myślał na temat Kwaśniaka. Dało się jednak zauważyć, że ostatnimi czasy jego postawa uległa zmianie. Niby twierdził, że Mirek jest złotym chłopakiem, że robi dobrą robotę, ale można było zauważyć, że bacznie mu się przypatruje. Tak. Kaźmierczak widać zrozumiał, że z Kwaśniakiem należało się liczyć. Przywitał się z nimi, po czym oznajmił:

– Przez cały dzień miałem spotkania. Umieram z głodu! Słyszałem, że i wy mówiliście coś o przekąszeniu czegoś w stołówce. Ja zapraszam! – Zostało to wypowiedziane tak autorytarnie, że Kwaśniak nie śmiał zaprotestować.

Wszyscy troje udali się do stołówki. Ledwie zasiedli przy małym stoliku, natychmiast doskoczył do nich kelner. Kaźmierczak mrugnął do niego i oświadczył:

– Dla mnie na pewno zrazy po nelsonsku. Co dla was? – Wysunął w uśmiechu rozbudowaną żuchwę i z wyczekiwaniem przyglądał się Kwaśniakowi i Beacie.

Uśmiech ten wydał się Mirkowi co najmniej dziwny. Cały zeszły tydzień spędził w gabinecie Jaśka Palimąki. Z człowiekiem tym, jak się okazało, można było konie kraść. Szybko znaleźli wspólny język. W poniedziałek Kwaśniak

przyobiecwał Palimące rozwiązać problem, z którym borykał się jego teść, ponoć bardzo zamożny facet.

Otóż teść Palimąki wybudował piękny dom w dolinie Rospudy, a tu pieprzeni Polacy chcieli mu pociągnąć autostradę pod samym nosem. Droga nie tylko zniszczyłaby okolicę, a tym samym jej walory turystyczne, ale i zabrała teściom Palimąki całą radość z przebywania w posiadłości. Trzeba by na pniu, za bezcen, sprzedawać dom z ziemią. Palimąka miał więc do Kwaśniaka interes. Chciał, żeby zastopować budowę autostrady w tym miejscu albo puścić ją jakoś inaczej. Kwaśniak tylko na to czekał. Natychmiast obiecał sprawę załatwić. Jeszcze tego dnia rozmówił się z Łęczakiem, który postawił do pionu całą lokalną dyрекcję Gdaki.

Sprawa miała zostać rozstrzygnięta migiem, ponoć trzeba było tylko opłacić paru pieprzonych brodatych ekologów. Tak więc Mirek nawet nie musiał się zastanawiać, jak Palimąkę podejść, bo Palimąka nie wiedział, w co go miał całować. Mirek umówił się z nim na kolację, podczas której ustalili wstępną nagonkę na niektóre korporacje (Palimąka też nie cierpiał prawników, niegdyś, nim był przy władzy, kilka razy nie dostał się na aplikację i nabrał pewności, że wyniki były ustawiane).

Pod koniec tygodnia byli w tak świetnej komitywie, że Palimąka zagaił o Kaźmierczaka, a Kwaśniak w przypiływie szczerości (ostatnio zdarzało mu się czuć lepiej nastawionym do ludzi) powiedział, że pryszczatego skurwiela cholernie nie lubi. Obaj prędko doszli do wniosku, że przydałaby się na wierchuszce PN-u mała rozszada. Nazajutrz Kwaśniak miał straszego moralniaka i Kaźmierczaka omijał szerokim łukiem. To wrażenie nie straciło nic z ostrości, bo teraz głowił się, czy aby na pewno dobrze było wygłaszać takie tezy w ministerialnych murach.

Gdyby mógł pić alkohol, umówiłby się jak biały człowiek z takim Palimąką na wódę. Nie było to jednak możliwe, bo cały czas łykał duże ilości prochów uspokajających, a do tego silne leki na migrenę. Bóle głowy, które ostatnio go nachodziły, były tak straszliwe, że nie sposób było niczym ich uśmierzyć. Nie mógł w ogóle na wódę patrzeć. Tak więc wysnęło mu się to i owo na Kaźmierczaka i teraz – co tu dużo gadać – zaczynał mieć wrażenie, że tamten w sobie tylko znany sposób się o tym dowiedział.

Czy inaczej szczerzyłby się tak znacząco?

Naturalnie, że się dowiedział, spokojnie mógł mieć w biurach podsłuchy. Było więcej niż pewne, że je zainstalował. Kumplował się z Serafinem Deptułą; wystarczyło, że pstryknął palcami, a Deptuła zapluskwił kilka gabinetów należących do resortu. Szczęście, że nigdy przenigdy nie rozmawiał z Leonem w...

– Mirek!

Kwaśniak drgnął, jakby wyrwany ze snu. Stał nad nim kelner i dziwnie mu

się przyglądał. Kaźmierczak, najwyraźniej skonsternowany zachowaniem kolegi, udawał, że z zainteresowaniem czyta menu. To Beata wykrzyknęła jego imię, po czym zaśmiała się i dodała:

– Pan czeka na twoje zamówienie, a ty mamroczesz coś pod nosem. Zamawiaj!

– Poproszę polędwiczki w sosie grzybowym.

– Doskonały wybór, proszę pana!

Kwaśniak podniósł wzrok na kelnera w samą porę, by pochwycić porozumiewawcze spojrzenie, które rzucił on Kaźmierczakowi. Kelner oddalił się z zamówieniem, a Kwaśniak siedział spięty, bojąc się drwiącego spojrzenia Kaźmierczaka. Instynktownie wyczuwał, że skurwiel już się zorientował, że on, Kwaśniak, wie. Nie da po sobie poznać, skurwiel nie wyczyta niczego z jego miny. Widocznie skurwiel czuje już jego oddech na swoich plecach i robi, co może, by się go pozbyć.

Zwrócił głowę do Beaty, postanawiając ignorować zaczepny wzrok Kaźmierczaka. Gorliwie przytakiwał temu, co mówiła, lecz nie słyszał ani słowa, bo myślał tylko o tym, co Kaźmierczak mógł na niego mieć. Ile mógł usłyszeć z tego, o czym gadali z Palimąką. Sądząc po minie, usłyszał wszystko.

W końcu ostrożnie zwrócił w jego stronę głowę. Ten podobny do buldoga zakapior trzymał w wielkich jak bochny chleba łapach filiżaneczkę i mieszał w niej łyżeczką, wpatrując się w Beatkę i śmiejąc z jej dowcipów. Nagle zwrócił się w stronę Kwaśniaka i spojrzał na niego przenikliwie. Chciał go wystraszyć! Gównno mógł mu zrobić, przecież nic takiego na niego nie miał. Prawdziwe sekrety Kwaśniak wyłuszczył Łęzakowi w pabianickim lesie. A to, co mówił do Palimąki, to prywatna. Gównno mógł mu za prywatę zrobić.

Znów zbliżył się kelner, uśmiechając się do nich złośliwie. Niósł na tacy trzy talerze. Beacie podał antrykot, Kaźmierczakowi zrazy, przy czym rzucił mu pytające spojrzenie. Wtedy Kaźmierczak ledwie skinął głową. Na ten bardzo dyskretnie przekazany znak kelner wziął talerz z polędwiczkami i z uśmiechem faryzeusza podsunął go Kwaśniakowi.

Mirek czuł, że coś jest nie tak, ale jeszcze nie był pewny. Gdy zauważył, że kelner nachylał się nad nim z winem, natychmiast odprawił go przeczącym gestem. Kelner nalał więc Kaźmierczakowi i Beatce. Kwaśniak udawał, że napił się wody, lecz bacznie śledził zachowanie podejrzanej dwójki.

Kelner popatrzył na Kaźmierczaka jakby smutno, a na to Kaźmierczak delikatnie, prawie niezauważalnie rozłożył ręce, zdradzając się ze swoimi planami. Na tym etapie Kwaśniak upewnił się, że między kelnerem a Kaźmierczakiem istnieje tajne porozumienie. Gdy już dokonał tego odkrycia, elementy układanki dopasowały się jeden po drugim. Słyszał, jak Beata prosiła o ocet, potem Kaźmierczak tubalnym głosem znów zawołał kelnera, ale wpijał wzrok w polane

gęstym brązowym sosem kawałki mięsa.

Czy mu się zdawało, czy bił od nich dziwny zapaszek? Jakby goryczki? Czyżby Kaźmierczak miał wobec niego jakiś koszmarny plan? Ależ nie, to spiskowa teoria dziejów. Nawet jeśli w jego, Kwaśniaka, gabinecie zainstalowane były podsłuchy, to nic takiego nie mówili, by miał teraz próbować się go pozbyć. Dogadał się z Palimąką, że obaj nie lubią Kaźmierczaka. Czy to taki niewybaczalny grzech? Zerknął na rozprawiających o prezesie Beatkę i Kaźmierczaka, po czym ostrożnie wziął w dłoń widelec, ukroił kawałek mięsa i podniósł do oczu, poddając go skrupulatnym, choć bardzo dyskretnym oględzinom. W tym momencie Kaźmierczak zwrócił ku niemu dziobowatą twarz.

– Jedz, Mirosław, nie otrujesz się, póki w kuchni pracuje pan Kosma – powiedział i dziarsko klepnął Kwaśniaka po plecach.

Czując na sobie spojrzenia tamtych dwojga, Kwaśniak ze ściśniętym gardłem wsunął do ust kęs mięsa.

– Aleś ładnie sprawy podgonił. – Kaźmierczak uśmiechał się teraz szeroko, łyskając zza okularów na Kwaśniaka. – Jak dalej sprawy pójdą z takim impetem, to do dwa tysiące dziesiątego dwie autostrady będą gotowe do użytku. Akurat na nowe wybory.

Mirek powoli przeżuwał dziwnie gumiasty kawałek mięsa. Z początku nie wydawało się zmienione w smaku.

– Mniemam, że to dobrze, iż sprawy ruszyły z miejsca.

– I słusznie mniemasz!

Coś jak złośliwy błysk pojawił się w oczach Kaźmierczaka.

– Łęczak spisuje się na medal!

Czy to wypowiedziane przez Kaźmierczaka zdanie zdawało się pobrzmiwać gorzkim szyderstwem, czy on, Mirek, rzeczywiście stał się przewrażliwiony? Czyżby pryszczaty skurwiol wiedział już wszystko i teraz bawił się nim okrutnie – jak kot rolujący po dywanie myszkę, nim wbije w nią ostre pazury i się do niej dobierze? Połędwiczki zdawały się rosnać mu w ustach. Ani myślał tego przelykać, dopóki nie dobierze się językiem do wszystkich fragmentów, macając w poszukiwaniu śladów ewentualnej goryczy.

– Fakt, że doskonale go zmotywowałeś – ciągnął Kaźmierczak, nerwowo atakując zrazy tępym nożem i popatrując raz na nie, raz na Kwaśniaka.

Zmotywował Łęczaka? A cóż to niby miało oznaczać? Naturalnie, Kaźmierczak bezczelnie już teraz sugerował, że on zmotywował Łęczaka w nielegalny sposób, że coś za tym stało. A więc dobrze rozumował – Kaźmierczak go przejrzał. Pił teraz bezpośrednio do Łęczaka, choć w każdej dyrekcji Mirek robił podobne porządki. W każdym dziale straszył dyrektorów po to, aby odwrócić wzrok od machlojek, pod które przygotowywał grunt ten oślizgły Łęczak.

Mięso w ustach rosło mu teraz, pęczniało. Zimny pot zrosił czoło, koszula

pod pachami zwilgotniała mimo licznych antyperspirantów. Kwaśniakowi zaczęła latać ręka, na języku czuł palącą gorycz. Beata popatrzyła na niego przelotnie, ale jego wygląd musiał przykuć jej wzrok, bo widelec wypadł jej z ręki.

– Mirek, aleś zbladł!

„Zbladł”? A więc to nie wrażenie. W ustach poczuł piekący gorzki smak. W mięsie podłożyli mu truciznę czy jak? Niby absurd, ale... Zresztą, cóż to byłoby za problem. Minister spraw wewnętrznych Kaźmierczak nie miał najmniejszych trudności z sowitym opłaceniem chłopaka z kuchni. Sypnęli do sosu trochę cyjanku potasu, arseniku czy innego ściierwa?

Cholera, czy zaczyna mieć paranoję? Paranoja paranoją, ale czemu czuje palenie w przełyku? Czyżby, psia ich mać, dodali solidnego, silnego ściierwa? Mimo że nawet nie połknął kęsa, substancja wraz z ociupiną śliny musiała dostać się już do żołądka. Jakiego kosmicznego materiału użyli? Zaraz padnie na dywan, zacznie trzepotać na nim jak ryba wyciąg-nięta z wody, a wtedy Kaźmierczak zaordynuje przewiezienie go do specjalnego szpitala MSW, gdzie zdechnie, a potem oni spreparują sekcję zwłok. Papiery podmienią. Zajebią go i ślad po tym zaginie. Beatka nigdy się nie dowie!

Proszę, teraz patrzy na niego niewinnym pytającym wzrokiem, a Kaźmierczak? Już szuka oczami kelnera, już daje mu znaki, pewno by wołał odpowiednich ludzi!

– Mirek, dusisz się czy co?

Kwaśniak poczuł silne działania substancji we wszystkich członkach. Drętwiały mu stopy i dłonie, czuł na języku mrowienie. Nagle plunął zatrutym ochłapem prosto w talerz. Mięso przeleciało nad jego porcją i wylądowało w kieliszku Kaźmierczaka, a wtedy cała trójka poderwała się na nogi. Ktoś z nich musiał zawadzić kolanem stół, bo wszystkie talerze podskoczyły, a dwa kieliszki chlusnęły na biały obrus.

O Jezu! – wezwał Stwórcę Kwaśniak, łapiąc się za szyję. Brakowało mu powietrza.

– Zadławił się – zawyrokował Kaźmierczak, nie tracąc zimnej krwi. – Jacuś! Chodź szybko. Trzeba ucisnąć przeponę.

Postąpił parę kroków naprzód i stojącemu w drzwiach do kuchni kelnerowi dawał tajemne znaki.

– Zakrztusiłeś się?! – zawołała Beata z ustami pełnymi antrykotu i zmierzała ku Mirkowi, aby ostukać mu plecy, gdy nagle podwinęła jej się stopa w pantoflu na wysokiej szpilce. Syknęła z bólu i ciężko opadła na pobliskie krzesło.

Widząc, co się dzieje, Kwaśniak zdał sobie sprawę z zagrożenia. Kaźmierczak wołał Jacusia, chcieli go obezwładnić, żeby nie zdążył powiadomić Beaty, zawieźć na jakąś szemraną izbę przyjęć, aby tam dopełnić dzieła. Z pewnością szpital MSWiA miał oddziały, gdzie ludzie znikali, a potem

wyjeżdżali nogami do przodu z kartoteką opatrzoną dopiskiem: „Przyczyna zgonu – nagły zawał”. Nikt już nigdy nie stwierdzi, jak go zakatrupili.

Czując, jak pokój wiruje mu przed oczami, i stojąc dwa kroki od stołu, odnotował jeszcze kilka frapujących szczegółów. W sejmowej restauracji nie było nikogo oprócz nich. Podejrzany kelner Jacuś, niczego nieświadoma Beata i ten zakapior idący ku niemu szybkim krokiem. Nie da mu się tknąć! Pod żadnym pozorem nie da się wyciągnąć do żadnego fałszywego szpitala! Musi sam biec do lekarza.

– Nic mi nie jest – wycharczał, choć czuł, jak gardło zaciska mu się w wąską rurkę, przez którą z trudem przelatywało powietrze. – Zadławiłem się, ale nic mi już nie jest.

Każmierczak popatrzył na niego z niedowierzaniem. Pewnie, że nie dowierzał, skoro wiedział, że substancja, której dosypano do jedzenia, właśnie wżera się Kwaśniakowi w gardło, paraliżuje mięśnie.

– Muszę wyjść, muszę się przewietrzyć! – rzucił przez ramię, idąc szybko w stronę wyjścia.

– Nie puszczaj go samego! – zakrzyknął oprawca, wyciągając z kieszeni dwa banknoty stułotowe i rzucając je na stół.

Rzeczywistość wokół Mirka zawirowała, jakby sala stołówek znajdowała się wewnątrz gigantycznego bąka, który obracał się z ogromną prędkością. Choć czuł, że umiera, doznał wrażenia, że nigdy nie był tak bliski zrozumienia istoty rzeczy. Wokół niego brzmiała okropna, zagrażająca wszystkiemu mowa – wspólna mowa wszystkich bytów kosmicznych – i byty te wyraźnie ostrzegały Mirosława przed niebezpieczeństwem, które mu groziło. Szczegóły rysowały mu się z piekielną ostrością. Na wszystko patrzył jakby z kosmicznej perspektywy absolutu, zupełnie niczym zmarły, który unosił się nad własnym ciałem, zdolny przejrzeć nie tylko swoje ukryte intencje, ale też intencje i emocje tych, którzy go otaczają.

Dostrzegł, że starszy mężczyzna boi się jego, młodszego mężczyzny. Lęka się, że tamten może go zastąpić, przekreślić, unicestwić. Starszy mężczyzna doskonale wiedział, że młodszy jest jego śmiertelnym wrogiem. Te wszystkie kurtuazyjne gesty, polewanie wina, przepuszczanie się w drzwiach, wreszcie poklepywanie po plecach i prawienie zdawkowych komplementów – to jedynie śmiechu warta fasada osłaniająca mordercze żądze ukryte w starszym, chcącym tak naprawdę zabić młodszego. W tym obiektywnym obrazie młodszy jawił się jako przyczyna tej nienawiści. Młodszy chciał starszego zdetronizować.

Kwaśniak nie miał już żadnych złudzeń. On i Każmierczak byli śmiertelnymi wrogami i każdy z nich o tym wiedział.

Usłyszał, jak Beata pyta, czy chce zaczerpnąć świeżego powietrza, i odparł, że tak, ale tylko z nią, bez tamtego.

Spłoszona, nerwowo tłumaczyła coś Każmierczakowi, tamten popatrywał

w kierunku opierającego się o filar Mirka, dla którego stało się oczywiste, że i on czytał w jego myślach. Wiedział, że Kwaśniak go przejrzał i był świadom, co Kaźmierczak dosypał mu do jedzenia.

Szedł z Beatą, która jak papuga powtarzała, że szczęście, iż się nie zadławił, a odrobina powietrza dobrze mu robi. Mirek wspierał się na jej ramieniu, a kiedy wyszli na zewnątrz, kazał jej łapać taksówkę, tłumacząc, że musi natychmiast znaleźć się na oddziale ratunkowym. Zaczęła go natarczywie pytać, co mu jest, a on pilnował się, żeby nie powiedzieć za dużo, bo wciąż w głowie miał radę, którą dał mu Skoczylas: „Nie daj nic po sobie poznać, bo ona jest z Kaźmierczakiem blisko”. Gdy pytała go napastliwie, podniesionym głosem, co mu jest, z trudnością panował nad sobą, by nie wrzasnąć na nią i nie odepchnąć od siebie.

Otrzeźwiła ich pędząca taksówka, która z trąbieniem przemknęła Frascati. Beata pociągnęła go na chodnik, Kwaśniak zatoczył się za nią. Dopiero teraz uświadomił sobie, że jest zimno i wieje lodowaty wiatr. Zobaczył, że ma na sobie płaszcz, ale nie pamiętał momentu, kiedy go wkładał.

Dalej pytała, co mu jest, ale odpowiadał monosylabami. W końcu udało im się złapać taksówkę.

– Do najbliższego szpitala! – zaordynowała Beata podniesionym tonem.

Poblady Kwaśniak oparł się o zagłówek.

– Na Banacha? – Taksówkarz podrapał się po głowie.

– Może do Czerniakowskiego? – zasugerowała Beata

– Mają tam SOR? – wymamrotał Kwaśniak, bo znów poczuł, jak drętwieją mu palce u rąk.

– A co, zawał? – zainteresował się taksówkarz.

– Nie mam pojęcia, słabo się poczułem – mruknął, kryjąc twarz za kołnierzem płaszcza.

Samochód ruszył, a taksówkarz zlustrował Kwaśniaka we wstecznym lusterku. Najwyraźniej poznał go, bo zaczął ostro gazować. Gnał Księżęcą w dół, potem skręcił w prawo na czerwonym świetle.

Beata co sekunda dopytywała się, jak Mirek się czuje, lecz on, nie mając już siły okazać jej dostatecznej grzeczności, wtulił głowę w kołnierz, zacisnął zęby i milczał. Opuścił okno, by wpadało więcej powietrza, lecz i tak ledwo udawało mu się je zasysać. Paraliż musiał wchodzić na płuca. Gdy to sobie uzmysłowił, świat zawirował i Mirek omal nie stracił przytomności.

Nie wiedział, jak to się stało, że przepychał się przez przepoconą, zatęchłą ciżbę w stronę okienka. Wszędobyłska

Beatka torowała im drogę. Dwa szepty z pielęgniarką, jedna krótka rozmowa przez telefon komórkowy i Kwaśniaka już prowadzono dalej.

Otworzyły się drzwi na szpitalny oddział, zniknął gdzieś falujący rozgniewany tłum, a przestrzeń wypełniła się białymi fartuchami. Jechał na łóżku

szpitalnym, nogi w powalanych butach spoczywały na nieskazitelnie białym prześcieradle. Tłenu jakby przybyło, choć palenie w przełyku nie ustawało. Dwie asystujące mu siostry zapewniły, że wszystko będzie dobrze. Już po chwili znalazł się w jaskrawo oświetlonym małym pokoiku, gdzie zaczęła go przepytować niewzbudzająca zaufania gówniara.

Natychmiast podniósł alarm, że ma zawał i nie może oddychać, że najprawdopodobniej został otruty. Trzy kobiety patrzyły z przerażeniem, pielęgniarki wydawały się zdziwione, ale lekarka natychmiast zerwała się od biurka.

– Sprawdźcie poziom tlenu, zróbcie EKG i natychmiastową analizę krwi! – dobiegł go jej podniesiony głos.

Wokół niego zawirowało. Lekarka oglądała mu źrenice, w tym samym czasie dwie młodziutkie pielęgniarki pobierały krew. Potem lekarka obejrzała gardło, w skupieniu marszcząc brwi. W tym czasie Kwaśniak jęczał i narzekał, że czuje, jak go tam żre i pali.

Po chwili zmierzono mu puls, a zaraz potem podwieziono go pod wzbudzający zaufanie aparat EKG. Wszystko nadzorowała młoda lekarka. Im więcej ruchu wokół siebie wyczuwał, tym bardziej bezpiecznie się czuł i w końcu duszenie ustępowało. Pozostała tylko nieznośna gorycz i palący ból głowy.

Leżał teraz w separacie, w głowie miał kompletną pustkę. Do sąsiedniego gabinetu musiał wejść ktoś ważny, bo siostry witały go z namaszczeniem, a młoda lekarka spokojnym głosem karnej uczennicy relacjonowała wyniki badań. Zdu-miony usłyszał, że nie znaleziono żadnych medycznych przyczyn, które tłumaczyłyby objawy. We krwi nie było śladów niedotlenienia, skład krwi sprawdzono też natychmiast pod kątem substancji toksycznych, ale niczego podobnego nie wykryto. Ten, kto wszedł, tylko pomrukiwał twierdząco, po czym zadał kilka pytań, których Kwaśniak nie dosłyszał. Natomiast usłyszał odpowiedź lekarki:

– Nie, na to nie wskazują żadne somatyczne objawy. Zrobiłam te testy tylko dlatego, że pacjent tak twierdził.

W odpowiedzi tamten lekarz stwierdził coś przyciszonym głosem. Mirosław się zaniepokoił. W końcu usłyszał szelest, delikatne skrzypienie linoleum i do separatu wszedł starszy wiekiem doktor, jak się Mirek domyślił, przełożony młodej lekarki. Zbliżył się do Kwaśniaka, zmierzył mu puls, po czym obejrzał dokładnie język i gardło, posługując się przy tym długim płaskim patyczkiem. Wreszcie odchrząknął, wstał i stojąc nad nim z rękami założonymi na pliku papierów, spytał:

– No i jak pan się teraz czuje?

Kwaśniak wciąż nieruchomo leżał na kozetce. Milczał, ale pod wpływem poważnego spojrzenia starszego doktora w końcu odparł:

– Lepiej.

Doktor przysiadł obok i rzekł cicho:

– Sprawdziliśmy pańską krew. Nie ma w niej śladu substancji toksycznych, więc proszę wybić to sobie z głowy.

Kwaśniak przymknął oczy i lekko pokręcił głową, na co lekarz odezwał się surowym tonem:

– Jestem doktorem medycyny, wiem, co mówię. Czy zażywa pan leki?

Kwaśniak wymienił długą listę.

– Czy jest pan pod wpływem silnego stresu? Zwłaszcza długotrwałego?

Kwaśniak potwierdził, dodając, że cierpi też na bezsenność.

Lekarz kiwał głową, jakby wszystko zrozumiał.

– Jest pan młody, a zajmuje wysokie stanowisko. Moim zdaniem, miał pan klasyczny atak paniki, co ostatnio coraz częściej przydarza się ambitnym i zapracowanym. Uważam, że absolutnie powinien pan zaprzestać brania leków na własną rękę. Zapiszę panu co innego. – Doktor pochylił się nad stołem i wypisał receptę. – Ten lek działa antylekowo, ale nie ścina z nóg. Jeśli w dalszym ciągu wystąpiłyby objawy stresu, to proszę się do mnie wybrać. Przyjmuję prywatnie, oto moja wizytówka. Tak się składa, że to właśnie moja działka. Sądzę, że jeśli odstawi pan tamte medykamenty i stopniowo zażyje opakowanie leku, który panu zapisałem, objawy powinny ustąpić. Niech pan wbije sobie do głowy, że jest pan zdrow jak ryba!

Kwaśniak przeleżał dwa dni w swoim mieszkanku, przyjmując zapisany specyfik sześć razy dziennie, jednak objawy nie ustąpiły całkowicie. W przełyku nadal paliło go żywym ogniem, miał silne rozwolnienia, nie mógł przełknąć nawet kromki chleba, a głowa pękała mu z bólu, jakby ktoś walił w nią młotem.

Łatwo było konowałowi radzić, by Mirek się zrelaksował, gdy tymczasem wyniknęły poważne problemy. Nie dość, że w ministerstwie trzeba było przed świętami pozamykać parę kluczowych spraw, postraszyć te ludzkie kanalie konspiracyjne za jego plecami, gdy tylko zamknął za sobą drzwi, to jeszcze stało się najgorsze: Kaźmierczak go przejrzał i chciał się pozbyć! I on miał tu leżeć i się relaksować!

Znów cały zwilgotniał i w brudnej pościeli trząsł się jak osika. Po raz kolejny napuścił do wanny gorącej wody. Jeśli faktycznie Kaźmierczak sypnął mu do żarcia jakiegoś ścierva, był to cholernie zaawansowany materiał. Osłabił Mirka tak, że najprawdopodobniej nie będzie mógł dotrzeć do biura przed świętami Bożego Narodzenia.

A przecież trzeba było sprawy poustawiać! Zbliżał się przetarg i musiał się rozmówić z Łężakiem, a także spotkać z Palimąką w kwestii wytypowania ludzi, którym zamierzali zrobić nalot. Obmyślił już pewne koncepcje, ale chciał przegadać je z Palimąką. Mieli ustalić spotkanie w poniedziałek, czyli jutro.

Chrzanić to, przecież nie będzie w stanie myśleć z taką pulsującą głową.

Teraz stało się jasne, że przed przerwą świąteczną nie zdoła dotrzeć na Wiejską. Jutro rano każe się kierowcy wieźć prosto do Pabianic i zostanie tam aż do sylwestra. Nie dość, że będzie wśród swoich – tu już mało komu ufał – to odwiedzi lekarza, u którego kiedyś był. Miał wówczas siedemnaście lat. Stary doktor Birkenmajer bardzo mu wtedy pomógł, potraktował jego dolegliwości poważnie.

W wieku siedemnastu lat przydarzył się Kwaśniakowi nieciekawym epizod i cholera wie, co by się z nim dalej działo, gdyby nie terapia doktora Birkenmajera. Były to inne problemy i różne od obecnych dolegliwości, ale pewien schemat zdawał się powtarzać. Pamiętał, że wtedy cierpiał na piekielne bóle głowy i doktor Birkenmajer dawał mu tabletki, które okazały się skuteczne.

Był jeszcze jeden ważny aspekt. Doktor wyznawał przedwojenne zasady i na pewno nie kłapałby dziobem, rozprowadzając na prawo i lewo o kłopotach zdrowotnych pacjenta. Problemy Mirosława Kwaśniaka były jego prywatną sprawą i w żaden sposób nie należało ich wywlekać na widok publiczny.

Matka była zajęta lepieniem pierogów, na węglowej kuchni gotowały się flaki, które Kwaśniakowie lubili zjeść pierwszego dnia świąt. Byli w domu we dwójkę, bo ojciec rozwoził do sklepów gwiazdy betlejemskie i należało się go spodziewać w domu dopiero wieczorem.

Trzeci dzień spędzony w domu rodzinnym znacznie poprawił stan zdrowia Kwaśniaka. Właśnie siedział na czerwonej pluszowej kanapie i w telewizji oglądał teleturniej. Na meblościance mrugała świecidełkami mała sztuczna choinka, którą matka ubrała już wczoraj, by on lepiej się poczuł.

Stopy położył na niskiej ławie, z kryształowej wazy pojadał czekoladowe rurki i zapijał je melisą. Gapienie się w telewizor, obecność krzątającej się matki oraz niemyślenie o niczym poprawiło mu samopoczucie. Wczoraj poczuł się o tyle lepiej, że postanowił sprawdzić w internecie, czy jeszcze praktykuje doktor Birkenmajer. Żył i przyjmował w domu. Mirek zapisał się na wizytę tuż po świątach. Tak więc dziś był w zupełnie znośnym nastroju i nawet postanowił ulec prośbie matki i wyjść na krótki spacer.

Zza firanek sączyło się zapraszające blade światło, było dość sucho. Po półgodzinnym namyśle, ponaglany przez matkę, wzał gumki, starą kurtkę ortalionową i wyszedł na ganek, a stamtąd betonowymi schodkami na miejscami zabłocone uklepane podwórko. Murzyn podleciał do niego, mierzając ogonem. Kwaśniak gwizdnął na niego, wziął kij oparty o drzwi obory i ruszył w stronę budynków szklarni. Minął je środkiem i wyszedł wprost na zaorane pola.

Było ciepło jak na grudzień, temperatury powyżej zera. Kwaśniak głęboko oddychał i szedł szybko w rześkim, wilgotnym powietrzu. Trzeba było od razu tu przyjechać, pomyślał. Miało się wrażenie, że tamten świat nie istnieje, że to tylko

zły sen. Spokój spokojem, ale przydałoby się przemyśleć, co robić, gdyby Kaźmierczak nie zamierzał dać za wygraną i chciał go dalej gnębić.

Można było śmiało założyć, że cwaniak zdążył go rozpracować, już zauważył inklinacje Kwaśniaka do przejścia na stronę Steca czy Palimąki. Co więc robić? Udawać, że gówno nie śmierdzi, zgrywać lojalnego kumpla Kaźmierczaka i frakcji ideowców, a po cichu paktować z kunktatorami, czy też otwarcie stanąć przeciwko Kaźmierczakowi? Obawiał się gry pozorów, a jednak na razie nie miał siły na otwarte starcie. Co robić? Co robić?

Po cichu liczył na to, że spacerując, napatoczy się na swojego druha w nieszczęściu, człowieka, którego również prześladowali ludzie Wędzichy. Skoczył ponoć pomieszkiwał to tu, to tam, po różnych chałupach, tak przynajmniej twierdził.

Wiadomość o przyjeździe Kwaśniaka do domu na pewno rozeszła się po okolicy szerokim echem, była więc duża szansa, że kumpel go odwiedzi. Od kiedy przyjechał, codziennie wieczorem siedział w piwniczce pod szklarnią w towarzystwie swoich skarbów i palił światło, z nadzieją, że Skoczył znów wpadnie. Jednak do tej pory się nie pojawił.

Tymczasem Kwaśniak dotarł niemal pod linię lasu. Nie zamierzał iść w głąb, choć wcale nie ze strachu, przypuszczał, że Wędzicha już dawno nie trzyma tu swoich ludzi. Pogonił tych, którzy mu zawinili, a jeśli prawdą było to, co usłyszał od tamtych zbirów, że wszystko w Polsce wyprzedał, to nie miałoby sensu, by tu kogokolwiek opłacał.

Pozostała jedynie spółka Solarius, i to ją należało wprowadzić do budowy autostrady. Łęzak zeznawał, że nie powinno być najmniejszych problemów. Już opłacił komisję przetargową, co oznaczało, że poznają oferty konkurencyjnych firm. Pozostawało dać ludziom z Solariusu cynk, jak ustawić koszty, by spółka przedstawiła najlepszą ofertę, i on wreszcie uwolniłby się od koszmarnego Wędzichy.

Odwrócił się i objął wzrokiem zaorane ojcowe pola i majaczące w mglistym powietrzu szklarnie, a za nimi dachy budynków gospodarczych. Ten swojski widok emanował spokojem. Gdy tak stał wpatrzony w mglisty, zupełnie niezimowy krajobraz, nagle poczuł, że ktoś mu się przygląda.

Odwrócił się gwałtownie. Nieopodal, na skraju lasu, zauważył znajomą postać w czarnej czapce, puchówce, czarnych dżinsach i wojskowych butach sznurowanych do pół łydki. Skoczył! Ruszył w kierunku przyjaciela, jak go ostatnio nawet w myślach nazywał.

Skoczył stał bez ruchu, jakby niepewny, czy może podejść. Po chwili ośmielony bezceremonialnym zachowaniem dawnego pracodawcy wyszedł mu na spotkanie.

– Spacerek? – zagaił, gdy się przybliżył.

– A tak, spaceruję – przytaknął Kwaśniak, uśmiechając się bez wyraźnego powodu. – Właśnie się zastanawiałem, czy cię tu spotkam.

– Oczywiście, wiedziałem o twoim przyjeździe – zapewnił Skoczylas.

– Skąd?

– O, ho, ho, stary przyjacielu! Ludzie tu o niczym innym nie gadają!

Kwaśniak uśmiechnął się pod nosem. Szli teraz ramię w ramię. Słowa starego kumpla sprawiły mu radość, ale pilnował się, by nie okazać pychy. Jeszcze niedawno miał Skoczylasa prawie za nic, ciągle się przed nim wywyższał. Teraz, będąc ministrem, chciał mu okazać, że traktuje go jak równego sobie, a nawet liczy się z jego zdaniem.

– Wszyscy wiedzą, że zjechałeś do rodziców na święta.

– Oj, tak. Musiałem tu przyjechać, by trochę odsapnąć.

– Pewnie masz tam krzyż pański? – Skoczylas zerknął na Kwaśniaka, jakby się wystraszył, że ośmielił się zadać takie pytanie. – Chcesz papierosa? – Wyjął jakiegoś smolucha i zapalił. Rozszedł się gryzący śwąd.

Kwaśniak pogmerał w kieszeniach i wyjął paczkę marlboro.

– Weź lepiej mojego. Zdrowiej.

Zaśmiali się. Ruszyli przed siebie, popalając w milczeniu. Droga wchodząca do lasu rozwidlała się w dwóch kierunkach. Jedna ścieżka biegła głęboko w gęstwinę, druga wiodła skrajem. Kwaśniak chciał wejść w las, zaczerpnąć wilgotnego balsamicznego powietrza, ale Skoczylas powiedział:

– Lepiej idźmy brzegiem. Po co kusić licho.

– Myślisz, że oni tu gdzieś jeszcze siedzą? Wątpię.

– Diabli wiedzą.

– Przecież jesteśmy we dwóch – zauważył Kwaśniak, jednak zgodnie ruszyli wzdłuż lasu.

W pewnym momencie Kwaśniak zaczął:

– Miałeś rację z Kaźmierczakiem. Skurwiel chyba się zorientował, że robię interesy z Palimąką. Nie w smak mu to.

Skoczylas odchylił głowę i popatrzył na szczyty wysokich drzew, rysujących się na tle pochmurnego nieba. Kwaśniak już myślał, że przyjaciel nie dosłyszał, gdy tamten rzekł z namysłem:

– Uważaj, żeby nie podłożyli ci świni. – Zaciągnął się papierosem i dodał: – On wie, że z ciebie twardy zawodnik, a jest ministrem spraw wewnętrznych. Kontrwywiad, te sprawy.

Zdumiony Kwaśniak bacznie spojrzał na Skoczylasa. Nigdy by nie przypuszczał, że ten prostaczek jest tak dobrze zorientowany.

Szli dalej w milczeniu.

– Z Kaźmierczakiem wolałbym nie zadzierać – pierwszy odezwał się Kwaśniak i czekał w napięciu, co na to powie Skoczylas.

Ten odpalił papierosa od papierosa, po czym zauważył:

– Palimąka jest ci niezbędny, żeby pozbyć się Wencla, dobrze mówię? Tylko jemu możesz to powierzyć, zgadza się?

– Tak. Znam faceta kilka dni, a gadamy jak starzy kumple. Z Kaźmierczakiem nigdy bym się nie odważył.

– Trzeba go odsunąć! – zawyrokował znieczulony Skoczylas.

– Kogo? – zdumiał się Kwaśniak. – Kaźmierczaka? Stary, to nierealne! – orzekł, po czym się roześmiał.

Stanął tyłem do Skoczylasa i zaczął się głośno śmiać. Po chwili zwrócił się z powrotem twarzą w stronę ścieżki, którą szli, i wtedy parę metrów przed sobą ujrzał zbliżającego się szybkim krokiem starszego mężczyznę w czarnym palcie. Był zaledwie metr od nich i szedł z taką złością, jakby w ogóle nie miał zamiaru się zatrzymać. Okrzyk przestraszenia zamarł Kwaśniakowi na ustach, zdążył tylko uskoczyć na bok. Mężczyzna minął ich bez słowa i szybko oddalił się w stronę rozwidlenia ścieżek.

– Co, do cholery?! – zawołał Kwaśniak. – A co to za dziad? Lezie środkiem ścieżki, jakby cała była jego! – Obejrzał się i spostrzegł, że mężczyzna doszedł do rozwidlenia i skierował się dalej prosto.

Skoczylas milczał, spokojnie paląc papierosa.

– Wylazł znikąd – kontynuował zdziwiony Kwaśniak, jeszcze raz oglądając się na mężczyznę, który pomału rozmywał się w mglistym powietrzu.

Stracili wątek i rozmowa się nie kleiła. Gdy dotarli do ostatniej ambony, nieoczekiwanie Skoczylas oświadczył:

– Musisz go zlikwidować.

– Zlikwidować Kaźmierczaka, prawą rękę prezesa, też mi rada. – Kwaśniak znów się zaśmiał.

– Niedługo prezes może przestać być prezesem. Szykuje się u was całkiem spora frakcja opozycyjna.

– Niby tak. Stec, Palimąka...

– ...i ty! – dokończył Skoczylas, stanął naprzeciwko Kwaśniaka i zajrzał mu głęboko w oczy.

– Gdzie tam ja. – Mirek wzruszył ramionami.

– Zajdziesz daleko, uwierz mi! Od podstawówki wszyscy to wiedzieliśmy. Dlatego tylu kumpli cię nie lubiło, dlatego tylu ci dokuczało. Nawet wtedy jak wsadzili ci głowę do...

– Nie przypominaj mi tego! – Kwaśniak odwrócił się i energicznie ruszył w stronę domu, Skoczylas pobiegł za nim.

– Musisz się gościa pozbyć.

– To nie takie proste...

– Stary, facet cię nie cierpi! Mówiłeś, że chciał cię otruć, tak?

– Chyba jednak nie chciał. Coś mi się we łbie pojebało ze strachu. Lekarze nic nie znaleźli.

– Stary, poczytaj w internecie, ile teraz jest pierdolonych substancji o dziwnych działaniach. Cała ta jebana chemia... Nie masz pojęcia, ile jest tego gówna. Taki gość jak on może wszystko, ma dostęp do wszystkiego! Są cuda, których nic nie wykryje, ruskie wynalazki. O setkach ludzi słuch zaginał, a o innych nie potrafili stwierdzić, na co zdechli. Jedno działa wolno, drugie natychmiast! Poczytaj sobie!

– Eee, pierdolisz, Skoczylas – orzekł Kwaśniak, zapominając o zamierzonej kurtuazji wobec kumpla.

– Nie, tak jest naprawdę! – przekonywał żarliwie Skoczylas. – Produkują pełno świństw, których nawet podczas sekcji nie wykryjesz! Gość pada i nie ma dowodów!

– Badał mnie doświadczony lekarz w dobrym warszawskim szpitalu.

– Gówno by wiedział o nowych materiałach i technologiach!

– Stary, ten gość – Kwaśniak ściszył głos i rozejrzał się dokoła – Kaźmierczak, ma pod sobą NOP! Jak zacznę wokół niego kombinować, to on mnie załatwi jednym ruchem małego palca.

– Chyba że znajdziesz coś i na niego.

Mirek przystanął i spojrzał na Skoczylasa.

– Co, na przykład...

– Nie wiem jeszcze. – Skoczylas zapalił kolejnego papierosa. – Widziałem go w telewizji, facet wygląda mi na typowego kryptocwela. Czytałem o nim. Ponoć mieszka sam, tylko z pieskiem. Mówię ci, to pedał! – Przybliżył się do Kwaśniaka i szczerząc niekompletnie uzębienie, stwierdził niemal szaleńczo: – Jak mu powiecie, że coś na niego macie, podkuli ogon i czmychnie, gdzie pieprz rośnie, i żadne służby nie będą potrzebne!

Wieczorem Kwaśniak i jego rodzice zasiedli do kolacji. Jedli nóżki na zimno, podlane octem.

– Ile ojciec tych gwiazd betlejemskich sprzedał?

– Będzie ponad sześćset.

– To dużo?

– Baardzo – wtrąciła matka z pełnymi ustami, machając przy tym dłonią.

– A czemu ojciec najemnika nie weźmie, tylko sam to taszczy?

– Miałem jednego, zaufanego. Wyjechał z kraju. Innych nie chcę, bo za każdym razem usiłują mnie orżnąć. Tfu!

– Jeśli ojciec ma na myśli Skoczylasa, to on wcale z kraju nie wyjechał.

– Co ty znów pierdolisz? – Ojciec z hukiem odstawił szklankę na spodek.

– Mówię, że dziś godzinę z nim rozmawiałem.

– Z Młodym Skoczylasem?

– Przecież nie z kim innym!

– A ja ci mówię, żebyś nie gadał bzdur! Młodego Skoczylasa nie ma w Pabianicach! Oficjalnie mówi się, że wyjechał. A stary Skoczylas nie chce gadać, bo ponoć boi się, że krzywdę zrobią najmłodszemu chłopakowi.

– Ludziska bzdury wygadują.

– To ty bzdury wygadujesz! – rozsierdził się ojciec.

– Mówię ojcu, że spotkałem go już dwa razy i widziałem na własne oczy, tak jak teraz ojca!

Stary Kwaśniak zastygł. Powoli odłożył widelec. Mirek i matka nadal jedli, jednak on odsunął na wpół pełny talerz.

– Jedz! – rzuciła machinalnie matka; jej wzrok przykuwały reklamy widoczne na ekranie telewizora.

Ireneusz Kwaśniak wstał od stołu, podszedł do kredensu, otworzył barek i wyjął stamtąd flaszkę wódki. Nalał sobie kieliszek, wychylił do dna, potem nalał drugi i znów natychmiast wypił. Żona ze zdziwieniem patrzyła, jak mąż nakłada czapkę i kufajkę, po czym wychodzi na ganek. Po chwili dało się słyszeć trzaśnięcie drzwi zewnętrznych.

Wyrafinowanie napruci

Tegoroczny grudzień w Unitelu okazał się morderczy. Justysia i Mati musieli działać na pełnych obrotach. W regionie likwidowano wszystkie działy marketingu, a warszawski restrukturyzowano. Do podziału były obowiązki, stanowiska i kompetencje, a przy tym należało dokonywać ewaluacji pracowników za mijający rok, wypłacać należne bonusy itd.

Nikogo w firmie nie obchodziło, że Mati przechodził gehennę z powodu rodzinnych komplikacji. Była żona nagle wyprowadziła się z Warszawy, zabierając ze sobą ich dziecko i zniemacka ucinając z nim kontakty. Przeniosła się do matki, która najchętniej ugotowałaby dawnego zięcia w smole i nabiła na pal. Mati odbył w grudniu trzy czternastogodzinne podróże samochodem. Chciał zobaczyć syna, spędzić z nim przysługujące mu weekendy, lecz za żadnym razem nie wpuszczono go za próg domu. Sterczał więc na zimnie w asyście bezradnych policjantów.

Korporacja nie dopuszczała osobistych tragedii, a już na pewno nie tragedii wywołanych grzesznymi namiętnościami. *Crisis management leaflet*^[15] nie zawierał ani słówka na ten temat. Sfera prywatna była bardzo źle widziana, a pracownik epatujący domowym nieszczęściem był najuprzejmiej proszony o udanie się do najbliższego leprozorium i niezarażanie kolegów.

Mati pękł po kolejnym bezowocnym kursie do Nowego Targu i z powrotem. W sobotę ruszył do klubów i wrócił do domu dopiero w niedzielę wieczorem, tak że gdy w poniedziałek rano wsiadał w samolot do Pragi, nad którą obejmował zwierzchnictwo, był jeszcze pod dobrą datą.

Pech chciał, że tym rejsiem leciał również Patrick O'Connell, zwany przez Matiego i Justysię Rudym Łomem. Niestety, przewidywania Mateusza były trafne, Rudy Łom z Belfastu miał rzeczywiście zastąpić Duchamps, który mimo imponującej powierzchowności okazał się zbyt cywilizowany, za miękki na polską rzeczywistość. W *headquarters* uznano, że w warszawskim dziale doszło do zbyt dużych wpływów gotówki, a czupurnych Polaczków należałoby trzymać mocniej za uzdę.

Wprawdzie Rudy miał pewne braki w edukacji, ale zasłynął w Unitelu Nigeria z wyjątkowo twardej ręki, więc to jemu powierzono oczyszczenie polskiej organizacji z buńczucznych i przede wszystkim szkodliwych jednostek, jeśli takowe mogły jeszcze pozostać po ostatniej czystce redukującej personel do sześćdziesięciu procent dawnej załogi.

Patrick i Mati nie polubili się, szczęśliwie jednak nie musieli za często na siebie wpadać, ponieważ Mati miał kursować po podległym mu regionie – Budapeszcie, Pradze, Dubrowniku i Kijowie, Patrick natomiast zostawił w Londynie żonę, która ze względu na edukację synów nie zamierzała się przenieść na stałe do Warszawy. W tej sytuacji Patrick był zmuszony latać do

Londynu.

Mimo to mieli nieszczęście spotkać się i spędzić ze sobą ponadgodzinny lot oraz wspólną drogę z lotniska do hoteli jedną taksówką. Ponieważ Rudy zapobiegliwie zarezerwował im miejsca obok siebie, nie było wyjścia, jak tylko wypełnić półtorej godziny lotu zdawkową konwersacją. Pojawił się temat nadchodzącego sylwestra – zdawałoby się neutralny i bezpieczny. Mati był przekonany, że Patrick będzie go spędzał z rodziną w Londynie, a okazało się, że w związku z przyjazdem jednego z *big bossów* z Taiwanu, *management* organizuje kryzysowe spotkanie tuż po Nowym Roku w centrum konferencyjnym w Mikołajkach.

Big boss, niejaki John Gong Bao, był Chińczykiem, Nowy Rok obchodził później, kiedy więc zapowiedział przyjazd na 28 grudnia, ktoś musiał się nim zająć. Nie bez dumy Rudy Łom poinformował Matiego, że zgłosił się na ochotnika, aby wrócić do Polski na trzy dni przed sylwestrem i podjąć chińskiego szefa na lotnisku, a następnie zorganizować mu czas.

Mati nie odniósł się do tej informacji, choć sama w sobie była zdumiewająca. Dotychczas pracował z wieloma cudzoziemcami. Nikt z nich dobrowolnie nie poświęciłby celebrowania sylwestra i nadejścia Nowego Roku z bliskimi, by spędzać go z innymi pracownikami korporacji dla podtrzymania dobrych stosunków biznesowych.

Zniesmaczony, chcąc uniknąć konieczności skomentowania tych rewelacji, rzucił się na pokładowe kanapki, zmiatając jedną po drugiej. Jednak Rudy się rozgadał. Opowiedział Mateuszowi, że chce zrobić na Chińczyku wrażenie. Zaplanował wynająć rezydencję na Mazurach, był zdeterminowany zabrać Johna Gong Bao na rdzennie polską imprezę sylwestrową. Mieli zabawić się w mazurskiej zimowej scenerii, egzotycznej dla Chińczyka, i w ten sposób poznać lepiej, nim zjedzie reszta zarządu i zaczną się oficjalne spotkania. Opowiedziawszy to, umilkł, oczekując zapewne jakiejś aprobaty dla swojej postawy.

Mati nie zamierzał mu niczego ułatwiać, więc tylko pokiwał głową i nadal opychał się kanapkami. W końcu mimo niezbyt zapraszającego milczenia Matiego – było słychać tylko huk silników samolotowych, bo siedzieli na wysokości skrzydeł – Rudy dość chłodno oznajmił, że wie, iż Mateusz posiada na Mazurach rezydencję, i słyszał, że wybiera się tam w tym roku, bo organizuje sylwestra i nawet zabiera ze sobą parę osób z pracy.

Mati zachłysnął się pitą łąpczywie wodą i parsknął nią przed siebie. Rudy niespiesznie odstawił swój napój i postukał go w plecy. Kaszel uspokoił się i Mati, klnąc w duchu wszystkich kolegów z marketingu i poprzysięgając sobie dopaść tego, który chlapanął ozorem, zmuszony był coś powiedzieć. Na oczekaniu zmyślił, że owszem, organizuje sylwestra na Mazurach i zaprosił dwóch, trzech przyjaciół z firmy, lecz większość gości to będzie bliska rodzina.

Na to Rudy wytłumaczył, że wpraszać się na imprezę ani myślał, rozważał ewentualne spotkanie w noworoczne popołudnie, gdzieś na neutralnym gruncie. Miał już nawet upatrzone miejsce, stadninę w Podkomorzynie.

Nie do wiary!

Mati od dłuższego czasu planował spędzić kilka uroczych dni z redaktorostwem, jak ich zawsze w duchu nazywał. Zaprosił małżeństwo na sylwestra do Niedźwiedziego Rogu. Do tego doprosił odpowiednią obstawę nieistotnych zupełnie, ale przyjemnych i znających Gembarskich ludzi pokroju Misia, Justysi, Benka, a nawet wysilił się i odnalazł kontakt do Bondera.

Chciał, by redaktorowa poczuła się komfortowo, wyobrażał sobie pełne niedomówień wieczory przy świecach, gdzie w kameralnym gronie mógłby przesyłać jej zawołowane, tylko dla niej czytelne aluzjki, a po wypiciu doskonałych ciężkich wytrawnych win zagra z nimi w brydża przy kominku. Wyobrażał sobie, jak zmorzony ciężkim jak żelbeton snem Gembarski zwała się z kanapy i jego koledzy wynoszą go gdzieś, by uwolnić Matiego i śliczną Gembarską od jego namolnego, chuchającego wódą towarzystwa, i nareszcie dochodzi do wyznań, do których musi dojść.

Och, sanie z pochodniami, świece, wina, ruska bania na golasa, nocne spacerki przy księżycu, zapach Mazur, Podkomorzyn – wszystko to nieskalane ludźmi z korporacji. Chciał jej pokazać te swoje ukochane rzeczy i miejsca. Chciał także, by ujrzała go w lepszym świetle, niż do tej pory miała okazję zobaczyć.

I ten mazurski czar ma zostać zbrukany obecnością Rudego Łoma i jakiegoś gówna Matiego obchodzącego *big bossa* z Tajwanu? Zamiast delektować się piegowatą karnacją Gembarskiej, eksplorować ją we wszystkich tonacjach zimowego światła, miał kombinować, jak się ugadać z ryżym chujem i jakimś ważnym Chińcem?

Niemal przestał słuchać, co mu Rudy klarował. Czerwony na twarzy, wściekły, zupełnie jak nie on, zapinał pasy, mimo że do lądowania pozostało sporo czasu. Ten pierdolony wyzysk w biały dzień oscylował za blisko jego domostwa, wolności jego świętych miejsc. Co za łajza z tego Misia, co za dupa wołowa bez charakteru! Skoro wygadał Rudemu, jak fajnie jest w Podkomorzynie, to niech się teraz sam z nim spotyka w Nowy Rok, niech z nim chleje, niech wytrzyma ten korporacyjny bełkot, liże tyłek wielkiego *big bossa*!

To katastrofa dla jego planów! Zamierzał się zrelaksować, odprężyć, chciał, aby wszyscy mieli dużo czasu na słodkie lenistwo, żeby wyjazd był pełen niespodzianek, szaleństw, romansów, a jego uczestnicy przeżywali tragedie, radości, szaleństwa i zgorszenia. Chciał, żeby długo komentowano i wspomniano ten pobyt w Niedźwiedzim Rogu.

A tu po szampańskiej sylwestrowej zabawie, zamiast się relaksować, trzeba będzie się cucić, stawiać do pionu, być na najwyższych obrotach, żeby gnać do

Podkomorzyna na spotkanie z tym imbecylem o aparycji irlandzkiego kibola ze stadionu.

W Podkomorzynie zazwyczaj gościło miłe znajome grono. Po kiego grzyba wlec tam za sobą gościa z pracy? Gdzie ten Miś miał kiepełę? Komu dochowywał wierności? Po chuja ciągnął tego durnia za sobą na wysokie stanowiska, skoro nie można się po nim spodziewać elementarnej wdzięczności!

Zły, poirytowany, odpowiadał Rudemu wrogimi monosylabami. Naturalnie, przyobiegał spotkanie z nim i Chińczykiem w Nowy Rok, ale fakt ten wprowadził go w jeszcze gorszy nastrój niż wiadomość, że w styczniu musiał się stawić do RODK-a na badanie, które miało opisać jego podejście do dziecka i kontakt, jaki dotąd wypracował!

Dwa tygodnie później projektowany sylwester w domu jego ojca w Niedźwiedzim Rogu rozpoczął się zgodnie z planem. Zaproszeni goście dopisali, zajęli przeznaczone im pokoje, aura była fantastyczna, Mazury spowite głębokim, gęstym śniegiem. Z rozległego salonu goście podziwiali różowo-fioletowy zachód słońca oraz skute lodem i pokryte czapą śniegu jezioro. Natura zdawała się uśpiona na wieki.

Justysi, swojej oficjalnej dziewczynie, Mati powierzył kwestie kulinarne. Dziewczyna miała głowę nie od parady, więc z niewielką pomocą pani Halinki udało się przyrządzić wykwintne przekąski. Mateusz zakupił tylko dwa gatunki win, ale za to przednie: Gigondas i Châteauneuf-du-Pape, rocznik 2002, kiedy to ciepłe kamienie oddały gronom więcej słońca niż zwykle. Wino to pite przy rozpalonym kominku, w opatulonej śniegami rezydencji, rozlewało się po podniebieniu w czarowny sposób. Ogrzewało trzewia, nastawiało przyjaźnie, sposobilo do niewymuszonej pogawędki.

W noc przed sylwestrem, kiedy zjechali wszyscy sproszeni goście, pito tylko te gatunki. Tego wieczoru każdy rozmawiał z każdym przyjaźnie i nikt nie poruszał tematów politycznych ani związanych z pracą. Ludzie gromadzili się w wesołych skupiskach – przy kominku, na ogrzewanej werandzie, na zewnątrz w bani, gdzie było ciągle napalone i ustawiono wino oraz przekąski.

Znajdywali sobie przeróżne rozrywki; w roześmianych grupkach to grali w brydża, to lepiли bałwana, to zażywali widowiskowych sportów.

Justysia, która dzięki staraniom Mateusza czuła się jak pani domu, doglądała wszystkiego i rola ta doskonale odpowiadała jej stanowi ducha. Ubrana w małą czarną, cieliste pończochy, czarne getry i czarne traperki, paradowała po wielkim drewnianym domu, dokładając dREW do kominka, posyłając Matiego do piwniczki po kolejne wina lub zachodząc do ruskiej bani, by jak mityczna Temida pilnować płomieni.

Dzięki swojemu nienarzucającemu się sposobowi bycia miała okazję zaobserwować więcej niż inni i chyba jako jedyna w towarzystwie zauważyła, że

Gembarski pod płaszczykiem niewybrednych żartów i hałaśliwej wesołości chował ponury nastrój, jakby głowę zaprzętała mu skrywana troska. Podejrzewała, że jako jedna z nielicznych rozumie przyczyny tego stanu rzeczy. Natomiast Gembarska tryskała humorem.

Z początku Justysia, podobnie jak pozostali, dała się zwieść wrażeniu, że redaktorowa nie wyróżnia Matiego i flirtuje, z kim popadnie. W sylwestra od rana zdawała się wręcz go unikać. Po śniadaniu, podczas którego jako jedyna z kobiet piła szampana, wybrała się z Misiem na spacer. Zabrali ze sobą sztucer. Mieli tylko przyjrzeć się okolicy, a zniknęli na dwie godziny i wrócili z upolowanym przez nią zajęcem.

Wzbudziło to jawny zachwyty Matiego, który był już na mocnym rauszu. Widok jej wchodzącej na schody dworku w rozpiętym kożusku, z iskrzącymi oczami, z martwym szarakiem w dłoni, wprowadził go niemal w ekstazę. Ponieważ minione godziny spędził w towarzystwie jej męża i wraz z nim zamartwiał się o Gembarską, poczuł się niemal upoważniony do udzielenia jej reprimendy niejako w imieniu redaktora.

– Nie spieszyłaś się do stęsknionego męża – upominał ją, zdejmując z niej zaśnieszony kożuszek i przejmując martwego zajęcia. – W dodatku upolowałaś dwie sztuki. – Znacząco popatrzył na energicznie otrzepującego się, kryjącego przyjemne wspomnienia Misia.

Stojąca na obszernej werandzie reszta towarzystwa przyglądała się tej scenie z kwaśnymi uśmiechami, co nie przeszkadzało redaktorowej mierzyć się z Matim na słodkie uśmiechy, a potem dać mu się poprowadzić do środka. Szli niczym król i królowa, nie odrywając od siebie wzroku. Buzująca między nimi chemia była aż nazbyt widoczna.

Przy wspólnym obiedzie Justysia dziwiła się, że Gembarski to wytrzymuje. Wprawdzie nadal w tym trójkącie miał swoje miejsce, ale przez tamtych dwoje został zepchnięty na margines. Mati jawnie adorował Gembarską, a flirtując z nią, co chwila konsultował się z Gembarskim jako z bardziej doświadczonym, tym samym legitymizując ten haniebny proceder. Na takie postawienie sprawy Gemba, chcąc nie chcąc, musiał wejść w tę rolę. Nie mógł zganić Matiego ani stanąć przeciwko niemu, pozostało mu udawać, że to zgryw. Z pewnością miał co do tego duże wątpliwości, Justysia widziała to w jego gestach, słyszała w wypowiedzianych kwestiach. Odpowiadał Matiemu po namyśle, jakby cały czas zastanawiał się, na ile poważne było zagrożenie.

Doprawdy Mati był mistrzem i prowadził swoją diabelską grę w białych rękawiczkach! Prześcigał sam siebie, był zabawny, dowcipny i w stosunku do Gemby bardzo przyjacielski, więc redaktor miał nie lada dylemat. Im dłużej Justysia myślała o tym dziwnym trójkącie, im dłużej ich obserwowała, tym bardziej dochodziła do przekonania, że redaktorowa wcale nie jest ofiarą gry

prowadzonej przez Matego. To ona inicjowała flirt, przy czym robiła to bardzo perfidnie, była urodzoną prowokatorką.

Krzążając się wokół gości, Justysia zaczęła obserwować Gembarską bardzo uważnie. Tamta stała teraz na środku salonu i gawędziła z Misiem. Gdy tylko ujrzała, że Mati zbliża się z naręczem drewna do kominka, natychmiast podeszła bliżej. Oparła się o gzyms kominka, podczas gdy on kucając, dokładał polana.

– Mateusz, jesteś wprost ideałem faceta! – wykrzyknęła znienacka, jakby nie miała nic do ukrycia

– Nie jesteś jedyną, która tak uważa – odparł Mati.

Poszukał wzrokiem Justysi, lecz nawet nie do końca odnalazł jej spojrzenie, tak się spieszył, by znów popatrzeć na stojącą nad nim Gembarską. Ta wyglądała, jakby błagała wzrokiem, by jej dotknął, co chyba właśnie chciał uczynić, i tylko ze względu na Misia powstrzymał się i w zastępstwie oparł się o ścianę nad kominkiem, w pobliżu jej głowy.

– Wiem o tym. – Gembarska posłała kokieterjny uśmiezek Justysi. – Dlatego zostanę twoją największą fanką.

– Fanką wyrobownika korporacyjnego?

– Nie jesteś wyrobownikiem korporacyjnym.

– Tak? To kim jestem, Małgosiu?

„Małgosiu”? Justysia nie słyszała, by wcześniej zwracał się do tej czarownicy po imieniu.

– Wiem, że kochasz, by o tobie mówiono!

Justysia nie mogła oderwać wzroku od ruchliwej mimiki redaktorowej. Ta jej ożywiona twarz, nie aż tak urodziwa i daleka od ideału, stawała się doskonała jakby siłą woli, jakby Gembarska postanowiła dla Mateusza wypięknąć, sprostać jego wymaganiom. Wciąż się do niego uśmiechała, wabiła go wzrokiem, patrzyła to łobuzersko, to filuternie, to znów słodko.

– Jesteś – ciągnęła powoli, delektując się własnym głosem – naturą dwoistą. Bezwzględny człowiekiem interesu, ale przecież widzi się i wyczuwa, że masz duszę artysty. Próbowalesz pisać?

– Pisać?! – wykrzyknął rozbawiony Mati, jakby proponowała mu pracę w cyrku.

– Jestem pewna, że byś to potrafił. Świadczą o tym twoje powiedzonka, sposób obserwowania świata.

– Mati byłby głęboko nieszczęśliwy bez swoich pieniędzy – odezwała się beznamietnie siedząca na kanapie Justysia. Była święcie przekonana, że ma rację, ale zdawała sobie sprawę, że tą uwagę nie zapunktuje u żadnego z nich.

– Nie myślałeś o własnym biznesie? – ciągnęła niezmordowanie Gembarska.
– Mógłbyś wygospodarować czas na robienie tego, co lubisz. – Zapaliła papierosa, patrząc na Matego z entuzjazmem, jaki charakteryzuje tylko świeże uczucie.

W Justysi wezbrała nienawiść. Wstała z kanapy, wzięła swój kieliszek i zajęła miejsce z drugiej strony kominka. Nie zamierzała łatwo oddawać pola tej utlenionej na biało czarownicy. Mati i własny biznes? – to kompletna bzdura. Owszem, Mati jest wyjątkowo sprytny, ale mając za plecami maszynę w postaci firmy. Umiał rozgrywać, dzielić i rządzić, ale w jej ocenie marnie by to wyglądało, gdyby miał pracować na swoim. Był zbyt dumny, żeby walczyć o klientów, za leniwy, aby wypracowywać pozycję od podstaw. Oj, marnie by skończył, gdyby wziął pod rozwagę te sugestie i dał się nabrać na takie plewy!

– A jakiego rodzaju działalność miałby prowadzić Mati, by mieć czas na... – tu zrobiła chwilową przerwę – ...pisanie?

– To samo, co robi teraz, ale na własny rachunek.

– Brzmi pięknie, ale czy Mati ma predyspozycje do tego, by pracować sam?
– Justysia wypła spory łyk wina, tak cholernie irytowała ją ta egzaltowana baba, która wciskała Mateuszowi bujdy. Dobry Boże, nie sądziła, że faceci bywają tak durni, tak dziecinnie naiwni. Przecież nie ulegało wątpliwości, że ta nie najmłodsza już baba chciała Matiego uwieść! Polowała na niego jak lwica, a on drażniony, kuszony, a przy tym chcąc być na wierzchu, nie mógł sobie pozwolić, by go zdominowała.

– Jasne, że praca na własnych rachunek jest wymagająca, ale ma ogromne plusy – odparła Gembarska. – Nikt nie stoi ci z batem nad głową, nikt nie mówi, co masz robić. Odnoszę wrażenie, że Mateusz jest... niezadowolony z życia.

W tym momencie obie spojrzały z uwagą na Matiego, jakby spodziewały się znaleźć tam potwierdzenie słów Gembarskiej. On popatrywał to na jedną, to na drugą, usiłując przybrać wyraz smutnej melancholii, która jednak nie pasowała do twarzy Adonisa, śniadej zdrowej karnacji, do sprężystej sylwetki, kipiącej żądzą czynu.

Justysia parsknęła śmiechem.

– Dopóki będziesz miał auta, jachty i luksusy, Mati, dopóty uśmiech będzie gościł na twojej pięknej twarzy. Biada ci, jeśli podążysz za ułudą. – Nie mogła się oprzeć, by nie przeczesać dłonią jego gęstej grzywy, miała ochotę pocałować go w usta, by pokazać tej tlenionej wiedźmie, kto tu rządzi.

Wiedźma jednak nie traciła rezonu. Ubrana w czarną obcisłą bluzkę, wdzięcznie oparta, emanowała toksyczne fluidy, które sprawiły, że Mati nie odpowiedział na pieszczotę Justysi, tylko stał usztywniony, jakby rozdarty między dwiema ładnymi kobietami. Było to o tyle osobliwe, że do tej pory wyznawał zasadę: im więcej, tym lepiej.

– Nie wierzysz we mnie, Justysiu? – Ujął jej gładzącą go po włosach dłoń i jakby przepraszącą cmoknął.

A to ci zwrot w rozmowie!

Gembarska patrzyła na Justysię bez empatii, gotowa ją zabić, byle tylko

ukraść jej mężczyznę. Taki więc jest ten świat – naprawdę istnieją takie kobiety. Zaginają parol na faceta i prą naprzód. On nawet się nie zorientuje, że ona jest od niego starsza, iż twarz modelki będzie fatalnie wyglądać bez tony tapety. Tymczasem ona go emabluje w najstarszy znany kobietom sposób – patrzy na niego z absolutnym zachwytem, zgadza się z nim w każdym zdaniu, a jednocześnie narzuca swoją wolę.

Bez lęku musiała Justysia stawić czoło przeciwnicze, choć będąc tak blisko Gembarskiej, miała świadomość jej przewagi i wyczuwała, że Mati poddaje się jej urokowi. Musiała go odbić bez tanich środków, kokieterii, bez sztuczek. Otwarcie mówić, co myśli!

– Łatwo jest mieć kogoś własnym biznesem – zaczęła gorąco, na co oni się uśmiechnęli identycznie, jakby przejrzeni, że przemawia przez nią zazdrość. Mimo to brnęła dalej: – Dawno temu postanowiliście tak żyć, a obecnie macie szerokie znajomości, dorabiacie. Prowadzisz wywiady w telewizji, a twój mąż pisze w gazetach, możecie łatwo promować swoją... hm... sztukę. Mateuszowi nie byłoby łatwo rozpocząć działalności z dnia na dzień. Myślę, że będzie musiał płacić wysokie alimenty na syna i jeszcze bić się w sądach o każde spotkanie z nim. Gdyby nie miał etatu, sytuacja bardzo by mu się skomplikowała.

– A czy Mati lubi swoje życie? – spytała redaktorowa, wpatrując się w Justysię. I nie czekając na odpowiedź, zwróciła się do Matiego z pytaniem: – Czy lubisz swoje życie, Mati?

Piękna tleniona czarownica trafiła Achillea wprost w piętę. Rzeczywiście, Mateusz nie odnajdywał w codziennym życiu satysfakcji. Praca i normalność bezbrzeżnie go nudziły. Zadowolenie dawały mu takie chwile jak ta, kiedy dwie kobiety toczyły o niego śmiertelny bój. Nie mogła mu jednak tego wykrzyczeć, choć szczerowość leżała w jej naturze.

Tymczasem Mati i Gembarska patrzyli się na siebie przez dłuższą chwilę. Oczy redaktorowej lśniły, jakby rozumiały, lśniły, jakby składały obietnice. Mati posłał jej uśmiech, a ona zrewanżowała się tym samym, po czym postąpiła krok naprzód, wspięła się na palce i pocałowała Matiego w policzek, a następnie odeszła w stronę męża.

Wieczór miał przynieść Justysi kres podobnych tortur, bo Gembarscy, Benek i Bonder planowali wrócić do Warszawy, a ona, Mati i Miś byli umówieni z ludźmi z korporacji. Było to jedyne mające sens rozwiązanie, jednak Mati wbrew logice zaczął namawiać Gembarskich do pozostania na jeszcze jedną noc. Z początku redaktor nawet nie chciał o tym słyszeć, zwłaszcza że w programie była nasiadówka z chińskim szefem Unitela. Nieustępliwy Mati jednak parł ku przedłużeniu ich pobytu, jakby wbrew własnemu interesowi. Zapowiedział, że posiedzą z tamtymi góra godzinkę, a przy okazji Gembarscy rozejrzą się po stadninie, zjedzą pyszną polędwicę, a potem pojedą do Niedźwiedziego Rogu

i wypiją doskonale wino przy kominku. Gembarski upierał się przy powrocie do Warszawy z powodu dziewczynek, które już kilka dni pozostawały pod opieką babć. Obawiał się o drogę, o przygotowanie dzieci do szkoły, w razie gdyby mieli wracać dopiero w niedzielę wieczorem. Natomiast mina pani Gembarskiej na wzmiankę o powrocie do normalności mówiła więcej niż tysiąc słów.

Widząc to, Mati podwoił wysiłki. Poszedł do piwniczki, przyniósł dobre roczniki i zaczął emablować wahającego się redaktora. Do tego doszło kilka przymilnych pieszczot ze strony żony i nieszczęsny redaktor dał się przekabacić, choć minę miał przy tym nietęgą, jak każdy empatyczny człowiek, wyczuwający śmiertelne niebezpieczeństwo siódmym zmysłem.

Koniec końców dwoje wyrobników Unitela, dwoje niezależnych moralnie artystów i jeden, który stanowił część wspólną obu podzbiorów, udało się napędzanym na cztery koła SUV-em do stadniny w Podkomorzynie.

Pod stadniną stała już cała chmara podobnych wielkich SUV-ów na warszawskich rejestracjach, co było widocznym dowodem, że Podkomorzyn, niczym kabaretowe schody miał nigdy nie wyjść z mody.

Gęsty śnieg walił z nieba ogromnymi płatami. Mati z trudem otworzył ciężkie drzwi, zamieć wdarła się do przytulnego wnętrza, przywodząc na myśl sceny z *Krzyżaków*. Zebrani na miejscu bogacze zmieszani z celebrytami zwrócili zaintrygowane spojrzenia w stronę wejścia, bo wchodząca gromada wyglądała światowo i interesująco, było więc na kim oko zawiesić.

Justysia i Mati byli elegancy i piękni jak z okładek kolorowych magazynów, ale wchodzących za nimi Gembarskich charakteryzował artystyczny sznyt. Wysoki redaktor z trzydniowym zarostem miał na nosie okulary z kolorowymi oprawkami, ubrany w skórzaną marynarkę, sprane dżinsy, a do tego w dziwny długi kozuch (chwalił się, że to jego dziada, który miał majątek na Kresach, i tylko to uwiózł, spierdalając przed kacapami). Gembarska była w kozuszkach, makijaż *smokey eye* miała wykonany bezbłędnie i była to najgrubsza warstwa okrycia, jaką mogła się pochwalić.

Nie miała pojęcia, czym jest Podkomorzyn, nie znała gąb z pierwszych stron gazet, nie wiedziała, jaki panował tu styl. Z lekceważeniem odniosła się do olejakowych kurtek i stylu jeździeckiego, nie obchodziło jej, że odstaje. Nosiła się dumnie, w związku z czym to na nią się gapiono, to ona wyglądała na gwiazdę, co przyjmowała z naturalnym zadowoleniem.

Spodobała jej się ciepła atmosfera opalanego kominkiem wnętrza, rasowe psiska spoczywające przy buzującym ogniu, apetyczny zapach dziczyzny, wesole pohukiwania i swojskie śmiechy. Atmosfera Podkomorzyna wchłonęła redaktorową, a na tym tle jej osobowość błyszczała jeszcze jaśniej i pełniej.

W tej doskonałej harmonii panował tylko jeden dysonans. W głębi mrocznej izby znajdował się stół mniej oblegany, pusty i zimny. Choć kelnerki krzątały się

przy nim, usiłując rozproszyć unoszącą się nad nim smutną bezduszość, nie zdołały temu podołać. To tam, pod skórami dzików rozpiętych na drewnianych belkach, siedziało dwóch poważnych mężczyzn w garniturach – jeden ryży i paskudny, popatrujący dokoła z jakąś absurdalną wyższością, i drugi Azjata – grzeczny, układowy i nieco znużony.

Na widok wchodzącej grupy ryży uniósł brwi i pstryknął palcem w powietrze, przywołując przybyłych ku sobie.

Mati, choć od kilku stolików wołano jego imię, tylko pobieżnie się ze wszystkimi przywitał, ponieważ musiał grać swoją rolę. Zacierając ręce, jakby rozgrzewał je do powitania, podszedł do tamtych dwóch, z których tylko Azjata uniósł się lekko z siedzenia. Ryży niecierpliwymi gestami z niezadowoleniem dał znać, że za długo musieli czekać. Wierna Justysia pospieszyła wspierać Matiego – swoją radość i utrapienie.

Gembarscy i Miś zatrzymali się przy barze. Niespieszno im było dołączyć do korporacyjnego stolika, woleli przytulne siedziska przy barze, gotowi pokosztować kolorowych alkoholi. Gemba szybko nawiązał rozmowę ze stojącym obok długowłosym mężczyzną w bryczesach, po chwili wspólnie zamówili gorzałkę. Redaktorowa rozsiadła się wygodnie, zsuwając z ramion kożuszek i świecąc obnażonymi plecami oraz podgolonym karczkiem. Najwyraźniej zainteresowała sobą długowłosego. Miś wypił z nimi kieliszek i niechętnie opuścił doskonale stanowisko, by witać się z szefami.

Piątka pracowników korporacji ugrzęzła w mrocznym świecie technologii telekomunikacyjnej. John Gong Bao był bardzo uprzejmy, lecz świata nie widział poza firmą, więc rozmowa toczyła się tylko wokół biznesu. Justysia już nie musiała Matiemu pomagać. Wprawdzie kasował zazwyczaj od razu maile dotyczące innowacji technologicznych, lecz wystarczyło, że raz usłyszał strzępy zdań na korytarzu, a potrafił dobudować do tego całą encyklopedię, stwarzał więc wrażenie obeznanego ze wszystkim, co się w firmie działo.

Między Johnem a Matim nawiązała się pełna technicznych szczegółów wymiana zdań. Mati był podekscytowany, entuzjastyczny, słowem, wznosił się na wyżyny korporacyjnych umiejętności.

Justysia czuła, że chciał zadowolić tamtych dwóch i zamiast *quantity*^[16] dać im *quality time*^[17], aby potem czym prędzej wziąć dupę w troki i wrócić do redaktorstwa. Gdyby milczał znudzony, prędkie opuszczenie szefostwa zrobiłoby fatalne wrażenie, bo zarówno Irlandczyk, jak i Azjata wyglądali tak, jakby byli wygłodniali jakiegokolwiek towarzystwa.

Zdaje się, że Rudy Łom się przeliczył, uważając, że we dwóch doskonale się zabawią. Być może sądził, że na polskiej wsi towarzystwo dwóch zagranicznych *bossów* zrobi na tubylcach silne wrażenie. Nie znając Podkomorzyna i nie mając świadomości, jakie sławy tu bywają, nie mógł wiedzieć, że dwóch smętnych gości

z korporacji nie mogło wzbudzić niczyjzego zainteresowania, ponieważ bywalcy Podkomorzyna byli naprawdę bogaci lub bardzo sławni, a tkanka zależności towarzyskich formowała się latami i niełatwo było w nią wniknąć. Każdy człowiek z zewnątrz bez listów polecających w postaci właściwego towarzystwa, był tam traktowany jak niewidzialny i tak też odniesiono się do *bossów*.

Jedynie pani Stefka ulitowała się nad nimi, wymieniając kilka dość abstrakcyjnych uwag o potrawach, których kosztowała w Szanghaju, lecz posługiwała się tylko językiem polskim, nie nawiązano więc dłuższej rozmowy.

Nic zatem dziwnego, że wyposzczeni *bossowie* zalewali nowo przybyłych falami nikogo nieinteresujących informacji i tylko Mati, najwytrawniejszy aktor, przybrał wyraz przejętego zainteresowania. Zmęczona kilkudniową imprezą, Justysia siedziała przygaszona, miała tylko siłę, by popatrywać na swojego Mateuszka z dobrze, jak jej się zdawało, skrywanym podziwem. Miś, również zubożniały, dorzucał trywialne uwagi, lecz robił to zdecydowanym tonem. Pewność siebie, która go cechowała, tłumaczyła, w jaki sposób tak przeciętny człowiek jak on wywindował się w strukturze tak wysoko.

Jak się niebawem okazało, wizyta Johna miała konkretny cel. „Implementował” nowy projekt mający na celu usprawnić i upublicznić dla, jak się wyraził, „wszystkich zainteresowanych” przepływ informacji. Nad lampką wina rozwodził się nad najdrobniejszymi szczegółami projektu, a zwłaszcza od strony technicznej, albowiem wdrożenie go wymagało wiele wysiłku. Miał kosztować miliony euro – stały za nim liczne oprogramowania, a co za tym idzie szkolenia, by nauczyć się obsługi.

Mati zauważył, że w czasie tych nieziemsko nudnych wywodów Rudy obserwował skupionych wokół stołu zimnym, okrutnym wzrokiem, jakby chciał sprawdzić, czy wszyscy słuchają w należyтым skupieniu. Specjalnie więc dyskretnie ziewnął, co jawnie rozjuszyło Rudego. Poczzerwieniał (i tak miał czerwona karnację, która przy odrobinie złości lekko sianiała) i pochylił się nad Johnem, jakby dając przykład, z jaką uwagą należało słuchać płynącego z ust Chińczyka monotonnego wywodu, zniekształcanego pod wpływem chińskiego akcentu. Wypowiedź Johna brzmieniem przypominała szemrzący strumień, a na myśl przywodziła bezpowrotnie uciekający czas.

W tle włączono muzykę, Mati kątem oka zarejestrował, że redaktorostwo zbratali się z panią Stefką oraz z szacownym starszym adwokatem, który opowiadał coś Gembarskiej. Odchyliła zgrabną główkę i śmiała się zaraźliwym śmiechem. Swobodnie wyginała ciało niczym aktorka, a gdy przechylała się do tyłu, wyraźnie rysowały się obojczyki. Mati z fascynacją obserwował, jak wolni niczym ptaki Gembarscy zawierali kolejną znajomość – tym razem z plecystym bywalcem Podkomorzyna.

A ponieważ przy barze zrobiło się głośno, zwabiona tymi odgłosami zjawiła

się pani Stefka niczym sęp wietrzący padlinę. Mati zauważył, że redaktorowa musiała jej się spodobać, choć – dostrzegał to dopiero teraz – jej uroda zyskiwała przy bliższym poznaniu. W twarzy można by dostrzec pewien feler – może za wąski nos, zbyt arystokratyczny na plebejskie gusta, którym hołdowano w Podkomorzynie.

Tu rej wodziły dorodne blondynki, tu podobała się jego była żona, hoża piękność z zadartym noskiem, urodzona, by tyłkiem zgniatać orzechy. Tu zapewne spodobałaby się i Antonina, gdyby to towarzystwo miało okazję kiedykolwiek ją oglądać. Zimna, wyrachowana, iście skandynawska, gdzie tylko się nie znalazła, tam odwracały się za nią głowy.

Redaktorowa była inna. Piękna? Owszem, czasami. Miewała swoje momenty. Należała do tego gatunku kobiet, które makijaż zmieniał nie do poznania, bywała bliska ideału. Mati był jednak wybrednym koneserem kobiecej urody i zdawał sobie sprawę, że uroda Gembarskiej jest u szczytu bujnego rozkwitu. Co czekało tę buzię za kilka lat, zwłaszcza przy życiu, które wiodła u boku męża?

Czy go pociągała? O, tak. Widział wady jej urody, a jednak... nie potrafił znieść myśli, że mogłaby flirtować z nim tylko dla zabawy, iż z Gembą miałyby ją łączyć coś na tyle trwałego i głębokiego, by on, Mati nie mógł tego zniszczyć, zdeptać, obrócić w perzynę. Tymczasem ona – przebiegła czarodziejka – chyba właśnie w oparciu o to prowadziła swoją grę, dzieląc uroki na nich dwóch i być może w pełni świadoma, że działało to na Matiego jak płachta na byka.

Chciał, aby jej żarciki, dwuznaczne spojrzenia, drobne łobuzerskie bezczelności były zarezerwowane tylko dla niego, żeby dzieliła je tylko z nim, lecz ona szafowała tym w sposób arbitralny. Rzecz w tym, czy robiła to, by Matiego zawojować, czy też był to jej naturalny styl bycia. Była to zasadnicza kwestia, której nie potrafił rozstrzygnąć, i szukanie rozwiązania zaczęło zajmować lwią część jego czasu, wypierając ze świadomości inne obiektywnie ważniejsze sprawy.

Nie przyszło mu jednak do głowy, jako że nigdy nie pociągało go grzebanie we własnej psychice – zajęcie to jako nieodrodny Wencel uznawał za niegodne człowieka czynu, właściwe „artystom, pedałom” – że gonitwa za ułudą, ten fundamentalny rdzeń jego charakteru wydawał się coraz ewidentniej ucieczką od spraw rzeczywistych, a więc trudnych. Jeśli nawet czasem nachodziła go ta refleksja, to czym prędzej odganiał ją jako nużącą. Zaskakująco łatwo potrafił usprawiedliwiać się przed samym sobą. Teraz z zaciśniętymi pięściami ukrytymi pod drewnianym stołem wpatrywał się niewidzącym wzrokiem w poczerwieniałego Irlandczyka i trudno mu było zebrać myśli, a tym bardziej skoncentrować się na tym, o czym tamten się wypowiadał.

Łom mówił jedną stroną twarzy, jakby drugą miał lekko sparaliżowaną. Mati, zagorzały esteta, choć był nie lada aktorem, z trudem krył odrazę. Czy ten

opuchnięty od potajemnego opilstwa – jego nie oszuka – konus o twarzy chuligana ze stadionu naprawdę miał zostać jego nowym szefem? Obrzydzenie brało Matiego, wielbiciela piękna, od samego wsłuchiwanie się w irlandzki akcent. Starał się nie patrzeć tamtemu w oczy, bo czuł, że nie jest w stanie ukryć odrazy, i bezrozumnie wsłuchiwał się w potoki słów wylewane szczerze przez Johna Gong Bao. Co i raz unosił bystry wzrok nad głowami zebranych przy stoliku, by wychwycić mowę ciała redaktorowej.

Było na co popatrzeć, bo skupiła wokół siebie sporą gromadkę. Nawet tępi jak cepy bogacze z uczepionymi u boku wymalowanymi lalami stali zaciekawieni. Każdy, nawet największy trep, wiedział, że buzia słodkiego aniołka może znudzić do urzygu, bo po nawet najpiękniejszej nocy nastaje długi dzień. Miło więc mieć kogoś, do kogo warto otworzyć usta.

A jeżeli ta żywa inteligencja, to żywe srebro miało jeszcze do tego tak bezwstydnie obnażone plecy i cudowny kształt łydek, a jakby tego mało – śmiałe spojrzenie łobuzicy, to nic dziwnego, że łapa redaktora wędrowała do karku żony i pozostawała tam w charakterze smyczy. Nic dziwnego, że Gembarski pilnował Gochy, chcąc pokazać tłoczącym się wokół gnomom, kto to śliczne stworzenie posiadał na własność.

I znów rodziło się pytanie, jak tę męzowską demonstrację przyjmowała redaktorowa. Ach, śmiała się. Chciała obudzić jego zazdrość czy też, nie daj Boże, wciąż była między redak-torstwem chemia wymieszana z porozumieniem – świa-dectwem doskonałej znajomości siebie nawzajem – wypra-cowanym dzięki milionom codziennych kompromisów i cementująca taki związek na życie? A może było jeszcze inaczej? Może to nim, Matim, redaktorowa grała, by podgrzewać temperaturę w małżeńskiej alkowie?

Podejrzliwy, niespokojny, że nigdy nie pozna o niej prawdy, Mati dyskretnie obserwował mowę ich ciał, starając się wychwycić najmniejsze niuanse, by móc wyciągnąć z nich wnioski. Redaktor niczym łaszący się pies to muskał nosem jej włosy, to szukał dłoni, a to znów przypalał jej papierosa. Ona z kolei wcale nie wydawała się temu niechętna, odpowiadając na jego gesty, zwracając się do niego w rozmowie, śmiejąc z jego dowcipów lub dyskutując z nim żywiołowo i sama wzniecając tym salwy śmiechu oraz barwne reakcje postronnych.

Te rozważania i wątpliwości wprowadziły go w zamęt i złość w kontekście tego, co zdawało mu się tak ewidentne, aczkolwiek niewypowiedziane pomiędzy nim, Matim, a Gembarską. Już nie wiedział, czy porozumienie z redaktorową nie było jedynie wytworem jego wyobraźni. Mógł się tylko bezskutecznie głowić, czy Gembarska zamierzała fruwać z kwiatka na kwiatek, a finalnie dochować Gembie wierności, czy też ta podwójna gra była celowym działaniem, obliczonym na wywołanie zainteresowania Matiego i wzbudzenie jego zazdrości.

Nagle, w całej tej otaczającej ją wrzawie, niespodziewanie odwróciła głowę

i napotkała spojrzenie Matiego, a wówczas jej uśmiech zgasł, wzrok spoważniał, co zdawało się wymowne. Mimo że byli oddzieleni ruchliwym tłumem i po-grążeni w – jak mogłoby się wydawać – absorbujących dys-kusjach, następowała między nimi głęboka wymiana, wprowadzająca Matiego w niespokojną radość i desperackie oczekiwanie.

Prędko odwrócił wzrok, uniósł do ust szklankę z wodą, skwapliwie potakująco skinął głową Johnowi, jakby całkowicie zgadzał się z tokiem jego rozumowania, choć nie miał pojęcia, o czym tamten rozwlekł się, i nagle zadał sobie pytanie, czy to, co czuł do redaktorowej, nie przekraczało aby normalnego stanu podniecenia zmysłowego związanego z kobietą. Czyżby miał się w niej zakochać? Postanowił bardziej uważać, trzymać na wodzy emocje. Automatycznie niczym do koła ratunkowego odwrócił się do Justysi, która powitała to śmiejącymi się oczami.

Zdumiewał go własny upór. Czemu znów ciągnęło go do szaleństwa, skoro to, co piękne i dobre – dobre przede wszystkim dla niego – znów było na wyciągnięcie ręki? Zadumał się nad złośliwą siłą, która kochała wyrywać ludzi z korzeniami z bezpiecznych kotwicowisk i pędziła ich na zatracenie, a oni zamiast trzymać się kurczowo, choć próbować się wczepić w podłoże, świadomie wyglądali śmiertelnego – co zdołał sprawdzić na własnej skórze – niebezpieczeństwa i lecieli w ten piekielny płomień jak ćmy, przywoływane przysłowiem wyświechtanym i wyzutym ze znaczenia przez wieczne nadużywanie.

Tymczasem rozochocony atmosferą zabawy i dudniącą muzyką Rudy znienacka zaproponował przesiadkę na szkocką. Mati już się łamał, lecz spojrzenie Justysi osadziło go w miejscu. Za szkocką podziękował, dla siebie i Justysi zamówił carmenere, które sączył powoli, lecz w sposób ciągły.

Tymczasem podkomorzański parkiet wypełniała galeria charakterystycznych postaci: tlenionych kobiet i przysadzistych mężczyzn o grubych byczych karkach. Redaktorowa, porwana przez jednego z takich do namiętnego tańca, została bez uprzedzenia kilkakrotnie obrócona wokół własnej osi. Mati widział, że zasłoniła dłonią usta, jakoby wyrażając przerażenie, po czym zaniósł się zaraźliwym śmiechem. Nie przestawała się śmiać, usiłując dostosować się do kanciastych poczynań partnera.

Mati musiał mieć na ustach głupawy bezwiedny uśmiech, bo nagle Rudy gwałtownie dosiadł się do niego i zaczął wypytywać o Gembarską.

– *She's a friend's wife*^[18] – obcesowo poinformował go Mati już bez uśmiechu, nieświadomy nawet, że lekko się odsunął.

– *She's got the moves.*^[19] – Rozochocony Rudy zwilżył błędym językiem spierzchnięte kąciaki ust, badawczym spojrzeniem natarczywie omiatając twarz Mateusza.

Świadom bezczelnej dwuznaczności tego spojrzenia, nie odwracając jednak

wzroku od zgrabnego ciała redaktorowej, obracanego przez krępego karzełka w komicznie dopracowanym stroju jeździeckim, Mati z flegmą odparł:

– *And how was your holiday, Patrick. Family okay?*^[20]

Rudy podziękował chłodno i między dwoma mężczyznami wpatrzonymi w ten sam ruchliwy i świetlisty kształt zapadło groźne milczenie.

Justysia znów zaczęła dwoić się i troić, by odwrócić uwagę rozeźlonego naczelnego od zaciętego i krnąbrnego Matiego, niczym matka osłaniająca brykające dziecko przed zagniewanym ojcem. Rudy jednak ją przejrzał i zaczął ordynarnie powarkiwać także i na nią, wreszcie ściągając na siebie uwagę Matiego. Zachowanie Rudego było na tyle rażące, że John Gong Bao usiłował ratować sytuację, rozpaczliwie czepiając się tematów przyrodniczych i wychwalając uroki polskiej wsi.

Misio też poczuł ciężar gęstniejącej atmosfery i z właściwą sobie bezmyślnością postanowił rozgonić gromadzące się nad stolikiem chmury. Uznał, że przydałaby się świeża krew, aby zmienić kierunek rozmowy. A ponieważ wcześniej podłączył się pod szkocką, bez ceregieli postanowił przywołać redaktorostwo do stolika. Przytknął obie dłonie do twarzy, formując tubę i ryknął bezceremonialnie:

– Gochaa!

John Gong Bao drgnął, niemile zaskoczony tym niespodziewanym hałasem, wszyscy spojrzeli w kierunku tańczącej w pobliżu kobiety. Mati rzucił Misiowi ostrzegawcze spojrzenie, chciał go kopnąć pod stołem, ale nie zdążył. Redaktorowa przeprosiła rozczarowanego partnera i ucieszona ruszyła w kierunku ich stolika.

Przysiadła się do nich z włosami w nieładzie i spadającą z ramienia bluzką. Skinęła głową Rudemu, dając do zrozumienia, że go poznaje. Niespokojny Mati szybko przedstawił ją Johnowi jako żonę ich wspólnego – tu wskazał głową w stronę Misia – znajomego.

Tymczasem krępy i niski Rudy siedział rozparty z wypiętym do przodu krocem i błyskami arogancji w szparkach szarych oczu. W sposób kompletnie pozbawiony szacunku mierzył wzrokiem zapalającą właśnie papierosa redaktorową.

Z niewytłumaczalnych powodów Mati spocił się pod pachami, zwilgotniały mu też dłonie. Chciał odwrócić uwagę Irlandczyka od nieświadomej tego wszystkiego, jakże kruchej, co dopiero teraz sobie uzmysłowił, delikatnej jak porcelana Gosi. Zanim zdołał cokolwiek wykombinować, Rudy poruszył się niecierpliwie jak bojowy koń gotujący się do ataku. Chrząknął, a potem odezwał się zniechęca:

– Gosza?

Imię to wymówił błędnie, w dodatku z wyraźnym zdumieniem nad własną inteligencją, która chyba tylko cudem pozwoliła mu na zapamiętanie tej tak

nieanglosaskiej zbitki głosek. Redaktorowa, wyczuwając zdenerwowanie Matego, posłała mu, jak mogło się zdawać, krzepiący uśmiech, po czym zwróciła się do Irlandczyka z ledwo dostrzegalną rezerwą:

– *Yes, Patrick?*

Mati szóstym zmysłem wyczuł skurwiela, lecz nie zdążył nic zrobić oprócz zaciśnięcia dłoni na kieliszku, a Rudy już pochylał się z obrzydliwym uśmiechem, pytając:

– *Tell me, Gosza, do all Polish girls dress like whores?*^[21]

Następnie wychylił resztę szkockiej, wlewając ją sobie w uchylone usta.

Mati widział, że Gembarska wciąż się uśmiecha, jakby nie zrozumiała pytania. Po chwili ciemny rumieniec rozlał się po jej dekolcie, wspinając po szyi, wypełzając na twarz; uśmiech powoli gasł. Sprawiała wrażenie, jakby nie była pewna, czy powinna wziąć aluzję do siebie. Przeniosła pytające spojrzenie na Mateusza. Zastygli zawieszoni w tym koszmarnym momencie, jednym z tych, o których mimo szczerych chęci nie sposób zapomnieć. W tle było słycać przykry, gardłowy rechot Rudego, który miał obrócić pytanie w żart.

Mimo przeżywanej wówczas przykrości i zażenowania Mati później wspominał tę ich niemą wymianę niebłahych informacji jako na pewno definiującą jego dalsze życie, zmieniającą je na zawsze, bo czyniącego go współodpowiedzialnym za jej dalszy los.

Później w jego wielkim czarnym SUV-ie, jadącym przez ośnieżony las z oszałamiającą prędkością, krzyczeli wszyscy naraz.

– Do jasnej cholery, przesadzacie, ciemne Polaczki! – wsadzał kij w mrowisko wyciągnięty na tylnym siedzeniu Miś. – Anglosaski humor jest czarny! Nie zna granic przyzwoitości! Tam kpią nawet z królowej i nikt nie robi takiego rabanu, jak wy!

– A ja, kurwa, myślę, że Mati powinien był mu przyjechać prosto w ryja! – grzmiał z przedniego siedzenia Gemba, paląc w otwartym oknie papierosa i posyłając na tylne siedzenie snopy iskier.

– Ty byś tak zapewne zrobił, stojąc przed twoim naczelnym?! – nie wytrzymała Justysia, patrząc z nieskrywaną nienawiścią na Gembę, a potem położyła dłoń na ramieniu kierującego samochodem Matego i dodała z niezachwianą pewnością: – Nie martw się, Mati, w redakcji też trzeba mieć nieźle giętki kark! Tam jak nigdzie indziej panuje tyrania i nie piszą niczego poza wytyczoną linię!

Mati nie odzywał się ani słowem, wciskając pedał gazu do dechy. Gocha, siedząca na tylnym siedzeniu między Justysią a Misiem, milczała od dłuższego czasu. W końcu powiedziała głośno i dobitnie:

– Mateusz, w życiu nikt tak się jeszcze za mną nie ujął, i to wbrew własnym interesom.

Wszyscy na nią spojrzeli, a Mati wcisnął hamulec tak, że niezapięty pasami Gemba wkleił się w przednią szybę. Zatrzymał auto pośrodku zimnego czarnego lasu, odwrócił się do Gembarskiej i tonem intymnym, jakby byli sami, zaczął usprawiedliwiająco:

– Nieprawda. Gemba ma rację. Tylko pierdolnięcie go w ryło dałoby mi jaką taką satysfakcję.

– Cholera jasna, czego ty od siebie wymagasz?! – wykrzyknęła rozpalona do białości Justysia. – A może wypijeś tyle, że nawet nie pamiętasz, co gadałeś? Powiedziałeś mu bardzo ostrym tonem, że przemawia przez niego stereotyp, podobny do tego, który tobie ukazuje go jako plądrującego sklepy kibola z Belfastu! To według ciebie mało?!

– Tak mu, kurwa, powiedziałeś? – Ucieszony Gemba strzepnął popiół wprost do wnętrza kosmicznego jeepa cherokee.

– Aż tak tego nie ujął – jątrzył sennym głosem ubzdryngolony Miś. – Mówił raczej ogólnie, że narody widzą siebie stereotypowo, a my postrzegamy *Irishów*...

– Przestań pieprzyć, Michał! – Justysia krzyknęła tak ostro, że kolega umilkł zdumiony. – Przestań Mateusza podjudzać! I tak czekają go megakłopoty! – Ledwie to powie-działa, uzmysłowiła sobie, że popełniła kardynalny błąd. Nie należało mówić o nim jak o ofierze ani tym bardziej podkreślać jego zależności od innych ludzi. I tak zaczynał mieć z tym ogromne problemy, bo kwestia czyjegoś zwierzchnictwa budziła w nim narastający bunt. Szkoda, że palnęła bez zastanowienia, ale ten cholerny, koniunkturalny Miś, który nigdy nie nadstawiał karku, a zgrywał bohatera ponieważ, zaczął ją piekielnie drażnić.

Mati wciąż tkwił jak zahipnotyzowany, trzymając ręce na kierownicy i gładząc w zamyśleniu szlachetną skórę. Poczciwy Gemba klepnął go po przyjacielsku.

– Jedźmy do domu, stary. Z tego, co mówią dziewczyny, zajebicie mu dojadłeś! Nie chciałbym być w twoich butach, bo to, zdaje się, twój przełożony?

Mati ruszył z miejsca. Dopiero po dłuższej chwili odrzekł niechętnie:

– Tak, to nasz nowy szef.

Gemba zapalił następnego papierosa i wychylił głowę przez otwarte okno wprost w mroźne powietrze. Wydawało się, że żona zamierzała go ostrzec, lecz najwyraźniej rozmyśliła się, bo cofnęła rękę. Jechali przez urzekającą puszcę w przykrym milczeniu. Gembarski palił, znowu puszczając iskry na siedzącego za nim Misia.

– Ależ piękna ta puszcza – zagaił z rozmarzeniem. – Choćby zajebali nie wiem ile kolonii i tak nigdy nie dostaną w swoje łapska takiej ziemi i tych babeczek, jakie mamy w Polsce, co?

Takie ujęcie tematu ubawiło Justysię. Mati może mieć ogromne kłopoty w pracy, a ten niemalże niebieski ptak pierdzieli coś kompletnie abstrakcyjnego.

Nigdy nie pociągała jej u ludzi niefrasobliwość i beztroska, cechy kompletnie oderwane od rzeczywistości. Szczęśliwie sentymentalne zachwyty ukróciła sama redaktorowa, lepiej niż mąż wyczuwając niepokój Matiego.

– Irlandczycy nic nikomu nie „zajebali”, jak to określiłeś, Gemba. To im zajęto ziemie.

– Przestańcie to wałkować – wtrącił niefrasobliwie Miś. – Facet zażartował, a wy tacy, kurwa, serio.

Nikt więcej się nie odezwał. W smętnym milczeniu dojechali do królewskiej rezydencji starego Wencla. Na ganku paliło się światło.

W minorowych nastrojach rozwiesili ubrania, rozsiedli się na kanapach. Justysia w milczeniu rozpałała w kominku, Mateusz zszedł po wina do piwniczki. Towarzystwo czepiało się zastępczych tematów, najwyraźniej było im trochę głupio, a może Justysia przypisywała tym ludziom zbyt wiele dobrych cech, projektując na nich własne myśli.

Faktycznie zaistniała przy stoliku sytuacja mogła mieć przykre następstwa, ale prawda była taka, że nikt z obecnych nie był temu bezpośrednio winny, niesłusznie więc Justysia żywiła do nich skryte pretensje. Niepotrzebnie widziała ich jako intruzów, którzy wtargnęli w życie Mateusza i narobili mu kłopotów. Jeżeli coś gorszego miałoby z tego wyniknąć, nie będzie to przecież wina Gembarskich, a jej pretensje pewnie z czego innego wynikały. Wrócił Mateusz, niosąc tym darmożjadom kolejne omszałe flaszki i pięć eleganckich kieliszków. Ustawił to wszystko na stoliku do kawy i rozlał wino.

Na kominku wesoło trzaskały polana, grenache rozlewał się po podniebieniach, jednak dla Matiego miał gorzki posmak piołunu. Milczał uparcie, przystojny i blady, nie odważając się nawet zerknąć na redaktorową. Justysia obserwowała to z narastającą złością. Chciała nim potrasnąć, ocucić go, uświadomić mu, że te obiboki, co wtargnęły do jego domu dość przypadkowo, gotowe mu teraz zrujnować karierę, na którą pracował latami. Chętnie zanurzyłaby mu twarz w lodowatej wodzie, by przywrócić mu przytomność umysłu i dopiero wtedy mogłaby go zapytać, dlaczego to robi? Dlaczego czuł, że jeszcze czegoś wobec redaktorowej nie dopełnił? Czyżby ta w pełni dojrzała kobieta oczekiwała, że rzuci się na swojego szefa i wyzwie go na pojedynek? Czemu nie uśmierza teraz wyrzutów sumienia Matiego?

Justysia piła wino i czuła, że odbiera od życia porządną lekcję, którą dawała jej redaktorowa. Przecież to było oczywiste, czemu wcześniej o tym nie pomyślała? Nie trzeba było uspokajać sumienia Matiego, aby go zdobyć. Stawiać mu poprzeczkę wyżej i wyżej – to stary i jakże banalny sposób, by przyciągnąć nawet największego twardziela. Można mieć czterdziestkę na karku i dwójkę dzieci, kryć wady urody pod grubą warstwą makijażu, a i tak zawojować upragnionego faceta. Wystarczyło być wymagającą jędzą.

Z dobrze maskowaną niechęcią pomieszaną z podziwem Justysia obserwowała poczynania redaktorowej. Pozornie stanęła na wysokości zadania – martwiła się o konsekwencje zajścia, obawiała, że Mati może mieć kłopoty. Prowadziło to jednak do pogorszenia się samopoczucia Matiego. Fakt, że będzie miał w szefie zacieklego wroga, raczej go zawstydzał, ponieważ najwyraźniej uważał, że posiadanie jakiegokolwiek szefa, którego można by się obawiać, uwłaczało mu w oczach niezależnych od nikogo Gembarskich. A ponieważ nie był typem, który by się nad sobą użalał, niemal przestał się odzywać.

Atmosfera zgęstniała. Nawet niewrażliwy na innych Gemba musiał wyczuć powagę sytuacji, bo zaczął pieprzyć o przewrażliwieniu Polaków na punkcie polskości, lecz niezwykajna zaciekłość Mateusza paraliżowała rozmowę.

Poszły dwie butelki, ale marsowe oblicze Matiego nie pojaśniało.

Justysia oglądała go w wielu odsłonach, lecz czegoś podobnego u niego nie pamiętała. Mimo pocieszeń i zapewnień całej grupy, że spisał się „na medal”, że zważywszy na okoliczności dał tamtemu „popalić”, oczy Matiego stawały się coraz bardziej chmurne.

Zdawało się, że nic nie zdoła przywrócić poprzedniej wesołości i dobrej atmosfery, gdy nagle milczenie przerwał czymś rozbawiony Gemba. Wszyscy spojrzeli zdumieni, skąd ten nagły wybuch wesołości. Okazało się, że Gemba o czymś sobie przypomniał. W kieszeni tego sławetnego kozucha z dziada pradziada miał schowaną grudkę haszyszu, pozostałość po jakiejś dzikiej imprezie. Towar, który zakupiono w Maroku, był ponoć całkowicie naturalny i świetnie poprawiał nastrój. Gembarski zaklinał się, że jeśli ten towar nie uratuje im humorów, to on pójdzie na kolanach do

Lourdes.

– Mati nie pali – uprzedziła dalsze wywody Justysia i dodała, z trudem kryjąc triumf: – Nie cierpi narkotyków!

– Narkotyków! – prychnął szczerze ucieszony redaktor. Nazwanie haszyszu narkotykiem bardzo go ubawiło. – To tak, jakbyś zamiast słowa „zajebicie”, użyła „klawo” albo „morowo”! – wykladał Justysi nieco bełkotliwie, kładąc łapę na jej zgrabnym udzie i wpatrując się w jej oczy, bezskutecznie usiłując odnaleźć porozumienie, a ponieważ nie wysiliła się, by dać mu znać, że pojęła, machnął ręką, jakby zrezygnował z tłumaczenia czegoś tak oryginalnego komuś tak uporządkowanemu i wpasowanemu w burżuazyjny porządek świata jak ona.

Justysia, która w nosie miała opinie takich typów jak Gembarski, nawet nie poświęciła temu sekundy uwagi, skupiona na tym, jak wobec nowego wyzwania postąpi Mati. Tymczasem diablica z piekła rodem, zwana Gosią, już przypuszczała na Mateuszka nowy szturm.

– Nie namawiałabym cię na to, bo sama nienawidzę narkotyków, które Gemba wciąż pali.

Spryciara użyła słowa „narkotyki”, jej mąż również to dostrzegł i lekko wzmógł czujność.

– Ale to jest inne – dodała. – Przywiózł to kumpel, jest to sto procent *natural*, niesamowicie luzuje – kusila, zwracając głowę w stronę Matiego.

Justysia żałowała, że nie widziała wyrazu jej oczu, ale dałaby sobie rękę uciąć, że było to spojrzenie, które obiecywało wiele.

– Daj spokój, Mati, to nie heroina – dorzucił ożywiony propozycją Miś, ale Mati nawet w jego kierunku nie spojrział.

Tymczasem Gemba już skręcał jointa na luksusowym stoliku do kawy, zakupionym przez Ryszarda w sklepie z meblami kolonialnymi.

– Jak tego spróbujesz, Mati, przestanieś się przejmować pierdołami! To otwiera umysł na wyższe wartości w życiu niż brak pieniędzy na spłatę kolejnej raty.

– A jest w życiu coś więcej?

– W sumie nie, ale zamyka buzię mojej żonie!

– Aha.

Tymczasem Gembarski poślinił skręta grubym jęzorem, skleił go, wykazując w tym dużą wprawę i znanstwo, po czym zaciągnął się z fanatycznym nabożeństwem. Miś ochoczo poszedł za jego przykładem, Gosia była następną. Wydmuchnąwszy dym nosem, rozejrzała się niewinnie pomiędzy rozsadzonymi w dwóch przeciwległych kątach kanapy Matim i Justysią.

– Justysia?

Justysia energicznie wykonała przeczący gest, więc Gembarska chciała zwrócić skręta mężowi, kiedy nagle Mati wstał i ujął jej dłoń, wydając z niej papieroska. Miał przy tym taki wyraz twarzy, jakby co najmniej wsuwał jej na palec obrączkę ślubną i gdyby nie dojmujący ból serca, Justysia parsknęłaby śmiechem.

– Może przywróci mi nastrój – tłumaczył się Justysi, ponownie siadając na kanapie. Usadowił się i zaciągnął tak potężnie, że spalił pół skręta naraz.

– *Easy, man!* To mocny *shit!* – zabelkotał najwyraźniej bardzo już wyluzowany Miś, kładąc na stolik starego Wencła nogi w ubłoconych traperkach.

– Wieśniaku, trochę szacunku dla domu ojca Mateusza – pouczył go surowo Gembarski, po czym obaj zatrzęśli się, chichocząc w gwałtownym przypiływie radości. Drgali tak kilkanaście sekund, łzy płynęły im z oczu.

Mati siedział chwilę nieruchomo, ale i on zmienił się na twarzy. Wprawdzie jeszcze się nie śmiał, ale odezwał się bardzo ożywionym i całkowicie pozbawionym poprzedniego dystansu głosem:

– Miałeś rację, stary! To gówno poprawia nastrój!

– A nie mówiłem – wylewnie ucieszył się Gemba – *Tout est relatif*^[22], co?

– A nie, nie, nie! Nie, nie... – Teraz i Mati się roześmiał, ale jakoś inaczej.

Gwałtownie, ostro, nieprzyjemnie. – To wcale nie znaczy, że skurwielowi odpuszczę!

– Weź, wyluzuj wreszcie – zabełkotał Miś z nietłumioną niczym niechęcią. – Przestań zgrywać ważniaka!

Justysia siedziała zdumiona reakcjami palących skręta, nie dając jednak nic po sobie poznać. Chyba faktycznie haszysz znosił wszelkie bariery i zdejmował maski pozorów, bo Miś przekroczył wobec Matiego granicę, której do tej pory pilnował, pozornie zgrywając kumpla, lecz utrzymując odpowiednio poprawną tonację dowcipów i nigdy nie atakując Matiego. Jednak chyba i Matiemu było już wszystko jedno, bo nie zważał na formy.

– Czekaj! – Machnięciem ręki obcesowo uciszył na wpół zamroczonego Misia. – Mam pewien pomysł!

– Dawaj! – ożywił się Gemba. Z jego oblicza emanowało czyste szczęście, był w swoim żywiole. Kochał tę pomyslową stronę natury Mateusza. Po wspólnych ekscesach w Zakopanem miał pewne rozeznanie, do czego jest zdolny nowy kumpel. Trzecie oko podpowiadało mu, że dziś w nocy Mati wykrzesze z siebie jeszcze więcej.

– Ten skurwiel wynajął dom bardzo blisko stąd, wiem który, bo to dom mojego znajomego z Podkomorzyna.

Gembie zaświeciły się oczy jak kocurowi na widok myszy.

– Czy przypadkiem razem z nim nie mieszka tam John Gong Bao? – studziła Justysia, szóstym zmysłem czując, w jakim kierunku sprawy zmierzały.

– A nie! – Podły Miś uśmiechnął się do niej przewrotnie. – John Gong Bao, dyrektor naczelny Unitela od wdrażania innowacyjnych projektów, wynajmuje apartament w hotelu w Mikołajkach.

– Właśnie! – Pstryknął palcami niemogący ustać w miejscu Mati. Widać haszysz zamiast go wyluzować, o zgrozo, przydał mu jeszcze więcej energii. – Nasz ptaszek jest w pobliżu i w dodatku sam!

– Raczej z szoferem – uściśliła Justysia.

– Jak go znam, to szoferowi kazał wynająć osobny pokój – wciął się Miś.

– Mów, co zamierzasz? Mamy go zajebać czy co? – Gemba chciwie zaciągnął się papierosem.

Łakomy wzrok redaktora i gotowość współpracy wywołała ryk śmiechu pozostałych. Justysia czym prędzej dokończyła swój kieliszek i nalała sobie następny. Na trzeźwo nie dało się tego znieść.

– Jakby co, wchodzę w to jak w dym! – kontynuował Gemba, dając do zrozumienia, że nie zamierza wycofywać się z niczego rakiem.

– Czekajcie! – Oczy Matiego błyszczały niezdrowym podnieceniem, najwyraźniej miał inną jazdę, bardziej serio. Stał na środku, tak by wszyscy mogli go oglądać, i rozpoczął popisy. – Pamiętacie, jak Rudy opowiadał, że

w okolicy, w której wynajął dom, mieszka pełno polskich pijaków, i że niepotrzebnie przyjechał swoim nowym BMW, zamiast kazać się kierowcy wieźć firmowym mondeo?

– No! Obawiał się autochtonów.

– A pamiętacie, jak z przekąsem się dopytywał, czy wszyscy Polacy to zagorzali katolicy?

– Taa. – Gembarski zdusił papierosa, po czym pstryknął nim do kominka.

– Pokażemy mu dziś, jak ciemne ludy Wschodu linczują zachodniego krwiopijcę.

Gemba jak na skrzydłach odkorkował drugą flaszkę i sprawnie rozlał jej zawartość do kieliszków.

– Pamiętacie scenę z *Frankensteina*, kiedy wieśniacy idą z pochodniami do zamku? – Mati lekko ugiął kolana i wodził wzrokiem po zaciekawionych twarzach.

– Widły, grabie, siekiery, te sprawy? – Redaktorowa seksownie uniosła jedną brew.

– Dokładnie! – wykrzyknął Mati, w ekstazie celując w nią palcem i wpatrując się w nią z niczym nieskrępowanym zachwytem.

– Ludzie, dajcie spokój, jakie siekiery?! – próbowała otrzeźwić ich Justysia, tylko lekko rozbawiona, bo miała wciąż nadzieję, że dziki pomysł spali na panewce. Zapewne zamierzali tylko pobredzić! Chyba aż tak im nie odbiło po tym naturalnym towarze?

Tymczasem Mati nawet jej nie usłyszał. Znienacka podszedł do redaktorowej i objął ją w pasie, jakby za sprawą haszyszu popuścił wszelkie hamulce.

– Ty, kochanie, weźmiesz widły. Są najłżejsze!

Mówił do niej z bliska i zdawał się tak zamroczony, że Justysia spodziewała się, że pocałuje redaktorową w same usta, tuż pod nosem jej bezmyślnie rechoczącego męża.

– Gemba! – Mati podszedł do redaktora, pochylił się nad nim i klepnął z całej siły w plecy, zwracając twarz w stronę jakiejś wymagowanej publiczności. – Gemba weźmie siekiere!

– A ty? – Redaktorowa patrzyła na Matiego z takim oddaniem, że Justysia dziwiła się, że jej mąż nie chwyci pogrzebacza i nie rąbnie rywala.

– A ja... – Pełen nadnaturalnej energii Mati stał pośrodku salonu. Cały w czerni, z ogniem w oczach, przykuwał spojrzenia wszystkich. Nawet Gemba i Misio popatrzyli na niego z mimowolnym podziwem. – Ja wezmę krzyż!

Redaktor wpadł w taki rehot, że zdawało się, iż się zadusi. Różnica między nim a Mateuszem wydawała się teraz nie do przeskoczenia. Gemba nie mógł się podobać, jeśli obok stał Mati, Justysia miała co do tego absolutną pewność.

Mati, nie zwracając uwagi na zarykującego się ze śmiechu, ewidentnie

mocno zamroczonego Gembarskiego, nie przejmując się jego stanem, kontynuował, tyle że głośniejsz:

– Zaraz pójdę do stodoły i zbiję krzyż. Potem przebierzemy się za wieśniaków, weźmiemy widły, siekiery i kanister z benzyną. I pojedziemy! Podpalimy krzyż tuż pod jego oknami i będziemy skandować „krwio-pij-ca”, „krwio-pij-ca”, „za-chod-ni krwio-pij-ca!”.

– Albo „wieś-cię-niechce”, „wieś-cię-niechce!” – puszczała wodze fantazji zachwycona Gembarska.

– Kocham cię! – rzucił całkiem trzeźwo Mati.

Czy w ten oto oryginalny sposób aprobował jej wersję, czy też słowa te kryły coś więcej, nie było wiadomo. Nikt też się nad tym nie zastanawiał, bo dwóch panów nadal nie mogło opanować śmiechawki, a Justysia opróżniała kolejny kieliszek.

Nie miała ochoty nadzorować ich niczym policjant, postanowiła więc zamroczyć się tak, by więcej nie przejmować się zaistniałą sytuacją.

– Ale on... nie zrozumie po polsku – po kilku minutach śmiechowych drgawek wybełkotał Miś.

– I chuj z nim! – Mati włożył kurtkę i wyszedł na ganek, najwyraźniej naprawdę chciał w stodole zbić krzyż.

– Czyś ty oszalał? – zdążyła krzyknąć za nim przestraszona Justysia, ale w odpowiedzi usłyszała tylko trzask zamykanych drzwi.

Pobiegła za nim, by zobaczyć, czy rzeczywiście skierował się do stodoły, by wykonać swój plan. Redaktorowa ruszyła jej śladem, jakby nawet na chwilę nie mogła spuścić Mateusza z oka. Zapomniały kurtek, więc cofnęły się z ganku do środka, chowając przed przenikającym ziąbem.

– Z kuchni dobrze widać podwórko – poinformowała przekłętą redaktorową Justysia i przeszły tam razem.

W kuchni kręciła się pani do pomocy, właśnie wyciągała naczynia ze zmywarki.

– Życzą sobie panie kawy? – zapytała, niespokojnie popatrując w ich kierunku.

Justysia pomyślała, że wraz z redaktorową musiały wyglądać bardzo dziwnie. Podziękowała gosposi, starając się przybrać normalny ton głosu. Było to nie lada wyzwanie, co uzmysłowiło jej, że musi być wręcz pijana. A to zdarzyło się jej pierwszy raz w życiu. Okna kuchenne rzeczywiście wychodziły na tę samą stronę, co ganek, i natychmiast obie przykleiły twarze do szyby.

Na zewnątrz panowały ciemności, jedynie z okna kuchennego padały na zaśniewane podwórze prostokąty światła. Gdy wzrok przyzwyczaił im się do ciemności, zobaczyły zarys starej stodoły, a potem wychodzącego z niej Mateusza i wlokącego za sobą zbity z dwóch dech, wielki drewniany krzyż.

Powlókł ten krzyż po śniegu, po czym szcęknięły zamki, zajarzyły się światła suwa. Otworzył auto, a wtedy światło z bagażnika wyraźnie oświetliło Matego wkładającego dwumetrowy krzyż do środka. Potem wrócił do stodoły, aby wynieść widły, siekierę i kanister.

Gembarska i Justysia spojrzały po sobie z niemym przerażeniem.

Po paru minutach Mati – ten niestrudzony animator rzeczywistości – ukazał się z powrotem w salonie, gdzie Gembarski bezskutecznie usiłował ocucić jakoby w sztok pijanego Misia.

– Przecież przed chwilą śmiał się jak wariat – zdziwiła się od progu Justysia.

– Ni cholery – czerwony z wysiłku Gemba zwrócił się do Mateusza. – Nie dobudzę go. Musimy go zostawić.

– Cholera, szkoda – zafrasował się Mati. – Lepiej by wyglądała większa grupka wieśniaków.

W Justysi zaczęła się budzić nadzieja, że może on się opamięta i zrezygnuje, lecz nawet stan Misia nie przywiódł go do przytomności, nie kazał mu się ponownie zastanowić. Po chwili w pełnym oczekiwania milczeniu jechali we czwórkę tą samą drogą, którą przemierzali dwie godziny temu. Gemba z Matim siedzieli z przodu, dziewczyny z tyłu.

– Są jacyś sąsiedzi tam, gdzie on wynajmuje? – dopytywał się niecierpliwie redaktor, z nieodstępnym papierosem w palcach.

– Nie, spokojnie. – Mati też zapalił. – W okolicy nie ma żywej duszy, bo wokoło są tylko domy letników. Będzie sam.

– Mati! – Justysię nagle oświeciło, jak go wystraszyć i odwieźć od szaleńczych zamiarów. – Nie możemy tego zrobić!

– Czemu nie? – We wstecznym lusterku widziała jego bladą twarz, uśmiechniętą jakby w obłędzie.

– Przecież oni tu polowali! Może mieć sztucer i na pewno nie zawaha się go użyć!

Justysia uczepiła się tej myśli jak ostatniego koła ratunkowego, wydawało się jej, że przezorny i ostrożny zazwyczaj Mati wystraszy się takiej ewentualności. Ten jednak uparty dziś jak osioł chwilę pomyślał, po czym odparł:

– Eee, nie. On jest zbyt wielkim cykorem. Nie użyje broni, będzie się bał konsekwencji!

To mętne tłumaczenie zdawało się całkowicie uspokoić Gembarskich, a niezbyt logiczna argumentacja natychmiast trafiła im do przekonania. Najwyraźniej pomysł napadu na Rudego tak ich zachwyił, że nic nie mogło ich od tego odwieść. Pełna złych przeczuć, Justysia tym razem bez niczyjej namowy pociągnęła ze wspólnej piersiówki. Mocny burbon rozgrzewał i uspokajał.

Tymczasem wyjeżdżali już z lasu w wieś, z której odbili w biegnącą pod lasem drogę polną. Oczom ich ukazały się zamknięte na cztery spusty letniskowe

Brdy. Dopiero na końcu, pod lasem, stał okazalszy, niby wiejski, nowy budynek. Na parterze paliły się światła, widać też było ogień płonący na kominku.

– Jest. – Bystre oko Matiego szybko wypatrzyło w środku Rudego.

Z wyłączonymi światłami minęli dom, Mati zaparkował w gęstwinie pod lasem, jakieś sto metrów od ogrodzenia domu.

– Lepiej wjedź głębiej w las – doradził Gemba całkiem przytomnie jak na swój stan.

– Racja! – odparł Mati. – Gdyby za nami wyleciał, pozna moje auto.

– A jak nas pozna? – Justysia starała się zapanować nad ogarniającą ją histerią. Ach, być tak opanowaną jak ta przeklęta wiedźma – której w żaden sposób to nie dotyczyło, która niczym nie ryzykowała!

Mati odwrócił się do Justysi. Gdy tylko popatrzył na nią i na Gembarską, natychmiast zaczął się śmiać. Wszyscy czworo poprzebierani za wieśniaków wydawali się sobie nawzajem bardzo zabawni. Gemba miał na sobie kufajkę należącą do męża pani sprzątającej, na głowie czapkę uszatkę, która przesłoniła mu twarz, w krzywo uśmiechniętych ustach tkwił papieros. Mógł spokojnie uchodzić za małorolnego chłopca. Justyna i Gocha były okutane w najgorsze stare gałgany i szmaty, do których mogły się dobrać, a na głowach miały ciasno zawiązane chusty, maskujące ich twarze. Mati był w kominiarce i starych walonkach, ale żadne przebranie nie mogło przyćmić jego urody. Naciągnął głęboko kaptur, po czym zdecydowanym ruchem niemal bezszelestnie otworzył drzwi. Gemba z cichym kwiknięciem radości podążył za nim. Ta jego wiernopoddanie i ślepotą na to, co się działo między jego żoną a przyjacielem, musiała być dla redaktorowej dodatkowo odrażająca.

We trójkę ruszyli za Matim jak barany za przywódcą stada, skradając się po chrzęszczącym śniegu, taszcząc rekwizyty. Justysia niosła grabie, Gosia widły, Gemba wielką siekierę. Mati miał na ramieniu krzyż, a w drugiej ręce kanister z benzyną.

– Uważaj, żebyś go nie zalał całkowicie, bo nie będziesz miał za co chwycić.

– Dało się słyszeć w ciemności przezorne uwagi chwiejącego się lekko na nogach Gembarskiego.

– Dobrze – poważnie odpowiedział Mati. Ton jego głosu zdradzał skrajne podekscytowanie.

W mroźnym powietrzu zdawał się trzeźwieć na ich oczach. Tylko on budził teraz jakie takie zaufanie, to w jego kierunku patrzyły dziewczyny, jedynie od niego skłonne przyjmować rady i rozkazy. Skupili się wokół niego jak żołnierze dookoła dowódcy. Tymczasem on oparł szczyt krzyża na śniegu i ostrożnie oblał go benzyną. Czaili się na polnej drodze nieopodal bramy, skąd dobrze widać było jasno oświetlone wnętrza. Gdy zapalał krzyż, z pewnością widoczne to będzie z wnętrza saloniku.

Odurzona alkoholem Justysia nawet przestała się bać i otępiała patrzyła, jak Mati przytyka zapaloną zapalkę do wilgotnej od benzyny dechy. Krzyż momentalnie zapłonął, gigantyczny na tle czarnego nieba. Efekt był niesamowity, przywodził bowiem niejedno skojarzenie.

Wrażenie, jakie wywarło to na całej czwórce, było piorunujące. Krzyż wydawał się dużo większy, widok ten przeszedł ich najśmielsze oczekiwania. Łuna bijąca od ognia była tak silna, że nie sposób było złapać krzyża i go trzymać, więc by nie zepsuć wszystkiego, Mati niewiele myśląc, chwycił krzyż, kręcąc nim młyńce w powietrzu, by uniknąć poparzenia, i wbiegł na posesję, rycząc głośno jakieś nieskładne okrzyki. Wierny Gemba płacząc ze śmiechu, biegł za nim jak giermek za swoim rycerzem. Ich składny szyk rozsypał się, co i raz ktoś z nich wołał „krwio-pijca” albo „wieś cię nie chce”, lecz tonem wręcz płaczliwym od wstrząsającego nimi śmiechu.

Redaktorowa jako jedyna trzymała się roli, powoli zbliżając się do ganku, wymachując grabiami i krzykliwym wieśniaczym tonem skandując: „Krwio-pij-ca. Krwio-pij-ca”. Justysia tkwiła przy płocie, z tłukącym sercem obserwując wnętrze domu. Nie musiała długo czekać, gdy nagle – nikt dokładnie nie wiedział skąd – rozległ się ogłuszający huk. Ktoś wystrzelił z ostrej broni!

Nim zdążyła sobie to uświadomić, zobaczyła, jak kompletnie oszołomiony redaktor padł w śnieg. Potem niczym w koszmarnym śnie widziała, jak Mati odrzucił przekłety krzyż, podbiegł do Gemby, a następnie pociągnął go w stronę bramy. Nie wiedziała, jak i kiedy wszyscy dobiegli do auta, słyszała tylko, że huk wystrzału rozległ się za nimi jeszcze trzy razy, nim dopadli linii lasu, a następnie migiem wskoczyli do auta i Mati z piskiem ruszył prosto w las.

Dopiero bezpieczna wewnątrz ciepłego samochodu, Justysia zaczęła wrzeszczeć.

– Czy ciebie, Mateusz, kompletnie popierdoliło?! – krzyczała, nie panując nad sobą. – Po coś wleciał na jego posesję?! Mieliśmy stać za płotem!

Siedzący z tyłu obok niej Gemba znów zaczął rechotać, Gosia obejrzała się na histeryzującą Justysię z wyraźnym współczuciem.

– Mógł nas pozabijać!

Justysia czuła, że łzy ściekają jej po policzkach. Mati – jakiś odległy niczym zombie – rzucił jej w lusterku mające ją uspokoić spojrzenie.

– Nie było szans.

– Skąd wiesz?

– Celował w niebo.

– Skąd wiesz? – spytała zawodzącym tonem.

Redaktorowa w milczeniu podała jej piersiówkę z alkoholem, Justysia znów popiła, tym razem niemal do dna.

– Widziałem go. – Ten cholerny Mati znów próbował robić z siebie błazna. –

Był na balkonie i strzelał w górę. Nie ryzykowałby niczego innego. Mówiłem wam, że to śmierdzący cykor. Ale musiał mieć pietra! Ha, ha, ha.

On i redaktorowa znów się śmiali w identycznym rytmie i tonacji, jakby byli zsynchronizowani. Justysia nie przestawała pochlipywać, jednak monotony szum samochodu i mocny alkohol podziałały na nią kojąco. Irytował ją już tylko bezmyślny, chory wręcz rechot Gemby, który chyba tracił świadomość, oraz pełne uwielbienia spojrzenia, które redaktorowa rzucała prowadzącemu auto Matiemu.

Mieli doskonałe humory, dla nich to była pyszna zabawa, ale ona odpadała. Nie dla niej takie numery, ci zawodnicy grali zdecydowanie za ostro. Ta piekielnica i jej Mati, napruci w osobliwie wyrafinowany sposób, co i raz popatrywali na siebie z zachwytem. Klimatyzacja nawiewiająca ciepłe powietrze szumiała, Justysia jeszcze raz pociągnęła z flaszki i zapadła w nicość. Płacz i ciepło ukołysały ją do snu.

Jej udręczona świadomość nie miała jednak wypocząć, bowiem przyśniło jej się coś nieprzyjemnego. Śniła, że samochód zatrzymał się niespodziewanie, co wyrwało ją ze snu. Uniosła głowę i z przestachem zrozumiała, że auto stało w środku ciemności. Obok niej na miękkich skórkach spał otulony kożuchem Gemba, w samochodzie wciąż grało radio, włączone było grzanie, ale Mati i redaktorowa zniknęli! I Justysia opuściła samochód. Nie wiedziała dokładnie jak, był to jeden z tych sposobów, w jaki człowiek porusza się we śnie. Znalazła się na zewnątrz, a jej zazdrosna świadomość sunęła metr nad ziemią, omiatając wzrokiem niesamowitą okolicę. Ogarnął ją strach, las nocą budził lęk. Czarne auto stało samotnie, zaparkowane na leśnej drodze przy małym jeziorku. Złowieszczy i blade księżyc świecił nad tym widmowym lasem, przydając wszystkiemu nierealnej grozy. Gdzie byli tamci dwoje? Z dziwnej perspektywy widziała Justysia ten las, pokrywający ziemię śnieg, skutą lodem i przysypaną śniegiem taflę jeziora, gołe pnie drzew. Nagle w tej okropnej ciszy dał się słyszeć odległy dźwięk tak obcy, że zdawał się pochodzić nie z tego świata. Obdarzona zdolnością bezszelestnego przemieszczania się, wolno sunęła nad ziemią w stronę, skąd dochodził. Zobaczyła gruby zwalony pień, uwięziony w lodzie. Wyrwany z ziemi, sterczący korzeń zasłaniał kogoś, kto siedział na pniu po drugiej stronie korzenia. Usłyszała głosy. Dwoje ludzi. Rozmawiających? Tak cicho, intymnie? Bezszelestnie zbliżyła się do korzenia, dotknęła palcami wilgotnego zmurszałego drewna i zamarła. Cóż oni tam wyprawiali? Czyżby posunęli się tak daleko w swojej nonszalancji, by ryzykować przyłapanie na gorącym uczynku? Przecież byli zaledwie parę metrów od chrapiącego w aucie męża. Czy może byli tak naprani, że stracili kontakt z rzeczywistością? Co ten Mati najlepszego wyprawia, co dzieje się z jego jasnym, rozsądnym umysłem. Och, te okropne szeptki, westchnienia! Już miała ukrócić te ich poczynania, wyskoczyć zza zwalonego korzenia i krzyknąć triumfująco, że jej nie oszukają, gdy ze snu wyrwał ją szcęk klamki.

Zamrugnęła oczami. Drzwi od strony kierowcy i pasażera otworzyły się jednocześnie – Mati i Gosia energicznie zajmowali miejsca.

– Gdzie byliście? – Poderwała się i usiadła wyprostowana. Teraz zobaczyła, że ona i Gemba byli przykryci tym samym kożuchem.

Mati odwrócił się do niej, wydawał się zaskoczony, widząc ją obudzoną, jednak odparł szybko i zdecydowanie:

– Zatrzymaliśmy się w lesie, żeby zapalić. Spałaś, więc cię nie budziłem. Już jedziemy!

– Nie dojechaliśmy jeszcze do Niedźwiedziego Rogu? – Justysia patrzyła na nich bacznie.

Nikt jej nie odpowiedział. Mati uruchomił silnik i samochód ruszył. W świetle reflektorów ukazał się leśny dukt, biegnący wzdłuż małego jeziorka morficznego. Justysia w zamyśleniu patrzyła na bielejącą przesiekę. Po chwili jezioro zostało w tyle. W światłach reflektorów po obu stronach samochodu przelatywały czarne pnie drzew, wyciągające do nich drapieżnie poskręcane gałęzie.

Actio praeter expectationem^[23]

Hotel Canarian Princess Delux położony był na klifie. Z tarasu dwupoziomowego apartamentu rozciągał się panoramiczny widok na surowe skaliste nadbrzeże i niespokojny zimny ocean. Falujące masy atramentowej wody robiły wrażenie rozwścieczonych, zdawałoby się, że gdyby mogły, wdarłyby się wyżej, by zmyć z tarasu skuloną w leżaku Beatę. Pogoda była bezchmurna, ostre słońce stało w zenicie, bezskutecznie próbując ogrzać czarną wulkaniczną wyspę. Beata otuliła się kocem, z zimna szczękały jej zęby, przenikliwy wiatr bezlitośnie targał włosy. Usiłowała czytać, ale litery skakały jej przed oczami, gubiła watek, porywy wiatru co i raz wertowały kartki.

Jakże naiwnie było sądzić, że wyjazd we dwoje coś poprawi. Najchętniej spakowałyby walizkę i pierwszym samolotem uciekła do Polski. Przyspieszyłyby wyjazd, jednak postawienie sprawy na ostrzu noża budziło nieokreślony niepokój. Zacisnąć zęby i jakoś wytrwać do upragnionej soboty, do chwili wylotu – oto jedyne możliwe rozwiązanie.

W Polsce do ostatniej chwili zdawało jej się, że nie mogli się porozumieć z powodu zajęć pochłaniających Mirka bez reszty. Ubzdurzyła sobie, że gdy on wgrzyzie się w nowe obowiązki, nieco się odpręży, wrzuci na „luz” i znormalnieje. Łudziła się, że po kilku tygodniach okrzepnie, ustabilizuje rozchwiane emocje.

Nic bardziej mylnego. Tkwił w pracy po uszy, a im dłużej to trwało, tym bardziej wpadał w coraz większe swoiste rozedrganie. Wciąż roił sobie, że kolejny dyrektor dybie na jego stanowisko, iż szykują mu rokosz. Szukał więc nieprawidłowości, a gdy cokolwiek wypatrzył, tropił zaciekle niczym pies węszący za narkotykami. Wnikał w każdy problem, nic nie zdołało się schować przed jego czujnym, gospodarskim okiem. Prześladował, dręczył, badał, inwigilował, aż resort funkcjonował bez zarzutu.

Był wszędzie, znał wszystkie tajniki wszystkich podległych mu instytucji. Czy był to dział kolejnictwa, dróg, mostów, nadzoru budowlanego lub mieszkalnictwa – Kwaśniak sprawował nad nim ścisłą kontrolę. Gdy zauważył, że ktoś mu się opierał, dyskutował, a nie daj Bóg kwestionował jego kompetencje, tak długo go osaczał, badał, sprawdzał, przepytywał jego podwładnych, przeglądał wydatki, wyniki, rezultaty pracy, aż w końcu zawsze udawało mu się znaleźć jakąś lukę, jakiś feler i wtedy natychmiast takiego delikwenta utracił.

Prędko osiągnął planowany cel. Bano się go panicznie. W Ministerstwie Infrastruktury nic nie działo się bez jego wiedzy. Ludzi tak zaszachował, że jak wchodził do pokoju, trzęśli portkami. Jedni donosili na drugich, jedni drugim patrzyli na ręce i choć ministerstwo chodziło jak szwajcarski zegarek, to i tak trup słał się gęsto.

Nikt, nawet najlojalniejszy wazeliniarz, nie mógł czuć się bezpieczny.

W styczniu do Kwaśniaka łąsił się Rzepka, dyrektor transportu kolejowego. Najpierw Kwaśniak zdawał się mu sprzyjać, darzyć sympatią. Zatrudnił nawet jego syna na urzędniczym stanowisku, choć chłopak cierpiał na fobie społeczne i miał tylko parę klas podstawówki. Potem coś ich poróżniło i Rzepka znalazł się na cenzurowanym. Traf chciał, że PKP zakupiło felerne podkłady kolejowe za zawyżone sumy i sprawa wyciekła do prasy. Gawiedź domagała się krwi, więc, niewiele myśląc, Kwaśniak pozbył się Rzepki.

Na kadry padł blady strach. Wszyscy pracownicy latali do Kwaśniaka do gabinetu na długie rozmowy za zamkniętymi drzwiami, w trakcie których składali liczne donosy, a ten nie w ciemną bitą urodzony przywódca – we własnym mniemaniu istny Talleyrand – robił z tego odpowiedni użytek.

Beacie to się nie podobało, ale ostatnio Mirek tak obrósł w piórka, że nie mówiła mu szczerze, co myśli. Ich relacja starszej, mądrzejszej, doradzającej młodszemu, który dopiero wciąga się w sprawy, dawno uległa zmianie. Liczyła, że wśród uroczej scenerii ciepłej wyspy uda jej się przywrócić dawne stosunki, bliskość, której łaknęła. Sądziła, że gdy to nastąpi, dotrze do niego, przemówi mu do rozumu. Teraz płaciła za swoją naiwność, za myślenie życzeniowe. Na Boga, byle tylko udało jej się z tych wakacji wrócić cało!

Wszystko zaczęło się nagle na lotnisku, do którego dotarli przecież we względnie dobrym nastroju. Już po odprawie bagażowej ktoś zadzwonił do Mirka na komórkę. Przezorny i podejrzliwy jak zwykle, odszedł od Beaty parę kroków, by znaleźć się w odosobnieniu. Przycisnął telefon do ucha, słuchał w najwyższym napięciu, gwałtownie pobladł. Gdy się rozłączył, mogłoby się zdawać, że przebywa na innej orbicie. Szedł po płycie lotniskowej sztywny, jakby kij połknął, wydawało się, że nie wie, gdzie się znajduje, sprawiał wrażenie człowieka, któremu wymordowano pół rodziny. Niespokojnie dopytywała, co, na Boga, się stało! Nie odpowiadał. Przerazona, prosiła, błagała, by wyjaśnił, co zaszło, ale on opędzał się od niej jak od natrętnego owada.

Szli tak jakiś czas, on przodem, ona uczepiona jego rękawa, ze łzami w oczach. Opamiętała się dopiero, gdy zauważyła, że ludzie zaczęli się za nimi oglądać, przypomniała sobie, że mieli trzymać dystans. Chyba on też na moment o tym zapomniał, więcej, zapomniał nawet, gdzie i z kim przebywa, dokąd i po co zmierza.

Teraz Beata uświadomiła sobie, że tylko dlatego, iż był tak oszołomiony, w ogóle wszedł na pokład samolotu. Był jakby w innym świecie, pochłonięty myślami. Zauważyła, jak się zląkł, gdy stewardesa poprosiła o karty pokładowe.

Gdy tylko zajęli miejsca w samolocie, natychmiast wysupłał z kieszeni zmiętą chustkę do nosa, a z niej wyłuskał dwie białe pigułki, które połknął bez popijania. Potem wpatrywał się w okno, pocierał dłonie, aż bladły mu kostki. Schowała twarz w szal, nic już do niego nie mówiąc, o nic nie pytając, wyrzucając

sobie jedynie, że w ogóle pomysł wyjazdu przyszedł jej do głowy. Dopiero po półgodzinie, gdy zauważyła, że stewardesa zaczęła roznosić napoje, odwróciła się w jego stronę i oniemiała. Zasnął, i to tak prędko, po takich emocjach! Z głową niewygodnie skrzywioną, wspartą o kanciaste okno, drzemał z uchylonymi ustami.

Czas mijał, a on pogrążył się w głębokim śnie, pozostawiając Beatę na pastwę nieprzyjemnych podejrzeń. Obudził się dopiero na pół godziny przed lądowaniem, wciąż nieobecny duchem, odpychająco milczący. Przy włączonym nakazie zapięcia pasów zniecała wstał, na ostatnią chwilę chciał pójść do toalety. Gdy go przepuszczała, spostrzegła, że pod pachami ciemniały mu dwie niepokojąco wielkie plamy potu. Już nie zamierzała dalej prosić, by jej cokolwiek wyjaśnił, milczała zrezygnowana, obserwując, jak chwiejnym krokiem oddalał się w stronę toalety. Siedząca przed nimi rodzina najwyraźniej rozpoznała w nim ministra, pochylili ku sobie głowy, wymieniając szeptem uwagi.

Ten widok przywrócił Beatę do równowagi. Chociaż jedno z nich powinno lepiej nad sobą panować. Usiadła prościej, znów wtulając twarz w miękki szal i usiłując nadać myślom właściwe proporcje.

Do hotelu dotarli taksówką, w, jak jej się zdawało, osobliwie wrogim milczeniu, wymieniając tylko podstawowe uwagi co do meldunku w hotelu, opłat, kart kredytowych. Tę lakoniczność wypowiedzi narzucał Mirek. Zaczęła odnosić wrażenie, że nie był już taki zagubiony, zdawał się zbierać w sobie. Poprzedni stan zastąpiła groźna determinacja.

Gdy weszli do apartamentu, a boy hotelowy zniknął za drzwiami, natychmiast wyjął papierosa, a następnie wyszedł na balkon, gdzie rozmawiał przez telefon komórkowy bite pół godziny. Z jaskrawo oświetlonego wnętrza, siedząc sztywno na skórzanej sofie, Beata niespokojnie obserwowała pozostający w ciągłym ruchu czerwony żarzący się punkcik.

Kiedy Mirek wrócił, baczny spojrzeniem omiółł pomieszczenie. Najwyraźniej szukał teczki z laptopem, bo gdy ją zlokalizował, wyszarpnął z niej komputer. Świdrował wzrokiem apartament, wypatrując kontaktu, po drodze trącając piękne pozłacane meble, jakby ich nie dostrzegał. Padł na czworaka pod stylowe biurczko, uderzył o nie głową, o mało nie zrzucając dostojnie wyglądającej lampki, znalazł tam gniazdko, chwilę się z nim mocował.

Wszystkie jego ruchy były tak nerwowe, że ów jego lęk zaczął się udzielać Beacie. Nie mogąc tego dłużej znieść, niemal krzyknęła, by natychmiast wyjaśnił jej, o co chodzi. Przyjechał na wakacje i nawet nie rozejrzy się po apartamencie? W czym rzecz?

Obejrzał się na nią zdumiony, patrzył nierozumiejącym wzrokiem, jakby zapomniał o jej obecności. Po namyśle usiadł naprzeciwko. Założył nogę na nogę, chwilę się jej przyglądał, wzrok jego odzyskiwał ostrość i głębię, jakby dopiero teraz wracała mu świadomość. Wraz ze zrozumieniem spojrzenie Mirka nabierało

nieprzyjemnego, jakby szyderczego wyrazu; omiatał nim Beatę oraz przestrzeń wokół niej. Nagle wyrwał z kieszeni paczkę papierosów, nonszalancko zapalił, rzucił paczkę i zapalniczkę na szklany stół. Hałas naruszył nobliwą przytulność zasobnego apartamentu.

– Chcą mnie przymknąć.

Słowa te wypowiedział z gorzką ironią, niemal wyzy-wająco.

Beata poruszyła się na sofie, na jej twarzy malowało się niedowierzenie.

– Kto chce cię przymknąć? Za co?

– Próbują mnie zrobić.

Stwierdzeniu temu towarzyszyło gwałtowne, jakby kompulsywne wzruszenie ramion.

– W jaki sposób chcą cię zrobić?! – uniosła się Beata. – I niby kto?

– Kaźmierczak. A któż by inny? Nie zauważyłaś, że twój mentor wynosi ludzi na wysokie stanowiska po to, by ich potem pogrzebać?! – rzucił gniewnie i wlepił w nią niespokojny wzrok.

– Ale skąd ta pewność? Ktoś do ciebie zadzwonił? – indagowała Beata, patrząc badawczo na Mirka.

– Nikt nie powiedział mi tego bezpośrednio. – Kwaśniak zaśmiał się nieprzyjemnie, kręcąc głową nad naiwnością Beaty. – Na lotnisku dostałem informację, że na wniosek MSW przesunięto cholernie ważny przetarg, przyspieszono go, miał się odbyć za dwa tygodnie, a będzie za trzy dni.

Beata patrzyła nic nierozumiejącym wzrokiem, a on wlepił w nią triumfujące spojrzenie.

– Nadal nie pojmuję, co to oznacza.

– Specjalnie przesunięto przetarg na czas, kiedy mnie nie ma w kraju, rozumiesz wreszcie?! – w głosie Mirka pobrzmiwała tłumiona agresja.

– Przecież w twoim resorcie odbywa się mnóstwo przetargów. Czasem zmieniane są terminy, wiem to nie od dziś. Skąd przeświadczenie, że ta akurat, nie pierwsza przecież zmiana, ma coś wspólnego z tobą?

– To nie byle jaki przetarg. Nie mówimy o działce sołeckiej ziemi, cholera jasna! Chodzi o autostradę A8! To kurewsko ważne! Wiele kanalii będzie próbowało wywierać na komisję przetargową naciski, robić krecią robotę. Niezbędna jest najwyższa czujność, nadzór. A tymczasem tuż przed moim wylotem powiadają mi, że przesuwają przetarg akurat na środek, czyli wtedy, kiedy nie ma mnie w kraju! – Ostatnie słowa wykrzyknął z cynicznym uśmieszkiem na wykrzywionych wargach.

– Mirek, oszalałeś. Przecież tak się dzieje ciągle, w to jest zaangażowane mnóstwo osób. Skąd pomysł, by to miało być wymierzone przeciwko tobie?

– Raczysz żartować?

– Niby jak mógłbyś kontrolować przetarg, gdyby nawet ktoś na jakimś etapie

chciał kogoś korumpować? Jak miałbyś temu zapobiec?

– Bo jestem, cholera, przenikliwy, ludzie się mnie boją, bo jak ja bym tam był, nikt by się nie odważył. A tak podłożą mi świnię i jeszcze będzie na mnie.

– Uważasz, że ktoś specjalnie przesunął przetarg, żeby cię wkopać?

– Nie ktoś! Twój przełożony – krystaliczny Kaźmierczak!

– Po co by to robił? Co mu z tego przyjdzie?! – Beata podniosła głos, tracąc panowanie nad sobą. – Jak miałby w ten sposób ciebie pograć? Ilu ludzi musiałby zaangażować w spisek!

– Naprawdę nie kapujesz czy udajesz taką naiwną?

– Co proszę?

– Chyba że bronisz go celowo?

– Oszalałeś?

Beata czuła, jak rumieniec oburzenia zalewa jej dekolt i wspina się na zaognione policzki. Mirek gwałtownie się poderwał, chwycił kabel i laptopa, po czym wyszedł z pokoju, trzaskając drzwiami, aż brzęknęły w pokoju szkła, pozostawiając ją wrośniętą w skórzaną kanapę.

Następnego dnia nie odzywali się do siebie nawet słowem, on siedział cały dzień w przyciemnionym salonie, wlepiając dziki wzrok w ekran laptopa. Śniadanie i obiad zjadła sama. Po południu wybrała się na długi samotny spacer. Mijała mnóstwo par trzymających się za ręce, żal jej było urody wyspy. Podziwiać egzotyczną scenerię w samotności, to odejmować temu miejscu połowę uroku. Po kobiecemu chwiejna, zastanawiała się, czy aby nie puścić Mirkowi tego wszystkiego w niepamięć. Przez głowę przebiegały jej różnorakie usprawiedliwienia dla jego paranoi. Był na świeczniku, miał stresy, może należało lepiej zrozumieć jego sytuację. Pod wieczór była zdeterminowana się pogodzić, nawet gotowa pierwsza wyciągnąć dłoń, choć nie miała wątpliwości, że wina leżała po jego stronie.

Po dwóch aperitifach wypitych nad basenowym barem, które usposobiły ją bardziej koncyliacyjnie, zapragnęła wrócić do apartamentu, do Mirka, całkiem zde gustowana samotną bytnością w hotelowym ogrodzie.

Chciała namówić go na zjedzenie wspólnej kolacji, a potem na konstruktywną, oczyszczającą atmosferę rozmowę. Na Boga, przecież on nic nie miał w ustach, od kiedy wsiedli do samolotu. Nie schodził na żadne posiłki, biegał tylko od apartamentu do recepcji, gdzie był zasięg internetu. To stamtąd słał setki maili.

Kir royal jeszcze szumiał jej w głowie, gdy pełna najlepszych nadziei jechała połączoną windą na trzecie piętro. Otworzyła drzwi swoją kartą, spodziewając się zastać Mirka, lecz po braku karty w czytniku zorientowała się, że nie ma go w apartamencie. Musiał być w hallu. Zawróciła do windy, która wciąż jeszcze czekała na piętrze.

Elegancki hall na nowo olśnił ją kolonialnym przepychem, pałacowymi arkadami, łukowatymi sklepieniami wykonanymi z egzotycznego drewna i ciężkimi solidnymi meblami. W tle pobrzmiwała słodka muzyka skrzypcowa, drobinki kurzu tańczyły w promieniach zachodzącego słońca, wdzierających się przez ażurowe zdobienia.

W hallu dostrzegła wpatzonego w ekran komputera, na wpół uśpionego recepcjonistę, dalszą kanapę zajmowały dwie starsze panie przeglądające w skupieniu repertuar miejscowej operetki. Co i raz wymieniały uwagi cichym jak skrobanie myszy szeptem. Tyłem do wind, a przodem do wejścia, z laptopem na kolanach, na kanapie tkwił Kwaśniak. Cała jego sylwetka była naprężona, spięta. Usztywnionymi palcami stukał w klawiaturę, dobywając dźwięk, przypominający serie z karabinu maszynowego

Chciała zająć go z tyłu, by zrobić mu niespodziankę, zakryć mu dłońmi oczy, szepnąć do ucha „kuku”. Skradała się na palcach, gotowa zdobyć się na najczulszy gest, który bez dalszych zbędnych tłumaczeń zakończyłby ich bezsensowny spór. Bezszelestnie pochyliła się nad oparciem kanapy, wspierając się o poduchy brzuchem i nachylając nad Mirkiem, wyciągając dłonie do jego twarzy.

Musiał coś usłyszeć, wyczuć, zarejestrować kątem oka. Wykonał niespodziewany obrót w jej kierunku z szybkością atakującej kobry. Rzucił się jak fryga, lewą ręką zatraskując laptopa, a prawą osłaniając się jakby przed atakiem. Wysunął łokieć, a odwracając się, uderzył ją tym wysuniętym łokciem prosto w miękką pierś. Jednocześnie z całej siły huknął butem w dębowy stolik do kawy, który podskoczył z głuchym brzękiem, wybijając w górę stojącą na nim filiżankę, cukiernicę i łyżeczkę, a padając z powrotem, gruchnął z brzękiem naczyń w mozaikową posadzkę.

Siedzące na sąsiedniej kanapie starsze panie zamarły, Beata stłumiła okrzyk bólu, łapiąc się za bolącą pierś, Hiszpan szeroko otworzył oczy, zdezorientowany, jakby nie wiedząc, gdzie się znajduje, najwyraźniej wyrwany tym hałasem z odległych sennych rewirów.

Zawstydzona, upokorzona, nie patrząc na oniemiałych świadków zdarzenia, Beata wycofała się do windy, pozostawiając sprawcę zajścia tam, gdzie go zastała. Potem leżała w wannie, próbując uśmierzyć ból ciepłą wodą, wymoczyć fioletowy siniec, podczas gdy on co i raz pukał w drzwi, wyrażając coś w rodzaju obrażonej skruchy.

Nie odpowiadała na jego nagabywania, nie zwracała uwagi na szarpanie klamką. Makijaż płynął jej po twarzy, zanurzyła głowę w wodzie i otarła zapuchnięte od płaczu oczy.

Tego wieczoru położyła się w osobnej sypialni, znajdującej się na pięterku tuż obok sypialni małżeńskiej. Spała niespokojnie, wciąż budzona odgłosami telewizora grającego z niższego poziomu niemal na cały regulator. Oglądał Polsat,

wyraźnie słyszała charakterystyczny dzingiel. Zdawało jej się, że trwało to do rana. Zbudziła się zmęczona. Na dole panowała cisza.

Zamierzała zejść na śniadanie, spodziewała się, że w końcu zgasił telewizor i usnął na kanapie, i teraz najprawdopodobniej nadal tam leży. Rzeczywiście telewizor był zgaszony, lecz Mirka na kanapie nie było. W cienkim podkoszulku wyciągnął się w leżaku na tarasie, popijając kawę i paląc papierosa, choć nie było jeszcze ósmej. Niezdecydowana, Beata stanęła przy przesuwanych drzwiach, prowadzących na taras, gryząc paznokcie.

Z tej perspektywy widziała jego plecy, zdawały się wychudzone, wymizerowane. Przypomniały jej się jego przeprosiny, poczciwe serce nie pozostało niewzruszone, wydało jej się, że palił, bo bał się, że się pogniewała.

Z mieszanymi uczuciami postanowiła udać, że przeprosiny przyjęła, i choć nie miała wielkiej chęci na rozmowę, postanowiła zachowywać się tak, jakby nic się nie stało, przejść nad tamtą sytuacją do porządku, a przynajmniej udawać, że mu wybaczyła, tylko po to, aby nie tkwić dłużej w napiętej atmosferze.

Odsunęła drzwi, wyszła na zewnątrz. Zagaiła do niego, upomniała, że siedzenie na wietrze w samym podkoszulku grozi zapaleniem płuc. W ten oto sposób zaczęli ostrożną rozmowę i w nastroju pozornej zgody zeszli razem na śniadanie.

Z początku Kwaśniak, najwyraźniej wstydząc się wczorajszego incydentu w hallu, zachowywał się w sposób powściągliwy. Wprawdzie podczas śniadania jadł niewiele, ale zdawał się w miarę spokojny, zrównoważony. Mówił na tematy obojętne, kulturalnie popijał herbatę, zjadł pół rogalika z budyniem.

Zdawał się nad sobą panować, dopóki siedzieli w restauracji w otoczeniu gości hotelowych. Jednak wkrótce zachciało mu się palić, poprosił, żeby wyszli na nasłonecznione patio i zasiedli w cieniu wielkiego białego parasola. Tam, uwolniony od ciekawskich spojrzeń, niemal natychmiast powrócił do niebezpiecznego tematu. Jak się okazało, całą noc oglądał Polsat, bo czekał na rozstrzygnięcie przetargu. Zdumiona Beata spytała go, czemu po prostu nie zadzwonił do odpowiedniego departamentu, by udzielili mu informacji. Przecież wciąż gdzieś telefonował, mailował. Była przekonana, że w tej sprawie. Czemu chciał usłyszeć tę informację z telewizji?

Odpowiedź Kwaśniaka, choć zastanawiająca, jeszcze wtedy nie wzbudziła w niej podejrzeń. Stwierdził, że nie mógł nigdzie dzwonić, bo jego nadmierne zainteresowanie przetargiem odebrane zostałoby natychmiast jako dowód na udział w czymś podejrzanym. Był przekonany, że każda jego rozmowa była podsłuchiwana. Owszem, mailował gdzie popadnie, ale celowo w innych sprawach, by nikt nie przypuszczał potem, że specjalnie interesował się tamtym przetargiem.

Maskując zdziwienie, zasugerowała najspokojniej, jak umiała, by połączył się z dyrektorem Generalnej Dyrekcji Dróg Krajowych i Autostrad z telefonu

hotelowego, stacjonarnego. Ten przecież nie mógł być na podsłuchu, skoro nikt nie miał pojęcia, gdzie się wybierali.

Ta propozycja tak rozbawiła Mirka, że wybuchnął nieprzyjemnym, dudniącym śmiechem. Otóż był przekonany, że każdy jego ruch jest pilnie śledzony, że „wiedziano” o ich bytności na Kanarach, iż wręcz „czekano” na taki nierozważny telefon. Owszem, chciał się dowiedzieć o przetargu, wynik dałby mu pewien pogląd na sprawę i rzucił światło na to, czy rozstrzygnął się uczciwie, czy nie. Przyznał, że miał przecieki na temat pewnych firm, zwłaszcza ta chińska zdawała mu się podejrzana. Gdyby wygrała chińska, od razu wiedziałby, czyja to robota, kogo zdołano skorumpować.

Wtedy przypomniała mu, że rozstrzygnięcia wszelkich przetargów są umieszczane w internecie na stronach rządowych. Jak się okazało, wiedział o tym, wypatrywał informacji, ale jeszcze jej nie umieszczono, choć minęło osiemnaście godzin od rozstrzygnięcia. Właśnie ten fakt wydawał się Mirkowi bardzo niepokojący, znamienity; był przekonany, że robione to było celowo.

Usłyszawszy to, Beata doszła do wniosku, że dłużej nie potrafi udawać. Ostro zaoponowała przeciwko możliwości istnienia tak szeroko zakrojonego spisku, na co Kwaśniak z niemal masochistyczną żarliwością podjął ten najwyraźniej leżący mu na sercu wątek. Czy nie dziwiła jej cisza w mediach? Czy nie sądziła, że specjalnie nakazano milczenie, by sprowokować go do jakiegoś ruchu?

Z początku rozbawiła ją ta niedorzeczność. Czyżby serio uważał, że ktoś tym sterował zakulisowo? Zmusił media do milczenia, by wywierać na niego wpływ? Chciała go uspokoić, wyśmiewając taki nonsens, lecz, o dziwo, ciągnięcie tej dyskusji drażniło Mirka, zamiast go tonować.

Nie trafiały do niego żadne argumenty, zbladł, zaczęły trząść mu się ręce. Gwałtownie zapragnął wrócić do apartamentu, chciał pilnie śledzić telewizję, uparł się, że zaraz podadzą rozstrzygnięcie – zawsze robili tak w programach gospo-darczych. Wymieniał nazwy lubianych audycji, niepokoił się, że tak nieliczne dostępne były w tym kosz-townym skądinąd hotelu – skoro mieli tyle kanałów niemieckich, to czemu polskich zaledwie kilka? Uznał, że było to nieprzypadkowe, zdawało mu się podejrzane, iż były tylko kanały z politycznego „nadania” oraz te zależne. Zastanawiał się nawet, czy aby ktoś czegoś tu nie odłączył na ich przyjazd, bo kiedy bawił na Rodos w hotelu o gwiazdkę gorszym, miał pełen dostęp do kanałów informacyjnych o różnicowanej orientacji.

Po powrocie do apartamentu znów zasiadł przed telewizorem. Z filiżanką kawy tkwił nieruchomo, wpatrując się w wiadomości nadawane przez Polsat.

Zmęczona i zaniepokojona tym grającym na cały regulator telewizorem, Beata postanowiła iść na basen. Tam, przeglądając magazyny kobiece i popijając kolorowe drinki, zdołała odzyskać jaką taką równowagę.

W porze lunchu postanowiła do niego zajrzeć, z nadzieją, że oprzytomniał, znudził się tym daremnym czekaniem, iż wreszcie zechce się oderwać od telewizora, wyjdzie zaczerpnąć powietrza, a to rozjaśni mu w głowie. Gdy tylko otworzyła drzwi, zrozumiała, że była w błędzie.

W pokoju panował niemiłosierny zaduch, Kwaśniak zdawał się odpalać jednego papierosa od drugiego. Siedział na kanapie po turecku, przed głośno nastawionym telewizorem, w spodniach od dresu i kraciastej koszuli, patrząc w ekran z niesłabnącym napięciem. Gdy weszła do salonu, by uchylić okno, zerknął na nią porozumiewawczo i wskazując głową ekran, mruknął:

– Śpiewa jak z nut. Dokładnie, co mu kazano.

Beata z niepokojem skierowała wzrok na znanego prezentera Polsatu, który przeprowadzał wywiad z jakimś biznesmenem.

– Zajmują czas antenowy, czym mogą, byle najważniejszych dla kraju informacji nie podać. A jakie bezczelne uśmiešky mają! Wiedzą, że wszyscy się na nich poznali, ale co im kto robi, skoro mają wytyczne, co mówić i robić. Oj, poczekaj ty, poczekaj! – Mirek zwięził oczy w szparki i mierzył prezentera przenikliwym spojrzeniem, uśmiechając się przy tym złowieszczo.

Wieczorem kolację jadła sama, rozszerzonymi oczami wpatrując się w kotlet. Po głowie zaczęła jej błądzić myśl, by porozmawiać na ten temat z Kaźmierczakiem, ale zaraz odegnała ją czym prędzej jako dowód na nielojalność. Myśl o doniesieniu na własnego kochanka do kolegi partyjnego była nieprzyjemna jak drapanie paznokciami po szkolnej tablicy. Budziła lęk, odrazę, obrzydzenie, fizyczny wręcz ból.

Zgnębiona, powróciła do ich wspaniałego apartamentu, który nosił dumne imię Vasco da Gamy.

Osnuty zasłoną dymną, Mirek nadal tkwił przed telewizorem, tyle że teraz w towarzystwie butelki Jacka Danielsa. W pokoju źle pachniało. Beacie przypomniało się, że ani razu nie widziała, by on się mył. Wlewał w siebie kawę albo zażywał jakieś leki – cholera, co on wciąż brał? – albo palił, a nawet pił.

– Mirek, weźże kąpiel! – rzuciła, stając koło okna balkonowego i łapiąc świeże powietrze. Z tej perspektywy widziała jego zaostroszony profil. Chyba jej nie usłyszał. Siedział bez ruchu, wlepiając wzrok w ekran. Twarz mu zastygła, jakby pod wpływem dziwacznej fascynacji. – Mirek! – krzyknęła przestraszona tym katatonicznym bezruchem.

W telewizji nadawano program o inwestowaniu w energię odnawialną. Kwaśniak uśmiechał się ironicznie i od czasu do czasu dorzucał z przekąsem uwagi w rodzaju: „Jasne”, „Akurat”, „Dobro planety”, „Na czym pasku chodzisz, błażnie?”.

Beata usiadła obok i próbowała czytać, lecz to ciągłe odzywanie się do telewizora, szydercze śmieszki i przybieranie dziwacznych min zaczęło ją

niepokoić. Inna kobieta na jej miejscu podejrzewałaby niejedno. Tymczasem ona postanowiła niewzruszenie trwać na posterunku, tłumacząc całe to zachowanie Mirka odreagowaniem stresu.

Mijał kwadrans za kwadrans. Mirek ożywał się co pół godziny, w czasie nadawania wiadomości. Palił wtedy zajadle, dolewał sobie whisky, lecz za każdym razem czekało go rozczarowanie. Beata usiłowała sobie przypomnieć, ile razy słyszała, że w wiadomościach podawano, jakie firmy wygrały publiczne przetargi. Nie bez ulgi uprzytomniła sobie, iż faktycznie tak się zdarzało. Rzeczywiście, wyniki ważnych przetargów bywały komunikowane, tyle że najwyraźniej nie tym razem.

Minęły kolejne wiadomości i wciąż ta cholerna informacja się nie pojawiła.

Tymczasem Mirek bardzo zbladł. Złośliwe uwagi ustały, w straszliwym napięciu wpatrywał się w telewizor, zachowując milczenie.

Beata wciąż tkwiła na sąsiedniej sofie, udając, że czyta, obserwując go dyskretnie, niby mimochodem. Wpadło jej do głowy, by wyjść z salonu i zamknąć się na klucz w małej sypialni, ale niepokoiła ją myśl o zostawieniu go w tym stanie samego.

Wolała więc być obok niego, jakby stać na posterunku, by w każdej chwili zareagować, być w pogotowiu zależnie od rozwoju sytuacji. Szóstym zmysłem wyczuwała nieustannie wzrastające w Mirku napięcie, odzywał się coraz mniej, pił coraz więcej i nawet nie rzucał już w jej kierunku żadnych cynicznych uwag.

Po kolejnych wiadomościach nadanych o wpół do dwunastej bez śladu wzmianki o przetargu na budowę A8, Mirek nie wykonał żadnego ruchu. Przeżrana Beata również patrzyła w telewizor i tkwili tak w milczeniu, które z minuty na minutę zdawało się jej coraz cięższe, coraz bardziej brzemiennie w ukryte znaczenia.

Panująca między nimi cisza nie była przypadkowa. Ona nie podzielała jego dziwacznych urojeń, więc postanowił więcej się nimi nie dzielić. W odpowiedzi na jej wzrastającą niechęć, u niego też gromadziła się niechęć i nagle oboje mieli siebie serdecznie dosyć – przynajmniej Beata tak to odczuwała. Do tego zaczęło jej się zdawać, że Mirek był tak nabuzowany złością, iż dawno już powinien dać jej upust, tymczasem siedział cicho, niczym bliski erupcji wulkan, zaledwie dymiący, a wewnątrz kipiący pokładami wrzącej lawy.

Sama z kimś takim i znikąd ratunku. Na myśl przyszedł jej Kaźmierczak, potem mąż. Mikołaj! Do pewnego momentu nie mieli przed sobą tajemnic, ze wszystkiego mogła mu się zwierzyć, a on zawsze był gotów nieść jej pomoc. Ale w tej sytuacji? Jak do tego doszło? Jak to możliwe, że sprawy zaszły tak daleko? Czemu z Mikołajem się posypało? A przecież czuła się przy nim bezpiecznie. Czemu jej było brak? Czy warto było ryzykować rodzinne szczęście dla paru chwil namiętności z tym, jak się teraz okazywało, kompletnie obcym jej mentalnie

człowiekiem?

Dopiero teraz zdała sobie z tego sprawę. Tak, był jej kompletnie obcy. Nie miała pojęcia, co czuł, co myślał. Właśnie. Co on sobie w ogóle myślał. Czy zdawał sobie sprawę z tego, jak ona się teraz czuje, że niemal się go obawia? Jak mógł tak zawieść jej zaufanie? Z goryczą myślała o dawnych dobrych chwilach, o jego zaletach, tych, którymi ją ujął, które kazały jej skrócić z dawno wytyczonej ścieżki w gęsty ciemny las.

Wizje wracały i odchodziły, rozumiała motywy swojego postępowania, a potem znów przestawała je pojmować i tłumaczyła sobie to wszystko od nowa. Telewizor grał monotonnie, czas mijał, Kwaśniak milczał. Głowa wahała się jej na pierś, z krótkiej drzemki wyrwał ją kolejny wściekły dżingiel. Znów zerknęła bacznie na pozostającego w bezruchu Mirka, lecz ten siedział jak skamieniały. Coraz trudniej jej było walczyć z sennością, wyczerpany nerwami organizm odmawiał posłuszeństwa, odpływał w przynoszący ukojenie niebyt.

Oczy Beaty zaczęły się przymykać, zawisła gdzieś między jawą a snem. Ach, były przecież z Kwaśniakiem i cudowne chwile, nie powinna była sądzić siebie samej tak surowo, tak się biczować, nie należało potępiać wszystkiego w czambuł. Czemu miałyby się to tak kończyć? Dlaczego kończyło się w taki obrzydliwy sposób?

Och, gdyby opadła ta zła aura, która wraz ze stojącym w powietrzu dymem papierosowym zagęszczała powietrze tak, że niemal nie było czym oddychać. Gdyby wstał z kanapy i podszedł do niej, by ją przytulić z dawnym wyrazem twarzy, tym rozkochanym, czułym, oddanym.

I gdy tak bujała w niebycie, wykończona nerwami, wyczerpana czekaniem, naraz kątem oka ujrzała, że rzeczywiście Mirek się podnosi i ku niej zwraca. Jego twarz znów jest piękna, oczy błękitne, fałdki wokół nich jakby zastygłe od częstego uśmiechu, wąskie, lecz kształtne usta, lekko garbaty długi nos – wszystko tak swojskie i bliskie znów było na wyciągnięcie ręki.

Zbliżał się do niej, przysuwając się na kanapie.

Teraz i ona odwzajemniła uśmiech – radosny, beztroski, uwodzicielski. Rozpromieniła się, wyraz udręki zniknął z twarzy bez śladu, usta rozchyliły się, wyczekując pocałunku. A więc i on pragnął pojednania. Ufnie wyciągnęła do niego ramiona. On objął ją lewą ręką w pasie, a drugą sięgnął za jej głowę w stronę, gdzie za kanapą stała żeliwna lampka. Uszczęśliwiona jego bliskością, Beata przymknęła oczy, otwierając usta szerzej, gotowa na gorący pocałunek pojednania.

Wtedy usłyszała chrobot, brzęk – suwanie czegoś ciężkiego po blacie. Uchyliła powieki w ostatniej chwili, by zobaczyć, jak ta uśmiechnięta piękna twarz zmienia się w ohydną, nienawistną, wargi wykrzywają się wściekle, obnażając pokrzywione zębiska, nozdrza się rozszerzają, oczy zaciskają w dwie wąskie szparki, ich dobrotliwy, łagodny wyraz zmienia się nie do poznania, a ręka z lamką

unoszą się nad jej głową, by wziąć mocny krótki zamach...

Dał się słyszeć huk, brzęk tłuczonego szkła, jakby w pokoju eksplodował ładunek wybuchowy. Ocknęła się ze snu, poderwała do siadu, serce tłukło się jej tak, że pierś gwałtownie falowała.

Ogromny telewizor pod ciężkim uderzeniem runął ze swojego mocowania, z hukiem trzasnął w stojącą pod nim konsolkę, a stamtąd na podłogę, gdzie rozbił się na kilka części. Wokół leżały skorupy szkła roztrzaskanej lampki. Beata w sekundę była na nogach, omiotła spojrzeniem przydymiony salon.

Sekunda obserwacji już pozwoliła jej zrozumieć, co się stało. Sen tylko po części był projekcją zmęczonego umysłu. Mirek musiał cisnąć lampą w telewizor. Teraz przestraszony tym, co zrobił, stał na równych nogach, trzymając się oburącz za głowę, zakrywając twarz, kwiląc jak dziecko.

Tkwiała w przerażeniu dłuży czas i dopiero zdecydowane pukanie do drzwi apartamentu Vasco da Gamy przywróciło Beacie przytomność umysłu.

Wiatr znad oceanu przyniósł zapach portu, ryb. Beata odgarnęła włosy z twarzy, związała je w koński ogon. Tylko dzięki jej roztropności hojnie okraszanej sutą łapówką obyło się wczoraj bez wzywania policji, a sprawa nie wylała się do prasy. W nocy nie zmrużyła oka. Choć zamknęła się na kluczyk w sypialni, zdenerwowanie nie dawało jej zasnąć.

Rano Mirek wstał skruszony, jakby odmieniony. Jak się niebawem okazało, na stronie ministerstwa wywieszono wyczekiwaną informację, zdawało się, dla niego korzystną. Była to pierwsza rzecz, którą zakomunikował Beacie, gdy zobaczył ją siedzącą na balkonie.

– Teraz mam pewność, że nikt przy tym nie mataczył – tłumaczył jej któryś raz z rzędu, a widząc jej powściągliwość, zreflektował się i czym prędzej przeprosił za wczorajszy, jak go nazwał – „incydent”.

Tłumaczył się skrajnym napięciem nerwów, głupotą współpracowników, zawiścią wrogów. Poprzednie milczenie zastąpiła egzaltowana paplanina. Nagle zaczął opowiadać z najdrobniejszymi detalami o obawach dotyczących firmy tureckiej. Wreszcie zaproponował, by zejść na śniadanie – zgłodniał jak wilk!

Jednak Beata nie zamierzała nigdzie iść. Całą noc planowała, że kiedy on wreszcie wyjdzie z pokoju i zostawi ją samą, natychmiast przetrząśnie jego rzeczy w poszukiwaniu leków, które zażywał. Myśl ta kiełkowała w niej od kilku dni, a dzisiejszej nocy stała się niemal obsesją.

Gdy Kwaśniak usłyszał, że nie jest głodna, zaczął ją namawiać, żeby choć zeszła na filiżankę kawy. Wymówiła się bólem głowy. Choć niechętnie, w końcu opuścił apartament.

Gdy tylko usłyszała charakterystyczny odgłos odjeżdżającej windy, ostrożnie

podeszła do drzwi i zamknęła je na łańcuszek, którego nie dało się otworzyć z zewnątrz. Co sił rzuciła się do łazienki, by spenetrować kosmetyczki. Ręce jej latały, kiedy delikatnie przekładała maszynkę do golenia, płyny, kremy, wodę toaletową. W końcu znalazła dwie fiołki z tabletkami – obie szklane, bez etykiety, a w środku tabletki – białe i niebieskie, ale bez nazwy handlowej. Cholera! A więc przełożył leki, żeby ukryć przed nią, co bierze. Coraz bardziej zdenerwowana ostrożnie na powrót ułożyła kosmetyki, aby się przypadkiem nie zorientował. Czarną skórzaną kosmetyczkę postawiła tak, jak jej się zdawało, że poprzednio stała. Po chwili wahania przesunęła ją głębiej pod umywalkę. Potem rozejrzała się uważnie, usiłując sobie przypomnieć, czy aby na pewno nic nie wyglądało na poruszone.

Zgasiła światło, na chwilę przystanęła w drzwiach salonu. Zdawało się jej, że winda znów zadzwoniła, jakby wróciła na piętro. Musiało to być jednak złudzenie, bo na korytarzu panowała cisza. Pobiegła więc na górę do sypialni, żeby zajrzeć do walizki, gdzie powinny być oryginalne opakowania. Przecież zżerał tych tabletek całe garście, skądś musiał je dosy-pywać, zresztą, zdawało jej się, że co i raz tam się zamykał, grzebiąc w szafach.

Odsunęła drzwi przesuwne. Walizka Mirka – czarny opasły samsonite – tkwiła na rozkładanym stołku, w głębi szafy wnękowej, jak straszliwy rekwizyt teatralny, niczym determinanta jej dalszego losu. Chwyciła ją w ręce, ostrożnie dźwig-nęła i przeniosła na łóżko. Otworzyła wieko. Oczom jej ukazały się równo poskładane swetry i koszulki polo, których Mirek nie wypakował. Delikatnie unosiła je czubkami palców, zaglądając głębiej, ale niczego nie mogła znaleźć. Rozczarowana i zarazem skrajnie spięta, w ciągłym pogotowiu, postanowiła zajrzeć do zasuwanej kieszeni. Wymacała kartonowe pudełko, wyciągnęła jedno. Rispolept! Rispolept – starała się zapamiętać nazwę. Chciała sięgnąć głębiej, czuła bowiem pod palcami więcej takich prostokątnych pudełek, ale nagle na dole usłyszała gwałtowne szarpnięcie drzwiami.

Drzwi otworzyły się na tyle, na ile pozwalała metalowa zasuwka, potem drewno huknęło w metal. Sparaliżowana strachem, Beata bezładnie wrzuciła opakowanie do kieszonki, zatrzęsła wieko, zamknęła walizkę, ponownie umieściła ją w szafie, usiłując bezszelestnie zasunąć drzwi. Potem frunęła niczym duch po drewnianych schodach, z sercem walącym jak młot, obracając w myślach tylko jedną kwestię – czy pudełko na pewno dostało się do kieszonki, czy nie wypadło z powrotem, gdy zarzucała wieko? Poprawiając włosy, zamknęła drzwi, by móc otworzyć łańcuch.

Mirek wszedł do środka, znać było po nim wzmożoną czujność.

– Zapomniałem telefonu – rzucił ostrożnie, wchodząc do salonu.

Rispolept. Rispolept!

Dopiero wieczorem przy kolacji, kiedy siedzieli nad butelką wina, spytał

zniecka:

– Czemu zamknęłaś się na zasuwkę, kiedy poszedłem na śniadanie?

Rozkład moralny

W Unitelu co miesiąc zwoływano zebranie całej firmy, w trakcie którego każdy dział mógł pochwalić się dokonaniem streszczonymi w krótkiej prezentacji powerpointowej. Spotkanie to odbywało się regularnie w ostatni poniedziałek każdego miesiąca o ósmej trzydzieści rano.

Był to zwyczaj troskliwie pielęgnowany i podtrzymywany. Biada pracownikowi, który pojawiłby się spóźniony, bowiem zebranie miało miejsce w sali, do której prowadził łącznik, swoisty szklany pomost, i każdy wchodzący po czasie był na nim widziany jak na dłoni przez wszystkich już tam zgromadzonych. Często uczestnicy zebrania zwracali głowy w stronę pomostu, by nie przegapić momentu, kiedy tamtędy przemukać będzie spóźniona ofiara. Jeżeli traf chciał, by tej samej osobie zdarzyło się to więcej niż dwa razy, można było śmiało typować ją do odstrzału. Wtedy zaczynało o niej wymieniać opinie, bliżej interesować się jej osiągnięciami lub częściej ich brakiem. Ogólnie dawało to asumpt do różnych dociekań, było więc też swoistym wydarzeniem towarzyskim.

Justysia, nieskazitelnie elegancka i trzymająca w dłoni *memory stick* z prezentacją działu marketingu, o ósmej piętnaście wyszła z sali konferencyjnej, aby napić się kawy. Idąc przez słynny pomost, konstrukcję, z powodu której czynsz w budynku podwyższono o 30 procent, z niepokojem zerknęła na zegarek.

Pozostał zaledwie kwadrans do rozpoczęcia zebrania, tymczasem Mati, który miał dokonać prezentacji w imieniu działu marketingu, nawet nie odbierał telefonu. Justysia przygotowała dwie kawy – dla siebie i dla niego – po czym wróciła do sali. Idąc przez szklany pomost, widziała, że wszyscy zajmowali miejsca. Wokół Rudego skakała niezmordowana Wiktoria niczym diabeł na nitce. Matiego nadal nie było. Zaniepokojona, szybko usiadła na wolnym krześle, jednocześnie zajmując Mateuszowi sąsiednie, przygotowaną dla niego kawą.

Wierzyła, że on zdąży, że się zjawi. Bo jak nie, ona będzie musiała wystąpić z prezentacją. Dyskretnie zerknęła w stronę pomostu, gdzie spodziewała się zobaczyć jego szczupłą sylwetkę, ale był to daremny trud. Matiego nie było.

Wiedziała, że miał trudny weekend. W piątek stawił się na spotkaniu w krakowskim ośrodku rodzinno-konsultacyjnym, gdzie odbyła się ponoć straszliwa jatka. Ze szczegółami opowiedział o tym Justysi przez telefon, dzwoniąc do niej o czwartej nad ranem w sobotę. Był kompletnie zalany.

Według jego relacji, do ośrodka razem z jego byłą żoną i synkiem przybyła budząca respekt babcia Pęksowa, która przez cały czas trzymała chłopca tak, aby nie mógł się nawet do ojca zbliżyć, a wszystko to działo się w jawnej zмовie z dwiema obrzydliwymi paniami biegłymi. Na podstawie opinii tych pań miała zostać przyznana opieka nad dzieckiem. Mati żywił poważne obawy co do uczciwości całego procederu. Twierdził, że ani razu się nie uniósł i do końca

zachował twarz, choć wszystkie te babole zachowywały się skandalicznie. Nawet nie odpowiadał na zaczepki babki Pęksowej, która otwarcie go atakowała, mówiąc przy dziecku, jakoby on „wcale nie chciał, by mały się narodził”. Właśnie to zdanie, powtarzane przy chłopcu kilkanaście razy, rozbiło psychicznie Matiego tak, że jeszcze tego samego dnia pojechał do Krakowa, gdzie spędził kilkanaście godzin w rozmaitych klubach.

Gdy rozmowa telefoniczna dobiegła końca, Justysia długo nie mogła zasnąć, zastanawiając się, jak ta historia się potoczy. Była niespokojna, nie przypuszczała jednak, że Mati będzie na tyle lekkomyślny, by spóźnić się na zebranie, na którym miał wystąpić. Tymczasem dyrektor sprzedaży kończył prezentację i jeszcze minuta, a to ona będzie zmuszona wyjść na środek zamiast szefa. Szykowała sobie w głowie, co miałyby powiedzieć, gdy nagle drzwi do sali konferencyjnej otworzyły się z głośnym trzaskiem. Wszystkie głowy zwróciły się w tamtą stronę, dał się słyszeć zdziwiony szmer.

Środkiem sali w kierunku Justysi nonszalanckim krokiem zmierzał Mati ze zwiniętym płaszczem, przerzucnym przez ramię. Jeden rzut oka wystarczył jej, by stwierdzić, że jest mocno wczorajszy. Wyraźnie w bojowym nastroju, niedbale ubrany, paradował środkiem sali z miną mówiącą: „coś się nie podoba?”.

Justysia momentalnie wstała. Gdy Mati się z nią zównał i wyciągnął rękę po *memory stick*, gdzie zapisali prezentację, syknęła mu w ucho:

– Siadaj mi tu w tej chwili albo między nami koniec na wieki.

Poczuła alkoholowy odór, którego nie była w stanie zakamufłować nawet mocna woda kolońska użyta przez Matiego. W jej cichym głosie musiało zabrzmieć tak mocne zdecydowanie, że grzecznie usiadł, a ona ruszyła ku podestowi. Widząc zdziwione spojrzenia, wypaliła:

– Mój szef jest wielkim rzecznikiem praw kobiet.

Wypowiedziawszy tę kwestię, znacząco mrugnęła w stronę Ma-teusza.

Ujęcie sprawy w ten sposób wywołało zbiorowy wybuch radości.

– Kazał mi więc wystąpić, bo choć doskonale wie, że nienawidzę prezentacji, nie znosi, jak zasługi działu prezentuje ktoś, kto nijak się do nich nie przyczynił.

Tu znacząco spojrzała w stronę Rudego, który dopiero co chwalił się osiągnięciami Duchamps'a. Ten ostatni zerknął na Justysię z uznaniem. Co jak co, ale cięty dowcip był tu jeszcze w cenie.

– Mimo że jak zwykle nasz osławiony *team* wspólnie nad tym pracował, tak się składa, że ja najwięcej się nad tym nabiedziłam. Zatem panie i panowie, oto co udało nam się wspólnie osiągnąć.

Wywoławszy wesołość na twarzach zebranych, Justysia mogła spokojnie kontynuować. Nawet gdyby połowę przeczytała ze slajdów, jej prezentacja i tak była skazana na sukces. Godzinę później było po wszystkim. Odszukała Matiego

w kantynie, gdzie ratował się, popijając kefir, ukryty za rozpostartą gazetą. Oprócz kucharza nikogo innego nie było w pomieszczeniu. Dosiadła się do jego stolika i znacząco chrząknęła.

– Kefirek o poranku?

Opuścił gazetę. Miał na nosie ciemne okulary. Dwudniowy zarost, dłuższe włosy i skórzana marynarka upodabniały go bardziej do gwiazdy rocka niż pracownika korporacji.

– Następnym razem surowo zabraniam ci mówić o mnie jako o rzeczniku kobiet – powiedział z łagodnym półuśmiechem. – Kobiety, te bestie wcielone, wcale nie potrzebują rzeczników. Opanowały budżetówkę: szkoły, urzędy i przede wszystkim sądownictwo rodzinne. Mają i tu zyskać specjalne prawa? Moja droga, w prywatnej firmie jeszcze nadal rządzi zdrowy rozsądek i pieniądz.

– Z przyjemnością stwierdzam, że trzeźwiejesz – odparła z czułym uśmiechem. Niestety, ta reakcja była poza jej kontrolą, bo za każdym razem kiedy go widziała, zdawał się jej chodzącym cudem, jakimś darem Pana Boga dla kobiet.

– Obawiam się, że nieuchronnie łączy się to u ciebie z napływem złego humoru.

– Tak. Muszę go sobie poprawić. – Temu stwierdzeniu towarzyszyło roześmiane spojrzenie posłane Justysi i wygodniejsze umoszczenie się na twardym plastikowym krześle.

Przez dłuższy czas patrzyli na siebie z miłą akceptacją.

Ach, mogłaby tak siedzieć z nim w tej kantynie godzinami i łapać się na jego drobne zaczepki, udając, że przeznacza je specjalnie dla niej, nie przyjmując do wiadomości, że on ma po prostu taki styl bycia. Rodzaj perseweracji, utrwalonego ornamentu, bez którego Mati nie umiał się komunikować. Atmosfera porannego rozleniwienia, intymności, sprzyjała leniwemu flirtowi, który niczego u niego nie oznaczał i do niczego realnego nie prowadził.

Nagle Justysia coś sobie uzmysłowiła.

– Mój Boże, ale ty wyglądasz! – wykrzyknęła.

Gdy podniósł ciemne okulary, przesuwając je na tył głowy, zobaczyła cienie pod jego oczami, a także niesamowitą bladość cery. Uświadomiła sobie, jak bardzo jest wymizerowany, wymęczony.

– Mati, co się dzieje? Co ty masz na sobie? – spytała, choć tak naprawdę wcale nie potrzebowała jego odpowiedzi. Zrozumiała, że najwyraźniej przyszedł tu prosto z jakiegoś klubu, czy może nawet z pociągu, którym dojechał z Krakowa po nieprzespanej nocy.

– Pieprzę to – odparł nie do końca logicznie i nieco desperacko. – Pierdolę ich. Dzięki mojej strategii komunikacyjnej obroty wzrosły o dwadzieścia procent w skali roku. Mogą mi naskoczyć na kant Waclawa. Mam prawo przychodzić w takim stroju, w jakim chcę. Jestem najzdolniejszym dyrektorem marketingu, jakiego zatrudniali, i mam ich w dupie. Jeżeli nadal chcesz ze mną gadać, to chodź

ze mną na taras, muszę zapalić papierosa.

Justysia ze zgrozą popatrzyła za okno. Na dworze padał deszcz ze śniegiem. Jednak po chwili stali na tarasie, osłonięci od wiatru. Mati palił, ona otulona marynarką, szczykała zębami.

– Nie wiesz, jak to jest – powiedział w końcu, patrząc przed siebie – gdy ma się świadomość, że twojemu dziecku co dzień kładą do łepetyny, że ty go nie chciałeś, a jego matce zrujnowałeś życie. Zarzucasz mi, że piję, ale jak myślę o tym na trzeźwo, to mam ochotę tę starą bigotę zadusić jej góralską chustą.

– Nic a nic cię nie żałuję – odparowała Justysia, wykonując dziwne ruchy, by się rozgrzać. – Mówiłam, że tak będzie, ale mnie nie słuchałeś. Złożyłeś broń, zanim zaczęła się bitwa.

– Nie umiem bić się z kobietą, daruj.

– Teraz też mnie nie słuchasz. Jakie płacisz alimenty?

– Dwanaście miesięcznie. A chciała piętnaście!

– To wyobraź sobie, co by było, gdyby cię wylali. Z czego weźmiesz?

– Dam sobie radę. Najwyżej pójdę gdzie indziej.

– Tak? A gdzie dadzą ci tyle kasy co tu, a do tego taką wolność? Nie ma drugiej takiej firmy.

– Nie można trzymać się czegoś ze strachu.

– O, ho, ho!

– Co „o, ho, ho”? – Mati uniósł brew.

– Słyszę nagle sformułowania, które ewidentnie nie są twoje własne. Kogoś mi to przypomina. Czyżbys nagle chciał iść w innym kierunku niż ten, na który ciężko pracowałeś wiele lat? – Ostatnie zdanie wypowiedziała prawie z wściekłością.

W tym momencie oboje się odwrócili i zobaczyli, że do kantyny wszedł Rudy wraz z asystującym mu, niemal całym w ukłonach Misiem. Wspólnie parzyli kawę, pogrążeni w jakiejś poważnej wymianie myśli.

– O! Pojawił się wreszcie ten skurwiel! – Mati z niesmakiem obserwował scenę, która rozgrywała się w środku.

Trudno ich było zauważyć, bo stali na zewnątrz w ciemnej szarudze poranka, natomiast jasno oświetlona kantyna była widoczna jak na dłoni. Justysia nie musiała pytać, o kogo szło, doskonale wiedziała, że mówiąc „skurwiel”, Mati miał tym razem na myśli Misia, nie Rudego.

– Coś mi się ten skurwiel ostatnio nie podoba – mruknął Mati, zaciągając się głęboko.

Justysia dygotała. Po wszystkim nie umiała powiedzieć, czy wtedy było jej po prostu zimno, czy też przeczuwała, co miało się za chwilę wydarzyć. Pamiętała tylko, że odczuła palącą potrzebę wciągnięcia Mateusza do środka i przynajmniej pozorowania, że robią coś związanego z pracą.

– Chodź już. Nie stójmy tu. Oni już poszli – ponaglała Matiego i niemal na siłę ciągnęła go do środka.

Wiedziała, że w jego gabinecie wisały dwie zapasowe koszule i chyba powinna się tam znajdować awaryjna marynarka. Zamierzała kazać mu się w to przebrać, potem zamknąć się z nim w mniejszej salce konferencyjnej i do końca dnia siedzieć nad danymi, które właśnie spłynęły. Wykorzystałoby pożytecznie czas, a przy tym mogłaby ukryć Matiego przed ciekawskimi spojrzeniami szefów i nie dopuścić, by w tym stanie, kiedy ziało od niego alkoholem, ktoś miał okazję z nim porozmawiać.

Na szczęście był tak wykończony, że łagodnie przystał na jej propozycję. Usiedli więc w przeszklonej salce, odpalili komputery, Justysia przyniosła dzbanek z kawą. Gorący aromatyczny płyn stawiał na nogi, cera Matiego pomału odzyskiwała normalny odcień.

Siedzieli odizolowani i choć było ich widać przez szklaną ścianę, nie było ich słychać. Dopóki nie zaśmiewali się i zachowywali w miarę konwencjonalnie, można było odnieść wrażenie, że rzeczywiście pilnie nad czymś pracują.

Justysia była tak zajęta Mateuszem, że nie zauważyła, iż pod drzwiami kilkakrotnie przechodził gniewnie wyglądający Miś, zerkając do środka i wyraźnie chcąc zwrócić ich uwagę. W końcu nie mogąc osiągnąć celu w sposób, jaki sobie umyślił, stanął w szklanych drzwiach i trzy razy stuknął o szybkę.

Mati podniósł na niego chłodne, niezbyt zapraszające spojrzenie, natomiast Justysia kiwnęła Misiowi głową, żeby wchodził. Jednak zanim to zrobiła, szybko otworzyła okno z prezentacją wyników, nadesłaną przez agencję badawczą, która wykonała dla nich *tracking* konkurencyjnych brandów.

Miś wszedł, coś w jego gestach świadczyło o ewidentnie wrogim nastawieniu.

– Przeszkadzam? – spytał nieco ironicznie, patrząc na Matiego.

Mati nie raczył się odezwać. Co też znowu było na rzeczy? Przecież ci dwaj byli naprawdę dobrymi kumplami.

– Nie, nie przeszkadzasz – odparła. – Przeglądamy *tra-cking*, bo potem znów będzie zapieprz na całego i zabraknie czasu. Jak chcesz, możesz się przyłączyć.

– Nie mam czasu na takie pierdoły.

Mati i Justysia jednocześnie unieśli głowy. Mati spojrzał na podwładnego morderczym wzrokiem, ale zgodnie z zaleceniami Justysi, postanowił do nikogo się dziś nie odzywać, w obawie, że język odmówi mu posłuszeństwa, albo, co gorsza, w poalkoholowej gorączce powie coś nieodwracalnego.

– Pierdoły? A czym ważnym jesteś zajęty? – zdziwiła się Justysia.

Określanie pierdołą czegoś, co właśnie wykonywał najbliższy przełożony, było brawurą albo zakrawało na wypowiedzenie wojny.

– Patrick poprosił mnie o to, o co Matiego prosił kilka razy, ale się nie

doprosił – bez cienia zażenowania wypalił Miś.

– To ty, kurwa, zamiast przypomnieć o tym Matiemu, zgodziłeś się za jego plecami?! – wykrzyknęła Justysia. Cienka bluzka, którą miała na sobie, musiała być ze sztucznego tworzywa, bo lekko zwilgotniała jej na plecach i pod pachami.

– Niczego nie robiłem za jego plecami. *Big boss* prosił i nie mógł się doprosić, więc zwrócił się do mnie. W czym rzecz? – Miś stał się mocno asertywny, żeby nie powiedzieć, bojowy. – Nie o tym chciałem pogadać.

– A o czym? – Mati odezwał się do niego po raz pierwszy, lecz nie oderwał wzroku od ekranu. Ostentacyjnie żuł gumę i klikał myszką.

– Już ty wiesz o czym. – Miś założył ręce na piersiach i stanął na szeroko rozstawionych nogach.

Justysia czuła, że zasycha jej w gardle, i sięgnęła po wodę.

Dwie dziewczyny z ich działu przechodziły za szklaną ścianą korytarzem. Widocznie coś w ogólnym obrazie sytuacji musiało im się wydać osobliwe, bo zamiast pozdrowić Justysię i szefa przez otwarte drzwi, w których jak posąg wciąż tkwił Miś, poszeptały między sobą i ze spuszczonej głowami minęły całą trójkę.

Zanim Justysia zdążyła cokolwiek pomyśleć, a tym bardziej zareagować, Mati wstał, z hukiem zamykając swojego macbooka i w towarzystwie Misia poszedł do swojego gabinetu. Po chwili głośno zamknęli za sobą drzwi. Księgowa drepcząc na wysokich obcasach, mijała korytarz i znów Justysia odniosła wrażenie, że cała ta sytuacja jest szeroko omawiana, obserwowana i komentowana. W związku z tym tylko kiwnęła uprzejmie głową na powitanie, a następnie wlepiła oczy w komputer, pozorując pracę.

O czym to Miś chciał rozmawiać z Mateuszem, wywołując go z sali w sposób tak kategoryczny, tak nie znoszący sprzeciwu? Nie miała pojęcia, czego to mogło dotyczyć, była bardzo niespokojna.

W końcu, nie mogąc usiedzieć dłużej, postanowiła pójść do automatu po kawę. Gdy tylko wyszła z salki i przybliżyła się

do gabinetu Mateusza, usłyszała stłumione odgłosy awantury. Mati i Miś krzyczeli, teraz słyhać to było bardzo wyraźnie. Spłoszona nalewała sobie kawy, jednocześnie rozglądając się, ile osób to usłyszało. Zauważyła tylko Benka Kapustę i Paulinkę, ale to wystarczyło. Powinna wejść i ukrócić awanturę, ale nie chciała okazać się wścibska.

Wtem przez taflę szkła ujrzała Rudego z papierami w dłoni idącego w ich kierunku szklanym pomostem. Na mur beton szedł do marketingu. Niewiele myśląc, szarpnęła za klamkę drzwi gabinetu Matiego, gotowa tym dwóm zakłajstrować usta. Jeszcze parę sekund, a Rudy sam otworzy drzwi i usłyszy krzyki. Z trzaskiem zamknęła za sobą drzwi, oparła się o nie plecami i zawołała bez tchu:

– Ciszej, chłopaki! Rudy tu idzie!

Stali o parę centymetrów od siebie, jakby mieli skoczyć sobie do gardeł.

– Gówno ci do tego! – obwieszczał właśnie rozsierdzony Mati.

– Tak? Jesteś pewny? – Miś zaciskał pięści, jakby chciał Mateuszowi przylać.

– A ja powtarzam, że gówno ci do tego, bo nie wiesz, co się tam u nich dzieje! – zawołał Mati.

– To ty, pierdolony lowelasie, nie wiesz, co się u nich dzieje! – Miś tracąc kontrolę, pchnął Matiego oburącz.

Mati trzymał się jednak mocno na nogach i tym razem to on, tyle że dwa razy mocniej pchnął Misia. Miś uderzył plecami o szafkę, puchary narciarskie Matiego zadygotały, jeden upadł z hukiem.

– Wiesz, że ona opowiedziała o wszystkim Gembie, a ten chciał się wieszać?! Wiesz to, kretynie jeden, lowelasie popierdolony?!

Mati wyraźnie chciał doskoczyć do Misia i zacząć go tłuc, ale Justysia wpadła między nich, złapała Matiego za koszulę i oznajmiła:

– Korytarzem zmierza tu Rudy z papierami, za trzy sekundy otworzą się drzwi.

Miś szarpnął się do tyłu, poprawił zmiętą koszulę i skierował się do drzwi, rzucając z nienawiścią:

– Nie ujdzie ci to na sucho!

– Spierdalaj do swoich obowiązków, tumanie jeden!

– Nie będziesz mi rozkazywał, frajerze.

– Gnój! Jestem twoim szefem, a jak to ci się nie podoba, to wyleję cię na zbity pysk. Gdyby nie ja, byłbyś zerem, pizzę byś nosił!

– Ni chuja będziesz mi szefował, frajerze.

Z tą groźbą Miś zniknął za drzwiami, zanim stanął w nich zdumiony Patrick i zawołał tak głośno, że słyszeli go wszyscy w marketingu:

– *What the hell is going on in here?*^[24]

Późną nocą Mati i Justyna siedzieli w wielkim ekskluzywnym salonie wynajmowanego przez Matiego mieszkania, przed zimnym kominkiem, w którym nie chciało im się napalić. Milczeli. Justysia chciała, by wytłumaczył się z redaktorowej, ale nie sposób było przycisnąć go do muru. Wszystko zbywał żartem i nie powiedział jej niczego, czego nie zamierzał wyjawić. Wówczas pomyślała, że mimo swojej wylewności Mati bardzo dużo zachowywał dla siebie. Nie sposób było przeniknąć jego prawdziwych uczuć.

Zresztą tego wieczoru zachowywał się, jakby był jedną nogą na tamtym świecie. Oczekiwanie od niego wyjaśnień było niemal groteskowe. Justysia usiłowała odwieść go od picia, ponieważ zachodziła obawa, że scena, która rozegrała się niemal na oczach Rudego, nie pozostanie bez konsekwencji, będzie miała ciąg dalszy i należało być czujnym, zwartym i gotowym.

Jednak i tego nie udało jej się na Matim wymóc. Otworzył białe wino, a ona przyłączyła się do niego, w połowie zrezygnowana. Zdawała sobie sprawę, że cała ta sytuacja jest dla niej poniżająca, skoro być może zadurzył się w innej kobiecie. Jednak nie była na tyle dojrzała czy zdystansowana, by unieść się honorem i dać mu święty spokój. Ani kolejna butelka wina i kubańskie cygara, ani Grand Marnier, ani nawet wspólna noc, na którą była skazana, nie podniosła jej morale.

Rano, gdy zamietli porozbijane szkła i pozbierali popiół z dywanów, a następnie wykąпали spocone, odrętwiałe od alkoholu ciała, czasu wystarczyło tylko na szybką poranną kawę, ponieważ na powrót musieli się znaleźć w biurze, i to czysti, schludni, odczłowieczeni.

Mati wysadził Justysię na przystanku, jak to miał w zwyczaju również z poprzednimi kochankami, tak by nie dotarli do firmy w tym samym czasie. Tak więc ten ostatni kawałek drogi przebyli osobno. Nie miała pojęcia, czy on coś podejrzewał, bo tego dnia nie zdarzyła się okazja do zamiany choćby zdania. Gdy wjechała na trzecie piętro przeszklonego budynku i otworzyła drzwi swoją kartą, miała przeczucie, że coś wisi w powietrzu. Były to jednak szczegóły, które napłynęły falą dopiero wtedy, kiedy już się dowiedziała.

Spokojnie minęła sekretarkę, która rzuciła jej dziwne spojrzenie, i choć Justysia nie odczytała jego znaczenia, spotęgowało to jej niepokój. Zdjęła płaszcz i skierowała się do swojego biurka. Mati powinien już być u siebie, w jego gabinecie paliło się światło. Przez mleczną szybę widać było, że przebywa tam kilka osób. Ciekawe, przecież nie był z nikim umówiony na spotkanie.

Wspólną przestrzeń, *open space*, ogarnęła grobowa cisza. Na „cześć” Justysi odpowiedział tylko Benek, Miś siedział z nosem w komputerze, nawet nie podniósł głowy, aby się z nią przywitać. Już wtedy zauważyła, że dzieje się coś osobliwego, lecz nie miała pojęcia, co konkretnie.

Po kilkunastu minutach dochodzące z gabinetu Matiego głosy nasiliły się, co zwiastowało, że przebywający tam ludzie zaraz będą wychodzić. Gdy Justysia usłyszała stukot krzesel i szarpnięcie za klamkę, okręciła się na krześle. Jak tylko wyjdą, natychmiast do niego pójdzie i wypyta, co za...

W tym momencie drzwi otworzyły się na oścież i Mati wypadł z gabinetu jako pierwszy, niosąc przed sobą kartonowe pudło. Nie obejrzał się na nią, nie rozejrzał dokoła, tylko szedł szybko w stronę wyjścia. Nim zdążyła go zawołać, zniknął za rogiem. Tuż za nim prawie biegło dwóch panów. Poznała ich, mimo że widziała od tyłu. To byli Nawrocki i Woźniak z Guya, obsługującej ich kancelarii. Na końcu z gabinetu wyszła Wiktoria i Rudy, oboje silnie wzburzeni, nawzajem przekonując się o czymś i kiwając potakująco głowami.

Justysia stała jak wmurowana, przyciskając do piersi segregator. W pierwszej chwili nie dotarło do niej znaczenie tego, co widzi. Uzmysłowała sobie, że ktoś od tyłu do niej podszedł. Okazało się, że to Paulinka. Stała tuż za nią,

poważna jak nie ona.

– Zwalniają go – szepnęła uroczyście.

Akta, które trzymała Justysia, posypały się na podłogę, tworząc bezładną stertę.

Matiego już nie było w budynku, gdy Justysia i Paulinka stały na zewnątrz, paląc zajadle i trzęsąc się jak w febrze. Zapewne podobnie trzęsły się zwierzęta w rzeźni, patrząc na swoich pobratymców traktowanych obuchem, bo choć nie nadeszła jeszcze ich kolej, przewidywały, że nie zdołają umknąć przeznaczeniu.

W innych okolicznościach Justysia nie przebywałaby w towarzystwie tej gadziny, jednak po paru wypowiedzianych przez Paulinkę słowach Justysia zorientowała się, że Paulinka nie przyłożyła ręki do zwolnienia Matiego, co więcej, nawet „pocziwiny” żałowała. Paulinka zawsze wiedziała, co w trawie piszczy, nie inaczej było teraz. Nie minęło dziesięć minut, a Justysia poznała całą historię.

Otóż Patrick nie odpuścił sprawy napadu na dom, który wynajął na Mazurach wtedy, kiedy gościł Johna Gong Bao. Twierdził, że zamaskowani ludzie wdarli się na posesję, że chcieli wywołać pożar. Drażył ten temat, węsząc wokół działu marketingu, bo jak wszyscy wiedzieli, ludzie z tego działu przebywali wówczas w tamtej okolicy. Wczoraj pod wpływem emocji jeden z kolegów z działu się sypnął. Podobno poszedł do Patricka i w obecności zarządu oznajmił, że może z całą stanowczością zaświadczyć, iż sprawcą napadu był nie kto inny, a Mateusz Wencel. Firma nie ujawniła danych informatora. Jak się potem okazało, imię Justysi nie zostało wymienione, nie ponosiła więc odpowiedzialności za zajście.

Przez cały wieczór próbowała się dodzwonić do Matiego, ale miał wyłączony telefon. Wieczorem wsiadła w samochód i pojechała do niego do domu, lecz nikt nie otwierał. Może wyszedł, a może po prostu chciał zostać sam.

Diagnoza

Beata stała przed bramą na rogu Koziej i Miodowej. O ósmej była tu umówiona z dawno niewidzianą przyjaciółką. Brygida była lekarzem, wprawdzie laryngologiem, ale niewątpliwie lepiej od niej znała się na lekach psychotropowych. W ka-mienicy wynajmowała lokal, umówiły się po godzinach jej przyjść.

Beata chciała porozmawiać z Brygidą o specyfikach znalezionych w walizce Kwaśniaka. To, czego naczytała się w internecie, jeżyło jej włosy na głowie. Liczyła, że od przyjaciółki usłyszy sensowne sprostowanie. Przecież nie od dziś wiadomo było, że w sieci pisano różne bzdury, na których nie wolno się było opierać.

Wdychała ostre, zimne powietrze. Noc była mroźna, rozgwieżdżona, bezśnieżna. Miodową przejechał z sykiem autobus. Nieliczni przechodnie spieszyli z nisko opuszczonymi głowami. Lodowaty wiatr nie skłaniał do spacerów, każdy chciał jak najprędzej znaleźć się w ogrzewanym wnętrzu.

Beata zdawała sobie sprawę, że najpierw będzie musiała wyznać przyjaciółce kilka mało chwalebnych szczegółów z własnego życia. Nie dało się opowiedzieć o lekach, nie przytaczając choćby pobieżnie szerszego kontekstu. Przeżegnawszy się dyskretnie, pokonała schodki prowadzące do wejścia i nacisnęła domofon. Gdy wspięła się na drugie piętro, przyjaciółka już stała w progu, światło z wnętrza pomieszczenia oświetlało jej szczupłą, gibką sylwetkę. Objęły się i chwilę trwały w uścisku. Beata była w potrzebie, chciała być pocieszana, uspokajana i przyjaciółka od razu to wyczuła – stąd to ciepłe powitanie, przyjacielskie poklepywanie po plecach.

Przychodnia składała się z minikorytarzyka i dwóch pokoi – Brygida dzieliła lokal z koleżanką otolaryngolożką. Przeszły do czystego eleganckiego gabinetu, usiadły przy stole. Beata zrobiła krótki wstęp o nieporozumieniach w swoim małżeństwie, a następnie oględnie opowiedziała, jak wdała się w ten nieszczęsny romans, po czym dłuższą chwilę siedziały w krępującym milczeniu.

– A więc masz kogoś – podjęła Brygida, usiłując ukryć zaskoczenie. – Rozumiem, że nie chcesz zdradzić, kim on jest. Ja nie wnika, bo wiesz, jak lubię Mikołaja, jak go szanuję.

Beacie zaszkliły się oczy, usiłowała pokonać łzy, intensywnie mrugając powiekami.

– Ale rozumiem, że nie o tym przyszłaś rozmawiać. Jest coś więcej, prawda?

– Owszem.

– Mów więc. W czym rzecz?

– No więc, do niedawna wszystko szło gładko. Zdawało mi się, że spotkałam ideał. Byłam w siódmym niebie.

– A potem poznałaś go bliżej?

W odpowiedzi Beata głośno wypuściła powietrze.

Jak tu szybko i fachowo streścić cudowne początki, ich pełne porozumienie, a potem narastający brak zaufania i strach, który Mirek zaczął w niej wzbudzać? Oprócz zdemolowania pokoju hotelowego niewiele było konkretów, które mogłaby Brygidzie opisać. Większość niepokojących zachowań nie dawała się łatwo scharakteryzować. Były gesty, dziwne miny, jakieś ogólne przeczucie, że coś z nim jest mocno nie w porządku. Tymczasem lekarze potrzebowali suchych faktów, aby postawić diagnozę.

Wolno mieszała łyżeczką w ostygłej już herbacie. Przez myśl przemknęło jej, że być może wyciągnęła pochopne wnioski tylko dlatego, że Mirek już nie zwracał na nią uwagi; bała się, że posadza go o coś, co nie istnieje, że kieruje nią głupia kobieca zemsta za bycie wykorzystaną i odrzuconą.

– Beata, weź się w garść – szepnęła przyjaciółka, ujmując jej dłoń w swoje ręce.

Ten kojący gest przywrócił Beacie poczucie rzeczywistości. Był przecież realny, namacalny powód do niepokoju – leki, które on potajemnie zażywał. To nie był wytwór jej wyobraźni, tylko rzeczywistość.

– No więc – zaczęła Beata, wzięwszy głęboki oddech – wyjechałam z tym człowiekiem na sekretne wakacje, gdzie przeżyłam horror. Jego zachowania, reakcje budziły we mnie... strach.

– Strach?

– Tak, strach!

Siedziały naprzeciwko siebie po dwóch stronach biurka w zimnym świetle jarzeniówki oświetlającej akwarium.

– Nie chcę wnikać w szczegóły tej historii, bo nie mogę zdradzić jego tożsamości ze względu na moje i twoje bezpieczeństwo.

Powiało grozą. Brygida miała świadomość, z kim Beata pracuje.

– Mów dalej – rzekła powoli, rozglądając się za torebką, w której schowała paczkę papierosów. Siegała po nie sporadycznie, ale w tej sytuacji odczuła silną potrzebę zapalenia.

– Jesteś pewna, że nie ma tu podsłuchów? – spytała Beata.

– A zostawiłaś komórkę na zewnątrz? Lekarzy chyba jeszcze nie podsłuchują – odparła z przekąsem Brygida, zapalając mentolowego slima.

– Na początku znajomości ten człowiek był inny.

– Brzmi całkiem typowo.

– Nie. W tej historii nie ma nic typowego. – Beata chwilę patrzyła przyjaciółce w oczy, po czym nie odrywając od niej wzroku, przesunęła dłonią po białym blacie biurka i z paczki zgrabnie wyjęła papierosa.

– Nagle się zmienił? – domyśliła się Brygida i przypaliła papierosa sobie

i Beacie.

– Owszem, choć trzeba przyznać, że już wcześniej bywał nieco paranoiczny – ciągnęła w zamyśleniu Beata – ale nie do tego stopnia.

– Wielu ludzi w twojej, że tak powiem, branży cierpi na różnorakie paranoje – odważyła się zauważyć Brygida, zagorzała przeciwniczka PN.

– To coś więcej. On wszędzie węszy spiski, uważa, że ktoś go podsłuchuje, iż chcą go odsunąć, wykończyć.

Brygida wymownie spojrzała na Beatę.

– Wiem, do czego pijesz, ale zaufaj mi, sprawa jest poważna. On buduje w głowie całe nieprawdopodobne historie! – Beata widząc, że przyjaciółka wciąż uśmiecha się nieprzekonana, złapała ją za rękę i wyszeptwała: – Posłuchaj, powiem ci, dlaczego tu jestem. Na Kanarach zaczął zachowywać się tak dziwnie, że obcy ludzie zwracali na to uwagę. Obserwowałam go i zauważyłam, że potajemnie zażywał lekarstwa. Kiedy nie było go w pokoju, przeszukałam jego rzeczy i zauważyłam w walizce opakowania rispo-leptu.

Orzechowe oczy Brygidy przybrały czujny wyraz.

– Ile tego bierze? Z czym to bierze? – zapytała rzeczowo, pozorując spokój.

– A więc jednak jest czym się martwić? – Beata nieświadomie złożyła ręce jak do modlitwy i wyczekująco patrzyła na przyjaciółkę.

– Wiesz, że nie jestem psychiatrą – odparła tamta z ociąganiem. W jej tonie było coś, co przyprawiło obie o szybsze bicie serca. – Nie mogę ferować wyroków. Nie chciałabym cię też niepotrzebnie martwić.

– Do jasnej cholery, mów! – wykrzyknęła Beata w skrajnym napięciu. – Mów, bo osiwieję! W necie wyczytałam, że bierze się to tylko na jedno!

– Czekaj, sprawdzę. – Brygida postukała w klawiaturę, potem długo wpatrywała się w monitor. – No, no – mruknęła, jakby utwierdzała się w bardziej optymistycznej opinii, ale nie wyglądała na przekonaną. Raczej na osobę, która na siłę chce pocieszyć przyjaciółkę.

Beata cała się spięła.

– No więc – Brygida zwróciła się w stronę Beaty – faktycznie ten farmaceutyk podaje się, aby zwalczać objawy wytwórcze.

– Co takiego?

– Różnego rodzaju omamy, urojenia, zwidy. Co tu dużo gadać, to lek antypsychotyczny. Przepisuje się go głównie przy schizofrenii.

– Czyli on jest poważnie chory? – Beata usiadła prosto, wyraźnie usztywniona, jakby zamykając się w sobie.

– Nie wiemy, czy to schizofrenia, czy może epizod psychotyczny. Tak jak mówiłam, nie znam się na tym. Jedno jest pewne. Ten lek bierze się na urojenia, omamy. A jakie jest podłoże choroby, jakie spektrum objawów współwystępuje? Tylko on to wie. Albo może lepiej to ujmę: nawet on nie wie, bo z tego, co sobie

przypominam z wykładów z psychiatrii, a było to ze dwadzieścia lat temu na studiach, to choć przyjmuje leki, i tak jest przekonany, że urojenia są rzeczywistością i że wszyscy się mylą, tylko nie on.

W ciężkim milczeniu było słycać, jak Beata drapie paznokciami po rajstopach. Oszołomione, popatrzyły po sobie. Pierwsza otrząsnęła się Beata.

– Brygido, chyba coś jest nie tak z twoją diagnozą. Czy myślisz serio jako lekarz medycyny, że mogłabym ponad rok znać mężczyznę – spać z nim, jeść z nim śniadania, planować przyszłość, czasem nawet współpracować przy tym i owym i do tej pory się nie zorientować, że cierpi na schizofrenię?

W głosie Beaty brzmiało rozbawienie i niedowierzanie, czekała, że Brygida ostro zaprotestuje. Zamiast tego przyjaciółka zaciągnęła się papierosem i znów wpatrzyła się w ekran. Po dłuższym czasie oderwała od niego wzrok, zdjęła okulary i oparła się łokciami o stół, wpatrując w Beatę ciepłymi orzechowymi oczami.

– Schizofrenia nie oznacza, że facet gania ludzi z siekierą. Ta choroba ma fazy remisji. Czasem przyczają się na wiele lat, jest jakby usypiona, i nagle pod wpływem bardzo silnego stresu, choćby zmiany sytuacji emocjonalnej, na przykład przydającej choremu odpowiedzialności, odzywa się i uderza z siłą huraganu. Coś, co było usypione, budzi się, jakby ktoś wrzucił iskrę do beczki z prochem. Zresztą, on może mieć pierwszy epizod za sobą.

– Niczego takiego wcześniej u niego nie dostrzegłam.

– Zdarza się, że nawet najbliższa rodzina nie zauważa pierwszego epizodu. Może trwać parę lat, miesięcy, tygodni, ale też zaledwie kilka godzin.

– On nie wie, że jest chory?

– Wie, ponieważ był u lekarza, który zapisał mu rispolept i najprawdopodobniej inne leki. Ale czy ufa lekarzowi, czy wierzy, że jest chory? To już inna historia. To jakby całe sedno tej choroby – chory nie wierzy lekarzom.

– Wie, że jest chory, ale nie wierzy?

– Zależy to od tego, w jakiej jest fazie choroby. Naprawdę, Beatko, nie mogę tak za przeproszeniem pieprzyć, wróżyć z fusów. Może jest w fazie początkowej, w totalnym chaosie, w swoim świecie – zaczęła wyjaśniać Brygida, lecz widząc, jak przyjaciółka nerwowo szarpie pasmo włosów, zdecydowała się nie opisywać szczegółów i ciągnęła łagodnym, kojącym tonem: – Niewykluczone, że jest już w fazie adaptacji, czyli potocznie mówiąc, w okresie pewnego wyciszenia. Fachowo nazywa się to podwójną orientacją. Może uważać się za, na przykład Boga, wodza, następnego Piłsudskiego czy jedyne, który ocali Polskę, dajmy na to od korupcji, a jednocześnie chodzić do lekarza po recepty. To jakby stał jedną nogą na ziemi rzeczywistej, a drugą na schizofrenicznej.

– O mój Boże! – Beata poczuła, że włosy na karku stają jej dęba.

– To jest bardzo charakterystyczne dla schizofrenii paranoidalnej. Zresztą,

zgadzałyby się z tym, co o nim mówiłaś.

– Że wszędzie węszy spiski?

– Tak. Właśnie ta postać schizofrenii ma to do siebie, że najdłużej zachowana jest fasada.

– Jaka fasada? Co to, do cholery, znaczy?

– Zachowanie chorego nie budzi zastrzeżeń, dopóki nie zacznie komuś opowiadać o najbardziej osobistych przeżyciach.

– Czyli musi komuś bezgranicznie ufać?

Po tej uwadze zapadła chwila milczenia.

– Jeżeli chcesz przez to spytać, czy on ci ufa, to wolałabym się nie wypowiadać na ten temat – odparła z wyraźnym wahaniem Brygida.

Znów zamikły, słycać było tylko brzęczenie zainstalowanego w gabinecie akwarium.

– Co masz na myśli?

– Z zaufaniem chorych różnie bywa – z ociąganiem podjęła Brygida, ponownie zerkając na ekran monitora. – Chory na schizofrenię paranoidalną konstruuje własny świat, a potem dostrzega tylko to, co pasuje do jego własnej układanki. Każdy element świata interpretuje tak, by przystawał do jego wersji. Jeżeli istotą jego choroby jest, jak mówiłaś, mania prześladowcza, przekonanie, że wszyscy go śledzą i na niego dybią, to w każdej chwili może obrócić swoje podejrzenia przeciwko tobie. Każde twoje nieodebranie telefonu może interpretować jako zdradę skierowaną przeciwko niemu, ale – dodała, widząc, że przyjaciółka blednie – nie ze mną powinnaś rozmawiać o tej chorobie. Nie będę się posiłkowała doktorem Google'em. Musicie razem odwiedzić psychiatrę, jeśli chcesz poznać opinię specjalisty.

Beata podniosła się z krzesła i zaczęła rozcierać zmarznięte ramiona. W gabinecie panował sterylny chłód, ręce miała jak z lodu. Zaczęła tak nerwowo krążyć od okna do biurka, że Brygida wstała i delikatnie objęła ją za ramiona.

– Hej, hej, spokojnie. Bez paniki. To chyba on ma problem, a nie ty.

Usadziła przyjaciółkę przy biurku. Beata zaczęła mimowolnie szcząć zębami.

– Cholera, nie wiedziałam, że aż tak się przejmiesz. – Brygida wyciągnęła w jej kierunku paczkę papierosów.

Beata machinalnie wzięła kolejnego papierosa i zapaliła. Lekarka usiadła naprzeciwko przyjaciółki, mocno zaniepokojona jej stanem.

– Po pierwsze, tak naprawdę nie wiemy, czy ten człowiek faktycznie cierpi na schizofrenię – podkreśliła. – Schizofrenię nie tak łatwo zdiagnozować. Musi wystąpić szereg charakterystycznych objawów, sama psychoza nie wystarczy. Może miał jednorazowy epizod, a w dzisiejszych chorych czasach taki lek podają na byle gówna, tak jak w modzie jest łykać antybiotyk na katar. A bo ja wiem?

Nagadałam ci głupot, a tu trzeba fachowca.

Mimo tych uspokajających argumentów, twarz Beaty nadal była kredowobiała.

– Czego ty się obawiasz? – podjęła z nową energią Brygida. – Nawet przyjmując najgorszą wersję, że faktycznie jest chory, ty akurat nie masz powodu do obaw. Zawsze możesz go zostawić!

Koncept ten wywołał uśmiech pobłażliwości na twarzy Beaty.

– Nie rozumiesz. Nie mogę go teraz opuścić, bo boję się, że stanie się moim wrogiem!

Brygida miała taką minę, jakby rzeczywiście nie do końca rozumiała, w jakiej sytuacji znalazła się przyjaciółka.

– Może mnie szantażować na milion sposobów; nie ma nic do stracenia, a ja owszem – przekonywała ją Beata.

Brygida poważnie skinęła głową, pryncypialność Mikołaja była jej dobrze znana.

– Przecież możesz delikatnie się z tego wycofać, nie wzbudzając podejrzeń.

– Obawiam się, że już wzbudziłam jego podejrzenia.

– W takim razie postaw mu się! – Brygida wstała i kucnęła koło przyjaciółki, ujmując jej dłoń. – Kto jak kto, ale ty nie musisz się bać. Masz ważnych przyjaciół. Wiem, że jak powiesz tylko słowo, sprzątną go czy zastraszą, w każdym razie potraktują tak, by więcej nie ośmielił się ciebie nie-pokoić.

– Problem w tym – Beata wyszarpnęła dłoń z uścisku i okręciła się na krześle tak, że patrzyła Brygidzie prosto w twarz – że on nie jest zwykłym zjadaczem chleba, który wystraszy się Kaźmierczaka. Może kiedyś, parę miesięcy temu, rzeczywiście tak by się zachował, ale nie teraz.

Brygida podniosła się, odeszła od biurka i nastawiła wodę na kolejną herbatę. W panującym ciężkim milczeniu słychać było narastający szum. Gdy woda się zagotowała, zalała wrzątkiem czajniczek i nagle okręciła się na pięcie, jakby wpadła na jakiś pomysł, po czym oznajmiła:

– Jeżeli jest tak wpływowy, jak twierdzisz, to na pewno nie chce, by na światło dzienne wyciekła informacja o chorobie. Zresztą z tego, co mówisz, skrętnie to ukrywa. Uważnie chowa leki, nie chce się zdradzić nawet przed tobą. Ty go postraszyć! Powiedz, że albo zostawi cię w spokoju, albo wydasz wszystkim, że jest ciężko chory.

Brygida stała pośrodku gabinetu z triumfalną miną, ale Beata nie wyraziła entuzjazmu. Wizja postawienia sprawy na ostrzu noża zdawała się jej paraliżująca. Po kolejnej chwili milczenia, które często zapadało tego wieczoru, Beata wykrztusiła:

– Nie mam odwagi postawić go pod ścianą. Myślę, że wycofam się rakiem, powoli, spokojnie. Tak wolę.

– Zrób tak, jak tobie pasuje.

Gdy piły tym razem gorącą herbatę, Beata nagle podniosła na Brygidę wzrok.

– Powiedz mi jeszcze jedno.

– Tak?

– Może to idiotyczne pytanie, ale... jak bardzo niebezpieczny jest ktoś cierpiący na schizofrenię?

– Co do zasady, pacjenci cierpiący na schizofrenię najczęściej są ofiarami agresji, sporadycznie agresorami. Jednak żaden odpowiedzialny psychiatra nie udzieliłby ci jednoznacznej odpowiedzi na to pytanie.

– Dlaczego?

– Bo to wszystko zależy.

– Od czego?

– Od fazy, przebiegu, od systematyczności przyjmowanych leków, wreszcie od okoliczności.

– Uhm.

– Zazwyczaj chory jest najbardziej niebezpieczny dla siebie, choć jak zapewne słyszałaś, zdarzają się akty agresji.

– Morderstwa?

– Raczej zabójstwa w afekcie, Beatko.

– Ładne mi pocieszenie. – Beata parsknęła niewesołym śmiechem.

– Dajże spokój! – zawołała Brygida, której cała ta rozmowa wydała się nagle przesadna, wręcz komiczna. – Najwięcej zabójstw popełniają tak zwani normalni.

– I tego będziemy się trzymać – orzekła nieco podniesiona na duchu Beata.

Siedziały jeszcze chwilę zamyślane, wpatrując się w wiszące na ścianie zdjęcie żaglowca, gdy nagle Brygida wzdrygnęła się gwałtownie.

– Jezu, Beata! Skąd ci takie rzeczy przychodzą do głowy?

– Naprawdę nie wiem. Chyba za bardzo rozbuchała mi się wyobraźnia.

– Na wszelki wypadek trzymaj się od niego z daleka – poradziła Brygida.

– Zamierzam.

– Lepiej nie dopuść do tego, byście zostali... no wiesz, sam na sam.

– Nie dopuszczę – obiecała Beata.

Zjadły eklerki od Bliklego, przyniesione przez Beatę w małym pudełku, po czym podniesiona na duchu Beata pojechała taksówką do domu. Nazajutrz miało się odbyć posiedzenie sejmiku. Zamierzała w nim uczestniczyć, ale rano odkryła, że ma lekką temperaturę. Nawet do głowy jej nie przyszło, by z powodu ledwie przekroczonych trzydziestu siedmiu stopni zostać w domu, lecz Mikołaj, który odmłodził i pełen energii niedawno wrócił z chłopcami z Zakopanego, zaczął ją namawiać na wzięcie zwolnienia i wyjazd w góry.

Na początku przekonywała go, że nie może brać zwolnienia tuż po urlopie,

ale Mikołaj obstawał przy swoim. Zdawała mu się blada i wymizerowana i uznał, że pobyt w górach dobrze jej zrobi. Stało więc na tym, że Beata zadzwoni do kancelarii i zgłosi, że jest chora. Szczerze mówiąc, po namyśle uznała pomysł wyjazdu za genialny. Pojedzie do Zakopanego, skąd zatelefonuje do Kwaśniaka i poinformuje go o tym, że po świeżym zapaleniu oskrzeli dochodzi do siebie w górach.

Po powrocie z Kanarów widzieli się zaledwie dwukrotnie i to ledwo zamienili dwa zdania, ponieważ Kwaśniak był mocno zajęty licznymi sprawami i obowiązkami. Ona zaś, wykończona i pełna poczucia winy, mało z kim rozmawiała i prawdę powiedziawszy, była tak znerwicowana, że na niczym nie mogła się skupić. Rzeczywiście, dwa tygodnie zwolnienia i wyjazd byłyby jak znalazł w tej sytuacji. Może w natłoku wydarzeń Kwaśniak nie będzie o niej myślał? Może o niej zapomni? Może to wszystko rozejdzie się po kościach?

W znacznie lepszym nastroju wsiadła do pociągu wiozącego ją do Zakopanego. Gdy tylko wyjechała poza Warszawę, poczuła się znacznie lepiej. Za oknem umykały łąki, lasy, mniejsze i większe miejscowości. W miarę zbliżania się do Zakopanego widziała więcej śniegu na polach i wzgórzach. Utwierdziła się w przekonaniu, że wyjazd był doskonałym pomysłem. W otoczeniu ludzi sama myśl o Kwaśniaku mszczącym się na niej tylko za to, że go unika, zdawała się jej absurdalna. Gdyby rzeczywiście nadal się jej czepiał, ona porozmawia z Kaźmierczakiem, i to już bez żadnych skrupułów, nie będzie się oglądać na przeszłość ani kierować starym sentymentem.

Zadowolona z powziętych postanowień, zamierzała naprawdę wypocząć, zresetować się i nabrać dystansu. Z tego samego powodu postanowiła w ogóle nie oglądać telewizji, nie czytać gazet ani nie śledzić wydarzeń w internecie. Tylko ona, góry i relaks. Należało jej się to po przebytych stresie.

Faktycznie, zgodnie z założeniem, dni wypełniały jej samotne długie spacerunki. Niby wciąż panowała mroźna zima, ale w powietrzu wyczuwało się zapowiedź przedwiośnia. Przechadzając się w białobłękitnej scenerii, złożyła sobie sporo obietnic. Zamierzała w swoim życiu wiele zmienić. Ach, nie chciała dłużej się kajać, a jedynie wyjść na prostą. Wśród dziewiczej przyrody zaczęła wierzyć, że to się jej uda.

Być znowu blisko rodziny, cieszyć się wspólnym obiadem, spacerem z mężem, meczem oglądanym z chłopcami. Takie, zdawałoby się, oczywistości jawiły jej się jako uprag-nione i satysfakcjonujące w chwili, gdy uświadomiła sobie, że mogłaby je nieodwracalnie utracić.

Chcąc należycie odpocząć, wyłączyła telefon. Uruchomiła go dopiero w przeddzień powrotu do Warszawy i aż się złękła. SMS-y napływały dziesiątkami. Cóż się znów wydarzyło? Dwie, trzy, nawet cztery wiadomości od Bożymskiego? Czego chciał od niej, wiedząc, że przebywa na zwolnieniu

lekarским? Do tej pory nie miał zwyczaju do niej pisywać. Może wcześniej telefonował i nie mógł się dodzwonić, ponieważ wyłączyła komórkę? Otworzyła pierwszą z brzegu wiadomość.

Słyszałaś o Kaźmierczaku?

A cóż to, na Boga, miało znaczyć? Akurat była w swoim pokoju hotelowym, natychmiast więc włączyła telewizor i wyszukała stację informacyjną. Na żółtym pasku, przebiegającym na dole ekranu, przeczytała wiadomość o złożeniu przez Kaźmierczaka dymisji. Opadła na pobliskie krzesło, o mało przy tym nie wypuszczając z dłoni szklanki z herbatą. Trzęsącymi się dłońmi wybrała numer Kaźmierczaka, ale usłyszała tylko komunikat, że abonent jest czasowo niedostępny. Potem bombardowała telefonami Bożymskiego, ale i ten jakby zapadł się pod ziemię. Rzuciła się do chaotycznego pakowania swoich rzeczy.

Dwa dni później biegła sejmowym korytarzem, poszukując kogoś znajomego, do kogo miałaby zaufanie. Chciała się dowiedzieć, dlaczego Kaźmierczak złożył dymisję. Prasa nie podawała szczegółów; rzekomo na podjęcie tej decyzji wpłynęły problemy osobiste. Paskudnie jej to wszystko pachniało, oj paskudnie! Szła czujnie i szybko, mocno stukając obcasami. Obawiała się spotkać Kwaśniaka, ale gdyby do tego doszło, zamierzała jak gdyby nigdy nic spytać go o Kaźmierczaka.

Niepewna i zarazem zdeterminowana, parła naprzód, wypatrując znajomych twarzy, gotowa wszystkich ich postawić pod ścianą, przytknąć do głów lufę i nakazać im mówić prawdę. Dziwnym zrządzeniem opatrności, która musiała czuwać nad desperatami, w pobliżu pokoi klubowych nie spotkała nikogo znajomego. Było to niezwykłe, osobliwe. Wszystkich nagle wymiotło?

Zajrzała do sekretariatu.

– Gdzie poseł Bożymski? Czemu nie ma go na komisji paliwowej?

– Poseł Bożymski ma zwolnienie – niepewnie wyjaśniła sekretarka, podnosząc się zza biurka.

Czy się Beacie zdawało, czy z jej oczu wycierał strach? Odwróciła się i pobiegła w stronę stołówki. Tam, w pobliżu schodów, nareszcie dostrzegła kilkoro znajomych z ław sejmowych.

– Pani Renato! Panie Szczepanie, panie Adamie! Co tu się dzieje?! Gdzie się wszyscy podziali?! – zawołała w kierunku zbitej gromadki, posyłając im uśmiech.

Tymczasem oni na jej widok zbaranieli. Powtórzyła pytanie, lecz zbyli ją, po czym ostentacyjnie zmienili temat. Potem pożartowali z nią uprzejmie, ale na dystans. Gdy się oddalała, zamilkli, a ona odniosła wrażenie, że odprowadzali ją bacznym wzrokiem. Co tu się, na Boga, działo?

Skierowała się do stołówki sejmowej. Porzuciła posuwisty krok modelki, rodem z wybiegu. Poważna i zmartwiona, z zaciśniętymi dłońmi, ze zmarszczonym czołem, przygryzając wargę, szła pomału, niemal powłócząc nogami, jakby

w obawie, by się nie przewrócić.

Szare komórki pracowały pełną parą i zanim weszła do stołówki (wypatrywała Bożymskiego jak koła ratunkowego), nagle odkryła, dlaczego koledzy sejmowi coś przed nią ukrywali. Bali się Kwaśniaka, a ją traktowali jak jego sojuszniczkę. Musieli wiedzieć, że była jego kochanką, i podejrzewali ją o szpiegowanie. O, jaki blamaż! Jaka hańba nie do zmazania! Oparła się o parapet, pierś jej gwałtownie falowała. Oczy się zaszklily, nos zwilgotniał. Co ona najlepszego narobiła.

Stała tak dłuższą chwilę, a im dłużej o tym myślała, tym straszniejsze jej się to wszystko zdawało. Zwykła przygoda miała zaciążyć nad jej życiem i zniweczyć karierę? O dalszym paktowaniu z tym człowiekiem, który najwyraźniej parł niestrudzenie naprzód, nie mogło być mowy. Co on zrobił Kaźmierczakowi? Co ten skurwysyn zrobił Kaźmierczakowi, bądź co bądź przyzwoitemu człowiekowi?

– Co się dzieje? Co się z panią dzieje?

Głos dobiegał z daleka, wirował nad jej głową. Jechała ostro do góry, jakby miała się wynurzyć na powierzchnię ze studni bez dna, by zaczerpnąć tchu.

Duszę się. Nie wypłynę.

Światło, ciemność, światło, ciemność... Nagle z tego kalejdoskopu wyłoniła się znajoma twarz. Pan Jacuś, bufetowy i zarazem kelner, pochylał się nad nią wyraźnie przestraszony.

– Pani Beatko, myślałem, że pani przytomność mi tu straciła.

– Nic mi nie jest, panie Jacusiu.

Beata najpierw omiotła spojrzeniem swoje ubranie. Żakiet, spodnie, buty, wszystko na miejscu, a ona sama posadowiona w wygodnym foteliku obrotowym, w poselskiej stołówce. Ze zdziwieniem zamrugła oczami. Jak też się tutaj znalazła?

– Źle się pani poczuła? Zaraz przyniosę coś mocniejszego.

Kelner puścił się biegiem do kuchni. Beata rozejrzała się z przerażeniem, kto był świadkiem sceny obrazującej jej oplakany stan, ale w stołówce nie było nikogo. Ile czasu tu spędziła? Zerknęła na zegarek. Druga piętnaście. Na Wiejską przyjechała godzinę temu, ze czterdzieści minut szukała po korytarzach klubowych kolegów, a więc od czasu oparcia się o parapet do chwili dotarcia do stołówki minęło zaledwie kilka minut. Pewnie doszła tu o własnych siłach, tylko w tym dziwnym pomieszaniu zmysłów nie wiedziała, jak i kiedy.

Tymczasem już wracał niezawodny pan Jacuś, niosąc szklaneczkę napełnioną czymś o przyjemnej ciemnozielonej barwie. Okazało się piekielnie mocne, ale po wypiciu zawartości szklaneczki faktycznie poczuła się lepiej. Pan Jacuś stał dzielnie obok. Natychmiast skinęła mu dłonią, by siadał, koniecznie siadał. Gdy spełnił jej życzenie i ujrzała jego przygnębioną, stroskaną minę, nagle ją oświeciło. Pan Jacuś był okiem i uchem i miał wiedzę o zakulisowych rozgrywkach

toczonych w sejmie.

– Panie Jacusiu – zaczęła bez ceregieli, korzystając z tego, że są sami. – Co się, na Boga, stało z panem Kaźmierczakiem? Byłam na zwolnieniu lekarskim, a tu nagle takie wieści w telewizji. Podał się do dymisji? – Znacząco przyciszyła głos i zrobiła odpowiednio niedowierzającą minę, dając tym samym do zrozumienia, że nie wierzy w dymisję.

Pan Jacuś spojrzał na nią przenikliwie, ściągnął usta, jakby broniąc się przed wypowiedzeniem pewnych słów. Wyraźnie się wahał. Uznała, że musi być wobec niego szczerą, inaczej niczego nie wskóra.

– Panie Jacusiu, niech mi pan tego nie robi. Wszyscy mnie traktują jak trędowatą, a jestem Bogu ducha winna, ja z tym wszystkim nie mam nic wspólnego, też jestem ofiarą – mówiła nieskładnie, ale jeżeli prawdą było to, co podejrzewała, choć nie miała dowodów, musiał, po prostu musiał czytać między wierszami.

Chyba wyczytał, bo delikatnie ujął porcelanowy czajniczek i nalewając jej aromatycznej herbaty, która właśnie się zaparzyła, szepnął tak cicho, że musiała się pochylić, by go usłyszeć.

– Podobno te skurwysyny podstawily mu chłopaczka, po czym nagrali go i masz babo placek. Pan Kaźmierczak skończony, jak amen w pacierzu. – Pan Jacuś wykonał wymowny gest, jakby sobie podrzynał gardło.

Beacie zadzwoniło w uszach, jeszcze to wszystko do niej nie docierało, jakby naprawdę się nie wydarzyło.

– Tak, rozumiem – bąknęła.

– Pani jest porządna kobitka, ja to wiem. – Pan Jacuś znacząco spojrzał w oczy Beacie. – Niech się pani trzyma z daleka od tego wszystkiego, bo źle to wygląda, oj źle. Jestem tu od dwudziestu siedmiu lat i czegoś podobnego nie widziałem.

– Ja też już wszystko wiem – odpowiedziała machinalnie. Chyba tylko dzięki koniakowi krew jeszcze nie zakrzepła jej w żyłach.

– Mimo wszystko niech pani na siebie uważa. – Na odchodnym pan Jacuś wrzucił jej srebrnymi szczypcami dwie kostki cukru do herbaty i popatrzył tak, że przeszedł ją dreszcz.

Mieszając herbatę i wyciskając do niej cytrynę, Beata układała w głowie pobieżny plan. Ten bezlitosny człowiek najwyraźniej eliminował sukcesywnie wszystkich, którzy stali mu na drodze. Kaźmierczak był mu solą w oku, więc obmyślił sposób, jak się go pozbyć. To dlatego sprzymierzył się z Palimąką, który nie lubił Kaźmierczaka.

Jak padlinożerca, jak hiena, czekał, szukał możliwości, werbował sojuszników do realizacji krótkoterminowych celów, potem eliminował domniemanych przeciwników. Schemat się powtarzał. Już dawno musieli węszyć

przy nieszczęsnym Kaźmierczaku. Krążyli, tropili, aż znaleźli. Kaźmierczak mieszkał sam, szybko doszli, że jest homoseksualistą. Wyczekali moment słabości starzejącego się faceta, podsunęli agenta przystojniaczka i wykończyli Kaźmierczaka, a on – typ macho – prędzej skoczyłby na sznur, niż zniósł publikację takiego materiału.

Nietrudno się domyślić, że teraz Kwaśniak na nią skieruje uwagę. Być może chłopcy z NOP-u już ją podsłuchiwali. Niewyluczone, że śledzili ją, gdy szła porozmawiać z Brygidą. Być może nawet zdołali ją jakoś podsłuchać.

Podniosła wzrok i przez okno wpatrzyła się w żałobne siwe niebo nad Warszawą. Groza sytuacji oplatała ją cie-niutką lepłą pajęczyną. Koledzy klubowi, dawni sojusznicy, chociażby Bożymski, unikali jej tak, jak w czasie wojny unikało się ludzi współpracujących z hitlerowcami. Nikt jej nie ufał bo, dobry Boże, sypiała z oprawcą.

Nie miała szans wzbudzić niczyjego zaufania. W nikim nie znajdzie obrońcy. Ostatni bastion właśnie runął i Kwaśniak miał otwartą drogę do dalszych stanowisk. A co najgorsze, miała dziwaczne wrażenie, że wbrew temu, co o schizofrenikach twierdziła Brygida, Kwaśniak naprawdę czytał w jej myślach.

Był niczym czarne pudło rezonujące – łapał wszelkie drgania jej myśli i odczytywał je bezbłędnie. Cholera jasna, któż to mógł wiedzieć! Może schizofrenia – to całe słyszenie głosów, duchów, czytanie myśli wróbli, sąsiadów – polega na jakiejś piekielnej wrażliwości i diabelskiej wręcz empatii na drgania cudzych synaps, neuroprzekaźników?

Jeżeli usiłowałaby grać przed nim wierną kochankę, udawać, że była i jest po jego stronie, to Kwaśniak i tak ją wyczuje. Nawet gdyby była niewinna, on i tak sobie uroi, że ona przeciwko niemu spiskuje, konspiruje, podobnie jak to się działo podczas pobytu na Kanarach. Cokolwiek miał w głowie – Beata wołała się nad tym nie zastanawiać, zbyt wystraszyły ją jego miny, gesty, reakcje – nie było to nic przyjaznego.

Gdy tak biła się z myślami, siedząc nad niedopitą herbatą, uświadomiła sobie, że sama z tym sobie nie poradzi. Musi jej ktoś pomóc, musi mieć jakiegoś sprzymierzeńca. Być może to, co się działo – a działy się rzeczy straszne – było realnym zagrożeniem dla organów państwa. Nie chciała reagować jak histeryczka, nie chciała też okazać się katastrofistką, ale wizja, do czego to wszystko mogło zmierzać, napawała ją przerażeniem. Czyżby w jej ojczyźnie po władzę sięgał człowiek chory na umyśle? Wszędzie węszący spiski schizofrenik, który maczał brudne łapy w rozmaitych przekrętach, który wrabiał, zastraszał, zacierał ślady swoich przestępstw i jak w efekcie śnieżnej kuli musiał wciąż popępniać nowe?

A teraz ta kula czy raczej lawina zdawała się pędzić wprost na nią, a tu znikąd pomocy. Mikołaj w oczywisty sposób nie wchodził w grę – doprawdy trudno by było oczekiwać od niego pomocy. Kaźmierczak też wypadł z gry i nawet

gdyby zdołała się z nim skontaktować, na pewno nie odważyłby się jej pomóc.
Ach, przydałby się jej jakiś dobry prawnik.

Nieoczekiwana wizyta

O czwartej po południu za oknem było już kompletnie ciemno. W ciepłym świetle lampy przy dużym mahoniowym biurku siedział mecenas Wencel. Ze zmarszczonymi brwiami czytał umowę najmu napisaną przez swojego pracownika – ewidentnie skończonego imbecyla. Nie szczędził więc poprawek, zamazyście skreślając pozłacanym watermanem całe partie tekstu.

Sypał gęsty śnieg, ale Wencel nie był w nastroju do podziwiania urokliwej zamieci. Musiał jeszcze przeczytać tony papierzysek. Na chwilę odłożył sprawdzaną umowę i wielką dłonią niezgrabnie ujął delikatną, kruchą filiżankę, aby wypić łyk tej rzekomo doskonałej herbaty, na którą nie żałował grosza. Tfu, wystygłe paskudztwo. Chyba niewarte swojej ceny. Biała herbata dla koneserów. Ileż to rzeczy potrafią ludziom wcisnąć, dobudowując do tego ideologię! Upiwszy z obrzydzeniem kolejny zimny łyk bladej goryczy, ze wzdrgnąciem rozejrzał się po bogato umeblowanym pokoju. I po co się tak starać, skoro za chwilę mogą to zagarnąć, odebrać, zlicytować?

Kiedy wreszcie zdołał odbudować życie osobiste, gdy już miał dla kogo gromadzić, wszystko to zdawało mu się stawianiem zamków na piasku. Czy to nie groteskowe?

To, co działo się w sejmie, ta piekielna frakcja, która przejmowała tam kierownictwo, w której zaczął się ten pętak z prowincji, to zero. Wywinął się od pierdla tylko dzięki własnej zgniliznie moralnej, stosowaniu ubeckich metod. Och, Paweł mógł go posadzić, ale robak wysmyknął mu się w ostatniej chwili, nagrywając kompromitujący materiał na jego brata, Matiego.

Ano właśnie, Mati. Kolejne utrapienie, jeszcze jedno brzemię, które trzeba będzie udźwignąć.

Paweł wstał, zaczął krążyć po gabinecie. Nie dość, że brat dostał solidne cięgi podczas sporu o majątek, bo jak się okazało, Karolina nie poprzestała na przejęciu ich wspólnego mieszkania i sąd ustanowił zabezpieczenie na koncie Matiego, nie dość, że mogło dojść do ograniczenia jego praw opiekuńczych, to ostatnio, o zgrozo, tego idiotę zwolniono z pracy, bo – jak się Pawłowi obilo o uszy – ponoć dla kawału chciał podpalić szefowi dom.

Paweł niewidzącym wzrokiem spoglądał w okno, z przerażeniem przypominając sobie piekło, które wybuchło, gdy brat oznajmił rodzinie, co się zdarzyło. W efekcie wszyscy się pożarli, po czym Mati huknął drzwiami i wyszedł, a matka pierwszy raz od lat musiała zażyć leki nasercowe. Co się z tym chłopakiem działo? Jak do tego doszło? Przecież do tej pory przynajmniej karierę traktował śmiertelnie poważnie.

A jeszcze ostatnio po rodzinie zaczynały chodzić słuchy, że to nie koniec złych wiadomości. Były dalsze rewelacje, jeżące wszystkim włosy na głowie.

Jakby tamtego było mało, podobno Mati zaczął się prowadzić – niech Bóg ma go w swej opiece – z mężatką obarczoną dwójką dzieciarów. Doniósł im o tym Piotruś, który spotkał rozbawioną parkę w klubie. Z początku nikt w rodzinie nie chciał dać temu wiary. Jednak Piotruś klął się na wszystkie świętości, że tak było. Zresztą znał tę kobietę z widzenia, ponoć była prezenterką w jakiejś stacji muzycznej, a jej mąż był znanym pisarzem. Na pełne niedowierzania pytania, które padały z ust zebranej przy niedzielnym obiedzie gromadki Wencłów, zazwyczaj zamknięty w sobie Piotruś odpowiadał tym razem nader wyczerpująco.

To szemrane małżeństwo było najwyraźniej popularne w podejrzanych kręgach, tych samych, w których obracał się najmłodszy Wencel. Kobieta rzekomo znana z ekscentrycznych zachowań, opisywana była przez Piotrusia jako „wiecznie naćpana zakręcona blondynka wyglądająca, jakby w każdej chwili miała zwalić się z nóg”! Matko Chrystusowa! Trzymali to w tajemnicy przed ojcem, który szczęśliwie tego dnia pojechał na masaż kręgosłupa i jak na razie o niczym nie wiedział.

Tymczasem on, Paweł, miał własne problemy, o których trzeba było myśleć, i nie zamierzał się zajmować tym skrajnie nieodpowiedzialnym bratem więcej, niż to było konieczne. Wkrótce własna rodzina mu się powiększy, miał na głowie masę obowiązków – choćby nadzór nad budową domu, który stawiali z Agą pod Warszawą. Pragnął móc się tym cieszyć w spokoju, ale nie sposób było się odprężyć, nie dało się żyć normalnie, gdy co i raz dochodziły do niego zatrważające wieści, jak nie rodzinne – to polityczne. Wystarczyło nieopatrznie włączyć stację informacyjną, by usłyszeć nowe doniesienia o kolejnych biznesmenach, do których domów pukali panowie w kominiarkach o szóstej nad ranem.

Mecenas Wencel starał się być ślepy i głuchy na to, co docierało z mediów, nie oglądał wiadomości, omijał niektóre artykuły prasowe, minimalizował napływające informacje, ale nie dawało się od tego uciec. Słyszał to w rozmowach kolegów po fachu, w narzekaniu warszawskich taksiarzy, w lamencie ojca. Banda szaleńców, która zdobyła władzę, weszła na niebezpieczną ścieżkę. Nie chciał być czarnowidzem jak jego starszy, ale nasuwało się pytanie, czy to zero, ten padalec Kwaśniak, nie był przypadkiem jakimś kołem zamachowym tych ostatnich wydarzeń.

Choć nie chciał się zamartwiać, bo prowadziło to wprost do szaleństwa, dobrze wiedział, że Kwaśniakowi było nie w smak, że on, Paweł, był w posiadaniu materiałów mogących tamtego wykończyć. Wiedział, że im bardziej Kwaśniak obrastał w piórka, tym mocniej doskwierała mu świadomość, że ktoś ma na niego haka. Czasem wręcz mu się zdawało, że Kwaśniak specjalnie piął się tak wysoko, żeby zdobyć większą władzę i rozprawić się z nimi wszystkimi raz a porządnie.

Z Agą nie rozmawiał o tym, bo był to jedyny temat, który wywoływał

konflikt w ich zgodnym stadle, a u niego dodatkowo paranoję. Aga parę razy usiłowała go namówić na atak frontalny, chciała te dokumenty wysłać do prasy, wahali się, spierali, bili się z myślami, jednak świadomość, co tamten mógł zrobić w akcie zemsty, studziła ich zapędy i to tak skutecznie, że do tej pory nie wykonali żadnego ruchu.

Zabezpieczyli jednak tajną księgowość i dowód na pobranie korzyści majątkowych przez Kwaśniaka, posyłając notarialnie poświadczony kopie za granicę, do zaprzyjaźnionej z Pawłem kancelarii angielskiej. W razie gdyby Kwaśniak próbował cokolwiek zrobić, dokumenty miały natychmiast ujrzeć światło dzienne.

To, co działo się aktualnie w PN-ie – przetasowania na najwyższych stanowiskach, dymisje, kompromitowanie kolejnych oficjeli – było złowieszcze. Kwaśniak nie musiał, ale mógł maczać w tym swoje obrzydliwe paluchy; pasowało to do jego pokreśnionej osobowości. Wyższe szczeble otworzyły mu coraz szersze pole działania i wskutek tego coraz więcej instrumentów państwowych mogło się stać od niego uzależnionych. Gdyby sobie wyobrazić, że Kwaśniak zwąchałby się z ludźmi odpowiedzialnymi za NOP, można by po-myśleć, że na jedno jego skinienie palcem oficerowie w kominiarkach w pięć sekund zwinęliby Pawła i Agę. Ciężarną Agę! Nawet gdyby brudy księgowy Kwaśniaka zostały opublikowane i by go oczerniły, to mogłyby poprzez media przekonywać, że dokumenty zostały spreparowane. Wszak były to typowe metody uprawianej przez nich propagandy w stylu Goebbelsa – zakłamywać fakty, negować oczywiste i zwałać na kogoś winę.

Kiedy leżał w łóżku bezsennie, zazwyczaj około piątej nad ranem, nachodził go wręcz paranoiczny lęk, ogarniała silna chęć zapakowania siebie i Agi do pierwszego lepszego samolotu, by wiać stąd jak najdalej. Było to tak przygnębiające i deprymujące, że trzeba było żelaznego charakteru, aby wstawać z łóżka, prowadzić interesy i normalne życie z żoną.

To, że jeszcze stąd nie wyjechał i że się gdzieś nie zadekował, aby przeczekać, było głęboko związane z pewnym rysem natury Pawła, który stanowił podwalinę jego charaktem – Paweł nie był tchórzem. Nie był tchórzem, co nie oznaczało wcale, że się nie bał.

Zdawałoby się, że ludzie z NOP-u nie mieliby za co go przymknąć, ale czy wiele potrzeba, żeby coś spreparować? Czy historia nie była pełna takich przypadków? Żelazną siłą woli zmusił się do skupienia uwagi na umowie, chwilowo odpędzając wizje panów w kominiarkach, stojących pod jego drzwiami w szarówce marcowego poranka.

Wtem – jakże à propos jego myśli – rozległo się pukanie do drzwi i mimo że było one ciche i nieśmiałe, aż podskoczył, a serce zaczęło mu bić szybciej.

– Proszę! – zawołał, bezskutecznie usiłując nadać głosowi przyjazny ton.

W otwartych drzwiach stanęła sekretarka z nieco tajemniczym wyrazem twarzy. Paweł natychmiast poczuł lekki niepokój.

– Cóż tam, pani Renato?

– Panie mecenasie, pani Beata Rząsa do pana!

Beata Rząsa? O wilku mowa! Wygadana posłanka PN-u, bezczelna prostaczka, szczekaczka telewizyjna, apologetka prezesa. Ki diabeł ją tu nasyła? Zdenerwowany, nie mając pojęcia, co ta wizyta może oznaczać, zerwał się na równe nogi i po kilku sekundach oznajmił oschłym, stanowczym tonem:

– Proszę zaprowadzić ją do konferencyjnej, podać kawy. Będę tam za dwie minuty.

Ledwo drzwi zamknęły się za sekretarką, Paweł już przypalał papierosa. Uchylił okno i stał chwilę, paląc i trzymając się za serce, po czym zduł niedopałek i zdecydowanym krokiem ruszył do sali konferencyjnej. Wszedł do środka spokojnie, dokładnie zamknął za sobą drzwi i podszedł się przywitać.

– Witam panią.

Uścisk dłoni, wymiana nazwisk, wreszcie zasiedli naprzeciwko siebie przy gładkim stole z czereśniowego drewna.

Już dawno założył, że z pomocą służb Kwaśniak może mu nasłać do kancelarii tajniaka, aby doprowadzić do prowokacji, więc od pewnego czasu, gdy tylko trafiał do niego nowy klient, za każdym razem dokładnie go sprawdzał. Gdy nie był w stanie ustalić, kto mu klienta przysłał, lub gdy klient utrzymywał, że trafił do kancelarii „z ulicy”, Paweł nie przyjmował zlecenia. Jeśli podejmował się prowadzenia sprawy, na wszystko brał kwity, często w obecności notariusza kazał podpisywać wszystkie dokumenty, aby w razie czego Kwaśniak nic nie mógł na niego spreparować.

Jednak do głowy by mu nie przyszło, że Kwaśniak przyśle w ramach prowokacji znaną gębę PN-u.

– Jak mogę pani pomóc? – zapytał po przedłużającym się milczeniu.

– Och, sama nie wiem, jak zacząć – odparła, kręcąc w palcach utleniony kosmyk.

– Kawy? Herbaty? – sucho zaproponował Paweł.

Zdecydowała się na herbatę. Podał jej cytrynę i cukier, pili herbatę w milczeniu, które w pewnym momencie przerwał Paweł.

– Może zapytam wprost. Skąd pani do mnie trafiła? Czy z polecenia?

– Można tak powiedzieć – odparła i wzruszyła ramionami.

– Czyli? – Paweł miał dość, czuł narastające dudnienie w uszach.

– Wiem o panu od Mirosława Kwaśniaka.

Oboje zamarli. Paweł, bo nie spodziewał się tak bezpośredniej odpowiedzi; sądził, że będzie głęboko skrywała znajomość z tą kreaturą. Ona, bo zdumiała się własną szczerością. W niewygodnych pozach tkwili naprzeciwko siebie niczym

zastygłe skamieliny, patrząc na siebie wyczekująco.

– Panie mecenasie – pierwsza odezwała się Beata – czy mogę mieć do pana zaufanie?

Milion myśli przelatywało przez głowę Pawła. Zanim odpowiedział, zdał sobie sprawę, że potwornie wychudła, od czasu kiedy przypadkiem widział ją w telewizji, w programie publicystycznym. Była zmarnowana, włosy miała w nieładzie, oczy podsiniałe, usta dziwacznie wykrzywione, jakby po niefortunnych eksperymentach ze sztucznymi zajzajerami odmładzania zapomniiała zaaplikować sobie następną dawkę, niezbędną do podtrzymania efektu.

Postanowił, że czegokolwiek od niego oczekiwała, w cokolwiek chciała go zrobić, jak bardzo uwikłać, on w żadnym wypadku do tego nie dopuści. Ukartowała ten manewr razem z Kwaśniakiem – to pewne, bo jeśli nie, to jakim cudem... Zaraz poprosi go o prowadzenie sprawy, a jeśli on się zgodzi, jego działania zostaną uznane przez Kwaśniaka za przekroczenie uprawnień, zgarną go do pierdła, postawią zarzuty i cholera wie, co zrobią Adze.

Lekko poczerwieniał i odparł nieznoszącym sprzeciwu tonem:

– W dzisiejszych czasach trudno o zaufanie, szanowna pani poseł. Natomiast zawód radcy prawnego zawsze wymagał wysokich standardów moralnych. A jeśli pyta pani, czy mamy obowiązek zachowania tajemnicy naszych kli-entów, to może być pani spokojna. Nic, co tu zostanie

powiedziane, nie ma prawa być powtórzone przeze mnie osobom trzecim.

Wpatrywała się w niego dłuższy czas, jak mu się zdawało, z jakąś desperacką nadzieją, po czym zaczęła mówić:

– Rok temu nawiązałam niefortunną znajomość z panem Mirosławem Kwaśniakiem. A właściwie to on nawiązał znajomość ze mną, dopiero dziś widzę, że uczynił to w określonym celu. Szybko przerodziła się w związek o charakterze... – Beata zawiesiła głos, wahając się, jakiego słowa użyć, lecz mecenas nie wyglądał, jakby zamierzał jej cokolwiek ułatwić. Zebrała się w sobie i nieco głośniej, jakby dla dodania sobie odwagi dokończyła: – Intymnym.

Paweł pochylił się lekko do przodu. Nie był zakoczony. Spodziewał się właśnie tego rodzaju pokrętnej bajeczki – pokrzywdzona kobieta, wykorzystana przez Kwaśniaka. Do czego ten obmierzły typ mógł się jeszcze posunąć, aby jego, Pawła, załatwić na amen? Brać go na litość, podsuwać kobietę? Czy ten szczer naprawdę myślał, że Paweł w to uwierzy?

– Proszę mówić – rzekł bez cienia emocji.

– W ciągu ostatnich miesięcy człowiek ten zmienił się nie do poznania. Mogę uczciwie stwierdzić, że stał się zupełnie kimś innym, i jeśli mogę być z panem szczerą, to chcę przez to powiedzieć, że obecnie jest kimś skrajnie niebezpiecznym.

– Co to znaczy? – Paweł założył nogę na nogę.

Swoją drogą, szczwany lis z tego Kwaśniaka. Skala jego machinacji była zatrważająca, musiał mieć do dyspozycji sztab ludzi, aparat władzy! Czy inaczej zdołałby namówić posłankę do prowokacji? Czyżby uważał, że już niedługo będzie żył w kraju, w którym przed nikim nie będzie musiał się tłumaczyć, że będzie bezkarny? Pawłowi włosy zjeżyły się na karku.

– Węszy spiski, uważa, że wszyscy chcą go utracić ze stanowiska, iż ktoś się na niego wziął, że musi mieć na wszystkich haki, bo inaczej ktoś go załatwi.

Paweł milczał, czekając na ciąg dalszy.

– Powiem w skrócie, by nie zajmować pana godzinami, że znalazłam przy nim ciężkie leki psychotropowe, stosowane na schizofrenię.

Paweł nie okazał żadnych emocji.

– Niech pani mówi dalej – zachęcił lodowatym tonem posłankę.

– Nie mogłam w to uwierzyć, ale zaczęłam dużo o tym czytać i przypominać sobie coraz więcej szczegółów, które potwierdzały tę niewiarygodną dla mnie wersję.

– Jakiego typu zachowania, oprócz tych nieustannych paranoi, każą pani przypuszczać, że ten człowiek, z tego, co wiem, minister w waszym rządzie, cierpi na tę ciężką przypadłość?

– Chorobliwie bał się niektórych ludzi i wciąż wydawało mu się, że przeciwko niemu spiskują, miał ataki paniki, był święcie przekonany, że w hotelowym telefonie jest podsłuch, a w jedzeniu trucizna – wyliczyła Beata.

– Cóż, wasza partia faktycznie sprzyja rozwojowi takich zachowań.

– Tak, ale pan nie rozumie...

– Rzeczywiście, nie rozumiem.

– To on wraz z ministrem sprawiedliwości załatwili ministra spraw wewnętrznych – wyszeptała, patrząc z przerażeniem na Pawła. – Wcześniej utracił kilku innych, ale do tej pory nie byłam pewna, a może nie chciałam przyjąć tego do wiadomości. Panie mecnasie, on jest nieobliczalny!

– Wie pani co? – Paweł miał tak ściśnięty żołądek, że zrobiło mu się słabo. – Jestem zaniepokojony, żeby nie powiedziec przestraszony pani historią i tym, co opowiada pani o kulisach funkcjonowania waszej partii. Myślę jednak, że przyszła pani pod niewłaściwy adres. Jeżeli ma pani dowody na popełnienie przestępstwa, bo chyba to próbuje pani powiedzieć, to proszę zwrócić się do policji, prokuratury – to są właściwe organy.

– Ale ja wiem to z tajnego źródła, nie mam dowodów, ktoś mi to wyjawiał w zaufaniu – odparła drżącym głosem posłanka.

– Wciąż nie rozumiem, czemu przyszła z tym pani do mnie – powiedział niemal groźnie Paweł.

W salce konferencyjnej zapanowało tak silne napięcie, że zdawało się, iż za chwilę nastąpi eksplozja. Paweł poczuł, że wilgotnieją mu dłonie. Beata

Rzasa-Pracz spurpurowiała na twarzy.

– Przyszłam do pana, bo czuję się zagrożona. – Zdawało się Pawłowi, że miała problem z uporządkowaniem wypowiedzi. – Teraz Kwaśniak poluje na mnie.

– Skąd ta pewność? – rzucił sucho, niemal opryskliwie.

– Mam wrażenie, że mnie przejrzał. Ma świadomość, że ja wiem, iż jest chory!

– Rozmawiał z panią o tym? – spytał niechętnie Paweł.

– Po powrocie z tych okropnych wakacji chciałam się od niego odciąć, nie odbierałam telefonów. Gdy mi uświadomiono, że cierpi na schizofrenię, postanowiłam zmienić taktykę, udawać przed nim, że o niczym nie wiem, iż traktuję go normalnie, ale już było za późno. Wtedy to on przestał odbierać moje telefony, a gdy zamierzałam się z nim umówić na spotkanie, jego sekretarka mnie zbyła. Wygląda mi to na wypowiedzenie wojny, jestem w strachu, panie mecenasie, w wielkim strachu. Będzie chciał mnie zlikwidować, tak jak zlikwidował innych, czuję to...

Pięknie. Cudownie. Paweł miał ochotę kazać jej natychmiast opuścić kancelarię i z powodzeniem mógł się zdobyć na tak brutalny gest. Zachodził w głowę, na czym miała polegać prowokacja, bo wciąż nie miał najmniejszych wątpliwości, że chodzi o prowokację.

– Ale skąd pomysł, żeby przyjść z tym do mnie? – drażył uparcie, ledwo panując nad głosem.

– Usłyszałam o panu właśnie od niego i wiem, że jest pan jego wrogiem, opowiadał mi o panu. Pomyślałam, że jesteśmy teraz po tej samej stronie barykady.

– Szanowna pani, nie jestem członkiem waszej partii i nie będę budował z panią frakcji, proszę mnie w to nie mieszać. Z tego, co pani mówi, jest to sprawa kryminalna, mogę pani dać adres, pod który należy się zgłosić. Nie zajmuję się prawem karnym. Jak pani wie, jestem radcą prawnym, pomagam w sprawach gospodarczych, więc jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, chciałbym zakończyć nasze spotkanie i...

Powściągnął dalsze słowa, bo posłanka wyglądała na porażoną jego reakcją. Cokolwiek to miało znaczyć, nie będzie miał z tym nic wspólnego, obiecał sobie ponownie. Za daleko to wszystko zabrnęło, do cholery jasnej.

– Błagam, niech pan tego nie robi. Niech mnie pan nie odsyła. Nie mam się do kogo zwrócić – powiedziała łamiącym się głosem.

– Jak wspominałem, nie jestem karnistą. Nie czuję się kompetentny do udzielania pani jakichkolwiek rad, ale jeżeli ktoś nastaje na pani zdrowie czy bezpieczeństwo, to doradzałbym...

– Widzę, że pan się mnie obawia, boi się pan, że on mnie przysłał. Teraz wszyscy mnie unikają, nikt mi nie ufa, nie chcą się ze mną kontaktować. Są ludzie, którzy mogliby nam pomóc, gdyby to pan z nimi porozmawiał. Ze mną nie zechcą,

jestem spalona.

– W partii mają panią za szpiega owego Kwaśniaka, dobrze zrozumiałem?

Ładna historia. Albo ta gnida uknuła tak przewrotny plan, albo rzeczywiście... Ale nie, nie nabierze się na te banialuki.

– Panie mecenasie, w NOP-ie pracuje młody oficer, który nie cierpi Kwaśniaka. Pamiętam, jak Kwaśniak powiedział o nim, że to wredny typ i że trzeba będzie się nim zająć. Nazywa się Jastruń. Jest oficerem, dowodzi jednostką, on by nam pomógł Kwaśniaka powstrzymać! Trzeba mu tylko przedstawić dowody, że Kwaśniak jest chory, że to on wrobił Kaźmierczaka.

– W takim razie niech pani się do niego zwróci.

– Chciałam to zrobić, ale pod opieką prawnika.

– Jak mówiłem, nie zajmuję się prawem karnym. Szanowna pani, czy to już wszystko? – Paweł ledwo panował nad głosem, w głowie miał kompletny chaos.

– Co z pana za człowiek! Jak mam iść sama, skoro niewykluczone, że ktoś za mną chodzi. Kwaśniak jest w doskonałej komitywie z Palimąką, wyświadczają sobie nawzajem przysługi. Co poradzę sama jedna przeciwko całemu aparatowi? Oni na mnie polują, ja to wiem. Zasłaniam w domu firanki, nie wychodzę wieczorem, łykam tabletki uspokajające. W partii szerzy się atmosfera paranoi, jedyny bliski mi człowiek został bardzo brzydko potraktowany, nagrano go w okropnej sytuacji. Odciął się od świata, znikąd nie mam pomocy. Siłą rzeczy mężowi nie mogę nic powiedzieć, jestem bez wyjścia!

– A co z policją, prokuraturą? – zapytał głucho Paweł, choć doskonale zdawał sobie sprawę, że jeżeli Kwaśniak kontrolował Ministerstwo Sprawiedliwości, to mógłby bez trudu się dowiedzieć o wizycie tej posłanki w prokuraturze. Trzeba było mieć dobre rozeznanie, do kogo tam uderzyć. On je miał... Nie, nigdy, przenigdy. Nie ulega wątpliwości, iż to perfidnie ukartowana pułapka. Jak może być na tyle nierozsądny, by w ogóle z nią rozmawiać! Na pewno to spotkanie jest nagrywane; namierzają go, by wykorzystać każde słowo!

Wiedziony nagłym strachem, chciał siłą wypchnąć tę kobietę z salki konferencyjnej, zdawało mu się bowiem, że pod żakietem ma kable, iż zaraz wpadną tu ludzie Kwaśniaka, by go o coś oskarżyć. Wprawdzie Paweł nie wiedział o co, ale owładnął nim tak silny lęk, że mało brakowało, a rozdarłby posłance bluzkę, by zobaczyć, co tam kryje.

– Co mam powiedzieć policji? Nic na niego nie mam – użalała się posłanka.

– Potrzebuję pomocy fachowca, żeby ktoś pomógł mi złożyć na niego doniesienie, posklejał to do kupy, zebrał ze mną dowody. Jeśli kazał mnie śledzić, jeśli się dowie, że poszłam na policję, to będzie absolutnie pewny, że chce go wydać.

– Jeśli kazał panią śledzić, to dowie się o pani bytność w moim gabinecie – zauważył Paweł, z trudem wydobywając słowa przez zaciśnięte szczęki. Niespokojnie lustrował ją wzrokiem, zafiksowany tylko na jednym – gdzie ukryła

urządzenie podsłuchowe.

– Byłam ostrożna, zmieniałam taksówki – zapewniła.

Na jej przegubie dostrzegł duży zegarek. Może zatem w zegarku!

– Bardzo mi przykro, ale nie mogę pani pomóc. Nic więcej nie mam do dodania, dziękuję za spotkanie. – Wstał, nogi miał jak z waty.

– Proszę pana. Bardzo pana proszę! – Złapała go za rękaw, wyraz jej oczu miał pozostać w jego głowie na zawsze. Wyglądała jak ktoś, komu grunt usuwa się spod nóg, kto już wie, że za chwilę runie w dół.

Gdy odprowadzał ją do drzwi, pochyliła głowę tak, by sekretarka nie dostrzegła jej twarzy. Minęli recepcję, Paweł podał jej płaszczyk. Wyszła momentalnie, zgarbiona, z dłonią przy ustach. Stał w progu jeszcze chwilę, patrząc, jak zbiegała ze schodów, po czym lekko zatrzasnął drzwi i okręcił się na pięcie. Napotkał wzrokiem przerażone spojrzenie pani Renaty.

W domu o niczym nie wspomniał Agnieszce. Całą noc nie zmrużył oka.

Pójście za pragnieniem

Miesiąc po rozwiązaniu umowy z Unitelem piękny niczym pogański bożek rozpusty, Mati polegiwał w mroku sztucznie zaciemnionego salonu, w oparach niedopitych drinków i pogaszonych niedbale papierosów. Upozowanie na kanapie demonstrowało luz psychiczny – nogi położył na stoliku do kawy, komputer na kolanach, palcami biegał po klawiaturze, od czasu do czasu zakładał ręce za głowę.

Mati zapuścił nieco włosy, nosił kilkudniowy zarost. Zmienił nawet sposób ubierania się. Awangardowe garnitury zastąpiły luźne sprane dzinsy i wytarty podkoszulek. Całość sprawiała wrażenie bardzo swobodne, na pierwszy rzut oka mogłoby się zdawać, że Mati jest wolny od trosk i w całości pochłonięty czynnością, której się oddawał.

Bystrzejszy obserwator jednak dopatrzyłby się u niego głęboko skrywanego niepokoju. Widać to było w nieruchomości spojrzenia, w neurotycznym, jakby kompulsywnym powtarzaniu pewnych gestów, w ostentacji prezentowanej pozy, jakby cechującej brak umiaru, w gwałtowności towarzyszącej zmianie pozycji i szukaniu wygodniejszego ułożenia ciała.

Wczoraj po raz pierwszy poróżnił się z Gonią.

Do tej pory było kosmicznie, bajkowo. Płynęli na wciąż wzbierającej fali wzajemnej fascynacji. Noce zlewały się z dniami i zdawało im się, podobnie jak wszystkim ofiarom zjawiska potocznie zwanego „chemią”, że wspięli się na wyżyny porozumienia niedostępnego innym śmiertelnikom, iż spotkało ich coś wyjątkowego, że byli w tym jedyni, specjaliści, wybrani. Adrenaliny dodawały szczególne okoliczności, w których się znaleźli.

Czuli się więc oboje jak ptaki latami więzione w klatkach, które uciekły i szybowały swobodnie wysoko nad ziemią. Ona w ostatniej chwili wyrwała się z nieszczęśliwego, jak się nagle okazało, małżeństwa, on zerwał powrozy duszącej go korporacji. Zresztą uczynili to pod wzajemnym wpływem, ocalili się od ponurej codzienności, była to dodatkowa okoliczność podnosząca temperaturę ich związku. Czuli, że wyratowali się z opresji, iż oboje byli już u krańca wytrzymałości i niebawem osunęliby się w przepaść zubożenia, zasklepienia w jałowej nicości, która mogła jedynie wolno i bezboleśnie zabijać, dzień po dniu.

Oboje czuli, że ich spotkanie nie było dziełem przypadku. Przecież byli wyjątkowi, nie zamierzali dać się stłamsić, pozwolić, by wtłoczono ich w drobnomieszczańskie ramy. Zarówno jego, jak i ją wprost zabijała codzienność, praca, rutyna, to, co zwykle nazywa się „normalnym życiem”.

To, że się odnaleźli, zdawało im się niewiarygodne. Pieprzone robienie jajecznicy dawało początek fascynującej rozmowie, głupie mycie zębów było zaczynem do miłości, nikt nie warczał o tubkę pasty, która odkręcona wyschła na wiór, tak że trzeba ją było rozcinać nożem. Zarówno intelektualnie, jak i zmysłowo

idealnie się dopasowali: oboje zachłanni, chętni spróbować wszystkiego – nawet zmierzyć się z największym tabu.

Mimo niesprzyjających okoliczności, ta zgodność umysłów i ciał dawała niezwykle poczucie ciągłości i oparcia. I choć zostali napiętnowani społecznie, oboje odnieśli wrażenie, jakby długo dryfowali na fragmentach rozbitych statków, a teraz nagle wzburzone morze wyrzuciło ich na brzeg rajskiej wyspy.

Byli sami wśród kokosowych palm. I cóż z tego, że niedługo mogło zabraknąć wody i pożywienia? Co z tego, że w razie wichury nie byłoby się gdzie schronić? Mieli przecież siebie nawzajem – piękni kochankowie na niebiańskiej plaży wśród muszelek i zbieleńszych patyków, rozleniwieni, wylegujący się bezwstydnie na gorącym piasku i spod leniwie przymkniętych powiek obojętnie obserwujący hipnotyzująco połyskliwe fale.

Żadne krakanie Pawła nie mogło tego zmącić. Żadne serwowane przez telefon wczesnym rankiem hiobowe wieści o kolejnych nieprzychylnych decyzjach sądu rodzinnego, o próbie odebrania praw ojcowskich, nie były w stanie sprowadzić Mateusza Wencla do parteru. Wiedział doskonale, czym to wszystko było podyktowane. Usiłowano przywieść go do przytomności, tak by znów dał się wpręgnąć w kierat, żeby gorliwie kręcił się jak naoliwiony trybik w tej wielkiej żelaznej maszynie, aby więcej nie zgrzytał, by się nie zacinał. Chciano go zmusić, żeby był taki jak dawniej.

Tymczasem on nie zamierzał być taki jak dawniej.

To zastraszanie, krakanie, wieszczenie czarnych scenariuszy, dokonywanie wyboru oparte na lęku, który nazywali rozsądkiem, już nigdy nie miało na niego zadziałać. A właśnie zjednoczona rodzina Wenclów w taki jedyny sobie znany sposób chciała wpłynąć na Matiego, aby porzucił to, jak określano, „szaleństwo”. Krewni akceptowali go, dopóki zachowywał fasadę, wpisywał się w konwencję, ale nie daj Bóg, jeśli by się wyłamał. Mógł robić, co chciał, dopóki był użyteczny – czytaj, póki zarabiał. Przymykali oczy na to, że zdradzał Karolinę, uznając, iż jego neurotyczne skłonności musiały mieć jakiś wentyl.

Lecz gdy wczoraj wieczorem podczas kolacji w Konstancynie zapytany, kiedy wreszcie zamierza rozejrzeć się za normalną pracą, odparł, iż na razie chce się zająć samorozwojem, pokazali, na co ich stać. Najpierw zbaranieli, nie dawali wiary, sądzili, że żartuje, próbowali wymóc zapewnienie, iż to chwilowe, przejściowe, ponieważ odreagowuje.

Nie chciał im mówić, co dokładnie planował robić, ale sprowokowany przez niepohamowaną babkę Wenclową, wypalił niemal bojowo, iż zamierza pisać. Wiele lat o tym myślał, skrycie tego pragnął, odłożył trochę gotówki, o cóż tyle hałasu?

Z początku sądzili, że zamierza wrócić na uczelnię, pisać artykuły, aby zrobić doktorat, i choć byłaby to ryzykowna przerwa w karierze, z czasem

przekułały się w realny pieniąż. Przecież mógłby kształcić się dalej w marketingu, może miano go awansować w jakiejś filii? Doktorat z pewnością by mu nie zaszkodził, oby tylko w nim nie ugrzązł, wszak wiadomo, że zbyt długie odejście od zawodu we współczesnych czasach to niemal grób.

Najwięcej do powiedzenia miała babka Wencłowa, dla której pracą było tylko solidne machanie łopata. Jeżeli ktoś nie budził się przed świtem, aby harować jak w kopalni, niezmiennie wzbudzał jej podejrzenia i tylko oznaki bogactwa w postaci świetnych samochodów, domów i wakacji mogły uspokoić jej stroskane serce i upewnić, że żaden z wnuków nie schodzi na psy.

Pisać na uczelni mógł, póki nie zabierało to zbyt dużo czasu ani nie kolidowało z prawdziwą pracą. Przecież miał na myśli doktorat, MBA, z pewnością nie zamierzał – Boże uchroni – zająć się prozą? Chyba nie planował – był sprytny i doskonale rozumiał funkcjonowanie świata – dołączyć do najbardziej godnej pożałowania zgrai, zagłodzonej, prostytutującej się swołoczy? Niemożliwe, by ryzykował zaprzepaszczenie wszystkiego, co osiągnął, skoro był świetny w tym, co robił. Jaka siła nieczysta, kto konkretnie namawiał go, by zmarnował sobie życie?

Nieskory do awantur Mati, niechętny poważnym rozmowom o czymkolwiek, mataczył, zmieniał temat, żartował, słowem wolał uniknąć konfrontacji. Wczorajszego wieczoru po koszmarnej przeprawie w Konstancinie pił więcej niż zwykle, a późniejsze towarzystwo Gosi nie sprawiało mu dotychczasowej radości. Zaczęły go męczyć szczegółowe relacje o tym, co Gemba zrobił, jak ją zastraszał, jak przebiegle manipulował dziećmi. Tego wieczoru nie miał siły ocierać jej łez, stawiać jej do pionu, sklejać z rozbitych kawałków, zapewniać, że wspólnie pokonają ten trudny okres.

Chciałby ją zagarnąć tylko dla siebie, wyłuskać z tego kokona. Na Boga, ileż można słuchać o czyichś problemach, gdy miało się tyle własnych! Widząc jego zły humor, Gosia niemal spanikowała – nie wiedziała, co robić, by przywrócić spokój na jego chmurne oblicze. A że nie miała w sobie chłodnego opanowania Karoliny ani zdyscyplinowanego umysłu Antoniny, szybko rozsypywała się wewnątrz, kompletnie nieodporna na histerię kochanka. Padły między nimi słowa, których dziś Mati żałował. Wyszła w środku nocy, nawet nie wiedział kiedy.

Gdy otrzeźwiał, ogarnęły go wyrzuty sumienia. W domu Gosia miała piekło przez niego i potrzebowała azylu, stabilności. Jak mógł nią zachwiać, skoro rzucała dla niego wszystko? Nie miała tyle siły, co tamte dwie harpie. Była krucha i delikatna niczym porcelana kostna – mógł ją zetrzeć na proch jednym złym słowem.

Z samego rana postanowił się zabrać do pisania planu swojej książki, aby nie myśleć o komplikacjach, które wynikły pomiędzy nim a Gosią. Nawet

uporządkował kawałek stołu, zaparzył sobie kawę i usiadł nad otwartym laptopem, ale trapiące go różnorakie niepokoje nie pozwoliły mu należycie się skupić.

Chociaż nie było jeszcze dwunastej, poczuł, że w obliczu tego wszystkiego, co ostatnio zważyło mu się na głowę, nie da rady wziąć się do pisania bez czegoś mocniejszego. Chwilę się wahał, po czym nagłym ruchem odsunął komputer i podszedł do kredensu, gdzie trzymał mocniejsze alkohole, a następnie z głębokim namysłem napełnił szklaneczkę z grubym dnem.

Ojciec, babka, oni wszyscy wieszczyli mu zagładę. Zabawne. Wystarczył wieczór spędzony w ich towarzystwie, by odnieść wrażenie, że porusza się po moście zawieszonym nad bezdenną przepaścią.

Nerwowo wychylił drinka, poczuł chęć na papierosa. Usiadł na parapecie, tyłem do bajecznego widoku, opierając głowę o szybę i pałac z zamkniętymi oczami. Do jasnej cholery, przecież nie popełnił żadnego świętokradztwa. Nie zdradził ojczyzny, nie został żigolakiem, nie kapował na ubecji. Miał pełne konto, plan B, znajomości i wykształcenie. Dlaczego patrzyli na niego jak na odszczepieńca? Czemu uważali, że skacze w otchłań bez dna? Do tej pory wszystko mu wychodziło, jak Midas obracał wszystko w złoto, a teraz chciał tylko spróbować własnych sił w tym, co zdawało mu się... cóż... pociągające.

Wychylił drinka. Przecież nie jest głupim gnojkiem. Gdyby tylko skinął palcem, to z takim CV mógłby się zatrudnić, gdzie by tylko chciał. Maruszewicz już dawno proponował mu spółkę w agencji reklamowej, a gdyby tylko wyraził życzenie, co druga firma zwolniłaby dyrektora marketingu, by jego zatrudnić. Cieszył się taką famą, tylu ludzi było mu „dozgonnie wdzięcznych”, gotowych odpłacać się za przysługi, że mógł przebierać w ofertach.

Z jakiego powodu ta pieprzona rodzina próbowała go przestraszyć? Jeśli tylko najdzie go ochota czy potrzeba, to praca od razu się znajdzie. Od chwili gdy poweźmie taką decyzję, zatrudnienie się nie zajmie mu więcej niż dwa, trzy tygodnie. Nie żywił co do tego wątpliwości.

Czemu więc ten raban wokół jego osoby? Dlaczego próbowali zbić go z pantafyku? Znów dolał z butelki, której nie wypuszczał z dłoni. Na dodatek miał sporo na koncie – wystarczy na dwa lata spłaty alimentów. Jeśli nie uda mu się, stworzyć nic dobrego, to wróci do swojego zajęcia. W czym rzecz?

Jak najszybciej założy własną firmę, zacznie trzepać zlecenia na boku, a tym samym będzie miał upokumentowane dochody i sąd rodzinny uzna, że jest zatrudniony. Chyba na tym zależało tej przeklętej rodzinie. Rzeczywiście, pozostawanie bezrobotnym nie zadziałałoby na jego korzyść w oczach sądu rodzinnego i dlatego koniecznie powinien utrzymać ciągłość zatrudnienia. Przecież zamierzał to zrobić, mówił im o tym! Zapalił kolejnego papierosa i ze zmrużonymi oczami obserwował minimalistyczny salon.

Trzy przeklęte baby – starsza, młodsza i ta ich pieprzona adwokatka –

szukały tylko, czego by się ucześcić. Był tego świa-domy, nie musieli go dodatkowo tym straszyć. Dostatecznie dobrze zdawał sobie sprawę, że w nowotarskim sądzie miał niewielkie szanse na sprawiedliwość, jeżeli mamusia i córka zechcą grać nieczysto, a pewnie zechcą. Oprócz tego były skrajnie bezczelne. Nawet gdy sędownie miał przyznaną wizytę, robiły, co mogły, by nie spotkał się z synem. Tak jak tydzień temu – ujechał się jak dziki, a dzieciaka nawet nie powąchał.

Do furtki wyszła ta wrona i pośród jazgotu szczerzących kły i skaczących na siatkę owczarków podhalańskich wykrzyczała, że mały chory i Mati nigdzie go nie zabierze. W aucie czekała Gosia, która doradziła mu wezwać policję, ale Mati uznał to za bezsensowne. Parę razy wzywał policjantów, sukinkoty nigdy w niczym nie pomogły, byli jak lokalna Camorra. Rekrutowani z podhalańskiego ludu, wielcy i czarnoocy, byli zapewne kuzynami Pęksów – wszak w ich okolicy wszyscy mieszały się w jednym kotle. Nazwiska wciąż mieli te same, a rysy niewyraźne, jakby od tych kuzynowskich związków wyhodowano zbiorowy debilizm. Karoliny nie zobaczył, nie mówiąc już o dziecku. Gdy odjeżdżał, miał chęć przyrpać autem w pobliski mur, ale powstrzymał go ostrzegawczy okrzyk Gosi. W ostatniej chwili wdepnął na hamulec, zatrzymali się milimetry od przeszkody.

Wysączył drinka do ostatniej kropli. Ach, wszystko to i tak nieważne, grunt, że nareszcie spadł z niego ważący milion ton ciężar, skończył się kopalniany wyzysk. W sumie dobrze się stało, jak się stało. Gorzej niż w tym obłudnym wyścigu szczurów być nie może. Wypróbuje siebie, przekona się, na ile go stać, dowie się, z jakiej gliny jest ulepiony.

Jeśli praca na własny rachunek nie okaże się na tyle dochodowa, aby mógł spędzać czas tak, jak lubi, to przecież może wrócić do korporacji. Miał miliony znajomości, był legendą w swojej branży – trudno sobie wyobrazić, by ktoś tak zdolny jak on, z takim CV i portfolio, z takim doświadczeniem i studiami za granicą nie znalazł pracy.

Nie robił niczego karkołomnego, miał wszystko obcykane, był jak mistrz szachów – nie wykona ruchu, nim sto razy się nie zastanowi. Na spokojnie otworzył firmę, którą zasilił na razie *kick back*^[25] od Maruszewicza. Ten chujek zapłaci mu i to nie ze względu na lojalność ani nawet z obawy, że kontrakt nie dojdzie do skutku – wszak Mati nie miał już na niego bata, nie był władny cofnąć kontraktu, straszyć Maruszewicza. Jednak on doskonale wie, że prędzej czy później Mati osiadzie na jakimś lukratywnym stanowisku i że znów zarobi przy nim mnóstwo hajsu, nie zaryzykuje więc, by nie zapłacić tego, co jest winien Matiemu. A skoro tak, to powinny wpłynąć od niego jeszcze dwie stówki, i to przed końcem maja.

Czemu więc nie wyskoczyć z Gosią gdzieś na weekend? Oderwą się od tego wszystkiego, wyluzują. Od rana ten pomysł chodził mu po głowie. Był zmęczony całą sytuacją, a balangowanie w warszawskich klubach nie przynosiło poprawy nastroju.

Chodzili tam z Gosią po kilka razy w tygodniu, mieli potrzebę kontaktu z ludźmi, a wszyscy znajomi odwrócili się od nich z chwilą, gdy wyszła na jaw historia o ich związku. Balowanie w klubach było jedyną odskocznią, zresztą poznali tam nowych ludzi. Była to jednak przykra zamiana, ponieważ przy bliższym poznaniu ludzie ci okazywali się odszczepieńcami społecznymi, kolekcją dziwadła, a tak naprawdę życiowych nieudaczników. To było trochę jak balowanie ze zgrają zombie, które nocą wyłaziły ze swych mieszkań, by uciec od koszmaru własnego życia. Nie było to dla nich dobre towarzystwo, wiedzieli o tym, jednak innego na razie nie mieli.

Po ich stronie nie stanął nikt – nawet tak zawsze wyrozumiała Justysia. Nie to, że zamierzali się tym przejmować. Uznali, że taki jest świat i jego powierzchowne osady. Mati ponownie napełnił szklaneczkę i upił z niej odrobinę, po czym wrócił do komputera, lecz zamiast uruchomić worda, wszedł do internetu i wyszukał tanie bilety. Pojawił się Londyn. Czemu nie? – pomyślał. Mnóstwo klubów, a do tego światowy blichtr, ekskluzywne knajpy, ciuchy, imprezy... Może wyjazd poprawiłby im nastroje? Przywrócił ginącą gdzieś jedność?

Z nową energią umościł się w fotelu. Fantastycznie wyglądała ta staroangielska knajpa zachwalana w *trip advisorze*. Ceny od 100 funtów za zakąskę? No i? Przecież raz się żyje. Pokaże swojej artystce, jak on zwykł jadać, żeby poczuła różnicę między nim a standardami męża. Apartament w Savoyu też był bająco drogi, ale niech dziewczyna wie, że czasy biwaku odeszły w niepamięć. Pokaże jej, jak się bawić w najlepszym stylu, a potem wrócą do Polski szczęśliwi, pełni energii. Wtedy z nową ochotą weźmie się do pracy. W końcu kto jak kto, ale ci, co zamierzają tworzyć, na pewno potrzebują inspiracji.

Tydzień później w wielokulturowym barwnym tłumie, który stanowi klientelę barów i kawiarni strefy wolnocłowej, oczy przejezdnych skupiały się na nietuzinkowej parze.

Na lotniskach można było zobaczyć mnóstwo oryginalnie ubranych ludzi z najdalszych zakątków świata. I tu też przy barze stała grupa hałaśliwych Skandynawów wystylizowanych na współczesnych wikingów, z dziwacznie poupinanymi włosami, w skórzanych płaszczach i bająco drogich wełnianych swetrach. Tuż obok ulokowały się do złudzenia przypominające postacie z mangi japońskie nastolatki o różowo-czarnych włosach, w koronkowych krynolinach. Jednak właśnie tamta para w rogu sali przyciągała wszystkie spojrzenia.

Kobieta o ulizanych na żel platynowych włosach, cała piegowata, ubrana w czarne undergroundowe skóry, mimo tej stylizacji miała w sobie klasyczne dostojęstwo. Chociaż nie przestawała się śmieć i szczebiotać do siedzącego naprzeciwko niej mężczyzny, z jej oczu wзираł smutek, jakby wisiał nad nią wyrok. Mężczyzna wydawał się skupiony tylko na niej. Koił jej lęki, przytulał ją, głaskał, nawet gestykulując i opowiadając coś, wciąż szukał z nią fizycznego

kontakty. Zdawałoby się, że choć mieli świat przeciwko sobie, przynajmniej mogli liczyć na siebie nawzajem. Coś w ich zachowaniu, wyrazie twarzy, podpowiadało bezstronnym obserwatorom, że para jest na bakier z ogólnie przyjętą moralnością, a ich hałaśliwie demonstrowana wesołość, niemal hulaszczność, ma w sobie coś z atmosfery balu na tonącym Titaniku.

Może i zdawaliby się parą idealnych romantycznych kochanków, gdyby mężczyzna co jakiś czas na ułamek sekundy nie podnosił wzroku na przechodzące kobiety. Wyglądało, jakby robił to niemal wbrew własnej woli, jakby średniowieczny kusy, zadomowiony w jego dorodnym ciele, uparcie odwracał jego spojrzenie w kierunku mnożących się wokoło wcieleń kobiecego piękna. Trzeba oddać mu sprawiedliwość, iż dzielnie się opierał, dając zdradliwemu kusicielowi odpór, lecz tamten wszechmocny, niczym niechciany lokator znający zwyczaje gospodarza, wciąż stosował nowe sztuczki i niezmiennie triumfował.

Wyglądająca na bystrą, platynowłosa kobieta również rejestrowała ten teatr, mając przy tym pobłażliwy uśmiech melancholijnej akceptacji, jakby przyjmowała tego „trzeciego” z dobrodziejstwem inwentarza. Doprawdy można było podziwiać jej dojrzałość, dystans.

Mati, bo to on był owym kawiarnianym hipnotyzerem, wyglądał, jakby wreszcie znalazł się w swoim żywiole. Wcale nie przypominał neurotyka walczącego z komputerem. Świetnie ubrany, w doskonałym towarzystwie, w centrum uwagi przypadkowego otoczenia, czuł się jak ryba w wodzie, tak dobrze jak człowiek jego pokroju mógł się poczuć w podobnych okolicznościach.

Zmysłowy półuśmiech nie schodził mu z ust, a stan lekkiego upojenia alkoholowego, w który zdążył siebie i Gosię wprowadzić, usposabiał go do wspinania się na wyżyny własnej elokwencji. Rozśmieszał ją i siebie do łez, po czym poważniał na moment tylko po to, by zaatakować znowu. Ideałem zabawy było, żeby nie śmiać się zbyt wyzywająco i być wciąż na krawędzi między absurdem a zbudowaną przez siebie seksowną rzeczywistością.

To była złota zasada, której trzymał się niezmiennie.

Pili kolejną minibutelkę wina, niewyróżniającego się smakiem, ale na pewno mogącego się poszczycić najbardziej wygórowaną ceną. Jedli najbardziej wyszukane przekąski, jakie barek mógł zaoferować, a ta obecna sytuacja wprowadzała ich w stan, którego nie zawahaliby się nazwać „szczęściem”.

Wylot samolotu się opóźniał, siedzieli tu ponad półtorej godziny, ale czas wcale im się nie dłużył. Jedyne, co męczyło Mateusza, to że co i raz lekko trzeźwiał. Nie cierpiał podróżować samolotem, wciąż więc coś popijał, aby utrzymywać odpowiedni poziom rauszu. Lada chwila mogli ich wezwać do stawienia się przy bramce, a on znów poczuł lekkie nerwy – nieomylny znak, że nie był dość ubzdryngolony, aby spędzić ponad godzinę w powietrzu na kompletnym luzie, tak jak lubił.

Przywołali kelnera i znów zamówili dwie małe buteleczki wina, a do tego solone orzeszki. Właśnie chciał pokazać Gosi na swoim telefonie, jaki *penthouse* dla nich wynajął, gdy kątem oka dostrzegł znajome gęby – Jarka Toczyńskiego i kolesia, którego nazwiska nie pamiętał, pracującego w wielkim domu mediowym. To dzięki zleceniom od Matiego zarobili kokosy. Obaj wyelegantowani, kręcili się bezradnie z tacami, szukając wolnych miejsc w napchanym ludźmi barze. Tak się złożyło, że jedyne wolne krzesła znajdowały się przy Matim i Gosi.

Po chwili Toczyński ich zauważył.

Mati – jako ten ważniejszy – pierwszy kiwnął mu zapraszająco głową, Toczyński odklonił się z lekkim wahaniem, a następnie szepnął coś swojemu towarzyszowi, który ukradkiem zerknął w kierunku Matiego i natychmiast uciekł spojrzaniem w inną stronę. Że niby go nie poznał?

Mężczyźni wymienili między sobą parę uwag, plecami do Matiego i Gochy. Ten z domu mediowego zdawał się wskazywać wolne miejsce w sąsiednim barku. Nie odwracając się do nich, skierowali się ku wyjściu. Uznali, że nie warto się już z nim liczyć czy co? Dlatego, że od dwóch miesięcy nie pracuje w Unitelu? Skurwysyny, obaj zarobili dzięki niemu majątek!

Matiemu trzęsły się dłonie, gdy rozlewał sobie i Goni resztki z ostatniej minibuteleczki. Skurwiele nawet nie podeszli się przywitać, szybko opuścili barek. A może wyrażali dezaprobatę wobec ich kontrowersyjnej sytuacji? Ponoć ten pieprzony Gemba opowiadał o nich na prawo i lewo niestworzone historie, próbując podważyć zdolność Gosi do opieki nad dziećmi. Szczęśliwie ona nic nie zauważyła, siedziała z ciemnymi okularami na nosie i porozumiewawczym rozanielonym uśmiechem na ustach, trzymając jego dłoń w swoich rękach. Ujął ją pod brodę i ostentacyjnie pochylił się w jej kierunku, by wycisnąć na jej ustach całusa, po czym rzucił:

– Zbieramy się. Czas na nas.

Postanowił, że ta jawna demonstracja lekceważenia nie zrobi na nim wrażenia. Wstał i zaczął zbierać ze stołu walające się tam rzeczy. Między butelkami, kieliszkami i plastikowymi naczyniami leżał rozłożony laptop, zakupy ze strefy wolnocłowej – szkocka, czekoladki i papierosy – telefony komórkowe i mnóstwo innych pierdół. Niewprawnie pakował to do walizek podręcznych, nagle ogarnięty potrzebą zaprowadzenia w tym wszystkim jakiegoś ładu.

– Rusz się, pomóż mi! – ponaglił wygodnie usadowioną w fotelu, rozleniwioną Gosię.

Pomacał się po kieszeniach marynarki, bo chwilowo nie mógł zlokalizować kart pokładowych. W końcu po minucie nerwowego przeszukiwania kieszeni znalazł karty w wewnętrznej kieszeni skórzanej marynarki. Wsunął je tam przecież razem z portfelem. Uspokojony przynajmniej co do tego, podjął nerwowe zbieranie ich rzeczy z zatłoczonego stołu. Sięgając po torebkę Goni, która chyba zsunęła się

z krzesła, za ledwie lekko potrącił stół, to jednak wystarczyło, by przewróciła się stojąca na tacy butelka wina i popchnęła ustawioną na brzegu szklankę, która spadła na podłogę, roztrzaskując się na milion kawałków.

Kilka głów zwróciło się w ich kierunku, Gosia prychnęła niekontrolowanym śmiechem na widok miny Matiego – dla niej to była nadal świetna zabawa. Dwóch kelnerów już leciało do nich z mopem i zmiotką.

Dziwnie podrażniony blahym zajściem, Mati nerwowo kończył upychanie rzeczy do walizek, potem chwycił Gosię za rękę, aby skierować się w stronę właściwej bramki. Wesoła beztraska czmychnęła bezpowrotnie, nagle stał się milczący i poważny. Cała sytuacja wracała do niego jak bumerang. Mimo że był dziabnięty, prowadził Gosię całkiem sprawnie przez kłębiące się tłumy.

Dopiero gdy zajęli miejsca w samolocie, odrobinę odtajał, tłumacząc sobie, że podobne wyrazy braku szacunku i arogancji były niejako wliczone w ścieżkę, którą postanowił kroczyć. Czy ta jawna demonstracja lekceważenia rzeczywiście go bolała? Czy go upokorzyła, czy też ją olewał? Długo się nad tym zastanawiał i choć zdawało mu się, że był ze sobą bardzo szczery, nie umiał jasno tego określić, nieświadomy, że dawno wystartowali, a Gosia usnęła, zgrabną główkę opierając na jego ramieniu i tuląc do piersi torebkę.

Ocuciło go pytanie stewardesy, czy życzy sobie czegoś do picia. Ożywił się, uznał, że whisky zniweluje niesmak, uśmierzy bezsensowne wahania, urywane durne myśli, oscylujące wokół zagadnienia, czy z opinią innych ludzi warto się w ogóle liczyć.

Delikatnie przesunął Gosię w stronę okna, opierając jej głowę na zwiniętym w kłębek szalu. Mruknęła coś przez sen, a on wstał, by znaleźć portfel. Znów przez chwilę nie miał pojęcia, gdzie go szukać. Ach, prawda. Bilety i portfel spoczywały w kieszeni skórzanej marynarki, zbyt ciepłej, by siedzieć w niej w samolocie. Włożył ją pewnie do luku bagażowego nad głową. Chciał wyjąć portfel, by kupić półlitrową whisky.

Otwierając klapę luku, lekko się zachwiał, musiał oprzeć się o siedzącego po drugiej stronie przejścia mężczyznę, którego natychmiast przeprosił. Zazwyczaj kontrolował ilości wlewanego w siebie alkoholu, był na tym punkcie bardzo czuły, nie znosił tracić samokontroli. Widać jednak, że czujność nie dopisała, wcześniej nie zdarzyło mu się zatoczyć się na kogoś, czy w jakikolwiek sposób ukazać zewnętrznemu światu, że jest nietrzeźwy. Postanowił nie dręczyć się tym przynajmniej tego dnia. Incydent z przekłętymi kolegami z branży, których interesowało tylko, skąd wieje wiatr, dobitnie unaoczniał mu słuszność własnej decyzji.

Zamierzał przynajmniej przez jakiś czas trzymać się od tego światka z daleka, ulgą napępiała go świadomość, że na razie go na to stać. Naturalnie, obecnie nie mógł się cieszyć pełnym komfortem finansowym, jak to było kiedyś –

szybko nalał whisky do plastikowego kubeczka, dopełniając go colą – ale sytuacje idealne nie istnieją. Zresztą aktualne przeżycia miały w pełni rekompensować tamte braki.

Ukradkowo powąchał włosy Gosi, dyskretnie je ucałował. Wciąż spała. Najwyraźniej on musi pełnić w tym związku zarówno rolę kobiety, jak i mężczyzny. Uśmiechnął się prawie niezauważalnie, po czym upił łyk, a potem następny i kolejny. Napięte nerwy się rozluźniały, dramatycznie zawile życiowe położenie prostowało, a wszystko, co się działo, zaczęło się zdawać naturalną kolejną rzeczą.

Musiał odejść z Unitela, musiał przejść tę drogę wbrew Karolinie, Gembie, Pawłowi, ojcu, babce, ciotkom i pociotkom. Znalazł się w miejscu, do którego doszedł dzięki własnej konsekwentnej postawie. Przecież nie bez przyczyny mówiono o nim, że zawsze spada na cztery łapy. Odchylił głowę i zapadał się w jakąś bezdenną rozkosz, pozbawioną granic ram, czasu i przestrzeni. Łagodnie bujał w spowijającej go szarej mgle. Nawet nie poczuł, że samolot od jakiegoś czasu schodził do lądowania.

– *Your passport, sir.* – Z otchłani wyłoniła się wielka czarna twarz, zawieszona w niebycie. Potem z wolna, dookoła niej, niczym wokół Kota z Cheshire, materializował się zielonkawy uniform. Był to przedstawiciel jakiejś władzy, dodatkowo – nie Polak.

Mati mrugał oczami, nie miał pojęcia, gdzie się znajduje. Zazwyczaj gdy budził się na kacu, najpierw leżał nieruchomo, czekając, aż wróci mu świadomość. Tymczasem już stał na nogach, a przekłeta świadomość upierała się nie wracać. Mocował się z nią chwilę, gdy nagle dostrzegł opartą o siebie Gosię. Jak przez mgłę dotarło do niego, że znów są na lotnisku. Dudnił gong, kobiecy głos wzywał spóźnionego pana Takeuchi do natychmiastowego stawienia się do wejścia numer siedemdziesiąt osiem, jacyś przechodzący obok ludzie odwrócili się za nimi, ich twarze tężały od powstrzymywanych uśmiechów.

Potem światła zgasły, czarna woda zamknęła się nad głową Matiego.

Mały pokój, a właściwie pomieszczenie oddzielone przepierzeniem, nad nim kasetonowy plastikowy sufit pełen wywietrzników, przed nim biurko. Na biurku pocztówka przedstawiająca kwiaty i napis *Thank you for being so kind*^[26]. Za biurkiem kobieta, olbrzymia, ze świecą twarzą i czarnym warkoczem splecionym ciasno z tyłu głowy. Potężne piersi rozpychają zielonkawy mundur, podobny do tego, jaki nosił ten czarny widziany jakby w innym życiu.

– *Do you have any identification? Passport? Driving licence?*^[27]

Znów brak kontaktu przez długi, długi czas, po czym ponownie był wśród żywych, tym razem jednak znacznie bliższy świadomości.

Uzmysłowił sobie, że on i Gosia kompletnie zalani siedzą na plastikowych krzesłach, a dwóch umundurowanych gościów wyposażonych w walkie-talkie

dzwoni gdzieś przez telefon komórkowy.

– *Let them go*^[28] – zakomunikował metaliczny głos z radioodbiornika, niczym *deus ex machina*.

Potem szli ostrożnie, niemal chwiejnie, trzymając się siebie kurczowo jak para osieroconych dzieci, przez jakiś boczny korytarz o płaskich ścianach z pcv, przecinanych co i raz drzwiami z napisem *Staff only*, eskortowani przez czarnoskórą grubaskę. Gdy dotarli do końca korytarza, kobieta otworzyła im drzwi kluczem i wtedy ujrzeli zwykły lotniskowy ruch. Niektórzy ludzie kręcili się objuczeni walizkami, inni wyczekiwali, trzymając wysoko tabliczki z nazwiskami. Gdy mijali grubaskę, by wyjść na kolorową wolność, pełną reklam biur podróży, agencji wynajmujących auta oraz drogich zegarków, uśmiechnęła się współczująco, pogroziła im palcem i dobrotliwie powiedziała:

– *That's why you should never drink on the plane!*^[29]

Siedzieli w taksówce jadącej z Heathrow do Londynu. Mati walczył ze sobą, żeby oprzytomnieć. Wiedział, że Gosia siedzi koło niego, że wylądowali w Londynie i jakoś dostali się do taksówki. Zdawało mu się też, iż zdołał podać taksiarzowi nazwę hotelu, ale tego momentu nie pamiętał.

– *That'll be eighty nine pounds*^[30] – zagulgotał klasyczny *cockney*, który dyskretnie patrzył w okno, najwyraźniej zorientowawszy się, że pasażerowie są wstawieni.

Dopiero po kilku chwilach Mati zrozumiał, że poproszeni zostali o zapłacenie. Pewnym gestem sięgnął do kieszeni marynarki i nagle go zmroziło. Miał na sobie koszulę, marynarka musiała zostać w luku, wyszedł bez niej, nawet o tym nie wiedząc. Znalazł się w obcym mieście bez pieniędzy. Dopiero teraz dotarło do niego, skąd przestój na lotnisku, deliberowanie z celnikami. Próbowali ustalić jego tożsamość, bo nie mógł im okazać żadnego dokumentu – ani paszportu, ani dowodu, ani prawa jazdy nie miał przy sobie, najprawdopodobniej nie potrafił też niczego wyjaśnić. Nadal nie w pełni był sobą. Niby już pojął, co się stało, ale nie umiał wyrazić tego słowami, a nawet gdyby język nie odmawiał posłuszeństwa, nie miał pojęcia, co powiedzieć.

Tkwiał w bezrozumnym otępieniu, w niespotykanej u niego obojętności na to, co taksiarz o nim myśli. Po chwili poczuł, że Gosia szarpie go za rękaw, lecz widząc jego stan, zaczyna nerwowo przeszukiwać swoje kieszenie w poszukiwaniu portfela. Wreszcie go znalazła, wyjęła kartę i podała ją taksiarzowi. Mati poddawał jej poczynania beznamiętnym oględzinom, ani się ucieszył, ani nie ucieszył, że wyratowała ich z opresji.

Wysiadł wprost pod pędzące samochody, przeklinając i dziwnie się uśmiechając, przedzierał się wśród pisków opon i wściekłych klaksonów do eleganckiego wejścia, z którego jak złośliwie wywalony język, wysuwał się czerwony dywan. Skurwiel wysadził ich po przeciwnej stronie ulicy, choć słyszał,

że jadą do Savoya.

Mati pierwszy wtoczył się w wąskie wejście, nie zwracając uwagi na kłaniającego się odźwiernego w królewsko strojonej liberii. Gosia dogoniła go, gdy walił dłonią w dzwonek wzywający recepcjonistę. Para Japończyków, siedząca na sofie przy gigantycznym akwariu, niespokojnie zerknęła w ich stronę.

– Jak zapłacimy za pokój, skoro nie masz portfela? – zapytała Gosia.

– Nie martw się. – Mrugnął do niej, ocierając rozmazany tusz spływający jej po policzku. – Hotel jest *prepaid*.

Okazali jedyny paszport, który mieli. Recepcjonista zawahał się, ale sięgnął po formularz. Gdy skrupulatnie go wypełniał, obserwowali go w ciężkim milczeniu, uwieszeni nad mahoniowym kontuarem. Po chwili z drwiącym uśmiechem podał im kartę do pokoju. Mati już rozważał, czy nie odpowiedzieć na tę niemą zaczepkę, ale Gosia delikatnie pociągnęła go za rękę w stronę windy.

Korytarz na szóstym piętrze był długi i wyłożony grubymi dywanami, na których plątały się im nogi. Wreszcie znaleźli numer 607. Mati niecierpliwie szarpnął za staroświecką gałkę. Ich oczom ukazał się mikroskopijny pokoik, niemal w całości zajęty łóżkiem.

– Co to jest, do diabła? – Mati nerwowo okrążył łóżko, dopadł do zasłoniętego mięsistymi szarymi storami okna i gwałtownie szarpnął za kłamkę, by je otworzyć.

Tymczasem Gosia zamknęła drzwi, zdjęła okulary. Na jej zmęczonej twarzy malował się wyraz niezrozumienia, co Matiego dodatkowo rozsierdziło.

– Ale o co chodzi? – wyjąkała, osuwając się na łóżko.

– Co to za nora?! Myśli skurwiel, że trafił na pijanego Polaka, frajera, który pierwszy raz za granicę wyjechał, wydał sześćset pierdolonych funtów szterlingów i z pocałowaniem ręki weźmie, co mu dano?! – Ostatnie zdanie wyrzucił z siebie, z trzaskiem otwierając drzwi i z powrotem kierując się w stronę windy.

– Gdzie idziesz? – zawołała pobladłymi wargami Gosia, wybiegając za Matim.

– Idę powiedzieć temu skurwielowi za kontuarem, żeby nie próbował nas ruchać.

Pełen bladej furii, Mati energicznie pokonywał tę samą drogę, którą przybyli. Gosia drobiła za nim, błagając, by tego nie robił po pijanemu. Odwarknął, że tamten właśnie na to liczył, więc on tym bardziej nie zamierza siedzieć cicho! Gdyby był Angolem, nie ważyliby się tak go potraktować! Zapewne ten obwieś – z pewnością nie rodowity Anglik, wyglądał raczej na Serba – postanowił wcisnąć mu tę chałę, widząc, że Mati jest zahukanym Polakiem po paru głębszych. Już on mu pokaże zahukanego Polaka!

Gosia wpadła za Matim do windy, prosząc z płaczem, by nie robił awantury, tłumacząc mu, że jest wcięty, iż tylko napyta sobie biedy, a oni zepsują sobie

pobyty, co jeszcze bardziej zagrzewało go do walki.

Rozsierdzony wpadł do recepcji. Tym razem Serb siedział za biurkiem, wpatrzony w monitor. Poderwał głowę, widząc, że Mati zbliża się do niego z impetem. Japończycy, którzy prawdopodobnie czekali na przyjazd zamówionej taksówki, poderwali się z miejsc, słysząc odgłosy gwałtownej awantury. Z niedowierzaniem wsłuchiwali się w pijackie okrzyki wypowiedane doskonałą angielszczyzną, nie mogąc jednak wyłowić sensu przekazu, bo gniewny zarzut o skierowaniu do pokoju o niskim standardzie mieszał się, o ile ich słuch nie mylił, z dygresjami o oblężeniu Monte Cassino.

Recepcjonista straszył policję, co najwyraźniej zagrzewało pijanego mężczyznę do dalszej walki. Towarzysząca mu kobieta, równie wstawiona, ciągnęła go za koszulę, usiłując przemówić mu do rozumu, lecz nie robiło to na nim wrażenia. Gdy recepcjonista chwycił za słuchawkę, najpewniej by wezwać posiłki, arogancki przystojniak wyrwał mu ją i z trzaskiem rzucił na staroświeckie widełki. Kobieta zdecydowanym gestem odciągnęła awanturnika od kontuaru, błagając go o coś, przekonując, klarując, na co tamten dyszał jak rozjuszony niedźwiedź.

Japonka pociągnęła męża za rękaw i przemknęli obok ekscentrycznej pary, widząc jeszcze, jak recepcjonista skorzystał z faktu, że tamta dwójka była zajęta sobą, i natychmiast zatelefonował. Musiał się połączyć z pożądanym numerem, bo gdy Mati zwrócił się do niego z kolejną porcją argumentów, tamten nie raczył nawet odpowiedzieć, tylko siedział z podejrzaną zadowoloną miną.

Tymczasem Gosia wyszła na zewnątrz, musiała zapalić. Zdawało się jej, że całkiem wytrzeźwiała. Nerwowo przetrząsała kieszenie spodni w poszukiwaniu papierosów. Potem stała w angielskiej mżawce, trzymając papierosa w drżących palcach. Łapczywie się zaciągała, nie zwracając uwagi na towarzyszącego jej odzwiernego, gdy nagle ujrzała, że opustoszałym chodnikiem zbliża się angielski Bobby. W lot zrozumiała, że policjanta sprowadził recepcjonista, musiała więc ostrzec wciąż awanturującego się Matiego. Natychmiast odwróciła się twarzą w stronę hallu, włożyła dwa palce do ust i nie przejmując się gapiącym się na nią recepcjonistą, zagwizdała przeraźliwie głośno, podobnie jak *groupe* na koncercie rockowym. Mati zwrócił głowę w jej kierunku.

– Gliniarz! – zawołała.

Szybko zdeptała peta eleganckim kozakiem i z czarującym uśmiechem niewiniątka rzuciła się w stronę policjanta, aby uprzedzić atak. Czuła się już zupełnie trzeźwa. Pół godziny później wykąpana, odświeżona, jedynie w staniku i majtkach wyciągnęła się na obszernym łożu i spokojnie zapaliła papierosa.

Udało się przekabacić policjanta, jej czarująca arystokratyczna buzia i nienaganny angielski Matiego zrobiły swoje. Wprawdzie nie dostali lepszego pokoju, ale nie wylądowali w komisariacie, co w zaistniałych okolicznościach

wydawało się zwycięstwem nad perfidną podłością obsługi hotelowej. Bystre oko Matiego spenetrowało wnętrze minibarku i już po chwili dobre drinki były gotowe. Znów zapanowała między nimi idealna harmonia, stukali się szkłem, jakby świętowali wielki sukces.

Dopiero poranek przywrócił im przytomność umysłu, ukazując grozę sytuacji.

W szarym świetle angielskiego poranka nawiedzani strzępami wywołujących rumieniec wstydu wspomnień, na gigantycznym kacu, z niedowierzaniem rozejrzeli się wokół, licząc straty. Mati nie miał portfela, a tym samym gotówki, kart, paszportu. Sekundę potem uświadomili sobie ze zgrozą, że na lotnisku pozostawili też obie walizki. Jedyne pieniądze, jakimi dysponowali, to sześć tysięcy polskich złotych, które Gosia miała na karcie.

Mati siedział w wymiętej pościeli blady, trzymając się za głowę. Nie mogli skorzystać z londyńskich rozrywek, nie mieli ubrań, kosmetyków, przecież nie opłacało się jechać po nie na lotnisko. Autobusem zajęłoby to pół dnia, a oni mieli bilet powrotny na pojutrze. Za pieniądze Gosi mogli co najwyżej kupić sobie pastę do zębów i mydło oraz posilać się w fast foodach, by móc jeszcze opłacić braki poczynione w minibarku. Dodatkowo czekała ich też wizyta w konsulacie, gdzie musieli wyrobić dla niego dokument identyfikacyjny, tak by w ogóle wpuszczono go do samolotu do Polski. I choć Gosia pocieszała go, jak mogła, tłumacząc, że nie za takie pieniądze ona i Gemba bosko spędzali czas, gardło miał ściśnięte złością.

To, co proponowała – jedzenie byle czego byle gdzie, kupienie do pokoju taniego wina, całkowicie go nie urzędało. Usiłował się uśmiechać, podzielać entuzjazm Gosi, przyjmując za dobrą monetę zapewnienia, że do szczęścia potrzebne im jedynie łóżko i dach nad głową, ale zdradzała go mina. Nie umiał zadowolić się byle czym. Nie był epikurejczykiem, któremu wystarczał kęs chleba i towarzystwo ukochanej kobiety. Starał się być wielkoduszny i serdeczny, usiłował nie okazać irytacji i rozgoryczenia, rozśmieszał ją i siebie, zachwalał nieśmiertelne *fish & chips*, ale w głębi duszy czuł palący ból.

Spacerowali po wielkim szarawym mieście, obejrzeni wszystko z zewnątrz, a on wciąż wkładał cały wysiłek w to, by nie zobaczyła w jego oczach rozczarowania. Do końca wyjazdu z żelazną konsekwencją pilnował narzuconej sobie roli – grał niewymagającego, wielkodusznego, zakochanego w niej bezinteresownego altruistę. Przecież kimś takim właśnie postanowił się dla niej stać, tak?

Migrena

Kwaśniak siedział na kanapie w swoim mieszkaniu w Józefosławiu, wolno zaciągając się papierosem. Okna były zamknięte, zasłony szczelnie zaciągnięte, drzwi zaryglowane na dodatkowy zamek. W samochodzie na dole czuwał ochroniarz.

Polowanie na Kaźmierczaka zakończyło się sukcesem, materiał został nagrany, skurwiel odszedł w niebyt. W rządzie nie było już nikogo, kto wiedziałby, w jakich okolicznościach Kwaśniak dostał ministerialny stołek. Przelew od Wędzichy zasilił cypryjskie konto, Solarius negocjował podwykonawców. Sprawa załatwiona. Szafa gra.

Wreszcie mógł spać spokojnie. Jednak, jak widać, za wszystko w życiu trzeba zapłacić, a triumf miał swoją cenę. Dwa mocno nerwowe tygodnie łącznie z nieprzespanymi nocami skutkowały gigantyczną migreną, której nic nie było w stanie uśmierzyć. Kwaśniak miał wrażenie, że ktoś wierci mu młotem pneumatycznym w głowie.

W końcu zdecydował się na najsilniejszą tabletkę. Nie lubił jej, zażywał ją bardzo rzadko. Wchodziła w interakcje z pozostałymi lekami, osłabiała ich działania, sprawdził to, przećwiczył na własnej skórze. Niestety, nie było rady, ból był tak dokuczliwy i silny, że bez tabletki się nie obejdzie. Czekał cierpliwie, aż zadziała, a ból zelżeje. W kuchni grało radio, Kwaśniak nie znosił ciszy. Wciąż mu się zdawało... Ano właśnie. Znów ten dźwięk, jakby ktoś zapukał do drzwi. Spokojnie, to tylko skołatane nerwy. Gdyby ktoś do niego szedł, Antek, ochroniarz, by go przechwycił, wylegitymował. Odchylił głowę na oparcie kanapy, patrząc na wpół przymkniętymi oczami na pustą przestrzeń pokoju.

„Puk, puk” – dobiegło ledwo słyszalne przez skoczne dźwięki radia. Kwaśniak napiął mięśnie i znieruchomiał niczym posąg. „Puk, puk, puk” – dźwięk nie dawał za wygraną. Nie, to nie było złudzenie. Ktoś rzeczywiście stukał do drzwi. Kwaśniak wstał zdeterminowany. Szybko znalazł się w przedpokoju, ostrożnie zerknął przez wizjer. W białym świetle jarzeniówek rybim okiem widziana ukazała się znajoma głowa o bladej twarzy, w czarnej wełnianej czapie. Skoczył.

Ki diabeł go tu przyniósł? Niezadowolony Kwaśniak otworzył. Skoczył spojrzawszy na niego dobrotliwie i wyszczerzył się, rozkładając ręce.

– Przyjacielu!
– Wejź! – Kwaśniak nie był wylewny, nieproszony gość był mu potrzebny jak dziura w moście.

– Nie jesteś zadowolony, że mnie widzisz? – odgadł Skoczył, rozsznurowując wojskowe bucior.

– Nie miałem dziś ochoty na towarzystwo, jestem śmiertelnie zmęczony,

wreszcie chciałem się wyspać – odparł Kwaśniak, tłumiąc złość. – Jak udało ci się przemknąć mimo ochrony?

– Nigdy nie rzucam się w oczy. – Skoczylas miał brudne białe skarpety. W kurtce i czapce na łysawym łbie, niski i krępy, parł naprzód do salonu Kwaśniaka. Był tu nie po raz pierwszy, doskonale znał drogę, umiał się sam obsłużyć. Rozsiadł się w fotelu, kanapę zostawiając gospodarzowi.

Kwaśniak wrócił na swoje miejsce.

– Nieźle załatwiliście tego Kaźmierczaka. Miałem rację, że to cwel, co? – Skoczylas świecił brakami w uzębieniu.

– Ano tak – niechętnie przytaknął Kwaśniak i czym prędzej zapalił.

– Nie jesteś rozmowny – stwierdził Skoczylas.

Mirka męczyła ta nachalna obecność, ale wobec wyświadczonych przysług nie śmiał przepędzać jedyne go lojalnego przyjaciela.

– Zamierzałem odsapnąć – wyjaśnił, popatrując na Skoczylasa ze źle skrywaną niechęcią. – Chciałem pobyc sam.

– Miałeś trudny okres, odpoczynek się należy. – Skoczylas wyjął zza pazuchy butelkę, odbił, po czym łyknął z gwinta. – Napijesz się?

– Nie mogę, mam migrenę.

– Nerwy?

– Schodzi to ze mnie. Nie ma się co użalać, było, minęło. Przetarg załatwiony, problem z głowy.

– Nachapie się chciwy dziad – orzekł Skoczylas, przypatrując się natarczywie Kwaśniakowi.

– A pies mu mordę lizał, byleby mnie zostawił w spokoju. – Kwaśniak niecierpliwie wzruszył ramionami, czując, że wzmaga się kłujący ból w skroni.

– Dałby Bóg!

– A co tu Boga mieszać! – Kwaśniak spojrzał gniewnie na Skoczylasa. – Spłaciłem haracz, nie powinno więc być żadnego zagrożenia z tej strony.

– Z tej strony na pewno nie – zgodził się Skoczylas.

– Z żadnej! – uniósł się Kwaśniak, po czym popatrzył na Skoczylasa, jakby szukał u niego potwierdzenia swoich słów.

Skoczylas kiwnął potakująco głową, po czym znów uniósł do ust butelkę.

W rozszerzone nozdrza Kwaśniaka napłynął odór niemytych nóg, brudnych skarpet i przetrawionego alkoholu.

– Niepotrzebnieś buty ściągał – burknął do gościa. – Weź sobie z kuchni szklanę.

Skoczylas posłusznie wstał i skierował się do kuchni; jego spodnie szeleściły przy każdym kroku. Kwaśniak słyszał, jak kompan stukał drzwiczkami szafek, szukając szklanek.

– Nad zlewem! – zawołał, masując skroń. Ból umiejscowił się nad okiem,

był wierzący i niezwykle dokuczliwy. Nastroju nie poprawiała niechciana obecność niespodziewanego gościa, smród skarpet, to szeleszczenie, postukiwanie, brzęk szklanek.

– Mirek!

– O, jesteś! – Kwaśniak się ocknął, bo Skoczylas znów był w pokoju, ponownie rozsiadł się w wygodnym fotelu naprzeciwko, zakładając krótką, grubą nogę na nogę.

– Nie śpij, człowieku – rzucił z uśmiechem, szczerząc wybrakowane zęby.

– Kiedy chce mi się spać, należy mi się to jak psu buda. Przez trzy doby nie zmrużyłem oka, rozumiesz! – Kwaśniak zirytował się na całego. Na chuja mu ten natręt. Ile zamierza tu wysiadywać?

– Nie możesz spać, póki do końca nie załatwisz swoich spraw – obwieścił mu ten mędrzec Syjonu.

– A co ty, kurwa, mój doradca, czy co?! – Kwaśniak był już tak zmasakrowany, że zapomniał, jakie winien tamtemu względy. Owszem, dobrze było mieć go po swojej stronie, ale to on, Kwaśniak, był mózgiem całej operacji. Nie zgadzał się, by taki prostak mówił mu, jak powinien postępować.

– A co, źle ci kiedy poradziłem?

Głowa! Łupało w niej tak, jakby ktoś kuł tam kilofem!

– Chciałem cię tylko przed czymś przestrzec – kontynuował urażonym tonem Skoczylas.

– Nie chcę tego słuchać – bronił się ledwie żywy Kwaśniak. – Daj mi odsapnąć.

– Licho nie śpi. Jak mówi mój starszy, odpoczniesz w grobie – stwierdził Skoczylas, moszcząc się w fotelu, prężąc palce nóg i wzniecając przy tym opary smrodu. – Wysłuchaj, co stary przyjaciel ma ci do powiedzenia. Nie darowałbym sobie, by coś złego cię spotkało.

Kwaśniak otworzył szeroko oczy, jakby ktoś go ukłuł szpilką.

– Co jeszcze cię niepokoi? Słucham!

– Jedno imię.

– Wencel? – zgadywał Kwaśniak

– Nie Wencel! – zachnął się Skoczylas. – Na niego jest czas!

– To kto, do cholery?

– Beata!

– Beata? – Kwaśniak gruchnął śmiechem, który odbił się echem w mieszkaniu. Zapalił kolejnego papierosa, odchylił się na oparcie, założył nogę na nogę i rzekł wyzywająco: – A jak może mi zaszkodzić zadurzona kobiecina? Owszem, jest rozczarowana, zraniona po ostatnim wspólnym wyjeździe. To fakt, ale jest na tyle bojaźliwa i nierozgarnięta, ma tyle do stracenia, że nie będzie się na mnie mścić. Co najwyżej odetchnie z ulgą, że to się skończyło, i nareszcie zostawi

mnie w spokoju.

– Tak uważasz? – Skoczyła obrzuciła Kwaśniaka baczny spojrzeniem. –
Zadziwiasz mnie.

– Nie bardzo rozumiem – zachnął się wciąż podenerwowany Kwaśniak.

– Co innego mówiłeś po powrocie!

– Nie pamiętam, bym kiedykolwiek bał się Beaty! – buńczucznie odparł
Kwaśniak.

– Po powrocie mówiłeś, że strasznie cię tam wypytywała, jakby chciała ci
z mózgu informacje wyssać.

– Nie da się, kurwa, z mózgu informacji wyssać... – nagłym ruchem
Kwaśniak nalał do brudnawej szklanki wódkę i wypił ją jednym haustem – ...więc
mi tu, Skoczyła, nie pierdol, że ona wie o przetargu.

– A ja jestem pewien, że wie.

Kwaśniak palił, mierząc Skoczyla morderczym spojrzeniem.

– Kobiety potrafią wyciągać informacje z mózgow mężczyzn. To
dowodzone naukowo. Potocznie mówi się na to intuicja, ale jest cała teoria
naukowa, która za tym stoi.

– Co ty pierdolisz, Skoczyła.

– Poczytaj w internecie. Są nawet techniki.

– Kocopoły opowiadasz.

– Są wojskowe badania na ten temat. To są fale niskiej częstotliwości, już
dziś mają technologię, która pozwala czytać ludzkie myśli. Wystarczyłoby, gdyby
miała urządzenie do odbioru fal ELF, Extremely Low Frequency. Myślisz, że NOP
nie mógłby jej w to wyposażyć?

– Pierdol się, Skoczyła!

– Przecież opowiadałeś mi, jak cię przepytowała, a ty opowiedziałeś jej dużo
za dużo.

– Co takiego jej opowiedziałem?

– Że cię Kaźmierczak podejrzewa. Że chcą cię zrobić. Że musisz pilnować
przetargu.

– Mówiłem, że ktoś! Że ktoś może komisję skorumpować!

– Ona nie jest w ciemną bita.

– Ona jest tępą jak cielę.

– Tępą cielę nie zaszłoby tak wysoko w strukturach. Tępą cielę nie
wydobyłoby tylu informacji.

– Przestań! – Kwaśniak wstał z kanapy i zaczął nerwowo krążyć po pokoju.

– Kto naraził wyjazd w czasie, gdy przesunęli przetarg?

– Dostać!

– Kto wynajął pokój w hotelu? Kto mógł wcześniej zainstalować tam
podśluchy? Już wcześniej!

- Przymknij się, Skoczylas!
- Zamykasz oczy na prawdę.
- Jaką prawdę? – Mirek podszedł do Skoczylasa, patrzyli sobie w oczy.
- Ona już wie.
- O czym, kurwa? O czym wie?!
- O wszystkim! – wrzasnął Skoczylas, łapiąc Kwaśniaka za ramiona.

Stali, trzymając się nawzajem za barki i wpatrując się w siebie w oniemieniu. W pewnym momencie Kwaśniak puścił Skoczylasa i zaczął maszerować od okna do drzwi, tymczasem tamten po raz kolejny nalał sobie wódki i kontynuował:

– Jest szpiegiem Kaźmierczaka, zawsze była. Namówiła cię na wyjazd, w tym czasie przyspieszyli przetarg, musiałeś się skontaktować z Łężakiem i w ten sposób się zdradziłeś.

– Nic podobnego, byłem ostrożny, słałem setki maili w każdej sprawie, po tyle samo w każdej, niczego mi, kurwa, nie udowodnią!

– Ona wie.

– Niby co wie?

– Że bierzesz prochy dla czubków. Grzebała ci w walizce, w rzeczach. Po co by to robiła, gdyby o nic cię nie podejrzewała? Obserwowała, jak panikowałeś, że przetarg nie wypali. Była świadkiem, że uspokoiłeś się dopiero wtedy, kiedy wygrał Solarius. Pewnie domyśliła się, że ze strachu posunąłeś Kaźmierczaka.

Kwaśniak poczuł, że kolana się pod nim uginają.

– Ona cię unika, prawda?

– Tak.

– Wie o wszystkim, Mirek.

– Kurwa, zostaw mnie w spokoju, przerażasz mnie!

– Mówię ci, że wie.

– Odpieprz się! Wynoś się! Chcesz doprowadzić mnie do szaleństwa?!

– Nie zostawię cię samego, chcę ci pomoc.

– Nie dotykaj mnie!

Kwaśniak wyrwał się i rzucił w stronę wyjścia, jakby chciał wybiec z własnego mieszkania, lecz po chwili się zatrzymał. Oparł głowę o drzwi i głęboko oddychał, usiłując się opanować. Po chwili odwrócił się w stronę stojącego w progu Skoczylasa.

– W takim razie co robić? – spytał, po czym wrócił do salonu i ciągnął niespokojnie: – Przecież nie pójdę do Palimąki. Z Kaźmierczakiem było inaczej, Palimąka miał w tym swój interes. Z jakiego powodu miałby usunąć Beatę?

– Na razie siadaj. Nalej sobie wódki.

Kwaśniak osunął się na kanapę. W uszach mu szumiało, nieznośny strach osłabiał go, paraliżował mu członki. Wyczekująco skupił wzrok na Skoczylasie, który opróżnił swoją szklankę z wódki, rozparł się wygodnie w fotelu i oznajmił:

– Nie pozwolę, by stała ci się krzywda. Ja z nią porozmawiam.

– Jak to?

– Po prostu. Wiem, jak to się robi. Zrobię tak, że będzie dobrze.

Kwaśniak starał się głęboko oddychać. Dłonie, stopy i pachy miał mokre od potu.

– Nie przestraszysz jej za bardzo?

– Tylko tyle, ile będzie konieczne, żeby jej pokazać, gdzie raki zimują.

– Ale nie zrobisz jej krzywdy?

– Tylko z nią porozmawiam, uświadomię jej, że z panem Kwaśniakiem nie warto zaczynać. Musisz mi trochę pomóc.

– Niby jak?

– Wyprowadź samochód z garażu i powiedz Antoniemu, że jedziesz do rodziców do Pabianic i chwilowo nie potrzebujesz jego asysty. Spotkamy się przy wylocie na Puławską.

O dziewiątej wieczorem Kwaśniak ze Skoczylasem schowanym w bagażniku zajechał pod kamienicę, w której mieszkała Beata z mężem i dwójką dzieci. W mieszkaniu paliło się światło. Był mglisty marcowy wieczór, wokół lamp jarzyła się poświata, powietrze było ciężkie od wilgoci. Wyciągnął komórkę i wybrał jej numer. Odebrała dopiero za drugim razem.

– Beata, to ja, nie rozłączaj się, chcę porozmawiać. Zejdziesz do mnie na dół?

W samochodzie dał się słyszeć przytłumiony głos, który zawile coś tłumaczył. Kwaśniak zakrył dłonią słuchawkę i szepnął w stronę bagażnika:

– Mówi, że w domu jest mąż, i dlatego nie może się spotkać.

– Powiedz jej, że jak nie zejdzie, to wejdiesz na górę. Nastrasż, że wydasz ją przed mężem, powiesz mu o waszym romansie – odparł Skoczylas na tyle głośno, że Kwaśniak syknął, by go uciszyć.

Po chwili bardziej napaśtliwie zwrócił się przez telefon do Beaty:

– Musimy pogadać! Nie odjadę, dopóki nie zejdziesz! – zabrzmiało to jak pogróżka, więc szybko dodał: – Chcę się pogodzić. Nie wytrzymam takiego stanu rzeczy między nami. Tobie jest źle i mnie jest źle. Znajdźmy pozytywne rozwiązanie tej sytuacji – dokończył, po czym zamknął klapę komórki i odwrócił się w stronę bagażnika:

– Załatwione. Zaraz zejdzie.

– Dobra. Powiedz, żeby wsiadła, i ruszaj z kopyta.

– Oszalałeś? Mam ją porwać i wieźć wbrew jej woli przez pół miasta?

– To ją przekonaj.

– Niby jak? Boi się mnie jak ognia.

– Kobitę zawsze można urobić.

– Bredzisz, Skoczylas.

- Dasz radę.
- Kurwa! Ale gdzie mam ją zawieźć?

Przez chwilę w bagażniku panowała cisza, najwyraźniej Skoczyła się namyślała.

- Jedź Krakowską w stronę Janek.
- Co zamierzasz zrobić?
- Tylko trochę postraszyć, przestań się cykać.
- Dobra, ale schowaj łeb i nie pokazuj się, aż zajedziemy na miejsce, bo jak ona zobaczy twoją zakazaną mordę, to w żaden sposób nie da się namówić.

Zamilkli, bo Beata szarpnęła za drzwi i ciężko opadła na siedzenie pasażera. Kwaśniak zerknął we wsteczne lustro i z ulgą się przekonał, że łysawy łeb w porę zniknął za kanapą tylnego siedzenia. Spojrzał na Beatę i uznał w duchu, że namówienie jej, by pojechała z nim dobrowolnie, będzie graniczyło z cudem.

– Beatko, chciałem tylko porozmawiać – starał się mówić jak najprzyjemniejszym głosem.

- Po co to robisz, po co? – spytała płaczliwie Beata.
- Nie rozumiem?
- Po co podjeżdżasz, po co mnie szantażujesz! – zawodziła z twarzą wykrzywioną grymasem. – Wiesz, że w domu jest mój mąż, w każdej chwili może nas zobaczyć i wszystko się wyda!
- W takim razie odjedźmy stąd.
- Jechać z tobą? Żartujesz!
- Jak inaczej możemy porozmawiać, skoro w sejmie mnie unikasz?
- To ty mnie unikasz. Wiele razy chciałam się z tobą porozumieć, ale zachowywałeś się wobec mnie wrogo, groźnie. – Beata rozejrzała się nerwowo, a potem jej wzrok powędrował w stronę oświetlonego mieszkania.

Ciemną ulicą nadchodziła kobieta objuczona zakupami; Beata natychmiast zagłębiła głowę w kołnierz.

– Nie chcę, żebyś miała przeze mnie kłopoty, gdyby ktoś nas tu razem zobaczył – powiedział Kwaśniak, łypiąc na Beatę i bezskutecznie usiłując okiełznać dzikość swojego spojrzenia. Odnotował, że Beata się waha. – Pojedźmy do jakiegoś hoteliku, porozmawiajmy jak ludzie, wyjaśnijmy nieporozumienia – namawiał.

Cały spotniał, czuł, że od tego momentu zależy dalszy bieg wydarzeń. Jedno niewłaściwe zdanie, a ona wyskoczy z auta i popędzi do wnętrza kamienicy. Tam nie odważy się jej ścigać. Spokojnie, tylko spokojnie. Chciał czule ująć dłoń Beaty, aby wspomóc jej decyzję, lecz ręce miał spotniałe i lodowate jak nieboszczyk. Nagle we wstecznym lustrze zobaczył woskową gębę Skoczyłasa, który najwyraźniej cicho się uniósł i dawał mu jakieś bezgłośnie znaki ponagląjące. Struchlał. Starał się nie zwracać na tamtego uwagi, bojąc się, że Beata złowi jego

niespokojny wzrok. Co ten idiota wyprawia? Miał siedzieć cicho, aż zajadą na miejsce!

Spojrzał na Beatę. Patrzyła przed siebie, niczego nieświadoma, choć z bagażnika dobiegał teraz głośny szelest ortalionu i pobrzękiwanie szkła, jakby Skoczylas trącał nogami jakieś butelki. Kwaśniak znów zerknął we wsteczne lusterko i zmartwiało. Skoczylas gramolił się z bagażnika na tylne siedzenie, właśnie przerzucał nogę nad oparciem.

– No? – Kwaśniak ponaglił Beatę, w jego głosie przebijało ogromne napięcie.

Nagle z tyłu dobiegł głośny rumor, jakby Skoczylas całym ciężarem bezwładnego cielska opadł na miękkie siedzenie. Sparaliżowany strachem Kwaśniak spojrzał na Beatę, w oniemieniu czekając, aż ona się obejrzy, a widząc tego zakapiora, rzucił się do ucieczki. Beata, czując, że on się jej przygląda, wolno odwróciła głowę, by napotkać jego wlepiony w nią dziki wzrok.

– Ruszaj! – dał się słyszeć ponaglający szept Skoczylasa.

Kwaśniakowi zjeżyły się włosy na głowie. Nie odrywał od Beaty spojrzenia. Czemu nie odwróciła się, słysząc obcy głos tuż za swoimi plecami? Dlaczego udawała, że nie zdaje sobie sprawy z obecności kogoś trzeciego? Przecież słyszała go, nawet musiała widzieć kątem oka.

– Jest ze mną nowy oficer NOP-u, więc nie musisz się bać, że będziesz ze mną sama – wychrypiął, wciąż nie odrywając od niej dzikiego wzroku.

Po tych słowach Beata odwróciła się gwałtownie i omiotła wzrokiem tylne siedzenie.

Skoczylas siedział na środku, szczerząc zęby jakoby w służbowym uśmiechu. W czarnym ubiorze śmiało mógł uchodzić za pracownika NOP-u.

– Jaki oficer? – wyszeptała przestraszona, zwracając ku Kwaśniakowi przerażony wzrok.

A to suka! W co ona pogrywa? Udaje, że nie dostrzega Skoczylasa, czy co? Zapewne robi to celowo, by wpędzić jego, Kwaśniaka, w jeszcze większą paranoję! Chciała zbić go z pantałyku? Wlepiał w nią groźne, nieruchome spojrzenie, bojąc się choćby na moment odwrócić oczy, jakby miał tym spojrzeniem sparaliżować jej ruchy, uniemożliwić ucieczkę. Kątem oka dostrzegł, że Beata przesuwając rękę w stronę drzwi, szukając klamki, więc nie zastanawiając się dłużej, błyskawicznie wrzucił wsteczny i gwałtownie ruszył.

Szarpnęło ich do przodu, głowy poleciały im w kierunku przedniej szyby, a następnie siła hamowania wbiła je w zagłówki foteli. Przerzucił na *drive*, usłyszał, że Beata coś krzyczy, ale wcisnął gaz i gwałtownie ruszył do przodu. Parę ostro pokonanych zakrętów przez opustoszałe uliczki, jedno skrzyżowanie przecięte na czerwonym i dotarli do szerszej arterii – alei Niepodległości.

– Stań, ja wysiadam!

Znów kilka skrzyżowań, w tym ostatnie pokonane na czerwonym, ale wokoło żywej duszy. Już jechali aleją Krakowską. Miał szczęście, bo przed nim jak tajemny znak od niebios, niczym aprobata tajemnych sił, rozciągało się pasmo zielonych świateł.

– Mirek, zatrzymaj się!

– Uspokój się, chcę tylko porozmawiać. Nopowiec jest z tyłu, zagwarantuje ci bezpieczeństwo – syczał przez zaciśnięte zęby, by ją uciszyć. Piekielnie zdenerwowany, jechał z coraz większą prędkością – bał się, żeby nie zdołała wyskoczyć w biegu.

– Stań! – wykrzyknęła Beata. – Stań! Stań!

Zaczęła się drzeć jak opętana, po czym złapała za kierownicę. Chwytał jej rękę i gwałtownie odepchnął. Tymczasem ona opuściła szybę, wrzeszcząc jak sto demonów:

– Ratunku! Pomocy!

Kwaśniak automatycznie podniósł szybę, baczny wyłupiastym spojrzeniem lustrując pobocze. Zero ludzi. Uspokojony, próbował jedną ręką przytrzymać Beatę, jednocześnie nie wypuszczając kierownicy z drugiej.

To fizyczne starcie najwyraźniej zagrzało Beatę do dalszej walki, bo rzuciła się na niego, chwytając oburącz za ramię i ciągnąc z całej siły. Samochód wpadł w poślizg i sunął bokiem po jezdni, Kwaśniak w ostatniej chwili wyprowadził go na prostą.

– Co, kurwa, robisz, idiotko!

Tymczasem nastąpił koniec zielonej passy, w dali było widoczne czerwone światło. Tam znajdowało się skrzyżowanie. Na zmianę świateł czekała taksówka. Beata, jakby wietrząc w tym swoją szansę, za wszelką cenę usiłowała sięgnąć do klaksonu, chciała trąbić, zwrócić na nich uwagę. Kwaśniak o mało nie połamał jej ręk, bijąc pięścią na oślep, usiłując odpędzić drapieżne łapska od kierownicy.

– Uspokój się! Do czego mnie zmuszasz? Przecież nie chcę cię skrzywdzić, chcę tylko pogadać.

Gwałtownie hamował, nie mógł dopuścić, by tamci zobaczyli, co działo się w jego aucie. Znów wkleiło ich w przednią szybę. Nim zdążył się pozbierać, Beata już szarpnęła za klamkę. Samochód ledwo się toczył, drzwi od strony pasażera były uchylone. Wyskoczyłaby na zewnątrz, gdyby nie chwycił jej mocno za włosy. Czemu ten piekielny Skoczylas nie pospieszył mu teraz z pomocą?

Z jej rękami wpijającymi mu się w twarz, zasłaniającymi jedno oko, wypatrzył szpaler drzew, wyznaczający polną drogę odbijającą w lewo. Skręcił z piskiem opon, z impetem wjechał na nierówne wertepy. W tym momencie ona oburącz chwyciła go za twarz, jakby chciała mu wydłubać oczy. Przyhamował, by nie wpaść na porastające pobocze drzewa, skaczące w świetle rozbujanych reflektorów. W głowie miał kompletną pustkę, gnał więc niemal na oślep, chcąc jak

najszybciej oddalić się od głównej drogi, niepewny, co miało dzieć się dalej. Zamierzał spełnić polecenie Skoczylasa, ale nie wiedział, jak tego dokonać. Był tylko niepewnym finału, bezrozumnym wykonawcą rozkazów, w dodatku drapanym pazurami, oslepianym ciosami, targanym za włosy.

Wraszcie Skoczylas przyszedł mu z pomocą – wcale się nie cackał. Brutalnie chwycił Beatę za włosy i z całej siły huknął jej głową o szybę. Rozległ się obezwładniający trzask pękających kości. Kwaśniak czuł, jak jej wczepione w jego policzek pazury nareszcie puściły, dłoń osunęła się bezwładnie, jakby Beata straciła przytomność. Mimo to Skoczylas nie przestawał tłuc jej nieszczęsną głową o szybę, raz za razem, aż wokół sypnęły się zęby. Młasczące dźwięki były nie do zniesienia. Kwaśniak mocno zacisnął powieki, aż przed oczami pojawiło mu się milion czerwonych punkcików.

W końcu nastąpiła cisza.

Głowa Beaty bezwładnie opierała się o okno, całe zbryzgane jakąś posoką. Szczęśliwie twarz miała skierowaną w drugą stronę, w ciemności widział tylko pozlepiane czymś włosy.

– Zemdlała? – spytał Skoczylasa, lecz tamten właśnie wyskakiwał z auta.

– Wsiadaj! – krzyknął i zatrzasnął drzwi.

Kwaśniak ruszył w ślad za tamtym i w napięciu popatrzył na niego ponad dachem samochodu.

– Co chcesz zrobić, świrusie?

Skoczylas nie odpowiadał, tylko w skupieniu wzrokiem patrolował okolicę. Kwaśniak, wzorem tamtego, zlustrował spojrzeniem otaczający ich krajobraz. Przed nimi były pola, daleko majaczył las.

– Tam są stawy. – Skoczylas wskazał przed siebie paluchem. – Jedziemy!

Wskoczyli do auta. Kwaśniak w amoku niepotrzebnie odpalił wciąż pracujący silnik i samochód zarzęził. W końcu ruszyli z miejsca i pognali przez wertepy, aż w końcu droga się urwała i dalszą jazdę uniemożliwiła bariera z gęsto rosnących drzew.

Skoczylas wysiadł i znów Kwaśniak niechętnie poszedł w jego ślady. Obaj stanęli przy drzwiach pasażera, ale to Skoczylas pociągnął za klamkę. Ciężki kształt osunął się na zewnątrz. Połowa ciała zwisała z siedzenia w nienaturalnej pozycji, odgięta do tyłu. Kwaśniak szybko odwrócił głowę w stronę odległego horyzontu. Wiał zimny wiatr, z oddali dobiegały stłumione odgłosy skąpego nocnego ruchu na drodze krajowej numer 68. Pomyślał o szczęśliwych ludziach, przebywających w bezpiecznych ciepłych domach, otulonych kołdrami, leżących sennie w świetle nocnych lampek. Czemu on znajdował się właśnie tu?

Z rozważań wyrwał go syk Skoczylasa:

– Pomóż mi, ciągnij. Mocniej!

– Gdzie ją wleciesz? – wychrypiął Kwaśniak, rękawem ocierając mokre od

potu czoło.

– Trzeba ją wciągnąć głęboko w wodę.

– Ani mi się śni powalać błotem nowe buty.

– Sam ją tam dowlokę, tylko znajdź na brzegu coś ciężkiego, choćby kamień, żebyśmy mogli go do niej przytroczyć.

– Po kiego wała?

– Żeby za szybko nie wypłynęła. Teraz baczność, skup się, skoncentruj!

W samochodzie masz latarkę. Poświeć po brzegu, a jak nie znajdziesz kamienia, to rwij szynę od bagażnika, nie ma numeru seryjnego.

– Kurwa, nie będę tu majsterkował.

– Odkręcaj tę szynę, człowieku!

Śruby mocno trzymały i Kwaśniak szarpał się z nimi, klnąc pod nosem. Wiatr rozwiewał mu przeredzone włosy. Po jakimś czasie odczepił mocowania i powlókł szynę w krzaki. Potem zapalił papierosa i starał się nie patrzeć, jak Skoczylas miota się nad nieruchomym ciałem. Stanął tyłem, wydmuchując kółeczka dymu. Zachowa spokój. Przecież nie brał w tym najmniejszego udziału. Nie on to wymyślił, nie on przeprowadził.

Bluzgi Skoczylasa, plusk wody, chlupotanie bagna, chrzęst szuwarów – to wszystko nagle stało się nie do zniesienia. Kwaśniak odszedł kawałek, wbił oczy w niebo, lecz i tam nie mógł odnaleźć wytchnienia. Nieboskłon zdawał się spadać na niego z ogromnym ciężarem. Puścił papierosa, oburącz złapał się za głowę, znów zacisnął powieki, lecz wszechświat nadal wirował – groźny, agresywny, nieposkromiony. Chciał znaleźć w tym wszystkim punkt zaczepienia, usiłował kurczowo się ucześcić pozytywnej myśli, lecz rwała się jak nić babiego lata. Nie miał w głowie niczego, rozpadał się na miliony kawałków, dezintegracja była bolesna, bo te niczym niepołączone atomy wciąż odczuwały egzystencjalny ból, w dodatku zmultiplikowany mnogością jego wewnętrznego rozpadu.

Późno w nocy ocknął się w swoim mieszkaniu, w ulubionym głębokim fotelu. Co za licho? Skąd ten przenikliwy ziąb? Poderwał się na nogi i nagle zrozumiał. Od pasa w dół był mokry, jakby wszedł do basenu. Przemoczone spodnie, sweter, kurtka ociekały wodą. Jak to? Przecież to nie on wlaził do wody. Z przerażeniem wpatrywał się w kompletnie przemoczone nowe buty, wokół których ciemniała duża, wciąż powiększająca się plama.

Niedziela Wielkanocna w Niedźwiedzim Rogu

Zgromadzeni na kanapach przy kominku Wenclowie popatrywali po sobie pytająco. Na dużym stoliku do kawy ustawiono serwis porcelanowy, wykwintne mazurki, gorące napoje oraz butelkę lubianego przez panie adwokata, lecz jakoś nikt nie kwapił się do rozpoczęcia podwieczorku. Nadal byli chyba pod wrażeniem spektaklu, który rozegrał się na żywo, na ich oczach, podczas wielkanocnego śniadania, kiedy to po raz pierwszy mieli okazję poznać nową partnerkę Mateusza, niejaką panią Gembarską.

Ekscentrycznie przyodziana olśniewająca para przyjechała do Niedźwiedziego Rogu wczoraj późnym wieczorem i miała zostać do Lanego Poniedziałku, ale zaledwie przed godziną telefon z Warszawy zmusił ich do nagłej zmiany planów. Chwilę potem odjechali pełni moralnej przewagi Piotrusiowie, tak więc rodzina w mocno okrojonym składzie odpoczywała i na spokojnie mogła wymienić opinie o nietuzinkowej, nowo poznanej młodej kobiecie.

O dziwo, jak do tej pory nikt nie ośmielił się zabrać głosu – mogłoby się zdawać, że sami nie wiedzieli, co o niej myśleć. Instynktownie popatrywali w stronę babci Wenclowej, licząc, że pierwsza przerwie milczenie, które nastąpiło po niespokojnej krzątaninie związanej z niespodziewanym odjazdem Mateusza i jego kobiety.

Babcia Wencłowa od zawsze hołubiła rozpieszczonego średniaka, mówiło się nawet, że miała specjalną intuicję i niezawodne wyczucie, co dla chłopaka najlepsze. Przecież nie pomyliła się w kwestii przewrotnych zamiarów Karoliny. Jako jedyna przewidziała, co się kryło pod pozorną słodyczą i ustepliwością. Choć nawet ona nie przypuszczała, że w walce o dziecko Karolina posunie się tak daleko. Jakim prawem bezczelne wsiowe dziewczuszyko tak szybko znalazło sobie pocieszyciela, do którego – o zgrozo – kazało dziecku zwracać się „tato”? Po ostatnich wydarzeniach szacunek dla nieomylności sądów babki Wenclowej wzrósł. Z zapartym tchem, ale i z niepokojem czekali, co też powie o redaktorowej.

Tymczasem babka, jakby bawiąc się z nimi w kotka i myszkę, milczała wymownie, z zaciętą miną mieszając w filiżance z herbatą.

– I co mamusia o niej myśli? – nie wytrzymał w końcu Ryszard.

Paweł, jakby wyrwany z poobiedniej drzemki, gwałtownie uniósł głowę i czujnie popatrzył na babkę.

Spojrzenia obecnych w pokoju członków rodziny skierowały się na krępa dostojną matronę.

– To prawdziwe szczęście dla tej kobiety złapać takiego chłopaka jak nasz Mateuszek – odrzekła z wolna babka, patrząc wyzywająco na poczerwieniałego syna.

Uwaga ta poruszyła zebranych, wpatrywali się w twarz babki z widocznym

napięciem.

Małgorzata Gembarska, choć ubrana nieco zbyt ekstrawagancko, była przecież elegancka i szykowna. Wprawdzie usta jej się nie zamykały, ale na pewno nie brak jej było kultury, ogłady, sznytu. Chociaż boleśnie dawało się odczuć, że wciąż musi grać pierwsze skrzypce, niezaprzeczalnie była zarówno elokwentna, jak i dystygowana oraz inteligentna. Najwyraźniej Mateuszkowi właśnie to imponowało, właśnie takiej kobiety potrzebował. Wszyscy przecież widzieli, że traktował ją zupełnie inaczej niż choćby Karolinę. Ona też okazywała Mateuszkowi względy.

Czemu więc wielbiąca wnuka babka kręciła nosem na ten imponujący skądinąd nabytek? Gotowi byli posądzić ją o zazdrość, o stronniczość. Mieli jej za złe tę niesprawiedliwą ocenę, a jednak im ulżyło. Czuli do Gembarskiej niewytłumaczalną niechęć, nie umieliby jednak powiedzieć, skąd się wzięła. Wpatrywali się więc w seniorkę rodu, czekając stamtąd odpowiedzi na nurtujące ich pytania.

Jakby wyczuwając ich oczekiwanie, babka zakrzyknęła błagalnie, jak gdyby wołała o pomstę do nieba:

– Gołe plecy przy takim święcie?

Rzeczywiście, ubranie pani Gembarskiej, choć samo w sobie wytworne, budziło pewne wątpliwości. Od rana miała na sobie piaskową piękną sukienkę z dżerseju, która miękko opływała jej sylwetkę, lecz dekolt na plecach był wycięty tak, że gdyby spojrzeć z góry, można by zobaczyć jej pośladki. Owszem, wiedzieli, że była poniekąd artystką, pracowała w stacji muzycznej, ale zachodziła wątpliwość, czy będąc w tak, jak by nie patrzeć, dwuznacznej sytuacji moralnej, wypadało wystąpić przed nowo poznaną rodziną partnera, w dodatku przy Wielkanocnej Niedzieli, w wyzywającym stroju. Choć żadne z nich nie było specjalnie religijne, jak jeden mąż uznali, że była w tym zachowaniu celowa impertynencja.

– Poza tym takie otwarte mówienie o ciąży – dodała dobitnie babka. – Przecież ona nadal jest mężatką.

– To ona z Mateuszem planuje dziecko? – Elżbieta wbiła przerażone spojrzenie w teściową.

– Ależ, kochana, nie słyszałaś? Trąbiła o tym kilkukrotnie.

Elżbieta i ciocia Olesia nie posiadały się ze zgrozy.

– Oby tylko nasz Mateuszek nie wpadł z deszczu pod rynnę!

– Był bardzo przygaszony, jak nie on. Zauważyłaś, kochana?

– Faktycznie, nie ten sam chłopak.

– Namawiać do kolejnego dziecka w tak nieustabilizowanej sytuacji rodzinnej...

– Chce przypieczętować...

– Pewnie to dla niej ostatni dzwonek.
– Jak na moje oko, to ona jest od niego spooooro starsza.
– Tak babcia sądzi? Wydawało mi się, że są równolatkami!
– Oj, Aguniu, dziecko drogie, ty nie umiesz ocenić wieku. Jest doooooobrze po czterdziestce.

– Kochany Mateuszek, przybędzie mu teraz siwych włosów.

Nie mogąc dłużej znieść kobiecych utyskiwań, Paweł dyskretnie opuścił salon, po czym bez marynarki wyszedł na werandę, a stamtąd przed dom. Zimny ten początek kwietnia. Od jeziora ostro zawiewało, schował się więc za winklem, oparł o poczerńiałe drewno i chłonał wiosenne powietrze. Jego śnieżnobiała koszula świeciła w zapadającym zmierzchu. Od starych drzew, porastających obszerny teren, napływał wieczorny chłód, lecz jemu to odpowiadało.

Choćby parę chwil w samotności, z dala od epicentrum rodzinnego wrzenia. Jak przyjemnie pachniał las. Powietrze było rześkie, ale czuć było przedsmak wiosny. Gdzieś w oddali słodko świergotał spóźniony ptak, ostatnie niktłe promienie słońca przebijały między drzewami okrytymi młodym listowiem, w ogrodzie gęstniały cienie. Jakież spokój!

O co ta cała wrzawa, ekscytacja? I tak na większość spraw człowiek nie ma wpływu. Czy rzeczywiście nie ma? Ach, gdyby tylko umieć żyć według tej filozofii – filozofii słabych. Przekonanie siebie, że na nic się nie ma wpływu, pozwalałoby niczym się nie przejmować. Ach, doprawdy nie chciał przypominać sobie o całokształcie sytuacji politycznej. I jeszcze świadomość, że gdzieś tam w murach sejmowych zadekowała się ta kanalia, która Bóg wie co jeszcze knuje....

Nagle gdzieś za nim skrzypnęły drzwi. To ojciec w swojej olejakowej kurtce, z nieodłączną szklaneczką obficie napełnioną whisky w dłoni. Zapewne, podobnie jak i on, miał dość złowróbnego krakania. I on szukał wytchnienia.

Stanęli ramię w ramię, przyglądając się ładnie zagospodarowanym kawałkowi ziemi.

– Niebrzydko tu u nas. – Ryszard upił solidny łyk. – Ta ziemia to wszystko, co mam. Tylko w niej pociecha.

– Jeśli chodzi o Matiego, to zawsze spadał na cztery łapy – zauważył Paweł.

Ojciec pokręcił głową, nie wydawał się przekonany.

– Co mu strzeliło do łba wplątać się w coś takiego – rzucił po chwili.

– Imponuje mu...

– Cwana z niej sztuka – wychrypiął Ryszard, niewprawnie maskując obawę.

Paweł zachnął się, ponieważ takie ujęcie sprawy wydawało mu się nie do końca sprawiedliwe. Każdy jest kowalem własnego losu, ma własny rozum, każdy podejmuje decyzje na swoje konto. Nie sposób obwiniać kogoś za niepowodzenia drugiej osoby.

– Wątpię, by ona go do czegokolwiek namówiła, gdyby sam nie miał na to

ochoty – powiedział.

Ojciec nie odniósł się do tej uwagi; zdawało się, że na ten temat ma wyrobiony pogląd. Zamiast tego odparł wymijająco:

– Dobrze chociaż, że ma łepetynę do pieniędzy. Nawet jeśli zamierza zrobić z siebie durnia i ciągnąć tę przekłętą sprawę... – nie sprecyzował, o co dokładnie mu szło – to odłożył tyle, że nie powinno mu to w zasadzie zaszkodzić. Za jakiś czas, gdy pieniądze zaczną topnieć, pójdzie po rozum do głowy i czym prędzej wróci do normalnej solidnej roboty.

Paweł zmilczał. Jeśli chodzi o stan finansów brata, miał nieco inne wiadomości. Karolina wzięła już wszystko, a jeszcze było jej mało i walczyła o resztę majątku. Z tego powodu sąd ustanowił zabezpieczenie na koncie Mateusza. Wprawdzie Mati wspominał Pawłowi o innym koncie, miał tam niebawem dostać jakiś solidny przelew gotówki, raczej nie było więc powodu, by ojca niepokoić. Nie chcąc w to wnikać i nie czując się do końca na siłach, by pocieszać ojca, Paweł wymówił się chłodem i zmęczeniem – zamierzał odpocząć w gabinecie.

Czym prędzej wrócił do przytulnego hallu, a stamtąd niezauważony przez kobiety poszedł wprost do gabinetu. Wykończony świątecznym wypoczynkiem, opadł na kanapę i pstryknął pilotem w kierunku telewizora. Od dzień-ników zamierzał trzymać się z daleka, podczas świąt nie zamierzał się trapić piekielną sytuacją w rządzie oraz diabelskimi knowaniami tamtego skurwysyna, jednak jak na nieszczęście natychmiast włączyła się całodobowa stacja informacyjna.

Już zamierzał przełączyć na jakiś film, gdy coś dziwnego przykuło jego uwagę. Podniósł się, włosy zjeżyły mu się na głowie. Podeszedł bliżej do telewizora. Na żółtym pasku widniała informacja: *Zniknięcie posłanki*. Podgłośnił, tknięty przecuciem, i usłyszał:

„Czwartego kwietnia mąż pani Beaty Rz. złożył na policji zawiadomienie o zaginięciu. Prokuratura rejonowa wszczęła śledztwo, ale korupcyjny charakter sprawy spowodował, że sprawę przejęła prokuratura apelacyjna. W wyniku przesłuchań świadków wyszło na jaw, że posłanka Beata Rz. mogła być zamieszana w tak zwaną aferę gruntową. Zachodzi podejrzenie, że pani Beata Rz. przyjęła korzyść majątkową, lecz obawiała się, że sprawa wyjdzie na jaw, i wyjechała z kraju. Prokuratura wciąż bada okoliczności zniknięcia posłanki, a także próbuje ustalić miejsce jej pobytu. Mąż pani Beaty Rz., znany aktor, który z początku kategorycznie zaprzeczał, by żona mogła mieć cokolwiek wspólnego z aferą gruntową, nagle nabrał wody w usta”.

Paweł wyłączył telewizor, w głowie buczało mu, jakby odezwała się syrena alarmowa. A serce waliło tak, że drgała na nim koszula. Uchylił w gabinecie okno i chwilę stał, opierając czoło o drewnianą framugę.

Stary Kwaśniak szuka prawdy

Ireneusz Kwaśniak kończył właśnie dezynfekcję pojemników do wysiewania, żeby uchronić rośliny przed pleśnią. Już od dwóch godzin stał zgarbiony nad szerokim stołem i z tego powodu piekielnie rozboleł go krzyż. Musiał jeszcze piachem napowietrzyć glebę do siewu, ale ręce odmawiały mu posłuszeństwa. Piekielne drętwienie uniemożliwiała dalszą pracę. Cholera by to wzięła! Piętnastego kwietnia, a on jeszcze nie wysiał połowy tego, co przygotował. Bez pomocy Młodego Skoczylasa to było zupełnie co innego.

Myśl o Skoczylasie spowodowała nerwowe dźgnięcie bólu gdzieś w okolicy żołądka. Nasunął kaszkiet na czoło i powolnym utykającym krokiem wyszedł ze szklarni na chłodny kwietniowy poranek. Niebo było szare, z domowego komina leciał dym, psy jazgotały na podwórzu.

Od kilku dni zamierzał złożyć pewną wizytę, ale ją odwlekał. Teraz uznał, że skoro i tak nie da rady zakończyć roboty, równie dobrze może to zrobić dzisiaj. Ostrożnie szedł przez pokryte błotem podwórze, z wyraźnym wysiłkiem wspiął się na schody prowadzące do domu. W kuchni, która mieściła się w zewnętrznej przybudówce, nad dymiącymi garnkami stała żona niczym żołnierz na warcie.

W pomieszczeniu rozchodził się omdlewający słodkawy zapach gotowanych dla psów kurzych żołądków. Zdjął ubłocone gumofilce, nasunął pantofle i poszurał do znajdującej się również w przybudówce nieotynkowanej małej łazienki. Gdy zapalił światło, z lusterka wyrzała na niego opuchnięta chorobowo twarz. Trudno było mu uwierzyć, że jego własna. Westchnął ciężko, po czym pod zimną jak lód wodą zaczął szorować czarne od ziemi dłonie. Niedbale wytarł je wiszącą obok mokrą ścierką, przylizął kępki pozostałych nad uszami włosów i tak wyelegantowany wysunął się z łazienki.

– Gdzie cię niesie? – zaskrzeczała żona, mieszając w kotle z ciemnym wywarem.

– Do Skoczylasa chcę podjechać.

Metalowa łyżka z hukiem opadła na betonową podłogę, żona wpatrywała się w niego z przerażeniem.

– Muszę to wreszcie sprawdzić – rzekł stanowczo i nim zdążyła cokolwiek powiedzieć, nałożył lepszą kurtkę i ciepłą czapkę, a następnie wyszedł, czując jej spojrzenie na plecach.

Wyjechał traktorem na błotnistą szarą drogę i zmierzał w stronę krajówki, którą musiał przejechać około dwustu metrów w kierunku Pabianic, aby potem dla odmiany zjechać w prawo i spory kawał pojechać polną drogą. Tam, w skupisku kilku chat, prawie pod lasem, stał stary cementowany dom Skoczylasów, w którym siedemdziesięcioparoletni Skoczylas mieszkał już tylko ze starowinką matką.

Ireneusz Kwaśniak zaparkował traktor w pobliżu przekrzywionej

zardzewiałej bramy. Wierzchem dłoni zsunął czapkę, otarł krople potu z czoła.

Minął rok od momentu, kiedy nawiał Rzeszoto. Od tego czasu niejedno się tutaj pozmieniało. Kwaśniak sam siebie mógł tylko pytać, gdzie było prawo, gdzie policja, gdy zapodziało się dwóch chłopaków, którzy mieli pilnować Rzeszota dla Wędzichy. Można się było domyślić, jaki los ich spotkał. Jeśli chodzi o Młodego Skoczylasa, sprawa zaczynała być zagadkowa. Chodziły słuchy, że nawiał przed gniewem Wędzichy aż do Irlandii, ale trochę to się kupy nie trzymało, bo jego ojciec przestał się między ludźmi pokazywać, jakby chował jakiś sekret. Tak więc do niedawna nikt nie wiedział, jak było naprawdę. A Mirek coraz częściej wspominał, jakoby widywał się z Młodym Skoczylasem.

Jeżeli on faktycznie powrócił w te strony, jeżeli rzeczywiście gdzieś tu przebywa, to czemu nikt inny oprócz Mirka go jeszcze nie zobaczył? Ireneusz chętnie nająłby go do roboty. Był stary, nie dawał rady fizycznie, a nie chciał zaniedbać szklarni. Młody Skoczylas był oddany rodzinie Kwaśniaków, Ireneusz traktował go niemal po ojcowsku.

Wiele różnych głupot ludziska ostatnio we wsi wygadywali, nawarstwiło się dużo plotek, a im dalej od zeszłorocznych wydarzeń, tym bardziej ludziom rozwiązywały się języki. Nikt nie powiedział mu nigdy niczego prosto w oczy, jednak chodziły słuchy, odległe i nieuchwytne, jakoby to jego syna Mirosława oskarżano o tę sytuację. Głupie ludziska miały pretensje, że to on narobił bigosu, a w dodatku po tym osiadł całkiem bezkarny na stanowisku, podczas gdy dwóch chłopaków całą sprawę przypłaciło życiem.

Tymczasem słyszy od syna, że widuje Młodego Skoczylasa, że on jeździ za nim nawet do Warszawy. To gdzie jest prawda? Jeżeli Skoczylas jest w Polsce i pracuje z Mirkiem, to czemu we wsi nic o tym nie gadają, nie mówią, że powrócił z zagranicy?

Przeszedł szybko, na tyle, na ile pozwalała mu chora noga, przez gęste gliniaste błoto, po czym mocno zastukał w jakby przygięte ciężarem domu niskie drzwi. Nikt nie otwierał, dla odmiany więc postukał w zakurzone okno, całe zastawione słoikami. Znow nikt nie odpowiadał, ale mimo to zdecydował się wejść.

W środku było ciemnawo, gdzieś w głębi grał telewizor. Pomału szedł naprzód przez cuchnącą sionkę, nagle spod nóg wyskoczyła mu kura i z gdakaniem wybiegła na zewnątrz. Wszedł do ciepłej kuchni, gdzie na zydlu pod oknem siedziała wiekowa Skoczylasowa.

– Szczęść Boże – odezwał się Ireneusz, trwożnie rozglądając na boki.

Z sąsiedniej izby dobiegło skrzypienie, po chwili w otwartych drzwiach pojawił się stary Skoczylas. Jezu, ale zmarnowany! Wyglądał, jakby przybyło mu z dziesięć lat. Był w czarnej koszuli, i to Kwaśniaka zastanowiło. Czerń przy niedzieli?

– Przepraszam, że tak was nachodzę w porze obiadowej – zaczął, nie wiedząc, co dalej mówić, czekając na jakiś gest zaproszenia.

Skoczył chwilę stał oszołomiony, jakby właśnie zbudził się ze snu. Wreszcie oprzytomniał i gestem dał Ireneuszowi do zrozumienia, by wchodził na pokoje, a sam zakrzętnął się przy węglowej kuchni, zalewając wrzątkiem dwie plujki. Po chwili usiedli przy stole nakrytym starą ceratą. Z ciemnego regału migał telewizor, w który obaj popatrywali, siorbiąc gorącą czarną kawę i popluwając fusami.

– Przyszedłem, bośmy dawno nie rozmawiali – zaczął urzędowym tonem Ireneusz, na co Skoczył przytaknął.

– Będę mówił prosto z mostu – podjął Kwaśniak . – Chciałem zapytać o twojego chłopaka. Ponoć wrócił do Polski. Nie chciałby się po staremu u mnie nająć?

– Mówisz o Władku? – spytał Skoczył, w jego głosie pobrzmiwała wrogość.

– Mówię o starszym – odparł z irytacją Kwaśniak.

Skoczył wybałuszył na niego oczy, a ponieważ Kwaśniak popatrywał na niego niecierpliwie, dodał gniewnie:

– To nic nie wiesz?

Skoczył poczuł niepokój, chwycił się brzegu stołu, jakby nadchodząca wiadomość miała zmieść go z krzesła.

– Mój chłopak nie żyje od ośmiu miesięcy. W sierpniu... zmarł. – Ostatnie słowo Skoczył wypowiedział łamiącym się głosem, zeszkliły mu się oczy, jakby czymś powlekły.

Kwaśniak zbaraniał, zamarł z kawą niesioną do ust. Stary Skoczył pochylił głowę tak, że Kwaśniak widział czubek jego łysawej głowy z resztką zmierzwionych siwych włosów.

– Wyjechał w zeszłym roku, wczesną wiosną, bo wiadomo... strach boski było za dom wychodzić .

Kwaśniak dyplomatycznie to przemilczał, wymawianie naz-wiska pana Bogadana w negatywnym kontekście było wykluczone, wszak ściany miały uszy.

– Zaczepił się w Luton, pracował na budowie, zarabiał, mieszkanie najął – ciągnął Skoczył. – Długo się nie odzywał, ale myślałem, że robotą zajęty, że jak wraca, to pada na pysk i sił nie ma dzwonić. Dopiero się zaniepokoiłem, jak nie zatelefonował na mamusi imieniny. – Przerwał, ukrył twarz w fioletowych spuchniętych dłoniach i kręcił głową, jakby z niedowierzaniem, po czym podjął: – Miałem kontakt do jego znajomego, chłopaka z naszych stron, jednego Krzyśka. Poprosiłem naszą Andżelikę, żeby do tego Krzyśka zadzwoniła. Jak zadzwoniła, dowiedziała się, że mój chłopak od dawna się na budowie nie pokazuje, jakoby robotę rzucił... – Nagle opuścił dłonie tak, że zakrywały mu tylko dolną wargę

i wlepiając oczy w Kwaśniaka, wyszeptał: – Wiedziałem, że tak rzucić robotę z dnia na dzień to do mojego chłopaka niepodobne, poprosiłem więc tego Krzyśka, żeby poszedł do mieszkania, co je tam syn najmował. Krzysiek już pod drzwiami wiedział, co jest na rzeczy, bo ze środka bił niehumaniczny smród. Zawołali policję, włamali się. W wannie go znaleźli... – Urwał, jakby głos odmówił mu posłuszeństwa, i znów ukrył twarz w fioletowych dłoniach.

Ireneusz Kwaśniak tkwił nieruchomo jak woskowa figura. W końcu opuścił wzrok na własne buciory, chrząknął i spytał nienaturalnie głośno:

– Wiadomo, jak zmarł?

– Ponoć atak serca, ale diabli wiedzą, czy mu te sukinsyny w tym nie pomogły – odparł zawodzącym głosem Skoczylas, tracąc dotychczasowe opanowanie, jakby za chwilę miał wybuchnąć płaczem. Mętne oczy znów się zaszkliły. Gwałtownie wstał i podszedł do okna, spięty w sobie, jakby usiłował powstrzymać spazmatyczny szloch.

Po trudnym do zniesienia dłuższym milczeniu Kwaśniak zaczął się kręcić i przebąkiwać o czekającej go pracy, a w końcu niemal chyłkiem się ulotnił. Jadąc traktorem, odkorkował butelkę wódki i pociągnął solidny łyk.

Stary doktor się nie pomylił. Tej choroby nie można było wyleczyć ani się jej pozbyć. Ciągle towarzyszyła synowi, tyle że do niedawna drzemała. Ostatnio coś ją zbudziło...

Przyjaciele

Pysław Bejnarowicz, łysiejący mężczyzna pod czterdziestkę, wsunął ostatni kawałek vitello tonato między grube mięsiste wargi i zapił bladezielonym rieslingiem, po czym rozparł się wygodnie na skórzanej kanapce, prześlizgując obojętnym spojrzeniem piwnych oczu po zaparkowanych na Koszykowej autach. Następnie przeniósł wzrok na szczupłą twarz Mateusza Wencła.

– Nieprawdopodobne, jakie tempo przybiera życie. Nie ma się na nic czasu, zero życia towarzyskiego, zero teatru, kina. Ja i Aśka schamieliśmy do imentu – tylko dom, praca, dzieci. Fajnie, że udało się spotkać.

Mati odrzekł coś kurtuazyjnie, tymczasem jego umysł pracował na najwyższych obrotach. Czuł, że nadszedł właściwy moment na wyjawienie dawnemu koledze ze studiów, po co tak naprawdę zaprosił go na wspólny lunch. Nonszalanckim gestem odgarnął lśniące włosy, rzucając uwodzicielskie spojrzenie kelnerce, która natychmiast przybiegła, trącając po drodze parasol jakiegoś pana.

– Coś jeszcze panom podać?

– Tylko rachunek.

Skinęła potakująco głową Pysławowi, a dla Matiego miała szczególny wyraz oczu. Gdy tylko odeszła, Pysław pochylił się i z porozumiewawczym uśmiechem, niby karcąco pokiwał głową.

– Oj, Mati, Mati, co te baby w tobie widzą. Gdyby to, co niewidzialne, stało się widzialne, to do mnie zrobiłaby maślane oczy.

– Gdyby niewidzialne stało się widzialne, Pysław, twoim portretem można by wystraszyć samego diabła.

– Czyli moje fisis trafnie odzwierciedla psyche?

– Nie. Jest za dobre na psyche!

– Gnojek!

Mati zaśmiał się uprzejmie, tymczasem kelnerka położyła na stoliku rachunek. Pysław ani drgnął.

– Pozwól, że ja zapłacę. – Mati wziął skórzany futerał i wsunął do niego swoją kartę kredytową.

– Dziękuję.

Pysław miał minę kocura, który chyłkiem połknął tłustą mysz.

Teraz. Teraz nadszedł właściwy moment.

– Wiesz – zaczął Mati niedbale – już nie pracuję w Unitelu.

Pysław z zainteresowaniem zmarszczył brwi.

– Czy coś na ten temat słyszałeś? – ciągnął Mati.

– Przyznaję, że coś mi się obilo o uszy... – z wolna odparł Pysław i zerknął na zegarek.

– Robię projekty na własny rachunek, w ogóle sporo się u mnie pozmieniało.

Po twarzy Pysława przemknął cień niepokoju.

– Nadal nieźle zarabiam. – Mati podniósł na Pysława latami szkolone spojrzenie i chwilę mierzyli się wzrokiem, po czym Mati zaśmiał się i znów odgarnął grzywę włosów. – Ostatnio troszkę mi się życie skomplikowało. Zamiast jednego, muszę utrzymywać dwa domy i co tu dużo gadać, potrzebne są ecie pecie.

– Jasna sprawa. – Pysław zaśmiał się z ulgą, jakby chwilowo złapali wspólny poziom porozumienia.

– Tak więc rozumiesz chyba, że przydałoby mi się dodatkowe zajęcie.

Pysław wypuścił powietrze i zmarszczył czoło, jakby się namyślał. Mati wciąż tkwił rozparty w fotelu, pozorując tą pozą luz psychiczny, a mimo to poczuł, jak gorąco uderza mu do głowy. Pierdolony Pysław nie raz, nie dwa dostawał od niego zlecenia dla swojej agencji reklamowej, a znał całą warszawkę. Dla niego pomoc koledze to jak pstryknąć palcem.

– Muszę przyznać, że nie słyszałem ostatnio, by kogoś szukali do marketingu – oznajmił Bejnarowicz. – A poza tym ze swoim dorobkiem nie weźmiesz byle czego.

Mati wciąż utrzymywał uśmiech na twarzy, choć jego jasne oczy przesłonił cień.

– Obecnie tak mi zależy na robocie, że mógłbym iść nawet na kreatywnego do agencji. Nawet u ciebie. – Pochylił się i nie odrywając wzroku od Pysława, klepnął go w ramię.

– Taka degradacja? – Pysław zaśmiał się z wyraźnym wysiłkiem. – Wielki Mati Wencel przyjdzie do Circus Gallery na dyrektora kreatywnego? Klienci z krzeseł pospadają.

Mati uśmiechał się taktownie.

– Kurde, stary, zaskoczyłeś mnie! – Pysław założył ręce na piersi w obronnym geście. – Pewnie chciałbyś od chuja pieniędzy. Może nas na ciebie nie stać.

Obaj zaśmiali się tak głośno, że pan z parasolem opuścił czytaną gazetę, by zgromić ich wzrokiem. Przy ich stoliku zapadło milczenie. Mati podniósł do ust szklankę i dopiero wtedy zorientował się, że już nie ma w niej wody.

– Stary, muszę to przemyśleć.

– Jasna sprawa.

– W każdym razie będę miał oczy i uszy otwarte.

Mati w odpowiedzi uniósł kciuk do góry.

Pożegnali się na zewnątrz i rozstali w wielkim pośpiechu. Mati ruszył ulicą szybko, jakby ktoś go gonił. Zabawne. Zdawałoby się, że miał pełno przyjaciół, że tysiącom ludzi pomagał. Jak widać, między tym, co się w życiu dawało, a tym, co brało, nie było żadnej współzależności. To jasne jak słońce, że ten kutas Bejnarowicz palcem nie kiwnie, a pieniądze były potrzebne na gwałt, bo jak na

razie ten skurwysyn Maruszewicz nic mu nie zapłacił i, co gorsza, nie odbierał od niego telefonów.

Mati wsiadł do auta, ruszył ostrożnie i wolno jechał przez znajome ulice, które nagle nabierały obcego wyrazu. Ci wszyscy ludzie gdzieś gnali, mieli swoje zajęcia, śpieszyli się, załatwiali interesy, a działało się to poza jego zasięgiem, jakby było częścią obecnie niedostępnego mu świata. Poczłł chęć na dżin z tonikiem.

Dwa tygodnie później zmarnowany pił kawę przy krakowskim rynku. Przyjechał tu na dwa spotkania. Wczoraj widział się z Pawłem Tomalą, szefem Toytrain, rozwijającej się agencji reklamowej, dziś po południu był umówiony z pieprzonym Maruszewiczem. Skurwiel ewidentnie go unikał, najwyraźniej nie w smak mu było płacić Matiemu pieniądze, które był mu winien. Mati aż kipiał ze złości, zamierzał brutalnie tego gnoja przycisnąć.

Może nie najlepiej się stało, że wczoraj tak ostro z Tomalą zabalowali, ale, cholera jasna, musiał odreagować. Tomala to porządny gość, Mati zawsze miał z nim dobre układy. Najpierw gadali o robocie, Mati chciał wiedzieć, czy Tomala nie słyszał o jakimś wakacie. Tomala podszedł do sprawy wyrozumiale, solennie obiecał zasięgnąć języka, deklarował, że w ciągu kilku dni zawiadomi Matiego o wynikach poszukiwań, był dobrej myśli.

Przyjemnie im się gadało, po wyjściu z resatauracji poszli więc do klubu, gdzie po wypiciu kilku głębszych Mati opowiedział Tomali o nielojalności Maruszewicza, który był dla Tomali konkurencją, w dodatku Tomala Maruszewicza nie lubił. Kilkukrotnie nazwał go nielojalną świnią.

Po odpowiedniej ilości alkoholu Mati i Tomala poprzysięgli sobie zniszczyć obrasatającego w piórka sukinsyna, a nawet – o ile Matiego nie myliła pamięć – szli Bracką, wykrzykując pod adresem Maruszewicza jakieś nieobyczajne epitety. Zakończyli nad ranem, a dziś Matiemu pękała głowa. Siedział w kawiarni zupełnie wyczerpany, z zaczerwienionymi oczami, patrząc, jak rynek odradza się w porannym słońcu. Nagle drzwi kawiarniane się otworzyły i w progu stanęła elegancko ubrana ciemnowłosa piękność. Dopiero po kilku sekundach rozpoznał w niej Justysię. Ledwie zdążył poprawić na sobie koszulę i odgarnąć włosy, a już go dostrzegła. W pierwszej chwili zawahała się, ale potem podeszła do jego stolika.

Miał świadomość, że po wczorajszym wieczorze musi prezentować się nie najlepiej, starał się więc nadrabiać miną. Wstał i pocałował ją w policzek. Doskonale pachniała, wyglądała jak z żurnala.

– Siadaj – zaprosił, zdejmując z niej płaszcz.

Miała na sobie elegancką szarą sukienkę z białym kołnierzykiem; z burzą lśniących czekoladowych włosów, urocza, śliczna i zadbana prezentowała się jak klasyczna bizneswoman.

– Czego się napijesz? – Gdy tylko to powiedział, przypomniał sobie, że podczas wczorajszego rajdu po knajpach wydał całą gotówkę, za dzisiejszą kawę płacił uezbieranymi po kieszeniach monetami.

– Małe latte, jeśli można.

Cholera jasna, nie zdążył sprawdzić stanu konta, bo wczoraj zapomniał podładować telefon, i dlatego specjalnie kupił kawę za drobne. Nie chciał się znaleźć w sytuacji, kiedy powiedziano by mu przy kasie, że na koncie brakuje środków. Wstał od stolika i ruszył w stronę lady.

– A, i może croissanta! – zawołała za nim Justysia, uśmiechając się niepewnie.

Zajął kolejkę, w skupieniu usiłując przypomnieć sobie, ile wczoraj wydał. Specjalnie nie wziął karty do konta lokacyjnego, tylko tę do rachunku bieżącego. Póki nie zarabiał, musiał liczyć każdy grosz, a znając swoje możliwości klubowe, postanowił narzucić sobie reżim. Przełał na bieżący rachunek tysiąc złotych i za tyle pieniędzy zamierzał przeżyć dwa dni w Krakowie, lecz sądząc z tego, ile przepili wczoraj, konto mogło być gołe. Pozorując wesołość, wodził wzrokiem po wywieszonym nad kontuarem menu.

Tymczasem Justysia, widząc, że zanosi się na dłuższe czekanie, i najwyraźniej chcąc z nim rozmawiać, wstała z krzesła i podeszła do Matiego.

– Cieszę się, że cię widzę – wyznała, stając obok niego w kolejce – Co robisz w Krakowie?

– Przyjechałem za chlebem – mrugnął do niej, jednocześnie licząc w głowie, ile drinków mógł zamówić w Stalowych Magnoliach.

– Szukasz roboty? – Justysia strzepnęła mu z marynarki paproch, tymczasem on ujął jej dłoń i przytrzymał w swojej, co wyraźnie ją zmieszało. A więc miał nad nią jeszcze odrobinę władzy.

– Czemu nie powiedziałaś? Chętnie bym ci pomogła – dodała po chwili nieco rozkojarzona, splatając z nim palce.

Dwieście złotych za obiad, góra trzysta za drinki...

– Nie śmiałem do ciebie dzwonić, sądziłem, że nadal jesteś na mnie zła.

– Było mi przykro, ale... – Nie mogła oderwać od niego wzroku.

Zdecydowanie powinna tam być jeszcze co najmniej stowa.

– A jak ten chujek Miś?

– Oczywiście zajął twoje miejsce.

– Nie! – Mati roześmiał się głośno, a że nadeszła jego kolej, uśmiechnął się do stojącej za ladą kobiety.

– Jeszcze jedno latte i croissanta!

– To będzie trzydzieści osiem złotych, proszę pana!

Mati nonszlancko podał kartę, jednocześnie zwracając się twarzą do Justysi.

– Pięknie wyglądasz! Jesteś tu biznesowo?

Z terminala do kart nie dobiegał żaden dźwięk, kobieta wciąż sympatycznie się uśmiechała.

– Tak. Pewnie nie będzie to dla ciebie miłe, jak ci to powiem, ale załatwiam coś z Maruszewiczem.

Czemu ten terminal jeszcze nie drukuje?

– A ja właśnie do niego mam sprawę!

Mati znów niespokojnie zerknął na terminal, potem na stojącą przed nim kasjerkę.

– Jeszcze chwila – uspokoiła go kobieta. Teraz ona też popatrzyła na terminal, jakby chcąc go tym samym zmusić do podjęcia działań.

Tymczasem Mati ponownie odwrócił się do Justysi, która posłała mu nieśmiały uśmiech.

– Chciałem z nim o czymś pogadać... – dodał rozkojarzony.

W tym momencie z terminalu dobiegł charakterystyczny odgłos: karta zadziałała. Złapał oddech, niepokój zelżał. Gdy wrócili do stolika, osunął się na krzesło.

– Kiedy widzisz się z Maruszewiczem? – zapytał, z przyjemnością patrząc na Justysię.

Była tak świeża, tak dopracowana, że przypominała porcelanową lalkę. Wyjęła z torebki telefon, przeglądała terminarz. Wszystkie przedmioty, gadżety, każda część jej garderoby była świeża, nowa i pachnąca. Pieniądz tak działa, pomyślał. Regularna gotówka zasilająca konto miesiąc w miesiąc.

– Spotkanie mam za godzinę. – Kliknęła w telefon, aby go zablokować. – A ty? Też jesteś z nim umówiony?

– Taaa, choć jeszcze miałem przedzwonić. Zamierzam po prostu wstąpić. Cóż, po pierwsze wisi mi trochę kasy, a po drugie... chciałem, żeby chociaż fikcyjnie mnie u siebie zatrudnił.

– Zdecydowanie jest ci to winien. – Justysia obrzuciła wzrokiem jego niechlujne ubranie i zaproponowała: – A może, korzystając z faktu, że jestem z nim umówiona, to ja z nim porozmawiam? – Posłała mu znaczący uśmiech.

Sprytna mała, sam ją wyszkolił. Tak, dodatkowy nacisk na Maruszewicza na pewno by się przydał, a potęga Unitela niezmiennie robiła wrażenie.

– Wspaniale. Przyznam, że nie jestem dobrym adwokatem w swojej sprawie, choć rzeczywiście z załatwieniem tego nie powinno być trudności – odparł, pokazując w uśmiechu białe zęby.

– Jak tak się śmiejesz, to nareszcie wyglądasz jak dawny Mati.

„Dawny Mati”?

– Cieszę się, że dwumiesięczny okres na bezrobotnym nie zmienił mnie aż tak bardzo.

– Jasne, że nie, dalej jesteś istnym casanową, chociaż chyba ciut

zmordowanym.

– Zabalowałem troszkę z Tomalą... Spotkałem się z nim, bo chcę uruchomić jak najwięcej kontaktów.

– Od tamtego momentu pozostajesz bez zatrudnienia?

– Mam trochę inny plan na życie, a niestety, podczas wojny o opiekę brak stałego zatrudnienia bardzo mi szkodzi.

– Chodzi więc o gotowiznę czy o stałe zatrudnienie?

– Gotowizny też nigdy nie za dużo, tak naprawdę o jedno i drugie.

Chwilę milczeli.

– A jaki jest ten nowy plan na życie?

– Chciałbym popробować sił w pisaniu. W razie gdyby pies z kulawą nogą się tym nie zainteresował i nie chciał wydać, Gosia zna ludzi z branży, których da się przekupić. – Nie spuszczał z tonu, choć temat był śliski.

Justyna cicho gwizdnęła.

– A jako *backup* będę robił zewnętrzny marketing przy jakiejś agencji. Będę miał i kasę, i kontakty w branży – mówił z lekką ironią, jakby omawiał losy kogoś innego.

– Rozumiem.

Zapadło milczenie i dopiero po chwili wahania Justyna spytała:

– A jak wam się układa? Osiągnąłeś pełnię szczęścia?

Mati napił się kawy, która zdążyła ostygnąć.

Jak tu wyjaśnić całą złożoność swojej sytuacji tej dziewczynie, której oczy mówiły mu niejedno, a wobec której zachował się tak bezwzględnie?

– Powiem ci coś. Tam u nich jest istna bonanza. Niełatwo na co dzień z tym żyć.

– Wiedziałaś chyba, w co się ładujesz – zauważyła Justysia.

Miała swój moment triumfu. Poniekąd o to Matiemu chodziło.

– To wszystko jest bardzo skomplikowane.

– Jasne.

Po raz kolejny umilkli. Siedzieli pochyleni nad czerwonym laminatem stolika. Nagły promień światła wystrzelił zza chmur, skrząc się w cukiernicy, rzucając migotliwe refleksy na ich posępnie opuszczone głowy.

– Może jak skończysz spotkanie, zjedlibyśmy kolację?

– Tak nie można, Mati – dopiero po chwili zabrzmiał pełen wahania głos Justysi.

– Kto decyduje, co można, a czego nie?

Pokręciła przecząco głową.

– Justysiu...

– Bujasz w obłokach, Mati.

– Ja?! Przechodzę najtwardszą szkołę życia z możliwych, idę boso po

kłujących cierniach.

– Na własne życzenie – powiedziała cicho.

– Gówno prawda! Gówno prawda. – Lekko stuknął pięścią w stół.

Znów Justysia pokręciła przecząco głową.

– Daj mi szansę to wytłumaczyć.

Wstała, pospiesznie wkładając płaszcz.

– Nie będziemy wywoływać duchów.

Siedział, patrząc na nią z niedowierzaniem. Tymczasem Justysia założyła ciemne okulary i dotykając jego ramienia, powiedziała cicho:

– Zrobię wszystko, żeby cię zatrudnił, Mati. Nie martw się, postraszę go, że jak się nie zgodzi, nic mu więcej nie zlecimy. Dziś wieczorem jednak się nie spotkamy, za to zadzwonię do ciebie i dam ci znać, co powiedział. Postaram się jak najszybciej was umówić. Bądź więc gotowy i niech cię ręka boska broni sięgać po jakiś rozweselacz!

Znów złapał dłoń Justysi i przytrzymał, patrząc na nią przenikliwie, poważnie, już bez cienia ironii, ale ona delikatnie wyswobodziła palce z uścisku i szybko wyszła na zewnątrz.

Rynek jak zwykle tętnił życiem, kościół Mariacki lśnił w wiosennym słońcu, tłumy turystów przewalały się po rynku, ale Justysi zamazał się obraz. Szła z pochyloną głową, rozpędzając stada furkoczących gołębi. Pół godziny później siedziała na czerwonej skórzanej kanapie naprzeciwko brodatego faceta, który miał w ustach niezapalone cygaro i oparł nogi o stołek, popijając herbatę z autentycznego loe-wensteina.

– Nie mogę spełnić twojej prośby, Justyno – rzekł, unosząc odnóża i tylko cudem nie tłukąc stojącej dookoła zastawy do herbaty.

Podерwał się z miejsca i przeszedł przez ekstrawagancki gabinet, skrzypiąc długimi jak u kłowna wywiniętymi buciskami. Wokół pełno było najdziwniejszych gadżetów i zdjęć, które roztaczały wokoło atmosferę pretensjonalnego arcyzmu. Usiadł za wielkim biurkiem i natychmiast zarzucił na blat krótkie nogi przyodziane w czerwoną szkocką kratę. Głowa ledwo wystawała mu zza blatu.

Justyna poprawiła spódniczkę, odchrząknęła i podeszła do biurka. Usiadła naprzeciwko tego klauna, pod nosem mając teraz jego zelówki.

– Czemu nie, Piotrze?

Roześmiał się głośno, odchylając do tyłu dużą głowę na krótkiej nieforemnej szyi. Potem nagle spuścił nogi i wyprostował się, patrząc jej w oczy.

– Bo on jest skończony.

Na te słowa Justysia zareagowała niemal fizycznym bólem, jakby wymierzył jej kopniaka w żołądek.

– Co to niby oznacza? – Oczy zwęziły się jej w dwie szparki, położyła dłonie na stole i się pochyliła. Wyglądała, jakby za chwilę miała unieść rękę, by

wymierzyć mu cios.

– To co słyszysz!

– Czemu ma być skończony? Odniosłam wrażenie, że wygłup, którego się dopuścił, sprawi, że w branży stanie się legendą.

– Może tak by to wyglądało kilka lat temu. Wygłupy, pijaństwo, narkotyki były modne w pierwszej dekadzie. Obecnie po ludziach oczekuje się profesjonalizmu.

– Doskonale wiesz, że tak błyskotliwego, tak wykształconego chłopaka jak on ze świecą szukać! – podniosła głos.

– Byłby w tej waszej prowincjonalnej agencji jak brylant! Niczym perła rzucona między wieprze!

– Nie mam żadnych wątpliwości co do jego zdolności i wyczucia rynkowego, wiem, że jest pomysłowy, ale... – Rozłożył ręce.

– Ale co?

– Wszyscy wiedzą, że ma problem z alkoholem.

Wizyta u Mikołaja Pracza

Paweł Wencel nie był typem człowieka, który rzuciłby się na oślepienie w pierwszą lepszą awanturę. Owszem, czytał o prawnikach idących na wojnę z systemem, aby ratować demokrację, wolność słowa, sprawiedliwość i inne podobnie górnolotne idee, i nawet bardzo chwalił sobie tego typu książki, ale w głębi swojego pragmatycznego umysłu nie sądził, żeby między literaturą a rzeczywistością istniała jakakolwiek współzależność.

Od miesięcy żył w specyficznym rozdwojeniu. Prowadził interesy i pielęgnował życie rodzinne, ciesząc się ciężką żoną, ale jego szczęście było powierzchowne. Nierozstrzygniętą sprawę Kwaśniaka wciąż miał z tyłu głowy – nie dawała o sobie zapomnieć. Starał się odsunąć ją od siebie, rzucając się w wir licznych obowiązków i zajęć, jednak co rano uporczywie powracała na podobieństwo ciemnej chmurki wiszącej nad horyzontem.

Niemierzenie się z nią było jak unikanie listonosza, który miał doręczyć wezwanie do zapłaty. Teoretycznie można było przez jakiś czas skutecznie go unikać, lecz nie ulegało wątpliwości, że nadejdzie dzień, kiedy komornicy zapukają do drzwi i upomną się o swoje. Rodziło się pytanie, czy nie lepiej spróbować rozgnać chmurkę, dopóki jeszcze nie rozpętał się cyklon. Nim jednak Paweł podjął decyzję, chmurka zdążyła urosnąć tak, że przesłoniła cały widnokrąg, a z nieba dobiegały złowieszcze pomruki.

W piątek rano żona podawała mu na śniadanie jajka na bekonie, a wiosenne słońce igrało w szklach i srebrach zdobiących ich secesyjny niemiecki stół. Wyelegantowany i gotowy do pracy Paweł, maskując niepokój pod pobłażliwym uśmiechem, sięgnął po gazetę, by przełknąć nowe rewelacje. Zwrócił uwagę na wydrukowany dużymi, pogrubionymi literami nagłówek. W środę oddziały Naczelnego Organu Prewencji Korupcji o piątej rano wtargnęły do podwarszawskiej rezydencji prokuratora apelacyjnego, mecenasa Piotra Strugi.

Piotr Struga był jego dobrym kumplem z uczelni. Na czwartym roku wyjechał kontynuować studia na Oxfordzie. W tym samym czasie Paweł poznał Hannę i oddalił się od towarzystwa uniwersyteckiego, a kontakt ze Strugą się urwał. Dochodziły go jedynie słuchy, że Struga najpierw został prokuratorem, potem awansował na prokuratora apelacyjnego. A teraz wyczytał, że wokół starego kumpla zaczęli węszyć, pewnie zrobili mu z życia piekło. Chwała Bogu niczego nie znaleźli. Pozostawał na wolności, pytanie, na jak długo. Gdy już się do kogoś dobierali, wiercili, dopóki czegoś nie wyszperali...

Z kamienną twarzą doczytał artykuł do końca i na pytanie żony, czemu tak poblądł, mruknął, że ma pilną sprawę w sądzie. Jednym haustem wypił kawę, po czym już kilka chwil później zakładał cienki płaszcz. Nie zamierzał mówić Agnieszce więcej, niż było to konieczne. Dobrze znał bojowość drugiej żony,

wiedział, jak niebezpiecznie byłoby zasiać w jej zapalczym, nieznanym strachu umyśle niewłaściwy pomysł. Nie chciał napomykać jej o tej sprawie, ponieważ bał się, że żona natychmiast wpadnie na ten sam szalony koncept, który nieopatrnie mu zaświtał. Usiłował odgonić go precz. Nie zamierzał mieszać się do polityki

– tego tylko brakowało. Cholera, miał na to za krótkie ręce!

Jadąc samochodem, nieco opuścił szybkość i głęboko wdychał wiosenne powietrze, chcąc umiarować niespokojny rytm serca. Przede wszystkim niepotrzebnie zadreślał się sprawą zaginionej posłanki. Na diabła mu dociekanie prawdy! Przecież spokojnie można by przyjąć wersję prokuratury: kuta na cztery kopyta baba wykorzystywała partyjne znajomości do handlu nieruchomościami i gdy sprawę zaczęto badać, uciekła za granicę.

A jednak coś tutaj nie pasowało. Mąż pani Beaty nie uwierzył w ocenę prokuratury i udał się do mediów, zachęcając dziennikarzy do przeprowadzenia śledztwa w sprawie zaginięcia żony. Ta postawa musiała budzić wątpliwości, bo gdyby jego żona miała coś na sumieniu, to po co wywlekałby sprawę na forum publiczne? Winni tak nie postępują, nie robią wokół siebie hałasu. Czyżby tamtego wieczoru pani Beata nie kłamała, mówiąc mu, że Kwaśniak usiłuje się jej pozbyć?

Paweł stał w porannym korku, zaciskając dłonie na kierownicy, ze wzrokiem wbitym w długi wąż samochodów, rozciągający się przed nim na Trasie Łazienkowskiej. Ta jego cholerna intuicja podszeptowała mu, że stało się coś niedobrego, a on jak Piłat umywa od tego ręce. Nie sposób było uciec od myśli, że a nuż widelec pani Beata się nie myliła...

Rzeczywiście, Kwaśniak zachowywał się jak chory psychicznie. To by się nawet sklejało w paskudną całość. Biło od niego coś niepokojącego, jakby wszystkie te jego knowania aż wylażyły mu z myśli, oczu, z głowy. Czyżby oznaczało to, że jest zdolny do wszystkiego? A jeśli tak, to czy on, Paweł, nie ma moralnego obowiązku przyjrzeć się temu bliżej?

I choć ile sił wypierał z głowy imperatyw podjęcia działania, nie mógł się od tego dylematu uwolnić. Niechby diabli wzięli ten cholerny wór cegieł, zwany sumieniem, który zawieszono mu u szyi. Dziwnym zrządzeniem opatrność podsunęła mu pod nos starego znajomego, Strugę. W sytuacji potencjalnej konfrontacji z Kwaśniakiem – tę nonsensowną możliwość rozważał przez ułamek sekundy – miałby Strugę po swojej stronie, a to nieco zmieniało postać rzeczy.

Nie, doprawdy, dość tego szaleństwa! Zaatakowanie Kwaśniaka oznaczałoby walkę z całym aparatem. Niech ktoś inny się za to weźmie. Ktoś samotny, bezrobotny, kto nie czeka na narodzenie swojego pierwszego dziecka, kto nie ma nic do stracenia. Ktoś pokroju tego pieprzonego lewaka Igora, uwodziciela jego pierwszej żony. Niech on zakasze rękawy i weźmie się do roboty, zamiast pieprzyć kocopoły o sprawiedliwości!

Chociaż wiadomo, że obmierzłe typki w rodzaju tamtego są mocne tylko w gębie. Usta pełne frazesów, a jak przyjdzie co do czego, nie ma odważnych. A tu trzeba prawdziwego mężczyzny, a nie złotoustego teoretyka. Mocni to oni są w sztuce, w książkach, w dyskusji – w czystej formie. Ale treści zero. Gówniany kraj, wszystkim jaja obcięło.

Trzeba walczyć, bo wróg stoi u bram, a tu nie ma komu. Rzesze nierobów, obiboków, ale żaden z nich nie pali się do ratowania ojczyzny. Jak zwykle będzie musiał działać w pojedynkę. On, Paweł? I to wtedy, kiedy na dniach przyjdzie na świat jego dziecko? Ma dać się zapuszkować w imię sprawiedliwości społecznej? Czy on aby na pewno nie postradał zmysłów? Chce ruszyć z motyką na słońce?

Na Boga, przecież nie zamierza dać się zamknąć w pierdlu! Nie teraz, kiedy na świat miał przyjść Wencel junior, co wykazało USG. A on, skrajnie nieodpowiedzialny, myśli o rozgrywce politycznej, by sprawiedliwości stało się zadość. Może jeszcze stanie się pierwszym naiwnym, który zdemaskuje prawdziwe oblicze PN-u – tego skarłałego pseudonarodowego tworu dla milionów zakutych łbów, tej chorej tkanki, która wiecznie ciągnęła Polskę na rubieże Europy. Dlaczego on miałby stawić im czoło? Tysiące ginęły, broniąc straconej sprawy, trzy zabory nie nauczyły ich rozumu, a on, kosztem swojego nienarodzonego dziecka, miałby udzielać im darmowej lekcji.

Chyba mu rozum odjęło! Bez względu na to, jak bardzo nienawidziłby kanalii, która ogniskowała w sobie najpodlejsze cechy tych świrów, nie zamierzał podejmować ryzyka dla obrony idei – jakakolwiek by ona była. Patriotyzm rozumiał jako bogacenie się jednostek w służbie ojczyźnie. Tak widział swoją rolę. Ale stać się męczennikiem? Konradem Wallenrodem, Winkelriedem? Szaleńcem, który idzie na wojnę z systemem? Wszak to nie powieść Grishama, to prawdziwe życie, Polska dwa tysiące dziewiętego roku.

Wściekle zatrąbił na parkujący samochód, który zablokował całą ulicę. Włączył klimatyzację, oparł głowę o szybę i chłodził się zimnym strumieniem powietrza. W klatce piersiowej dusiło go, jakby ktoś założył mu metalową obręcz. Jeżeli jeszcze raz złapie się na podobnych planach, trzeba będzie się poradzić lekarza. Niepodobna, żeby człowiek w jego wieku, na jego stanowisku i w jego sytuacji rodzinnej miewał takie pomysły.

Bijąc się z myślami, przeskakiwał po kilka stopni naraz, kierując się do siedziby swojej kancelarii. W progu stanął przed dziewczętą, wystraszona pani Renata aż poderwała się na nogi.

– O! Pan mecenas jako pierwszy – zdziwiła się, lecz marsowa mina Pawła nie usposabiała do wylewności, zamilkła więc niepewnie, a po chwili spytała: – Podać kawę?

– Nie... – Paweł stał w sekretariacie w dziwnym zamyśleniu, wbijając niewidzący wzrok w leżącą na kontuarze korespondencję.

– Przyszła odpowiedź w sprawie apelacji dla mecenasa Zagajewicza – poinformowała go pani Renata.

– Taa. – Rozkojarzony Paweł przeglądał koperty, opierając się łokciem o kontuar. – Później przejrzę.

– Panie mecenasie, wszystko w porządku? – zaniepokoiła się nagle pani Renata.

Cholera jasna, jego stan już rzucił się w oczy postronnym! Doprawdy niepodobna tak dalej. To nie w jego stylu stać w rozkroku, nie móc się zdecydować, miotać się jak smarkacz. Zdjęty nagłym postanowieniem, odezwał się znieścacka, wbijając lekko nieprzytomny wzrok w panią Renatę.

– Mam dla pani pewne polecenia – powiedział zduszonym szeptem, choć w kancelarii byli sami.

– Coś się stało? – Pani Renata zajęła swoje miejsce, usiłując ukryć niepokój. Mecenas wyglądał, jakby nie spał od kilku dni.

– Tak. To znaczy nie – odparł niecierpliwie. – Niech mi pani szybko ustali adres posłanki, która kiedyś przyszła do nas po poradę.

– Tej, o której rozpisują się w gazetach? Co uciekła z kraju?

Ta kobieta mówiła zdecydowanie za dużo!

– Tak, tej samej. Niech pani sprawdzi, czy pod tym samym adresem mieszka jej mąż – polecił cicho, nerwowo zaciskając szczęki.

– Mecenasie, to poufne informacje, a pan nie wziął od niej wynagrodzenia, więc nie mam adresu.

– Pan Ostapko pani pomoże. – Paweł z trudem stłumił irytację, rozglądając się niespokojnie. Lada chwila mieli zacząć się schodzić pracownicy, a nie chciał, by ktokolwiek usłyszał, o czym rozmawia z panią Renatą.

– Ten detektyw od rozwodów?

Na miłość boską!

– A znamy jakiegoś innego? – wysyczał, rzucając niespokojne spojrzenia.

– W porządku, już do niego dzwonię. – Pani Renata chwyciła słuchawkę, aby wykręcić numer, ale Paweł położył palec na widełkach.

– To nie jest sprawa na telefon, tylko poufna – usiłował tłumaczyć spokojnie. – Niech pani pofatyguje się do niego osobiście i nikomu o tym nie wspomina.

Siedział za biurkiem jak na szpilkach, uspokoił się dopiero wtedy, kiedy do biura wróciła pani Renata. Okazało się, że zdobyła informację. Pani Beata mieszkała na Górnym Mokotowie, przy ulicy Różanej. Pod tym samym adresem rezydował też mąż. Do końca dnia Paweł nie był w stanie na niczym się skupić, przeczytał za to, ile mógł znaleźć w internecie, o tajemniczym zniknięciu posłanki.

Dziesięć po dwudziestej zajechał pod zapisany na karteluszkach adres. Zaparkował przy ogrodzonym boisku do koszykówki i czekał, bacznie przyglądając się pograżonej w mroku okolicy. Wiedział, że nie będzie mógł

oszczędzić mężowi ani jednego szczegółu z historii, którą opowiedziała mu pani Beata, a to dodatkowo komplikowało sytuację. Dłonie miał zimne i mokre od potu, mimowolnie podrygiwał stopą, poczuł skurcz żołądka.

Nie pamiętał, by kiedykolwiek miał przed sobą zadanie równie przykre, równie nieprzewidywalne w skutkach. Decydując się na takie postępowanie, łamał nie tylko zasadę poufności obowiązującą radców prawnych, ale i własny kodeks moralny. Bodajby piekło pochłonęło tę kanalię, która dwa lata temu wtargnęła do ich domu, siejąc spustoszenie!

Niebo się zachmurzyło, krople chłodnego wiosennego deszczu uderzyły o szyby. Forsycje stały już w kwiatkach, wierzby okryły się wczesną zielenią, lecz wciąż było chłodno, cieniście wilgotno. Mimo maja większość drzew nadal pozostawała bez liści.

Owinał szyję szalikiem, nacisnął na głowę kaszkiet i wysunął się z BMW. Niespiesznie ruszył w stronę oświetlonej bramy, kontrastującej z panującą wokół ciemnością. Ostrożnie przeszedł jezdnię, sokolim wzrokiem lustrując przestrzeń. Samochody zdawały się puste, nieliczni przechodnie kryli się pod parasolami.

Wcisnął domofon.

– Słucham – sucho odezwał się męski głos.
– Paweł Wencel do pana Mikołaja Pracza.
– Nie znam pana. Kim pan jest? – W głosie mężczyzny zabrzmiała nuta podejrzliwości.

– Jestem prawnikiem pani Beaty Pracza, chciałbym porozmawiać w cztery oczy.

Najwyraźniej zdumiony, mężczyzna zamilkł na dłuższą chwilę. Podczas gdy Paweł spodziewał się dalszej indagacji, niespodziewanie usłyszał brzęczyk zwalniający zamek w drzwiach wejściowych.

W otwartych drzwiach mieszkania Paweł ujrzał mężczyznę w czarnym golfie i znoszonych sztruksach; jego twarz wydała mu się znajoma. No tak, przecież to niegdyś dość ceniony aktor. Nie przyszłoby mu do głowy, że taki kulturalny człowiek mógł się ożenić z kobietą pokroju pani Beaty.

– Co ma pan na myśli, mówiąc, że jest prawnikiem mojej żony? – zapytał, łypiąc na Pawła niespokojnie i tarasując wejście do mieszkania chuderlawym ciałem.

– Proszę wpuścić mnie do środka, wolałbym mieć pewność, że rozmawiamy w cztery oczy. – Paweł znacząco rozejrzał się po klatce schodowej.

Pracz badawczo przyjrzał się Pawłowi, w którego twarzy nie drgnął ani jeden mięsień. Uznał, że nie będzie usiłował się przypodobać Praczowi, aby się zgodził na rozmowę. Instynktownie wyczuł, że tylko niedemonstrowanie zaangażowania i śmiertelna powaga mogą wzbudzić nadwątlone zaufanie tego człowieka. Jakiegokolwiek granie na emocjach, by się wkupić w łaski, wydawało się

nieuczciwe i nie do przyjęcia.

Nie pomylił się. Pracz wykonał nagły zapraszający gest. Już po chwili siedzieli w staroświeckiej zagraconej kuchni, za wygodnym szerokim stołem.

– Jakiś czas temu z mediów dowiedziałem się o zniknięciu pańskiej żony. – Paweł natychmiast przeszedł do meritum. – Wzbudziło to mój niepokój, gdyż jakiś czas temu odwiedziła moją kancelarię... – zerknął w gruby oprawiony w skórę notes – ... dokładnie dwudziestego ósmego marca! A więc, jak dowiedziałem się z telewizji, tydzień przed zniknięciem.

Mikołaj Pracz zamarł w bezruchu, badawczo patrząc przepastnymi piwnymi oczami na Pawła. Pokrytą węzłami żył dłońią chwycił paczkę papierosów. Wencel uznał ten gest za zaproszenie do kontynuowania wypowiedzi. Zwięźle, lakonicznie relacjonował, z czego zwierzyła mu się pani Beata. Wszelkie konieczne szczegóły przedstawiał sucho i oględnie, pozbawionym współczucia profesjonalnym tonem, aby oszczędzić Praczowi dodatkowego upokorzenia. Mocno przy tym podkreślił desperację, z jaką pani Beata usiłowała się wyplatać z tej „niefortunnej przygody”, jak ją określiła, umniejszając w ten sposób jej ciężar gatunkowy, mając na względzie przede wszystkim dobre imię męża.

W trakcie tej lakonicznej relacji Mikołaj Pracz łapczywie palił, a jego brązowe oczy rzucały niespokojne błyski. Paweł nie umiałby powiedzieć, czy mężczyzna wcześniej się domyślił, co żona starała się przed nim ukryć.

– Historia ta nie daje mi spać po nocach. Dlatego musiałem tu przyjść i opowiedzieć ją panu – zakończył Paweł, nie bez godności.

– Ma pan czelność przychodzić do mnie po tym, jak nie udzielił jej pan pomocy, o którą błagała? – zaatakował znienacka Pracz, wpijając w Pawła spojrzenie ciemnych oczu.

Paweł był przygotowany na to pytanie.

– Nie mogę tego panu wytłumaczyć, obowiązuje mnie tajemnica zawodowa dotycząca osób trzecich – odparował, nie spuszczając śmiałego wzroku z mocno starszego pana.

– Jak pan śmie?! Moja żona najprawdopodobniej została uprowadzona, a Bóg wie, czy nie spotkało jej coś gorszego, a pan nie raczy wytłumaczyć, dlaczego nie był pan łaskaw jej pomóc?! Być może to z pana winy spotkało ją coś złego!

– Sprawa ta ma głębsze podłoże, niż pan myśli – odparł Paweł. – Otóż tenże Kwaśniak jest moim zdeklarowanym wrogiem i posiada dokumenty, które mogą zniszczyć życie kogoś bardzo mi bliskiego. Gdy pańska żona pojawiła się w mojej kancelarii, byłem absolutnie pewien, że to ciąg dalszy kłowań tego osobnika. Proszę mi wierzyć, dał mi podstawy do takich przypuszczeń.

Mikołaj Pracz najwyraźniej bił się z myślami, gasił dopiero co zaczętego papierosa, by po chwili zapalić kolejnego.

– Przychodząc tu do pana, być może przyczyniłem się do przysłowiowego rozlania mleka, a kogoś z moich bliskich skazałem... nawet nie chcę myśleć, na co...

Mikołaj Pracz milczał.

– Jeśli mógłby mi pan przybliżyć swoją wersję wydarzeń – podjął z wolna Paweł, wkładając papierosa do ust, na co Pracz machinalnie podsunął mu zapalniczkę – to może wspólnie doszlibyśmy do tego, co tak naprawdę stało się czwartego kwietnia. Z tego, co widzę, łączy nas jedno – brak wiary w wersję odgórnie sterowanej prokuratury. Dobrze mówię, panie Mikołaju?

Pracz zassał papierosa, potargał sobie włosy i poderwał się na równe nogi, rozpoczynając, zdawać by się mogło, stały regularny spacer wydeptaną ścieżką od stołu do drzwi i od drzwi do kuchenki.

– Przyzna mi pan chyba rację, że po kilkunastu latach mąż zna swoją żonę! – wybuchnął jakby z ulgą, że ma kogoś, z kim może się podzielić wątpliwościami.

Paweł w duchu się z tym nie zgodził, ale potakująco kiwnął głową, poważnie patrząc na rozmówcę.

– Niech mi pan wierzy, panie mecenasie, oni to wszystko spreparowali. – Mikołaj Pracz zatrzymał się i stanął nad Pawłem niczym kat nad dobrą duszą. – Te jej rzekome szwindle, pośrednictwo w handlu ziemią rolną, agent, który niby ją rozpracowywał – to bujdy na resorach. Jej podpisy na tych rzekomych umowach sprzedaży to tandetna podróba. Jak wziąłem prywatnego grafologa i spróbowałem podważyć podpis, to sprawę przejął NOP i teraz akta są tajne. I co pan na to? Czy żyjemy w państwie prawa? – Zdenerwowany Pracz tak wybałuszył oczy, jakby miały mu wyjść z orbit.

Paweł Wencel milczał, zasępiony.

Nie wiedząc, co to milczenie oznacza, Mikołaj Pracz znów zaczął krążyć po kuchni, przypominając chudego szakala z warszawskiego zoo.

– Panie mecenasie, widzę, że pan ma wątpliwości.

Paweł zaprzeczył ruchem głowy.

– Ależ tak! – zachnął się rozeźlony Pracz. – Każdy by je miał! Oni fabrykują dowody, oczerniają i brukają człowieka i to do niego przywiera na trwałe, jest jak tatuaż, którego nie da się usunąć. Coś panu jednak powiem. – Pracz znów zasiadł za stołem. – Może znudziłem się Beacie, niewykluczone, że miała chęć na jakąś awanturkę, przygodę. Nikt z nas nie jest święty, panie mecenasie. Może to moja wina, zestarzałem się, zapuściłem, a ona jeszcze młoda, wśród ludzi. – Ponownie zerwał się na nogi i stanął nad Wenclem. – Jednak nikt mi nie wmówi, że moja Beatka była zamieszana w szwindel, w nielegalny handel. Głową swoją panu ręczę, że była uczciwa. – dzielnie wytrzymując zimne spojrzenie niebieskich oczu mecenas, dodał bojowym tonem: – Na swój sposób uczciwa!

Paweł milczał, gasząc papierosa w popielniczce, po czym rzekł sucho:

– Co się działo tego dnia, kiedy żona wyszła z domu i już nie wróciła? Czy do swoich dotychczasowych zeznań może pan coś dodać?

Najeżony Prac, przypominający stracha na wróble, nie od razu odpowiedział.

– Zeznałem policji, ale nie mówiłem tego prasie ze względu na dobre imię żony. Pan rozumie, chłopcy...

Paweł kiwnął głową i zapalił kolejnego papierosa.

– Niech mi pan to opowie.

– Tego wieczoru mieliśmy z synami zasiadać do kolacji, kiedy zadzwoniła komórka żony. Jak zwykle w takich sytuacjach wyszła z nią do łazienki, ale że byłem na to wyczulony, nadstawiłem ucha i usłyszałem, że się od czegoś wymawia. Odniosłem wrażenie, że jest wystraszona. Wtedy między nami się nie układało. Widząc, że się ubiera i znów gdzieś idzie, powiedziałem, że przecież kolacja już jest na stole. Odpowiedziała mi, że będzie w domu za pięć minut. Wyszła, ale już nie wróciła...

Prac wyglądał tak, że Paweł szybko umknął wzrokiem w bok. Zaciągnął się papierosem i pochylił nad notesem, udając, że notuje.

– Czy myśli pan, że na żonę czekał ktoś na dole?

– Jestem tego prawie pewny.

– Dlaczego?

– A po co miałyby schodzić na pięć minut? Chciała się z kimś rozmówić i wrócić.

– Nie zauważyłem na dole żadnego lokalu, w którym mogłyby się z kimś spotkać.

– Dlatego powiedziałem policji, że jestem pewien, iż ktoś po nią podjechał samochodem. Pewnie chciała wsiąść i się rozmówić, a on ją gdzieś wywiózł.

– A może tylko tak panu powiedziała, zaś w gruncie rzeczy zamierzała odjechać na dłużej?

– Pan raczy żartować. Mamy dwoje dzieci. Nie postąpiłaby tak choćby ze względu na chłopców.

– Przecież zniknęła na całe noce.

– Ale za każdym razem skrupulatnie meldowała, kiedy wróci, i dotrzymywała słowa. Koniec, kropka!

– A więc nie zdarzało się jej mówić, że za chwilę wróci, po czym zniknąć na dłużej? – dopytywał się Paweł.

– Nigdy! Właśnie dlatego byłem taki niespokojny, z tego powodu od razu tej samej nocy zadzwoniłem na policję.

– Czy tamtego wieczoru podszedł pan do okna zobaczyć, czy żona stoi pod budynkiem?

– Nie.

– Czemu nie?
– Z uwagi na chłopców... – głos Pracza przybrał ostrzegawczy ton.
– Ile mają lat?
– Dwanaście i piętnaście.
– I dwóch wisusów odstraszyło pana od zerknięcia przez okno?
– To nie są wisusy. Stają się nadzwyczaj czujni, gdy ja i żona się sprzecamy. Poza tym nie chciałem robić z siebie durnia i jej szpiegować.
– Nie wie pan więc, do jakiego auta wsiadła, czy tak? Zakładam, że podjechał po nią porywacz, którego notabene pańska żona musiała dobrze znać.
– Nie wiem – przyznał Prac. Zdawał się jeszcze bardziej przygarbiony i wychudły.

Paweł zwarł się w sobie, ogarnięty nieoczekiwaną gotowością do działania.
– Postaram się dowiedzieć, do jakiego auta wsiadła, panie Mikołaju.
Pracz popatrzył tak, że Paweł znów musiał uciekać wzrokiem. Z przesadną pieczołowitością zamknął notes, zatykając za okładkę pióro, a następnie wstał. Przy drzwiach Mikołaj Prac zastąpił mu drogę.

– Panie mecenasie.
Paweł był zmuszony na niego spojrzeć.
– Niech pan ją znajdzie!
Paweł poważnie skinął głową i już chciał wyjść, ale Mikołaj Prac chudą ptasią dłonią chwycił go za rękaw płaszcza.
– Jeszcze jedno. Niech pan nie pozwoli, żeby wycierali sobie gęby imieniem mojej żony, dobrze?
– Zrobię, co w mojej mocy.

Wściekły na siebie za przedwczesne deklaracje, Paweł zostawił Pracowi swoją wizytówkę, prosząc przy tym, aby przez telefon nie mówił o niczym istotnym w sprawie żony, po czym opuścił mieszkanie Praców. Schodząc, czuł się tak, jakby osobiście podpisał na siebie wyrok. Mocno stawiał kroki, jakby zwierzał w sobie całą potęgę woli. Teraz nie mógł się już cofnąć i paradoksalnie poczuł ulgę.

Szybko wsiadł do samochodu i skierował się na północ, w stronę podwarszawskich Łomianek. To tam – Ostapko zweryfikował i tę informację – od niedawna mieszkał jego dawny kolega Struga.

Kwadrans po dwudziestej drugiej podjechał pod jasno oświetlony obszerny dom. Zgasił światła samochodu i znieruchomiał. Jeżeli niedawno przeprowadzano tu rewizję, to niewykluczone, że dom był obserwowany przez odpowiednie służby. Nerwowo zerknął w lusterko. Wzdłuż ulicy stały zaparkowane samochody, ale nie widać było żywej duszy.

Po chwili stał już przy żeliwnej furtce i dzwonił. Furtkę otwarto bez pytania. Paweł szybko szedł przez ozdobnie oświetlony zadbane ogród wprost do drzwi

frontowych. W sztucznym świetle lamp na żywopłotach i rozmaitych krzewach ogrodowych zieleniły się młode listki.

Drzwi otworzył gospodarz. Niegdyś był z niego przystojny chłop, a teraz? Paweł dawno go nie widział, a czas zrobił swoje. Struga rozpromienił się na widok niezapowiedzianego gościa, bez trudu rozpoznając w nim dawnego kolegę.

– Nie wierzę własnym oczom, stary – powiedział.

– Nie widzieliśmy się kopę lat – przyznał Paweł i powtórzył: – Kopę lat.

Tymczasem Piotr wylewnie ścisnął mu dłoń i serdecznie poklepywał po plecach. W końcu oprzytomniał i zaprosił Pawła do środka, po czym szybko zamknął drzwi.

– Otworzyłem bez pytania, bo byłem pewny, że to znów oni – poinformował Pawła, który ze zrozumieniem kiwnął głową, dając tym samym znać, że wie, co się wydarzyło.

– Żona i dzieciaki w domu? – Paweł ostrożnie rozejrzał się po wystawnym hallu.

Ozdobiona nowocześnie i modnie klatka schodowa zdradzała, że do tej pory prokuratorostwo raczej nie przymierali głodem.

– Nie, dziś wysłałem ich do matki, nie chcę, żeby drugi raz przez to przechodzili. – Piotr pierwszy ruszył po krętych schodach na dół, Paweł szedł za nim, zastanawiając się, dlaczego kolega prowadzi go w stronę piwnicy zamiast do salonu.

– Przyszli po mnie nad ranem, Zuzka była tego świadkiem, Anna przez dwie godziny nie mogła jej uspokoić. – Szli wąskim korytarzem, wykładanym eleganckim kamieniem.

Pawłowi żołądek ścisnął się z nerwów, choć wcześniej zdawało mu się, że jest zdecydowany i dobrze wie, co zamierza.

– Nie myśl sobie, że ze mnie gbur i przyjmuję cię w piwnicy. – Struga odwrócił się kredowobiałą twarzą do Pawła. – Mam tu pomieszczenie, w którym na pewno nie ma podsłuchu, i tu ugoszczę cię drinkiem.

Paweł potakująco skinął głową, myśląc, że zabezpieczanie się przed podsłuchami nie jest tylko jego wymysłem – stawało się w Polsce normą. Struga otworzył drzwi kluczem i przepuścił Pawła przodem.

– Telefon zostaw na tym stoliku – upomniał go Struga, po czym weszli i zamknęli za sobą ciężkie drzwi.

Przez chwilę Paweł rozglądał się po dyskretnie oświetlonym gabineciku. Książki, drewniana boazeria, zielonkawe biblioteczne lampki, na ścianach obrazy – malarstwo holenderskie. Wnętrze wyglądało zasobnie, gustownie i niewinnie.

– Siadaj. – Piotr podsunął Pawłowi fabrycznie podniszczony skórzany fotel.

– W tym zwyczajnym gabineciku została zainstalowana blokująca podsłuchy aparatura warta parę tysięcy. Możemy rozmawiać swobodnie i bezpiecznie –

oznajmił Piotr, wyciągając z barku butelkę starego scotcha i rozlewając whisky do dwóch szklaneczek.

Usiedli naprzeciwko siebie. Piotr uniósł szklaneczkę, Paweł przechylił się do niego, trzymając swoją, i lekko stuknęli się kryształowym szkłem.

– Dzięki, że się zjawiłeś, przyjacielu. – Piotr odchylił się na oparcie eleganckiego skórzanego fotela obrotowego, którego wprawne oko Pawła wyceniło na kilkanaście tysięcy. Kiedyś miał ochotę taki sobie sprawić, ale zawahał się ze względu na cenę – Dowiedziałeś się z gazet?

– Tak, przeczytałem dziś rano. Jak udało ci się wydostać? Kto ci pomógł?

– Dasz wiarę? Nikt! Nikt z naszych nawet nie odebrał ode mnie telefonu.

– Czemu nie zadzwoniłeś do mnie?

– Od dawna się nie kontaktowaliśmy, nie wiedziałem, czy w sytuacji podbramkowej warto tracić czas na szukanie cię. Szyszko, Wrzesiński, Bednarz – oni wszyscy okazali się zbyt zajęci!

– Hm.

– Tak. W końcu kazałem Ance wypłacić całe pieniądze z funduszy i wpłaciliśmy kaucję. Kurwa, nie dziw mi się.

– Nie dziwię. Wyobrażam sobie, co przeszedłeś.

– Nie wyobrażasz.

Chwilę milczeli, po czym Struga dodał:

– Tym bardziej dzięki, że przyjechałeś. Przecież teraz jestem jak trędowaty. Szczerze mówiąc, jesteś jedynym z dawnych kumpli, który się mnie nie wyparł.

– E, tam. – Pawła zaczęło ogarniać gorąco, ucisk wokół mostka przybrał na sile. Zdaje się że właśnie przekroczył Rubikon... Cóż, w razie czego Aga poradzi sobie z utrzymaniem siebie i dziecka. Na szczęście jest wykształcona i mądra.

– Dobra, mów, z czym przybywasz – zreflektował się Struga. – Chyba nie przyjechałeś tylko po to, by okazać mi moralne wsparcie?

Po chwili milczenia Paweł zapalił papierosa i odparł:

– Zdajesz sobie sprawę, że to nie minister Palimąka zarządził czystki?

– Naturalnie, że tak. Wszyscy w prokuraturze od dawna wiedzą, że ojcem tych wątpliwych reform jest ten obślizgły łachmyta, ten drugi...

– Kwaśniak?

– Właśnie on. Ma przemożne parcie na władzę.

– Przyjechałem tu, Piotrze, ponieważ chcę pomóc i tobie, i sobie. Dysponuję materiałami, które mogłyby Kwaśniaka skompromitować.

Struga pochylił się do przodu, jakby nie chciał uronić ani słowa.

– Ale jest pewien szkopuł, a mianowicie ten skurwiel ma haka na jednego z moich braci. Sam nie mam szans. Gdy go zaatakuję, on napadnie na mnie.

Struga cicho gwizdnął.

– Czyli Kwaśniak wie, że dysponujesz czymś, co mogłoby zniszczyć jego

karierę?

– Tak. Trzymamy się nawzajem w szachu.

Struga chwilę palił w milczeniu, po czym spytał:

– Co masz na Kwaśniaka, a co on ma na was?

– Dysponuję niezbitymi dowodami, że z jego pomocą wyprowadzono ze spółki ogromne pieniądze. Są to kwity z księgowości, a nawet papier potwierdzający przekazanie mu łapówki.

Struga nie okazał specjalnego podniecenia, co zaniepokoiło Pawła. Czy te materiały nie były na tyle mocne, by z miejsca zapuszkować Kwaśniaka?

– A czym on może wam grozić? – zapytał Piotr.

Nagle cała ta wymiana informacji wydała się Pawłowi cholernie ryzykowna i nękający go niepokój wzrósł.

– Nagranie dowodzącym, że mój brat wziął łapówkę.

– Jeden do jednego, tyle że on może posłużyć się policją – smętnie zawyrokował Struga.

– Czy gdybym przekazał materiały o Kwaśniaku do mediów, nie mógłbyś w tym czasie szepnąć prokuratorom słówka za moim bratem i dla dobra publicznego ukreślić łeb jego sprawie? – Paweł usiłował zapanować nad niepokojem, bo zrezygnowana mina Strugi nie napawała go optymizmem. Czyżby popełnił błąd, przyjeżdżając tutaj?

– Sprawa o wyprowadzenie pieniędzy ze spółki już nie robi na nikim wrażenia. Kwaśniak będzie się bronił, mówił, że to spreparowane. Niewiele ugramy, skoro trzyma łapy na organach ścigania. Szybciej on zapuskuje twojego brata, niż my choćby narobimy wokół niego smrodu.

Przez chwilę Paweł milczał, po czym rzekł z wyraźnym wahaniem:

– Jest jeszcze coś.

– Mów!

– Sprawa zaginionej posłanki.

– Beaty Rząsy-Pracz? Tak, to rzeczywiście zastanawiająca sprawa, wzbudza sporo kontrowersji. Zabrano nam to śledztwo i przekazano NOP-owi.

– Mam podstawy sądzić, że Kwaśniak postanowił ją usunąć.

– Co takiego?! Zwariowałaś?!

– Wiem, co myślisz. Elegancki firecyk z parciem na władzę pasuje do podkładania świń i wrabiania ludzi, ale nie do morderstwa.

– Zgadza się. Jest obrzydliwą szmatą, ale to przecież radca prawny, człowiek skądinąd okrzęsany, obyty. – Piotr w zamyśleniu pokręcił głową, z namysłem paląc papierosa.

– Ja też nie chciałem uwierzyć – zagadkowo rzucił Paweł i dodał: – I nie uwierzyłem.

Widząc pytające spojrzenie kolegi, Paweł dokładnie zrelacjonował

niespodziewaną wizytę posłanki, opowiedział o jej podejrzeniach dotyczących zaszczucia Kaźmierczaka, wreszcie o obawach Beaty Pracz o własne bezpieczeństwo. Na koniec, nie pomijając niczego, zdał sprawę z bytności u emerytowanego aktora, Mikołaja Pracza.

Gdy skończył, zapalił papierosa. Wyraźnie pobladły Piotr w odpowiedzi na pełne napięcia pytające spojrzenie Pawła orzekł:

– Śmierdząca sprawa.

Paweł nie odpowiedział. Obaj milczeli, jakby powaleni ogromem zadania, które majaczyło przed ich oczami i które nagle zdawało się nie do wykonania. Osamotnieni w walce przeciwko potężniejszej sile, która może ich pochłonąć jednym kłapnięciem. Na zdrowy rozum powinni zmykać przed nią, lecz wrodzone poczucie honoru, niczym skaza genetyczna przekazywana z pokolenia na pokolenie, nie pozwalało im odstąpić od konieczności stawienia jej czoła. Zgodnie zaciąg-nęli się papierosem, gestem zupełnie pozbawionym nonszalancji, upodabiając się niejako do swoich poprzedników, którzy lada chwila mieli wybiec zza winkla i obrzucić koktajlami Mołotowa kolumnę nazistowskich czołgów, by już po chwili zginąć rażeni serią z cekaemów.

– Prac, jej mąż, twierdzi, że ona na sto procent nie była w żadnej mafii gruntowej, że to spreparowano – podjął beznamiętnym tonem Paweł. – Gdyby udało się ustalić, co tak naprawdę zaszło tamtego wieczoru, kiedy wyszła z domu i nie wróciła...

– Nawet gdyby się nam powiodło, co nam to da?

Na cienkich kosmatych nóżkach zakradał się do nich, by się dosiąść, trzeci interlokutor – strach.

– A to, że będziemy mieli podstawy, by z miejsca go zapuszkować.

Czyżby z nich dwóch to właśnie Paweł, ten wieczny czarnowidz i pesymista, miał być mniejszym cykorem?

– Za co?

– Wiesz dobrze, za co. Przecież to skleja się w logiczną całość. Niby nic nie wiemy, a dobrze znamy prawdę.

– Jaką prawdę?

– Że ten świr ją sprzątnął.

– Niby jak ją sprzątnął, Paweł?

– Albo komuś kazał, albo – w co jestem skłonny uwierzyć – zrobił to sam.

– Po co miałyby to robić?

– Aby utrzymać władzę.

– Ale od razu zabijać? Po co ryzykować?

– Jest chorym psychicznie skurwysynem i niczego nie boi się bardziej niż tego, że wyda się, co narobił. Coraz więcej ma na sumieniu i zaczyna tracić kontrolę.

– Chcesz, żebym uruchomił znajomości i sprawdził tamto lewe śledztwo, tak? – Struga wychylił szklaneczkę do dna, po czym ponownie ją napełnił. – Mam złą wiadomość. Od kiedy sprawę przejął NOP, prokuratura nie ma tych akt, co oznacza, że nie możemy w nie wejrzeć. On ma w rękę wszystkie atuty.

– Tak więc... zostajemy z niczym?

– Nie mam znajomości w NOP-ie. Gdybym miał, to nie zostałbym zaaresztowany.

Siedzieli zafrasowani, paląc w milczeniu.

– A gdybyśmy dowiedli, że to on zabił posłankę?

– Gdybyśmy... – ironicznie odparł Struga. – W dodatku nie ma pewności, że ona nie żyje. Nie ma ciała, nie ma zbrodni.

Paweł już go nie słuchał. Nagle podniósł się z krzesła.

– Tego wieczoru, zanim Beata Rząsa wyszła z domu, zapewniając, że wróci za kilka minut, według jej męża rozmawiała z kimś przez telefon. Ten ktoś – najprawdopodobniej Kwaśniak – namawiał ją na spotkanie. Mikołaj słyszał, że się wzbraniała, a potem uległa. Gdy wyrzwał przez okno, już jej nie było.

– Może czymś ją szantażował. – Struga zaciągnął się papierosem.

– Prawdopodobnie, bo Mikołaj Praczą twierdzi, że nie chciała zejść. Myślę, że Kwaśniak podjechał po nią samochodem.

– Pewnie prywatnym, o ile takim dysponuje.

– Jasne, że nie rządowym, z nopowcem za kółkiem. Dałbyś radę ustalić, jaki samochód posiada Mirosław Kwaśniak?

– Znam komendanta drogówki, równy z niego chłop, ma dostęp do baz danych, a winny jest mi przysługę. Podjadę do niego wcześniej rano.

– Ale chyba nie na komendę.

– Oczywiście, że nie. Wiem, gdzie mieszka. Zrobi to dla mnie tak, że nikt się nie dowie.

– Słuchaj, a może jak już ustalicie, co to za wóz, to on dałby radę sprawdzić monitoring z kamer na skrzyżowaniach, dokoła wyjazdu z Mokotowa. Może coś się znajdzie.

– Spróbuję, stary.

– Wyślij mi cynk, jak tylko czegokolwiek się dowiesz. Najlepiej daj znać, gdzie mam podjechać, i pogadamy w cztery oczy.

– Jasne.

Wypalili jeszcze po papierosie i rozstali się, nie mówiąc już wiele.

Paweł jechał z Łomianek Trasą Łazienkowską, paląc jednego papierosa za drugim. W głowie miał istny kocioł. Czy już go namierzyli, czy już wiedzieli, że on, Paweł, postanowił działać? Nie potrafił tego ocenić. Zerknął na zegarek, dochodziła północ. Liczył na to, że Aga poszła spać i nie będzie musiał wdawać się w dyskusje i wyjaśnienia. Jak zwykle wyczułaby, że on coś przed nią ukrywa

i drażyłaby temat. Czy aby nie powinien jej powiedzieć, iż otworzył puszkę Pandory?

Pochłonięty katastroficznymi wizjami tego, co mogło nastąpić, nie wiedział jak i kiedy pokonał most Poniatowskiego, zaparkował pod domem i wbiegł po schodach. Liczył na to, że Aga śpi, a on w salonie odsapnie chwilę, po czym jeszcze raz przemyśli całą sprawę. Cicho otworzył drzwi własnym kluczem, wszedł do mieszkania i zamarł. Salon był jasno oświetlony, a przy stole siedziała Aga i jego ojciec, błądy jak figura woskowa.

– Co się stało? – Paweł oparł się o drzwi, słaby, jakby miał się za chwilę osunąć. Nie był przygotowany na kolejną fatalną nowinę.

– Mateusz! – rzucił ojciec bezdźwięcznym głosem.

– Co z Mateuszem?

– Wsadzili go do pierdła.

– Co takiego?!

– Wdał się w awanturę z Karoliną i jej nowym mężem, przyjechała policja, a że się nie uspokoił, chcieli go wsadzić do radiowozu. Zaczął się stawiać, zaczęły się przepychanki. Zawieźli go do komisariatu i postawili zarzuty o czynną napaść na funkcjonariusza.

Paweł szybkim krokiem ruszył do kuchni, nalał sobie szklankę wody i łapczywie ją wypił.

– Musisz natychmiast tam jechać i wyciągnąć go stamtąd! – Ojciec podążył w ślad za nim.

– Teraz nie mogę. – W nocnej ciszy w sterylnej, jasno oświetlonej kuchni jego głos zabrzmiał niesamowicie głucho.

– Jak to nie możesz? – spytał z niedowierzaniem ojciec. – Matka od zmysłów odchodzi, babka jak rażona gromem, bliska śmierci z rozpacz, a ty mówisz, że nie pojedziesz? Nie masz sumienia?

– Powiedziałem: nie mogę.

– Co może być ważniejsze? – Ojciec wpatrywał się w niego z niedowierzaniem pomieszonym z wściekłością.

Nie ma co, rozbawiłby ojca, gdyby wyjawiał, jaki bój zamierzał stoczyć. Jednak jemu samemu nie było do śmiechu.

– Aga pojedzie.

– Nie dla niej, ciężarnej, widok więzienia, ani przepychanki z policją! – huknął ojciec.

– Pojedzie, a ojciec razem z nią. Wyruszyście pierwszym pociągami, tym, co odjeżdża do Krakowa przed szóstą rano.

– Czemu przed szóstą rano?

Paweł nie odpowiedział, tylko wychylił szklankę do dna. Tymczasem Agnieszka już wychodziła z salonu. Nawet nie musiał jej pytać, po co. Wiedział, że

poszła szukać walizki. Dobra dziewczyna. Niekłapiąca wciąż dziobem, niedręcząca go tysiącem pytań, łapiąca wszystko w lot. Chociażby dla niej powinien przeprowadzić do końca to, co zamierzył. Po to, by jej pokazać, że na nią zasłużył.

Ojca położyli w gościnnym, w hallu stała niewielka walizka z paroma rzeczami osobistymi Agi. Jeszcze przed udaniem się na spoczynek Paweł kupił przez internet bilety na pierwszy pociąg odchodzący do Krakowa. Na piątą piętnaście. Prawie nie zmrużył oka.

Rano wstali po czwartej. Niewiele rozmawiali. Wypili tylko kawę, żadne z nich nie miało ochoty niczego przełknąć. Na koniec, gdy naburmuszony, woskowo bladej ojciec wynosił walizkę Agi do taksówki, Paweł powiedział jej tylko, że wynajął im dwa pokoje w Orbisie, w Zakopanym, i poprosił, by nawet w razie pomyślnego załatwienia sprawy, nie wracała do Warszawy przed upływem tygodnia. Zgodziła się, nie zadając żadnych dodatkowych pytań, a ze sposobu, w jaki się pożegnali, zrozumiał, iż domyśliła się niejednego.

Po ich wyjściu w pustym mieszkaniu zapanowała grobowa cisza.

Nie tracił czasu na próżne rozmyślenia, zresztą zamierzał jak najszybciej wyjść. Szybko spakował kilka istotnych dokumentów i ubrania na parę dni. Nie planował wracać na noc do mieszkania, ponieważ dobrze wiedział, czego mógł się tu spodziewać.

Ogolił się, wziął prysznic, po czym ubrany i gotowy dokładnie zamknął drzwi mieszkania i przed szóstą wyruszył do pracy. Po półgodzinie wszedł do kancelarii, gdzie nie było żywej duszy. Zrobił sobie kolejną kawę, a następnie w gabinecie przez dwie godziny pisał wytyczne dla podwładnych. Następnie skreślił krótki list do Agi – wskazówki, jak powinna postąpić, w razie gdyby... gdyby coś poszło nie tak.

Szczęśliwie już dawno sporządził testament; notarialnie poświadczona kopia była schowana w jego biurku, w ich mieszkaniu na Saskiej Kępie. Aga dobrze o tym wiedziała. I żonę, i dziecko zabezpieczył finansowo – przynajmniej o to Aga nie będzie musiała się kłopotać. Nie zniósłby, gdyby zostawił po sobie bałagan. Jeśli chodzi o brata, on, Paweł, już zrobił wszystko, co w jego mocy. Aga jest doskonałym prawnikiem, pewnie wyciągnie go z aresztu szybciej, niż on by to uczynił. A co dalej z Matim? Cóż, każdy jest kowalem swego losu.

Przecierając oczy, jakby chciał coś z nich zmazać, zabrał się do dalszej pracy. Wiele spraw wymagało pilnego dokończenia i zamknięcia, mnóstwo listów należało napisać, parę umów trzeba by zakończyć, bo kto wie... Chciał mieć to z głowy, nim przyjdzie wiadomość od Strugi, bez względu na to, jaka będzie.

O ósmej usłyszał chrobot klucza w zamku drzwi wejściowych – to przyszła pani Renata. Po dziewiątej zaczęli się schodzić aplikanci i radcowie prawni, których zatrudniał – w większości banda darmozjadów, specjalizujących się w działaniach pozorowanych. Cóż, być może niebawem będą musieli radzić sobie

sami. Czarno to widział, ale najwyraźniej taki los był mu pisany. Nie mógł postąpić inaczej, i to poczucie w jakiś sposób go uspokajało.

Gotowy na wszystko, pracował jak robot, przerywając tylko wtedy, gdy wchodzili pracownicy, chcąc się go poradzić bądź prosząc o podpis. Godziny biegły bardzo szybko i ani się nie obejrzał, a nadszedł wyczekiwany SMS od Strugi. *Przyjedź tam, gdzie zrobiliśmy tego pamiętnego robra.*

Do jasnej ciasnej, cóż ten Struga mógł mieć na myśli? Neurotycznym gestem sięgnął po zimną kawę. Tfu! Aha, no przecież. W brydża grywali w Uniwersyteckiej. Przez chwilę wpatrywał się w uporządkowane na stole papiery, po czym poderwał się i potrącając fotel, a potem biurko, dopadł do szafy. Wyjął wiosenny płaszcz, szalik i kaszkiet, po czym starannie zamknął gabinet na klucz.

– Wróci pan jeszcze dziś, panie mecenasie? – wyrwało się pani Renacie, rozmawiającej z kimś przez telefon.

Rzucił jej dziwne spojrzenie.

– Mam nadzieję.

Nie zwlekając, wyszedł na klatkę schodową.

Znów poczuł ulgę. Gdy zastanowił się nad jej przyczyną, doszedł do wniosku, że podskórnie obawiał się, iż zaraz po niego przyjdą, udaremnią mu poszukiwania, których łaknął niczym zbawienia. Chyłkiem wyszedł z kamienicy i w ostatniej chwili postanowił nie jechać swoim autem. Zatrzymał przejeżdżającą taksówkę.

Po piętnastu minutach wbiegał w bramę Uniwersytetu Warszawskiego, mijając stary Wydział Prawa, wreszcie dotarł do głównego gmachu. W nieco staroświeckim bufecie przy małych stolikach siedzieli nobliwie wyglądający wykładowcy. Paweł wszedł głębiej, kierując się w stronę barku. Pod oknem ujrzał Strugę pochylonego nad filiżanką herbaty.

I on, Paweł, chętnie napiłby się herbaty. Kiwnął koledze głową, zamówił filiżankę earl greya i usiadł naprzeciwko Piotra. Jakim spokojem tchnęły te stare mury, jaki ład i porządek zdawał się tutaj panować! Chyba nic się nie zmieniło od czasu, kiedy wpadali tu jako studenci na kawę i pączka. Dlaczego otaczająca go rzeczywistość, to, co się działo na zewnątrz, musiało się zmienić na gorsze?

– Mam dla ciebie złe wiadomości – zaczął Struga, nie dając Pawłowi chwili wytchnienia, nie pozwalając mu cieszyć się spotkaniem w tym zacisznym bezpiecznym miejscu.

Cóż, życie go nie rozpieszczało. W sumie, czego się spodziewał? Do tej pory nic nie przychodziło mu łatwo, wszystko musiał sobie wywalczyć, wydrapać pazurami.

– Nie udało się ustalić marki?

– Udało. To granatowe volvo, numer rejestracyjny masz tu zapisany. – Piotr przesunął po stole karteczkę.

- A rejestr z kamer wokół domu?
- Właśnie z tym będziemy mieli problem. Od niedawna obowiązuje nowe rozporządzenie ministra sprawiedliwości, mówiące, że wszystkie sprawy wymagające przeglądu monitoringu muszą być zgłaszane do specjalnego biura zezwoleń, utworzonego przy NOP-ie.
- Przecież to paraliżuje pracę policji.
- A czy nie o to im chodzi?
- To jak można uzyskać dostęp do nagrań?
- Trzeba mieć głejt od NOP-u. Musiałbym znać kogoś od nich.
- Zastanów się, czy znasz tam kogoś.
- Wiem o kimś, kto zna wszystkich w NOP-ie – rzekł tajemniczo Piotr. –

I w dodatku ten ktoś będzie na pewno po naszej stronie.

- Chyba nie myślisz o Kaźmierczaku.
- Właśnie jego mam na myśli.
- Przecież to inkwizytor. Fanatycznie oddany idei PN-u.
- Chyba już nie.
- Przecież nie wiemy, gdzie on mieszka – zauważył Paweł. Nie był do końca przekonany do propozycji Piotra, choć zdawała się mu niegłupia.
- Kumpel z drogówki zrobił mi tę przysługę i wydobył jego adres. Oto on.

Jak się okazało, Kaźmierczak mieszkał przy Targowej. Słońce miało się ku zachodowi, gdy Wencel i Struga wchodzili w podniszczoną bramę. Potężny minister i mieszkanie w takiej spelunie? – zastanawiał się Paweł. Jakby czytając w jego myślach, Piotr powiedział:

– On miał fioła na punkcie moralności i bycia nieskorumpowanym. Żył tylko z pensji, jeździł rządowym autem, nie kupił własnego samochodu. W resorcie krążyły o tym legendy. Teraz ponoć porusza się komunikacją miejską, o ile w ogóle wychodzi z domu. Podobno ostro chleje, najchętniej w samotności. Totalnie złamali go psychicznie.

W milczeniu wspinali się po śmierdzących schodach, w starej kamienicy nie było windy. Po drodze minęli dwóch chłystków z papierosami w ustach, siedzących na parapecie uchylonego okna. Okazało się, że Kaźmierczak mieszka na ostatnim piętrze. Gdy stanęli pod drzwiami, usłyszeli, jak te dwa typki gorączkowo między sobą szeptały. Zaniepokojeni, nacisnęli przedpotopowy czarny guzik dzwonka.

- Kto tam? – Zza drzwi rozległ się ochryply głos.
- W pewnej poufnej sprawie – cicho odrzekł Struga.
- Nic nie słyszę!
- Niech pan uchyli drzwi.

Po dłuższej chwili rozległ się szcęk kilku odmykanych zamków, a następnie drzwi uchyliły się ze stukotem na tyle, na ile pozwolił im krótki łańcuch.

W szparze ukazała się dziobata twarz Kaźmierczka.

– Czego chcecie?

– Jesteśmy tu w sprawie zaginięcia pani Beaty Rząsy, pana partyjnej koleżanki.

Te słowa najwyraźniej podziałały jak zakłęcie, bo Wencel i Struga szybko znaleźli się w środku i usiedli na małej kanapie z porysowanego skaju. Pokój był wielki, nieszczelnymi staroświeckimi oknami wychodził na hałaśliwą Targową, po której w krótkich odstępach czasu, z terkotem, przejeżdżały tramwaje. Pod jedną ze ścian stał dziwaczny regał, pozbawiony gustu i charakteru. Był prawie pusty, wyjątek stanowiło kilka zdjęć małej dziewczynki i jedno dorosłej kobiety, a wyżej rząd niemal wyłącznie historycznych książek.

Kaźmierczak zajął miejsce naprzeciwko nieoczekiwanych gości. Sprawiał wrażenie, jakby nie mógł spokojnie usiedzieć. Wyglądało na to, że chętnie by się wzmocnił alkoholem, ale nie wiedział, czy w tej sytuacji może sobie na to pozwolić.

– Może napilibyśmy się czegoś, nim powiemy, z czym przybywamy? – zagaił dość niegrzecznie Paweł, mając świadomość, że tylko lufa ośmieli nałogowego alkoholika.

Kaźmierczak natychmiast wstał i przyniósł butelkę absoluta, po czym postawił ją wraz z trzema kieliszkami na jakimś stoliku do kawy.

Mieli więc pić czystą. Cóż, w obecnym stanie ducha Pawłowi nawet to odpowiadało. Poza tym ze względów bezpieczeństwa poruszali się po mieście taksówką, więc w zasadzie było mu wszystko jedno, czy się napije, czy nie.

Kaźmierczak nalał, zgodnie wychylili kieliszki, jakby wszyscy trzej świadomi, że gromadzi ich tutaj wyjątkowo niebezpieczna okoliczność.

– Mówcie, czego chcecie.

– Cóż – zaczął niepewnie Paweł, nie wiedząc, w jakim duchu z tamtym rozmawiać – przychodzimy do pana z prośbą o pomoc.

– Czemu miałbym jej wam udzielić? – Twarz Kaźmierczaka była jeszcze bardziej odrażająca na żywo niż w blasku kamer. – Kim, do cholery, jesteście i co macie wspólnego z Beatką?

– Wie pan doskonale, że pani Beata Rząsa zginęła – odparł Paweł, mając wrażenie, że opowiada tę historię już setny raz.

– Oczywiście, ale pomału zaczynam was kojarzyć i nie bardzo rozumiem, co wam do tego. – Wyglądało na to, że wódka rozjaśniała mętny umysł Kaźmierczaka, bo patrzył na nich jeszcze bardziej podejrzliwie.

– Tak, mentalnie bliżej nam do waszej opozycji, ale dziwny splot okoliczności ustawił nas nagle po tej samej stronie barykady. – Paweł przeszedł wprost do sedna sprawy.

To bezpośrednie ujęcie tematu najwyraźniej znalazło uznanie w oczach

Kaźmierczaka, bo znów polał im wódki. Stuknęli się kieliszkami i Paweł kontynuował:

– Ja nazywam się Wencel i jestem radcą prawnym, od dawna miałem z Kwaśniakiem zatarg dotyczący pewnej spółki. Z kolei mój kolega, może pan minister go kojarzy, jest...

– Obu was kojarzę! – przerwał mu Kaźmierczak.

Pawła przeszedł niemiły dreszcz.

– Prześwitaliśmy was. Pana, panie Wencel, na wyraźne życzenie Kwaśniaka.

Trudno było stwierdzić, jaka nuta przeważała w tej wypowiedzi: pogarda czy obawa. Paweł postanowił pominąć tę kwestię i wrócił do właściwego tematu.

– Parę tygodni temu, tydzień przed zniknięciem, pani Beata zwróciła się do mnie o pomoc.

Błysk zdumienia przemknął po chmurnej skrytej twarzy Kaźmierczaka.

– Bała się Kwaśniaka, uważała, że to on pana wykończył, panie ministrze, i obawiała się, że ona będzie następna. Zniknęła bez śladu, działania prokuratury wydają się niejasne i odgórnie sterowane, a nam się zdaje, że mamy do czynienia z mataczeniem. Dlatego zwracamy się do pana o pomoc.

Paweł zerknął na milczącego do tej pory Piotra.

– Tak – podjął skwapliwie Struga. – Sprawa została przekazana naczelnemu organowi prewencyjnemu, nie mamy więc dostępu do akt ani materiałów śledczych. Wspólnie z mecenasem Wenclem sądzimy, że pani Beata została uprowadzona przez niepoczytalnego najprawdopodobniej Kwaśniaka w jego granatowym volvo. Tu ślad się urywa. Chcielibyśmy przejrzeć nagrania z kamer zainstalowanych na skrzyżowaniach w tej okolicy, ale uniemożliwia to ostatecznie rozporządzenie ministra. Dlatego szukamy dojścia do kogoś z NOP-u i wierzymy, że pan nam w tej sprawie pomoże.

Kaźmierczak zdusił papierosa drżącą dłonią, gwałtownie wstał i odwrócił się do nich plecami.

– Obiecałem sobie, że nigdy już w nic nie będę się mieszał – wychrypiął z zaciśniętymi pięściami.

Paweł zmartwiał. Nie dość, że zostawiali za sobą kolejny ślad, że coraz łatwiej ich było namierzyć...

– Ale – podjął zniechęca Kwaźmierczak, okręcając się na pięcie – nie daruję tego temu małemu skurwielowi. Skieruję was do człowieka, który jest mi oddany. Powiedźcie, że przychodzicie ode mnie, a na pewno wam pomoże. Mieszka na Tarchominie, w nowym apartamentowcu, dam wam adres.

Już zbierali się do wyjścia, gdy Kaźmierczak podszedł do nich z grubym skoroszytem w dłoni.

– A to prezent dla was, chłopcy. Jak już dobieżecie się do dupy temu

oślizgłemu kutasowi i znajdziecie to, czego szukacie, dorzućcie jeszcze i to. Akta na ministra Sobiepanka, dowód na to, że Sobiepanek był TW. Kwaśniak mi to przyniósł, a ja w zamian zrobiłem go ministrem. Dostał je zapewne od mafii z Pabianic, z którą jest za pan brat. Jak już udowodnicie, że skurwysyn zrobił coś Beatce, to nie zapomnijcie jeszcze wspomnieć o powiązaniach z mafią, dzięki której kupił sobie stołek. Nie krępujcie się względami na moje dobre imię. Pragnę już tylko jednego: ujrzeć tego skurwysyna za kratami.

Psychoza

Tymczasem dzień wcześniej, w środę, Kwaśniak odbył maraton sejmowych spotkań: umacniał swoją pozycję, okopywał się w nowo zajętych rewirach, słowem, robił wszystko, by przypieczętować świeżo zdobyte przyczółki i pod wieczór był kompletnie wyczerpany. Spędziwszy wiele godzin w skrajnym napięciu nerwów, poddając każdy szczegół przebytych rozmów skrupulatnej, drobiazgowej analizie, mógł śmiało spodziewać się ataku ciężkiej migreny.

Nie pomylił się. Znajomy ból, mający swój początek w lewym oku, z wolna obejmujący całą czaszkę, stopniowo się nasilał. Gdy Kwaśniak uświadomił sobie, że nie zdoła uśmierzyć go zazwyczaj przyjmowanymi lekami, natychmiast wziął tabletkę zarezerwowaną na najcięższe chwile. Potem zasłonił okna, przytłumił światła i wyciągnął się na łóżku, usiłując spokojnie przeczekać.

Silne lekarstwo już zaczęło działać i Kwaśniak poczuł się o tyle lepiej, że nawet postanowił obejrzeć relaksujący film, gdy nagle ktoś załomotał do drzwi.

Niespokojnie poderwał głowę z poduszki. Czyżby znów napraszał mu się ten przekłety Skoczylas? Od pamiętnego wieczoru, kiedy sprawy zaszły tak daleko... Kurwa, nie miał najmniejszej ochoty oglądać tego prostaka! Na diabła mu taki sojusznik!

Przecież specjalnie uczulił chłopaków z ochrony, żeby mieli szczególne baczenie na czarno ubranego gościa. Czy to możliwe, że znów przemknął się niepostrzeżenie? Do diabła z taką ochroną, chyba trzeba ich będzie powymieniać, mają ptasie mózdzki!

Zniechęcony, rozeźlony i niespokojny pomału zwał się z łóżka i dotarł do drzwi. Rzeczywiście, nie pomylił się, w progu stał Skoczylas w swojej odwiecznej czapie i traperkach.

– Dobry wieczór – powiedział cicho, kąśliwie. – Nie cieszysz się na mój widok? A może wkrótce i mnie zaczniesz unikać?

Kwaśniak przyoblekł twarz w wymuszony uśmiech, mruknął słowa przywitania i poprowadził go do salonu, gdzie Skoczylas rozsiadł się w tym samym fotelu, co poprzednio.

– Co cię sprowadza? – zaczął, ukrywając niechęć, po czym szybko dodał nieco obronnym tonem: – Jeśli chcesz zarazić mnie czarnowidztwem, to uprzedzam, że ci się nie uda. Jestem w dobrym humorze, wszystko idzie gładko, dogadałem się z Palimąką co do przyszłości sojuszu. Nie próbuj mnie dziś dołować, nie przelewaj na mnie swojego negatywizmu.

Skoczylas uśmiechnął się szeroko, założył ręce na piersi i rzekł przebiegle:

– Chyba nie zataisz przed starym kumplem szczegółów sojuszu?

Kwaśniak właśnie tak zamierzał postąpić, ale w końcu zdecydował się ulec. Jednak bał się wchodzić na wojenną ścieżkę przeciw Skoczylasowi.

– Uznaliśmy za sensowne czasowo zawiesić projekt. Gdy nadejdą lepsze czasy, znów pomyślimy o przewodnictwie. Ale teraz? Sytuacja nie jest sprzyjająca. Po co więc na siłę pchać się na szczyt? Aby polec? Stracić, co się zdobyło? – przedstawivszy to niepozobawione logiki rozumowanie, niecierpliwie czekał na ripostę Skoczylasa.

– Nie rozumiem – zaczął Skoczylas protekcyjnym, psia jego mać, tonem. – Chcesz się cofnąć w pół drogi? Właśnie teraz, kiedy wszystko idzie jak po maśle? Bo Palimaka tak ci doradził? – Ostatnie zdanie wypowiedziane z szyderym przekąsem, kryło w sobie niejedno.

Właśnie dlatego, cholera jasna, Kwaśniak nie chciał Skoczylasa oglądać. Ta jego pieprzona logika za każdym razem robiła swoje. Udawało mu się zasiać w nim wątpliwości, by potem forsować szalone pomysły. Nie zamierzał znów dać się na to złapać. Zamiast odpowiedzieć na pytanie, zaśmiał się głośno i sprytnie zaproponował:

– Czego się napijesz, Skoczylas?

– Tego, co zwykle piję w twoim towarzystwie.

– He, he, he.

Już po chwili otwierali flaszkę, Kwaśniak przodował. Mocny trunek powinien ostudzić podejrzenia Skoczylasa, zmącić tę paranoiczną konstrukcję.

– Dobra nasza, co? – Pokrzepiony kielichem, Skoczylas śmiał się szczerbatą gębą.

Kwaśniak domyślił się, że mowa w ogóle o wypracowanej do tej pory sytuacji.

– Naprawdę genialnie się to wszystko potoczyło – przyznał skwapliwie.

Rzeczywiście – wszyscy, którzy wiedzieli o nim za dużo, zostali wyeliminowani.

– A pamiętasz, jakie miałeś obiekcje na początku? – triumfował Skoczylas, prędko rozlewając następną kolejkę.

– Nie sądziłem, że to się uda.

– A ja ci mówiłem, że tak. Zawsze mnie słuchaj, a dobrze na tym wyjdiesz.

Stuknęli się kieliszkami.

– Tym bardziej nie pojmuję, co cię teraz powstrzymuje – podjął nieco maniakalnie Skoczylas. – Macie poparcie, wszyscy się was boją, wystarczy, że postawicie twarde warunki prezesowi – mówiłem ci, jakie. Postraszysz go, że albo zrobi ciebie premierem, albo wyjdiesz z PN-u z czterdziestoma szabłami.

– Hola! Dajże człowiekowi wytchnąć, nie jestem maszyną.

– Musisz kuć żelazo póki gorące! Jeżeli teraz zaczniesz zwlekać, to przepadłeś z kretezem!

– Co ty chrzanisz? Dopiero co wykarczowałem całą wewnętrzną opozycję – puszył się Kwaśniak. – Jestem głową postępowego skrzydła, a ty próbujesz mi

wmówić, jakoby wisiało nade mną zagrożenie? Śmieszysz mnie.

– Zagrożenie istnieje, dopóki nie ma się pełnej kontroli.

– Nie ma czegoś takiego jak pełna kontrola, Skoczylas. Nie wiem, po kiego wała chcesz mnie znów wpędzić w paranoję. Mało ci tego, co już się stało?

– Właśnie tym bardziej nie możesz teraz odpuścić. Oni wszyscy bacznie ci się przyglądają. Już się zorientowali, do czego zmierzasz, więc tylko czekają, żeby podstawić ci nogę.

– Jacy znów oni?

– Wszyscy i każdy z osobna. Każdy dyrektor departamentu, któremu nadepnałeś na odcisk, każdy agent specjalny, który choć na moment zastanowił się, po co właściwie przekierowano śledztwo w sprawie pani Rząsy-Pracz z prokuratury do NOP-u – wyliczał Skoczylas z ogniem w oczach. – Zbuntowany Łęzak, który uważa, że mógłby wyciągnąć od ciebie większy procent, zastępca Łęzaka, ten, co podsłuchiwał pod drzwiami. Bystra sekretarka. Cwana sprzątaczką. Boy hotelowy, który widział cię z Beatą. Mam wymieniać dalej?

– To się nazywa schizofrenia, Skoczylas. Cierpisz na schizofrenię!

– To się nazywa racjonalne myślenie. Prosta logika.

– Będę racjonalny, podejrzewając wszystkich dookoła?

– Powiem krótko: tak.

– Cóż więc zrobimy, Salomonie? Pozabijasz ich wszystkich?

– Nie ma takiej konieczności. – Skoczylas wlał wódkę między rozchylone malinowe wargi. – Rozwiązanie problemu jest znacznie prostsze i pozostaje w zasięgu twoich możliwości.

– Co znów za dyrdymały opowiadasz?

– Bierz tekę premiera, zapanuj nad NOP-em, nad służbami, tak byś więcej nie musiał się bać.

– Już nie muszę się bać!

– Gówna prawda. Robisz w gacie ze strachu.

– Człowieku, z nadania ministra sprawiedliwości przysługuje mi własna jednostka kontrwywiadowcza pod dowództwem bez reszty oddanego mi oficera Kukuryki. Na stałe podsłuchują wszystkich z mojej czarnej listy plus bardzo wielu innych potencjalnie mi zagrażających. Sprawdzają też tych, którzy mi podlegają, sprawdzają nawet nopowców! Wiem na bieżąco, o czym rozmawiają i myślą; Kukuryka co tydzień przekazuje mi zalakowane raporty. Na razie nigdzie nic się nie dzieje, a przez twoją przesadną ostrożność i nadgorliwość brałem bierny udział w czymś, czego, cholera jasna, nie mogę wymazać z pamięci.

– Brałeś... udział? – Skoczylas uśmiechał się szeroko, szaleńczo, niedowierzająco.

– Bierny udział – uściślił cierpko Kwaśniak, po czym zdumiał się, widząc, jak Skoczylas nagle pokłada się w fotelu, zakrywając dłońmi twarz. – Co ci, do

cholery ? – Z obrzydzeniem obserwował kulające się po fotelu, zwinięte cielsko. – Śmiejesz się czy płaczesz?

Chrapliwy rechot rozwiął jego wątpliwości – Skoczylas śmiał się do rozpuku. Czyżby do końca obrało go z rozumu? Może oszalał od tamtych przeżyć? Przecież musiał zmasakrowane ciało ukryć, szczęście, że on, Kwaśniak, w tym nie uczestniczył. Nie wiedział, co tamten zrobił, nie chciał mieć z tym nic wspólnego. Stał z boku, zwyczajnie pilnując, by nikt nie nad-jechał.

Skoczylas nawarzył piwską i teraz musi je wypić. On, Kwaśniak, ani go do tego nie zachęcał, ani nie namawiał i nie da się wciągnąć w żaden współudział!

– Zamknij się, Skoczylas – surowo upomniął wijącego się w konwulsjach kolegę, a ponieważ tamtego chwyciło na dobre, Kwaśniak złapał go za ramię, potrząsnął nim i krzyknął: – Mówię ci, zamknij się, bo okno jest uchylone, ochrona cię usłyszy!

Debil rżał dalej, jakby opętało go sto diabłów. Ten coraz głośniejszy dźwięk, rżący i poświstujący, zdawał się odbijać echem od pustych ciemnych kątów salonu, wibrować i rezonować, napełniając pokój kaskadami wciąż nowego szaleństwa.

Dobiegające zewsząd niezwykłe odgłosy zdawały się osaczać Kwaśniaka, a zarazem przydawać wszystkiemu zagadkowej niejasności, jakby jakaś tajemna siła rozprawiała się z nim, zamęczając do reszty odbiór.

Stanął na środku salonu, niemal machinalnie ciągnąc rechoczącego idiotę za kaptur, by podnieść go do pionu, podczas gdy ta ciemna siła w bezlitosny sposób uzmysłowiła mu, że jest na skraju przełomu, wielkiej zmiany, u progu zrozumienia czegoś bardzo skomplikowanego, co już od dawna chciał pojąć.

Tak go to zafrapowało, że dopiero po pewnym czasie uzmysłowił sobie, że do jego świadomości dociera przeciągły ostry dźwięk – dzwonek u drzwi. Zamarł w bezruchu. Nie mogą zobaczyć w jego mieszkaniu tego typu spod ciemnej gwiazdy. Jeszcze kiedyś wyjdzie na jaw, że to morderca, i pomyślą, że on, Kwaśniak, mógł mieć coś z tym wspólnego.

– Cicho! – rzucił ostro w stronę powoli uspokajającego się, zasmarkanego, puszczającego bąble z nosa Skoczylasa. – Ktoś idzie!

Zgasił w salonie światło i dokładnie zamknął drzwi, po czym szybko podszedł do drzwi frontowych. Dzwonek zamilkł, teraz ktoś niespokojnie stukał.

– Panie ministrze – usłyszał głos Antka, jednego z ochroniarzy – panie ministrze, czy wszystko w porządku?

Frenetycznie rzucił się do lustra, zarejestrował, że jest blady jak ściana. Szybko przygładził włosy, zapiął koszulę pod szyję i dopiero wtedy uchylił drzwi. W świetle jarzeniówki zobaczył niespokojną twarz ochroniarza.

– Naturalnie, że w porządku! Pracuję! – odparł gniewnie, strzygąc uszami w stronę salonu, zza drzwi bowiem znów dobiegał stłumiony dźwięk, jakby ten

porąbaniec się śmiał, wbijając twarz w poduchę kanapy.

Chłopak wciąż stał w progu, jakby niedostatecznie przekonany.

– Wracaj do domu, Antek, dziś nie będę niczego więcej potrzebował – rozkazał Kwaśniak, po czym prędko zamknął drzwi. Oparł się o nie, ocierając wilgotne od potu czoło, nasłuchując, czy tamten wykonał polecenie. Przez drzwi słyszał, że chłopak kręci się niezdecydowany, co robić. W końcu dobiegł go odgłos oddalających się, pełnych wahania kroków.

Szybko powrócił do salonu. W ciemności dostrzegł siedzącego nieruchomo, najwyraźniej uspokojonego Skoczylasa; jego łysa głaca odbijała światło wpadające z korytarza. Kwaśniak nie miał ochoty zapalać lampy, zresztą oczy szybko przyzwyczyły się do ciemności. Usiadł naprzeciwko towarzysza niedoli, po omacku poszukał papierosów i zapalniczki.

– Daj i mnie – odezwał się z fotela Skoczylas.

Zapalili, jeden po drugim. W błysku zapalniczki twarz Skoczylasa miała kolor twarogu, przypominał zjawę. Kwaśniak poczuł, że wzbiera w nim fala niechęci, ale bał się dać temu wyraz choćby miną.

– A wracając do naszego problemu – Skoczylas odchrząknął znacząco, sugerując, jakoby problem był wspólny – stąpamy po grząskim gruncie. Gdyby tamto wyszło na jaw, to trzeba by szybko wypracować sobie pełną kontrolę nad policją, służbami. W razie czego będziesz w stanie zdusić to w zarodku.

– Przestań straszyć, że coś wyjdzie na jaw, do cholery! – Ręka Kwaśniaka wykonywała wciąż ten sam układ taneczny, odgarniając nieistniejący kosmyk, po czym muskając nęcące miejsce w pobliżu płatka usznego, a na końcu wygładzając wymaginowaną fałdkę na koszuli, zlokalizowaną na piersi.

– Zawsze może tak się zdarzyć, trzeba być przygotowanym – szept Skoczylasa zdawał się docierać do Kwaśniaka z dwóch stron naraz, jakby ktoś podłączył go do wieży stereo. – Jak będzie sprawa o morderstwo, to bez dobrego oparcia w NOP-ie nie załatwisz tego jednym oddziałkiem agentów.

– Najpierw musi się znaleźć ciało, żeby wyszło na jaw morderstwo! – Żołądek Kwaśniaka był ściśnięty w kamień.

– Ciało, kurwa mać, może jeszcze wypłynąć.

Kwaśniak poderwał się na równe nogi.

– Mówiłeś, że przywiązałeś ją na całej długości do szyny bagażnika, ważącej ponad dziesięć kilo.

– No! – Skoczylas z ukontentowaniem wyciągał brud z za paznokci pochwyconym ze stołu nożem.

– Wrzuciłeś ją do stawu hodowlanego, więc przecież... – Kwaśniak bał się dokończyć.

– Nie wiem, czy karpie obeźrą coś takiego.

– Tam, gdzie żyją karpie, są też węgorze – tak mówiłeś! Nie ma bata, by

cokolwiek wypłynęło, nie ma takich szans! – Kwaśniak złapał się za włosy.

– Musisz być przygotowany, w razie gdyby pod wpływem jakichś czynników ciało się rozczłonkowało i część jego wypłynęła – ciągnął niezrażony Skoczylas.

– Przestań mnie wpędzać w paranoję! Skoro ciało może się podzielić, to musimy je stamtąd zabrać.

– Słyszałeś może o takiej teorii, że morderca zawsze wraca na miejsce zbrodni? – Skoczylas uśmiechnął się pod nosem.

– Och, ucisz się wreszcie! – Kwaśniak konwulsyjnym gestem zatkał dłońmi uszy.

– Nie wolno wracać na miejsce zbrodni, to pułapka. – Głos Skoczylasa docierał do Kwaśniaka mimo szczelnie przyciśniętych do uszu rąk. – Słuchaj! – Skoczylas poderwał się na nogi, odrywając Kwaśniakowi dłonie od uszu i łapiąc go za ramiona. – Uspokój się! Od pół godziny próbuję ci powiedzieć jedno: możesz jeszcze odzyskać kontrolę nad sytuacją.

– Daj mi spokój, zostaw mnie.

Zaczęli się szamotać; Kwaśniak chciał się wyrwać, krępy Skoczylas mocno trzymał go za przeguby dłoni.

– Odejdź! – zawył Kwaśniak – Zgiń, przepadnij!

– Nawet jak ciało wypłynie w kawałkach... – oczy Skoczylasa świeciły w ciemności, tuż przy twarzy Kwaśniaka, który zaciskał zęby i jęczał, by odeprzeć napór cielska przysadzistego kumpla – ...nawet jeżeli znajdą na wpół obżartą rękę czy nogę, damy radę się z tego wyłgać, jeśli będziemy mieli pełnię władzy w państwie. Rozumiesz?

Wciąż mocowali się z potwornymi grymasami na wykrzywionych od wysiłku twarzach. W końcu Skoczylas uzyskał przewagę, siadając na Kwaśniaku okrakiem. Obaj dyszeli tak, jakby przebiegli maraton.

– Jak mówiłem, przyjacielu – podjął Skoczylas, trzymając ręce Kwaśniaka przyszpilone do podłogi – jutro z pomocą Palimąki uzyskasz odpowiednie upoważnienie, by zrobić Wencłowi rewizję. Aresztujecie go, a potem, jak tylko skurwiel będzie wył, unieszkodliwiony w betonowych gaciach na wydobywczym, umówisz się z prezesem i postawisz warunek: albo teka premiera, albo czterdzieści szabli odchodzi z PN-u.

Po bezsennej nocy w słoneczny majowy poranek biały na twarzy niczym twaróg, zroszony potem, trzęsący się jak w febrze, postarzały o dziesięć lat, Kwaśniak jechał limuzyną rządową na Wronią, do GDDKiA. Wczorajsze wywody tego świra nie pozwoliły mu zmrużyć oka.

Gdy samochód przemierzał zalane majowym słońcem, choć wciąż chłodne

ulice, Kwaśniak, niespokojnym wzrokiem goniąc po budzącej się do życia Warszawie, naraz napotkał w lusterku wstecznym badawczy wzrok Antka. Czy już, cholera, Bóg go opuścił, czy faktycznie przeklęty wścibski ochroniarz przyglądał mu się podejrzliwie? Postanowił nie myśleć o tym, nie zwracać na to uwagi. Kierował się do generalnej dyrekcji, aby przemaglować Łężaka, w razie gdyby tamten zamierzał fikać.

Tymczasem auto zatrzymało się na czerwonym świetle, na wysokości Pięknej. Samochody stały ciasno upchane, droga była zakorkowana w obu kierunkach, kierowcy jadący w stronę Mokotowa ciekawie przyglądali się rządowej limuzynie, a bezpieczny za przyciemnionym szkłem Kwaśniak mógł obserwować ich, samemu nie będąc widzianym.

Równolegle do nich stał czarny volkswagen jetta, jakim kiedyś jeździli rządowi oficjele. Za kierownicą siedział elegancko ubrany facet, który nagle opuścił szybę i znacząco zerknął na Antka, po czym zapalił papierosa. Wykonany finezyjnie, niemal teatralnie gest zapalenia papierosa zdał się Kwaśniakowi wyreżyserowany. Skamieniały, z mokrymi od potu pachami, wlepił wzrok w scenę, która rozgrywała się na jego oczach. Widząc ten jakby umówiony sygnał, Antek chwycił za komórkę, coś w niej wystukał – najpewniej wysłał gdzieś SMS-a – cynk o tym, gdzie Kwaśniak się teraz kieruje. A jednak. Wiedzieli już, że jest bliski osiągnięcia celu i chcieli mu to udaremnić.

Może nawet chcieli go zgarnąć pod jakimkolwiek pretekstem. Czuł, że ziemia usuwa mu się spod nóg, coś chwyciło go za gardło. O podłe skurwysyny! Nie pójdzie im tak łatwo! Już on im pokrzyżuje te nieczne plany! Zmartwiałym palcem wcisnął guzik, szybka dzieląca go od kierowcy zjechała w dół

– Mała zmiana planów! – drżącym z tłumionego gniewu głosem obwieścił Antkowi.

Ten kłamliwy szubrawiec popatrzył na niego trwożnie, co tylko utwierdziło Kwaśniaka w słuszności osądu i postępowania. Patrzcie, jak się gagatek zdenerwował. Już posłał w świat wieści, że kierują się do generalnej dyrekcji, a tu tymczasem taka chryja.

– Jedziemy w Aleje Ujazdowskie.

– Do centrali? – Zdrajca był najwyraźniej przerażony. – To ja zadzwonię do chłopaków z ochrony, żeby tam do nas przyjechali.

– O nie, nie, nie! Oddaj mi natychmiast swój telefon komórkowy.

– Ale, szefie, oni muszą mi asystować. Takie są przepisy.

– Dawaj komórkę, tam, gdzie jedziemy, nie będzie potrzebna ochrona.

Zimną, mokrą dłońią niemal wyrwał Antkowi telefon i nie słuchając dalszej nerwowej argumentacji, zasunął szybką dźwiękoszczelną. Teraz należało jak najprędzej pozbyć się tego pieprzonego wrzoda, który od lat psuł mu krew. Wyciągnął swój aparat, blackberry, specjalnie wyposażony w system

antypodsluchowy, za który resort zapłacił jak za zboże, i wybrał numer Palimąki.

– Jasiek – zaczął poufale, ale zdecydowanie – mam do ciebie prośbę. Pamiętasz o przysłudze, o którą cię wtedy prosiłem?

Siedział naprężony niczym struna, ściskając kurczowo słuchawkę.

– Mówisz o tym prawniku, co ci założył za skórę? – Głos Palimąki był lekko nieprzytomny, rzeczywiście nie było jeszcze dziewiątej.

– Tak. Właśnie o niego chodzi. Skurwiel zanadto fika i wolę raz na zawsze mieć go z głowy. Chciałbym, żebyś wysłał chłopcom nakaz aresztowania, o który cię prosiłem.

– Cholera, co nagle to po diable. Wolałbym nie wysyłać tego typu rzeczy na piśmie, Mirek, zwłaszcza że jak wiesz, nic na niego nie mieli.

– Jasiek, sytuacja jest nieciekawa, a ja nie mam czasu na wyjaśnienia. Zresztą, nie chciałbym się ustawiać w roli twojego petenta, nie taki jest między nami układ. – Głos Kwaśniaka przybrał nieprzyjemny ton.

Cholera, Palimąka już dawno mu to obiecał, zresztą miałyby na niego niejedno, lepiej niech go nie zmusza, by uciekł się do pogroźek.

– Dobra, ale nakaz przekażę im ustnie, zadzwonię do Tomka.

– To dzwoń, ale szybko.

– Dobra, dobra.

Najwyraźniej przerażony obrotem spraw, Antek zatrzymał samochód tuż przed wejściem do centralnej jednostki naczelnego biura prewencji. Kwaśniak znów opuścił szybkę i oznajmił:

– Nie zostawię cię tu samego. Parkuj tam, wejdziemy razem. Poczekasz na mnie pod drzwiami.

Zdanie to odniosło spodziewany skutek; ochroniarz wyglądał na mocno zaniepokojonego. Oj, pokrzyżował mu Kwaśniak plany. No cóż. Nie tak łatwo go przechytryć, znacznie lepsi próbowali i to im się nie udało. Z zagadkowym uśmiechem sunął do okienka, gdzie rezydowała sekretarka, a tuż za nim pędził ciężko przestraszony Antek. Brak komórki i bliskość szefa udaremniły mu nawiązanie łączności z tamtymi – z mocodawcami.

Energicznie, zdecydowanie Kwaśniak minął kontuar recepcji, gdzie sekretarka zdążyła tylko poderwać się i powitać go czołobitnie, ale i jej nie poświęcił ani sekundy uwagi.

Biegła teraz za nim, gdy sadył długimi krokami wprost do pokoju 216, gdzie rezydował przeklęty dowódca komórki operacyjnej numer 18 – buńczuczny oficer Jastruń.

– Panie ministrze, pan do kogo?! – wołała za nim sekretarka, drobiąc na krótkich, tłustych nóżkach.

Nie mogła za nim nadążyć, jej głos powoli ucichł za kolejnym zakrętem wijących się korytarzy.

Tymczasem Kwaśniak niemal biegł, słysząc, że Antek jest tuż za nim. W końcu dopadł właściwych drzwi. To za nimi, wraz z sześciuosobowym zespołem, urzędował oficer specjalny, a zarazem kierownik sekcji przeznaczony do walki z korupcją, młodszy kapitan do spraw prewencji, Tomasz Jastruń.

Kwaśniak znalazł ten gabinet, za kadencji Kaźmierczka bywał tu nieraz. Wszedł do środka bez pukania.

W dużej otwartej przestrzeni panował wesoły gwar, kilka osób siedziało w rozluźnionych pozach. Opijali się kawą i coś żarli, cuchnęło hamburgerami. Oficer Jastruń, niby Król Słońce, siedział przy centralnym biurku, z nogami wywalonymi na usiany papierzyskami blat. Na widok Kwaśniaka wszyscy oprócz niego poderwali się z krzesel. Jastruń, jako jedyny, zbierał się powoli, bez śladu urzędowej gorliwości. Z godnością zdjął nogi z blatu, wstał z krzesła i obszedł biurko. Wysoki, doskonale zbudowany, stanął przed Kwaśniakiem w rozkroku, co w nieprzyjemny sposób manifestowało nieugiętość charakteru.

– Pan minister z samego rana? – W głosie Jastrunia nie było nuty czołobitności, która winna cechować podwładnego. – Coś się stało?

– Nie dzwonił do was minister Palimąka? – Kwaśniak usiłował nie krępować się tym, że mówiąc do Jastrunia, musiał patrzeć do góry.

– Nie.

Ileż bezczelności, braku pokory było w tych słowach, gestach, minie, w całej pozie. Kwaśniak poczuł, że czerwienieje. Postanowił wziąć się w garść. Ostentacyjnie rozejrzał się dokoła, mierząc surowym wzrokiem poważne, spięte twarze młodych ludzi, którzy naprędce usuwali z pola widzenia papierowe kubki z kawą i torebki po jedzeniu na wynos.

Kwaśniak miał serdecznie dość tego zespołu, a solą w oku był właśnie zbuntowany Jastruń. Z pięćdziesięciu założonych najróżniejszym adwokatom, radcom i prokuratorom spraw, tylko w kilku pieprzony Jastruń dopatrywał się nieprawidłowości. Zmęczony brakiem subordynacji, już dawno nakazał Kukuryce bacznie przyglądać się hardemu młodzieńcowi. Z początku obserwacje nic nie dawały, jednak Kwaśniak był nie w ciemną bitą. Umiał podejść każdego, zęby na tym zjadł.

Z jego polecenia Jastruniowi dołączono do zespołu kilku młodych nieopierzonych ludzi, w tym dwie siksy tuż po studiach. Jastruń był żonaty, miał trzecie dziecko w drodze, więc postarali się, by dawano mu roboty ponad siły, często poza Warszawą. Spędzał mnóstwo czasu w rozjazdach, nocując po hotelach. Z jego zespołu zabrano młodego obiecującego funkcjonariusza i zamiast niego przydzielono do pomocy jedną ze smarkul. Do tego wyposażyli Jastrunia w luksusowe auto, dali wysoki limit na karcie i... niedługo trzeba było czekać na rezultaty. Mieli to już zgrane, ale nie było jeszcze okazji po to sięgnąć. No cóż, Jastruń sam się podkładał, wręcz się o to prosił.

Kwaśniak z ogromną pewnością siebie rozsiadł się na pierwszym z brzegu krześle.

– Sprawa jest taka. Macie natychmiast aresztować jednego z podejrzanych, wokół którego prowadzone jest tajne postępowanie śledcze. Chodzi o radcę prawnego Pawła Wencla. Chcę, by sprawę załatwiono w trybie przyspieszonym.

– Chwila, moment! Prowadziłem to postępowanie, więc znam szczegóły. Przecież sprawę umorzylismy. – Jastruń wsunął ręce w kieszenie obcisłych czarnych spodni. – Kosztowne drobiazgowo dochodzenie kompletnie nic nie wykazało.

– Nie tylko wasz zespół nad tym pracuje. – Kwaśniak czuł, jak oblewa go gorąco.

– Kto jeszcze?

– Grupa oficera Kukuryki.

– To czemu oni go nie zgarną? – indagował bezczelnie pewny siebie młody skurwiel.

– Oni wejdą do kancelarii, a wy w tym samym czasie do mieszkania. Jeżeli będzie w biurze, oni go wezmą. A jak będzie w domu, wy go zgarniecie.

– Muszę mieć nakaz. – Jastruń hardo popatrzył na Kwaśniaka.

– Zaraz zadzwoni sam pan minister, to akcja na jego specjalne polecenie.

– Rozkaz telefoniczny nie wystarczy, muszę mieć nakaz aresztowania od prokuratury, i to na piśmie.

– Doprawdy? – Kwaśniak zmierzył hardego gnojka pałającym spojrzeniem.

– Takie jest prawo – zauważył Jastruń.

W pokoju zapanowało wymowne milczenie.

Kwaśniak uśmiechnął się gorzko.

– Prawo, powiadacie? Prawo? – Wstał i zaczął się przechadzać po gabinecie z rękami założonymi do tyłu i kpiącym wyrazem twarzy. – Nie musicie mnie pouczać, jestem prawnikiem i zgadzam się, że procedury trzeba zachowywać. Gdy jednak za prawem chowają się złoczyńcy i bandyci, kiedy prawo kryje ich zbrodnicze działania, to przestaje być dla mnie prawem. Takie prawo nic dla mnie nie znaczy.

Potoczył wokół taksującym wzrokiem, licząc na poklask dla swoich słów, lecz ku jego zdumieniu, młodzi ludzie milczeli. Kwaśniak niemal fizycznie poczuł bijącą od nich falę niechęci.

– W momencie kiedy pan będzie respektował prawo, kapitanie, oni łamią prawo i śmieją się wam w nos!

Jakże wymowne było to nieaprobujące milczenie.

– A więc to tak? Nasze wartości nic dla was nie znaczą?! – wściekł się Kwaśniak, łyskając niebezpiecznie białkami oczu. – W takim razie ujmę to inaczej. Macie natychmiast podporządkować się moim poleceniom albo w trzy sekundy

wywalę was na zbite mordy!

Wbił wzrok w skamieniałą ze wściekłości twarz Jastrunia i przez chwilę mierzyli się wzrokiem.

– Przygotujcie się natychmiast do pojmania tego człowieka. Przed szóstą rano otoczcie jego dom, a jak wejdziecie do środka, nie musicie zachowywać jakichkolwiek względów. Chcę, żeby każdy milimetr jego mieszkania został dobrze przeszukany. Zryjcie każdą wnękę, szufladę, pudełko, książkę czy szkatułkę z pamiątkami. Im więcej hałasu, im więcej efektów specjalnych, tym lepiej. Niech pójda w ruch kominiarki, broń, sprzęt. Ma być z przytupem!

Ręce miał mokre od potu, gdy zbliżył się do popatrującego na niego z pogardą Jastrunia.

– A jak się dowiem, że on wam się wymknał... – zawiesił znacząco głos i dopiero po chwili dodał, patrząc Jastruniowi prosto w oczy: – Nie chciałbym być w pańskich butach. Wiem, że ma pan kredyt, i choć kolegom się pan jeszcze nie pochwalił, dziecko w drodze. Niech mnie pan nie zmusza do drastycznych posunięć, bardzo tego nie lubię. Gdyby żona dowiedziała się, jak pan spaprał sprawę, byłaby rozczarowana... – urwał na chwilę i znacząco spojrział na jedną z funkcjonariuszek, która przyglądała mu się w osłupieniu.

Jastruń cofnął się, jakby otrzymał policzek. Gwałtownym gestem wyciągnął rękę z kieszeni, dłonie zacisnął w pięści.

Kwaśniak wstał i skierował się ku drzwiom. Położył dłoń na klamce, odwrócił się do Jastrunia, jeszcze raz otaksował wiele mówiącym spojrzeniem młodzieńską funkcjonariuszkę i powtórzył z naciskiem:

– Niech pan nie sprawi zawodu żonie.

Wychodził, gdy odezwała się komórka Jastrunia. W otwartych drzwiach Kwaśniak rzucił przez ramię:

– A to zapewne minister Palimąka! Z formalnym nakazem, którego pan się tak domaga!

Rozgrywka

Ostatnie miesiące na stanowisku szefa zespołu operacyjnego numer 18 były jak jazda kolejką wysokogórską. Tomasz Jastruń koordynował kilkadziesiąt spraw toczących się na terenie całej Polski; na złamanie karku gnał z miasta do miasta, sypiał po kilka godzin na dobę, do domu wracał sporadycznie i tylko po to, by przewrócić się na łóżko w ubraniu i zasnąć jak kamień.

W wirze wydarzeń nie miał czasu przystanąć i pomyśleć, jak to się dziwnie potoczyło, że zamiast z żoną, większość wieczorów spędzał ostatnimi czasami w bezdusznych hotelowych barach nad kuflem piwa ze swoją partnerką z zespołu. Za naturalny uznał fakt, że przydzielono mu nowiusieńkie porsche carrera. Wszak jako agent *under cover* brał udział w różnorodnych tajnych akcjach operacyjnych, gdzie często grał rolę zamożnego biznesmena. Diety miał wysokie, a wydatki rozliczano mu bez zająknięcia. Doprawdy trudno się dziwić, by w tym jałowym życiu, które prowadził, miał wszystkiego sobie odmawiać.

Nawet się nie obejrzał, kiedy pojedynczy wyskok po alkoholu wszedł mu w nawyk. Tłumaczył sobie, że to wyłącznie dla zachowania zdrowia psychicznego, niczym pójście do toalety. W ogóle nie traktował tego poważnie – serio, nie było o czym mówić. Tymczasem nieoczekiwanie spadła na niego wiadomość, że go obserwowano. Poczul się tak, jakby dostał obuchem między oczy.

On, wytrawny pies gończy, był od jakiegoś czasu tropiony, sam stał się zwierzyną.

Pograżony w myślach, jechał wolno skrzącym się jak kryształ porsche przez rozkwitające młodą zielenią warszawskie ulice. Zakorkowana Szpitalna stała. Opuścił szyby, rześki wiatr studził mu rozpaloną głowę. Kosmopolityczne usługi gastronomiczne wszelakiej maści, od chińskich po libańskie, pełne były ludzi złąknionych wiosny, flirtu, przygody.

Na placu Powstańców Warszawy harcowali bezkarni rowerzyści, pod Domem Chłopa na deskorolkach, z miną, że bez kija nie podchodź, stroszyli piórka buńczuczni nastolatki, po chodnikach paradowały trzymające się za ręce młodociane parki. Dziewczyny świeciły gołymi nogami, chłopaki zrzuciły marynarki, ukazując prężące się mięśnie. Wszyscy oni poczuli wiosnę, stąpali lżejszym, radośniejszym krokiem, jakby w oczekiwaniu na coś, co miało nastąpić.

Przejechał Świętokrzyską aż kipiącą wieczornym życiem. Od strony Nowego Świata ulicami wylewały się tłumy rozgadanych studentów, spieszących do barów, które zawłaszczwały powierzchnie ulic, okopując się kremowymi parasolami, płonącymi pochodniami i donicami kwitnących kwiatów.

Potem mijiał Mazowiecką, gdzie za szklanymi witrynami kelnerzy uwijali się między stolikami nocnych klubów, które dziś – w ten piątek – miały przeżyć pierwsze oblężenie po przednówku.

Plac Teatralny też tętnił życiem. Wokół kawiarenek i przed teatrem ustawiano namioty, gdzieś widać było spieszących elegantszych mieszkańców stolicy, trwożnie odgradzających się od napierającej gawiedzi, dobiegał głos z mikrofonu, odbywały się próby przed wieczornym sponsorowanym *eventem*.

Z ulgą minął Moliera i wdepnął gaz tak, aż zawył silnik. Z obojętnością odnotował, że starsza elegancka para wzdrygnęła się, słysząc upiorny dźwięk. W lusterku wstecznym widział ich jeszcze przez chwilę stojących na środku przejścia dla pieszych, wygrażających mu pięściami.

Nic go to jednak nie obchodziło, jego mózg koncentrował się tylko na jednym zagadnieniu. Co ten przeklęty, trzęsący się jak kupa gówna, zapocony szmondak mógł na niego mieć? Co nagrał, czym dysponował i na ile zagrażało to stabilności jego życia rodzinnego? O ile się orientował, a orientował się lepiej niż przeciętny Kowalski, spokojnie mogli go wykończyć.

To, co na niego mają, będą trzymać w tajemnicy, a jemu nigdy nie uda się położyć na tym łapy. Niczego się nie dowie. Przynajmniej dopóki im nie podskoczy. Będzie musiał ze ślepym posłuszeństwem realizować ich rozmaite, psiakrew, zlecenia, na tym to polegało. Przecież nie było wiadomo, czy zaarrestowanie Wencla będzie ostatnim bezprawiem, jakie nakazą mu przeprowadzić. Takich poleceń może być więcej. Będą w stanie zmusić go do każdego bezceństwa!

Zgnębiony, niespokojny, jechał powoli tunelem na most Śląsko-Dąbrowski.

Co za gówniarz z niego, pieprzony gówniarz. Dał się im, kurwa, podejść jak smarkacz. Zachłysnął się furą, podjarał zajebistymi hotelami, drinkami, szmałem, który mógł wydawać dowolnie, by zaimponować tej smarkatej. I teraz, kurwa, mieli go na widelcu, nie był już panem własnego losu.

Miał chęć tłuc tym pustym łbem o skórzaną kierownicę, lecz zamiast tego zimnym wzrokiem głęboko osadzonych oczu chłonał panoramę warszawskiej Pragi. Na myśl o jutrzejszym poranku aż go skręcało w środku. Nie tak wyobrażał sobie karierę, kiedy kończył szkołę w Szczytnie. Konwulsyjnym gestem sięgnął po małą flaszkę wsadzoną między siedzenia, łyknął solidnie. Nie obawiał się jazdy po alkoholu, gówno mu mogli zrobić.

Czuł potrzebę znalezienia się w domu, chciał sprawdzić, czy u nich wszystko okej, lecz z drugiej strony, bał się stanąć twarzą w twarz z żoną, ponieważ nie był pewien, czy zdoła spojrzeć jej w oczy.

Czy już zawsze miało tak być?

Och, jak inaczej wyglądało jego życie jeszcze parę godzin temu! Czuł się lekki i beztroski, choć zdawało mu się przecież, że liczba obowiązków go przytłaczała, nie dawała złapać oddechu. Cóż, teraz miał prawdziwy powód do zmartwień.

Och, gdyby mógł się zdarzyć cud! Gdyby dało się to wszystko odkręcić! Jednak nie wierzył w cuda. Jechał więc najwolniej, jak mógł, i było już prawie ciemno, kiedy zaparkował szklane cacko przed nowoczesnym solidnym apartamentowcem – najlepszym, jaki na razie mógł zapewnić swojej wcale nie małej rodzinie.

Przed domem było pustawo, żywopłoty zieleń się w gęstniejących cieniach. Skierował powolne kroki do wejścia, gdy nagle szóstym zmysłem wyczuł za plecami czyjąś obecność. Nerwowo okręcił się na pięcie. Z zaparkowanej nieopodal niepozornej taksówki wysiadło dwóch mężczyzn. Zanim rozpoznał dobrze znane mu z akt sprawy twarze, instynktownie wyczuł, że ci faceci przyjechali do niego.

Po ułamku sekundy uzmysłowił sobie, kim są. Jednego z nich, prokuratora, zapuszczano parę dni temu na wyraźne polecenie zwierzchników. Niewiele na niego znaleźli, toczyło się postępowanie, ale facet wyszedł, ponieważ żona wpłaciła pół miliona kaucji. Zapamiętał jej imię – Anna. Natomiast drugim był przedmiot jego gorączkowych rozważań – prawnik, mecenas Wencel.

Krew odpłynęła mu z twarzy. Tysiąc nieskładnych myśli kołatało mu się w głowie, niemal bezwiednie wymacał przytroczoną do paska kaburę, w której tkwił odbezpieczony glock, jednak szybko cofnął dłoń. Baczenie rozejrzał się po okolicy. Prócz jakiejś kobiety z psem nie było nikogo widać. Mężczyźni podeszli bliżej, popatrzyli na niego poważnie. Zważywszy na niezwykle okoliczności, byli wprost zaskakująco opanowani.

– Czy pan oficer śledczy Tomasz Jastruń? – odezwał się Wencel.

Jastruń z zaciśniętymi szczękami skinął głową, czując mimowolny podziw dla prawnika.

– Mamy wiadomość od pana byłego zwierzchnika, pana Kaźmierczaka.

Ach, więc jednak.

Dalekie przeczucie, którego nie umiał wytłumaczyć, wcześniej podpowiadało mu, że będzie musiało się wydarzyć coś, co wydobędzie go z otchłani, w którą spadał. Jeszcze raz uważnie rozejrzał się dokoła, obrzucił mężczyzn bacznym spojrzeniem, jakby w ich twarzach szukał odpowiedzi na pytanie, jak się zachować, po czym zdecydowane postąpił naprzód i stając tuż przy nich, ściszone głosem rzucił ostro:

– Co takiego ma mi do przekazania pan Kaźmierczak?

– Nie tutaj – mruknął ostrzegawczo prokurator pod adresem Wencła. – Pojedźmy gdzieś.

Wencel zgodnie skinął głową i pytająco popatrzył na Jastrunia. Ten dał znać wzrokiem, że się zgadza, po czym wyrwało mu się bardziej bezpośrednio, niż zamierzał:

– Moim samochodem.

Pojechali do Zegrza. Wybrali opustoszałą knajpkę biesiadną, zaszyli się w najdalszym kącie na antresoli, wyłączyli telefony. Pół godziny później Jastruń znalazł już historię znajomości Pawła Wencła z Mirosławem Kwaśniakiem, a gdy obrazu dopełniły rewelacje zaginionej posłanki i byłego ministra spraw wewnętrznych, włos zjeżył mu się na głowie.

Cała groza spoczywającej na nim odpowiedzialności cywilnej spadła na niego jak kilkutonowy ciężar. Zrozumiał, dlaczego się do niego zwrócili. Chcieli przyskrzynić tego popaprańca Kwaśniaka, posługując się nim – Jastruniem. Niepokojny, zagnany do narożnika i osaczony przez chmarę podejrzeń, przybrał maskę ironicznego niedowierzania.

– Drodzy panowie, oczekujecie ode mnie, że tak po prostu złamię prawo, wywlekając tajne akta policyjne, by wam pomóc? – zaczął przebiegle. Upił piwa, otarł z ust pianę, oparł się o ławę obitą sztuczną skórą i ciągnął prześmiewczo: – Spodziewacie się panowie, że zamiast was aresztować, stanę do walki z przełożonym, bezskutecznie poszukując dowodów na jego domniemaną winę tylko i wyłącznie w oparciu o wasze wewnętrzne przeświadczenie?

Zaniósł się wystudiowanym śmiechem, a w tym czasie Wencel i Struga przyglądali mu się bez emocji, taksująco. Gdy umilkł, by znów pociągnąć piwa, Wencel rozparł się wygodnie, nonszalanckim gestem założył nogę na nogę i oświadczył:

– Zna pan cały kontekst, ma pan świadomość, co się tam wydarzyło, przedstawiliśmy panu dowody, których żaden szanujący się policjant by nie zlekceważył. Co więcej, tę wersję wydarzeń uważa za prawdopodobną nawet pański były przełożony. Na ten moment na panu ciąży brzemię odpowiedzialności.

– To znaczy?

– Zdaje się, że pańskim obowiązkiem jest łapanie bandziorów, a nie zacieranie śladów.

– Grozi mi pan?

– Skąd. Jedynie nakreślam panu obraz sytuacji.

Jastruń znów pociągnął duży łyk piwa, przejechał dłonią po włosach, w końcu nerwowym gestem sięgnął po papierosa.

– Kurwa, czego oczekujecie? Mam się włamać do pałacu Mostowskich, gdzie trzymają te dane, i ukraść taśmy z monitoringu? Przecież nawet jeśli wasza szalona wersja wydarzeń jest prawdziwa i on rzeczywiście gdzieś ją wywiózł, to zdjęcia ukazujące ich razem w aucie niczego nie dowodzą. A w tym czasie ten fiut wsadzi mnie do paki razem z wami, a potem doszczętnie zrujnuje moje życie prywatne. Nie, panowie, nie namówicie mnie na takie szaleństwo.

– Jeżeli zdobędziemy ich wspólne zdjęcia zrobione w noc, kiedy zaginęła, to będzie to powód do aresztowania tymczasowego. Zyskamy na czasie.

– Prokuratura, policja i służby są w jego łapach! Kto ośmielił się go

aresztować?

– Policja, służby, prokuratura to pojedyncze jednostki ludzkie. Nie są ślepi, widzą, na co się zanosi. Jak tylko będą mieli powód, skoczą mu do gardła.

– Musi się znaleźć ktoś, kto wykona pierwszy krok – przekonywali go wspólnymi siłami.

– Nie, nie i jeszcze raz nie! Kurwa, nie wpakujemy go do pierdła tylko dlatego, że przebywał w samochodzie z zaginioną! Jedynie go rozsierzimy. Pan, panie prokuratorze, dobrze o tym wie, ale w przeciwnieństwie do mnie, nie ma pan już nic do stracenia. Chce pan uplasować mnie w tej samej sytuacji, na co nie dam się namówić.

Wecel upił piwa, po czym stwierdził pojednawczo:

– On ma rację, Piotr. Nie wsadzimy go do pierdła, dopóki nie mamy realnego dowodu, że ją skrzywdził. Prawdą jest, co mówi kapitan Jastruń. Opieramy się na przeświadczeniu.

To spontanicznie wypowiedziane zdanie – przyznanie racji adwersarzowi – nagle uzmysłowiło im, że są bardziej zjednoczeni i jednomyślni, niż im się wcześniej wydawało, i że żaden z nich nie usiłował pozostałych wmanewrować czy wrobić. Byli zgodni co do najważniejszego i z tej zgodności musiała popłynąć siła.

Wszyscy milczeli, popalając papierosy.

W pewnym momencie Jastruń zgasił niedopałek, zakrył twarz dłońmi i przecząco kręcił głową, jakby toczył ze sobą walkę. Wencel i Struga popatrzyli po sobie porozumiewawczo. Piotr pochylił się w stronę Jastrunia, jakby chciał coś dopowiedzieć, ale Paweł położył mu rękę na ramieniu i przecząco pokręcił głową. Młodego człowieka nie należało stawiać pod ścianą, musiał z własnej nieprzymuszonej woli podjąć decyzję.

Paweł i Piotr palili w milczeniu, nie chcąc spłoszyć Jastrunia. W końcu trąc oczy, Jastruń rzekł z ociąganiem, jakby wbrew sobie:

– Moja koleżanka z grupy operacyjnej pracowała kiedyś w dziale monitoringu, w pałacu Mostowskich. Będzie mogła wejrzeć w te pliki, pod warunkiem że otrzyma kod dostępu wygenerowany przez kogoś, kto ma upoważnienie ze specjalnej jednostki NOP-u. Mogę załatwić taki kod, z tym nie będzie problemu.

Wencel i Struga zamarli.

– W pałacu Mostowskich mają taki wielki serwer – ciągnął Jastruń. – Przechowują w nim pliki cyfrowe ze wszystkich kamer na skrzyżowaniach. Chronologicznie, godzina po godzinie, skrzyżowanie po skrzyżowaniu. Przejrzenie tego materiału zajęłoby jej parę dni, jeśli nie tygodni. To jak szukanie igły w stogu siana.

– Dopóki policja nie wiedziała, kogo szukać i gdzie szukać, rzeczywiście przepatrzenie monitoringu na skrzyżowaniach nie miało sensu – przytaknął

spokojnie Paweł. – Pracz, by chronić dobre imię żony, nie poinformował policji, że ona miała kochanka, choć od dawna to podejrzewał. Jednak teraz sytuacja uległa zmianie.

– Właśnie – poparł go Struga. – Z ogromnym prawdopodobieństwem możemy założyć, że tym, z kim tak niechętnie się spotkała, był nękający ją Kwaśniak. Najprawdopodobniej tej nocy przyjechał po nią swoim prywatnym samochodem. Obecnie wiemy, jakiego auta szukać i w jakim przedziale czasowym.

– Wystarczyłoby namierzyć granatowe volvo o tych numerach rejestracyjnych. – Paweł podsunął Jastruniowi świstek z wypisanym rzędem cyfr. – Chodzi o okolice zamieszkania Praczków i godziny pomiędzy dwudziestą a powiedzmy, dwudziestą pierwszą.

– Jaki jest adres Praczków? – Usiłując maskować podniecenie, Jastruń jedną ręką przypalił papierosa, a drugą sprawnie uruchomił wyłączoną do tej pory komórkę. Przypominał psa, który zwietrzył zwierzynę.

– Różana osiemdziesiąt pięć, vis-à-vis boiska sportowego – odparł bez nadmiernej gorliwości Paweł, nie chcąc, by Jastruń nabrał nowych podejrzeń.

– W pierwszej kolejności niech sprawdzi róg Różanej i Wiśniowej – odezwał się Struga, który wcześniej obejrzał w internecie mapę Mokotowa.

– Przypuszczalnie na Wiśniowej nie ma monitoringu, zbyt gówniane skrzyżowanie – powiedział Paweł, po czym sięgnął do kieszeni po swojego iPhona.

– Musiałaby sprawdzić róg Różanej i Kazimierzowskiej.

– Ma sprawdzić cały pierdolony kwadrat od Odolańskiej do Madalińskiego, a potem od Puławskiej do Kazimierzowskiej między dwudziestą a dwudziestą pierwszą – orzekł zdecydowanie Jastruń. – Jeśli rzeczywiście on tam był, to go namierzemy i prześledzimy całą drogę w górę dwie, trzy godziny. A teraz gościę te komóry, panowie, licho nie śpi! Zaraz do niej zadzwonię, tyle że ze stacjonarnego.

– Nie ma ryzyka podsłuchu?

– Nie tak łatwo okablować stacjonarny, poza tym zyskamy godzinę. Nim dojedziemy do Warszawy, dziewczyna zdąży sprawdzić pół godziny nagrań.

– Czy jej obecność nie wzbudzi niczyich podejrzeń?

– Niech was o to głowa nie boli. Dziewczyna jest ładna, pracowała tam dwa lata, znają ją. Nikt nie będzie jej przepytawał, co najwyżej kawy jej przyniosą.

Zeszli na dół i gdy płacili przy kasie, Jastruń zapytał, czy mógłby skorzystać z telefonu, na co uprzejmy młodzieniec zaprowadził go na zaplecze. Po chwili Jastruń wrócił, demonstrując obojętny wyraz twarzy.

– Załatwione. Kazałem zaufanemu chłopakowi z mojej grupy wygenerować kod, przesłałem mailem dziewczynie. Wie, co ma robić, a my pojedziemy w pobliże pałacu Mostowskich, zaparkujemy od Zamenhofa i tam na nią zaczekamy. Jak przejrzy wszystko, co trzeba, przyjdzie do nas do samochodu.

– Da radę sama?

Jastruń nie odpowiedział, zamiast tego zauważył:

– Któryś z was musi poprowadzić, bo trochę wypilem.

Paweł ujął w dwa palce kluczyki i z niepokojem zerknął na kosmiczne porsche. Trudno będzie się przemknąć niezauważonym.

Całą drogę z Zegrza pokonali w milczeniu, chwilowa beczyność, na którą byli skazani, tkwiąc nieruchomo w aucie, wystawiała ich na pastwę ponurych rozmyślań i galopujących wątpliwości. Gdy dotarli do Warszawy, Paweł zwolnił. Z Andersa skręcił w pustą o tej porze ulicę Anielewicza, a stamtąd w ciemną, ponurą Zamenhofa. Znaleźli miejsce parkingowe, z którego było widać podświetloną część budynku Komendy Stołecznej.

Czekali w milczeniu, nie odzywając się do siebie, aby nie potęgować napięcia. Paweł włączył radio, ale za chwilę je wyciszył, ponieważ wypowiedzi spikera doprowadzały go do szału. Wpatrzony w jakiś punkt na szybie, Jastruń tkwił bez ruchu niczym posąg. Struga co i raz pociągał z flaszki należącej do Jastrunia. Od czasu do czasu oferował ją towarzyszom, ale ani Paweł, ani Jastruń nie mieli ochoty na alkohol. Każdy z nich inaczej reagował na stres. Paweł i Jastruń najwyraźniej mobilizowali siły, z kolei Struga miał dość i czuł, że bez czegoś mocniejszego nie wytrzyma.

Czas mijał, w końcu w samochodzie zrobiło się bardzo zimno, włączyli więc ogrzewanie i nadal czekali, od czasu do czasu popalając papierosy i wymieniając zdawkowe uwagi.

Paweł zerknął na zegarek, dochodziła jedenasta. Minęły dwie godziny, od kiedy przyjechali z Zegrza. Jeśli prawdą było, że dziewczyna niemal od razu mogła zabrać się do roboty, powinna przebywać w pałacu Mostowskich ponad dwie i pół godziny. Spojrzał na Jastrunia. Ten zwiesił głowę na pierś, miał zamknięte oczy. Zdawało się, że śpi. Paweł odwrócił się, by zerknąć na Strugę, ale i ten zdawał się drzemać z głową opartą o szybę.

Siedział więc w ciszy, co i raz omiatając niespokojnym wzrokiem ciemne bloki i puste auta. Minęło około piętnastu minut, od czasu kiedy ostatnio zerkał na zegarek, gdy nagle zobaczył, jak spod łukowatej arkady biegnie w ich kierunku zgrabna dziewczyna w krótkiej spódnicy i rozchełstany zakiecie. Szybko szturchnął drzemającego Jastrunia. Ten natychmiast otworzył oczy, momentalnie zorientował się w sytuacji.

Dziewczyna musiała wiedzieć, w jakim aucie będą na nią czekać, bo natychmiast skierowała się we właściwą stronę. Podbiegła, cicho i sprawnie wsiadła, zajmując jedyne wolne miejsce z tyłu, obok rozbudzonego, półprzytomnego Strugi. Faktycznie musiała być nie w ciemną bita, bo w lot zorientowała się w sytuacji. Najwyraźniej natychmiast rozpoznała mężczyzn towarzyszących Jastruniowi, a na widok Pawła gwizdnęła przez zęby.

Jej reakcja sprawiła, że Pawłowi spocily się dłonie i poczuł skurcz żołądka.

– Co ty wyprawiasz, Tomek? – spytała zdumiona, lecz Jastruń ani myślał cokolwiek jej tłumaczyć, co zważywszy na okoliczności, nie było wcale złą strategią.

– Mów, co masz – rzucił ostro, zyskując aprobatę Pawła. – Namierzyłaś go?

– Owszem. – Wyraźnie nawykła do wyjątkowych okoliczności, dziewczyna o jasnych włosach szybko zapanowała nad zdumieniem. Z małej teczki wyjęła srebrnego laptopa, skierowała go tak, by trzej mężczyźni mogli widzieć ekran.

– Zgrałam te ujęcia w jeden ciąg, żeby wam było łatwiej – wyjaśniła, szybko i sprawnie odpalając program.

Skupiona nad ekranem trójka wlepiała wzrok się w czarno-biały obraz, na którym widniał stojący na skrzyżowaniu samochód.

– Co to? – wycedził Paweł. – Nic nie widać.

– Niech pan poczeka. – Blondynka przesunęła się tak, że i ona widziała ekran, a następnie zatrzymała obraz i kilka razy w niego kliknęła, aby go powiększyć.

Ujrzeni w samochodzie dwie ciemne plamy, które za każdym kliknięciem zbliżały się, tak że już można było zobaczyć zarysy twarzy.

– To jest już maksymalnie, a nadal nie widać, kto to – zauważył głucho Paweł.

– Spokojnie.

Dziewczyna wykonała kilka kliknięć w specjalnym programie do obróbki. Obraz nabrał ostrości. Ujrzeni wprawdzie nieostry, ale dający się bezbłędnie zidentyfikować wizerunek wykrzywionej gęby Kwaśniaka. Dziewczyna przesunęła obraz, sunąc palcem po *touch padzie*. Teraz na ekranie widniała zastygła w głupim grymasie twarz posłanki Beaty Rząsy-Pracz.

W wymownym milczeniu było słyhać, jak Struga głośno przełknął ślinę.

– Jakie to skrzyżowanie? – spytał Jastruń.

– Róg Różanej i Wiśniowej, skręca w prawo. Widzicie?

Czarno-biały obraz poruszał się w trybie *slow motion*, blondynka sprawnie oddaliła kadr. Trzy męskie głowy zbliżyły się do ekranu. Faktycznie było doskonale widać skręcający samochód z tamtą dwójką w środku. Film się urwał, ale natychmiast ich oczom ukazało się kolejne ujęcie.

– Jadą Dąbrowskiego, złapałam ich, jak przecinają Ka-zimierzowską – wyjaśniła dziewczyna, czym wzbudziła uznanie Pawła. – Potem nie mogłam ich zlokalizować, więc policzyłam natężenie korka, wiadomo, o tej porze zerowe, i wyszło mi, że sześć minut po dwudziestej powinni być na rogu alei Niepodległości. Gdyby ich tam nie było, mielibyśmy problem, bo wcześniej na sześciu skrzyżowaniach nie ma kamer – tłumaczyła wpatrzonym w nią mężczyznom – ale byli. Macie ich tutaj.

Pokazała im kolejny filmik, na którym widać było to samo volvo skręcające

w lewo.

– Potem miałam trochę problemów, postanowiłam usprawnić pracę i sprawdzać o określonej godzinie każde następne duże skrzyżowanie, w tym wypadku z Woronicza. Zmarnowałam dziesięć minut, przeglądając filmiki od dwudziestej osiem, czyli najkrótszego możliwego czasu, w którym mógł na zielonym paśmie dotrzeć do Woronicza, aż do osiemnaście po dwudziestej. Tam go nie znalazłam. Musiałam wrócić i poszukać po kolei na większych skrzyżowaniach. Na szczęście przyszedł Marcin i mi pomógł. We dwójkę poszło nam dwa razy szybciej.

Marcin? Kurwa! Kolejny wtajemniczony?

– Dobra, dobra, kurwa mać, gdzie się nam rozpląnął z tej alei Niepodległości – ponaglał ją skrajnie zniecierpliwiony Jastruń, jakby zupełnie nie zdziwiła go sprawność, z jaką dziewczyna operowała skomplikowanym, nieznanym Pawłowi, specjalistycznym oprogramowaniem.

– Skręcił w Odyńca, potem Marcin złapał go na Raclawickiej – ciągnęła spokojnie, niezrażona ostrym tonem Jastrunia, najwyraźniej nawykła do jego wybuchów. – Potem masę czasu zmarnowaliśmy w tych okolicach, bo sprawdzaliśmy każde skrzyżowanie, aż w końcu złapałam go na rogu Żwirki. Tam pojechał w lewo i tu już było dość łatwo, bo mijał każde kolejne skrzyżowanie, aż do 17 Stycznia.

– No i? – Jastruń przypalił sobie papierosa i niedbale odrzucił zapalniczkę.

– Dojechali do alei Krakowskiej. I to już była łatwizna, bo tam są wszędzie monitoringi. Gnał tak około ośmiu minut. Ostatni raz na kamerach jest widoczny trzydzieści cztery po dwudziestej na skrzyżowaniu z Godebskiego, a potem nie ma go już przy rozwidleniu z Centralną.

– Czyli? – Paweł uniósł brwi, wpatrując się z natężeniem w zdjęcie pustego skrzyżownia.

– Czyli zjechał w polną drogę gdzieś w tym kwartale. – Blondynka ołówkiem obwiodła zakres terenu na widocznej w rogu mapie satelitarnej, po czym jednym ruchem zbliżyła pożądany fragment.

– Tam są stawy – odezwał się Struga.

Faktycznie po obu stronach drogi widniały nieregularne kształty zbiorników wodnych.

– Czyli co pan sugeruje? – Dziewczyna ostro zwróciła się do Strugi.

Zapadło milczenie, które gwałtownie przerwał Jastruń:

– Minął Godebskiego trzydzieści cztery po dwudziestej, ale nie dotarł dalej. Pokaż mi tę mapę w trybie drogowym. Zrób zbliżenie.

Wyraźnie zobaczyli odcinek alei Krakowskiej, otoczony w tym miejscu licznymi stawami. Między Godebskiego a Centralną była tylko jedna droga, w którą Kwaśniak mógł skręcić – polna droga odbijająca w prawo, w kierunku

Pruszkowa.

– Tam skręcił – zawyrokował bez chwili wahania Jastruń.

Paweł popatrzył na niego, odwracając wzrok od ekranu. W tym momencie w aucie rozległ się donośny dźwięk telefonu komórkowego. Wszyscy drgnęli.

– Kto, kurwa, nie wyłączył komórki?! – huknął Jastruń.

– Mówiłem, żeby wyjąć baterie, bo gotowi nas namierzyć.

– To twoja, prywatna – zimno oznajmiła blondynka

– przecież dzwoni ci na głośnomówiący!

Rzeczywiście, uzmysłowili sobie, że był to ewidentnie telefon Jastrunia, gdyż dzwonił przez *bluetooth*. Wszyscy odwrócili się, by spojrzeć na deskę rozdzielczą. Widniało: J. Pełda.

– Kto to? – syknął Paweł.

– Kolega z grupy operacyjnej – odparł Jastruń, w jego głosie było słychać duże napięcie.

– Odbierz! – wykrzyknęła dziewczyna.

Jastruń się wahał, jednak odebrał telefon.

– Halo! – rzekł głośno, stanowczo.

– Tomek? Gdzie się podziewasz? Popierdoliło cię?! – w samochodzie rozległ się ostry męski głos.

– Co, kurwa? Nie wolno już być prywatnie?

– *Red alert* obowiązuje, człowieku! Przełożeni cię szukają, w domu cię nie ma, komórkę masz wyłączoną! W końcu wpadłem na to, by zadzwonić na prywatną. Gdzie się, kurwa, podziewasz?

– A chuj ci do tego – warknął Jastruń, po raz drugi tego wieczoru wzbudzając podziw Pawła. – Przecież zgrupowanie jest o czwartej.

– Zmiana planów, wchodzimy po Wencła w nocy. Teraz, zaraz!

– Co, kurwa? Dlaczego?

– Deptuła dzwonił, tego pierdolonego Kwaśniaka chyba posrało! Wszystkich pozrywał z łóżek, twierdzi, jakoby ma być na niego zamach, w ogóle zachowuje się jak jakiś jebnięty. Kazał wszystkim jednostkom się grupować i szturmować dom tego prawnika Wencła.

– Zamach na niego szykują? Pojebało go do reszty?

Dziewczyna złapała się za usta. Jastruń gwałtownym gestem nakazał jej milczenie.

– Ten pojeb twierdzi, że tak. Ponoć wynajął jednostkę kontrwywiadowczą, która ma za zadanie monitorowanie nas, no i ci ludzie podsłuchali, że Wencel razem z tym skurwielem, co go niedawno puściliśmy, odwiedzili byłego szefa służb i od niego dostali jakieś spreparowane informacje. Nie do końca zrozumiałem. Wiem tylko, że Kwaśniak chce ciebie natychmiast widzieć w siedzibie NOP-u wraz z całym naszym zespołem. Razem z ludźmi Kukuryki

mamy jednocześnie wbić się do miejsca zamieszkania i miejsca zatrudnienia tego Wencła.

– Dobra, Pełda, powiedz mu, że jestem nieuchwytny, okej?

– Co takiego?! Ochujałeś?

– Po prostu mu tak powiedz, kurwa mać!

– On się zachowuje jak pojeb. Grom za tobą puści!

– Niech spierdala. – Jastruń zakończył rozmowę, po czym wyrzucił komórkę przez okno.

– Co ty wyprawiasz?! – Blondynka podniosła głos.

– Jak chcesz, to wysiadaj i nie mów nikomu, że mnie widziałas, zrozumiano?! – huknął Jastruń, odwracając się do niej całym ciałem.

Wpatrywała się w niego z zastygłą twarzą.

– Wysiadaj, mówię! – wrzasnął Jastruń, przechylił się i otworzył jej tylne drzwi.

Tymczasem dziewczyna odepchnęła jego dłoń od klamki i zatrzasnęła drzwi.

– Zostaję! – rzuciła wyzywająco.

Przez chwilę wpatrywali się w siebie błyszczącymi oczami. Siedzący obok rozsierdzonej dziewczyny Struga wbił się w róg siedzenia.

– Paweł, ruszaj! – zawołał Jastruń, nagle przechodząc na ty.

– Którędy? – Wencel przyhamował przy rozwidleniu z Anielewicza.

– W lewo, do Jana Pawła.

– Gdzie ty jedziesz? – syknęła dziewczyna.

– Gdzie mieszka sierżant Waligórski?

– Po co ci teraz Waligórski?! – wykrzyknęła.

– Waligórski jest jedynym policjantem, o którym wiem, że swojego psa tropiącego trzyma w domu. Cała reszta znajduje się w kojcach, w jednostce.

– Tomek, na diabła ci pies tropiący?

– Paweł, jedź najpierw na Mokotów. Wejdiesz na górę do tego Pracza i weźmiesz z ich domu jakąś rzecz, która należała do jego żony. Najlepiej but – polecił Jastruń, zerkając ukosem na Wencła. – Okej? Zrób to najszybciej, jak tylko zdołasz, bo niewykluczone, że już siedzą nam na karku.

W milczeniu jechali rozjarzoną Jana Pawła na Mokotów, jakby groza sytuacji odebrała im mowę. Pod wiaduktem, przy skrzyżowaniu z alejami Ujazdowskimi dostrzegli radiowóz.

– Góra, góra – syknął Jastruń.

– Wiem, tylko ten mi się tu, kurwa, pcha – mamrotał Paweł, dociskając gaz i w ostatniej chwili wjeżdżając na pas prowadzący na wiadukt.

Samochód, który tarasował im drogę, musiał hamować z piskiem, wszyscy odruchowo zerknęli w dół, na stojący na dole radiowóz.

– Dobra, dobra – popędzał Jastruń, przebierając nogami, jakby miał pod

stopami pedały.

W rekordowym tempie dotarli do ulicy Armii Ludowej, z piskiem wzięli zakręt. Jeszcze parę świateł i zajechali pod kamienicę na Różanej.

– Leć, leć – ponaglił Pawła Jastruń, porzucając dystans i wydając się znacznie bardziej przystępnym.

Mimo zwałistej sylwetki Paweł szybko wydostał się z auta i zerknął w okna Praczków. Minęła północ, ale w ich mieszkaniu wciąż paliło się światło. Na myśl o tym, jak Mikołaj Praczą zareaguje na wieść o tym, żeby przekazać część garderoby żony, zrobiło mu się autentycznie niedobrze. Kredowobiały, z rękami wbitymi w kieszenie, stał przez chwilę przed wejściem do kamienicy. W końcu jego palec powędrował do domofonu.

Pięć minut później wszedł do kryształowego porsche, gdzie pozostała trójka czekała w milczeniu. Z grymasem na twarzy podał Jastruniowi zamszowy kozak.

– Dobry – pochwalił jego wybór Jastruń.

– Gdzie teraz? – Paweł zobaczył swoją twarz we wstecznym lusterku, był przeraźliwie blady.

– Kacha? – Jastruń odwrócił się do dziewczyny, po raz pierwszy wypowiadając jej imię.

– Tak, sprawdziłam – odparła chłodno. – Domaniewska, róg Langego.

– Piętro znasz? Nie chcę się tam za długo kręcić.

– Nie znam, musisz polatać po piętrach. – W jej głosie zabrzmiała nuta triumfu.

Ten ich słowny ping-pong działał na Pawła hipnotyzująco, koił zszargane nerwy, odwracał uwagę od niesamowitości sytuacji. Wsłuchiwał się więc w niego niemal z lubością jak w kojącą muzykę. Witał z ulgą wszystko, co odrywało jego myśli od sytuacji, w jakiej się znalazł.

Tymczasem zajechali na miejsce. Jastruń wyskoczył z wozu i zniknął w wejściu do budynku. Pozostali w samochodzie siedzieli, milcząc; mężczyźni paraliżował taksujący bystry wzrok dziewczyny. Tym razem nieobecność Jastrunia się przedłużała, najwyraźniej Waligórskiego nie było w domu albo nie był skłonny użyć im psa.

Paweł starał się nad sobą panować, oddychał wolno i głęboko, trzymając ręce na obciążonej skórą grubej kierownicy i od czasu do czasu lekko ją pocierając, obojętny na to, jak to może wyglądać w oczach blondynki.

Nagle z zewnątrz dobiegły ich odległe odgłosy rozmowy. Wszyscy troje jak na komendę odwrócili głowy w tamtą stronę. Z bramy wychodził Jastruń w towarzystwie mężczyzny około pięćdziesiątki, który trzymał na smyczy ostro ciągnącego do przodu włochatego wilczura. A więc udało się zdobyć psa.

Paweł żwawo wyskoczył z auta, obiegł je, by otworzyć bagażnik. Chyba lepiej umieścić psa z tyłu, pomyślał. Tymczasem Jastruń i sierżant Waligórski

zbliżyli się do wozu. Paweł skinął głową, policjant odklonił się powściągliwie, jakby powaga sytuacji uniemożliwiała jakiegokolwiek formalne gesty.

– Pies może jechać w bagażniku? – spytał.

Nikt mu nie odpowiedział, więc czym prędzej podniósł klapę bagażnika. Pies od razu wskoczył do środka, położył się i z wywalonym ozorem przyglądał patrzącym na niego mężczyznom. Paweł skinął głową, wyrażając uznanie dla subordynacji zwierzaka. Wsiedli do auta – Jastruń wcisnął się z tyłu na trzeciego, zostawiając miejsce obok kierowcy Waligórskiemu.

Z rozmowy między Jastruniem a sierżantem wynikało, że policjant nie miał świadomości, iż szukają zaginionej posłanki. Ta sprawa, podobnie jak kwestia, kim są dwaj nieznani mu mężczyźni, w ogóle nie zaprzętała jego uwagi. Jedyne, o co zapytał, to ile dni minęło od momentu zaginięcia, a gdy Jastruń powiedział mu, że około czterech tygodni, w milczeniu skinął głową.

Powściągliwe, pełne skupienia zachowanie Waligórskiego dodało im odwagi, bo choć tamten nie mówił wiele, widać było, że zna się na rzeczy. Jeżeli kiwnął głową, to oznaczało, że poszukiwania po tak długim czasie nie są z góry skazane na porażkę.

Tymczasem zbliżali się do newralgicznego punktu, więc Paweł zwolnił do dziesięciu na godzinę i sunął wolno, obserwując zachwaszczone pobocze oraz widniejące dalej pola. Jastruń przechylił się do przodu, czujnym wrokiem lustrując okolicę. Minęli Godebskiego.

– Jedź wolno! – zakomenderował, choć porsche ledwo się toczyło.

Z oddali usłyszeli syrenę, w lusterku Paweł zauważył migającego koguta. Zerknął pytająco na Jastrunia. Ten przez chwilę patrzył wstecz. Rzeczywiście, w oddali, od centrum zbliżał się radiowóz. Waligórski zauważył ich wahanie, ale nie odezwał się ani słowem. Tymczasem ich oczom ukazała się polna droga odbijająca w lewo.

– Skreć, szybko! – polecił Jastruń.

Pawłowi nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Ostro wdepnął pedał gazu i smyrnął między wyschłe chaszczki, a potem przejechał około stu metrów.

– Zgaś światła – powiedział Jastruń.

Paweł natychmiast wyłączył silnik. Cała piątka z niepokojem odwróciła się w porę, aby zobaczyć przelatujący radiowóz.

– To nie za nami – odezwał się beznamiętnie Jastruń. – Dopiero jak przeprowadzą rewizję i zorientują się, że nie ma cię w domu, zaczną nas szukać. Wjedź autem głębiej.

Paweł uruchomił samochód, światła wydobyły z mroku wijącą się, wysadzaną starymi drzewami polną drogę.

– Schowaj auto w krzakach.

Paweł znalazł dogodne miejsce za wysokim drzewem, w kępie suchych

badyli, myśląc, że nawet gdyby ktoś jechał za nimi, prędko auta nie dostrzeże. Wyszli i wypuścili psa, który zaczął zdradzać lekkie podniecenie, jakby rozumiał, po co go tu przywieźli. Paweł zerknął na zegarek – było dziesięć po pierwszej.

– Zaczynaj! – Jastruń podał sierżantowi foliową torbę, w której szczelnie owinięty tkwił brązowy zamszowy kozak Beaty Prac.

Waligórski chwycił merdającego ogonem i cicho poszczekującego psa za kudłaty kark.

– Siad, siad. – Pieszczotliwie tarł wielki łeb owczarka niemieckiego. – Spokój, Rubi, spokój. Dobra dziewczynka.

Wyjął z kieszeni jakiś przysmak i podał Rubi, która ledwo nad sobą panowała. Widać było, że aż drży z niecierpliwości, by wyruszyć na poszukiwania i zacząć tropić. Chwyciła smakołyk, po czym dwa razy głucho szczerła. Waligórski założył skórzane rękawiczki i ostrożnie wyjął z reklamówki znoszony but. Rubi poderwała się, rzuciła w stronę sierżanta i wbiła nos w miękki zamsz, chłonąc zapach i cicho poszczekując.

– Wąchaj, Rubi, wąchaj – zachęcał sierżant, podsuwając but pod ruchliwy wilgotny nos.

Suka zaczęła zdradzać niesamowite podniecenie, kręcić się wokół własnej osi. Po chwili odbiegła niedaleko, węszyła przy ziemi, poszczekiwała i wróciła, merdając ogonem. Pytając popatrzyła na sierżanta.

– Szukaj, Rubi, szukaj! – zachęcił Waligórski, po czym sprawnie przypiął sukę do smyczy.

Rubi skierowała swój wszędobylski nos ku ziemi i rozpoczęła penetrację terenu. Zdawała się rozproszona, biegała wokoło, a za nią sunął niemałych rozmiarów Waligórski. Najpierw rzuciła się połą drogą w kierunku lasu, jakby ewidentnie coś wyczuła, potem niespokojnie stała, węsząc górą i rozglądając się po ciemnych chaszczach. Po chwili pociągnęła sierżanta z powrotem do miejsca, gdzie stali Wencel, Struga, Jastruń i blondynka, po czym skierowała nos w stronę otaczających drogę chaszczy, wbiegła w nie, węszyła i się rozglądała. Suche badyle chrzęściły pod butami sierżanta.

– Szukaj, Rubi – zachęcał ją Waligórski.

Paweł otulił się kurtką, zawiewało od strony otwartych pól, było niezwykle zimno jak na tę porę roku, temperatura musiała spaść w okolice zera. Miał ochotę zapalić, ale bał się, że dym może wpłynąć na wrażliwy psi nos. Po chwili jednak uzmysłowił sobie, że do tego nosa zapewne docierają miliony różnorodnych zapachów, podczas gdy suka niestrudzenie poszukuje jednego jedyne wskazane przez opiekuna.

Stali niepewni rezultatów psich starań, podczas gdy Ru-bi wykonywała koła i ósemki, miotając się to w jedną, to w drugą stronę. Zdawało się, że jest bezradna, jednak Waligórski wydawał się kompletnie niezrażony, cichym, spokojnym głosem

cierpliwie nakłaniając Rubi do współpracy.

– Przejdźmy od drogi głównej aż do lasu – zaproponował, mijając ich po raz kolejny. – Wtedy żaden trop jej nie umknie.

– Dobrze – zgodził się Jastruń i we dwóch z psem na smyczy skierowali się do oddalonej o jakieś pięćdziesiąt metrów drogi głównej.

Paweł i Struga chcieli ruszyć w ślad za nimi, ale towarzysząca im funkcjonariuszka Kasia poradziła, żeby zostali na miejscu.

– Lepiej nie ciągnijmy za nimi. Rubi bardziej się skoncentruje, jak będziemy trzymali się w pewnym oddaleniu.

– Rzeczywiście Rubi potrafi wyszukać ślady osoby przebywającej tu ponad trzy tygodnie temu?

– Tak. Jest niesamowita. To najlepszy w Warszawie tak zwany *cadaver dog*, pies wytresowany do precyzyjnej lokalizacji rozkładającego się ciała.

Pawła zmroziło. Owszem, i jemu przychodził do głowy ten najgorszy scenariusz, lecz przecież w grę mogło wchodzić porwanie, przetrzymywanie, szantaż.

– Zakładamy najgorszą wersję wydarzeń?

– Szanowny panie, jeżeli facet wywozi babkę do lasu, a potem ginie po niej ślad, to raczej mało prawdopodobne, byśmy znaleźli ją żywą.

Paweł sięgnął do kieszeni po paczkę pierosów, wyciągnął jednego papierosa dla siebie, poczęstował też Strugę. W milczeniu przetrwalili usłyszaną ocenę sytuacji.

– Rubi ma niezwykły dar – ciągnęła beznamiętnie Kasia. – Potrafi wytropić zarówno wisielców, jak i topielców. Ma rewelacyjne osiągnięcia w odnajdowaniu zwłok ukrytych pod powierzchnią wody. Kiedyś wyczuła ciało mężczyzny zatopione pięć metrów pod powierzchnią głębokiego zbiornika w pobliżu młyna, gdzie codziennie kąpała się masa ludzi. Rubi ma nos wart wszystkie pieniądze. Mieliśmy dużo szczęścia, że Waligórski był z nią w Warszawie. Często wypożycza się ją do różnych akcji, ciągle jeździ za granicę.

Spojrzeni w kierunku mającego w mroku jaśniejszego prześwitu, gdzie biegła droga Raszyńska. Na tle nikłego światła ledwo widoczne były dalekie sylwetki mężczyzn i zwierzęcia, powoli zmierzające w ich kierunku.

– Jak natrafi na choćby najłżejszą nitkę zapachu, nie popuści – dodała Kasia – ale nie może się dekoncentrować. Wiatr, deszcz, odciągają uwagę.

Noc była nieprzyjemna. Było bardzo ciemno, zawiewało od pól, wiatr poruszał bezlistnymi gałęziami drzew, które sprawiały upiorne wrażenie, szeleścił w suchych krzakach, pośród których przebijały zielone młode pędy.

Sylwetki mężczyzn zbliżały się miarowym krokiem, w równym tempie. Rubi machała ogonem, penetrowała teren, często skręcała w otaczające drogę pola, by po chwili powrócić do drogi.

Paweł i Piotr palili w milczeniu, w mroku świeciły czerwone punkciki. Kasia znów się odezwała:

– Zachowuje się, jakby coś wyczuła, ale zapach jest na tyle nikły, że jeszcze nie może złapać kierunku.

– Myślisz, że wylapała cokolwiek? – spytał z powątpiewaniem Struga.

– Absolutnie tak. Gdyby niczego nie wyniuchała, nie dawałaby znaków poszczekiwaniami. Ewidentnie jest niespokojna.

Tymczasem zbliżała się do nich grupa śledcza składająca się z dwóch mężczyzn i Rubi. Nagle suka zatrzymała się, przypadła nosem do ziemi, zaczęła intensywnie węszyć, a następnie poszczekiwać. Wszyscy zamarli, jedynie Waligórski pogładził łeb denerwującej się Rubi i przemówił do niej spokojnie:

– Tu coś czujesz, dobra Rubi, dobra. A więc byli tu? Pokaż, Rubi, gdzie poszli. Pokaż!

Suka skamlała, węszyła i poszczekiwała. Tymczasem

Jastruń wyciągnął z kieszeni silną latarkę i oświetlił mokrawą piaszczystą drogę, do której przypadła nosem Rubi.

Paweł pilnie obserwował poczynania policjantów.

– Wyczuła coś? – Struga odezwał się do funkcjonariuszki Kasi, ale nie odpowiedziała.

Tymczasem Rubi była coraz bardziej niespokojna, energicznie parła w stronę lasu, tam, gdzie stali Paweł, Piotr i funkcjonariuszka. Usunęli się na bok, by zrobić miejsce Rubi, która ostro podążała naprzód, jakby nie chciała zgubić tropu. Sierżant i Jastruń wraz z Rubi szli przodem, a za nimi gęsiego, w milczeniu pozostała trójka.

Wiatr przyniósł zapachy wilgoci i gleby.

Po kilku minutach marszu dotarli do rozstaju dróg, tu Rubi zaczęła drzeć ziemię łapami, z nosem przy ziemi niestrudzenie szła naprzód i w pewnym momencie pociągnęła Waligórskiego w lewo.

– Co jest przed nami? – Struga zwrócił się do Kasi.

– Stamtąd aż tam ciągnie się staw Puchalski – odparł mu zasapany Waligórski, usiłując nadążyć za coraz mocniej ciągnącą go Rubi.

– Ewidentnie złapała trop – odezwał się Struga.

Nie było wątpliwości, że suka coś wywęszyła. Odeszli daleko od siódemki i tu nie docierało białawe światło latarni; dokoła było ciemno, wietrznie, nieprzyjemnie. Słychać było tylko trzeszczenie wyschniętych krzaków oraz dyszenie Rubi i przyspieszone oddechy podążających za nią osób. Po kilku minutach spośród zarośli ukazała się błyszcząca ciemna tafla wody – dotarli nad brzeg stawu Puchalskiego.

Rubi wyrwała się naprzód, szczerząc zębami i rzucając się na boki. Mimo panującego zimna, Paweł poczuł, jak krople potu występują mu na czoło. Cisnął na

ziemię papierosa i niemal natychmiast zapalił następnego.

Szli teraz gęsiego wzdłuż czarnej tafli wody, Rubi darła pazurami mokrą ziemię, spiesząc naprzód. Słysząc było, jak ich buty mlaskają w przybrzeżnym błocie. Prowadził Waligórski, silnie ciągnięty przez Rubi, tuż za nim duże kroki sadził Jastruń, za nim podążała Kasia, deptał jej po piętach oszołomiony Paweł. Pochód zamykał mamroczący coś pod nosem, pociągający z flaszki Struga.

– Nie możesz jej puścić?

Paweł dobiegł chrapliwy szept Jastrunia.

– Mogę, to już niedaleko.

Paweł uczył, jak jeżą mu się włosy na głowie, zimne wietrzysko szarpało za poły kurtki. Spróbował głęboko oddychać. Nagle ich grupka przystanęła. Paweł usłyszał szepty, brzęk metalu, susy wśród podmokłej darni, a potem szybko oddalające się poszczekiwanie. Zrozumiał, że sierżant spuścił ze smyczy Rubi, która gnała jak szalona przed siebie. Sierżant, Jastruń i Kasia puścili się za nią biegiem. Paweł jak automat pospieszył za nimi, daleko przed sobą słysząc ostre poszczekiwanie. Uświadomił sobie, że obiegli niemal połowę stawu.

Brzeg zakręcał i w oddali zobaczył, że Rubi położyła się na brzegu jeziora i cicho skowyczała. Niemał nieświadomie spowolnił krok, przeczuwając, że suka coś odnalazła. Tamci też zwolnili, bo docierali do miejca, gdzie Rubi warowała, pyskiem wskazując staw.

Paweł stanął, nogi miał jak z waty. Wyprzedzająca go trójka zrównała się z Rubi, która znów zaczęła czekać, stając przy brzegu w wodzie. Paweł widział, jak Waligórski mówi coś do Jastrunia, który po chwili wyciągnął z kieszeni latarkę. Ostry snop światła przeciął mętną zielonkawą toń przy brzegu. Paweł nie postąpił już ani kroku dalej, z pewnej odległości obserwował, jak sierżant mówi coś do Rubi, po czym suka pomału wchodzi do stawu, cicho powarkując. Sierżant przejął latarkę od Jastrunia i nie zważając na lodowatą wodę, w butach wszedł po kolana do wody. Rubi zanurzyła się niemal po szyję, znów poszczekując. Waligórski omiół światłem dokoła i nagle znieruchomiał. Rubi nie przestawała ujadać.

Struga szybkim krokiem wyminął Pawła, jego buty kłaskały w błocie. Po chwili nad brzegiem zgromadziła się cała grupka. Waligórski oświetlał coś, co znajdowało się na dnie jakiś metr pod zielonkawą wodą, co w oślepiającym halogenowym świetle zdawało się Pawłowi białe i ogromne, jakby rozdęte, napompowane.

Jastruń wszedł do wody, stanął obok sierżanta i pochylił się nad taflą wody.

– Nie dotykaj ręki, naskórek zejdzie z paznokciami jak rękawica – ostrzegł go Waligórski.

– Nada się do identyfikacji wzrokowej? – ochrypłym głosem spytał Jastruń.

– To się okaże. W zeszłym tygodniu słońce ostro operowało, ale temperatura wody nie przekracza pięciu stopni, więc cholera wie.

– Dobra! Pożycz komórkę, dzwonię po chłopców z kryminalnej.

Pawłowi szumiało w uszach, zsunął z głowy czapkę. Wyjął papierosa, zapalił i ruszył przed siebie, oddalając się od skupionych wokół tego białawego kształtu postaci. Do stawu Puchalskiego przylegało orne pole, szedł nim, czując, jak eleganckie buty zapadają się w kopnej natlenionej glebie.

Tychczasem blady jak ściana Kwaśniak przypatrywał się swojemu odbiciu w resztkach potłuczonego lustra. Był na Saskiej Kępie, w mieszkaniu Pawła Wencla.

O trzeciej nad ranem dziesięciu uzbrojonych po zęby chłopaków z osiemnastej jednostki NOP-u pod wodzą zastępcy grupy otoczyło budynek, a następnie wtargnęło do mieszkania, wyważając drzwi. Nie zastali ani gospodarza, ani jego żony, ale zgodnie z poleceniem czekającego w samochodzie na zewnątrz szefa, doszczętnie przetrzepali mieszkanie, tłukąc szkło, przewracając meble, opróżniając zawartość szuflad i szafek, zrzucając ze ścian obrazy, patrosząc kanapy, a nawet odrywając ozdobne listwy podłogowe.

Mimo tak dokładnych poszukiwań nie odnaleziono poszukiwanych dokumentów. Niezwykle spięty Kwaśniak odczekał chwilę, po czym zadzwonił do drugiej jednostki, która wkroczyła do kancelarii Wencla. Gdy usłyszał, że i tam nie zastano żywej duszy, rozsierdził się nie na żarty. Złowieszczym głosem obwieścił oficerowi kontrwywiadu Kukuryce, że za takie zaniedbanie posypią się głowy.

Jak to możliwe, że mimo stałego podsłuchiwania Wencla nie wychwycono informacji o tym, że zamierzał wyjechać. Było to na tyle niepokojące, że Kwaśniak tak zrugął chłopaków z operacyjnej, iż zaczęli zwłówieszczo na niego popatrywać i nie pomogło postraszenie ich zwolnieniami.

Około szóstej nad ranem postanowił zaczekać na Wencla w jego mieszkaniu, choć nie było pewne, że w ogóle się pokaże. Tymczasem telefonicznie uprosił Palimąkę, by wydał natychmiastowy nakaz aresztownia Wencla i polecił przesłać go do wszystkich mobilnych jednostek policji. Chłopakom kazał otoczyć dom i przechwycić Wencla, jak tylko się pojawi.

Wydawszy te polecenia i pozostawiwszy przy sobie tylko dwóch funkcjonariuszy, którym lepiej z oczu patrzyło, usiadł w ocalałym fotelu, w salonie, i czekał na wieści.

Postawił w stan gotowości pół miasta, powiadomił szefa Komendy Stołecznej Policji, a nawet poinformował go, że poszukiwany jest bardzo sprytny i niebezpieczny, może próbować mataczyć i że w razie pojmania zaleca, by natychmiast umieścić go w areszcie, a w tym samym czasie niezwłocznie powiadomić o tym jego, Kwaśniaka. Przybędzie na komendę i weźmie na siebie śledztwo. Podkreślał jednocześnie, że chodzi o grubą aferę korupcyjną, a śledztwo

to prowadzi NOP i że jest ono poza gestią policji.

Teraz w łazience, gdy popijał wodą podwójną dawkę rispoleptu, intensywnie rozmyślał, czy aby nie ma nadmiernego ryzyka, że aresztowany Wencel zacznie za dużo gadać. Niepokoiło go to, lecz uznał, że w terenie zatrzymają go raczej przeciętni funkcjonariusze policji, żadne tam asy z kryminalnej, i niewiele rozumieją z uczonych wywodów Wencla na temat jego, Kwaśniaka. Potem on szybko przejmie nadzór nad śledztwem i prędko zdusi niebezpieczeństwo w zarodku.

Czuł, że zaledwie minuty dzieli go od wielkiego triumfu. Musi je tylko przetrzymać. Za chwilę zamknie tamtemu gębę na wieki. Nie wiedział jeszcze, jak dokładnie to załatwi, ale na pewno nie będzie przebierał w środkach. Gdy to się stanie, droga do wolności i szczęśliwości będzie stała przed nim otworem.

Gwałtownie połknął jeszcze dwa środki przeciwbólowe, popijając wodą prosto z kranu, po czym jeszcze raz przyjrzał się sobie. Każę zaparzyć dobrej kawy, zasiądzie w fotelu i zaczeka na telefon od komendanta. Jeżeli niemal wszystkie jednostki puszczono w ruch, oblawa na mecenasa nie powinna zająć im dużo czasu.

– Antek, zaparz nam dobrej kawy – zwrócił się łaskawie do młodego ochroniarza, którego zadaniem obecnie było pilnowanie wejścia.

Antek posłusznie skierował się do kuchni, gdzie wśród skorup rozbitego szkła zaczął szukać pojemnika z kawą. Po jakimś czasie przyniósł jakąś ocalałą porcelanową filiżankę napełnioną czarną kawą.

Kwaśniak spróbował i się skrzywił.

– Cukier – warknął.

Chłopak zniknął w kuchni, słychać było odgłosy gorliwej krzątania.

– Panie ministrze – Kwaśniak dosłyszał z kuchni pełen wahania głos, lecz w tym momencie zaterkotał jego telefon komórkowy – panie ministrze, nie mogę znaleźć...

– Cicho! – odkrzyknął wściekły, że ochroniarz śmie mu przeszkadzać. Mógł dzwonić komendant, może pojmano Wencla. Dopadł do kurtki, w której kieszeni tkwiła komórka. Na wyświetlaczu pojawił się nieznany mu numer.

– Halo! – wykrzyknął.

– Witaj, Kwaśniak! – w słuchawce rozległ się dawno niesłyszany głos, który Kwaśniak poznałby nawet w piekle, ponieważ był to głos Pawła Wencla.

Osunął się na najbliższe krzesło, nogi odmówiły mu posłuszeństwa.

– To ty? – zasyczał w słuchawkę. – Jeszcze na wolności czy wykonujesz do mnie jeden z dwóch dopuszczalnych telefonów z więzienia?

– Na twoim miejscu nie wymawiałbym tak bez troski słowa „więzienie”.

– Ty, gnojek bez znaczenia, śmiesz mi grozić? – Kwaśniak zacisnął palce na filiżance z kawą tak mocno, że sam nie wiedział, jak i kiedy pękła, kalecząc go,

a kawa sparzyła mu palce. Przeklął ohydnie, kątem oka zobaczył, że w progu zjawił się przerażony Antek.

– Nie czas na szermierki słowne, padlinożerco. Jesteś skończony!

– Ja jestem skończony? – Kwaśniak sam się zdziwił, słysząc roznoszący się wokół dziwacznie brzmiący własny śmiech. – Wszystkie komendy w Polsce dostały o świcie nakaz aresztowania, wszyscy funkcjonariusze cię ścigają, już się nie wywiniesz.

– Włącz wiadomości, dupku.

– Co takiego?! – wykrzyknął Kwaśniak, ale Wencel już się rozłączył.

Przez chwilę wpatrywał się w milczący czarny ekran telewizora. Wstał powoli, sztywno, jakby z godnością, dłuższy czas rozglądał się za pilotem, w panującym po rewizji bałaganie nie mógł go zlokalizować. W końcu podszedł do telewizora i włączył go bez pilota, a następnie mrużąc oczy przed migającym obrazem, wcisnął przycisk, szukając kanału informacyjnego.

Dotarł do pierwszego lepszego i zobaczył zdjęcia policjantów odgradzających staw oraz potężny napis na czerwonym pasku:

Ciało posłanki w stawie. Dla dobra śledztwa policja nie ujawnia szczegółów.

Odwrócił się i napotkał przerażone spojrzenie stojącego w progu Antka, który trzymał w ręku cukiernicę. Przez chwilę patrzyli na siebie szeroko rozwartymi oczami. Kwaśniak odniósł wrażenie, że Antek czyta w jego myślach. Cofnął się, chwycił za komórkę.

– Wyjdę kupić papierosy – oznajmił.

Czekał chwilę, aż Antek skinie głową na znak aprobaty, lecz ochroniarz stał bez ruchu i złowrogo milczał.

– O co ci chodzi? – Kwaśniak włożył kurtkę, sprawdził, czy ma w kieszeni portfel i komórkę, a ponieważ Antek nie odpowiadał, szybkim krokiem skierował się do drzwi. Obejrzał się za siebie i zobaczył, że ochroniarz nadal stoi jak zamrożony, patrząc na niego wrogo.

Kwaśniak szarpnął za klamkę i wciąż trzymając przekłętą tchórzka na wodzy surowością swojego spojrzenia, powoli tyłem wysunął się na zewnątrz i natychmiast wpadł na kilku stojących pod drzwiami mężczyzn w czarnych kominiarkach, uzbrojonych w broń pneumatyczną.

– O, doskonale was wreszcie widzieć! – oświadczył nieswoim głosem. – Rozumiem, że pojмалиście zbiega.

– Mirosław Kwaśniak? – zapytał jeden z nich służbowym tonem.

– Tak, to ja! – odparł, drżąc z oburzenia.

– Proszę zachować spokój. Jest pan podejrzany o zabójstwo, mamy natychmiastowy nakaz zatrzymania.

Mirosław Kwaśniak wykonał konwulsyjny gest, jakby chciał rzucić się do ucieczki, ale funkcjonariusze pochwycili go, boleśnie wykręcili mu ramiona

i przygięli do podłogi. Próbował im grozić, uświadamiając konsekwencje ich czynów, lecz wypowiedane przez niego słowa były niezrozumiałe i zniekształcone, bo jeden z funkcjonariuszy mocno dociskał mu kolanem głowę do posadzki.

Epilog – idée fixe

Po deszczowym czerwcu wreszcie nastąpiło suche, gorące lato. Paweł szedł leśnym duktem, piach chrząścił pod jego butami, w okolicznych zaroślach migotał ruchliwy łebek towarzyszącego mu psa – wątpliwej czystości beagla.

Wzięli go z Agą, gdy przeprowadzili się do budowanego domu. Wprawdzie nie był ukończony, ale nie wyobrażali sobie powrotu na Saską Kępę, do mieszkania zbeszczeszczonego obecnością Kwaśniaka, splądrowanego przez posłuszne mu służby.

Koszmar tamtych dni pomału zaczął blaknąć, rozmywać się w natłoku codziennych przyziemnych spraw. Przyszłość brała górę nad przeszłością – Aga była bliska rozwiązania. Kancelaryjne sprawy zajmowały Pawłowi wiele godzin dziennie, w dodatku dom nie był gotowy, a ekipa budowlana opieszała i skora do nadużyć. Nic dziwnego, że nie pozostawało mu dużo czasu na rozmyślania.

Szczęśliwie sprawę Kwaśniaka nadzorował lojalny Piotr Struga. To on pilnował, by bydlę nie wywinęło się od odpowiedzialności, zasłaniając się niepoczytalnością. Tak więc mimo przemawiających do wyobraźni dramatycznych apeli adwokata, Kwaśniak siedział we Wronkach, a Jastruń kłął się na wszystkie świętości, że dołoży wszelkich starań, by się nigdy stamtąd nie wydostał.

Po wyjściu na jaw brutalnego morderstwa oraz handlu tekami ministerialnymi PN pękł jak nabrzmiały worek wleczony do śmietnika. Wysypały się z niego rozmaite brudy, jedni pogrążali drugich, wreszcie doszło do samorozwiązania się parlamentu i rozpisano nowe wybory.

Naród odetchnął z ulgą.

Struga co i raz informował Pawła o postępach poczynionych nad rozbięciem gangu pabianickiego. W toku śledztwa okazało się dodatkowo, że to Kwaśniak wskazał zbirom Wędzichy miejsce pobytu Skoczylasa i dwóch innych chłopaków, obwiniając ich o ucieczkę księgowego i przyczyniając się tym samym do ich zamordowania.

Mafia pabianicka została rozbita i zaarrestowana, brakowało tylko głównego prowodyra, Wędzichy, który dobrze się zadekował. Interpol jednak twierdził, że sprawa pojmania go to kwestia paru tygodni. Oby się nie mylili. Paweł nie chciał zbyt długo o tym myśleć.

Ależ gorąc.

Przeszedł dziś kawał drogi. Wyciągnął z kieszeni chustkę, otarł czoło i kark. Zdaje się, że zrobiło się późno. Nerwowo zerknął na zegarek. Prawie szesnasta, na siedemnastą zapowiedział się jego brat.

Zdąży, najdalej kilometr dzielił go od posesji. Przyspieszył kroku, wzniesając tumany złocistego pyłu, który wirował i kłębił się, migocząc w smugach światła, prześwitujących przez bujające się miarowo korony drzew.

Z głębi lasu dochodził świergot ptaka, gałęzie skrzypiały kołysane lekkim wiatrem. W powietrzu unosił się aromat żywicy. Przyjemne te tereny. Drzewa duże i dorodne, powietrze suche, zdrowe, okolica jakby stworzona do chowania dzieci.

Tyle że nie padało od kilku tygodni, oby tylko jakiej łachudrze nie przyszło do głowy rzucać do lasu butelek, bo wszystko suche jak pieprz. Wystarczyłaby jedna iskra.

Nie ciągnął tych ponurych rozważań, urok lasu robił swoje. Zatracił się w miarowym marszu, nie myśląc już o niczym, a jedynie chłonąc uroki otaczającej go przyrody. Przybrał obojętny wyraz twarzy, mimo że w okolicy nie było nikogo, kto mógłby uznać to jego obcowanie z przyrodą za śmieszność.

Drzewa zaczęły się przeredzać, droga się rozwidła. W lewo prowadziło odbicie do jego posesji. Między brzezina zamajaczył Pawłowy dom – przyjemna rozległa bryła zwieńczona włoskim dachem. Nic obliczonego na pokaz, a jednak budowla robiła wrażenie.

Wszedł przez furtkę, żwir zachrząścił pod jego butami. Na bujanej kanapie, w cieniu wielkiego parasola ustawionego pod starym bukiem siedziała Aga.

Nie był człowiekiem specjalnie religijnym, lecz pożerając oczyma ten idylliczny obrazek, odczuwał coś, co do złudzenia przypominało wdzięczność wobec opatrności. Razem weszli do domu.

Starannie zamknął za nimi drzwi, mimochodem odnotowując urodę gustownie urządzonego wnętrza, zaaranżowanego elegancko i przytulnie, a na pierwszym planie mając żonę, pyszniącą się czasowo nabytymi krągłościami, podkreślonymi jeszcze przez wyjątkowo zmysłową letnią sukienkę w stylu Capri – jego wybór.

– Wszystko przygotowałam.

Jakżeby inaczej. Ta dziewczyna nigdy nie siedziała z założonymi rękami, nawet będąc w tym stanie i podczas upału. Zerknął na stół nakryty na tarasie, w cieniu kremowej markizy. Kieliszki z kolorowego szkła, owoce, kanapki pod szklaną kopułą. Kiwnął głową z uznaniem.

– Wino schłodziłam, macie nawet kubek do lodu.

– Nie zostaniesz z nami?

Zastrzyk hormonów dodawał takiego blasku jej cerze i włosom, że zdawała się świecić.

– Pomyślałam, że skoro Małgorzaty nie będzie, lepiej byście porozmawiali we dwóch. Poza tym chciałam pojechać do miasta po zakupy.

Rzeczywiście mieli z bratem do pogadania, ale Paweł nie palił się do spotkania. Nie widzieli się od miesiący, kontaktowali się jedynie telefonicznie i tylko w sprawach sądowych.

Niechętnie odprowadził żonę do samochodu, przestrzegł przed zmęczeniem, przykazał niezwłocznie wracać, po czym przeszedł do przysłoniętego ciężkimi

zasłonami chłodnego salonu, a stamtąd na zacieniony taras. Zapadł w miękki fotel i spod przymrużonych powiek obserwował tonące w oślepiającym słońcu zielone rabaty, bezskutecznie usiłując się nie denerwować zbliżającą się wizytą Mateusza.

W końcu te męki uciął terkoczący dzwonek do drzwi.

Stojący w progu domu Mati zdawał się mniejszy niż zwykle, jakby olśniewająca przestrzeń dookoła go przytłoczyła. Wciąż taktowny, elegancko komplementował dom, który widział po raz pierwszy.

Usiedli na tarasie w cieniu markizy. Teren posesji z tej perspektywy wydawał się imponujący, szczególnie że nie widać było żadnej przegradzającej siatki. Ogród łagodnie przechodził w stary sad, za którym ciągnęły się pola uprawne. Mati patrzył na to, kiwając z aprobatą głową, ale na ustach miał gorzki uśmieszek. W świetle popołudnia wydawał się chorobliwie błady.

Nagle Paweł zawstydził się tego otaczającego ich dobrobytu. Zapragnął umniejszyć urok bajkowego sielskiego obrazka.

– Cholerne zadupie, czasem boję się, że w nocy przyjdą i wyrzną nas w pień – rzucił od niechcienia, znikając w przysłoniętym zasłonami salonie, a za chwilę pojawiając się z zielonkawą smukłą butelką rieslinga.

Mati wyjął z marynarki paczkę papierosów i rzucił ją na stół.

– Macie pewnie wszelkie zabezpieczenia.

Paweł ciężko i niezgrabnie opadł w fotel, całym swym jestestwem usiłując odrzucić zbędny formalizm i przełamać między nimi barierę nie-domówień.

– Szkoda, że nie posłuchałeś mnie i nie przyjechałeś taryfą. – Paweł ostrożnie uśmiechnął się do młodszego brata. – Mówiłem ci, że będę miał doskonałe wino.

– Człowieku, taryfa do was kosztuje. – Mati wciąż miał na ustach gorzki grymas.

– Właśnie – podjął Paweł – o forsie chciałem z tobą po-gadać. Wiem, ile płacisz tej jędzy, wiem, że kupka topnieje i muszę przyznać, że jestem zły, iż nie przyszedłeś z tym problemem do mnie! – Specjalnie powiedział to szorstko i gniewnie, by ułatwić bratu wyznanie. Jednocześnie napełnił kieliszki winem.

Mati skwapliwie uniósł kieliszek do ust i upił spory łyk.

– Forsa to tylko jeden z moich, hmm... problemów – odparł brat wciąż z tym samym, pełnym gorczy uśmieszkiem. – Ten cholerny Gemba to diabeł wcielony, serio. Jestem skłonny uwierzyć, że ma w dupie dobro swoich dzieci, bo robi dosłownie wszystko, by uczynić nasze życie koszmarem.

– Czemu dopiero teraz mi o tym mówisz?

– Miałem kiepski okres, ta sytuacja odbija się negatywnie na naszym związku. Małgosia świruje od tego, dłużej tego nie zniesie. – Zdenerwowany Mati zapalił papierosa.

Dopiero teraz Paweł zauważył, że brat ma mocno przekrwione białka.

– Już ja go osadzę na miejscu.

– To nie będzie takie proste, bo ten chujek przekupił niańkę, która podrzuciła Małgosi do domu jakieś gówno, razem nasłali na nas policję. Chcą zrobić z nas parę ćpunów niezdolnych do opieki nad dziećmi.

Paweł spoważniał, teraz i on sięgnął po papierosa.

– Dam sobie z nim radę – rzucił, zaciągając się głęboko. – Już ja skurwysyna poskromię. Gembarscy Gembarskimi, a tymczasem najwyższy czas, żebyś zajął się sobą. Mam mnóstwo znajomych, raz dwa przywrócę cię do pionu. Wszystko, czego ci trzeba, to normalna robota z solidną pensją. – Mówiąc to, uśmiechnął się krzepiąco i ujął schłodzoną szyjkę butelki z zamiarem dolania bratu, ten jednak odsunął się gwałtownie, wpierając plecami w oparcie.

– A skąd ci przyszło do głowy, że szukam roboty?

– Myślałem, że doskwiera ci brak gotowizny. NatURALNIE, pożyczę ci, ile trzeba, na tak długo, jak trzeba, ale koniec końców będziesz musiał coś znaleźć. Jak inaczej zamierzasz utrzymywać ten swój harem – usiłował zażartować Paweł, nerwowo popijając chłodne wino i patrząc spod oka na wzburzonego brata.

Mati, który wciąż miał na ustach gorzki uśmieszek, wlepił niewidzące spojrzenie w otaczającą oślepiającą, połyskliwą przestrzeń, paląc zajadle.

– Piszę powieść życia, bracie – wyjąwił, patrząc na Pawła płomiennym wzrokiem.

Paweł milczał, nie wiedzieć czemu zażenowany.

– Może wydaje ci się to dziwne, ale nie cofnę się w pół drogi, żeby wpłacić kolejną ratę na lodówkę. Kurwa, nie! – Mati stuknął pięścią w stół, aż zadzwoniły kieliszki.

Nagle otaczający ich sielski krajobraz przestał być urokliwy, wszystko dokoła zdawało się nabierać grozy, jakby ktoś zakomunikował im nagle, że Bóg wcale nie istnieje. Krzaki i trawa nadal były zielone, ale kogo to mogło obchodzić wobec tragizmu końca.

– O czym jest... ta powieść? – głucho spytał Paweł. Słowo „powieść” ledwo przeszło mu przez gardło.

– O wszystkim. O całym tym gównie wokół. – Mati obiema dłońmi zaczesał do tyłu włosy, założył ręce za głowę i uśmiechał się niebezpiecznie.

– Słabo to brzmi.

– Jeśli naprawdę cię interesuje: powieść to klasyczna tragedia grecka w formie epickiej.

– Tragedia? – zachnął się Paweł. – Brzmi nieco patetycznie. Patos nigdy nie był w twoim guście.

– Zmieniłem się. Dojrzałem. Czasem trzeba nazywać rzeczy po imieniu.

– I na czym ma polegać ta... tragedia?

– Jak to w tragedii greckiej – każdy wybór jest złem.

– Wybór między czym a czym? – wycedził Paweł.
– Między konformizmem a nonkonformizmem.
– A więc właśnie tym się zajmujesz, tygodniami tkwiąc zadekowany w mieszkaniu – stwierdził oschle Paweł i pochylił się naprzód, jakby gotował się do ataku, lecz przed wypowiedzeniem się do końca powstrzymał go wyraz twarzy brata.

Pytanie, niemal niestosowne, zawisło mu na końcu języka, lecz połknął je wraz z kolejnym haustem piwnicznie chłodnego wina, mało się nie krztusząc, wbijając wzrok w swoje kosztowne mokasyny.

Zapadło milczenie.

Mati, choć zmarnowany, wciąż jeszcze bystry i spostrzegawczy, zauważył wahanie brata i domyślił się treści tego niewypowiedzianego pytania.

– Chcesz wiedzieć, z czego zamierzam żyć? Sprzedam wszystko, co mam. W ten sposób będę mógł ich utrzymywać. To, co mi pozostanie, włożę w promocję, bo wierzę w ten projekt! Planuję stoczyć bój na śmierć i życie. Polegnę albo przetrwam. Wiesz, że nie uznaję półśrodków.

Patrzył na brata wyzywająco, jakby szykując się na śmiertelny cios, którego się spodziewał. Jednak Paweł nie zadał tego ciosu. Nie śmiał. Bo i faktycznie kim jest, by udzielać rad, mówić bratu, jak ma żyć? Przecież Mati zawsze spadał na cztery łapy.

Książkę w sposób spektakularny odrzuciły wszystkie liczące się wydawnictwa, lecz Mati się nie poddawał. Im bardziej go wyszydzano, tym mocniej upierał się dopiąć swego. Przestał jeść, spotykać się z bliskimi, a rady przyjmował tylko od Małgorzaty.

Czas spędzał na jałowych godzinach, podczas których stukał w klawiaturę komputera i zwykł nazywać to pracą. Z początku członkowie rodziny patrzyli na to jak na chwilową nieszkodliwą manię, jednak gdy sprzedał ostatnie posiadane przez siebie kosztowności, zaczęli się martwić.

Mania robiła się groźna.

Usiłowali spotkać się z nim, by wybić mu z głowy to szaleństwo, upatrywali winy w redaktorowej. Doradzali lekarza, psychologa, wyjazd nad morze, terapię.

Jednak choroba załęgła się na dobre.

Zmienił się. Nie wydawał już pieniędzy na ubrania, wina, wyjazdy. Oszczędzał na wszystkim łącznie z jedzeniem, wodą i światłem. Przebywanie z nim stało się krępujące, niezręczne. Stał się zgorzkniały. Szczęśliwie na spotkaniach rodzinnych pojawiał się rzadziej, jakby zdając sobie sprawę, że jego obecność mogła innych męczyć.

Często o nim rozmawiali, wyrażając wątpliwości i troskę, jednak głęboko ufali, że uda mu się przezwyciężyć ten stan. Jeszcze dożyją dnia, gdy rzuci to wszystko w cholerę, otrząśnie się i znów będzie uśmiechnięty, promienny – jak

dawniej. Chłopak najwyraźniej nie sięgnął jeszcze dna. Gdy tylko sięgnie, odbije się od niego i wróci do nich uleczony z tej paskudnej dolegliwości. Głęboko w to wierzyli.

- [1] PN – Porozumienie Narodowe (wszystkie przypisy autorki).
- [2] Spółka *offshore* – spółka zakładana w rajach podatkowych.
- [3] NOP – Naczelny Organ Prewencji.
- [4] *Cluster* (j. ang.) – grupa, gromada, skupisko. Wielkie korporacje bywają podzielone na rejony połączone wspólnym zarządzaniem, dostawcami, strategią itd.
- [5] CEO (j. ang.) – Chief Executive Officer – dyrektor generalny.
- [6] *Go figure* (j. ang.) – bądź tu mądry, w tym znaczeniu – ciekawe dlaczego.
- [7] *Why do Poles drink so much, Mati?* (j. ang.) – Dlaczego Polacy tyle piją, Mati?
- [8] *You can not smoke in here!* (j. ang.) – Tu nie wolno palić!
- [9] *We Poles are not so obedient to the rules!* (j. ang.) – My Polacy nie przestrzegamy zasad tak gorliwie!
- [10] *That's why you have such a mess here!* (j. ang.) – Dlatego macie tutaj taki bałagan!
- [11] *We have such a mess here, because you sold us in Jalta!* (j. ang.) – Mamy taki bałagan, bo sprzedaliście nas w Jałcie.
- [12] *How so?* (j. ang.) – Niby jak?
- [13] *Guys, what's up?* (j. ang.) – Co tam, chłopaki?
- [14] *De trop* (j. franc.) – zbędna.
- [15] *Crisis management leaflet* (j. ang.) - broszura dotycząca zarządzania kryzysowego.
- [16] *Quantity* (j. ang.) – ilość.
- [17] *Quality time* (j. ang.) – czas spędzony w sposób wartościowy.
- [18] *She's a friend's wife.* (j. ang.) – To żona kolegi.
- [19] *She's got the moves.* (j. ang.) – Umie się poruszać.
- [20] *And how was your holiday, Patrick. Family okay?* (j. ang.) – A jak minęły święta, Patrick. Rodzina zdrowa?
- [21] *Tell me, Gosza, do all Polish girls dress like whores?* (j. ang.) – Powiedz, Gosia, czy wszystkie Polki ubierają się jak kurwy?
- [22] *Tout est relatif* (j. franc.) – wszystko jest względne.
- [23] *Actio praeter expectationem* (j. łac.) – paragnomen – termin stworzony przez Eugeniusza Brzezickiego, wybitnego psychiatrę polskiego, opisujący zaskakujące, przeczące oczekiwaniom otoczenia i niezgodne z dotychczasową linią życiową pacjenta zachowanie, często będące zwiastunem nadciągającej choroby psychicznej.
- [24] *What the hell is going on in here?* (j. ang.) – Co się tu, u diabła, dzieje?
- [25] *Kick back* (j. ang.) – pieniądze otrzymane za wyświadczony komuś przysługę.
- [26] *Thank you for being so kind* (j. ang.) – Dziękuję, że byłeś tak miły.
- [27] *Do you have any identification? Passport? Driving license?*

(j. ang.) – Czy ma pan jakiś dowód tożsamości? Paszport? Prawo jazdy?

[28] *Let them go* (j. ang.) – Puść ich.

[29] *That's why you should never drink on the plane!* (j. ang.) – Dlatego właśnie nie wolno pić na pokładzie samolotu!

[30] *That'll be eighty nine pounds* (j. ang.) – To będzie osiemdziesiąt dziewięć funtów.

Spis treści

Iskra w beczce- prochu

Redaktorowa Gembarska

Kryzys wieku średniego

Zatruta studnia

Pierwsze widzenie

Wszystkich Świętych

Transgresyjne trio

Posiłek w poselskiej stołówce

Wyrafinowanie napruci

Actio praeter expectationem

Rozkład moralny

Diagnoza

Nieoczekiwana wizyta

Pójście za pragnieniem

Migrena

Niedziela Wielkanocna w Niedźwiedzim Rogu

Stary Kwaśniak szuka prawdy

Przyjaciele

Wizyta u Mikołaja Pracza

Psychoza

Rozgrywka

Epilog – idée fixe

